

Kontynuacja bestsellera OSTATNI MAG

ZŁODZIEJKA MAGII



LISA MAXWELL

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ZŁODZIEJKA
MAGII

POLECAMY

Tom pierwszy

OSTATNI
MAG

Tom drugi

ZŁODZIEJKA
MAGII

LISA MAXWELL

ZŁODZIEJKA
MAGII

Przełożył z angielskiego

Łukasz Witczak



Nasze książki kupisz na:

www.publicat.pl

Tytuł oryginału

The Devil's Thief

Projekt okładki

RUSSELL GORDON

Opracowanie ilustracji na froncie okładki oraz typografia

Copyright © 2018 by Craig Howell

Autor fotografii na okładce

Copyright © 2018 by Cameron Whitman Photography, LLC

Mapy

Copyright © 2017 ([ss. 6-7](#)) i 2018 ([ss. 8-9](#)) by Drew Willis

Koordinacja projektu

SYLWIA MAZURKIEWICZ-PETEK

Redakcja

ANNA JACKOWSKA

Korekta

BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna

LOREM IPSUM

Original English language edition copyright © 2018 by Lisa Maxwell

Published by arrangement with Simon Pulse, An imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage and retrieval system, without permission in writing from the Publisher.

Polish translation © Łukasz Witczak MMXIX

Polish edition © Publicat S.A. MMXIX(wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved.

ISBN 978-83-271-5935-9

Konwersja: [eLitera s.c.](#)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66

e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Złodziejka. *1902 rok – Nowy Jork*

CZĘŚĆ PIERWSZA

Biała kobieta. *1902 rok – Nowy Jork*

Bowery w ogniu. *1902 rok – Nowy Jork*

Prawda o władzy. *1902 rok – Nowy Jork*

Kryjówka. *1902 rok – Nowy Jork*

Motłoch. *1902 rok – Nowy Jork*

Krew i woda. *1902 rok – Nowy Jork*

Obcy kraj. *1902 rok – Nowy Jork*

Ars arcana. *1902 rok – Nowy Jork*

Syrena. *1902 rok – Nowy Jork*

Powiew magii. *1902 rok – New Jersey*

New Brighton. *1902 rok – Nowy Jork*

Uśmiech węża. *1902 rok – New Jersey*

Wizja światła i mocy. *1902 rok – New Jersey*

Wybór. *1902 rok – New Jersey*

Teatr Wallacka. *1902 rok – Nowy Jork*

Same kłopoty. *1902 rok – Nowy Jork*

Puste ulice. *1902 rok – Nowy Jork*
Mogło być gorzej. *New Jersey*
Ku odległej stacji. *1904 rok – New Jersey*

CZĘŚĆ DRUGA

Wynurzenie. *1902 – Nowy Jork*
Nowe miasto. *1904 rok – St. Louis*
Osławiona. *1904 rok – St. Louis*
Antidotum na plotki. *1902 rok – Nowy Jork*
Konsekwencje. *1904 rok – St. Louis*
Niebo ciemne, bezgwiazdne. *1904 rok – St. Louis*
Kieszonkowy zegarek. *1904 rok – St. Louis*
Kurz i metal. *1904 rok – St. Louis*
Przełom. *1902 rok – Nowy Jork*
Mock duck. *1902 rok – Nowy Jork*
Matka Ruth. *1904 rok – St. Louis*
Ryzyko magii. *1904 rok – St. Louis*
Ręce sprawiedliwości. *1904 rok – St. Louis*
Zdrajca. *1902 rok – Nowy Jork*
Ogień. *1902 rok – Nowy Jork*
Bójcie się diablej ręki. *1904 rok – St. Louis*
Niespodziewany kłopot. *1904 rok – St. Louis*
Zobowiązania. *1902 rok – Nowy Jork*
Stracone okazje. *1904 rok – St. Louis*

CZĘŚĆ TRZECIA

Delmonico's. *1902 rok – Nowy Jork*
Bądź rozsądna. *1904 rok – St. Louis*
U Kinga. *1904 rok – St. Louis*
Niespodzianka. *1902 rok – Nowy Jork*
Dżentelmen, którego podziwiamy. *1904 rok – St. Louis*

Towarzystwo. *1904 rok – St. Louis*
Sekrety księgi. *1904 rok – St. Louis*
Niewyjaśniona ciemność. *1904 rok – St. Louis*
Mak. *1902 rok – Nowy Jork*
Wymuszona bliskość. *1902 rok – Nowy Jork*
Dodatkowe korzyści. *1902 rok – Nowy Jork*
Wściekły. *1904 rok – St. Louis*
Kobieta. *1904 rok – St. Louis*
Co było, a nie jest. *1904 rok – St. Louis*
Za późno. *1902 rok – Nowy Jork*
Zostawiony. *1902 rok – Nowy Jork*
Syrena. *1902 rok – Nowy Jork*
Wystawa. *1904 rok – St. Louis*
Rozpoznanie. *1904 rok – St. Louis*
Gwiazda dzina. *1904 rok – St. Louis*
Ulice Kairu. *1904 rok – St. Louis*
Życie w ukryciu. *1904 rok – St. Louis*
Niewidzialna energia dookoła. *1904 rok – St. Louis*
Zawołowany prorok. *1904 rok – St. Louis*

CZĘŚĆ CZWARTA

W ludzkiej pamięci. *1904 rok – St. Louis*
Na granicy zachodu. *1904 rok – St. Louis*
Nowa era w Bowery. *1902 rok – Nowy Jork*
Skrwawiona ziemia. *1902 rok – Nowy Jork*
Mapa świata. *1902 rok – Nowy Jork*
Promenada. *1904 rok – St. Louis*
Ciężar więzów. *1902 rok – Nowy Jork*
Niezgodnie z planem. *1902 rok – Nowy Jork*
Włamanie. *1902 rok – Nowy Jork*

Seszat. 1904 rok – *St. Louis*
Unicestwienie. 1904 rok – *St. Louis*
Odkryty. 1902 rok – *Nowy Jork*
Tylko pustka. 1904 rok – *St. Louis*
Człowiek prezydenta. 1904 rok – *St. Louis*
Powrót. 1902 rok – *Nowy Jork*
Browar. 1904 rok – *St. Louis*
Benedict O’Doherty. 1904 rok – *St. Louis*
Zwykła dziewczyna. 1904 rok – *St. Louis*
Przechytrzony. 1902 rok – *Nowy Jork*
Sekret z Orchard Street. 1902 rok – *Nowy Jork*
Zamach. 1904 rok – *St. Louis*
Betsaida. 1902 rok – *Nowy Jork*
Służąca. 1902 rok – *Nowy Jork*
SPR. 1904 rok – *St. Louis*
Staw. 1902 rok – *Nowy Jork*
Różnica. 1904 rok – *St. Louis*
Dogodny moment. 1904 rok – *St. Louis*
Bransoleta. 1904 rok – *St. Louis*

CZEŚĆ PIĄTA

Przegrupowanie. 1902 rok – *Nowy Jork*
Nocna wizyta. 1904 rok – *St. Louis*
Coś do powiedzenia. 1904 rok – *St. Louis*
Odwet. 1904 rok – *St. Louis*
U Ferrary. 1902 rok – *Nowy Jork*
Przebudzeni. 1904 rok – *St. Louis*
Libitina. 1902 rok – *Nowy Jork*
Ziarno zwątpienia. 1902 rok – *Nowy Jork*
Fala panicznego strachu. 1904 rok – *St. Louis*

W ogień. 1904 rok – *St. Louis*
Piwonia wśród pomidorów. 1902 rok – *Nowy Jork*
Porwani przez falę. 1902 rok – *Nowy Jork*
Bezsilność. 1902 rok – *Nowy Jork*
Nieprawda. 1902 rok – *Nowy Jork*
Tuż pod powierzchnią. 1904 rok – *St. Louis*
Groźby i obietnice. 1904 rok – *St. Louis*
Rozczarowanie. 1902 rok – *Nowy Jork*

CZĘŚĆ SZÓSTA

Rzeka. 1904 rok – *St. Louis*
Do końca. 1904 rok – *Nowy Jork*
Żywe obrazy. 1902 rok – *Nowy Jork*
Jeszcze raz. 1902 rok – *Nowy Jork*
Sam sobie sterem. 1902 rok – *Nowy Jork*
Przygotowania. 1904 rok – *St. Louis*
Diabeł w środku. 1904 rok – *St. Louis*
Gala. 1902 rok – *Nowy Jork*
Przed burzą. 1902 rok – *Nowy Jork*
Stary wróg. 1904 rok – *St. Louis*
Koszt ludzki. 1904 rok – *St. Louis*
Wszyscy mają treść. 1902 rok – *Nowy Jork*
Basta. 1902 rok – *Nowy Jork*
Spotkanie starych znajomych. 1902 rok – *Nowy Jork*
Właściwa godzina. 1904 rok – *St. Louis*
Alchemik. 1902 rok – *Nowy Jork*
Powiew magii. 1902 rok – *Nowy Jork*
Bal zawołanego proroka. 1904 rok – *St. Louis*
Głód. 1904 rok – *St. Louis*
Kotara się rozsuwa. 1902 rok – *Nowy Jork*

Kirke. 1902 rok – Nowy Jork
Co żyło wewnątrz. 1904 rok – St. Louis
Powrót Seszat. 1904 rok – St. Louis
Koszmar na jawie. 1902 rok – Nowy Jork
Błysk noża. 1902 rok – Nowy Jork
Potworny chaos. 1904 rok – St. Louis
Jeszcze nigdy. 1904 rok – St. Louis
Sztylet. 1904 rok – St. Louis
Jak lunatyczka. 1904 rok – St. Louis
Discedo. 1904 rok – St. Louis
Redite. 1904 rok – Nowy Jork

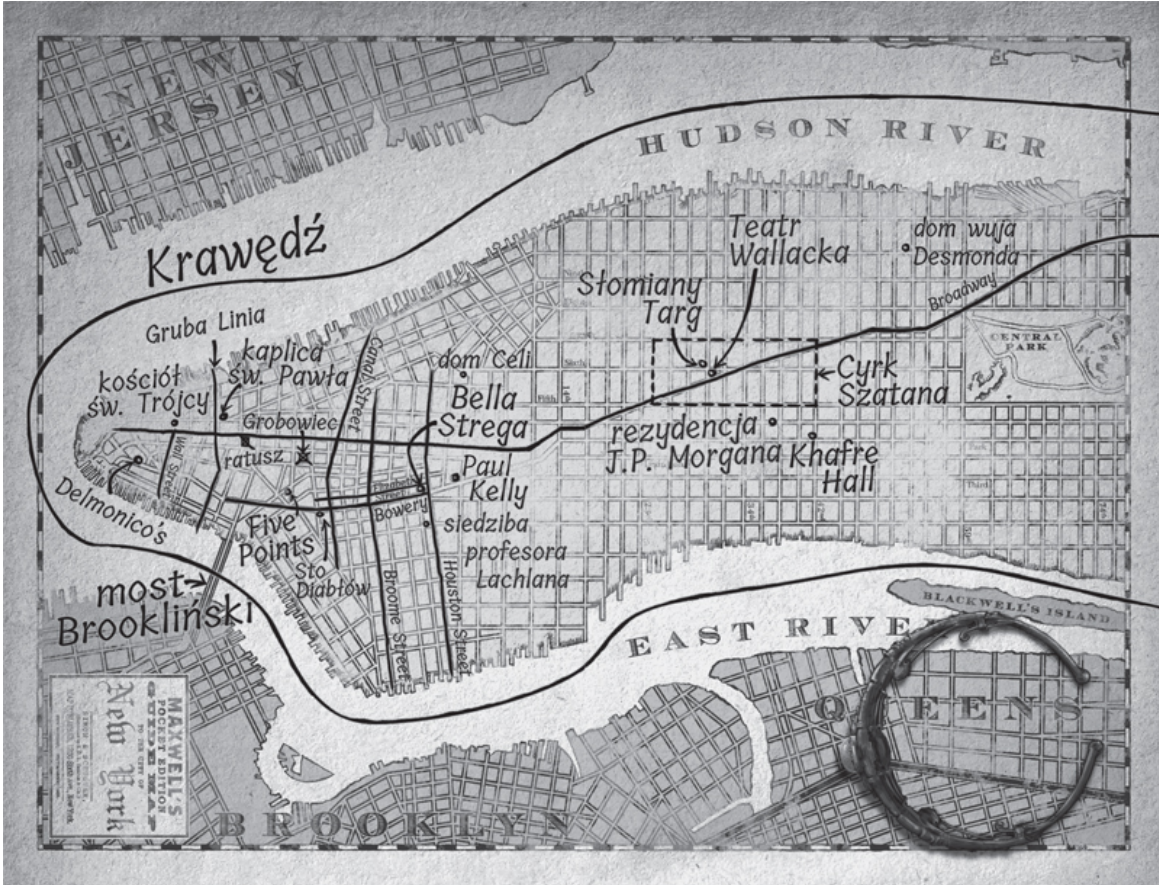
Od autorki

Podziękowania

Olivii i Danielle

*Rzadko się trafia prawdziwy przyjaciel
i dobry pisarz w jednej osobie.*

E.B. White



ZŁODZIEJKA

1902 rok – Nowy Jork

Z łodziejka odwróciła się plecami do miasta – do wszystkiego, co ją ukształtowało, do wszystkich kłamstw, w które dawniej wierzyła. Bolesna strata zahartowała ją, ciężar wspomnień uczynił twardą i zimną jak diament. Stała na skraju wielkiego mostu uzbrojona w pamięć o tej stracie.

Ciemna droga przed nią rozciągała się ku miejscu, gdzie noc siniaczyła już horyzont, okrywała cieniem niskie budowle i gołe czubki drzew kraju, który do niedawna wydawał się niedostępny. Odległość liczona w krokach nie była wcale wielka, lecz od przeciwległego brzegu oddzielała Złodziejkę niszczycielska Krawędź.

U boku dziewczyny stał magik. Kiedyś wróg. Godny rywal. Teraz był sojusznikiem. Zaryzykowała wszystko, żeby po niego wrócić. Zadrzał, lecz trudno było stwierdzić, czy to od chłodnego wieczornego powietrza owiewającego mu odkryte ramiona, czy na myśl o zadaniu, przed którym stoją – o jego niewykonalności.

– Wczoraj chciałem zginąć. – Jego szept był ledwie słyszalny wśród wiatru. – Myślałem, że jestem gotowy, ale... – Spojrzał na nią i stalowoszare oczy powiedziały jej wszystko, czego nie mówiły usta.

– Uda się nam – odparła pocieszająco. Nie dlatego, że była o tym przekonana, lecz dlatego, że nie mieli wyjścia. Skoro nie mogła zmienić przeszłości, uratować niewinnych ludzi, naprawić swoich błędów, to musi zmienić przyszłość.

Szyny, na których stali, zadrzały pod ciężarem nadjeżdżającego za ich plecami tramwaju.

Nie mogli pozwolić, by ktoś ich tu zobaczył.

– Daj mi rękę – rozkazała Złodziejka.

Magik spojrział na nią pytająco, lecz tylko wyciągnęła dłoń. Za jednym dotknięciem był w stanie odczytać wszystkie jej nadzieje i obawy. Mógł ją zawrócić z tej drogi. Wolała się od razu przekonać, czy może na niego liczyć.

Po chwili jego ręka przylgnęła do jej dłoni.

Prawie nie poczuła chłodu ciała magika, bo od razu rozgrzała ją buzująca energia. Znała już dobrze ciepło tego daru, ale tym razem to było coś innego. Fala nieznajomej energii lizała jej skórę, testowała jej granice, jakby szukała drogi do środka.

Księga.

Próbował jej to wyjaśnić – ostrzec ją, gdy wróciła z przyszłości, do której sam ją wysłał. Z przyszłości, która wydawała się bezpieczna. Powiedział: „Ta moc jest teraz we mnie”.

Nie rozumiała. Aż do tej chwili.

Teraz znajome ciepło jego daru przyćmiła potężniejsza magia, moc zaklęta przedtem na kartach Ars Arcana – księgi, którą Złodziejka nosiła ukrytą w fałdach sukni. Księgi, dla której kłamali, walczyli i umierali bliscy jej ludzie. Teraz ta moc oplotła jej nadgarstek, mocna i ciężka jak srebrna bransoleta na ramieniu Esty.

Gdzieś na obrzeżach świadomości Złodziejka usłyszała, tak jej się zdawało, czyjeś szepty.

– Przestań! – rzuciła do niego przez zaciśnięte zęby.

– Staram się – wydusił z siebie.

Spojrzała na jego twarz: malował się na niej ból, ale oczy patrzyły bystro, tęczęwki błyskały kolorami, których nie potrafiła nazwać. Wciągnął powietrze, rozdymając lekko nozdrza od wysiłku, a chwilę później kolory zgasły i jego oczy znów nabrały stalowoszarej barwy. Ciepło wędrujące w górę ramienia cofnęło się, a głosy, które zaczynały ją osaczać, ucichły.

Razem ruszyli przed siebie. Coraz dalej od miasta, ich jedyne domu. Coraz dalej od jej błędów i zmarnowanych szans.

Minęli pierwsze łuki z cegieł i stali. Każdy krok przybliżał ich do możliwego końca. W tak niewielkiej odległości od Krawędzi jej zimna energia przestrzegała każdego posiadacza starej magii, żeby trzymał się z daleka. Złodziejka czuła to, wyczuwała te lodowate macki wynaturzonej mocy próbujące dosięgnąć jej najgłębszej istoty.

Lecz to jej nie zatrzymało.

Zbyt wiele się wydarzyło. Zbyt wiele osób zginęło, a wszystko dlatego, że była naiwna, uwierzyła w krzepiące bujdy. To błąd, którego nie powtórzy. Poznała prawdę o sobie i ta prawda wypaliła wszystkie kłamstwa, długo przez nią akceptowane. Kłamstwa o jej świecie i o niej samej.

Ten płomień wypalił jej rany, uczynił z niej dziewczynę ognia. Dziewczynę popiołu i blizn. Smak, który nosiła w ustach, przypominał jej o zemście. Wzmacniał jej determinację i nie pozwalał się zatrzymać. Po tym wszystkim, co się stało, po wszystkim, czego się dowiedziała, nie miała już nic do stracenia.

Miała mnóstwo do stracenia.

Odpychając od siebie tę ponurą myśl, Złodziejka wzięła głęboki wdech dla uspokojenia i znalazła szczeliny między wiszącymi dookoła sekundami. Kiedyś umiejętność manipulowania czasem nie wydawała jej się niczym nadzwyczajnym. Teraz była mądrzejsza. Czas był kwintesencją istnienia, eterem, spoiwem tego świata. Teraz już wiedziała, jaki to dar czuć, jak dosłownie wszystko – powietrze, światło i sama materia – szarpie się w sieci czasu.

Jak mogła tego wcześniej nie dostrzegać? Teraz to wszystko wydawało się takie oczywiste.

Tramwaj znów ostrzegł ich dzwonkiem. Tym razem bez wahania użyła daru i chwyciła sekundy, spowalniając ich bieg. Świat zamarł, tramwaj przestał dudnić. Z gardła Złodziejki wydarł się stłumiony okrzyk.

– Esta? – spytał zatroskanym głosem magik. – Co się dzieje?

– Nie widzisz? – odparła z nieskrywanym zachwytem.

Naprzeciw niej Krawędź migotała w promieniach zachodzącego słońca; wstęgi energii falowały chaotycznie. Były widzialne. Jakby materialne. Mieniły się wszystkimi znanymi jej kolorami, a nawet takimi, których Złodziejka nie umiała nazwać. Podobnie jak te, które dojrzała w oczach maga, były piękne. I straszne.

– Chodź – odezwała się i poprowadziła go ku barierze. Wiedziała już, którędy przejdą, dojrzała między wijącymi się włóknami energii szpary, które pozwolą im się bezpiecznie przedostać na drugą stronę.

Dłoń magika, zimna i lepka ze strachu, jak imadło zaciskała się na jej dłoni. Byli już w połowie drogi, gdy Złodziejka spostrzegła ciemność. Z początku tylko na obrzeżach pola widzenia, jak mroczki przed oczami od błyskawicy. Z czasem jednak ciemność rozchodziła się coraz szerzej, niczym atrament w wodzie.

Przedtem z łatwością wyłapywała szczeliny między sekundami, a teraz się jej wyślizgiwały, materia czasu rozpuszczała się, jakby pożerana przez tę samą ciemność, która mąciła jej wzrok.

– Biegnij! – rzuciła, czując, że traci kontrolę nad czasem.

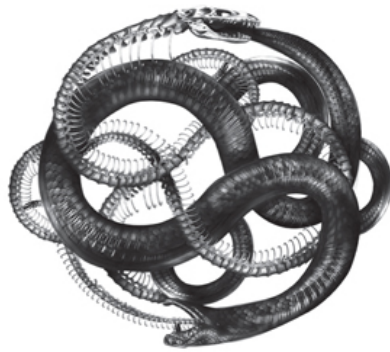
– Co? – Magik spojrział zdziwiony, a w jego oczach także pojawił się wszędobylski mrok.

Złodziejka się potknęła, nogi miała jak z waty. Zimna moc Krawędzi przesuwiała się po jej skórze niczym nóż. Wszystko wokół ciemniało, świat pogrążał się w nicości.

– Biegnij!

CZĘŚĆ

PIERWSZA



BIAŁA KOBIETA

1902 rok – Nowy Jork

Biała kobieta umierała i Cela Johnson w żaden sposób nie mogła temu zaradzić. Marszcząc nos, podeszła do cuchnącego tobołu w kącie. Odór potu, moczu i jakby rozkładu wisiał ciężko w powietrzu. To właśnie rozkład – jego słodka i dojrzała woń – podpowiadał, że kobieta nie dożyje następnego tygodnia, może nawet jutra. Miało się wrażenie, że śmierć już tu przybyła i czeka cierpliwie na swój czas.

Cela wolałaby, żeby się pospieszyła. Następnego dnia wieczorem miał wrócić jej brat Abel. Jeśli zastanie w domu tę kobietę, urządzi Celi piekło.

Była głupia, że zgodziła się przyjąć ją pod swój dach. Inna sprawa, że nie wiedziała, dlaczego spełniła prośbę Harte'a Darrigana. Musiało ją coś opętać. Lubiała tego magika – niewielu ludzi z teatru patrzyło jej w oczy, kiedy do niej mówili – i pewnie była mu coś winna za to, że bez jego wiedzy zrobiła tę suknię w gwiazdy dla Esty. Ale żeby zaraz opiekować się jego matką ćpunką?

Harte zawsze miał w sobie zbyt wiele czaru. Był jak te strasy, które przyczepiała do kostiumów. W oczach widzów jej dzieła skrzyły się, jakby pokryto je drogocennymi klejnotami, ale to jedynie pozory. Owszem, robiła porządne stroje, dobrze odszyte, ale ich bogactwo było zaledwie ułudą. Z bliska bez trudno dało się rozpoznać zwykłe wypolerowane szkło.

Harte też trochę taki był. Sęk w tym, że większość ludzi dawała się nabrać.

Może jednak nie powinna tak źle myśleć o zmarłym. Słyszała, co się stało kilka godzin temu na moście Brooklińskim. Harte wymyślił jakiś głupi

numer, skoczył do wody i przypłacił to życiem. Co oznaczało, że nie dotrzyma danego jej słowa i nie wróci po matkę.

Tyle że... Choć Darrigan sprawiał wrażenie całego na pokaz, pod spodem kryło się coś mocnego i prawdziwego, jak te równe szwy w jej kostiumach. Cela domyślała się tego od początku ich znajomości, a przekonała się na dobre, gdy zjawił się u jej drzwi, tuląc tę cuchnącą kobietę jak najprawdziwszy skarb. Chyba zatem wypadało uszanować prośbę magika i potowarzyć jego matce w ostatnich chwilach życia.

Dwa dni temu kobiety w ogóle nie dało się dobudzić z opiumowego snu. Gdy jednak działanie narkotyku ustało, zaczęły się jęki. Wino z dodatkiem laudanum, które zostawił Harte, wystarczyło na pół dnia. Jej cierpienia trwały znacznie dłużej. Przynajmniej teraz wyglądało na to, że się nie męczy.

Cela westchnęła i uklękła przy niej, starając się nie ubrudzić spódnicy na piwnicznej podłodze. Okazało się, że staruszka jednak nie śpi. Szkliste oczy wpatrywały się w ciemny sufit, klatka piersiowa nierówno się unosiła i opadała. Mokry charkot w płytkim oddechu potwierdzał przypuszczenia Celi. Matka Harte'a umrze tej nocy.

Może Cela powinna mieć z tego powodu wyrzuty sumienia, lecz obiecała przecież Harte'owi jedynie opiekę nad staruszką, a nie ocalenie jej od śmierci. W końcu była krawcową, nie cudotwórczynią. Matce Harte'a – powiedział, że nazywa się Molly O'Doherty – nic już nie mogło pomóc. To było widać gołym okiem.

Co nie zmieniało faktu, że kobieta – niezależnie od tego, jak nisko upadła i jak bardzo cuchnęła – zasługiwała na odrobinę komfortu w ostatnich godzinach życia. Cela wzięła miskę czystej ciepłej wody, którą przyniosła ze sobą do piwnicy, i delikatnie obmyła czoło staruszki, a potem starła zaschniętą ślinę wokół jej ust. Kobieta nawet się nie poruszyła.

Gdy Cela kończyła ją myć, usłyszała kroki na szczycie drewnianych schodów.

– Cela?

Był to jej starszy brat Abel. Nie spodziewała się go tak wcześnie. Pracował jako steward kolejowy na linii New York Central i powinien być dopiero w drodze powrotnej z Chicago.

– To ty, Abe? – zawołała, podnosząc się z podłogi i odgarniając włosy z twarzy. To chyba wilgoć piwnicy sprawiała, że zaczynały jej się skręcać przy skroniach. – Myślałam, że przyjedziesz dopiero jutro.

– Zamieniłem się z kolegą.

Usłyszała, że schodzi na dół.

– Co ty tam robisz?

– Już wychodzę. – Chwyciła słoik brzoskwiń, żeby jakoś usprawiedliwić swoją obecność w piwnicy, i ruszyła prędko na górę, blokując przejście. – Zesłałam po owoce na kolację.

Abe wciąż był w kolejowym uniformie. Oczy miał podkrążone z niewyspania – żeby wrócić wcześniej do domu, musiał pewnie wziąć dwie zmiany jedna po drugiej – lecz uśmiechał się do Celi uśmiechem ich ojca.

Abel Johnson senior był wysokim, żyłastym, mocno zbudowanym człowiekiem, jak przystało na kogoś, kto zarabia na życie pracą własnych rąk. Zginął latem 1900 roku w trakcie rozruchów po aresztowaniu Arthura Harrisa za pchnięcie nożem białego mężczyzny, który okazał się policjantem w cywilu. Ojciec Celi nie miał z tym nic wspólnego, ale padł ofiarą fali nienawiści i przemocy, która ogarnęła miasto w tamte gorące dni.

Cela nieraz miała wrażenie, że głos i śmiech ojca jakby zatarły się w jej pamięci. Na szczęście Abe codziennie nosił na twarzy jego uśmiech.

Podobieństwo między nim a ojcem niezmiennie ją uderzało. Słuszny wzrost, budowa ciała, wysokie czoło i wydatna szczęka. Przedwczesne zmarszczki od trosk i zmęczenia długimi godzinami pracy na kolei. Co nie znaczy, że Abel był wierną kopią swojego imiennika. Głębokie oczy w ciepłym kasztanowym odcieniu z domieszką złota, czerwonawa karnacja – te cechy odziedziczył po matce. Cela miała wyraźnie ciemniejszą cerę, brązową i lśniącą jak u ojca.

Abel rozjaśnił się na wzmiankę o jedzeniu.

– Szykujesz dla mnie coś dobrego?

Cela zmarszczyła brwi. Ponieważ była zajęta opieką nad staruszką, nie zdążyła zrobić zakupów i mogła mu zaproponować tylko owoce, które trzymała w dłoni.

– Przecież wiesz, że spodziewałam się ciebie dopiero jutro wieczorem. Będziesz musiał zadowolić się owsianką z brzoskwiniami, bo właśnie to zamierzałam zrobić dla siebie.

Mina mu zrzedła i przez moment wyglądał tak żałośnie, że chciało jej się śmiać. Podkasła spódnicę i pokonała jeszcze kilka stopni.

– Och, nie rób takiej mi... – Nie dokończyła jednak, gdyż przerwał jej cichy jęk dobiegający z mroku piwnicy.

Abe znieruchomiał.

– Słyszałaś to?

– Co? – spytała Cela, przeklinając w duchu i siebie, i staruszkę. – Ja nic nie słyszałam. – Zrobiła kolejny krok w jego stronę, lecz głupia starucha znów jęknęła.

Abel zmarszczył brwi. Cela znów udała, że nic nie słyszy.

– To stary dom, sam wiesz... Pewnie jakiś szczur...

Abel ruszył po schodach na dół.

– Szczury nie wydają takich odgłosów.

– Abe – zaczęła, lecz brat wyjął jej lampę z ręki i już się przeciskał obok. Zamknęła oczy i czekała na nieunikniony wybuch złości, a gdy wreszcie nastąpił, dała sobie – i Ablowi – chwilę, zanim wróciła na dół.

– Wy tłumaczysz mi, co tu się dzieje, do cholery? – spytał Abel, kucając nad kobietą w kącie piwnicy. Granatowy uniform napinał mu się na plecach. Nos wetknął do koszuli. Trudno było się dziwić: staruszka cuchnęła.

– Nie musisz sobie tym zaprzętać głowy – rzekła Cela, krzyżując ramiona.

Może i głupio zrobiła, zgadzając się spełnić prośbę magika, lecz to była jej suwerenna decyzja. Abe sądził, że musi jej zastępować ojca, jakby wciąż była dzieckiem. Nie potrzebowała zgody starszego brata w każdej najdrobniejszej sprawie, tym bardziej że przez pięć dni w tygodniu przebywał poza domem.

– Nie muszę sobie zaprzętać głowy? – spytał Abe z niedowierzaniem w głosie. – W mojej piwnicy leży nieprzytomna biała kobieta i nie muszę sobie tym zaprzętać głowy?! W coś ty się znowu wpakowała?

– To nasza piwnica – powiedziała z naciskiem Cela. Odziedziczyli ją oboje po rodzicach. – I w nic się nie wpakowałam. To tylko przyjacielska przysługa – oświadczyła z wysoko uniesionym czołem.

– Ta kobieta jest twoją przyjaciółką? – Po twarzy Abła przemknął grymas niedowierzania.

– Nie, obiecałam znajomemu, że się nią zaopiekuję, dopóki nie... – Ale nie odważyła się wypowiedzieć imienia śmierci, gdy ta była z nimi w jednym pomieszczeniu. – Nie zostało jej wiele czasu.

– To nic nie zmienia. Wiesz, co może się z nami stać, gdy ktoś się dowie, że ona tu była? Jak zamierzasz wyjaśnić to, że w naszej piwnicy umarła biała kobieta? Możemy stracić dom. Możemy stracić wszystko.

– Nikt nie wie, że ona tu jest – odparła uspokajająco Cela, choć sama czuła nerwowy ucisk w dołku. Dlaczego w ogóle na to poszła? Najchętniej cofnęłaby się w czasie i wybiła sobie z głowy ten głupi pomysł. – Klucze do piwnicy mamy tylko my dwoje. Nikt z lokatorów nic o tym nie wie. I tak zostanie. Ona długo nie pożyje. Jutro rano będzie już martwa i nie będziesz musiał zaprzętać sobie nią głowy. W ogóle miało cię tu nie być – dodała, jakby to cokolwiek zmieniało.

– Czyli postanowiłaś działać za moimi plecami?

– To także mój dom – odparła Cela, prostując ramiona. – Poza tym nie jestem skończoną idiotką. Dostałam coś w zamian za fatygę.

– Dostałaś coś w zamian – powtórzył nonszalancko Abe.

Powiedziała mu o pierścieniu, który zaszyła w spódnicy. Pierścieniu z ogromnym kamieniem, już na oko wartym fortunę.

Abel kręcił głową.

– I co, może teraz pójdziesz do jakiegoś jubilera na East Side i tak po prostu go sprzedasz, hm?

Cela poczuła skurcz w żołądku. Abel miał rację. Jak mogła o tym nie pomyśleć? Nie da się sprzedać takiego pierścienia, nie wzbudzając podejrzeń. Tymczasem jednak postanowiła iść w zaparte.

– To zabezpieczenie, nic więcej.

– Naszym zabezpieczeniem jest ten budynek – odparł Abel, unosząc wzrok, jakby umiał wejrzeć przez sufit na parter, gdzie znajdowało się ich mieszkanie, na piętro wynajmowane przez rodzinę Brownów i na strych z szeregiem wąskich łóżek, gdzie w zimie urządzali tanią noclegownię. – Rodzice nas zabezpieczyli, zostawiając nam tę kamienicę.

Nie mogła odmówić mu słuszności. Ojciec kupił dom za ciężko zarobione pieniądze. Mieszkali na swoim i nie musieli się martwić, że ktoś wyrzuci ich na bruk albo podwyższy czynsz z powodu koloru ich skóry. Ten dom był świadectwem dobrego wyboru, jakiego dokonała matka, wychodząc za ojca, niezależnie od zapatrywań swojej rodziny.

Kobieta znów jęknęła i zarzęziła, jakby śmierć już wysysała powietrze z jej piersi. Było w tym dźwięku coś tak rozpaczliwego, że Cela mimo woli kucnęła przy niej.

– Cela, czy ty w ogóle słyszysz, co do ciebie mówię? – spytał Abel.

Choć wydawało się to niemożliwe, skóra staruszki pobladła jeszcze bardziej. Mętne oczy patrzyły martwo. Cela nieśmiało wyciągnęła rękę i ujęła kobietę za chłodną dłoń. Palce pod paznokciami już siniąły.

– Ona umiera, Abe. Jej czas nadchodzi. Może popełniłam błąd, chowając ją tutaj, ale nie zostawię jej teraz samej. – Cela spojrzała na brata. – A ty?

Dał wyraz swojej frustracji, krzywiąc twarz, lecz po chwili zamknął oczy i wzruszył ramionami.

– Nie, króliku – odrzekł cicho, posługując się jej dziecięcym przezwiskiem. – Masz rację. – Otworzył oczy. – Jak myślisz, ile jej zostało?

Cela spojrzała na kruchą postać i zmarszczyła czoło. Nie wiedziała dokładnie. Pięć lat temu, kiedy matka umierała na gruźlicę, dziewczyna miała dopiero dwanaście lat. Ojciec do ostatnich chwil trzymał ją z dala od pokoju chorej. Zawsze starał się wszystkich chronić.

– Nie słyszysz rżenia? Zostały jej godziny... może minuty. Nie wiem.

Ale na pewno niewiele. Bo to rżenie było jedyną rzeczą zapamiętaną z dnia, w którym patrzyła, jak odchodzi jej matka. Ciche i płytkie rżenie, które nie miało w sobie nic z pogody ducha mamy, z jej wesołego śmiechu.

– Umrze jeszcze tej nocy – dodała.

Razem czekali w milczeniu, aż pierś kobiety przestanie się unosić.

– Co zrobimy, jak już umrze? – spytał Abel po dłuższym czasie. – Raczej nikogo nie wezwiemy.

– Wyniesiemy ją po ciemku i zaniesiemy do Świętego Jana przy Christopher Street – odparła Cela. – Tam się nią zajmą.

Sama nie wiedziała, skąd się wziął ten impuls, ale wypowiadając te słowa, nie miała najmniejszych wątpliwości, że tak trzeba zrobić.

Abel pokręcił głową, lecz nie dyskutował. Widać było, że próbuje wymyślić coś lepszego, gdy nagle na górze rozległo się głośne walenie.

Ich oczy spotkały się w migotliwym blasku lampy. Było już grubo po dziesiątej, to nie pora odwiedzin.

– Ktoś tam jest – powiedział Abel, jakby to nie było dla niej oczywiste.

Podzielała jednak niepokój pobrzmiewający w jego głosie.

– Może tylko szuka noclegu – zasugerowała.

– W taką pogodę? Nie sądzę – rzekł prawie do siebie, patrząc w sufit.

Walenie rozległo się znowu, jeszcze bardziej niecierpliwe niż za pierwszym razem.

– Przeczekajmy – zaproponowała Cela. – W końcu sobie pójdzie.

Abel jednak pokręcił głową. Oczy miał zmrużone.

– Ty tu poczekaj, a ja zobaczę, kto to jest i czego chce.

– Abel...

Nigdy mnie nie słucha, pomyślała, kiedy zniknął w mroku schodów prowadzących do mieszkania. Przynajmniej zostawił jej lampę.

Czekała wsłuchana w odgłosy jego kroków nad stropem piwnicy. Walenie ustało i wyłowiała ściszone męskie głosy, które jednak szybko się podniosły.

Zrozumiawszy, że doszło do sprzeczki, Cela zerwała się na równe nogi. Nie zdążyła jednak zrobić nawet kroku, gdy wieczorną ciszę rozdarł huk wystrzału, a potem głuchy odgłos upadającego ciała, od którego dziewczynie zamarło serce.

Nie.

Na górze słyhać było teraz więcej kroków. Ciężkie dudnienie ciężkich butów. W ich domu byli jacyś ludzie.

W jej domu.

Abel...

Ruszyła w stronę schodów, by jak najszybciej odnaleźć brata, lecz coś w niej zaskoczyło, jakiś pierwotny instynkt, którego nie rozumiała i któremu nie potrafiła się sprzeciwić. To było tak, jakby nagle wrosła w ziemię.

Musiała dostać się do brata i jednocześnie nie mogła się ruszyć z miejsca.

W gazetach pełno było doniesień o patrolach przeczesujących miasto, plądrujących domy i podkładających ogień. Pożary ograniczały się do dzielnicy imigranckiej w pobliżu Bowery. Kwartały na zachód od Greenwich Village, a więc i dom kupiony przez ich ojca, dotychczas były bezpieczne. Lecz Cela dobrze wiedziała, jak szybko wszystko może się zmienić – i że wczorajszy spokój dziś znaczy tyle co nic.

W jej domu byli jacyś ludzie.

Słyszała ich głosy, czuła drgania podłogi, gdy rozchodzili się po mieszkaniu. Przyszli nas okraść? Szukają czegoś?

Abel.

Nieważne, po co przyszli, ważne, czy jej brat jest cały. Chciała pójść sprawdzić, lecz jej wola jakby się od niej uniezależniła.

Nie wiedząc, dlaczego to robi ani co ją do tego popycha, odwróciła się od schodów prowadzących do domu, który jej rodzice kupili dziesięć lat wcześniej za ciężko zarobione pieniądze, i podeszła do białej kobiety, teraz już niewątpliwie martwej. Opuszkami palców zamknęła jej powieki i odmówiła krótką modlitwę za jej duszę – i za swoją – po czym wspięła się po pochylni do zsypu na węgiel.

Otworzyła drzwiczki i wydostała się na świeże wieczorne powietrze. Nogi same ją niosły, nie zdążyła się zatrzymać ani nawet pomyśleć o Ablu, o tym wszystkim, o czym powinna teraz myśleć. Nie zdołałaby się zatrzymać, nawet gdyby próbowała, toteż gdy płomienie zaczęły lizać okna jedyne domu, jaki kiedykolwiek miała, była już daleko.

BOWERY W OGNIU

1902 rok – Nowy Jork

Gdy Jianyu Lee wrócił z mostu Brooklińskiego do Bowery, jego umysł płonął żądzą mordy. Jak na ironię, chciał w ten sposób pomścić człowieka, który swego czasu wy dostał go ze świata przemocy. Dolph Saunders byłby pewnie rozbawiony takim obrotem sprawy. Ale Dolph nie żył. Szef Stu Diabłów i jedyny sāi yàn, który ani razu nie spojrział na Jianyu z podejrzliwością, widzianą w tyłu oczach – zabity strzałem w plecy przez jednego ze swoich, przez człowieka, któremu ufał. Któremu oni wszyscy ufali.

Przez Nibsy’ego Lorcana.

Jianyu nie dbał o to, czy Esta i Harte zdołali się przedrzeć przez Krawędź, tak jak to planowali. Jeśli szalony pomysł przedostania się przez niszczycielską barierę wypalił, raczej nigdy już tu nie wróca. Bo i po co, skoro po drugiej stronie znaleźli wolność? Gdyby on miał jakieś szanse na ucieczkę z tego miasta więzienia, nie wahałby się ani chwili. Odpłynąłby pierwszym statkiem na Wschód, do swojego domu, którego nie powinien był w ogóle opuszczać.

Znów zobaczyłby kraj, który go zrodził.

Odetchnąłby czystym powietrzem rodzinnej wioski i zapomniał o swoich ambicjach.

Kiedyś był taki młody. Taki niewinny w swej upartej wierze. Po śmierci rodziców wychowywał go starszy o prawie dekadę brat Siu-Kao, którego piękna żona była chytra jak lis. Wyszła za mąż po części dla ziemi, a po części dla magii płynącej w żyłach ich rodziny. Gdy jednak ich pierwsze dziecko urodziło się bez daru, zaczęła dawać do zrozumienia, że Jianyu nie

jest dłużej mile widziany w jej domu. Jako nastolatek był już tak sfrustrowany swoją pozycją w nowej rodzinie, tak spragniony niezależnego życia, że postanowił się wyprowadzić.

Teraz rozumiał, że młodość zaciemniła mu obraz rzeczywistości, a magia uczyniła go zbyt lekkomyślnym. Dał się wciągnąć do szajki wędrownych bandytów, jakich wiele w najuboższych wioskach Gwóng-dūng. Przez pewien czas cieszył się wolnością – wyswobodził się spod kontroli starszego brata i kroczył przez życie własną drogą. Jednak zabawił zbyt długo w jednym miejscu – w malutkiej osadzie niedaleko brzegów Zyū Gōng – i zapomniał, że magia nie stanowi panaceum na głupotę. Miał zaledwie trzynaście lat, gdy przyłapano go na włamaniu do domu lokalnego kupca.

Potem już nie mógł wrócić i spojrzeć bratu w oczy.

Uznał, że pozostało mu tylko wyjechać z kraju i zacząć od zera.

Nie wiedział wtedy, że są miejsca na świecie, gdzie magia jest uwięziona. Teraz rozumiał to aż nazbyt dobrze. Jako chłopak nie zdawał sobie sprawy, że lojalność wobec rodziny ma swoje plusy, że daje bezpieczeństwo i margines wolności.

Później myślał, że gdy nadarzy się okazja, wróci skruszony i będzie żył według rodzinnych nakazów, przed którymi swego czasu uciekł. Nie popełni drugi raz tych samych błędów.

W jakim innym celu służyłby wiernie Dolphowi Saundersowi, jeśli nie po to, by doczekać upadku Krawędzi? Dlaczego wciąż nosił warkocz, którego tak wielu się pozbyło, jeśli nie w nadziei, że kiedyś znajdzie sposób na powrót do rodzinnego kraju? Pewnie, że łatwiej byłoby ściąć te długie włosy, które przyciągały tyle ciekawskich i podejrzliwych spojrzeń. Wielu jego krajanów tak właśnie postąpiło. Ale gdyby to zrobił, przyznałby się przed sobą, że nigdy tam nie wróci.

Inna sprawa, że powrót i tak nie miałby sensu w obliczu niebezpieczeństwa, o którym mówiła Esta. Jeśli Nibszy Lorcan wejdzie w posiadanie Ars Arcana, księgi będącej ni mniej, ni więcej, tylko źródłem magii, albo jeśli zdobędzie wszystkie pięć artefaktów Zakonu – prastarych

kamieni, za pomocą których Ortus Aurea stworzył Krawędź i utrwał swoje panowanie – wówczas chłopaka nie da się zatrzymać. Nikt w żadnym kraju – ani Magini, ani Osobni – nie będzie bezpieczny. Nibsy podporządkuje sobie Osobnych, wykorzystując do tego celu kontrolę nad Maginami.

Jianyu uważał za swój obowiązek zapobiec realizacji tego scenariusza. Skoro nie może wrócić do ojczystego kraju, przynajmniej uchroni go przed Nibsym Lorcanem i jemu podobnymi.

Darrigan pozostawił mu bardzo konkretne instrukcje: Jianyu miał chronić pierwszy z artefaktów Zakonu i kobietę będącą w jego posiadaniu. Czasu było jednak niewiele. Wkrótce przybędzie chłopak, przed którym ostrzegała ich Esta – chłopak z talentem do odnajdywania zagubionych przedmiotów i z wiedzą o przyszłości. Lojalny współpracownik Nibsy'ego. Nie można pozwolić, żeby ten chłopak dotarł do Nibsba, przynajmniej dopóki gdzieś w mieście znajduje się jeden z kamieni Zakonu.

Jianyu wolał zaryzykować śmierć na obcej ziemi i pogrzeb z dala od przodków, niż pogodzić się z wygraną Nibsy'ego. Znajdzie artefakt i powstrzyma tego Logana. A potem zabije Nibsba i pomści zamordowanego przyjaciela. Lub umrze, próbując.

Gdy tak szedł przez Bowery w kierunku South Village, w powietrzu unosił się ciężki zapach popiołu i sadzy. Od tygodnia – odkąd ekipa Dolpha Saundersa wykradła Zakonowi jego najpotężniejsze artefakty, a Khafre Hall doszczętnie spłonęło – dużą część Lower East Side spowijał dym. W odwecie za kradzież dokonywano podpaień, w najuboższych kwartałach miasta jeden po drugim wybuchały pożary. Zakon wysyłał światu czytelny sygnał.

U zbiegu Hester Street z szerokim bulwarem Bowery Jianyu minął czarne zgliszczą kamienicy. Chodnik był zawalony spalonymi pozostałościami po lokatorach. Jeszcze niedawno mieszkali tutaj Magini, ludzie będący pod opieką Dolpha. Jianyu zastanawiał się, gdzie teraz są i kto będzie ich chronił po śmierci Saundersa.

W pewnej chwili spostrzegł gromadkę cieni przyczajonych za kręgiem światła latarni po drugiej stronie ulicy. Ludzie Paula Kelly'ego. Wszyscy byli Osobnymi, a więc nie musieli obawiać się Zakonu.

Dawniej członkowie gangu z Five Points nie odważyliby się przekroczyć Elizabeth Street ani zbliżyć do Bella Stregi, baru Dolpha, na odległość czterech przecznic. Teraz panoszyli się po jego rewirze, nie kryjąc, że chcą go przejąć.

Można się było tego spodziewać. Na wieść o śmierci Dolpha również pozostałe gangi zaczną wkrótce zagarniać fragmenty terytorium Stu Diabłów. Widok ludzi Kelly'ego wcale Jianyu nie dziwił, tak jak nie dziwiłby go widok członków gangu Eastmana czy dowolnego innego. Tom Lee, przywódca najpotężniejszego tongu z Chinatown, też pewnie spróbuje coś uszczknąć.

Ale gang z Five Points to osobna historia. Ci ludzie byli groźniejsi. Bezwzględni.

Jako stosunkowo nowi w Bowery walczyli, jakby mieli coś do udowodnienia. Jednak w odróżnieniu od innych gangów chłopcy Kelly'ego zdołali sobie zapewnić protekcję miejskich włodarzy. Rok temu wybrano do rady miasta ich marionetkę i od tego czasu policja przymykała oko na ich przestępstwa.

Ta zмова nigdy nie przynosiła niczego dobrego, ale w dniach poprzedzających śmierć Dolpha gangsterzy z Five Points wyjątkowo się rozzuchwalili. Był to nieomylny znak, że coś się święci. Wszyscy w Stredze wiedzieli, że w Bowery narasta niepokój, lecz odczytali ten sygnał zbyt późno.

Teraz Jianyu na wszelki wypadek użył swojego daru i otworzył wiązki światła rzucanego przez uliczne latarnie. Owinął się nimi jak płaszczem, żeby przejść niezauważony obok chłopców Kelly'ego. Niewidzialny dla ich drapieżnych spojrzeń, mógł się trochę odprężyć; własna magia była dla niego jedyną stałą w tych niespokojnych czasach. Zaraz jednak przyspieszył kroku.

Kilka przecznic dalej ukazała mu się znajoma złotooka wiedźma z szyldu Stregi. Przeciętnemu przechodniowi szukającemu schronienia przed chłodem wieczoru albo szklanki czegoś mocniejszego, co uśmierzy ból życia na marginesie, tutejsi bywalcy mogli się wydawać tacy sami jak klientela innych barów i piwiarni rozsianych po całym mieście. Legalne czy nie, były to miejsca, gdzie ubodzy mieszkańcy mogli uciec od trudów i rozczarowań codziennej egzystencji. Lecz Strega była inna.

Przynajmniej do niedawna.

W jej murach zbierali się bez obaw – nie musząc kryć, kim są naprawdę – wszelcy Magini, a to dlatego, że Dolph Saunders nie akceptował uprzedzeń zrodzonych ze strachu i niewiedzy, odrzucał tradycyjne podziały między mieszkańcami Bowery. Strega była oazą gościnności – i bezpieczeństwa – w mieście niebezpiecznym nawet dla kogoś takiego jak Jianyu. Co wieczór sala barowa wypełniała się mieszaniną języków i ludzi połączonych starą magią, która płynęła w ich żyłach.

Tak było, zanim pojedyncza kula posłała Dolpha do zimnego grobu, przypomniał sobie Jianyu, przechodząc pod czujnym spojrzeniem wiedźmy. Teraz Stoma Diablami kierował Nibsy Lorcan, a to oznaczało, że nikt, a zwłaszcza Jianyu, nie mógł czuć się tam bezpiecznie.

Według Esty Nibsy miał niezwykłą zdolność dostrzegania związków między wydarzeniami i przewidywania wypadków. Ponieważ Jianyu zamierzał pozbawić go władzy – i życia – nie mógł ryzykować powrotu do Stregi.

A jednak przecież Nibsy nie przewidział, że Dolph zmieni plany skoku na Khafre Hall ani że Jianyu, jak to się stało przed kilkoma godzinami, pomoże Harte'owi Darriganowi upozorować jego śmierć. Może ten chłopak był tak naprawdę mniej groźny, niż sądziła Esta, a może po prostu jego moc miała swoje granice, jak każdy magiczny dar. Załatwienie Nibsy'ego mogło się okazać trudne, ale na pewno nie było niemożliwe. Tym bardziej że Viola potrafiła zabić człowieka, nawet się do niego nie zbliżając.

Ale to będzie musiało jeszcze poczekać. Na razie Jianyu chciał odnaleźć Violę i wszystko jej opowiedzieć. Pewnie wciąż myślała, że nie było go na moście i że Harte Darrigan ich zdradził.

Strega została z tyłu. Jianyu mógłby złapać tramwaj albo kolejkę, lecz wolał się przejść i obmyślić plan działania. Zdobycie zaufania Celi będzie wymagało pewnej zręczności, bo zjawi się u niej nieproszony, a niewielu mieszkańców tego miasta ufa ludziom z jego kraju. Ochrona dziewczyny i kamienia może się okazać jeszcze trudniejsza, zważywszy, że Cela Johnson jest Osobną i nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia związanego z pierścieniem. Lecz Jianyu dał słowo Darriganowi. Rozumiał zresztą, jak wiele zależy od powodzenia jego misji. Nie zawiedzie.

W South Village wyczuł dym. Im bardziej zbliżał się do Minetta Lane, przy której mieszkała panna Johnson, tym swąd był silniejszy, wypełniał mu nozdrza i przyprawiał żołądek o nerwowe skurcze.

Jeszcze zanim ujrzał płonący budynek, domyślił się, że będzie to dom Celi Johnson. Płomienie lizwały framugi okien, cała budowla jaśniała szalejącym wewnątrz ogniem. Nawet po drugiej stronie ulicy czuło się żar i Jianyu zrobiło się gorąco w wełnianym płaszczu.

Mieszkańcy tkwili nieopodal i patrzyli, jak pożar trawi ich dom. Zbici w ciasną gromadę, starali się bronić skromnego dobytku, który udało im się wynieść. Obok stał wóz strażacki. Konie grzebały kopytami, zaniepokojone migotliwym blaskiem pożaru i zbierającym się wokół tłumem. Lecz strażacy nie robili nic.

Jak zwykle.

Jianyu wiedział, że ich bezczynność jest rozmyślna. W straży pożarnej służyli głównie Irlandczycy, jednak urodzeni już na tej ziemi, z dala od głodu, który przywiódł ich rodziców do tego kraju; uważali się tym samym za rodowitych nowojorczyków. Patrzyli z odrazą na kolejne fale imigrantów ze wschodu i południa, na każdego, kto był choć trochę ciemniejszy niż oni, bez względu na to, od ilu pokoleń jego rodzina przebywała na tej ziemi. Gdy płonęły domy takich ludzi, strażacy często działali opieszale, unikając ryzyka. Nieraz, gdy było im to na rękę, zupełnie ignorowali pożar.

Zapytani odpowiadali, że nie da się już nic zrobić. Płaczący i załamujący ręce ludzie słyszeli od nich, że ogień strawił już dużą część budynku i niebezpiecznie byłoby do niego wejść, a gdy walka jest z góry przegrana, nie warto poświęcać życia.

Niezależnie od zawartości prawdy w tych słowach, efekt był zawsze taki sam. Strażacy stali oparci o swój wóz, z rękoma założonymi na ciemnych mundurach z rzędami mosiężnych guzików. Lśniące hełmy odbijały blask pożaru, a blade twarze o długich, wąskich nosach patrzyły, jak budynek obraca się w popiół. Działo się to już niezliczoną ilość razy i Jianyu nie miał żadnych wątpliwości, że wydarzy się znowu.

Wciąż osłonięty mocą swojej magii, zbliżył się powoli do gromadki mieszkańców, nasłuchując, czy nie ma wśród nich osoby imieniem Cela. Jianyu przez lata był oczami i uszami Dolpha Saundersa w Bowery. I to nie tylko dlatego, że dzięki swojemu darowi mógł pozostać niezauważony. Miał też inny talent: rozumiał ludzi i potrafił wyczytać z nich rzeczy, których nie mówili na głos. Nauczył się tego, podróżując przez Gwóng-dūng, zanim go złapano. Chciał zacząć od nowa, skończyć z tamtym dawnym życiem, ale ponieważ uwierzył w to, że uda się zniszczyć Krawędź, zgodził się służyć Dolphowi swoimi umiejętnościami, ostrzegać go przed niebezpieczeństwem i wyszukiwać tych potrzebujących pomocy, którzy nie wiedzieli, do kogo się po nią zwrócić.

Teraz też korzystał z tej umiejętności: słuchał rozmowy ludzi, którzy zebrali się, by pocieszyć rodzinę pozbawioną dachu nad głową.

- ...uciekła, jakby ją diabeł gonił...
- Mała Cela?
- Mhm.
- Nie...
- Chyba nie myślisz, że to jej robota?
- A została, żeby pomóc Brownom z góry? Nawet ich nie ostrzegła.
- Zawsze wydawała mi się trochę dziwna... I deczko zarozumiała.

– Dajcie spokój. Nie można tak ludzi oczerniać. To była dobra dziewczucha. Pracowita. Nie spaliłaby własnego domu.

– Abła chyba nie było?

– Nie jestem pewna...

– Bratu na pewno krzywdy by nie zrobiła. Mówcie o niej, co chcecie, ale była oczkiem w jego głowie.

– Różnie bywa. Czasem suka gryzie rękę, która ją karmi. To był duży dom. Mogłaby go sprzedać i wyjechać, gdzie jej się zamarzy.

– Abel by się na to nie zgodził.

– No więc właśnie... Ale mieli ubezpieczenie od pożaru, jak wszyscy.

– Carl Brown mówił, że słyszał strzał...

Jianyu odwrócił się od gorzkiej zazdrości, która kapała z ich słów jak trucizna. Jedyne, co wiedzieli, to że Celi nie było w domu.

Strzał, pożar. Teoretycznie mogła to być sprawka dziewczyny, ale sądząc po beczynności strażaków, ktoś inny maczał w tym palce. Podobne rzeczy działy się przecież w wielu częściach miasta. To była robota w stylu Zakonu.

A to oznaczało, że ktoś prawdopodobnie zaczął się domyślać, gdzie może być artefakt. Dopóki Cela była sama, gdzieś w mieście, dopóty groziło jej niebezpieczeństwo.

Im wszystkim.

PRAWDA O WŁADZY

1902 rok – Nowy Jork

James Lorcan siedział przy stole w Bella Stredze i wyginając postawiony na czubku sztylet, rozglądał się po sali. Sztylet należał kiedyś do Violi, ale po tym, jak wbiła mu go w udo, uznał, że może go potraktować jako prezent. Patrzył, jak światło odbija się w śmiercionośnym ostrzu – w ostrzu zdolnym przeciąć każdy materiał – i rozmyślał o tym, co się stało.

Nie siedział już z boku, jak za życia Dolpha Saundersa, lecz u szczytu stołu – na miejscu zarezerwowanym dla szefa Stu Diabłów, miejscu, które od początku mu się należało – podczas gdy Saunders zajmował kawałek ziemi na pobliskim cmentarzu, tam gdzie jego miejsce. Lecz Jamesowi wciąż było mało. O wiele za mało.

Obok przy stole siedzieli Mooch i Werner – dwóch zbirów z Bowery, którzy swego czasu dali się Saundersowi wytatuować i przysięgli wierność Stu Diabłom. Teraz, podobnie jak reszta gangu Dolpha, uznawali przywództwo Jamesa. Z paroma innymi chłopakami grali właśnie w karty. Sądząc po wibracjach eteru, któryś z nich – pewnie Mooch – blefował. Reszta zdawała się to wyczuwać i celowo podbijała stawkę.

Nie zaprosili Jamesa do gry, bo i tak by odmówił. Nigdy nie przepadał za grami – w każdym razie nie za takimi. Na przykład szachy. Prostym ludziom wydawało się, że to trudna gra, podczas gdy w istocie była do bólu przewidywalna. Każda figura na planszy miała konkretne ograniczenia, każdy ruch gracza dawał jedynie zamkniętą liczbę możliwości. Wystarczyło mieć odrobinę rozumu, by dzięki pewnym machinacjom zapewnić sobie zwycięstwo. Bułka z masłem.

O wiele ciekawszą grą było samo życie. Tu gracze byli bardziej zróżnicowani, a reguły nieustannie się zmieniały. A trudności wynikające z tej zmienności? One czyniły zwycięstwo jeszcze słodszy. Bo James Lorcan koniec końców zawsze zwyciężał. A to dlatego, że ludzie nie byli nie wiadomo jak skomplikowanymi istotami. Nie musiał nawet używać swojego daru, by zrozumieć, że tak naprawdę nie różnili się bardzo od zwierząt kierowanych głodem i strachem.

Łatwo dających się zwabić w pułapkę.

Przewidywalnych.

Nie, James nie potrzebował swojego daru, by zrozumieć ludzką naturę, lecz dar był niewątpliwie pomocny. Wyostrzał i pogłębiał jego percepcję, dzięki czemu Lorcan zyskiwał przewagę nad innymi graczami.

Nie żeby potrafił dosłownie wejrzeć w przyszłość – nie był wróżbitą. Po prostu za sprawą daru dostrzegał możliwe scenariusze i warianty z przenikliwością, o jakiej większość ludzi nawet nie śniła. W końcu świat i wszystko, co się nań składało, było połączone eterem, tak jak słowa łączą się na kartach ksiąg. Tak jak w wypadku tworzonych zdań czy struktury opowieści, również w życiu wszystko działało się według schematów, a dar Lorcana ułatwiał mu ich odczytywanie. Przede wszystkim jednak inteligencja pozwalała mu poprawiać schematy. Wystarczyło zmienić jedno słowo, by zdanie od razu nabierało innego znaczenia. Wykreślić jedno zdanie – i już pojawiał się nowy sens. Pisało się nowe zakończenie.

Jeszcze wczoraj przyszłość, którą sobie nakreślił, była w zasięgu ręki. Dysponując mocą Księgi, mógłby doprowadzić do odrodzenia magii, wskazać takim jak on, do czego naprawdę są przeznaczeni – nie do korzenia się przed Osobnymi, lecz do panowania nad nimi. Do zniszczenia tych, którzy próbowali wykraść ich moc, aby za jej pomocą podporządkować sobie świat. To właśnie on miał poprowadzić Maginów ku nowej erze.

Niestety, Księga przepadła. Spodziewał się, że Darrigan stawi pewien opór, a nawet że spróbuje ucieczki, lecz nie sądził, że będzie gotów umrzeć.

Nie przewidział też, jaką rolę odegra Esta, choć przecież powinien był się domyślić. Od początku miała w sobie coś tajemniczego, a jej połączenie z eterem było chwiejne i niestabilne. Koniec końców pomylił się co do niej. Koniec końców okazała się równie słaba i bezwartościowa jak reszta owiec podążających za Dolphem Saundersem.

Bez Księgi to konkretne marzenie mogło się już nigdy nie ziścić, lecz James Lorcan nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Dopóki przyszłość kryła nowe możliwości dla tych, którzy potrafili je dostrzec, gra toczyła się dalej. Może nie zapanuje nad magią, jak mu się kiedyś marzyło. Może ostatecznie magia zniknie z powierzchni ziemi, ale było przecież tyle innych dróg do wygranej... Tyle innych sposobów, by wyrównać rachunki z ludźmi, którzy pozbawili go rodziny i przyszłości. Tyle innych szans, by nad nimi zatriumfować.

Potęga nie zawsze wynikała z jawnej siły. Dość przypomnieć, jak skończył jego własny ojciec, który domagał się jedynie sprawiedliwości dla siebie i takich jak on robotników: bezpiecznych warunków, godziwej zapłaty. Gdy wyrósł na przywódcę, zmiażdżono go. Spalono im dom, a James stracił rodzinę. Taki jest zwykle los przywódcy.

Przywódca wystawia się na cel.

James nie zamierzał podzielić losu Dolpha i dlatego, swoim zwyczajem, postanowił uzbroić się w cierpliwość. Niech głępsi od niego skaczą po planszy, niech się nawzajem zbijają, on będzie się temu przyglądał z boku. Wystarczy tu coś szepnąć, tam pociągnąć za sznurek i zaraz hersztowie z Bowery zaczną się nawzajem niszczyć w pogoni za rzuconymi im przez Zakon ochłapami. Będą zbyt zajęci sobą, by zwrócić uwagę na Jamesa. A dzięki temu on skoncentruje się na ważniejszych rzeczach.

Nie, z pewnością nie był wróżbitą, lecz widział już przyszłość majaczącą na horyzoncie. Bez Księgi magia zniknie, a Krawędź stanie się ledwie ciekawostką, reliktem poprzedniej epoki. Jaką moc będzie miał wtedy Zakon, w dodatku pozbawiony swojego najcenniejszego skarbu?

Zakon osłabnie, tymczasem James zacznie ustawiać swoje pionki, szykować się, by przemówić do niego językiem zrozumiałym dla członków

Ortus Aurea – językiem pieniądza. Językiem wpływów politycznych. Bo wiedział, że bez Księgi zwyciężą nie ludzie tacy jak Dolph Saunders, walczący o utraconą przeszłość, ale ci, którzy odważnie wyjdą naprzeciw niebezpiecznej przyszłości. Ludzie tacy jak Paul Kelly, którzy dawno już nauczyli się używać polityków jako narzędzi. I tacy jak on sam, James Lorcan, rozumiejący, że władza – prawdziwa władza – należy nie do rządzących żelazną ręką, lecz do tych, którzy delikatnie pociągają za sznurki. Prawdziwa władza to zdolność do narzucania swojej woli innym w taki sposób, aby myśleli, że realizują własne pomysły.

Może trzeba zapomnieć o Księdze. Może nie uda się uratować magii, lecz gra wcale się nie zakończyła. Nie trzeba wiele, żeby tak wszystkich skłócić, by stracili z oczu prawdziwe zagrożenie. A gdy nadejdzie odpowiednia pora, James Lorcan wykorzysta swoją tajną broń, której istnienia Dolph Saunders w ogóle nie podejrzewał: dziewczynę. To ona przypieczętuje klęskę Zakonu – i ostateczne zwycięstwo Jamesa Lorcana.

KRYJÓWKA

1902 rok – Nowy Jork

Wsiadając późnym wieczorem do tramwaju, Cella szczelniej owinęła głowę chustą, by ukryć twarz. Musiała tłumić wzbierający w gardle szloch. Wspomnienie wystrzału, tak wyraźnego i jednoznacznego wśród wieczornej ciszy, wciąż dzwoniło jej w uszach. Prześladował ją odgłos ciała upadającego na podłogę – nie tyle go usłyszała, ile poczuła. Przeniknął ją do głębi i miała wrażenie, że już nigdy się od niego nie uwolni, od niego ani od towarzyszącego mu uczucia pustki.

Abel.

Ze ściśniętym gardłem, przez które ledwie dało się oddychać, znalazła wolne miejsce. Rozedrgany i dudniący tramwaj sunął przed siebie, a Celi wydawało się, że jej ciało lada moment zapadnie się do wewnątrz, by wypełnić ziejącą w duszy dziurę.

Musi tam wrócić. Nie może tak zostawić Abła. Swojego brata, najbliższej osoby, jaka jej pozostała. Musi zaopiekować się ciałem, musi chronić kamienicę, dla której ojciec wypruwał sobie żyły... Tylko że nie była w stanie. Za każdym razem, gdy chciała zawrócić, zalewała ją fala bezmiernego strachu, który dosłownie przyprawiał dziewczynę o dreszcze.

Przyszło jej do głowy, żeby udać się do rodziny matki. Parę lat temu przenieśli się na Zachodnią Pięćdziesiątą Drugą. Ale oni nigdy nie przepadali za jej ojcem. Wujowie patrzyli na niego z wyższością, jakby uważali, że jest gorszy od ich siostry. Babka, ostatni bufor pomiędzy oceną rodziny a uczuciami Celi, zmarła jakiś czas temu. Cella wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała złożyć im wizytę – trzeba przecież powiedzieć, co się stało – ale na razie nie czuła się gotowa. To wszystko

było jeszcze zbyt świeże. Trudno jej nawet pomyśleć te słowa, a co dopiero wypowiedzieć je na głos.

Tym bardziej że na pewno uznaliby, że Abel sam jest sobie winien. Taki werdykt wydali też w sprawie jej ojca. Wiedziała o tym, bo podsłuchiwała ich rozmowę w dniu pogrzebu. Mówili, że powinien był siedzieć w domu, gdzie jego miejsce, zamiast wystawać na ganku, wypatrując wściekłych tłumów, które opanowały ulice. Że nie powinien był z nikim zadzierać.

A przecież ojciec starał się tylko chronić swoich bliskich, podobnie jak teraz Abel usiłował chronić ją. Nie, nie zniosłaby spotkania z wujami, którzy wypowiedzieli tyle krzywdzących słów. Na pewno nie w tej chwili, gdy żal i poczucie winy oplatały jej serce ciernistym pnączem.

Zresztą bez względu na to, jak wielką sprawili jej kiedyś przykrość, byli przecież rodziną. Nie mogła narażać ich na niebezpieczeństwo. Może ci ludzie, którzy wdarli się do jej domu, chcieli się tylko wzbogacić. Wcześniej wielu miało zakusy na ich kamienicę. Pukali do nich ludzie obiecujący gruszki na wierzbie, podtykali im pod nos różne papiery, lecz najpierw ojciec, a potem Abel odprawiali ich z kwitkiem.

Jednak co innego papiery, a co innego pistolety.

No i nigdy przedtem nie zdarzyło się, żeby w jej piwnicy umierała biała kobieta. Może jedno z drugim nie miało nic wspólnego, ale coś jej mówiło, że istnieje jakiś związek.

Powinna rozmówić się z rodziną.

Ale ma ich budzić o tej porze?

Wuj otworzy drzwi i spyta, o co chodzi, a ona nie będzie w stanie wykrztusić z siebie tych słów, przypieczętować nimi tego, co się stało. Jeszcze nie teraz. Nie jest gotowa. Nie była pewna, czy w ogóle kiedyś będzie, uznała jednak, że za dnia pójdzie dużo łatwiej. Choć pewnie i tu się myliła.

Wysiadła z tramwaju na znajomym przystanku i pozwoliła, by nogi same prowadziły ją ulicami – trochę dlatego, że знаła drogę na pamięć, a trochę z wyczerpania. Teatr przynajmniej był bezpieczną kryjówką, należał

bowiem do zamożnego białego człowieka. Mogła być spokojna, że nikt nie podpali budynku, a zresztą dobrze znała wszystkie zakamarki na zapleczu i w razie czego szybko mogła się stamtąd wydostać.

Weszła do środka bocznym wejściem, z którego korzystała głównie obsługa. Wewnątrz było cicho jak makiem zasiał. Nawet woźny poszedł już do domu. Tym lepiej. Niepotrzebne jej było żadne towarzystwo.

Warsztat krawiecki znajdował się w piwnicy; tam miała swoje królestwo i tam też od razu skierowała kroki. Zdarzało jej się pracować do późna w noc, żeby zdążyć przed premierą. Potrzebowała jednak światła, inaczej zabije się o liny i rekwizyty. Postanowiła nie włączać żarówek, tylko wykorzystać jedną z lamp naftowych, które trzymano w magazynie na wypadek awarii prądu. Lampa roztaczała krąg złotego blasku, oświetlając korytarz na dwa kroki. Niewiele, ale wystarczy.

Schodząc po schodach, jak zwykle liczyła stopnie, by pominąć trzynasty. Taki miała zwyczaj. Tym razem jednak poczuła lekkie ukłucie w sercu, bo przypomniała sobie, jak Abel się z niej naśmiewał. Zanurzyła się w bezgłośny mrok piwnicy i otarła wilgoć z policzków, po czym otworzyła kluczem drzwi do składziku, w którym urządzono jej warsztat krawiecki.

Odstawiła lampę na blat i usiadła na prostym krześle przed ciężką maszyną do szycia, przy której spędzała całe dnie, wykrawając i zszywając swoje cuda. Przez krótką chwilę nie czuła absolutnie nic – ani strachu, ani ulgi, ani nawet pustki. Była tylko oddechem zamkniętym w ciepłym ciele wśród nocy. Potem jednak zalała ją fala smutku, a z gardła wyrwał się szloch.

Mój brat nie żyje.

Nie powstrzymywała już bólu, pozwoliła, by zabrał ją w ciemne miejsce, do którego nie docierało światło lampy. Miała tylko to, co na sobie, i pierścień zbyt kosztowny, by można go było dyskretnie spieniężyć, nie ryzykując aresztowania lub czegoś gorszego.

Tylko to i swoją misję...

I siebie...

Chciała pozostać w tym ciemnym miejscu, w głębokiej czeluści smutku, lecz jej myśli ciągnęły ją z powrotem ku powierzchni, aż w końcu znów poczuła wilgoć na policzkach i ujrzała nikły blask naftowej lampy w ciasnym warsztacie.

Abel nie byłby zadowolony, widząc, że się nad sobą użala. Po tym, jak ojciec zginął, broniąc własnego domu, to właśnie Abel kazał jej wziąć się w garść. Była sparaliżowana smutkiem. Miasto, które tak dobrze znała, z dnia na dzień stało się obce i brzydkie. Razem z ojcem pogrzebano jej marzenia o dorosłym życiu. Lecz Abel wziął ją na bok i powiedział, że trzeba uszanować wybory ojca, żyjąc w pełni. To dlatego zaczęła szukać pracy jako krawcowa, to dlatego wychodziła sobie posadę w jednym z teatrów dla białych, gdzie płacono lepiej, choć aktorzy mniej szanowali jej zawód. Musiała na ten szacunek ciężko zapracować swoim talentem. Abel wyciągnął jej marzenia z grobu i nie pozwolił, żeby z nich zrezygnowała.

Nadal miała tę posadę – Abel był z niej bardzo dumny, kiedy ją dostała – i nadal miała siebie. Miała też w mieście rodzinę, na którą w razie potrzeby mogła liczyć, cokolwiek o niej mówić. No i pierścień, cudowny złoty pierścień z klejnotem wielkim jak ptasie jajo i czystym jak łąka. To nie szkło, Cella była tego pewna. Szkło by tak nie lśniło, nie błyszczało odbitym światłem jak gwiazda. Nie mówiąc o tym, że byłoby lżejsze. Nawet siedząc, czuła ciężar pierścienia w sekretnej kieszonce wszytej w spódnice.

Ale jej brat...

Cierniste pnącze zacisnęło się na jej sercu, jakby chciało je zgnieść. Zanim jednak Cella zdążyła się poddać kolejnej fali smutku, usłyszała kroki na schodach. O tej porze w teatrze nie powinno być już nikogo.

Z braku lepszej broni sięgnęła po swoje ostre nożyce.

– Jest tam kto?

Był to kobiecy głos – i dopiero teraz, wsłuchawszy się, Cella zdała sobie sprawę, że kroki również brzmią kobieco. Mimo to nie odłożyła nożyczek.

Nie odpowiedziała też na zadane pytanie. W milczeniu czekała, aż kobieta sobie pójdzie.

– Halo? – Znow rozległ się wibrujący głos. – Jest tam kto?

Znała go aż nazbyt dobrze. Podobnie jak jego właścicielkę. Gdy Evelyn DeMure wpadała na pomysł, jak sprawić, żeby wyglądać szczuplej w talii albo szerzej w biuście, Cela dowiadywała się o tym jako pierwsza. Evelyn stanowiła typ aktorki, której personel starał się unikać za wszelką cenę. Trudno było odmówić jej talentu, ale jeszcze trudniej było z nią wytrzymać; zachowywała się tak, jakby samą tylko swoją obecnością sprawiała całemu światu wielki zaszczyt.

Evelyn DeMure wyjrzała zza futryny drzwi.

– Och, Cela Johnson... – Bez szminki i różu wyglądała w mdłym świetle jak blady trup. – Co ty tu robisz o tej porze?

Cela nie odłożyła nożyczek, lecz sięgnęła dla niepoznaki po kawałek tkaniny.

– Musiałam dokończyć to i owo.

– W środku nocy? – spytała Evelyn, mierząc ją podejrzliwym wzrokiem. – O tej porze powinnaś być już dawno w domu.

W domu. Cela z najwyższym trudem zachowała kamienną twarz.

Już chciała zbyć ją kłamstwem, lecz nagle zapomniała, dlaczego właściwie jej nie lubi. Było w tej śpiewaczce coś kojącego, jakby samą obecnością mogła uśmierzyć ból i strach, które Cela nosiła w sobie. I choć bała się opowiedzieć rodzinie o tym, co się stało, z jakiegoś powodu Evelyn zdradziła wszystko.

Opowiedziała o białej kobiecie, która umarła u niej w domu, o bracie, którego nigdy już nie zobaczy, a nawet o pierścieniu z doskonałym, olśniewającym kamieniem. Słowa się z niej wylały, a gdy skończyła, ogarnęła ją senność. Odprężona po wypłakaniu wszystkich łez, czuła już tylko przemożne zmęczenie.

– No już dobrze – pocieszała ją Evelyn. – Musisz odpocząć. Wszystko będzie dobrze. Nic się nie martw.

Powieki miała ciężkie, coraz cięższe.

– O tak – rzekła Evelyn miłym szeptem. – Połóż tutaj głowę...

Cela poczuła, że odkłada nożyczki. Jej ciało, dopiero co wyżęte przez smutek, wydawało się teraz miękkie. W piersi jeszcze przed chwilą miała zimną pustkę – teraz wypełniało ją ciepło. Czuła się bezpieczna.

Zamknęła oczy, a kiedy znów je otworzyła, Evelyn już nie było. Lampa dawno zgasła, w pracowni panowała grobowa cisza.

Z jękiem wyprostowała się i potarła głowę, wciąż lekko otumaniona. Wizyta Evelyn i wszystko, co się zdarzyło przedtem, wydawało się teraz snem. Bardzo złym snem. Na chwilę uwierzyła, że naprawdę jej się to przyśniło.

Nie potrzebowała światła, by znaleźć drzwi. Dobrze znała swoją pracownię. Na próżno jednak mocowała się z klamką. Drzwi były zamknięte na klucz.

A więc to nie był sen.

Wszystko wydarzyło się naprawdę. Śmierć Abla, pożar domu. Evelyn.

Evelyn.

Cela była uwięziona i nawet bez sięgania ręką do kieszeni w spódnicy wiedziała, że pierścień od Harte'a Darrigana zniknął.

MOTŁOCH

1902 rok – Nowy Jork

Jack Grew cuchnął. Nie wiedział, jak długo już siedzi w śmierdzącej celi z najgorszymi mętami tego miasta. Zwłaszcza że zabrano mu zegarek. W pomieszczeniu nie było żadnych okien, niczego, co pozwoliłoby odmierzać upływający czas. Może minęło kilka godzin, a może kilka dni, w każdym razie wciąż otaczali go zapchleńcy, którym nie przeszkadzało, że nurzają się we własnych odchodach.

Teraz przynajmniej większość zasnęła. Kiedy go tu wtrącono, pięciu współwięźniów spoglądało na niego chciwie, a największy z nich, wysoki małowówny brodacz – pewnie w ogóle nieznający angielskiego – zapędził go w róg.

Macając językiem dół po zębie i krzywiąc się z bólu, Jack pocieszył się, że przynajmniej pokazał charakter. Zdołał się obronić. Co prawda jego marynarka padła łupem mężczyzny, ale najważniejsze, że stawił twardy opór i to zwierzę w końcu dało mu spokój. Wszyscy dali mu spokój.

Podniósł rękę, by podrapać się po głowie, na której na pewno już się coś załęgło. Ten ruch przeszył jego ramię ostrym bólem. Cholerny policjant na moście prawie wyrwał mu je ze stawu.

Żaden z tych idiotów nie zrozumiał nic z tego, co próbował im powiedzieć – że powinni aresztować Harte'a Darrigana. Mieli tego cholernego magika pod nosem i nie zrobili nic.

Zamiast niego zatrzymali Jacka. Co najgorsze – pod zarzutem usiłowania zabójstwa. A przecież miał Darrigana na muszce, dłoń mu nie zdrząła, kula powinna dosięgnąć celu, tymczasem... Nawet go nie drasnęła. Jakby Darrigan był duchem, którego nie można zabić.

Może łatwiej byłoby znieść ten cały syf, to cuchnące wiadro w kącie, gdyby Darrigan zginął. Jakoś by ścierpiał wszy, obolałe ramię, wybity ząb, wiedząc, że skrócił magikowi jego żalosny żywot.

Ciemny korytarz za drzwiami rozbrzmiał echem kroków. Wśród zbudzonych aresztantów zapanowało nerwowe poruszenie. Gdy kroki się zbliżyły, ludzie w innych celach zaczęli hałaśliwie potrząsać kratami i wykrzykiwać przekleństwa. Zwierzęta, pomyślał Jack. Strażnik zatrzymał się przed jego celą, wypełnił twarzą zakratowane okienko i otwierając drugie poniżej, zawołał go po nazwisku.

Nareszcie. Jack nie wątpił, że w końcu ktoś po niego przyjdzie. Jego miejsce nie było wśród motłochu. Posłusznie wsunął dłonie w otwór.

– Jak się podoba? – zagaił drwiąco policjant, zakładając mu kajdanki. – Pewno przywykłeś do większych wygod.

Jack zignorował ten docinek.

– Dokąd mnie zabieracie? – spytał, gdy strażnik zaczął go prowadzić ku schodom na końcu korytarza.

– Na odczytanie zarzutów. Odpowiesz sędziemu na kilka pytań.

Po zejściu na dół weszli przez ciężkie drzwi do sali sądowej. Ponury sędzia siedział na podwyższeniu naprzeciwko mężczyzny, który coś do niego mówił. Mężczyzna stał tyłem do Jacka, lecz sam widok posiwiałych włosów z plackiem łysiny na czubku głowy oraz eleganckiego wełnianego płaszcza wystarczył, by Jackowi ścisnął się żołądek. To nie był jego ojciec ani kuzyn... Nie, było znacznie gorzej.

Człowiek stojący przed sędzią odwrócił się i Jack miał teraz przed sobą J.P. Morgana we własnej osobie.

Gdy rok temu w Grecji ta wredna chłopka oplotła go siecią kłamstw, zupełnie stracił dla niej głowę. Ledwie pamiętał, co się działo w tamte upojne noce i dni, kiedy znajdował się pod jej przemożnym urokiem. Lecz nawet wtedy przysłali po niego jedynie kuzyna. Gdy nad ranem brakowało mu pieniędzy, zjawiał się ktoś z rodziny i regulował za niego rachunek. Stryj raczej nie zawracał sobie głowy drobiazgami życia rodzinnego, a już

tym bardziej perypetiami najstarszego syna swego brata. Lecz ten sam Morgan stał teraz przed Jackiem ze swoim kartoflowatym nosem, zgarbionymi ramionami i grymasem, który nie wróżył niczego dobrego.

Cholera.

Jack stanął przed stołem sędziowskim, próbując skupić się na słowach sędziego, ale okazało się to niemożliwe, gdy stryj wpatrywał się weń jak w kanałowego szczura.

– Czy wyraziłem się jasno? – zapytał na koniec sędzia.

– Tak jest, Wysoki Sądzie – odparł automatycznie Jack, nie dbając o to, czego dotyczy pytanie. Nie był dzieckiem, które można stawiać do kąta. Był gotów powiedzieć wszystko, byle tylko wyjść na wolność.

Jeden z policjantów podszedł i rozpiął mu ciężkie kajdanki. Jack roztarł obolałe nadgarstki.

– I żebym cię tu więcej nie widział – rzekł stanowczo sędzia.

– Tak jest, Wysoki Sądzie – odparł Jack, w duchu przeklinając i sędziego, i stryja, i wszystkich razem wziętych.

Morgan milczał, dopóki nie rozsiedli się w osłoniętym powozie, z dala od wścibskich spojrzeń. Blade poranne niebo zaczynało już nabierać intensywniejszego koloru. A zatem spędził w tej śmierdzącej celi całą noc.

Gdy powóz ruszył, stryj wreszcie przemówił.

– Masz farta, że sędzia Sinclair ubiega się jesienią o reelekcję, inaczej nie byłoby tak łatwo cię stamtąd wyciągnąć, chłopcze. Doprawdy nie wiem, co ci odbiło. Co to za pomysł, żeby strzelać do człowieka w biały dzień?

– Chciałem...

– Myślisz, że mnie to cokolwiek obchodzi? – przerwał mu Morgan, uciszając Jacka tyleż słowami, co zimnym spojrzeniem. – Miałeś proste zadanie: spotkać się z Darriganem i odzyskać ukradzione artefakty. Wystarczyło nie przeszkadzać, a Zakon – nie ty – bez trudu by go zlikwidował.

– Darrigan ze mnie zakpił – bronił się Jack, ledwie powściągając gniew. – Nie mogłem puścić mu tego płazem.

– Sam zrobiłeś z siebie pośmiewisko – odparł Morgan. – Ten cholerny magik dał ci tylko sznur, a ty zawiązałeś sobie stryczek. Członkowie Wewnętrznego Kręgu nie chcieli, żebyś był na moście, ale przekonałem ich, by dali ci jeszcze jedną szansę. I co? Jak zwykle zabrakło ci pomysłu. Nie dość, że wprowadziłeś tych szubrawców do naszej świątyni, nie dość, że Khafre Hall leży w gruzach, a Zakon stracił najcenniejsze artefakty, to jeszcze teraz narobiłeś dodatkowego hałasu wokół sprawy. Przynosisz wstyd mnie i całej rodzinie.

Sam jesteś sobie winien, pomyślał Jack. On przynajmniej próbował coś działać. Gdyby Zakon zaufał mu kilka miesięcy temu, Harte Darrigan w ogóle nie stanowiłby zagrożenia.

– Znajdę Darrigana – oznajmił. – Odzyskam Księgę i artefakty.

– Darrigan nie żyje – odparł sucho Morgan.

– Nie żyje?

Jackowi trudno było się z tym pogodzić. Tak bardzo pragnął sam go zabić...

– Skoczył z mostu chwilę po tym, jak cię aresztowano. Jeżeli miał nasze skarby, to albo je gdzieś ukrył, albo komuś przekazał. Mniejsza o to... Znajdziemy je, prędzej czy później.

– Pomogę...

– Nie – uciął ostro Morgan. – Jesteś skończony. Wykluczono cię z grona członków Zakonu.

Dobitny ton, jakim stryj wypowiedział te słowa, nie pozostawiał żadnych złudzeń. Jack uznał, że dalsze tłumaczenia i przeprosiny nie mają sensu. Tym bardziej że dobrze znał ten wyraz twarzy stryja. Będzie musiał uzbroić się w cierpliwość, tak jak wcześniej po wpadce w Grecji. Stryj w końcu ochłonie i wtedy Jack przemówi im wszystkim do rozsądku.

– Ale to nie wszystko – ciągnął Morgan. – Masz natychmiast opuścić miasto. Twoje rzeczy są już spakowane i czekają w domu twojej matki, do którego teraz jedziemy. Będziesz miał tylko pół godziny na umycie się

i pożegnanie. Kiedy doprowadzisz się do ładu, odwożę cię na dworzec kolejowy.

Jack prychnął.

– Nie możesz mnie zmusić do wyjazdu.

Morgan zmrużył oczy.

– Może i nie. Ale powiedz mi, jak zamierzasz ułożyć sobie życie? Twoi rodzice postanowili, że nie będą łożyć na ciebie, dopóki nie udowodnisz, że jesteś coś wart. Dom, który wynająłeś, słono kosztuje. Skąd weźmiesz pieniądze na swoje hulaszczcze życie – na picie i na dziwki? Myślisz, że po wczorajszym ktokolwiek w tym mieście zechce cię zatrudnić?

Jack nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Stryj go zniszczył. Nastawił rodziców przeciwko niemu. Faktem było, że jedno jego słowo wystarczało, aby zamknąć przed człowiekiem wszystkie drzwi. Poczucie niemocy rozlało się po ciele Jacka falą gorąca.

– To niby dokąd miałbym wyjechać? – spytał głosem, który jemu samemu zdawał się dobiegać z bardzo daleka.

– Tam, gdzie powinieneś być wyjechać już wczoraj. Posada w Cleveland wciąż na ciebie czeka, mimo tego, co się wydarzyło na moście.

– Na jak długo? – spytał ponuro Jack.

– Na stałe.

Morgan sięgnął po leżącą obok gazetę i otworzył ją gwałtownym ruchem. Nagłówek na pierwszej stronie krzychał: TRAGICZNY UPADEK MAGIKA. Poniżej widniała podobizna Darrigana; iluzjonista z drwiącym półuśmiechem spoglądał Jackowi w oczy.

Na stałe.

– A więc zsyłasz mnie na wygnanie?

– Nie histeryzuj – odburknął Morgan zza gazety.

Dawniej Jack drżałby ze strachu przed groźnym stryjem, teraz jednak dosłyszał w głosie J.P. Morgana nutę drwiny, która mocno go zirytowała. Oni wciąż nic nie rozumieją. Członkowie Wewnętrznego Kręgu Zakonu, zamknięci w swoich eleganckich gabinetach i pałacowych rezydencjach

przy Piątej Alei, uważali się za panów tego miasta, którym nic nie grozi. Jakby nie wiedzieli, że wszystkie rewolucje zaczynają się od plebsu – i zawsze najpierw spadają głowy możnowładców.

Jack to wiedział. Jack rozumiał.

– Popelniacie błąd – rzekł lodowato. – Nie macie pojęcia, do czego to robactwo jest zdolne. Nie macie pojęcia, jakie stanowi zagrożenie.

Morgan opuścił gazetę równie gwałtownie, jak ją otworzył, omal nie rozdzierając jej przy tym o kolano.

– Pilnuj się, chłopcze.

– Nie jestem chłopcem – odparł Jack przez zaciśnięte zęby. – Długo studiowałem nauki tajemne, zgłębiałem arkanę hermetyzmu i zagrożenia związane ze starą magią, a ty wciąż mnie lekceważysz, jakbym był nikim.

– To dlatego, że jesteś nikim – oznajmił Morgan z bezlitosną szczerością. – Uważasz się za bohatera jakiegoś wielkiego dramatu, a nie jesteś nawet błaznem. Naprawdę myślisz, że Zakon nie zdaje sobie sprawy z rosnącego zagrożenia? Nie ty jeden dostrzegłeś, że Ellis Island nie działa tak, jak powinno, że nowi przybysze zagrażają dalszemu trwaniu naszego społeczeństwa. Jak sądzisz, dlaczego zorganizowaliśmy konklawe? – Morgan pokręcił głową z niesmakiem. – Jesteś tylko bezczelnym szczeniakiem, zbyt zapatrzonym w siebie, by pojąć, jak mało wiesz. Sprawy Wewnętrznego Kręgu w ogóle nie powinny cię obchodzić, a tymczasem twoja zuchwałość i bezmyślność drogo nas kosztowały.

– Ale Magini...

– Magini są naszym zmartwieniem, nie twoim. Wydaje ci się, że jesteś mądrzejszy, bardziej przenikliwy od ludzi, którzy zajmowali się tym problemem, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie?

– Zakon za bardzo skupia się na Manhattanie. Nie rozumiecie, że...

– Misja Zakonu to coś więcej niż pilnowanie, żeby iluś tam brudnych imigrantów siedziało grzecznie w Bowery. Tobie się wydaje, że jestem starcem oderwanym od rzeczywistości, ale to ty nie rozumiesz, co się dzieje. To punkt zwrotny w historii naszego kraju. Nie tylko miasta, ale

kraju. Działa tu więcej sił, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić, włącznie z takimi, o których istnieniu nie masz pojęcia. – Nachylił się lekko, lecz było w tym więcej groźby niż poufałości. – Zakon ma plan. A przynajmniej mieliśmy go, zanim Darrigan nie pokrzyżował nam szyków. Konklawe na zakończenie roku miało być zwieńczeniem naszych zabiegów, spotkaniem wszystkich gałęzi bractwa, potwierdzającym nasze panowanie, gotowość do przewodzenia innym i do uwolnienia kraju, raz na zawsze, od niebezpieczeństw dzikiej magii. A ty wprowadziłeś między nas żmiję. Przez ciebie cały nasz trud może pójść na marne.

– Tym bardziej pozwólcie mi zostać – zaproponował Jack. – Mam wiedzę, która wam się przyda. Pozwólcie sobie pomóc. Moja machina...

– Dość! – Bulwiasty nos Morgana drgnął, jakby poczuł zgniliznę. – Dość już napsułeś. Jedź do Cleveland. Nie zwracaj na siebie uwagi. Rozglądaj się, a może kiedyś zrozumiesz, jak naprawdę działa świat. A jeśli tym razem się nie zbłąznisz, kto wie, może pozwolimy ci przyjechać w odwiedziny na Boże Narodzenie.

KREW I WODA

1902 rok – Nowy Jork

Viola Vaccarelli udawała, że ogląda towar jednego z kupców z Mott Street, tak naprawdę jednak obserwowała drzwi kościoła po drugiej stronie ulicy. Właściciel sklepu, starszy mężczyzna o długich siwiejących włosach splecionych w schludny warkocz, stał w progu i mierzył ją podejrzliwym wzrokiem. Czy właśnie tak po latach będzie wyglądał Jianyu? Ale na myśl o chłopaku, którego Dolph uczynił swoim zaufanym szpiegiem, a który porzucił ich na moście, Viola spochmurniała.

Dopiero gdy sklepikarz cofnął się za próg, uświadomiła sobie, że groźnie marszczyła brwi. Spróbowała się uśmiechnąć. Mężczyzna zamrugał, a jego twarz ściągnęła się jeszcze mocniej, jak gdyby rozpoznał w niej drapieżną istotę.

Basta. Niech się boi. Tygrys nie przeprosza, że ma kły, a Viola nie miała czasu, żeby uspokajać przypadkowego nieznanego. Kiedy płaciła mu za dojrzałą gruszkę, sklepikarz nieśmiało wyciągnął rękę po monety.

Drzwi kościoła się otworzyły i zaczęli z nich wychodzić wierni. Viola nie czekała, aż sklepikarz wyda jej resztę, tylko od razu odeszła i przyglądała się strumieniowi kobiet opuszczających świątynię bocznym wyjściem. Były to głównie staruszki, choć dostrzegła wśród nich również kilka młodszych twarzy z pierwszymi zmarszczkami, podobnymi do tych, które pokrywały drobną siatką oblicza ich matek. To niezamężne córki – dziewczyny, które wciąż mieszkaly ze swoimi rodzinami i były od nich zależne. Viola nie chciała takiej przyszłości dla siebie. Odwróciła się od własnej rodziny i jej oczekowań.

A teraz przyjdzie jej za to zapłacić.

Staruszki ubrane były w sposób charakterystyczny dla swojego pokolenia: grube spódnice, ciężkie, bezkształtne peleryny oraz chusty z koronki lub gładkiego lnu zakrywające głowę na znak skromności i pokory w obliczu Pana i wszystkich sąsiadów. Viola tego ranka także opasała ciemne włosy chustą, lecz bynajmniej nie przez wzgląd na skromność.

Każda inna osoba na jej miejscu miałaby problemy z odróżnieniem tych kobiet od siebie, ale Viola rozpoznałaby swoją matkę nawet wśród tysiąca włoskich staruszek. Rozkołysany krok, jakim ruszyła w stronę Mulberry Street, to był rytm jej dzieciństwa.

Viola od trzech lat nie rozmawiała z matką ani nawet nie widziała się z nikim z rodziny, mimo że krewni mieszkali zaledwie kilka przecznic od Bella Stregi. W Bowery kilka przecznic stanowiło nieraz wielką różnicę – różnicę między bezpiecznym rewirem a terenem wrażego gangu. Nie żeby Viola specjalnie się tym przejmowała... Potrafiła zadbać o swoje bezpieczeństwo, a ci, którzy z nią zadarli, szybko tego żałowali.

Mocne dłonie jej matki, gdy rozmawiała z idącą obok kobietą, fruwały w powietrzu jak ptaki. Te dłonie potrafiły udusić kurę, ale i przyrządzić najdelikatniejsze *casarecce*. Potrafiły otrzeć łzę... albo uderzyć na odlew, tak że piekło przez kilka dni.

Powinam zostawić ją w spokoju, pomyślała Viola. Znaleźć inny sposób.

Odruchowo sięgnęła po sztylet, który zawsze miała pod ręką – Libitinę, od imienia rzymskiej bogini pochówku – i natrafiła na pustkę. Rzuciła nim dzień wcześniej w Nibsy'ego Lorcana, by chronić Estę, dziewczynę, którą z czasem, wbrew sobie, polubiła. W zamieszaniu na moście nie zdołała go odzyskać. Esta przepadła bez śladu – jakby nigdy jej tu nie było – a Libitina znajdowała się teraz w rękach Nibsy'ego Lorcana. Pozbawionej sojuszników i przyjaciół Violi najbardziej doskwierał właśnie brak ulubionego noża. Czuła się tak, jakby utraciła część siebie.

Odzyska to ostrze... prędzej czy później. Tymczasem nosiła na udzie inny sztylet, choć ten nie umywał się do Libitiny. Jego stal nie przemawiała do Violi w ten sam sposób, a przy tym dziewczyna nie mogła się pozbyć

wrażenia, że nie waży on tyle, ile powinien – jak gdyby kilka gramów różnicy mogło ją samą wytrącić z równowagi.

Coś do samoobrony trzeba jednak mieć. W Bowery panował chaos. Siły policji, i tak już skorumpowane, w ostatnich dniach rozbestwiły się do cna. Pod dyktando Zakonu przetrząsały dolną część Manhattanu w poszukiwaniu Maginów, którzy wykradli skarby z Khafre Hall. Viola brała udział w tamtym skoku. Stanowiła część drużyny dowodzonej przez Dolpha Saundersa, której celem było zdobycie Ars Arcana, księgi o niesłychanej mocy. Dolph wierzył, że Księga odrodzi magię i uwolni ich spod panowania Zakonu i jarzma Krawędzi.

Teraz Dolph leżał w grobie. Na wspomnienie jego martwej postaci, bladej i nieruchomej na barze Stregi, Viola wciąż traciła dech. Był prawdziwym przyjacielem, człowiekiem, którego z czasem obdarzyła pełnym zaufaniem, choć życie nauczyło ją, żeby nie ufać ludziom. Razem z Dolphem zniknęła Księga i wszelka nadzieja na wolność i lepszą przyszłość.

Ten podstępny kuglarz Harte Darrigan wszystko zaprzepaścił, wydzierając jej Księgę we wnętrzach Khafre Hall. Ośmieszył ją. Członkowie Stu Diabłów patrzyli na Violę z błyskiem podejrzliwości w oczach, gdy okazało się, że w jej torbie nie ma nic wartościowego. W dodatku w żaden sposób nie mogła naprawić swojego błędu. Jedyna szansa na odzyskanie Księgi utonęła wraz z Darriganem w odmętach rzeki Hudson.

Jakby tego było mało, na moście Viola tylko pogorszyła sytuację. Wiedziała, że Nibsy podejrzewa Estę o zмовę z Darriganem. Miała wyraźne instrukcje: nie dopuścić, by któreś z nich uciekło. Kiedy jednak Nibs wymierzył z broni w Estę, Viola, niewiele myśląc, ugodziła go nożem – bo tego oczekiwałyby od niej Tilly. Bo tak jej kazał instynkt.

Niestety oznaczało to, że nie może wrócić do Stregi – przynajmniej dopóki ludzie Dolpha pozostawali lojalni wobec Nibsy'ego Lorcana.

Bez Dolpha była w Bowery zdana tylko na siebie. Bez Księgi nie mogła liczyć na posłuch wśród członków Stu Diabłów. A już na pewno nie mogła

liczyć, że Nibsy wybaczy jej to, co mu zrobiła na moście.

Nie żeby jakoś bardzo się tym przejmowała. Nigdy nie lubiła tego chłopaka.

Za to Strega była jej domem. Gang Stu Diabłów – rodziną, która szanowała ją za umiejętności i akceptowała taką, jaką jest. Może i Księga przepadła bezpowrotnie, lecz Viola zamierzała dowieść, że nie zdradziła ich zaufania. Nawet bez Księgi można było doprowadzić dzieło Dolpha do końca.

Zrobi, co w jej mocy, żeby obalić Zakon, ale będzie potrzebowała pomocy.

Przychodziła jej do głowy tylko jedna osoba zdolna ochronić ją przed patrolami – jej starszy brat Paolo. Zwrócenie się do niego miało jeszcze jedną zaletę: ulica szeptała, że gang z Five Points był już nie tylko na usługach ratusza, ale i Zakonu.

Wątpliwe, by Paolo wybaczył Violi porzucenie rodziny, a tym bardziej ucieczkę spod jego rozkazów i pracę dla Dolpha, którego uważał za wroga. Ale jeśli braciszek mógł jej pomóc zbliżyć się do Zakonu, była gotowa odcierpieć swoje. I właśnie dlatego przyszła tutaj wyczekiwać matki, jedynej osoby, która mogła ją osłonić przed gniewem Paola.

Viola wręczyła kupioną przed chwilą gruszkę jakiemuś małemu obdartusowi, po czym dogoniła kobietę.

– Mamma! – zawołała, lecz słowo to rozbrzmiewało na ulicach Bowery tak często, że matka nie zareagowała, dopóki Viola nie posłużyła się jej imieniem, krzycząc ponad ulicznym zgiełkiem: – Pasqualina!

Wtedy się odwróciła. Zanim w jej ciemnych oczach pojawiło się zrozumienie, minęło trochę czasu. Viola obserwowała emocje przemykające po twarzy rodzicielki: szok, nadzieję, otrzeźwienie, wreszcie... ostrożność.

Matka mruknęła coś do swojej towarzyszki, która spojrzała na Violę nieufnie, po czym się oddaliła. Matka również marszczyła brwi, lecz poczekała na dziewczynę.

Gdy Viola do niej podeszła, tkliwość, którą niby dawno już w sobie zabiła – równie pewnie jak zabijała swoje ofiary – zniemacka ścisnęła jej gardło. Stały teraz naprzeciwko siebie w odległości ramienia.

– Viola? – Matka uniosła rękę, jakby chciała pogłaskać córkę po twarzy, lecz jej dłoń zastygła w powietrzu i przez długą rozdzierającą chwilę wisiała nieruchomo, aż wreszcie opadła wzdłuż boku.

Viola pokiwała niemo głową. Wciąż była zła na rodzinę, wciąż pamiętała jej wszystkie krzywdy, lecz mimo to tęskniła za matką. I za całą resztą. A nawet za tamtą dziewczyną, którą kiedyś była.

Matka wykrzywiła twarz.

– Czego chcesz?

Wypowiedziane w sycylijskim dialekcie słowa przeniosły Violę z powrotem do dzieciństwa. Jednak ton głosu matki był zimny i obojętny jak jej spojrzenie.

Nie żeby Viola się tego nie spodziewała. W końcu popełniła ciężki grzech: porzuciła rodzinę. Zdradziła brata, zakwestionowała jego autorytet, a co chyba najgorsze, chciała od życia więcej, niż wypadało przyzwoitej kobiecie.

Nieważne, że Viola uważała się za przyzwoitą kobietę. Ocena jej matki nadal bolała. Jako dziecko setki razy musiała znosić to spojrzenie, lecz nawet po latach, będąc bezwzględną zabójczynią, nie zdołała się na nie uodpornić.

Spuściła oczy i mimo woli pochyliła głowę w geście pokory.

– Chcę wrócić do domu, mamo.

– Do domu?

Gęste brwi matki lekko się uniosły.

– Chcę wrócić do rodziny.

Matka w pierwszej chwili nic nie odpowiedziała. Przyglądała się tylko Violi tym samym krytycznym wzrokiem, którym nieraz lustrowała obtłuczony owoc na straganie, zanim zaczęła się o niego targować.

– Myliłam się – rzekła cicho Viola, zwieszając głowę i kuląc ramiona. – Miałaś rację co do mnie. Byłam zbyt uparta, zbyt samolubna. Teraz już wiem, co znaczy życie z dala od rodziny.

Słowa te smakowały piołunem, ale nie były kłamstwem. Dzięki protekcji Dolpha Viola przekonała się, jak wygląda życie bez oczekiwań, wymagań i ograniczeń narzucanych przez rodzinę.

– Albo po prostu przychodzisz, bo masz kłopot – odparła matka, zerkając przelotnie na brzuch Violi. – Co to za jeden?

Viola zmarszczyła brwi.

– Nie chodzi o żadnego mężczyznę.

– Nie wierzę ci.

– Widzisz chyba, co się dzieje dookoła? Pożary, walki na ulicach. Teraz rozumiem, jaka byłam głupia, myśląc, że poradzę sobie bez rodziny. *Il sangue non é acqua.*

Matka lekko ściągnęła usta, zmrużyła oczy.

– Powtarzałam ci to całe życie i teraz do ciebie dotarło? Trochę za późno.

– Nadal jesteśmy z jednej krwi – przypomniała cicho Viola, nadając głosowi potulny ton, który zaprzeczał wszystkiemu, czym naprawdę była.

Sama nie zdawała sobie sprawy z wagi tego przysłowia, dopóki nie spróbowała zerwać z rodziną. Cokolwiek robiła, wciąż była siostrą Paula Kelly’ego – i będzie nią zawsze.

Nie, krew to nie woda. Krew zostawia ślad.

– Czemu przychodzisz do mnie? Czemu nie do Paola? To on jest teraz głową rodziny – wytknęła jej matka i przeżegnała się, wznosząc oczy ku niebu, jakby spodziewała się ujrzeć wśród chmur zmarłego ojca Violi. – To jego musisz udobruchać, a nie mnie.

– Chcę do niego pójść – odparła Viola, na pokaz zaciskając nerwowo dłonie w fałdach spódnicy i gardząc sobą za to: nie za kłamstwo, ale za demonstrację słabości wbrew danemu sobie słowu, że zawsze będzie silna. – Po prostu nie wiem, jak odpokutować za to, co zrobiłam. Paolo cię

słucha, mammo. Masz na niego wpływ. Jeśli mu powiesz, żeby mi wybaczył, to mi wybaczy.

Matka zacisnęła wargi, twarz jej poczerwieniała.

– Rozumiem... Przychodzisz do mnie, bo potrzebujesz mojej pomocy. Po tym, ile się przez ciebie nacierpieliśmy... Właśnie do mnie. – Głos jej się załamał. – Wstyd mi za ciebie. – Potrząsając głową, odwróciła się, by odejść, ledwie jednak zeszła z chodnika na bruk ulicy, stęknęła głośno i omal nie upadła na kolana.

Viola chwyciła ją w porę i dźwignęła na nogi. Pasqualina Vaccarelli była przysadzistą kobietą, lecz Viola czuła kruchość matki, piętno starości, która przez ostatnie trzy lata nadwątliła jej siły życiowe.

Używanie daru tutaj, na widoku – zwłaszcza w tych niebezpiecznych czasach – było ryzykowne, lecz Viola wniknęła swoją mocą w ciało matki, szukając źródła bólu i natychmiast je odnajdując. Artretyczne stawy były już w bardzo złym stanie. Viola bez chwili wahania skupiła na nich swoją energię, usuwając sztywność.

Matka westchnęła, jej ciemne oczy napotkały wzrok Violi, gdy ta, skończywszy, cofała ręce. Krew w żyłach Violi zrobiła się ciepła, jej skóra zdawała się wibrować od magii. Oto do czego została stworzona. Dar od jej boga miał służyć życiu, a nie śmierci, jak postanowił za nią brat.

Matka z wyrazem zaskoczenia połączonego z ulgą podniosła twardą, spracowaną dłoń i dotknęła policzka Violi. Kąciki ust wciąż miała opuszczone i nadal patrzyła surowo, lecz teraz na jej twarzy odbijała się również wdzięczność.

– Przydałaby mi się twoja pomoc przez te ostatnie lata.

– Wiem, mammo. – Viola mrugnęła od łez i położyła swoją dłoń na dłoni matki. – Mnie też ciebie brakowało.

Przynajmniej to nie było kłamstwem. Naprawdę brakowało jej matki, którą znała, która śpiewała, wieszając pranie, i która próbowała nauczyć Violę wygniatania sprężystego ciasta i prasowania bielizny gołymi rękoma. Niewiele z tej nauki wychodziło. Viola starała się, jak mogła, lecz nie

chciała takiego życia. Jej ręce były stworzone do trzymania broni, do rzucania zaklęć. Rodzina stawiała na głowie, żeby uformować ją na swoje podobieństwo. Koniec końców ich starania odniosły jednak odwrotny skutek.

A teraz wróciła. Nagnie się do ich oczekiwań, ale nie da się złamać. Była starsza. Silniejsza.

Matka cofnęła rękę.

– Porozmawiam z twoim bratem.

– Dziękuję...

Pasqualina przerwała jej gestem.

– Nie dziękuj. Niczego nie obiecuję. Musisz być gotowa na pokutę, którą wyznaczy ci Paolo... Cokolwiek to będzie.

Viola pochyliła głowę, by ukryć niesmak. Matka nie miała pojęcia, do czego jest zdolny jej kochany Paolino. Wiedziała tylko, że syn prowadzi klub pięściarski o nazwie New Brighton i restaurację Mały Neapol. Zdawała sobie sprawę, że utrzymuje kontakty z najważniejszymi ludźmi w mieście, ale nie przyszłoby jej do głowy, że Paolo jest jednym z najpotężniejszych i najgroźniejszych bossów na Lower East Side – ani do jakich zbrodni zmuszał własną siostrę.

Viola nie była zresztą wcale pewna, czy matka przejęłaby się rozciętą wargą i podbitym okiem, z którymi jej córka pierwszy raz zjawiła się w Stredze.

– Chodź. – Nie mówiąc nic więcej, matka ruszyła przed siebie.

– Dokąd idziemy? – spytała Viola. Przed oczami stanęły jej ciasne pokoje, w których się wychowywała.

Jednak matka nie szła w stronę tamtej kamienicy. Odwróciła się do Violi.

– Chciałaś przecież, żebym porozmawiała z Paolem.

– Idziemy do niego teraz?

Matka zmierzyła ją pochmurnym i lekko podejrzliwym spojrzeniem.

– A nie chcesz?

Nie w tej chwili. Cokolwiek miało ją spotkać ze strony okrutnego brata, Viola potrzebowała czasu, żeby się przygotować. Było jednak jasne, że matka drugi raz nie zaoferuje pomocy.

– Chcę, oczywiście. – Skinęła głową z pokorną wdzięcznością. – Chodźmy. Dziękuję, mamó.

– Nie dziękuj mi zbyt wcześnie – powtórzyła matka. – Czeka cię jeszcze rozmowa z Paolem.

OBCY KRAJ

1902 rok – Nowy Jork

P oranne niebo było zaciągnięte chmurami, a nad powierzchnią wody wisiała gęsta mgła. Prom sunął niespiesznie przez Górną Zatokę oddzielającą Brooklyn od New Jersey. Esta Filosik nie wyróżniała się spośród innych pasażerów stojących na rufie. Długie ciemne włosy związała niepozornie z tyłu, miała na sobie znoszoną spódnicę i ciężką spłowiałą pelerynę – rzeczy, po których człowiek prześlizguje się wzrokiem, nie zwracając uwagi na ich właścicielkę. Musiała odpruć podszewkę spódnicy, aby ją wydłużyć, ale ubranie i tak leżało całkiem dobrze, zważywszy, że ukradła je rano z czyjegoś sznura na bieliznę. Najważniejsze było jednak to, co niosła pod zgrzebną tkaniną i sfilcowaną wełną: kamień, który zmieniał czas, i Księgę, która mogła zmienić świat.

Starła się sprawiać wrażenie odprężonej, niezbyt zainteresowanej ciemną sylwetką miasta w mglistej dali, lecz w istocie miała wyostrzone zmysły i kątem oka obserwowała współpasażerów. Specjalnie zajęła takie miejsce, by móc łatwiej dostrzec ewentualne zagrożenie – i żeby nikt nie zauważył, że potrzebuje podpory, jaką dawała jej balustrada.

Statek pruł ciemną wodę obok Wyspy Wolności, która to nazwa zostanie jej nadana dopiero za pięćdziesiąt lat. W górze miedziana statua odcinała się ciemno od nieba. Eście, która pierwszy raz oglądała ją z tak bliska, wydała się zaskakująco mała. Zbyt mała jak na tak ważny symbol. Choć może nie powinno jej to dziwić, biorąc pod uwagę, jak pusta była to symbolika. Dla ludzi takich jak ona – obdarzonych starą magią – pochodnia w ręku Wolności powinna być przestrożą, nie zaproszeniem.

A może to rozczarowanie statua stanowiło jedynie przedsmak dalszych zawodów? Może świat, którego dawniej w ogóle nie spodziewała się ujrzeć, okaże się równie mały i rozczarowujący?

Wątpiła jednak, żeby to było takie proste. Świat był ogromny i nieznany. Miasto знаła jak własną kieszeń, ale co dalej? Odtąd będzie się poruszała po omacku.

Ale przynajmniej nie będzie sama.

Obok niej przy balustradzie stał Harte Darrigan, do niedawna wytrawny magik i oszust. W czapce zakrywającej ciemne włosy i charakterystyczne stalowoszare oczy wyglądał zwyczajnie, niepozornie, jak większość pasażerów. Nosił ją naciągniętą na czoło i unikał cudzych spojrzeń, by zminimalizować ryzyko, że ktoś go rozpozna.

Esta przyglądała mu się teraz ukradkiem. Gdy jej świat się zawalił, postanowiła wrócić, żeby uratować Harte'a. Owszem, potrzebowała sprzymierzeńca, kogoś, na kogo będzie mogła liczyć w czekających ją zmaganiach. Ale wróciła tutaj, w to miejsce i do tego czasu, bo chciała, żeby tym sprzymierzeńcem był on. Ze względu na to, kim był i co dla niej zrobił. I ze względu na to, kim ona czuła się przy nim.

Teraz jednak nie mogła odgadnąć jego nastroju, podobnie jak wcześniej, bladym świtem, gdy zbudziwszy się ze snu, od razu napotkała jego uważne spojrzenie. Musiał czuwać przez całą noc, bo kiedy wreszcie obudziła się w obcym pokoju w pensjonacie na Brooklynie, siedział z łokciami na kolanach w rozchwierutany krześle u stóp wąskiego łóżka i patrzył na nią podkrążonymi oczyma, w których odbijało się zmartwienie. Jakim cudem zdołał przeprowadzić siebie i ją przez ostatnie kilka metrów Krawędzi – tego nadal nie wiedziała.

Chciała go zapytać. Miała do niego mnóstwo pytań – o ciemność, którą zobaczyła na moście, smolisty mrok powoli wypełniający wszystko. Chciała wiedzieć, czy on też to widział. A przede wszystkim wtulić się w niego, poczuć jego krzepiące ciepło. Powstrzymało ją to dziwne spojrzenie. Widziała już w jego oczach podziw i frustrację, nieufność,

a nawet odrazę, lecz nigdy wcześniej nie patrzył na nią z taką troską i politowaniem.

Teraz jednak w ogóle na nią nie patrzył. Wzrok miał utkwiony w niknącym horyzoncie, w mieście, które tak długo było dla nich więzieniem. Wszystkie kłamstwa, oszustwa i zdrady, których się dopuszczał, służyły jednemu celowi: ucieczce z tej wyspy. Dlaczego więc na jego twarzy nie było ani cienia triumfu? Usta miał zaciśnięte w kreskę i cały był spięty, jakby czekał na kolejny atak.

Żałosne wycie promu przerwało znieciska ciszę poranka, zagłuszając rytmiczny hałas silników i miarowy szmer zburzonej wody. Esta wzdrygnęła się na ten dźwięk, a rześkie tchnienie wiatru – a może wspomnienie tamtej ciemności zalewającej świat – przeszło ją kolejnym dreszczem.

– Jak się czujesz? – spytał Harte z cieniem troski na twarzy. Jego oczy patrzyły badawczo, jakby nie chciał przegapić chwili, kiedy znów będzie musiał ją chwycić, żeby nie upadła.

Lecz Esta nie zamierzała upaść. Nie pozwoli sobie na słabość. I bardzo ją denerwowała jego nadopiekuńczość.

– To nic takiego – odparła.

Wydało jej się, że Harte zamierza ją objąć, więc szybko się wyprostowała i trochę odsunęła. Skoro mają być współnikami, będą nimi na równych warunkach. Nie mogła pozwolić, nie pozwoli, aby chwilowa słabość cokolwiek między nimi zmieniła.

Harte zmarszczył brwi. Ręce trzymał przy sobie, ale nie uszło jej uwadze, że dłonie zacisnęły mu się w pięści. Mimo swojego aktorskiego talentu nie zdołał ukryć przykrości, jaką mu sprawiła, tak samo jak nie potrafił, spoglądając w jej stronę, do końca zamaskować zmartwienia.

Esta dzielnie to zignorowała. Całą swoją energię wkładała teraz w to, by ustać o własnych siłach. Żeby wyglądać na silniejszą i pewniejszą siebie, niż się czuła.

Harte rzucił jej jeszcze jedno długie spojrzenie, po czym wreszcie odwrócił wzrok z powrotem ku znikającemu lądowi. Esta też patrzyła w tamtą stronę, ale jej myśli krążyły wokół tego, co ich czeka, gdy dopłyną do celu.

Stali przed arcytrudnym zadaniem: odnaleźć cztery kamienie, za sprawą Harte'a rozproszone po całym kontynencie. Podobnie jak Klucz Isztar, czyli kamień noszony przez Estę na ramieniu, wszystkie znajdowały się kiedyś w posiadaniu Zakonu. Gwiazda Dżina, Smocze Oko, Łza z Delf, Serce Faraona. Stworzył je Izaak Newton, zaklinając moce Maginów, których dary odpowiadały poszczególnym żywiołom, w pięciu artefaktach. Newton usiłował zapanować nad mocą Księgi, którą Esta nosiła za pasem, ale jego próby spełzły na niczym. Załamany nerwowo, powierzył artefakty i Księgę członkom Zakonu, którzy później za ich pomocą stworzyli Krawędź i zapanowali nad miastem, a także nad uwięzionymi na wyspie Maginami. Ten stan rzeczy zmienili dopiero Dolph Saunders i jego ludzie.

Lecz nawet jeśli ona i Harte nie zginą w szerokim świecie i odnajdą kamienie, będą musieli jeszcze znaleźć sposób, aby wydostać moc Księgi z Harte'a i uwolnić uwięzionych w mieście Maginów, nie niszcząc Krawędzi. Paradoks polegał bowiem na tym, iż Krawędź magazynowała wyssaną z ludzi magię. Zniszczenie Krawędzi mogłoby się skończyć zniszczeniem samej magii – a wraz z nią wszystkich Maginów.

Z zamyślenia wyrwało Estę szarpnięcie promu dobijającego do przystani. Syrena znów ryknęła i silniki ucichły. Nieliczni pasażerowie na rufie ruszyli w kierunku schodów.

– Gotowa? – spytał Harte. Zbyt cicho, zbyt troskliwie.

To zmartwienie w jego oczach przeważało. Esta ostatni raz spojrzała na miasto po drugiej stronie zatoki, po czym zwróciła się do niego.

– Pomyślałam...

– To bardzo odważnie – zażartował, ale oczy mu się nie śmiały. Nie tak, jak powinny. Nadal za bardzo się o nią martwił, a Esta dobrze wiedziała, że taki strach jest czymś, na co nie mogą sobie teraz pozwolić. Zwłaszcza gdy tak wiele zależało od powodzenia ich misji.

– Myślę, że powinniśmy się rozdzielić.

– Rozdzielić? – powtórzył zdziwiony.

– Inaczej nie załatwię nam biletów do Chicago. Gapisz się na mnie, jakbym miała się zaraz przewrócić. Ludzie to zauważą.

– Może patrzę tak na ciebie dlatego, że wyglądasz, jakbyś ledwie stała na nogach?

– Nic mi nie jest – odparła, unikając jego wzroku.

– Myślisz, że nie widzę, że opierasz się o barierkę?

Puściła mimo uszu tę oczywistą prawdę – i jego poirytowanie.

– Nie ukradnę biletów, jeśli będziesz za mną chodził jak cień.

Harte otworzył usta, lecz nie dopuściła go do głosu.

– Poza tym oficjalnie jesteś martwy – przypomniała. – To jedna z niewielu rzeczy, które działają na naszą korzyść. Zakon cię nie szuka. Nie możemy pozwolić, żeby ktoś nas tutaj rozpoznał, a tak się stanie, gdy będziemy razem.

Przez chwilę patrzył jej w oczy.

– Może i masz rację...

– Zwykle mam rację.

– ...ale pod jednym warunkiem.

– Jakim? – spytała Esta. Chytry wyraz jego oczu ani trochę jej się nie podobał.

Harte wyciągnął rękę.

– Daj mi Księgę.

– Co? – Esta odruchowo się cofnęła. Księga była powodem, dla którego Harte próbował wystawić Dolpha do wiatru. Czyżby była głupia, dając wiarę, że coś między nimi jest?

– Chcesz się rozdzielić, nie ma sprawy. Ale ja wezmę Księgę.

– Nie ufasz mi – odparła, ignorując ukłucie bólu. Po tym wszystkim, co dla niego ryzykowała... Ale czego właściwie mogła się po nim spodziewać?

Miała przed sobą zawodowego oszusta i kłamcę. Zresztą czyż nie to jej się w nim podobało? Dostała to, czego chciała.

– Ufam ci tak samo, jak ty mnie – odpowiedział wykrętnie.

– Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam... – Udawała bardziej zirytowaną niż w rzeczywistości. Prawda była taka, że na jego miejscu zachowałyby się identycznie. Było nawet coś przyjemnego w tym powrocie do dawnych ról, do tej dobrze znanej wzajemnej podejrzliwości, która pomagała im zachować między sobą bezpieczny dystans.

– Masz już jeden kamień – przypomniał jej. – Jeśli oddasz mi Księgę, będzie po równo. Poza tym dla bezpieczeństwa lepiej rozdzielić artefakty, żeby w razie kłopotów nie stracić obu naraz.

Mogłaby z tym dyskutować. I pewnie powinna. Rozumiała jednak, że przystając na jego warunek, wzmocni ich sojusz. Uczucia, które żywiła do Harte'a, nic nie znaczyły wobec ogromu stojących przed nimi wyzwań. Tak przynajmniej sobie powtarzała. Zresztą nosił już moc Księgi w sobie – co za różnica, czy będzie nosił samą Księgę? Tak naprawdę potrzebował kamienia, który miała ukryty pod rękawem – ale o niego nie prosił.

– Dobra.

Bez entuzjazmu, ale i bez wielkiego rozczarowania wysunęła Księgę z zanadru i wyciągnęła przed siebie.

Niewielki tom oprawny w ciemną popękana skórę: mimo dziwnych geometrycznych symboli na okładce Ars Arcana wyglądała bardzo niepozornie. Może dlatego, że jej moc nie była już zaklęta w jej stronicach. A może tak już po prostu jest, że wielka moc nie zawsze przybiera postać, jakiej można by się po niej spodziewać.

Harte wziął Księgę, a gdy zacisnął palce na skórzanej oprawie, Esta znów dojrzała w jego oczach coś jakby kolorowe błyski. Znikły jednak tak szybko, że miała wątpliwości, czy jej się nie przywidziało.

Harte schował Księgę za pazuchą i jeszcze raz poprawił czapkę.

– Idź pierwsza. Odczekam chwilę.

– Powinniśmy ustalić miejsce spotkania.

– Znajdę cię – odparł, ze spokojem patrząc jej w oczy. – Zdobądź dwa bilety na pierwszy pociąg do Chicago i czekaj na mnie na peronie.

Nie chcąc, aby artefakty trafiły w ręce Nibsy'ego Lorcana, Harte wyekspediował większość z nich poza Nowy Jork. Nie chcąc, aby odnalazł je Zakon, rozproszył je po kraju. Pierwszy kamień czekał w Chicago, gdzie występował stary znajomy Harte'a z rewii, Julien Eltinge. Byli opóźnieni o jeden dzień w stosunku do paczki, istniała więc niewielka szansa, że dotrą na miejsce, zanim Julien ją otworzy.

Jednak Chicago z Julienem było zaledwie pierwszym przystankiem na ich drodze. Następny w kolejności był Bill Pickett, kowboj w obwoźnym rodeo, któremu Harte wysłał sztylet. Diadem trafił do dalekiej rodziny w San Francisco, czyli na drugi koniec kontynentu. W dodatku Esta i Harte nie byli jedynymi osobami, którym zależało na odzyskaniu artefaktów Zakonu – ani jedynymi, które potrzebowały sekretnej wiedzy zawartej w Księdze. Na pewno nie zdołają ich odnaleźć w tydzień, a tyle mieli czasu, zanim Logan, którego Esta zostawiła w niedalekiej przyszłości, zjawi się w Nowym Jorku i opowie wszystko Nibsy'emu – o tym, co się wydarzyło potem, kim naprawdę jest Esta i jakie ma słabości.

Należało się jednak spieszyć. Gdy już będą mieli cztery, wrócą do miasta po ostatni kamień, strzeżony przez Jianyu, i staną do walki u boku tych, którzy zostali.

O ile ktokolwiek zostanie, pomyślała.

– No to chyba widzimy się niedługo?

Boże, okropna była ta chrypa zdradzająca jej zmartwienie – i zarazem nadzieję, do której nie chciała się przyznać.

Martwienie się nie było w jej stylu. Podobnie jak nerwy, wątpliwości i wyrzuty sumienia. I tak musi pozostać, bez względu na to, jak śliczne są szare oczy Harte'a Darrigana i jak słaba się czuła po tym, co się z nią stało, gdy przekraczali Krawędź. Jedyna droga wiodła naprzód – i Esta nie potrzebowała niczyjej pomocy.

Ruszyła przed siebie, aby to udowodnić jemu i sobie, lecz chwycił ją delikatnie za nadgarstek. Mogłaby się z łatwością wyrwać, ale zwlekała, bo

uścisk jego dłoni ją uspokajał.

– Nigdzie się nie wybieram, Esto – oznajmił z powagą w oczach. – Najpierw musimy to skończyć.

I wtedy zniknie z mojego życia, pomyślała.

Niespodziewana ckliwość tej myśli przeszła ją niepokojem. Staje się zbyt miękka. Nie może sobie na to pozwolić. Harte dopiero co utwierdził ją w tym przekonaniu. Teraz powinna myśleć jedynie o naprawieniu własnych błędów – w każdym razie tych, które da się naprawić. Z pozostałymi – a było ich co niemiara – będzie musiała jakoś żyć. Uwolni Księgę, zanim jej moc rozerwie Harte'a na kawałki, a potem za jej pomocą zniszczy Zakon, bogaczy żerujących na ludzkiej niedoli. Esta dokończy dzieło Dolpha Saundersa, nawet jeśli przyjdzie jej poświęcić własne życie.

Ale wcześniej wyrówna rachunki z Nibsym Lorcanem – za śmierć Dakariego, jedyne przyjaciela, na którego zawsze mogła liczyć. Za Dolpha, ojca, którego nie знаła, i za Leenę, matkę, której nigdy nie pozna.

Najpierw trzeba było odzyskać kamienie, zaczynając od tego w Chicago. Krok po kroku. Najważniejsza jest misja.

Aż się wzdrygnęła na te słowa profesora Lachlana, które momentalnie przysły jej na myśl. Nie, poprawiła się. To były słowa Nibsy'ego. Słowa zdrajcy, nie mentora i na pewno nie ojca. Nie musiała dłużej się ich trzymać, nie miała ochoty dłużej ich w sobie nosić.

Milcząco wysunęła dłoń z ręki Harte'a i ruszyła przez pokład. Szła ze spuszczoną głową, przyspieszając kroku, by dołączyć do wąskiego strumyczka pasażerów porannego rejsu, którzy przechodzili z portu do większego i bardziej ruchliwego dworca kolejowego. Mijając szerokie drzwi, obejrzała się za siebie, lecz Harte'a już nie było.

ARS ARCANA

1902 rok – Nowy Jork

W swoim krótkim życiu Harte Darrigan nieraz patrzył, jak ludzie od niego odchodzą. Inspicjenci trzaskali drzwiami, widzowie wstawali z miejsc i wychodzili w środku pokazu, który nie zrobił na nich wrażenia. Kumple z dzieciństwa udawali, że go nie znają, po tym jak gang z Five Points naznaczył go swoim tatuażem. Nawet matka odwróciła się od niego, kiedy miał dwanaście lat... choć trudno było zaprzeczyć, że sobie na to zasłużył. A mimo to patrząc, jak Esta odchodzi, miał ochotę wyć, pragnął pobiec za nią i powiedzieć, że zmienił zdanie.

Był to impuls, któremu nie do końca ufał.

Owszem, podziwiał Estę – za talent i determinację. Za to, że patrzyła prosto w oczy, z uniesioną głową, bez strachu. Pod każdym względem była dla niego równorzędną, jeśli nie lepszą, partnerką.

Oczywiście czuł też do niej sympatię – za cięty dowcip i błysk w oku, kiedy się złościła. Podobała mu się jej niezłomna lojalność wobec ludzi, na których jej zależało. I jeszcze to, że nawet gdy kłamała mu w żywe oczy, nie udawała kogoś, kim nie była.

Nie powiedziałby, że ją kocha. Nie... Widział, co miłość zrobiła z jego matką, z Dolphem. Zdaniem Harte'a miłość była oszustwem – kłamstwem, które ludzie wmawiali sobie i innym, żeby ukryć prawdę. Kiedy mówili „miłość”, tak naprawdę mieli na myśli zależność. Obsesję. Słabość. I dlatego: nie, nie powiedziałby, że kocha Estę, mógł natomiast przyznać, że jej pragnie. Może mógłby nawet przyznać, że jej potrzebuje. Ale tylko przed sobą samym.

A teraz pragnął jej i potrzebował bardziej – i mroczniej – niż kiedykolwiek wcześniej. Temu pragnieniu ufał jeszcze mniej, bo nie było całkiem jego. Czuł, jak w najdalszych zakamarkach umysłu moc zawarta niegdyś w Księdze rośnie w siłę i napiera na jego duszę niczym dziobate i szponiaste stworzenie wykluwające się z jaja.

Gdy Esta się oddalała, musiał się trzymać barierki na promie, tak dziko wezbrała w nim tamta moc. Odkrył bowiem prawdę – a była ona taka, że ta dziewczyna jest jego największą słabością.

Gdyby puścił się barierki, poszedłby za nią, a właśnie tego ta moc pragnęła najbardziej. Gdyby za nią poszedł, a sam chciał tego równie mocno, byłoby mu jeszcze trudniej okiełznać siłę, która rozsadzała go od wewnątrz, i uchronić Estę przed niebezpieczeństwem. Bo jeśliby moc objęła nad nim władzę, jeśliby pozwolił jej się zbliżyć do Esty – zważywszy na to, kim była ta dziewczyna i kim mogła się stać – niechybnie schwytałaby ją w swoje szpony. I zniszczyła.

Gdyby wiedział, czym jest Księga, nie walczyłby o nią z taką determinacją. Kiedy Dolph Saunders skusił go perspektywą ucieczki z miasta, Harte nie przypuszczał, że jego własne ciało i umysł mogą stać się jeszcze gorszym więzieniem niż wyspa, na której się urodził. Z całą pewnością nie spodziewał się, że Księga wykradziona Zakonowi okaże się żywą istotą – tego nie wiedział nikt. Gdyby Dolph, Nibsy lub ktokolwiek inny mieli pojęcie, co naprawdę zawiera Księga, nie pozwoliliby mu się do niej zbliżyć.

Jeszcze kilka dni temu wszystko wydawało się znacznie prostsze. Do podziemi Khafre Hall schodził z jasnym planem. Wydierając Księgę ludziom Dolpha, miał zyskać upragnioną wolność i jednocześnie uniemożliwić Nibsy’emu Lorcanowi – tej dwulicowej kanalii – wykorzystanie artefaktu do własnych celów. Przejrzał zamiary Nibsy’ego, który chciał za pomocą Księgi zapanować nad Maginami, a następnie pozbyć się Osobnych. Stara magia znów stałaby się bezpieczna, lecz w tym nowym świecie jedynym prawdziwie wolnym człowiekiem byłby sam Nibsy.

Ale nie chodziło wyłącznie o Lorcanę. Wykradając Księgę, Harte chciał też pokrzyżować szyki Jackowi Grew, udaremnić budowę jego potwornej maszyny, która miała zetrzeć magię z powierzchni ziemi. Niestety, wszystkie jego plany wzięły w łeb z chwilą, gdy położył ręce na skórzanej oprawie.

Harte nigdy nie był zbyt towarzyski. Większość ludzi nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się przed nim odsłaniają, toteż Hart dość wcześnie wyrobił sobie nawyk wyciszania swojego daru, separowania się od innych. Dzięki temu nie cierpiał zalewany znieścacka falami chaotycznych obrazów i myśli, które ludzie beztrudno wysyłali w świat. Nie był jednak przygotowany na zetknięcie z Księgą.

Ledwie jego skóra musnęła splekaną okładkę, natychmiast pojął swój błąd. Poczuł, jak wdziera się w niego paląca energia – magia, której siła nie dała się porównać z niczym innym.

A potem zaczęły się krzyki.

Trwało to raptem kilka sekund, a jakby nie miało końca: ta powódź wrażeń i dźwięków, chaotyczna mieszanina języków, których nie miał prawa rozumieć. Lecz Harte nigdy nie potrzebował znajomości słów, by czytać w ludzkich sercach i umysłach, a kontakt z Księgą był jak czytanie w człowieku.

Właściwie nawet dużo łatwiejsze. Jakby moc zawarta w Księdze tylko na to czekała – aż on stanie się jej ciałem. Prawie od razu pojął, że Księga jest czymś więcej, niż wszyscy przypuszczali. Była mocą. Gniewem. Bijącym sercem magii na świecie. Pragnęła ni mniej, ni więcej, tylko się uwolnić. Powrócić i pożerać.

A najbardziej chciała pożreć Estę.

Na szczęście moc, którą niechcący wyzwolił, była wciąż osłabiona wiekami uwięzienia. Harte, jeśli się skupił, mógł ją stłumić, zamknąć w sobie. Z każdym dniem stawała się jednak coraz silniejsza i wiedział, że nie zdoła powstrzymać jej wiecznie. Nie zamierzał nawet próbować.

Zamierzał natomiast odebrać sobie życie. Nie był pewien, czy skok z mostu do wody uciszy te hałaśliwe głosy, lecz uznał, że przynajmniej nie

będzie dłużej ich pionkiem. Dopiero wieczorem w przededniu skoku zjawił się w porcie Jianyu i podsunął mu inne rozwiązanie.

Harte zdążył już wcześniej rozproszyc artefakty – większość wysłał poza miasto, jak najdalej od Nibsy'ego. Poniewczasie zdał sobie sprawę, że mógłby przy ich użyciu zapanować nad mocą Księgi. A już na pewno nie spodziewał się powrotu Esty.

Teraz od jego panowania nad Księgą zależało, czy uda się powstrzymać Nibsy'ego i Zakon oraz uchronić Estę. Potrzebowali więc artefaktów. Aby je odzyskać, musieli zostawić parę osób na pastwę losu, między innymi jego matkę i Jianyu. A co chyba najgorsze, musieli zostawić jeden z kamieni.

Harte dał go Celi, bo nie miał jak się jej odwdzięczyć za opiekę nad swoją matką. Wrobił ją w to, używając swojego daru. Pierścień wydał mu się najbardziej niepozornym ze wszystkich artefaktów, może nie licząc bransolety, którą wzięła Esta. Harte już wtedy wiedział, że to nie całkiem uczciwa wymiana. Teraz, gdy Esta wróciła, w pełni zrozumiał, na jakie niebezpieczeństwo naraził Celę – zwłaszcza jeśli chłopak, którego Esta przeniosła w przeszłość, wpadnie na jej trop. Pozostawało mieć nadzieję, że rozkaz, który zakodował jej w głowie za pomocą swojego daru, pomoże Celi uchronić się przed zagrożeniem, dopóki Jianyu nie otoczy jej i kamienia swoją opieką.

Harte jeszcze przez dłuższą chwilę stał, trzymając się barierki, aż Esta całkiem zniknęła mu z oczu, a członkowie załogi zaczęli niepokojąco często zerkać w jego stronę.

Schodząc z pokładu na stały ląd New Jersey, sprawdził, czy uwięziona w nim moc, zepchnięta głęboko, nadal drzemie.

Dla Harte'a, który całe życie spędził na Manhattanie, ten stan po drugiej stronie rzeki był prawie jak inny kontynent. Dookoła podróżni zbierali bagaże, zwoływali swoje dzieci, po czym szli w stronę dworca. Ruszył za nimi z opuszczonym wzrokiem i czapką nisko nasuniętą na czoło, dając się porwać strumieniowi ludzi. U jednych wyczuwał podekscytowanie podróżą w odległe strony, u innych znużenie przemierzaniem po raz tysięczny tej

samej trasy. Ani jedni, ani drudzy nie zdawali sobie sprawy, jaki to cud, że mogą sobie kupić bilet, wsiąść do pociągu i wysiąść zupełnie gdzie indziej. Harte był pewien, że jemu ten cud nigdy nie spowszednieje, bez względu na to, ile czasu mu pozostało.

Niesiony do przodu przez tłum poczuł, że cały świat należy do niego. Może ich misja mimo wszystko się powiedzie, może inna przyszłość wciąż jest możliwa. Zaraz jednak w zakamarkach jego umysłu wezbrały szepty. Ponury chór zlał się w jeden głos mówiący językiem, którego Harte nie miał prawa znać, a mimo to go rozumiał. To było jedno słowo i jego znaczenia mógł się tylko domyślać.

„Wkrótce”.

SYRENA

1902 rok – Nowy Jork

W górze słońce wspinało się już po niebie, na dole tramwaj sunął z brzękiem na północ. Jianyu zaszył się w rogu z tyłu wagonu, pilnując, żeby nikogo nie dotknąć i nie ujawnić swojej obecności. Wysiadł na Broadwayu, niedaleko Teatru Wallacka, gdzie dawniej występował Harte Darrigan. Sąsiedzi Celi uważali, że uciekła z domu ze względu na związek z pożarem, ale Jianyu miał inne przeczucie. Nie wiedział, dokąd się udała, lecz miał nadzieję, że prędzej czy później wróci tutaj, do teatru, swojego miejsca pracy.

W porannym słońcu łatwiej było manipulować światłem, otwierać jego wiązki i się nimi otaczać. Pod teatrem uniósł wzrok i napotkał znajome spojrzenie.

Było to jedynie malowidło, wielka reklama spektakli, które można było obejrzeć w środku, lecz nieruchome oczy Harte'a Darrigana wpatrywały się właśnie w niego. Czy zachęcały go, czy przestrzegały – tego nie wiedział.

Wciąż ukryty przed wzrokiem przechodniów, Jianyu przyglądał się budynkowi z chodnika po drugiej stronie ulicy. Mógłby tu zostać i wypatrywać Celi, uznał jednak, że lepiej będzie wejść do środka – a nuż znajdzie tam jakiś nowy trop. Otulony szczelnie swoją magią, przeciął ulicę, kierując się ku bocznemu wejściu. Otworzył drzwi wytrychem, wślizgnął się do ciemnego teatru i zaczął się rozglądać za Celą na tyłach sceny.

W teatrze panowały cisza i mrok. Jianyu nigdy wcześniej tu nie był – tu ani w żadnym innym broadwayowskim przybytku z jarzącym się szyldem. Kiedyś, niedługo po przyjeździe do Nowego Jorku, poszedł na spektakl do

Teatru Bowery, ale tam panował straszny jazgot, a sam budynek częściowo zdemolowali bywalcy. W Teatrze Wallacka było inaczej. Wyglądał trochę jak pałac i Jianyu przypuszczał, że tutejsza klientela zachowuje się bardziej elegancko.

Wchodził coraz głębiej wąskimi korytarzami, mijając garderobę za garderobą. Jednak Cela nie występowała na scenie. Próżno byłoby szukać tabliczki z jej imieniem na drzwiach. Nie, musiała mieć swój kąt gdzie indziej, w jakimś bardziej ustronnym miejscu. Szedł dalej w ciemnościach, aż dotarł do schodów prowadzących do piwnicy.

Na dole powietrze pachniało kurzem i stęchlizną, świeżo pociętym drewnem i gryzącą farbą. Było tu jeszcze ciemniej, ale nawet w zupełnym mroku zazwyczaj można było znaleźć jakąś nitkę światła. Jianyu wyjął brązowe dyski, które pomagały mu skoncentrować swój dar, i za ich pomocą otworzył skąpe promyki, tak by pozostać niewidocznym.

Najpierw spostrzegł za sobą migoczące światełko, a dopiero potem usłyszał towarzyszący mu głos.

– Mogę w czymś pomóc?

Odwrócił się i ujrzał przed sobą kobietę o płomiennych włosach.

Niemożliwe, żeby mnie widziała, pomyślał.

– Wiem, że tam jesteś – rzekła, patrząc w jego stronę. W ciemnościach twarz miała bladą jak zjawa. – Wyczuwam cię. Lepiej mi się pokaż, bo inaczej zaraz kogoś wezwę.

Jianyu stał nieruchomo, ze wstrzymanym oddechem, i rozważał wszystkie możliwości.

– Gdybyś się zastanawiał, te schody to jedyne wyjście. Wiem, co z ciebie za jeden – oznajmiła z kamienną twarzą. – Czuję cię.

Raptem poczuł, że muskają go nitki ciepłej energii. Ta kobieta była Maginem jak on. Mógł spróbować ucieczki, ale skoro władała magią, kto wie, do czego była zdolna. Lepiej od razu stawić jej czoło. Może się nawet okaże, że są po tej samej stronie?

Wypuścił promyki światła i patrzył, jak oczy kobiety znajdują go wśród mroku.

– Od razu lepiej – powiedziała z uśmiechem.

– Nie miałem złych zamiarów – zapewnił ją, pochylając głowę, tak by rondo kapelusza zacieniało mu twarz.

– Wczesna pora na wizytę – zauważyła. Jej magia wciąż go muskała, była jak ciepłe palce, które głaszczą po szyi, dotykają policzka, rozpalają w żyłach coś, co niepokojąco przypomina pożądanie.

– Szukam kogoś – powiedział, opierając się pokusie tych ciepłych nitek.

– No to chyba kogoś znalazłeś – odparła z nieco zbyt gościnnym uśmiechem, schodząc po ostatnich stopniach.

Jianyu głośno przełknął ślinę.

– Szukam panny Johnson... Celi Johnson – rzekł, walcząc ze sobą, by nie podejść do tej obcej kobiety, która, jeśli go wzrok nie mylił, miała na sobie tylko jedwabną podomkę, a każdy jej ruch odsłaniał dodatkowy skrawek jasnej skóry.

– A kto szuka? – rzuciła, robiąc kolejny krok w jego stronę.

Nitki ciepłej magii były coraz silniejsze i Jianyu instynktownie czuł, że powinien mieć się na baczności.

– Ona mnie nie zna – odrzekł, za wszelką ceną starając się nie ulec jej powabowi. – Ale mamy wspólnego znajomego.

Kobieta zrobiła jeszcze jeden krok w jego kierunku. Oczy jej błyszczały, ciemne usta drgnęły jakby w rozbawieniu. Przyszło mu do głowy, że taką samą minę ogląda mysz na chwilę przed tym, zanim rzuci się na nią kot.

– Czy ten znajomy ma imię? – spytała, wciąż się zbliżając. Jej oczy były teraz na równi z jego oczami.

– Wolałbym, żeby to zostało między mną a panną Johnson.

– Doprawdy? – Kobieta cmoknęła. – No cóż, wielka szkoda, tym bardziej że nie ma tu żadnej Celi Johnson.

– Rozumiem...

Kłamała. Wyczytał to z jej twarzy bez najmniejszego trudu. Dzieliły ich już tylko trzy kroki, jeszcze chwila i będzie go miała na wyciągnięcie ręki. Jianyu czuł niejasno, że nie może do tego dopuścić.

– W takim razie nic tu po mnie...

Przyspieszyła gwałtownie, lecz Jianyu zdążył wyjąć z kieszeni lusterka, uniósł je płynnym ruchem i okręcił się na pięcie. Uciekł owinięty nikłym światłem, a rudowłosa kobieta, chwytając pustkę, przewróciła się na ziemię.

Ona wie, gdzie jest Cela Johnson, pomyślał Jianyu, pędząc długimi susami do wyjścia. Postanowił na chwilę się wycofać, a potem wrócić i jeszcze raz przeszukać teatr. Nie spocznie, dopóki jej nie znajdzie.

POWIEW MAGII

1902 rok – New Jersey

Na dworcu kolejowym zgiełk rozmów pod szklanym dachem był ogłuszający, lecz Esta prawie go nie słyszała. Była zbyt skoncentrowana na swoim zadaniu.

Stacja w New Jersey, którą widziała pierwszy raz w życiu, miała w sobie jednak coś znajomego. W swoim czasie Esta często bywała z profesorem Lachlanem na dworcu Grand Central. Uczył ją tam sztuki obserwacji, odsłaniał przed nią tajniki ludzkiej natury. Turyści, przytłoczeni wielkością miasta i tempem tutejszego życia, trzymali się kurczowo swoich obskurnych walizek, jakby bali się, że sam diabeł zechce je porwać, ale mieszkańcy, przyzwyczajeni do hałasu i krzątaniny, nie byli już tak czujni. Profesor uczył ją przyglądania się podróżnym, zbyt zajęтым swoimi telefonami, by spostrzegli złodzieja śledzącego każdy ich ruch.

Rozkład jazdy rozpisano kredą na wielkiej tablicy w hali głównej dworca. Pociąg do Chicago odjeżdżał o wpół do z peronu siódmego, lecz musiała najpierw zdobyć dwa bilety. Uznali z Harte'em, że kupno biletów tak blisko Nowego Jorku byłoby zbyt niebezpieczne – ktoś mógłby ich rozpoznać. Przypuszczalnie Zakon wciąż ich – a zwłaszcza jej – szukał i rozesłał wiadomości do wszystkich węzłów komunikacyjnych. Dlatego zamiast kupować dwa bilety, należało je ukraść.

Dawniej Esta, upatrzwszy sobie ofiarę, bez chwili wahania zwolniłaby bieg czasu i wślizgnęła się ukradkiem w szpary między sekundami. Ale po tym, co się stało na moście – po ciemnościach, które ją tam spowiły, i po tym wrażeniu, jakby czas rozpląwał się wokół niej – nie była już tak pewna siebie... ani swojego daru.

I nie czuła się z tym dobrze.

Ale ta ciemność... Na samo wspomnienie przeszywał ją dreszcz. Nie chciała przyznać przed sobą, że się boi – że boi się, co tamta ciemność mogła oznaczać. A jeśli spróbuje teraz użyć daru i okaże się, że go utraciła albo że jakoś ucierpiał w kontakcie z Krawędzią?

Zrobiła więc to, co każdy zrobiłby na jej miejscu – nie przyznała się do tego ani przed sobą, ani przed nikim innym. Trzymała się mocno swej popartej doświadczeniem intuicji, że jest wystarczająco dobrą złodziejką, by bez pomocy magii podprowadzić dwa bilety niczego niepodejrzewającym ofiarom. Nawet jeśli nogi miała jak z waty.

Nie wybrała jeszcze ostatecznie miejsca, z którego będzie wypatrywać celu, gdy nagle poczuła przyjemny, ciepły podmuch energii – oznakę starej magii. Marszcząc brwi, rozejrzała się po tłumie w poszukiwaniu Harte'a. Umówili się, że spotkają się na peronie, ale nietrzymanie się planu byłoby w jego stylu. Zjawiając się teraz, naraziłby ją na niebezpieczeństwo. Nigdzie go jednak nie widziała. I choć odczekała dobrą chwilę, nie poczuła już więcej tego ciepła.

Może jej się tylko wydawało...

– Nie mamy czasu na śniadanie. Pociąg odjeżdża za niecałe dziesięć minut, a my jeszcze musimy znaleźć siódmy peron. – Niski męski głos przywołał Estę z powrotem do rzeczywistości.

Peron siódmy... Pociąg do Chicago.

Esta rozejrzała się za właścicielem tego głosu. Nieopodal trzech mężczyzn w elegancko skrojonych garniturach oglądało swoje bilety. Jeden, mrużąc oczy, wpatrywał się w tablicę odjazdów, sprawdzając numer peronu, drugi wetknął bilet do zewnętrznej kieszeni lśniącej skórzanej torby. Esta nasłuchiwała jeszcze chwilę, a kiedy jeden z podróżnych powtórzył numer peronu, ruszyła przed siebie.

Nie mogła tak zwyczajnie pójść za nimi – to byłoby zbyt ostentacyjne. Na szczęście z hali dworcowej na perony prowadziło tylko jedno przejście. Tam zajdzie im drogę. Z wykradzeniem jednego biletu nie powinno być problemu. Z drugim będzie tylko trochę trudniej.

Z każdym krokiem czuła się coraz pewniej i ta pewność siebie była niemal tak skuteczna jak niewidzialność Jianyu. Obserwując trzech mężczyzn kątem oka, kierowała się w stronę peronów. Znalazłszy się jakieś trzy metry przed nimi, przystanęła, udając, że czyta plakat reklamujący występy przybyłej do miasta rewii, tak naprawdę jednak wciąż koncentrowała się na swoich ofiarach. Gdy mężczyźni ją minęli, odczekała jeszcze chwilę, po czym ruszyła za nimi. Łatwiej będzie ukraść bilety w tunelu, gdzie panował większy tłok i można się było zbliżyć albo nawet wpaść na kogoś, nie budząc podejrzeń.

Byli tuż przed nią, bilet wciąż wystawał z kieszeni torby. Łatwizna.

Przy wejściu na perony przyspieszyła kroku. Jeszcze parę metrów i przemknie między nimi. Może się potknie i przewróci. Któryś z mężczyzn pewnie poda jej rękę i będzie mogła ukraść drugi bilet. Potem Esta wsiądzie z Harte'em do pociągu, zanim tamci w ogóle się zorientują, że zostali okradzeni.

Deptała im już po piętach, gdy nagle znów poczuła powiew ciepłej energii. Zaskoczona potknęła się o własne nogi i prawie byłaby upadła. Przyspieszając, by dogonić tamtych trzech, rozglądała się po wąskim korytarzu. Ani śladu Harte'a. Mężczyźni byli tuż przy wyjściu na peron. Zbliżyła się na odległość ramienia. Jeszcze bliżej... Bilet w kieszeni torby był już prawie na wyciągnięcie ręki, gdy usłyszała, że ktoś ją woła po imieniu.

– Esta?

Zamarła nie pod wpływem zaskoczenia, lecz dlatego, że głos wydał jej się znajomy. W pierwszej chwili pomyślała, że to Harte, lecz kiedy się odwróciła, pojęła swój błąd. To była głupia pomyłka, której na pewno by nie popełniła, będąc w lepszej formie.

Zanim całkiem do niej dotarło, kto ją zawołał, Jack Grew chwycił ją za ramię.

NEW BRIGHTON

1902 rok – Nowy Jork

Viola w milczeniu przeszła z matką siedem przecznic do niewielkiego klubu sportowego, w którym jej brat spędzał większość dnia. Ciężkie poranne powietrze zapowiadało deszcz, a zapachy popiołu i sadzy mieszały się z charakterystycznymi dla tej dzielnicy aromatami przejrzalnych owoców i śmieci walających się w rynsztoku oraz wonią wypiekanego chleba, czosnku i przypraw. Kiedy mijały jeszcze tłący się budynek, Viola nie miała wątpliwości, kto jest winny tej tragedii.

Ona sama.

Dając się przechytrzyć temu magikowi, zawiodła Dolpha, swoich ludzi i siebie. Zakon nie tylko nie został zniszczony, ale jeszcze nasilił represje, mszcząc się na całym mieście za uczynek garstki osób.

Gdyby mogła, zabiłaby własnoręcznie wszystkich członków bractwa. Aby to zrobić, musiała jednak pozostać przy życiu, a do tego potrzebowała pomocy Paola.

Kiedy po śmierci ojca odpowiedzialność za rodzinę spadła na jego barki, Paolo utrzymywał ich, biorąc udział w zawodach pięściarskich. Zangielszczył swoje imię, uznając – słusznie, jak czas pokazał – że jako Paul Kelly szybciej się dorobi. W końcu jednak porzucił boks. Prowadzenie gangu z Five Points okazało się zajęciem o wiele bardziej intratnym – i mniej szkodliwym dla uzębienia. A ponieważ jej brat był sprytny i wiedział, komu dać w łapę, mógł liczyć na pobłażliwość policji.

Układy Paula z ratuszem zapewniły sukces jego klubowi sportowemu, który stanowił jedynie przykrywkę dla mniej legalnej działalności. Po zmierzchu odbywały się tam walki bokserskie, podczas których lało się

piwo i robiono zakłady, a część pieniędzy trafiała, rzecz jasna, do kieszeni Paula. Matka, ponieważ ukrywał przed nią prawdę, nie wiedziała, z czego jej syn utrzymuje rodzinę.

Inaczej niż w Stu Diabłach, czyli w klubie pięściarskim Dolpha Saundersa, u Paula nie czuło się pulsowania magii. Paul, podobnie jak matka, należał do Osobnych, czyli ludzi pozbawionych daru, a jego gang składał się przede wszystkim z miejscowych chłopaków, których trudne dzieciństwo zamieniało w brutalnych mężczyzn. Viola była w rodzinie czarną owcą, niespodziewaną anomalią po wielu pokoleniach bez magii. Rodzice uważali, że to zmarnowany dar, bo przypadł dziewczynie, ale brat dostrzegł w jej mocy szansę – i uznał, że ma pełne prawo z niej skorzystać.

Viola, oczywiście, miała nieco inny punkt widzenia, który jednak niespecjalnie obchodził Paula i matkę.

O tej porze w klubie było jeszcze pusto. Kiedy matka zapukała do niepozornych drewnianych drzwi, wpuścił ich bez słowa chłopak mniej więcej w wieku Violi. W dalekim kącie największej sali muskularny mężczyzna okładał pięściami wiszący u sufitu ciężki worek. Tors miał obnażony, a na lewej łopatkę widniał krwistoczerwony znak gangu z Five Points, będący zarazem mapą tej osławionej dzielnicy. Dwóch innych bokserów trenowało pośrodku sali, w której robiło się duszno od potu i ciepła ich ciał. Walce przyglądał się starszy mężczyzna z cienkim cygarem w ustach.

Gdy Viola z matką weszły do środka, mężczyzna podniósł wzrok. Twarz, po której najpierw, na widok matki, przemknął wyraz zdziwienia, skamieniała, gdy ujrzał Violę. Odruchowo sięgnął do kamizelki, w której bez wątpienia chował broń. Dwóch walczących i olbrzym w kącie przerwali trening, by zobaczyć, kto przyszedł.

– Zawołaj mojego syna – rzekła matka, w ogóle nie przejmując się napiętą atmosferą w sali.

Starszy mężczyzna nie zrobił nic, co by wskazywało, że zamierza spełnić jej rozkaz.

– Co ona tutaj robi? – spytał, kiwając głową w stronę Violi.

Podobnie jak jej córka, Pasqualina Vaccarelli miała ledwie półtora metra wzrostu. Mimo przysadzistej budowy wyglądała raczej niepozornie. Teraz na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Zmierzyła męczyzną spojrzeniem, jakie posyłała nieraz Violi i jej rodzeństwu, nie wyłączając Paola, spojrzeniem, które nie wróżyło niczego dobrego – w pamięci Violi łączyło się nierozzerwalnie z piekącym bólem od uderzenia drewnianą łyżką.

– A co tobie do tego?

Męczyzna rozdał nozdrza, lecz oddalił gestem dwóch bokserów, po czym sam udał się na zaplecze, by zawołać Paula. Matka Violi zajęła zwolnione krzesło. Viola nie usiadła. Woląa zmierzyć się z bratem na stojąco.

Minęło pięć, dziesięć minut, odmierzanych tylko trzaskiem pięści olbrzyma o worek treningowy. Wreszcie Paul wyłonił się z ciemnego przejścia, jak zwykle w dobrze skrojonym garniturze, z gładko zaczesanymi ciemnymi włosami. Bardziej niż gangstera, którym był, przypominał bankiera. Uściskał matkę i przez dłuższą chwilę prawił jej komplementy, całkowicie ignorując Violę. Nie miała jednak żadnych wątpliwości, że ją widział, toteż nie była zdziwiona, gdy w końcu zwrócił się ku niej.

Atak jej nie zaskoczył – spodziewała się go – i gdyby zechciała, bez trudu wyprzedziłaby cios, ale tego nie zrobiła. Uderzenie na odlew odrzuciło ją do tyłu, aż pociemniało jej przed oczami i dosłownie zobaczyła gwiazdy. Utrzymała się jednak na nogach i nawet nie stęknęła z bólu. Nie zamierzała dać mu tej satysfakcji.

Zanim zdążyła się wyprostować, nadszedł kolejny cios. A po nim następny, aż poczuła strużkę krwi pod nosem i jej żelazisty smak w ustach. Zakręciło jej się w głowie tak mocno, że nie zdołała dłużej ustać i osunęła się na kolana. Ból spowodowany pięścią brata na chwilę przykrył cały świat.

Ostrożnie dotknęła skaleczonej wargi, nic jednak nie mówiąc i nie podnosząc wzroku na Paola. Słuchała tylko głuchego bach, bach, bach, pięści uderzających o worek w rytmie bicia jej zmęczonego i sponiewieranego serca.

Paul dźwignął ją na nogi. Viola usiłowała skupić na nim rozmazany wzrok. Gdy zbliżył swoją twarz do jej twarzy, usłyszała, jak mama woła:

– *Basta!*

– Ja sam zdecyduję, czy już wystarczy, mamó – rzekł Paul, mocniej zaciskając palce na ramieniu Violi, tak żeby matka nie widziała.

Viola czuła zapach drogiej wody kolońskiej, ciepło rozłożystego ciała, które osaczało ją swoim ogromem. Paul próbował ją zastraszyć, tak jak w dzieciństwie. Ale Viola już dawno nie była dzieckiem.

– Musi znać swoje miejsce – dodał.

– Już jej pokazałeś – odparła matka tonem ucinającym dyskusję. – Cokolwiek by zrobiła, jest moją córką, a twoją siostrą.

Viola bez mrugnięcia wytrzymała groźne spojrzenie Paula. Jeszcze przez chwilę ścisnął jej ramię jak w imadle, aż wreszcie puścił. Podeszedł do matki i położywszy dłonie na jej ramionach, pocałował ją w policzek.

– Nie martw się, mamó. Potrafię się zatroszczyć o rodzinę. O ciebie chyba się troszczę?

Viola nawet bez patrzenia wiedziała, że spojrzenie matki zmiękło, a jej surowe usta podniosły się w kącikach. Słyszała czułość w jej głosie.

– Dobry z ciebie chłopiec, Paolo.

Viola musiała się powstrzymać, żeby nie parsknąć.

Paul przywołał jednego ze swoich chłopaków, a gdy chwilę później dwóch przybiegło z zaplecza jak szczury, kazał im odwiedzić matkę do domu.

Przed wyjściem podeszła jeszcze do Violi i pewnym chwytem ujęła ją za podbródek. Z niemal ciepłym wyrazem w oczach przyjrzała się zakrwawionej twarzy córki.

– Słuchaj brata, *figghia*. Później odwiedzimy ojca Lorenza i będziesz mogła się wypowiadać.

– Dobrze, mamó – wymamrotała Viola, spuszczać oczy. Gorycz tych słów wymieszała się w jej ustach ze smakiem krwi. Zignorowała ciężące jak kamień znużenie, poczucie krzywdy, którego nie mogła wymazać, tak jak nie dało się zmasać tatuażu między jej łopatkami.

Gdy matka wyszła, Paul stanął przed Violą i utkwiał w niej spojrzenie pełne odrazy, ale i zazdrości.

– Wiem, po co wróciłaś. – Szerokie usta wygięły się w pogardliwym uśmiechu. – Mama myśli, że poszłaś po rozum do głowy, ale to nie całkiem tak, prawda? – Poklepał ją niezbyt przyjaźnie po wciąż piekącym policzku. – Nie, tak naprawdę wróciłaś, bo nie ma już tego kuternogi, który cię chronił. Zgadłem?

Miała ochotę splunąć mu w twarz. Przekląć jego imię i powiedzieć, że Dolph Saunders miał w sobie więcej męczyzny, niż on kiedykolwiek zdoła mieć. Ale zacisnęła tylko zęby i starała się nie dać po sobie poznać, jak bardzo go w tej chwili nienawidzi.

– No co? Nie masz nic na swoją obronę?

– Jakie to ma znaczenie, dlaczego wróciłam? – wymamrotała przez spuchnięte wargi. – Wróciłam i już. Możesz mnie znowu wykorzystać.

Kąciaki jego szerokich ust opadły.

– Dopóki nie mogę ci ufać, nie mam z ciebie żadnego pożytku.

– A wobec kogo mam być teraz lojalna, jeśli nie wobec ciebie? – spytała retorycznie. – Jak sam zauważyłeś, Dolph Saunders nie żyje, a ja nie chcę zginąć ani wpaść w ręce jakiegoś patrolu Zakonu. Myślisz, że nie widziałam, jak twoi chłopcy im pomagają? Myślisz, że nie wiem, że masz wpływowych przyjaciół? – Pokręciła głową. – Nie jestem idiotką, Paolo. Nie mam dokąd pójść. Jeśli ochronisz mnie przed Zakonem, zrobię, co każesz.

Paul przez chwilę milczał.

– Wiem, na czym ci zależy – podjęła na nowo. – Chcesz być panem Bowery. Wszyscy wiedzą, do czego jestem zdolna. Wszyscy. Nie sądzisz, że to cię wzmocni, jak się dowiedzą, że stoję po twojej stronie?

Przyglądał się jej. Twarz miał podobną do twarzy ich zmarłego ojca i zarazem inną. Twardszą, mniej wyrozumiałą. O wiele, wiele bardziej zaciętą.

Zbliżył się do niej na pół kroku i znenacka chwycił ją potężnymi łapskami za gardło, tak że nie mogła oddychać. Tak żeby pozostawić ślad na szyi.

– To było mądre posunięcie, siostrzyczko, pójść najpierw do mamy. Dam ci szansę ze względu na nią. Ale jeśli znów mi się sprzeciwisz, marnie skończysz.

Resztkami sił Viola przywołała swój dar i skierowała magiczną energię na brata. Oczy wyszły mu z orbit, puścił jej gardło i sam złapał się za szyję. Mężczyzna, który okładał pięściami worek, natychmiast przerwał trening i ruszył w ich stronę.

– Każ mu odejść – rozkazała bratu.

Z oczu Paula biła wściekłość, ale robił się już purpurowy z braku powietrza. Wreszcie uniósł rękę i bokser się zatrzymał.

– Nie wróciłam, żeby cię skrzywdzić, choć Bóg mi świadkiem, że mam powody, po tym, co zrobiłeś. Ale spróbuj mnie znowu dotknąć albo pozwól na to któremuś ze swoich ludzi, a przysięgam, że zginiesz.

Puściła go. Ciężko dysząc, zatoczył się do tyłu.

– To ja ciebie zabiję – wychrypiał.

Viola skwitowała tę groźbę sceptycznym spojrzeniem.

– Lepiej, żeby ta kula była szybka.

– Zadbam o to – odparł z gniewem.

– A jak to wytłumaczysz mamie? – Ułożyła zdrętwiałe usta w coś na kształt zimnego uśmiechu. – Jeśli coś mi się stanie, mama dowie się wszystkiego o twoich interesach, o dziwkach i przestępcach, którym zawdzięczasz pieniądze. Zadbam o to. – Było to oczywiście kłamstwo. Gdyby miała się do kogo zwrócić, nie stałaby teraz przed nim upokorzona. – Potrzebuję twojej ochrony, w zamian oferuję ci ostrze mojego sztyletu. Ale nie waż się mnie tknąć, ty i twoi *scagnozzi*.

Brat i siostra przez chwilę mierzyli się wzrokiem w napiętej ciszy. W końcu Paul westchnął cicho, jak gdyby lekko rozbawiony.

Va bene, pomyślała. Musiała szanować jego pozycję, nawet jeśli on nie szanował jej.

– Idź się umyj. – Wskazał gestem plamy krwi na jej koszuli. – Jeśli masz dla mnie pracować, nie możesz tak wyglądać. Chcesz mojej ochrony? Musisz na nią zapracować.

– Jestem na to gotowa. – Viola była zbyt zmęczona, zbyt znużona przemocą w swoim życiu, by poczuć teraz cokolwiek przypominającego ulgę. Poczula za to pewien rodzaj satysfakcji. Paul już by ją zabił, gdyby nie zamierzał jej zatrzymać. Będzie teraz mogła w spokoju zastanowić się, co dalej. Na razie była bezpieczna – o ile można w ogóle czuć się bezpiecznym w Nowym Jorku, będąc Maginem.

Zanim jednak zdążyła się oddalić, dzwonek u wejścia oznajmił przybycie kolejnego gościa.

– James – rzekł Paul, omijając Violę.

Odwróciła się. Na tle jasnego poranka odcinała się znajoma twarz chłopaka o mysich włosach i złotych okularach. Co on tu robił, skoro był teraz hersztem Stu Diabłów? Stał wsparty na lasce zwieńczonej srebrną głową Meduzy o twarzy Leeny, przyjaciółki Violi. Ta laska należała wcześniej do Dolpha Saundersa.

Viola zrobiła krok naprzód, gotowa wyrwać ją Nibsy’emu z rąk. Nie miał prawa. Zatrzymało ją dopiero surowe spojrzenie Paula. Za wcześnie, by mu się narażać. Za wcześnie, by się dowiedział, w czyjej drużynie gra tak naprawdę.

– Dziękuję, że znalazłeś dla mnie czas, Paul.

– Drobiazg. Znasz moją siostrę – rzekł Kelly, wskazując Violę nonszalanckim gestem. – Wróciła na łono rodziny.

– O, doprawdy? – Nibsy Lorcan wkuśtykał do środka.

Widziała jego pytające spojrzenie, lecz nie odezwała się ani słowem.

– Cześć, Violu. Co za niespodzianka. Choć skłamałbym, mówiąc, że miło cię znów widzieć – oznajmił Nibsy, wskazując kulawą nogę. Oczywiście błysnęły mu zza szkieł.

– Poczekaj, zaraz ci zrobię niespodziankę – odwarknęła, postępując krok w jego stronę.

– Już mi zrobiłaś. – Głos Nibsy’ego był niższy i groźniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. To wystarczyło, żeby Viola się zawahała. Nibsy spojrzał na Paula. – Jeśli nie zapanujesz nad swoją siostrą, nasz plan może szlag trafić. Byłaby to wielka szkoda, tym bardziej że przychodzę do ciebie z informacją, o którą prosiłeś. – Wyciągnął z kieszeni płaszcza zwitek papieru i uniósł go demonstracyjnie.

– Dość! – rzucił Paul, ledwie zerkając na Violę. – Powiedziałem: idź się umyć.

– Nie odejdę, dopóki nie odda mi tego, co moje. – Viola z determinacją spojrzała bratu w oczy. – Chcesz, żebym była twoim ostrzem? To chyba lepiej, żebym miała nóż.

Wyraz twarzy Paula prawie się nie zmienił, ale znała go wystarczająco długo, by dojrzeć w jego oczach zimną kalkulację.

– Zapominasz, siostrzyczko, o jednym: ja wiem, że do zabijania niepotrzebny ci nóż. Jeśli pan Lorcan ma coś twojego, może to zatrzymać... jako prezent ode mnie.

– Nie możesz...

– Ależ mogę – odparł cicho Paul. – Albo wróciłaś do rodziny, albo nie. Albo będziesz wobec mnie lojalna – posłuszna – albo nie mamy o czym rozmawiać.

Viola łypnęła groźnie na brata. Przeszło jej przez myśl, żeby skończyć z tą farsą – skończyć z Paolem. Ale co by potem zrobiła? Już nigdy nie spojrzałyby w oczy matce i znów zostałyby sama jak palec. Wyszłoby na to, że tylko niepotrzebnie dała się pobić. I pewnie już nigdy nie dowiedziałyby się, jakiego targu Nibsy dobił z jej bratem.

Jeszcze przez kilka sekund patrzyła Paulowi w oczy, żeby mu pokazać, że się go nie boi. Dokonała jednak wyboru. Będzie udawać posłuszną i cierpliwie czekać na swój moment. Jeszcze obaj pożąłują tego, co zrobili.

Śmierć byłaby dla jej brata zbyt łagodną karą. Nieważne, że łączyła ich krew; będzie musiał wycierpieć swoje.

UŚMIECH WĘŻA

1902 rok – New Jersey

Wiedziałem, że to ty – powiedział Jack, trzymając Estę mocno za ramię.

Niemożliwe, pomyślała Esta. Skąd on się tu wziął?

Zdziwienie na chwilę ją sparaliżowało – ale tylko na chwilę. Zaraz potem przyszła chłodna pewność uczucia znacznie mroczniejszego niż strach. Oczywiście, że Jack Grew był tutaj. Jako bratanek J.P. Morgana należał do nowojorskiej arystokracji. Wystarczyło, że rodzina zapłaciła odpowiednim ludziom, szepnęła komuś słówko, by zamieść pod dywan niemądry postępek, jakiego dopuścił się na moście. I nieważne, że tym postępkem było usiłowanie zabójstwa.

Bo gdyby nie refleks Esty, która wstrzymała bieg czasu i odciągnęła Harte'a z linii strzału, Jack by go zabił. A za pomocą straszliwej maszyny, którą próbował zbudować, zabiłby wszystkich Maginów w mieście. Nawet teraz miał to samo co dzień wcześniej dzikie spojrzenie groźnego człowieka. Esta nie zamierzała dać mu szansy, by zabił i ją.

Pozbierała szybko myśli i przełykając gorycz odrazy, którą poczuła w ustach, przywołała na twarz wężowy uśmiech i weszła gładko w udawany akcent, z jakim wcześniej mówiła w jego towarzystwie.

– Jack, słońce – zamruczała, ostrożnie sprawdzając siłę jego chwytu. – To naprawdę ty?

– Zaskoczona? – Podniecony wyszczerzył zęby w uśmiechu. Tylko centymetry dzieliły jego palce od bransolety ukrytej pod rękawem.

Esta zignorowała wściekłość w jego oczach i podeszła bliżej.

– Strasznie się martwiłam, kiedy cię aresztowano.

Jack zamrugał. Tak jak się spodziewała, jej słowa zbiły go z tropu. Jakby nagle zwątpił, jak z nią dalej postępować. Wciąż jednak trzymał ją mocno, a po chwili jego spojrzenie stało się zimne.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć – odparł, mrużąc oczy. – To ty pomogłaś Darriganowi mnie ośmieszyć. Przez was wszystko straciłem.

– Nie, Jack. – Esta zrobiła wielkie oczy. – Jak możesz tak mówić?!

– Myślisz, że się nie zorientowałem, że ty i Darrigan od początku byliście w zмовie? – Palce Jacka wpijały się boleśnie w jej ramię. – Myślisz, że nie wiem, że wszystko, co mówiliście, było kłamstwem?

Esta potrząsnęła głową.

– Nie... Darrigan mnie wykorzystał – odparła z lekkim drzeniem w głosie. Musiała zrobić wszystko, by wypaść przekonująco. – Nie wiedziałam, jaki miał plan tamtego wieczoru. Nie pamiętasz? Zostawił mnie samą na scenie. Musisz mi uwierzyć...

– Właśnie, że nie muszę – odparł ponuro Jack. – Gdyby to, co mówisz, było prawdą, Zakon już dawno by cię schwytał. A tobie jakimś cudem udało się uciec, i to dwa razy.

– Bałam się, że nikt mi nie uwierzy...

– I słusznie, bo na to nie zasługujesz – przerwał jej. – Najpierw Darrigan wy dostał cię z Khafre Hall, a potem jeszcze zniknęłaś z mostu. To znaczy, że coś przede mną ukrywasz. – Zaczął ją odciągać od wejścia na peron siódmy.

Nie. Nigdzie z nim nie pójdzie. Spanikowane serce biło jak szalone, ale wzięła się w garść i choć w jej głosie dało się słyszeć nutkę strachu, weszła w rolę, którą doprowadziła do perfekcji, aby usidlić Jacka.

– Puść mnie! – rozkazała najbardziej władczym tonem, na jaki było ją stać.

Gdyby nie morze ludzi, załatwiłaby go w sekundę. Nawet w tłumie mogłaby dwoma ruchami położyć go na łopatki, ale wtedy wszyscy by się na nią patrzyli.

W innych okolicznościach pewnie by zaryzykowała – wyswobodziwszy się, spowolniłaby bieg sekund i uciekła. Nie mogła jednak zrobić tego na oczach Jacka, bo zdradziłaby się ze swoją prawdziwą naturą. A jeśli, o co się martwiła, jej dar osłabł albo straciła nad nim kontrolę, tak jak wtedy na moście, byłaby zdana na łaskę licznych gapiów i... Jacka.

Rozmyślając gorączkowo, szamotała się, usiłując spowolnić Jacka. Lokomotywa syknęła parą – był to znak, że kotły w maszynie są już prawie gotowe, i przypomnienie, że pociąg do Chicago niedługo odjedzie. Harte'a nigdzie nie było, zniknął bez śladu, nie licząc wcześniejszych dziwnych powiewów energii. Mogła tylko mieć nadzieję, że poczeka na nią w umówionym miejscu. Tymczasem Jack włókł ją w przeciwnym kierunku.

Jeśli nie stawi się na peronie, czy Harte uzna, że go zdradziła? Zważywszy na burzliwe losy ich znajomości, wszystko było możliwe. Czy pójdzie jej szukać, czy odjedzie bez niej?

Nagła myśl przeszła ją chłodem: on może odjechać. Dała mu Księgę. Co prawda wciąż miała przy sobie kamień, ale oddała mu Ars Arcana, by miał pewność, że ona nie ucieknie. Dlaczego nie przyszło jej do głowy, że on także może uciec? W końcu wy dostał się z miasta. Był wolny.

Czego nie dało się w tej chwili powiedzieć o niej.

Nieważne. Bez względu na to, czy Harte na nią czekał, tak jak obiecał, czy ją porzucił, musiała się teraz skupić. Jeśli wymknie się Jackowi, może jeszcze zdoła stąd wyjechać. Wiedziała, gdzie szukać pierwszego kamienia. Wciąż mogła go znaleźć – podobnie jak Harte'a, bo miała pewność, dokąd się uda.

Ludzie dookoła zaczynali się gapić. Postanowiła to wykorzystać i zaczęła się jeszcze mocniej szamotać.

– Proszę mi pomóc! – zwróciła się płaczliwie do mężczyzny w źle dopasowanej kamizelce i meloniku, który na ich widok zwolnił nieco kroku. – Nie znam tego człowieka.

Jack odciągnął ją do tyłu.

– Zna mnie bardzo dobrze – oznajmił zdeorientowanemu mężczyźnie. – To nasza pokojówka. Próbowwała uciec z naszymi rzeczami. –
To nasza pokojówka. Próbowwała uciec z naszymi rzeczami.

Nieznajomy jeszcze raz omiół ich wzrokiem. Esta dobrze wiedziała, co zobaczył: drogi garnitur Jacka kontrastujący z pogniecioną spódnicą, którą ukradła rano z czyjś sznura z praniem. Jej ubiór i udawany akcent sprawiły, że człowiek w meloniku wahał się tylko sekundę. Potem skinął głową i ruszył dalej w stronę peronu, pozbawiając Estę nadziei na ratunek.

Jack się roześmiał.

– Naprawdę sądziłaś, że to ci się uda?

– A ty naprawdę sądziłeś, że nie spróbuję?

– Jak to sobie wyobrażałaś? Że przyjdzie policja i mnie aresztują? – Znów się zaśmiał. – Śmiem wątpić. A gdybyś sama trafiła do aresztu, Zakon już by się postarał, żebyś pożałowała, że nie zginęłaś na moście z Darriganem.

– Jak gdybyś sam nie zamierzał mnie oddać w ich ręce.

Błysk rozbawienia w oczach Jacka zmroził jej krew.

– Może kiedy z tobą skończę, oddam cię stryjowi i jego przyjaciółkom...

Esta przeszła ciarki.

– Jeśli myślisz, że pozwolę ci się dotknąć...

– Jeśli myślisz, że masz wybór, to jesteś dużo głupsza, niż ci się wydaje. Ale nie o ciebie mi chodzi. Takich kobiet jak ty jest mnóstwo. Ja chcę to, co Darrigan ukradł Zakonowi.

– Nie wiem, co ukradł – skłamała.

Jack rzucił jej drwiące spojrzenie.

– Chyba nie sądzisz, że w to uwierzę. Oboje wiemy, że Darrigan wykradł Zakonowi kilka bardzo cennych przedmiotów: księgę Ars Arcana i pięć starożytnych artefaktów. Chcę je odzyskać.

– Nie wątpię, ale nie mogę ci dać czegoś, czego nie mam – odparła Esta, patrząc mu prosto w oczy. – Z tego, co wiem, te rzeczy, których szukasz, leżą teraz razem z nim na dnie rzeki.

– Darrigan może i tak, ale artefakty... – Pochylił się, zbliżając twarz do jej twarzy. Z ostrymi szlachetnymi rysami i jasną czupryną mógłby nawet być przystojny. Miał jednak w zimnych niebieskich oczach arogancję, która odpychała. W dodatku jego cera była ziemista, a twarz obrzmiała. Mimo wczesnej pory czuło się od niego alkohol. – Nie – powiedział – myślę, że istnieje powód, dla którego byłaś wczoraj na moście. Myślę, że Darrigan powiedział ci, gdzie są rzeczy, które sobie przywłaszczył. A może nawet dał ci je na przechowanie.

Pokręciła głową.

– Nie dał...

Potrząsnął nią gwałtownie i wszedł jej w słowo:

– W takim razie coś ci powiedział. Nie zadawałby sobie tyle trudu tylko po to, żeby potem rzucić się z mostu. Coś przede mną ukrywasz. Ale nie martw się... Mam swoje sposoby, żeby to z ciebie wydobyć.

– Powodzenia – odparła, prostując hardo plecy. Tego, co istotnie miała, też nie zamierzała mu oddawać. Gdy tylko będą sami, zrobi z nim, czego tutaj zrobić nie może. Drań jeszcze pożałuje, że ją zaczepił.

Jack lekko przekrzywił głowę.

– Wiesz, co się dzieje w tej chwili, kiedy tu sobie stoisz i zgrywasz niewiniątko? Zakon przewraca miasto do góry nogami w poszukiwaniu skradzionych skarbów. Zglądzą każdego, kto stanie im na drodze. Im dłużej odwlekasz to, co nieuchronne, tym więcej ludzi ucierpi.

Miał rację. Ludzie cierpieli prześladowanie z jej powodu. Dlatego że nie stanęła na wysokości zadania. Nie mogła jednak pozwolić Jackowi, aby wykorzystał ten fakt przeciwko niej.

– Zakon musi się bardzo bać, skoro zadaje sobie tyle trudu. Najwyraźniej wiedzą, że bez tych świecidełek są nikiem.

Obrzucił ją wnikliwym wzrokiem.

– To najpotężniejsi ludzie w kraju.

– Raczej banda tchórzy. Żerują na biednych i słabych. Cieszę się, że Darrigan ukradł im te błyskotki. Cieszę się, że Zakon się boi.

Jack Grew zrobił coś niespodziewanego: roześmiał się.

– Nawet bez tych błyskotek łatwo się z tobą rozprawia. – Potem z jego twarzy zniknął wszelki ślad rozbawienia. Przyciągnął ją do siebie, a wzrok jakby mu się zamglił. Przesunął palcem po jej policzku. – Chyba że cię przed nimi ochronię. Jeśli zdobędę to, co ukradł Darrigan, nie będziesz już musiała obawiać się Zakonu.

W pierwszej chwili jego słowa wydały jej się pozbawione sensu. Aż nagle ją olśniło.

– Ty wcale nie zamierzasz ich im oddać, prawda?

– A dlaczego miałbym? – spytał Jack tonem zaprawionym goryczą. – Masz rację, Zakon to banda słabych starców. Wystarczy spojrzeć, jak łatwo męty z rynsztoka wdarły się do ich skarbcza. Gdyby pozwolili mi zajrzeć do Ars Arcana, uwolniłbym całe miasto od niebezpieczeństwa. Khafre Hall wciąż stałoby na swoim miejscu. Mogłem ich ochronić.

Za pomocą maszyny, pomyślała Esta. Harte opowiedział jej wszystko o tym groźnym wynalazku Jacka, nowoczesnym narzędziu, które miało zwiększyć moc Krawędzi i wypłenić wszelką magię – oraz ludzi nią obdarzonych.

– Zabiłbyś niewinnych ludzi.

Jack prychnął.

– Nie ma czegoś takiego jak niewinny robal. Stara magia psuje wszystkich tak samo. – Urwał, jakby lekko rozbawiony myślą, która go naszała. – Chyba powinienem być wdzięczny Darriganowi, że wy dostał Księgę na zewnątrz. Dzięki niej udowodnię światu, kim naprawdę jestem i na co mnie stać. Przywódcy Zakonu jeszcze przede mną uklękną.

Nieopodal pociąg z sykiem wyrzucił w powietrze kolejny obłok pary. Czasu było coraz mniej.

– Bo jesteś od nich mądrzejszy – rzekła półszepem Esta, zmieniając taktykę. – Zawsze byłeś.

Oczy Jacka trochę się rozszerzyły i cicho westchnął. Przez chwilę myślała, że jej fortel przyniósł skutek. Zaraz jednak poczuła, jak Jack

zaciska mocniej palce na jej ramieniu.

– Naprawdę myślisz, że znów dam się nabrać na twoje kłamstewka?

Pokręciła głową. Miała tylko nadzieję.

– Ja nie kłamię, Jack.

Po jego twarzy przemknął wyraz wahania.

Ignorując woń alkoholu, Esta zbliżyła się do niego.

– Wszystko, co ci mówiłam o moich uczuciach do ciebie, było prawdą, słońce. – I nie dając sobie czasu na to, żeby się rozmyślić, przywarła ustami do jego warg.

Jack w pierwszym odruchu całkiem zeszywniał, zaraz jednak odwzajemnił pocałunek. A mówiąc ściślej, zaczął jej łapczywie i bez cienia finezji zgniatać usta, jakby mógł ją w ten sposób osiąść. Musiała walczyć ze sobą, żeby nie odsunąć się ze wstrętem.

Po chwili, która Eście wydała się wiecznością, Jack cofnął usta, by nabrać powietrza. Jego niebieskie oczy lśniły zadowolone. Przez moment łudziła się, że poluzuje chwyt, lecz ścisnął ją jeszcze mocniej.

– Jeżeli znowu kłamiesz...

– Nie, Jack... – Na zewnątrz udawało się Eście zachować spokój, ale jej dusza krzyczała. Pocałunek zdał się na nic, a teraz w dodatku musiała znosić jego nieświeży posmak. Zaczęła zbierać siły, by mu się przeciwstawić – zrobić wszystko, żeby zdążyć na peron siódmy przed odjazdem pociągu.

– Jeśli mnie zdradzisz, własnoręcznie cię zabiję. I nikt nie będzie po tobie płakał. Żaden śmieć z Bowery, a już na pewno nie twój oszukańczy magik. – W jego zimnych oczach błysnęło ponure rozbawienie. – Ale przynajmniej ryby w rzece Hudson mają co jeść.

– Jesteś pewien, Jack? – rozległ się czyjś głos.

Esta nie musiała się oglądać za siebie, by wiedzieć, że Harte w końcu ją znalazł.

WIZJA ŚWIATŁA I MOCY

1902 rok – New Jersey

Harte Darrigan wiedział, że jest draniem w pełnym znaczeniu tego słowa, lecz nie mógł powstrzymać fali zaborczych uczuć, jakie owładnęły nim na widok Esty całującej się z Jackiem Grew.

Pociąg do Chicago miał odjechać lada moment, a jej nie było na peronie, na którym się umówili, więc Harte poszedł jej szukać. Znalazł ją bardzo szybko – w objęciach Jacka – i było jasne, że to ona pocałowała jego. Rozmyślnie. Nawet teraz nie próbowała mu się wyrwać. A przecież kto jak kto, ale Esta umiała się wymknąć, gdy tego chciała.

Przez chwilę Harte wpatrywał się tępo w jej palce zaciśnięte na klapach marynarki Jacka. Głos w jego wnętrzu zawył ogłuszająco, rzucając się jak zwierz w klatce. Kiedy Harte go ujarzmił, usłyszał słowa Jacka.

– ...twój oszukańczy magik. Ale przynajmniej ryby w rzece Hudson mają co jeść.

W sercu Harte'a wezbrała fala gniewu, a głos jej zawtórował.

– Jesteś pewien, Jack? – spytał, z satysfakcją patrząc, jak tamtemu krew odpływa z twarzy.

Lecz wyraz oczu Jacka zmienił się momentalnie – zaskoczenie ustąpiło miejsca zdziwieniu. Przyciągnął Estę i przyszpilił ją mocnym chwytem.

Harte zrobił krok naprzód, lecz Esta potrząsnęła głową.

Na chwilę znów wezbrał w nim gniew, potem jednak spostrzegł, jak wielkie są jej oczy. Był w nich strach tak dla niej nietypowy, że prawie nie przypominała siebie. Dworzec i wszystko wokół jakby zniknęło, cały świat zwęził się do jej tęczywek w kolorze whisky.

Oczy miała rozwarte szeroko, twarz zastygła w grozie. Wokół niej świeciły kamienie, jarzący się krąg światła i mocy. Zaczęły gasnąć jeden po drugim, czern jej źrenic rozlewała się na tęczęwki, pozbawiając je koloru, a później na białka, aż nie widział w tych oczach niczego prócz czarnej pustki. Potem ciemność zaczęła się z niej wylewać...

Na oślepie ruszył przed siebie, nie wiedząc, co robić, nie wiedząc nawet, co widzi.

– Nie! – zawołała z trwogą, która go zatrzymała. – Nie podchodź.

Nagle wizja prysła. Znowu byli na dworcu, a oczy Esty odzyskały złocisty kolor. Wciąż były przestraszone, ale nie ziały już czarną pustką jak przed chwilą. Jack uśmiechał się triumfalnie.

– Na twoim miejscu bym jej posłuchał – ostrzegł spokojnym tonem, jakby ich rozmowa dotyczyła pogody albo cen chleba. – Zresztą możesz też nie posłuchać, wszystko mi jedno. Uczciwie rzecz biorąc, i tak prędzej czy później strzelę jej w łeb. – Jack lekko zmrużył oczy. – Ale tobie pojęcie uczciwości jest obce, prawda, Darrigan?

Uczciwość? Głos aż w nim zaryczał. A co o n wiedział o uczciwości?

Zdezorientowany, przepełniony niezrozumiałą mieszaniną gniewu i poczucia winy, Harte spróbował pozbierać rozbiegane myśli.

– Znowu bawisz się bronią, Jack? – spytał. O dziwo, udało mu się zamaskować targający nim strach. – Ciekawe, co na to powiedzą władze.

– Dostałaby kulę w głowę, zanim skończyłbyś z nimi rozmawiać – odparł leniwie Jack.

Podróżni omijali ich jak woda opływająca kamień pośrodku strumienia, ignorując ten osobliwy i pełen dramatyzmu obrazek. Ludzie zamożni, tacy jak Jack, są do pewnego stopnia niewidzialni, pomyślał Harte. Gdy ktoś wygląda, jakby rządził światem, nikt mu nie zadaje pytań.

Harte skupiał się na Jacku, by nie patrzeć w przestraszone oczy Esty.

– Wierz mi, że nie chcesz zrobić jej krzywdy, Jack. Może i połowa miasta jest w rękach twojej rodziny, ale morderstwo to morderstwo. Nie można bezkarnie zabić dziewczyny na zatłoczonym dworcu.

– Och, przekonasz się, że jesteś w błędzie – odparł Jack z niepokojącym błyskiem w oku. – Liczę się z pewnymi niedogodnościami, ale możesz być pewien, że dla osiągnięcia celu jestem gotów znieść znacznie więcej. Nie cofnę się przed niczym.

Wypowiedział te słowa z taką determinacją, że Harte'a ścisnęło w dołku.

– Wiem, Jack. Próbuję ci tylko uświadomić, że nie musisz tego robić. Po co sobie utrudniać życie? Załatwmy to inaczej. Nie warto jej krzywdzić. Ona nie ma tego, czego szukasz.

Jack zmarszczył brwi, lecz Harte dojrzał w jego oczach podniecone wyczekiwanie. Tak trzymaj, pomyślał. Bo przecież bez Esty...

Harte nie mógł nawet dopuścić do siebie takiej myśli.

– A ty to masz? – zapytał Jack.

– Nie... – Esta zaczęła odpowiadać za magika, lecz Jack szybko ją przydusił.

Harte próbował spojrzeniem dać jej do zrozumienia, że wszystko będzie dobrze. Jakoś z tego wybrną. On ich uratuje.

– Oczywiście – odparł leniwym tonem. Wiedział, czego Jack chce. Tej samej rzeczy, której on i reszta chcieli od samego początku: Księgi. Oraz całej zawartej w niej wiedzy i mocy. Cóż... może dałoby się coś zrobić...

– Gdzie ona jest? – spytał Grew.

Harte nie wiedział, czy decyzja, którą zamierza podjąć, jest słuszną, czy okaże się największym z jego dotychczasowych błędów. Obłąkańcze spojrzenie Jacka kazało jednak przypuszczać, że ten człowiek jest gotów spełnić swoje groźby. Esta była mu niepotrzebna, w każdym razie tak mu się wydawało. Nie miał pojęcia, jak bardzo mogłaby mu się przydać, i dlatego nie zawahałby się jej uśmiercić. A gdyby to się stało – gdyby Esta zginęła tu i teraz – Harte także byłby zgubiony.

Wzdrygnął się, bo głos znów próbował wydostać się na powierzchnię jego umysłu. Namawiał go, zmuszał do działania.

Harte wyjął Księgę z wnętrza płaszcza.

– Nie możesz... – odezwała się Esta, lecz Jack popchnął ją i uciszył groźbą lufy przystawionej do pleców.

Jego powiększone oczy spoglądały z chciwym błyskiem.

– Daj mi to! – rzucił.

– Wiem, jak bardzo tego chcesz, Jack – odrzekł Harte, moszcząc się w znajomej roli doskonalonej przez ostatnie parę lat: roli magika, który nigdy nie traci zimnej krwi. – Ile razy słuchałem twoich opowieści o tym, że stryj i jego przyjaciele tłamszą cię, nie dopuszczają do Księgi? Oto ona, Jack. Możesz ją mieć: moc Ars Arcana i całą zawartą w niej wiedzę. Wystarczy, że puścisz Estę, a może być twoja. Wszystko będzie twoje.

W zimnych oczach Jacka widać było determinację. Żądza Księgi rozbłysła w nim jak płomień. Chciał się zgodzić...

Lecz po chwili wyraz jego twarzy się zmienił, usta wykrzywiły się w kąciku.

– Teraz wiem, że kłamiesz. Miałbym uwierzyć, że oddasz to wszystko dla niej? Po tym, jak się natrudziłeś? – Jack pokręcił głową. – Żadna dziewczyna nie jest tego warta.

Harte zaśmiał się z pogardą, choć wszystko się w nim przewracało.

– No dobrze, skoro tak... możesz ją sobie zatrzymać. Ja wolę Księgę – skłamał, chowając stary tom z powrotem za pazuchę i odwracając się, żeby odejść.

Choć widział, że Esta cała zeszytniała, uciszył w sobie głos, hałaśliwie sprzeciwiający się porzuceniu dziewczyny. Dworzec zaczął się jakby oddalać. Woń dymu węglowego i poranny harmider. Syk pary i ostatnie zawołanie konduktora. Wszystkie stacyjne dźwięki i obrazy przepływały przez niego, bo całą swoją energię wkładał w kroki, które oddalały go od Esty.

Już po trzech Jack zrobił to, na co Harte liczył.

– Czeka! – wykrzyknął.

Harte obrócił się powoli, z udawanym poirytowaniem.

– Tak?

Jack wyzywająco uniósł podbródek.

– Jeśli to, co tam masz, to naprawdę Ars Arcana, to chyba możesz tego jakoś dowieść. Zademonstrować jej moc.

Harte nie dał po sobie poznać ulgi.

– Naturalnie... – Znów sięgnął po Księgę. Tętno dudniło mu w uszach głośno i miarowo jak pociąg pędzący po torach.

Esta rozpaczliwie próbowała mu przekazać oczami prosty komunikat – „Nie!” – który jednak Harte uparcie ignorował.

Zaufaj mi, zwrócił się do niej milcząco, lecz nie miał pewności, czy zrozumiała.

Ostentacyjnie, z nabożeństwem przewracał nierówne karty Księgi.

– Wygląda niepozornie, ale to niezwykła rzecz. Mnóstwo się już z niej dowiedziałem – oznajmił, wchodząc coraz mocniej w rolę, w której czuł się jak ryba w wodzie. – Myślę, że byłbyś pod dużym wrażeniem tego, co potrafię z nią zrobić.

Jack tylko zmierzył go ponurym wzrokiem.

– Wątpię – rzekł. – Gdyby ta księga rzeczywiście miała jakąś moc, nie stałbyś tutaj i nie gadał.

Harte wzruszył ramionami.

– Masz rację, Jack. Dość gadania.

Wyciągnął Księgę przed siebie. Twarz Esty wykrzywiła się boleśnie, z jej oczu wyzierała panika.

– Nie, Harte. Nie możesz...

Nie zdążyła jednak dokończyć, bo Harte podrzucił Księgę wysoko do góry.

WYBÓR

1902 rok – New Jersey

Gdy Harte wyjął Księgę z kieszeni płaszcza i wyciągnął przed siebie, jakby chciał ją wręczyć Jackowi, Esta przestała myśleć o bólu, jaki sprawiał jej rewolwer wciśnięty w łędźwie.

– Nie! – wykrzyknęła, kiedy Księga poszybowała w powietrze.

Wszystko wydarzyło się równocześnie: gdy Księga pofrunęła do góry, Jack rzucił się w jej stronę, puszczając Estę, a wtedy Harte doskoczył do niej i chwytając ją za nadgarstek, zawołał:

– Teraz!

Esta w mgnieniu oka zrozumiała jego plan. Z szybkością i zdecydowaniem, które zawdzięczała instynktowi oraz latom treningów, użyła własnego daru i spowolniła czas akurat w chwili, gdy Księga lądowała w wyciągniętej dłoni Jacka.

Odetchnęła z ulgą, kiedy na dworcu zrobiło się upiornie cicho – para z lokomotywy zawisała w powietrzu, nieruchomy obłok zasłonił część podróżnych, a reszta ludzi na peronie całkiem zastygła. Jack także znieruchomiał w pół skoku, z dzikim spojrzeniem w oczach, ledwie muskając opuszkami palców skórzany tom będący źródłem ich kłopotów.

Moc Esty drżała, była chwiejna, lecz nie zniknęła.

Harte natychmiast przycisnął dziewczynę do piersi i otoczył ramionami. Poczowała jego znajomy zapach.

– Dobrze, że rozumiałaś, o co mi chodzi.

Przywarł twarzą do jej szyi, oddech miał ciepły i lekko się trząśł.

Słowa Harte'a ledwie do niej docierały, podobnie zresztą jak ciepło jego silnego i twardego ciała; za bardzo koncentrowała się na tym, by nie wypuścić z garści otaczających ją sekund.

Harte cofnął głowę i nie puszczając Esty, spojrzał jej w oczy. Było w tym spojrzeniu jakieś pytanie, którego nie potrafiła odszyfrować; przez chwilę zdawało się jej, że jego tęczyówki błyskają dziwnymi kolorami.

– Nic ci nie jest? – wykrztusił wreszcie.

– Bywało lepiej – odparła, zbywając jego troskę wzruszeniem ramion. Był to odruch wpojony jej przez profesora Lachlana.

W rzeczywistości nogi miała jak z waty, a miejsce, w które wrzynała jej się lufa rewolweru – tuż nad prawą nerką – wciąż bolało. Siniak murowany, ale lepszy siniak niż śmiercionośna kula.

Wokół niej materia czasu zdawała się falować i drżeć. A może to była jej własna magia? Nie utraciła daru, lecz nie panowała nad nim z taką łatwością jak dawniej, musiała się mocniej koncentrować. A im bardziej się koncentrowała, tym silniej narastał ból w skroniach.

Jakaś część jej chciała się wtulić w Harte'a. Nie zdradził jej ani nie porzucił, a potrzebowała spokoju i oparcia, jakie znajdowała w jego ciele, zwłaszcza teraz, gdy była obolała i niepewna swej mocy.

Prędko jednak odrzuciła tę myśl. Taka potrzeba to zwyczajna oznaka słabości. Zamiast czerpać siłę od niego, Esta znalazła ją w sobie. Cofnęła się o krok – byli teraz złączeni już tylko delikatnym uściskiem ręki Harte'a. Wciąż mieli ze sobą fizyczny kontakt, dzięki czemu Harte nie zastygł nieruchomo jak reszta ludzi na dworcu, ale niepokojąca tęsknota sprzed chwili nieco zelżała. Co nie zmieniało faktu, że z każdą upływającą chwilą panowanie nad czasem sprawiało Eście coraz większą trudność.

– Musimy iść – powiedziała.

Harte przyglądał jej się jeszcze przez chwilę z takim wyrazem zatroskania, że miała dziwną ochotę go pocałować, choćby po to, by zobaczyć, jaką wtedy zrobi minę. I żeby zapomnieć o Jacku. Ale nie mogła

ulec temu pragnieniu – nie kiedy wciąż czuła w ustach paskudny alkoholowy posmak tamtych natarczywych pocałunków.

We dwoje podeszli do Jacka zawieszonoego w sieci czasu. Harte z łatwością wyjął mu Księgę spomiędzy palców i ponownie schował ją do płaszcza.

– Gotowa?

Jack wisiał w powietrzu z ręką wyciągniętą w pustkę. Oczy płonęły mu taką nienawiścią, że choć czas zaczynał się Eście wyslizgiwać, zawahała się.

– Nie możemy go tutaj zostawić – stwierdziła. – On teraz wie, że wcale nie zginąłeś. I że masz Księgę. A kiedy znikniemy, domyśli się, że jesteśmy Maginami.

Harte spojrzał nieufnie.

– Doniesie Zakonowi, że żyjesz, albo sam wyruszy za nami w pościg – przekonywała dalej. Łomotanie w skroniach narastało, a obraz na obrzeżach pola widzenia zaczął jej się rozmazywać. Czuła, jak osacza ją ciemność będąca odbiciem jej mrocznych myśli. Sięgnęła po rewolwer, który Jack wciąż trzymał w dłoni. – Dopóki żyje, stanowi dla nas zagrożenie.

– Nie możemy go tak po prostu zabić – odparł Harte tonem, który działał jej na nerwy.

– On chciał mnie zabić. – Spojrzała na broń, którą trzymała teraz w ręku. Gdy się w nią wpatrywała, łatwiej było jej zignorować mrok, który narastał razem z nienawiścią, jaką czuła, ważąc chłodny rewolwer w dłoni.

Uczono ją walki nie tylko nożem i pięściami. Broń palna nie należała do jej ulubionych, ale umiała się nią posługiwać. Wiedziała też dobrze, co oznacza odciągnięty do strzału kurek – zdawała sobie sprawę, jak niewiele zabrakło, by kula przeszła jej wnętrzości. Rana byłaby zabójcza, śmierć – zwłaszcza w tych czasach – bolesna.

– On by nas nie oszczędził – rzekła.

Harte ścisnął delikatnie jej nadgarstek, jakby chciał ją powstrzymać, ale zaraz potem się zawahał. Oczy znów mieniły mu się dziwnymi kolorami.

Esta poczuła tę samą energię, która wspinała się jej po ramieniu, gdy przekraczali rzekę. Już myślała, że się zgodzi, lecz Harte w końcu zamrugął i jego oczy odzyskały naturalny wygląd. Wziął od niej rewolwer i opuścił kurek. Wreszcie przemówił z napięciem w głosie:

– My nie jesteśmy tacy jak on, Esto.

– Nie? – spytała, myśląc o wszystkich ludziach, których gotowi byli zdradzić w ostatnich tygodniach, byle tylko zdobyć Księgę, osiągnąć swój cel. O wszystkich niewinnych ludziach, którzy ucierpią z powodu dokonanych przez nią wyborów. Mogłaby temu zapobiec. A przynajmniej powstrzymać Jacka.

Mrok na obrzeżach wciąż gęstniał, rozlewał się na ucichły i znieruchomiały świat wokół niej. Czuła, że czas zaraz jej się wymknie.

– Pomyślałeś, ile jeszcze osób zginie, jeśli go tu zostawimy?

– Jeśli zabijesz go z zimną krwią, staniesz się inną osobą – odparł stanowczo Harte. – Nie warto dla niego płacić tej ceny.

– Jesteś pewien? – spytała wśród narastającej ciemności, która przy całej swej grozie miała w sobie coś dziwnie pociągającego. – Bo ja nie.

Znów spojrzała na Jacka. To prawda, że to nie ten chłystek był źródłem jej zmartwień. To nie on ją zmanipulował, nie on zamordował jej bliskich, nie przez niego nie wiedziała teraz, kim naprawdę jest. Inna rzecz, że na pewno nie był niewinny.

Na świecie istniało tyle zła, a przyszłość miała przynieść go jeszcze więcej. Może jednak warto poświęcić własną duszę, by zniszczyć przynajmniej część? Oczywiście mogła teraz odejść i zostawić Jacka, który potem będzie mógł krzywdzić innych. Ale mogła też zacząć od niego. Być zemstą, która w niej płonęła.

Wyciągnęła rękę po rewolwer, lecz Harte się cofnął.

– Jestem pewien – rzekł, wysuwając obrotowy bęben i wysypując z niego naboje na ziemię. Opróżnioną broń wsadził Jackowi do kieszeni marynarki.

– Harte...

– Co innego moja dusza – przerwał jej i uniósł pięść. – Ona i tak jest już mocno zbrukana.

W chwili gdy jego kłykcie zetknęły się z twarzą Jacka, na cichym peronie rozbrzmiał echem mdlący chrzęst miażdżonej kości. Esta już wcześniej, w miarę jak ciemniało jej przed oczyma, czuła, że jej moc słabnie, a teraz wątlą magię dodatkowo zaburzył fizyczny kontakt Harte'a z Jackiem. Wytrącona z równowagi pojawieniem się w magicznym układzie trzeciego ciała, straciła koncentrację i czas jej się wymknął.

Wszystko nagle ruszyło z miejsca. Peron znów pogrążył się w zgiełku. Harte spojrział na nią zdziwiony, ale brakowało jej słów – i czasu – żeby mu wytłumaczyć źródło tego fiaska.

Głowa Jacka poleciała do tyłu, ale cios go nie przewrócił.

– Prędko! – Esta pociągnęła Harte'a. Zerkając przez ramię, zobaczyła, że Jack chwieje się na nogach, mruga w oszołomieniu i dotyka zakrwawionego nosa. Był zdezorientowany, ale ten stan nie mógł trwać długo. – Musimy złapać pociąg.

– Co się stało? – spytał Harte. – Dlaczego puściłaś?

– Nie puściłam... – zaczęła, lecz nie wiedziała, jak mu opisać mrok, który zobaczyła, pustkę, którą czuła. – Nie teraz. – Ciągnęła go, jednocześnie próbując znaleźć pasma czasu i skoncentrować się na tyle, by spowolnić sekundy.

Biegli dalej, przeciskając się przez zaniepokojony tłum, omijając niczego nieświadomych podróżnych i wózki z walizkami, pędząc ku swej ostatniej szansie na ucieczkę.

– Nie mam biletów! – rzuciła Esta, która musiała unieść spódnicę, by nadażyć za długimi susami Harte'a.

– Nieważne. – W biegu mocniej zacisnął rękę na jej dłoni. – Coś wymyślimy. Musimy tylko wsiąść do pociągu. Wszystko jedno którego.

– Siódmy peron – nalegała Esta, myśląc już o kamieniu czekającym w Chicago. – Musimy się dostać na siódmy.

Gdy tam weszli, ostry gwizd przeciął szum dworcowej krzątany. Esta spojrzała przez ramię: Jack biegł niedaleko za nimi, a jego śladem podążał mężczyzna w mundurze. Pociąg z wolna ruszył. Buchnęły kłęby pary, ciężki obłok gryzącego dymu zawisł nad peronem. Lokomotywa zaczęła nabierać prędkości.

– Szybciej! – krzyknął Harte, widząc, że Esta zostaje w tyle. Z przodu dwóch policjantów biegło w ich stronę z uniesionymi pałkami, wołając do ludzi, żeby się rozstąpili. Harte umyślnie przewrócił stertę walizek, by choć trochę spowolnić pościg. – Potrzebujemy więcej czasu! – rzucił do Esty, pomagając jej ominąć starszego mężczyznę.

Esta nie była pewna, czy może polegać na swoim darze; jej magia wydawała się teraz czymś odrębnym, niedościgłym. Serce jej waliło, krew huczała w uszach, czas był jak podarta chusta, którą porwał wiatr.

– Nie mogę.

Oczy Harte'a patrzyły z niezrozumieniem, lecz nie wahał się ani chwili. Biegnąc wzdłuż jadącego pociągu, chwycił się jedną ręką tylnej części wagonu i podsadził Estę. Już wyciągał dłoń, by samemu wskoczyć na platformę, gdy Esta ujrzała za jego plecami Jacka.

– Uważaj! – krzyknęła, lecz było za późno.

Zanim Harte zdążył do niej dołączyć, Jack chwycił go za nadgarstek i odciągnął do tyłu.

– Harte! – Esta już miała zeskoczyć z powrotem na peron, ale Harte krzyknął, żeby tego nie robiła.

Dookoła wszyscy stali i patrzyli. Na całym peronie zapanował dziwny bezruch, spowodowany już nie magią Esty, ale ciekawością podróżnych.

Harte, aby się uwolnić, wyrwał rękę z rękawa płaszcza. Szarpiący się z nim Jack stracił równowagę i upadł do tyłu z płaszczem w zaciśniętej dłoni. Chwilę później Harte wskoczył na platformę odjeżdżającego pociągu. Od razu poprowadził Estę na przód niemal całkiem pustego wagonu.

– Prędko. Nie możemy tu zos...

Nie pokonali jednak nawet połowy wagonu, kiedy w drzwiach na końcu pojawił się strażnik. Na ich widok natychmiast wyjął pałkę i zagroził przejście. Nieliczni pasażerowie podnieśli wzrok.

Harte stanął przed Estą, cofając ją odrobinę w kierunku drugiego wyjścia. Ledwie zdążyli trochę odetchnąć, również drzwi za nimi się otworzyły. Stał w nich Jack.

– Wyciągnij nas stąd – wymamrotał Harte, zerkając na przemian w obie strony.

– Nie macie dokąd uciec, Darrigan! – zawołał Jack z uśmiechem satysfakcji.

– On ma rację, synu. Uklękniecie z rękoma w górze, a nie stanie wam się krzywda – zawtórował mu strażnik z przodu wagonu.

Byli w potrzasku. Nawet gdyby zdołała wstrzymać bieg czasu, nie mieli którejś się wydostać. Żadnej drogi ucieczki.

Poza jedną.

Esta jeszcze nigdy nie próbowała podróży w czasie w ruchomym pojeździe. Czas był związany z miejscem, a więc podróż była możliwa, pod warunkiem że dane miejsce istniało w przeszłości. Co prawda nie musieli się cofać bardzo daleko – wystarczyłby dzień lub dwa, może tydzień, byle tylko znaleźć się w innym pociągu tej relacji, z dala od grożącego im teraz niebezpieczeństwa.

Zbierając w sobie wszystkie siły, skupiła całą energię na sekundach płynących wokół niej. Ignorując tętent w skroniach, sięgnęła do najgłębszych pokładów swojego daru. Kamień w bransolecie na ramieniu, Klucz Isztar, rozgrzał się niepokojąco, gdy szukała przerw między sekundami, a potem wertowała warstwy chwil, z których składa się rzeczywistość każdego miejsca, rozpaczliwie usiłując odnaleźć tę właściwą.

Pociąg zatrząsł się gwałtownie, tak że strażnik, by się nie przewrócić, musiał się chwycić jednego z foteli.

– Co się dzieje? – spytał Harte.

Ale Esta słyszała tylko huk w uszach. Szukała i szukała, aż nie widziała już nic prócz mnóstwa chwil ułożonych jedna na drugiej, rzeczywistych i namacalnych jak ta obecna.

Zwykle przeglądanie czasu było niczym kartkowanie książki w poszukiwaniu słowa, jakiegoś detalu stanowiącego klucz do określonej daty. Zwykle miała czas, aby się skoncentrować i namierzyć z dużą precyzją punkt, bezpieczny punkt, do którego chciała się przenieść. Ale teraz, gdy pociąg się rozpędzał, a ją rozpraszało ciepło fizycznego kontaktu z Harte'em, czas jakby zerwał się z uwięzi. Zamiast bezpiecznego miejsca znajdowała tylko ogromne przerwy, w których ten pociąg w ogóle nie istniał.

Znaleźć ten sam pociąg w tym samym miejscu... w innym czasie...

Skupiła całą swoją moc, całą swoją istotę, wbrew przeciwnościom. Klucz Isztar nagrzewał się coraz bardziej, prawie ją parzył. Aż nagle – jest. Przebłysk nadziei.

Choć miała wrażenie, jakby świat walił im się na głowę, a podłoga usuwała spod nóg, nie zatrzymała się, by sprawdzić, czy się nie pomyliła. Trzymając Harte'a mocno za rękę, przeniosła jego i siebie w czasie.

TEATR WALLACKA

1902 rok – Nowy Jork

Jianyuu Lee dobrze znał ciężar porażki. To właśnie przed nim uciekał, opuszczając dom brata i później, gdy chcąc dowieść, ile jest wart, wyprawiał się na inny kontynent. Niczym mityczny Kua Fu, który gonił słońce, Jianyuu próbował zostawić w tyle rozczarowania dzieciństwa. W istocie zabrał je ze sobą w bezkresną podróż po lądach i morzach, a gdy przybył do tego miasta, spotkały go kolejne, bo wszystkie obietnice agenta okazały się kłamstwem.

Starał się, jak mógł, pracując dla Wung Ah Linga, znanego tutaj pod imieniem Tom Lee. O samozwańcym „burmistrzu” Chinatown, noszącym stylowy melonik i brylantową spinkę do krawata, słyszeli chyba wszyscy mieszkańcy Nowego Jorku. Wziął Jianyuu pod swoje skrzydła, bo chciał mieć na swoje usługi Magina. Pomógł mu doszlifować angielski, którego Jianyuu nauczył się w trakcie długiej podróży, i wyjaśnił, że triada jest od tego, by wspierać pobratymców na obcej ziemi wśród obcych zwyczajów. By ich chronić. Lecz im dłużej Jianyuu zbierał haracze od biednych sklepikarzy, którzy w jednym pomieszczeniu mieszkali i pracowali, podczas gdy Tom Lee żył w pałacowym luksusie trzypiętrowego apartamentu przy Mott Street, tym bardziej docierało do niego, że Lee niczym się nie różni od zamożnych kupców z Gwóng-dūng, którzy paśli sobie brzuchy, nie dbając o to, że biedni chłopcy przymierają głodem.

W dniu, kiedy Lee wysłał go po haracz do właściciela pralni, człowieka o chrapliwym głosie i skórze pokrytej drobnymi zmarszczkami, który wydał mu się podobny do dawno zmarłego dziadka, Jianyuu pojął, że wciąż jest bandytą i nikim więcej. Upragniony nowy początek okazał się

kontynuacją tego, co było. Od tamtej pory każdy dzień w służbie Toma Lee, każde użycie magii przeciw bezbronnym dokładały kolejny kamyczek do jego ciężaru. Dopiero Dolph Saunders, oferując mu pracę dla Stu Diabłów, zdjął z niego część brzemienia. Marzenie o zniszczeniu Krawędzi dało Jianyu nadzieję na inną przyszłość – dla siebie i dla tych rodaków w ojczystym kraju, którzy nosili w sobie dar magii, a którzy byliby zagrożeni w razie ekspansji groźnych wpływów Zakonu.

Jianyu tak miał się na baczności przed Zakonem, że przeoczył niebezpieczeństwo przyczajone znacznie bliżej. Wszyscy je przeoczyli, a ceną było życie Dolpha. Po jego śmierci Jianyu znów poczuł znajomy wstyd, wyzierający z kątów cichych pokoi, domagający się, by ponownie wziął na barki brzemię swych niepowodzeń. Może kiedyś to uczyni, ale teraz miał zadanie do wykonania. Nibsy Lorcan mógł się okazać jeszcze groźniejszy niż Zakon, który wydawał się skupiony na umacnianiu swej władzy na miejscu, w Nowym Jorku. Jeżeli Harte Darrigan mówił prawdę, ambicje Nibsy'ego sięgały znacznie dalej. Gdyby zyskał kontrolę nad kamieniami, mógłby objąć władzę nad całym globem. Cokolwiek by się działo, trzeba uczynić wszystko, aby Nibsy Lorcan nie zwyciężył.

Jianyu obiecał Darriganowi, że postara się chronić Celę Johnson i kamień będący w jej posiadaniu. Był to pierwszy krok na drodze do pokonania Nibsy'ego i Jianyu wiedział, że nie może zawieść.

Najpierw jednak musi ją znaleźć, zanim ktoś go uprzedzi.

Po konfrontacji z rudowłosą kobietą w podziemiach teatru wiedział, że nie może odejść, dopóki nie ustali, czy Cela jest w środku. Przez cały dzień obserwował więc wejście do budynku z uliczki naprzeciwko, otoczony wiązkami światła, aby nikt go nie zobaczył. Przyglądał się ludziom, którzy nie mieli się czego bać, ludziom, którzy czuli się tu pewnie albo potrafili dobrze udawać. Ilu spośród nich także było Maginami, tyle że umiającymi wtopić się w tłum, zyskać niewidzialność bez uciekania się do magii? Jianyu nie miał tego luksusu, odkąd wyjechał z ojczystego kraju.

Ale tam inaczej traktowano magię. Nie było Zakonu ani Krawędzi. Tam nie musiał ukrywać swojego daru.

Nie wiedział, kiedy to się stało, ale zmęczenie ostatnich dwóch dni musiało w końcu wziąć nad nim górę. Robiło się już ciemno, gdy wyrwał go z drzemki czubek buta policjanta. Wylegitymowawszy się sfalszowanymi dokumentami, które zapewniały mu ochronę w chwilach, w których nie mógł się posłużyć magią, Jianyu udał, że odchodzi, tak jak mu kazano. Ledwie jednak policjant się oddalił, Jianyu ponownie użył daru, wrócił przed teatr i czekał, aż po ostatnim spektaklu widzowie wylegną na ulicę głównym wejściem, a artyści wyjdą jeden po drugim bocznymi drzwiami.

Wreszcie ujrzał rudą kobietę z piwnicy. Jej włosy jarzyły się czerwonym płomieniem w blasku rozświetlonych szyldów. Kiedy zniknęła za rogiem, Jianyu owinął się światłem i po raz drugi wszedł do teatru. W środku znów stał się widzialny – w razie gdyby w teatrze pozostał ktoś, kto mógłby wyczuć jego magię. Oswajając oczy z ciemnością, zaczął od nowa szukać śladów Celi; mógł tylko mieć nadzieję, że nie wyszła akurat wtedy, gdy jemu się przysnęło.

Ponieważ na zapleczu nie było żadnego pomieszczenia, które przypominałoby pracownię krawiecką, raz jeszcze zszedł do piwnicy, gdzie ostatnio przeszkodziła mu kobieta o rudych włosach. Nawet jeśli nie zastanie tam Celi, może przynajmniej natrafi na jakiś ślad jej obecności albo na wskazówkę, dokąd mogła się udać.

Na dole było zbyt ciemno, więc zaryzykował i wyjął z kieszeni tuniki brązowe lusterka. Skupiając na nich swoją moc, wzmacnił otaczające go cieniutkie nitki światła i owinął nimi dysk. Miał teraz w ręku błado świecącą aureolę, którą oświetlał sobie drogę, szukając jakiegoś potwierdzenia dla swojego przeczucia, że Celia Johnson gdzieś tu jest.

Przemierzywszy niemal całą piwnicę, dotarł do pomieszczenia zamkniętego na klucz. Bez trudu otworzył zamek wytrychem i jego oczom ukazała się pracownia – niewielka, lecz schludna. Bele jedwabiu i różnych innych materiałów stały jedna przy drugiej. Jianyu przesunął palcem po chłodnym metalu ciężkiej maszyny do szycia stojącej w rogu. Nie było na niej kurzu. Najwyraźniej ktoś tu pracował... i to całkiem niedawno.

– Cela? – rzucił cicho w próżnię. – Cela Johnson? Jesteś tu?

Nasłuchiwał przez chwilę, choć nie spodziewał się innej odpowiedzi niż cisza.

– Nazywam się Jianyu Lee – spróbował znowu. – Przyszedłem ci pomóc. – Zawahał się, czy nie wyjawia zbyt wiele, w końcu nie miał pewności, czy nie słyszy go ktoś inny. Postanowił jednak zaryzykować. – Harte Darrigan przysłał mnie, żebym cię chronił.

Długo stał nieruchomo, nadstawiając uszu, wyczekując jakiejś oznaki, że Cela wciąż tu jest. Z kąta dobiegł szelest...

Lecz kiedy uniósł dysk, światło padło jedynie na znikający ogon jakiegoś gryzonia.

Cela Johnson była tu niedawno. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Nasuwało się tylko pytanie, czy opuściła to miejsce z własnej woli, czy może ktoś go uprzedził i znalazł ją pierwszy.

SAME KŁOPOTY

1902 rok – Nowy Jork

Cela nie znosiła ciemności, odkąd Abel, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, zamknął ją w schowku na węgiel u starego Robertsona, bo zjadła mu ostatnie miętusy. Gdy ją w końcu wypuścił, miała oczy spuchnięte od płaczu, zachrypnięte gardło i była cała w smarkach. Chcąc uspokoić siostrę, przytulił ją niezdarnie, jak przystało na chłopca, który miał się dopiero stać mężczyzną, i obiecał, że nigdy więcej tego nie zrobi.

Słowa dotrzymał.

Ale teraz Abła już nie było.

Żal kolejny raz ścisnął jej serce tak mocno, że zadrżała: bała się, że przestanie ono bić. Przez chwilę nie była nawet w stanie oddychać. Wiedziała jednak, że musi wziąć się w garść.

Znów usłyszała, jak nieznajomy wymawia jej imię – a potem jeszcze powołuje się na Harte'a Darrigana. Chce ją chronić, dobre sobie. Zważywszy, że jak na razie miała przez Darrigana same kłopoty, obejdzie się bez jego pomocy. W ogóle nie chciała, żeby ktokolwiek ją chronił. Miała już na sumieniu dwie osoby, które próbowały ją chronić, i będzie to sobie wyrzucać do końca swoich dni.

Czekała jeszcze długo po tym, jak zrobiło się cicho, tak na wszelki wypadek. Wreszcie odsunęła deskę w boazerii i wyszła z kryjówki. Zbudowała tę skrytkę z myślą o swoich narzędziach i materiałach. Nieważne, że wszyscy w Teatrze Wallacka dostawali kostiumy na czas. Zawsze znajdzie się jakiś człowiek o lepkich palcach, który zapragnie mieć to, co najlepsze, dla siebie.

Nie przyszło jej do głowy, że sama będzie musiała się tam schować, lecz kryjówka zdała egzamin.

Oswojona z mrokiem, bez trudu trafiła po ciemku do drzwi, które na szczęście jej gość zostawił otwarte.

Postanowiła nie brać ze sobą niczego prócz kawałka tkaniny zamiast szala. Zamknęła za sobą drzwi pracowni – i cały rozdział swojego życia. Nie zamierzała tu wracać. Już nigdy. Szybkim i pewnym krokiem podążyła za cichym stąpieniem nieznajomego po schodach na górę, a potem aż do bocznego wyjścia dla artystów i prosto w noc.

PUSTE ULICE

1902 rok – Nowy Jork

Po bezowocnej wyprawie do teatru Jianyu miał poczucie, że poszukiwania Celi utknęły w martwym punkcie. Zastanawiał się, co dalej. Jedno było jasne: jeśli Cela Johnson znajdowała się w rękach rudowłosej kobiety – albo kogoś innego – trzeba jej pomóc. Musiał znaleźć Violę, a to się wiązało z koniecznością powrotu do Bowery.

Jianyu wiedział, że dzielnica jest pogrążona w chaosie. I że teraz, gdy w Stu Diablach rządzi Nibsy Lorcan, nie będzie już mógł czuć się bezpieczny na ulicach wokół Stregi.

W jednym miejscu w mieście pobratymcy Jianyu byli zawsze mile widziani – w kwartałach opodal Mott Street nazywanych dzielnicą chińską. Mógłby się tam udać, obawiał się jednak, że wyczerpał swój kredyt zaufania przeszło dwa lata temu, łamiąc przysięgę lojalności daną Tomowi Lee oraz całej On Leong Tong i wstępując w szeregi Stu Diabłów.

Gdyby dopadli go teraz członkowie On Leong, zapłaciliby słono za swoje przewiny. Pytanie, jaką cenę. Tom Lee mógł zastosować wobec niego zwykłą przemoc, ale mógł też posunąć się dalej. W końcu Jianyu był jego krewniakiem tylko na papierze. Za życia Dolpha zbierane przez niego sekrety gwarantowały mu bezpieczeństwo, lecz siła tych sekretów umarła wraz z Dolphem. Gdyby Lee zechciał, mógłby powiadomić władze o jego wątpliwym statusie prawnym, donieść im, że posługuje się fałszywymi dokumentami. Deportacja byłaby równoznaczna z wyrokiem śmierci, ponieważ nie dało się opuścić miasta, nie przekraczając Krawędzi.

Jianyu uznał, że wizyta w tamtej części Nowego Jorku w środku nocy, gdy trudniej mu pozostać niewidzialnym, nie jest warta ryzyka. Skierował

więc kroki na Dwudziestą Czwartą Ulicę, zaledwie kilka przecznic od najnowszego, prawie już gotowego drapacza chmur. Znajomy Jianyu z jego pierwszych dni w mieście miał tam niewielką pralnię, którą prowadził wspólnie z żoną, krzepką Irlandką o rumianych policzkach i serdecznych oczach. Ponieważ nie widzieli się od lat, Ho Lai Ying był zaskoczony, rozumiał jednak świetnie, jak daleko sięgają macki triady. Nie budząc żony i dzieci, poczęstował Jianyu resztkami rodzinnej kolacji i zaoferował mu ciepły kąpiel do spania. Mimo to Jianyu prawie nie zmrużył oka. Ulotnił się przed świtem, żeby nie narażać przyjaciela i jego bliskich.

Rankiem, po wschodzie słońca, ulice miasta zawiodły go w końcu do Bowery. Musiał porozmawiać z Violą, ale i odnaleźć Celę, nie wzbudzając przy tym podejrzeń nikogo, kto także mógł szukać jej lub kamienia. Zatopiony w swoich kalkulacjach nie zauważył dwóch mężczyzn, którzy zaczęli go śledzić chwilę po tym, jak przeciął Houston Street. Gdy wreszcie się zorientował, było już za późno, by ukryć się za nitkami światła – gdyby to uczynił na ich oczach, wyszłoby na jaw, kim jest.

Przyspieszając kroku, Jianyu odbił w jedną ze zwykle bardziej zatłoczonych arterii. Może przy świadkach nie odważą się go zaatakować? Lecz była to naiwna rachuba. Ulice o tej porze świeciły pustkami, a zresztą nawet gdyby się zapełniły, świadkowie prędzej przyłączyliby się do napaści, niż jej zapobiegli.

Chwilę później był już oskrzydłony i zrozumiał, że nie ma wyjścia. Odwrócił się, unosząc ręce do walki. Tamci spojrzeli po sobie i się roześmiali. Ubrani byli w sposób charakterystyczny dla oprychów z Bowery – w krzykliwe koszule i kamizelki, wąskie spodnie i nieodłączne meloniki, które nosili na bakier. Ich blade, ziemiste cery w zestawieniu z jaskrawym odzieniem wyglądały jeszcze bardziej niezdrowo.

– I co nam zrobisz? – rzucił jeden, śmiejąc się do swojego towarzysza. Oczy miał wąsko osadzone, o ciężkich powiekach, przez co wyglądał, jakby przysypiał. – Widziałem, jak oni walczą... jak kurczaki, co im ktoś łeb urąbał, i machają skrzydłami. – Zrobił krok do przodu. – No, dawaj, pokaż, co potrafisz... Pierwszego liścia masz za darmo.

Jianyu dzielił uwagę równo pomiędzy krążących wokół niego przeciwników.

– No dalej, brudasie – prowokował drugi z ponurym śmiechem.

Może spodziewali się po nim czegoś innego. A może byli tylko mocni w gębie. W każdym razie Jianyu przyjął zaproszenie i rzucił się do ataku. Większy z dwóch rywali nie zdążył odparować pierwszego ciosu. Runął jak długi w błoto, jęcząc z bólu od trafienia pięścią w twarz.

Drugi chłopak wybałuszył oczy i spoglądał na towarzysza z niemym przerażeniem. Jianyu poczuł głęboką satysfakcję; ponieważ jednak długo trenował walkę z innymi członkami Stu Diabłów, natychmiast poszedł za ciosem, aby wykorzystać zaskoczenie rywali. Obrócił się prędko i zanim drugi się obejrzał, Jianyu wpakował mu pięść prosto w brzuch, pozbawiając go tchu.

Pierwszy napastnik dźwignął się na nogi, nos ociekał mu krwią, z oczu biła wściekłość, lecz Jianyu ogarnął teraz dziwny spokój. Z leniwym, drwiącym uśmiechem uniósł rękę, dając chłopakowi znak, by się zbliżył. Zaczęli krążyć wokół siebie, na zmianę wyprowadzając ciosy i robiąc uniki. Tymczasem drugi chłopak podniósł się i zniecka natarł na Jianyu, przewracając go na ziemię.

Jianyu uderzył głową o krawężnik i na chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczami. Ta chwila wystarczyła, by jego przeciwnicy przejęli inicjatywę. Jeden usiadł na nim i zdzielił go pięścią w bok. Jianyu próbował się bronić, raz i drugi jego ciosy dosięgły tamtego, lecz w sukurs przyszedł mu towarzysz, wymierzając Jianyu potężnego kopniaka w plecy, który przeszył go paralizującym bólem.

– To cię nauczy – warczał przez zęby jeden z napastników, okładając Jianyu pięściami po brzuchu. – Ty brudny...

Jianyu nie musiał słuchać, by wiedzieć, jakie słowo padnie. To słowo – i jemu podobne – towarzyszyło mu, odkąd zszedł z pokładu statku na meksykańską ziemię. Słyszał je w trakcie wielodniowej milczącej podróży pociągami, najpierw przez granicę, a potem przez kraj, w którym – nie miał co do tego złudzeń – nigdy nie będzie się czuł jak u siebie. Słyszał je na

przemytycznej łodzi, którą dostał się na Manhattan. I wreszcie na miejscu, na ulicach miasta, słyszał tę obelgę – albo jakąś wariację na jej temat – niemal każdego dnia, rzucaną pod nosem przez brudnych żebraków, którzy nie mieli nawet odwagi wypowiedzieć mu jej prosto w twarz.

Podniósł się na kolana, lecz zaraz kolejny wściekły kopniak wylądował na jego brzuchu i Jianyu przewrócił się z metalicznym smakiem krwi w ustach. Dzwoniło mu w uszach. Musi wstać, musi jakoś stanąć na nogach, jeśli chce przeżyć...

– Ty brudny...

Chwycili go za włosy. Jeden z nich trzymał go za długi warkocz sięgający prawie do pasa. Huczało mu w skroniach, ale nie był pewien, czy od ciosów, czy dlatego że wiedział, co zamierzają – i to jeszcze zanim usłyszał dźwięk otwieranego scyzoryka. Głowa mu pulsowała, uszy wypełniał ryk tysiąca wiatrów. Jianyu chciał krzyknąć, ale usta miał pełne krwi.

Gdy rozległ się strzał, Jianyu nie tylko go usłyszał, ale przede wszystkim poczuł. Strzelający musiał stać blisko, bo huk przeniknął Jianyu do szpiku kości, mimo że kula nawet go nie drasnęła.

Minęła chwila, zanim sobie uświadomił, że nie zginął – że to nie on był celem. Leżał z twarzą w błocie, z cierpkim smakiem krwi w ustach, ale oddychał. Głowa go bolała – ale oddychał.

Usłyszał zbliżające się kroki, a po chwili ujrzał zdarte czubki dwóch brązowych butów. Z góry dobiegła znajoma melodia ojczystego języka:

– Masz farta. Zjawiłem się w samą porę. Po oskalpowaniu by cię zabili.

Oskalpowaniu... Jianyu nie musiał dotykać ręką włosów, by wiedzieć, że je stracił. Bez nich nie miał czego szukać w rodzinnym kraju. To jedno kruche marzenie, które nosił w sercu, obróciło się w pył.

– Trzeba było im pozwolić – odparł i poczuł się ukojony brzmieniem tych słów, choć zniekształconym przez spuchnięte i zakrwawione usta.

– O nie – odparł głos. – Za długo czekałem na okazję, by z tobą porozmawiać.

MOGŁO BYĆ GORZEJ

New Jersey

Harte ocknął się na podłodze wagonu. Pociąg był w ruchu, ale strażnicy zniknęli. Jack też.

Gdy się podniósł, zakręciło mu się w głowie. Docierało do niego jak przez mgłę, że usiadł na czymś miękkim i ruchomym, a po sekundzie żołądek podszedł mu do gardła. Poderwał się z miejsca i pobiegł ku drzwiom w tylnej części wagonu. Zdążył w ostatniej chwili: ledwie wyszedł na zewnątrz i wychylił się przez barierkę, zawartość jego żołądka chlusnęła na tory.

Wisiał tak przez chwilę z kwaśnym smakiem w ustach, a ciepły wiatr owiewał mu skórę lepką od potu. Kiedy niedługo potem otworzyły się za nim drzwi wagonu, wiedział bez patrzenia, że to Esta. Czuł jej obecność w powietrzu, zawsze tak było, a teraz jeszcze głos w jego umyśle szeptał „tak”, gdy się zbliżała. I „niedługo”.

Harte zagłuszył go w sobie, resztką sił zamknął go szczelnie. Od tego wysiłku znów mu się zakręciło w głowie.

– Wszystko w porządku? – spytała Esta, stając przy nim nad barierką.

Skinął głową, choć nadal go mdliło i było mu gorąco.

Bo i dzień zapowiadał się gorący.

Niebo nie było już ołowiane jak rano, a rześkie wiosenne powietrze ustąpiło miejsca ciężkiej duchocie lata.

– Co się stało? – spytał, zamykając oczy, żeby nie widzieć, jak pociąg mknie.

– Chciałeś, żebym nas uratowała...

Zaczynało do niego docierać. Spojrzał na nią, lecz nim zdążył się odezwać, drzwi się otworzyły i wyszedł z nich konduktor.

Zerknął badawczo na Harte'a uczeponego barierki, ale nic poza tym.

– Poproszę bilety do kontroli.

Nie mieli biletów, ale jeśli tylko weźmie się w garść i stanie prosto o własnych siłach, jakoś z tego wybrnie. Wystarczy jedno dotknięcie...

Esta jednak nie zamierzała czekać.

– Najmocniej przepraszam – powiedziała, sięgając do wnętrza peleryny po ciemny portfel. – Bardzo się spieszyliśmy i nie zdążyliśmy kupić biletów na dworcu. Czy możemy je kupić u pana?

– Tak, oczywiście. – Mężczyzna wyciągnął bloczek i przebił dwa bilety podręcznym dziurkaczem. – Do stacji końcowej... To będzie dwa razy trzy pięćdziesiąt.

Harte powinien być ciekaw, skąd wzięła pieniądze. Powinien z zainteresowaniem obserwować ten rytuał zakupu biletu, który stanowił jego przepustkę do wolności. Był jednak zbyt pochłonięty walką z kolejną falą mdłości, a jego umysł wciąż nie rozumiał, co się właściwie wydarzyło.

– Czy są wolne miejsca w wagonie sypialnym? – spytała Esta, wręczając konduktorowi kilka banknotów wyjętych z portfela. Ton jej głosu był lekki, ale Harte wyczuł w nim delikatne zdenerwowanie. – Mąż nie czuje się najlepiej. Przydałby mu się odpoczynek.

Mężczyzna uniósł brew.

– Nie ma wagonu sypialnego. Pociąg jedzie tylko do Baltimore. Jeśli jada państwo dalej, potem mogą się przesiąść do sypialnego.

– No tak. Jaka ja niemądra – odparła Esta z wysilonym śmiechem. – Dziękuję panu. – Starła się nadać głosowi beztroski ton, ale nie udało jej się całkiem opanować drżenia.

Gdy tylko mężczyzna zniknął w kolejnym wagonie, Harte osunął się na platformę i usiadł oparty plecami o barierkę. Wciąż kręciło mu się w głowie, a kołysanie pociągu potęgowało mdłości. Skupił się jednak na Eście.

– Pociąg z peronu siódmego nie jechał do Baltimore.

Nie słuchała go, tylko próbowała sięgnąć w głąb rękawa. Usta miała zaciśnięte w wyrazie koncentracji – a może bólu?

– Esta...

– Czekaj – powiedziała przez zaciśnięte zęby. Chwilę później, syknąwszy, zdjęła z ramienia bransoletę. – Uff. – Chwyliła ją delikatnie w palce i zaczęła oglądać.

Bransoletka sama w sobie była kunsztownym wyrobem ze srebra, lecz ważniejszy od metalu był wprawiony weń Klucz Isztar – jeden z artefaktów, którym Zakon zawdzięczał swoją siłę, tym jednak różniący się od pozostałych, że umożliwiał Eście podróż w czasie.

W czasie...

Pusty żołądek zabolął Harte'a tak, jakby wpadł do niego rozgrzany kamień.

– Co ty zrobiłaś? Pociąg miał jechać do Chicago.

– Chciałaś, żebym nas uratowała – powtórzyła, lecz widział, że jej uwaga skupia się nie na nim, a na trzymanym w dłoni kamieniu.

– Ale to chyba nie jest pociąg, którym jechaliśmy?

– Oczywiście, że jest. – Podniosła w końcu oczy. – Ten sam pociąg i ten sam wagon... – Zawahała się, marszcząc brwi. – Po prostu przenieśliśmy się w czasie trochę do przodu.

– Trochę, czyli ile? – chciał wiedzieć Harte. Żołądek przewracał się w nim od kołysania pociągu i na myśl o tym, co przed chwilą zrobiła.

– Nie wiem. Może dzień albo dwa, raczej nie wię... – Urwała w pół zdania, gdy jej wzrok padł na bilety.

– Co się stało? – Harte powstrzymał kolejną falę mdłości, która jednak tym razem miała już niewiele wspólnego z kołysaniem pociągu.

Wyraźnie pobladła Esta zaklęła pod nosem.

Miał przeczucie, że nie spodoba mu się odpowiedź na pytanie, które musiał jej zadać.

– Jak daleko się przenieśliśmy?

– Chciałam tylko uratować nas przed Jackiem i policją – powiedziała, nie odrywając oczu od biletów.

– Esta, jak daleko?

Zagryzała wargę z taką siłą, jakby chciała w niej zrobić dziurę.

– Chciałam nas przenieść o jeden, góra dwa dni do przodu. Nie wiedziałam...

– Esta! – przerwał jej i nabrał głęboko powietrza, żeby się uspokoić i powstrzymać odruch wymiotny. Mogło być gorzej. Mogli teraz siedzieć w areszcie. Ich los mógłby zależeć od Jacka i członków Zakonu. – Powiedz mi.

W milczeniu wręczyła mu bilety.

Wzrok miał wciąż lekko nieostry od dziwnych sensacji, jakich doświadczył przed paroma chwilami. To było tak, jakby świat się na niego zawalił. Straszne uczucie. Lecz wpatrując się w bilet, poczuł się jeszcze gorzej, bo data widniała czarno na białym.

– Dwa lata?

Znowu zebrało mu się na wymioty. Dwa lata temu dopiero wydobywał się z rynsztoka Bowery i walczył o przetrwanie. Dwa lata temu nie miał ani pieniędzy, ani renomy. Ba, nie nazywał się nawet Darrigan. Dwa lata w kapryśnym i niebezpiecznym świecie, w którym przyszło mu żyć, były jak cała wieczność, a ona bez wahania mu je zabrała.

– Nie zrobiłam tego specjalnie – szepnęła ze zboląłą miną.

– Jak to się w ogóle mogło stać?! – rzucił ze złością, ostrzej niż chciał.

Ale jego ostry ton podziałał na nią jak iskra na proch. Wyrwała mu bilety.

– Podróż w czasie nie jest łatwa, gdybyś się zastanawiał. Nawet kiedy mam dobry dzień, muszę się bardzo mocno skoncentrować, żeby znaleźć odpowiednią minutę, a co dopiero, gdy jestem w rozpędzonym pociągu otoczona przez policję. Nie ma za co, tak w ogóle. Mógłbyś teraz gnić w areszcie.

– Dwa lata, Esto – powtórzył Harte. Zobaczywszy jednak, jak drży jej ręka, w której trzyma bilety, trochę się opanował. – Chodziło mi o to, żebyś... – zrobił okrągły ruch dłonią – spowolniła czas, abyśmy mogli wysiąść i uciec.

– Chyba uciekliśmy? – Wskazała gestem pociąg, w którym nie było Jacka.

Harte nabrał powietrza, próbując zatrzymać w sobie żółć, dosłownie i w przenośni.

– Masz rację. Byliśmy w trudnej sytuacji, a ty nas uratowałaś – powiedział, starając się w to uwierzyć. – Wszystko będzie dobrze. Zabierzesz nas z powrotem.

– Harte...

Jej wahanie przyprawiło go o kolejny skurcz w żołądku.

– Zabierzesz nas z powrotem – powtórzył.

Twarc Esty przybrała cierpiący wyraz.

– Nie mam pojęcia, co się stało. Chciałam się przenieść o dwa dni, a przeniosłam się o dwa lata.

– Bo jechaliśmy pociągiem, sama powiedziałaś – odparł powoli, starając się zachować spokój. – Wsiądziemy na następnej stacji i będziesz mogła...

– Pociąg to nie wszystko – wtrąciła, wciąż unikając jego wzroku.

Mdłości w jednej chwili stały się mało istotnym szczegółem.

– Co próbujesz powiedzieć?

– Mój dar... coś z nim jest nie tak. Od czasu przeprawy przez Krawędź dziwnie się zachowuje. Jest... rozchwiany.

Zmarszczył brwi. Wiedział, że Krawędź dała jej się we znaki, ale nie sądził, że wpłynęła na jej magię.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Mogliśmy poczekać jeden dzień.

– Nie było czasu... Musimy odzyskać kamienie. Niedługo zjawi się Logan i... – Urwała nagle, jakby dotarło do niej, co mówi. Było za późno. Przez to, co zrobiła, Logan był już w mieście od dwóch lat.

– I nic. Powinnaś była mi powiedzieć! – zrugął ją ostrzej, niż zamierzał. Ale nerwy miał skołatanе, a złość była jedyną rzeczą, która powstrzymywała go przed kolejnym zwymiotowaniem za barierkę.

– Wiem! – odwarknęła gniewnie, zaraz jednak zamknęła oczy i westchnęła. – Wiem – powtórzyła łagodniejszym tonem. – Ale wszystko działo się tak szybko. Musieliśmy znaleźć ubrania, wydostać się z Brooklynu. Myślałam, że jeśli zacisnę zęby, to sobie poradzę. Że wszystko będzie ze mną w porządku.

– Ale coś jest nie w porządku, prawda?

Patrzył, jak na jej twarzy odbijają się kolejno i mieszają ze sobą: zaprzeczenie, bezsilność, strach.

– Widziałeś, co się działo na dworcu. Ledwie udało mi się zatrzymać czas, tak żebyśmy mogli uciec Jackowi – odparła zapatrzona w przesuwany się pejzaż, jakby nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. – Masz rację. Nie powinnam była ryzykować, ale byliśmy osaczeni. Pomyślałam, że jeśli tylko uda mi się przenieść nas do następnego pociągu, będziemy bezpieczni. Ale kiedy zaczęłam, straciłam nad tym kontrolę. No i jeszcze ty...

– Ja? – przerwał jej. – Chcesz powiedzieć, że to moja wina?

Esta pokręciła głową.

– Nie twoja. Mam na myśli to, co w tobie siedzi. Czuję to, kiedy mnie dotykasz, a kiedy próbuję użyć daru, mam wrażenie, że dotykam drutu pod napięciem.

Harte'a znów ścisnęło w dołku.

– Myślisz, że to Księga?

Na samo jej wspomnienie przebudził się w nim głos. Na moście Harte powiedział Eście, że moc Księgi mieszka teraz w nim, ale to nie była cała prawda. Przedtem nie umiał znaleźć słów, żeby wytłumaczyć, czego żąda Księga, zwłaszcza od niej. Teraz, kiedy widział strach i wątpliwości w jej oczach, nie chciało mu to przejść przez gardło.

Włosy jej się rozwiązały, ciemne kosmyki fruwały na wietrze, ale jej twarz była nieruchoma.

– Nie mam pewności. Może to nie ma związku z tobą. Może coś się ze mną stało, kiedy przekroczyłam Krawędź.

Pewnie powinien ją pocieszyć – a nawet jej wybaczyć. Wciąż jednak zbyt się na nią gniewał za te dwa lata życia, których tak niefrasobliwie go pozbawiła.

Esta usiadła obok, fałdy jej spódnicy piętrzyły się na jego nodze. Dotknęła ręką jego policzka i delikatnie obróciła mu głowę do siebie.

– Jakoś to naprawię. Ale nie możemy teraz wrócić. Jeszcze nie – dodała prędko, nie dając mu dojść do słowa. – Nie wiem, dlaczego przeszliśmy tak daleko. Nie wiem, dlaczego straciłam kontrolę nad tym, gdzie wylądujemy. Zwykle jest inaczej. Ale jeśli spróbuję teraz przenieść nas z powrotem i się nie uda, możemy utknąć tu na zawsze. Pamiętasz, co się stało z tymi kamieniami, które próbowałam zabrać z przyszłości.

Harte pokiwał twierdząco głową. Zostały z nich tylko osmalone resztki opraw. Same kamienie obróciły się w popiół.

– Myślę, że kamienie nie mogą współistnieć z innymi wersjami siebie w jednym czasie. Jeśli znowu nie trafię i przejdziemy za daleko, Klucz Isztar napotka sam siebie i spłonie. Utkniemy nie wiadomo gdzie i stracimy szansę na pokonanie Nibsy’ego i Zakonu. – Zwilżyła usta. – Nie mówiąc o tym, że nie wiem, co się stanie ze mną, jeśli kamień zniknie.

– Z tobą? – Pokręcił głową w niezrozumieniu.

– Albo z tobą. Mówiłam ci, co zrobił Nibsy, zanim zmieniliśmy bieg zdarzeń. Jak mnie wysłał w przyszłość.

– Kiedy byłaś niemowlęciem...

Skinęła głową.

– To się chyba jeszcze musi wydarzyć. Jeśli nie zostanę wysłana w przyszłość, nie będę mogła wrócić do przeszłości. A to by oznaczało, że nie mogłam wziąć udziału w skoku na Khafre Hall ani cię uratować. Zginąłbyś. Kto wie, co by to oznaczało dla Zakonu, Nibsy’ego i magii. – Jej

twarz spowiła się cieniem. – Jeśli jako małe dziecko nie zostaną wysłana w przyszłość, dorosnę tak, jak powinnam... czyli w przeszłości. Nie wiem, czy ta wersja mnie w ogóle będzie mogła wtedy istnieć.

Harte poczuł ukłucie strachu.

– Przecież nie znikniesz tak po prostu.

– Dlaczego nie? Skoro kamienie zniknęły?

Zastanowił się nad jej słowami, spróbował sobie wyobrazić świat bez Esty. Wszystko, co robił, żeby ją odesłać z powrotem do przyszłości, było podyktowane troską o jej bezpieczeństwo – chciał ją uchronić przed przeszłością i przed mocą, która w nim szalała. Mimo to Esta wróciła, dając mu kolejną szansę. Szansę, na którą nie zasługiwał.

– W takim razie masz rację. Nie możemy ryzykować. Poczekajmy.

– Naprawdę się zgadzasz?

– Kamienie, których szukamy, nadal istnieją, prawda? Co się mogło z nimi stać przez dwa lata? Przecież nie zawędrowały nie wiadomo gdzie. Znajdziemy je tutaj... teraz.

Czoło Esty wciąż było zmarszczone.

– I co dalej? Nie będziemy mogli zabrać ich z powrotem.

– Bo w tysiąc dziewięćset drugim będą nadal istnieć – zdał sobie sprawę.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu wśród stukotu kół na torach.

– Nieważne – odezwała się w końcu Esta. – Później będziemy się martwić, jak z nimi wrócić do tysiąc dziewięćset drugiego. Najpierw trzeba ujarzmić moc Księgi. Do tego potrzebujemy kamieni. Może kiedy już będziemy je mieć, sama Księga pomoże nam rozwiązać ten problem. W końcu dzięki niej przedostaliśmy się przez Krawędź. A zresztą dwa lata to nie jest szmat czasu.

Dwa lata to wieczność, pomyślał Harte.

– Nie jest to plan doskonały... – zaczął mówić, lecz nagle doznał przebłysku. Księga.

O nie.

Spojrzał na Estę, głos uwiązł mu w gardle.

– Mój płaszcz – wykrztusił tylko.

– Co z nim?

Po sekundzie sama zrozumiała – odgadł to z wyrazu jej twarzy – lecz i tak wypowiedział prawdę na głos, bo musiał jej stawić czoło. Bo gdyby próbował ją przemilczeć, nic by to nie dało.

– Księga była w kieszeni płaszczka. Tego, który został na peronie.

KU ODLEGŁEJ STACJI

1904 rok – New Jersey

Trzeba było mi pozwolić go zabić – powiedziała Esta, odsuwając się od Harte'a. Bo jedno nie ulegało wątpliwości: gdyby jej wtedy nie powstrzymał, nie znaleźliby się w tej sytuacji. Przede wszystkim wciąż mieliby Księgę. A poza tym nie trafiliby do roku 1904, bo nie musieliby uciekać przed Jackiem.

Mogła to zrobić.

Z przyjemnością dźwigałaby ciężar tej zbrodni do końca swych dni. Nie wiedziała, jakie będą skutki jej zawahania, lecz jednego była pewna: z faktu, że Księga trafiła w ręce Jacka, nie wyniknie nic dobrego.

Wstała. Harte nadal siedział na platformie, blady, roztrzęsiony, lecz Esta nie znajdowała w sobie współczucia.

– Niepotrzebnie mnie powstrzymałeś.

– Ciekawe, jaki miałś plan – odciął się. – Zabiłabyś go i odeszła, tak po prostu, z krwią na rękach?

– Przynajmniej byłyby to jego krew, a nie nasza.

Harte potarł twarz dłonią, westchnął ciężko i na chwilę zamknął oczy. Wyglądał, jakby znów miał wymiotować.

– Wiele zrobiłem w życiu złego, ale nie chcę być kimś, kto potrafi zabić człowieka z zimną krwią. – Otworzył oczy i spojrzał na Estę. – Nawet jeśli ten ktoś w pełni na to zasługuje.

Jakaś stanowczość w jego słowach, wyraźnie słyszalnych mimo wiatru i stukotu pociągu, kazała jej się zastanowić, czy Harte nie ma racji.

Ale tylko przez moment.

W tym świecie nie było miejsca na podobne wahania i rozterki. Nie przetrwałyby w nim, gdyby miała w sobie tyle wrażliwości, ile oczekiwał od niej Harte.

Znienacka stanęła jej przed oczami biblioteka profesora Lachlana na ostatnim piętrze budynku przy Orchard Street. Przyćmione światło. Zapach starych książek, który dawniej kojarzył jej się z bezpieczeństwem. Nadgarstki wciąż ją bolały od przetarć po sznurach, którymi przywiązano ją do krzesła. Miała wrażenie, że znów czuje ciepło kamieni, którymi ozdobił ją profesor Lachlan. Człowiek, który ją wychował, chciał ją złożyć w ofierze: wykorzystać jej dar i ją samą do połączenia kamieni i zawładnięcia mocą Księgi. „Jesteś tylko naczyniem”. Niewiele brakowało, aby ją zabił.

Dotknęła wciąż gojącej się rany tuż pod obojczykiem i zamknęła oczy, broniąc się przed tamtym wspomnieniem. „W takich sytuacjach przydaje się kapka krwi”.

Od tamtej nocy dzieliła ją niespełna doba i zarazem całe sto lat. W ciemnościach zamkniętych powiek dopadł Estę kolejny obraz minionego: Dakari wchodzący do pokoju, nieświadomy zamiarów profesora Lachlana. Nieprzygotowany na kulę, która chwilę później go dosięgła.

Echo wystrzału.

Głuchy odgłos bezwładnie upadającego ciała.

I ciężar jej winy za jego śmierć.

Może nigdy nie miała w sobie wrażliwości. A może ostatnie jej resztki umarły w niej tamtego dnia wraz z Dakarim. Tak czy inaczej, Esta wiedziała, że skoro umie żyć z tym wspomnieniem, jest w stanie znieść wszystko. Stać się dowolną osobą. Harte mógł nie dowierzać, że jest wystarczająco silna, lecz Esta straciła już przyjaciół, rodzinę, ojca – i przeżyła. Czymże byłaby odrobina krwi na rękach w imię pamięci o nich?

Zresztą nie musiałyby dźwigać tego ciężaru zbyt długo. Profesor Lachlan wyjaśnił jej, w jaki sposób można wykorzystać kamienie do zapanowania nad Księgą. Nie powiedziała jeszcze Harte’owi. Nie była pewna, jak by

zareagował na wieść, że konieczna będzie ofiara – z jej daru i prawdopodobnie z jej życia – i że nie mają czasu na moralne skrupuły. Zresztą była przecież dziewczyną bez przeszłości i bez przyszłości. Pogodziła się już z tym, że ma bardzo niewielkie szanse na wyjście z tego cało.

Teraz będą musieli żyć ze świadomością, że nie zabili Jacka, choć mieli okazję. Minęły dwa lata, przez ten czas życie toczyło się dalej, każdy dzień dopisywał coś nowego. Kto wie co się zmieniło, odkąd Jack Grew zdobył Księgę i całą wiedzę zapisaną na jej stronicach. Kto wie co ich czeka na stacji końcowej.

Harte wyglądał, jakby znów miał wymiotować. Nic dziwnego. Na myśl o Jacku z Księgą jej samej robiło się niedobrze.

– Jakoś sobie poradzimy – powiedziała po kilku minutach napiętej ciszy. Nie była pewna, czy sama w to wierzy, ale nic innego nie przyszło jej do głowy. Wiatr smagał ich twarze, pociąg pędził po torach ku odległej stacji, ku przyszłości, której postanowiła stawić czoło, bo nie miała zwyczaju poddawać się bez walki.

– Wiesz, co Jack może zrobić, mając Księgę. – Harte odwrócił się od niej i utkwiał zamglony wzrok w przesuwanym się krajobrazie. – Zakon odmawiał mu dostępu do Księgi, bo wiedzieli, jaka jest niebezpieczna, a ja mu ją dałem. Teraz zna sekrety, których nawet Zakon wolał mu nie wyjawiać.

Wszystko, co mówił, było prawdą, lecz mimo to...

– Gdybyś nie wskoczył do pociągu, tylko został na peronie z Jackiem, i tak byłoby po wszystkim.

– Mogłem stanąć do walki – rzekł Harte, zaciskając szczękę. – Poradziłbym sobie z nim.

– Jasne. Nieważne, że gonili cię policjanci, na peronie było mnóstwo ludzi, a pociąg już odjeżdżał. Walka na pięści na pewno wszystko by rozwiązała. – Niezrażona poirytowanym spojrzeniem Harte'a mówiła dalej: – Nie miałeś innego wyjścia, niż wsiąść do tego czy tamtego pociągu. Zostałeś zmuszony do wyboru, tak jak ja. Inaczej byłoby po tobie. Poza tym

Jack wcale nie posiadał nie wiadomo jakiej mocy – przypomniała. – Moc Księgi jest w tobie, zgadza się?

– Ale wciąż można z niej wiele wyczytać. Wystarczająco dużo, byśmy mieli się czego obawiać.

– Będziemy musieli ją odzyskać i tyle. – Esta znowu wstała. – Nie zapominaj, że jestem złodziejką. Wykradnę ją.

Harte podniósł wzrok.

– Może być już na to trochę za późno.

– Jeśli odzyskam kontrolę nad swoim darem, nigdy nie będzie za późno – odparła prędko. A jednak w głębi duszy trochę się martwiła, że Harte może mieć rację. Podała mu rękę. – Możemy wysiąść na następnej stacji i zastanowić się, co dalej.

Zignorował wyciągniętą w jego kierunku dłoń.

– Lepiej chyba dojechać do Baltimore, skoro już mamy bilety. W dużym mieście będzie większe pole manewru. Minęły dwa lata. Nie wiem, gdzie są teraz ludzie, których szukamy. Muszę powysyłać telegramy z pytaniami. Jeśli Julien nadal występuje, znalezienie go nie powinno być trudne.

Przemysłowy krajobraz miasta ustąpił już miejsca otwartej przestrzeni. Ledwie czuło się zapach palonego węgla z lokomotywy, za to coraz wyraźniej zaznaczała się nierozpoznana przez Harte'a woń: zielona i świeża, której próżno by szukać w mieście.

– Powinniśmy poszukać miejsc siedzących – zasugerowała Esta. – Do Baltimore jeszcze kawał drogi.

Harte wstał bez jej pomocy, musiał się jednak mocno przytrzymać barierki.

– Skąd wzięłaś pieniądze na bilety? – spytał, puszczając ją przodem w otwartych drzwiach wagonu.

– Od Jacka. Miło z jego strony, prawda?

Wagon był prawie całkiem pusty. Z przodu starszy mężczyzna spał z głową opuszczoną na pierś. Nie obudził go dźwięk otwieranych drzwi ani stukot kół na torach. Mimo to Harte zniżył głos.

– Ukradłś mu portfel?

Wzruszyła ramionami.

– Nie miał nic przeciwko. Może dlatego, że był trochę... rozkojarzony. –
Zajęła miejsce w pustym rzędzie.

Harte nie usiadł. Spoglądał na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– No co?

– Dlatego się z nim całowałaś.

W pierwszej chwili w ogóle nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Całowałam się...?

Dopiero po sekundzie dotarło do niej, co sobie ubzdurał w tej swojej ślicznej główce.

– Idiota jesteś. Wiesz o tym?

Harte zrobił lekko zakłopotaną minę i usiadł w sąsiednim fotelu.

– Tak – wymamrotał. – Zdaję sobie sprawę.

Esta chciała coś dodać, lecz Harte utopił już spojrzenie w krajobrazie za oknem. Jakby wcześniej na platformie go nie dostrzegął. Teraz mogłaby zniknąć, a on by nie zauważył. Widział tylko świat na zewnątrz pociągu – świat, dla którego kłamał, kradł i oszukiwał.

Dobrze, pomyślała, niech się napatrzy.

Drgania foteli przenosiły na ciało Esty kształt ziemi, którą przemierzali. Nigdy nie sądziła, że opuści miasto – nigdy jej na tym nie zależało – lecz teraz była skłonna przyznać, że świat jest większy i bardziej pociągający, niż przypuszczała. Kończyły się miasteczka i zaczynały pola usłane bujną zielenią falujących upraw. Kolory z jakiegoś powodu były tutaj żywsze i czystsze.

Nie powinno jej tu być, poza granicami miasta, które tak długo stanowiło dla niej dom.

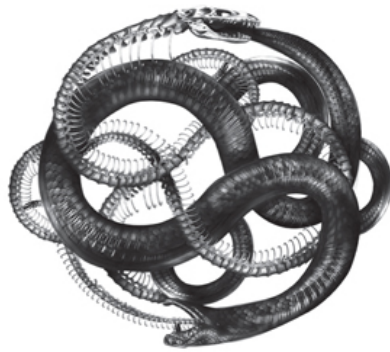
Powinna być martwa, jednak wyszła cało ze spotkania z profesorem Lachlanem, który chciał pozbawić ją mocy – i życia. Wyszła cało ze spotkania z Jackiem, który trzymał ją pod lufą.

Na chwilę oparła głowę na ramieniu Harte'a. Nic im teraz nie groziło, przynajmniej dopóki pociąg nie zatrzyma się na stacji. Do tego czasu byli sam na sam ze sobą, z zielenią za oknem, z miarowym stukotem kół.

Jednak nawet w tej krótkiej chwili wytchnienia Esta czuła, że przyszłość już na nią czeka. Przez dwa lata świat poza tym wagonem mógł się zmienić nie do poznania. Tylko jednego była pewna: cokolwiek się wydarzy w Baltimore, ona temu sprostą. Krok po kroku naprawi wszystkie wyrządzone krzywdy... i policzy się z ich sprawcami.

CZĘŚĆ

DRUGA



WYNURZENIE

1902 – Nowy Jork

Kiedy Jack otworzył oczy, światło w pokoju miało kolor lawendy. Jakby znajdował się we wnętrzu kwiatu. Czuł się ciężki... niemożliwie ciężki, zwłaszcza w lewej ręce, którą przywiązano mu czymś do brzucha. Nie mógł poruszyć palcami, ale w tym lawendowym świetle było mu jakoś wszystko jedno. Mimo że głowa pękała z bólu.

Musieli mu coś podać – jakieś leki przeciwbólowe – bo pokój, w którym leżał, wydawał się odległy, jakby na końcu tunelu. Tylko jak w ogóle się tutaj znalazł?

Przypomniawszy sobie ambulans. Boleśnie wyboistą drogę do szpitala... Ale to nie był szpital. Kontury pokoju zaczęły nabierać ostrości. Kwiecista tapeta, baldachim ociekający koronkami.

Uświadomił sobie, że to jeden z pokoi gościnnych w domu matki. Mogło być lepiej, ale i znacznie gorzej. Zważywszy na wściekłą tyradę stryja – kiedy to było? – rodzina równie dobrze mogłaby go zostawić samemu sobie w zimnym publicznym szpitalu. Albo jeszcze gorzej, mogliby spełnić swoją groźbę i wyekspediować go na zachód, nie czekając, aż wydobrzeje. Wyglądało na to, że jednak się nad nim zlitowano. Dostał coś w rodzaju drugiej szansy. I zamierzał ją wykorzystać.

Jak tylko będzie w stanie się ruszyć...

Leżał tak przez dłuższą chwilę, wodząc wzrokiem po zawitych wzorkach na koronkowym baldachimie. Umysł miał jakby zasnutą ciężką mgłą, lecz powoli przypominał sobie wydarzenia, które sprawiły, że się tu znalazł.

Pociąg... Darrigan i dziewczyna...

Nagle przypomniał sobie, jak sanitariusze podali mu cudzy płaszcz – i co w nim znalazł.

Księża.

Niemal się poderwał, chcąc usiąść na łóżku, lecz najmniejszy ruch przeszywał go bólem od głowy aż po rękę. Z jękiem osunął się na wygodne posłanie. W ogóle nie pamiętał pobytu w szpitalu, nie mógł więc być pewien, co się stało z Księżą. Znaleźli ją? Zabrali? Musi to ustalić.

Drzwi się otworzyły i do środka zajrzała młoda pokojówka. Troszkę za chuda jak na jego gust, ale o ładnej cerze i brązowych włosach, które pewnie spłynęłyby jej na ramiona, gdyby rozpiął jej ten surowy kok.

Niestety, obecny stan zdrowia mu na to nie pozwalał.

– Proszę pana? – Dziewczyna po chwili wahania weszła do pokoju. Nie doczekawszy się odpowiedzi, podeszła bliżej łóżka. Kiedy znowu powtórzyła pytanie, zamrugał powiekami, udając, że właśnie się budzi. – Nie śpi pan? Ma pan gości, ale nie wiem, czy jest pan na siłach...

– Woda?

Sam się zdziwił, jak bardzo był zachrypnięty.

– Oczywiście – odparła pokojówka i pobiegła po szklanę. Wróciwszy, zbliżyła się na odległość ramienia, akurat żeby podać mu wodę, lecz Jack nie wyciągnął po nią ręki.

– Moja ręka – wyszeptał. – Gdybyś mogła...

Spojrzała nieufnie, ale stanęła przy samym łóżku, by pomóc mu się napić. Wyczuwał jej zdenerwowanie i robiło mu się przyjemnie na myśl, że się go boi, nawet leżącego w łóżku.

Pił bez pośpiechu, napawając się bliskością dziewczyny. Pachniała mydłem do prania pościeli, ale roztaczała też słodką woń strachu. Sącząc wodę, nie patrzył jej w oczy, tylko wpatrywał się w szklanę, którą trzymała w smukłych palcach. Gdy skończył, chciała mu ją odjąć od ust, ale nie zdążyła, bo chwycił ją nagle za nadgarstek, delektując się westchnieniem, które wyrwało się z jej gardła.

Nadgarstek miała równie delikatny jak resztę ciała. Kusząco bezbronny w jego uścisku. Ni stąd, ni zowąd przyszło mu do głowy, że mógłby go łatwo zmiażdżyć, jak małego ptaszka. Nie zacisnął jednak palców mocniej, a ona nie próbowała się uwolnić. Oblała się tylko apetycznym rumieńcem i utkwiała w Jacku spojrzenie szeroko otwartych oczu.

– Chyba już ci lepiej, skoro zaczynasz się dobierać do służby – odezwał się głos w drzwiach.

Pokojówka, wykorzystując chwilowe zaskoczenie Jacka, wyslizgnęła się i odeszła od łóżka, odsłaniając właściciela głosu: był to jeden z Barclayów, ten młodszy, z którym Jack chodził do szkoły. Thaddeus albo Timothy, a może Theodore.

– Theo...

Uśmiech na twarzy Theo kazał przypuszczać, że Jack się nie pomylił. Tak, to właśnie Theo Barclay wszedł teraz do pokoju, jakby odwiedzał nie dalekiego znajomego, lecz starego przyjaciela. A razem z nim weszła dziewczyna... która zupełnie przyćmiła pokojówkę.

– Cieszę się, że nie jest z tobą tak źle, jak wszyscy mówili – rzekł Theo, usuwając się z drogi, by służąca mogła wyjść. – Pamiętasz, jak ci mówiłem o mojej narzeczonej?

Jack oczywiście nie pamiętał, ale nawet otumaniony lekami miał dość przytomności, by taktownie skłamać.

– Oczywiście – wymamrotał, zastanawiając się, po co w ogóle ktoś zabiera narzeczoną w odwiedziny do chorego.

– Theo usłyszał, że jesteś ranny, i po prostu musiał cię odwiedzić – dodała dziewczyna rozkosznym głosikiem, tak bardzo kobiecym jak ona sama. – Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że przyszedłam. – Obliznęła nerwowo różowe wargi. – Wiem, że nie zostaliśmy sobie jeszcze przedstawieni, ale...

Jack stwierdził w duchu, że nie obchodzi go powód, dla którego Theo przyprowadził swoją narzeczoną; grunt, że była zjawiskowo piękna. Fioletowe światło, jakby dobrane specjalnie pod nią, podkreślało urodę

śmietankowej cery i jasnych włosów. Jej ubranie na kimś innym zapewne wyglądałoby całkiem zwyczajnie, choć wysoki kołnierz z kremowej koronki był tak delikatny, że sprawiał wrażenie przezroczystego.

– Nie przywiązuję nadmiernej wagi do konwenansów – odparł Jack, żałując, że sam nie wie, co ma na sobie pod pościelą. – Nie mogę was niestety niczym poczęstować, moja służąca właśnie uciekła ze szklanką, ale usiądźcie, proszę.

– Nie zajmimy ci dużo czasu – zapewnił go Theo, okraszając te słowa kolejnym dobrotliwym uśmiechem. – Chcieliśmy tylko spytać, jak się czujesz. Miałeś niezłego farta, co?

– Doprawdy? – zdziwił się Jack. Leżał unieruchomiony w łóżku z potwornym bólem głowy i ręki. Bynajmniej nie czuł się farciarzem.

– No ba! – potwierdził Theo. – Widziałem zdjęcia w gazetach, skala zniszczeń była porażająca. Po tych wszystkich opowieściach krążących po mieście spodziewałem się, że będziesz ledwie żywy.

– Opowieściach? – Jack próbował wywnioskować ze słów Theo brakujące elementy, których nie mógł sobie przypomnieć.

Był jakiś pociąg.

– Pogłoski – uściślił Theo. – Wiesz, jakie potrafią być nasze matki, kiedy usiądą na plotki przy herbatce.

Jack mógł się tylko domyślać, jakie słowa na jego temat padły w rozmowie matki z tą drugą kobietą.

– Nic mi nie jest – bąknął, usiłując wstać, lecz kolejny atak bólu przeszył mu ramię i Jack znowu opadł z sykiem na łóżko. Jak schorowany starzec.

Dziewczyna zrobiła krok naprzód.

– Jeżeli możemy cokolwiek dla ciebie zrobić...

– Nie – odburknął. Widząc, że jego ton ją zmroził, odezwał się łagodniej, ignorując pulsujący ból głowy. – Czuję się dobrze. Pociąg się wykoleił? – dodał, próbując sobie przypomnieć.

– Władze nie są pewne, co właściwie się stało – odparł Theo. – Ale na zdjęciach to wygląda tak, jakby ziemia się rozstała. Masz cholerne

szczęście, że twój wagon tylko przewrócił się na bok. Następny wyglądał, jakby rozerwała go eksplozja. Niewiele z niego zostało, nawet tory zniknęły. Niektóre gazety nazywają cię bohaterem. To cud, że przeżyłeś.

– A inni? – spytał Jack. Bo zawsze byli jacyś inni.

– Jedna z gazet dotarła do lekarza, który się tobą zajmował na miejscu wypadku – zaczęła dziewczyna. – Mówił, że kiedy cię wyciągnęli, byłeś przytomny, powiedziałeś mu nawet, kto wykoleił pociąg.

– Naprawdę? – Jack wyteżał pamięć. Wszystko ginęło we mgle bólu, ale jedną rzecz sobie przypomniał. Darrigan i dziewczyna. Nagle doznał przebłysku. – Zniknęli – powiedział na głos, bardziej do siebie niż do swoich gości.

Ale jak to możliwe? Ludzie nie znikają ot tak sobie. Chyba że...

Nie. Jak mógł się wcześniej nie zorientować? Teraz wszystko układało się w sensowną – i przewrotną – całość. Jak inaczej Darrigan zdołałby go tak łatwo oszukać? Dziewczyna nie owinęłaby go sobie wokół palca. Jak mieliby uciec z Khafre Hall bez pomocy dzikich mocy?

Oboje byli Maginami.

– Zniknęli? – zainteresowała się narzeczona Theo. – Kto taki?

– Harte Darrigan i ta dziewczyna – wycedził nienawistnie Jack.

Zamęcili mu w głowie i go wykorzystali, tak jak ta wiedźma z Grecji.

– Harte Darrigan, ten magik? – spytała dziewczyna, podchodząc bliżej.

– Był w tym pociągu – powiedział Jack. – W tym samym wagonie co ja. Widziałem go. Widziałem ich oboje.

Theo i dziewczyna wymienili powątpiewające spojrzenia. Nie próbowali nawet ukryć niedowierzania. Widział już podobne rzeczy, kiedy wrócił z Grecji. Wtedy wszyscy myśleli, że po prostu stracił głowę dla kobiety. Tłumaczył, że ona go nie oczarowała, tylko z czarowała. W ogóle nie pamiętał, co się działo jednej upojnej nocy, a potem... potem już nie mógł się z nią rozstać. Dopóki nie przyjechał po niego kuzyn.

Zażenowanie Jacka przyćmiło wówczas wszelką wdzięczność za ratunek. Teraz złość, że znów go wykorzystano, stała się jego wewnętrznym

spoiwem.

– Ta dwójka to oszuści i złodzieje – mówił coraz bardziej wzburzonym głosem. – Już raz mnie zniszczyli, kiedy podpalili Khafre Hall i wykradli najcenniejsze skarby Zakonu. Teraz znowu próbują mnie zniszczyć.

– Ale wiesz, że Darrigan nie żyje, prawda? – spytał ostrożnie Theo. – Wszystkie gazety o tym pisały. Skoczył z mostu Brooklińskiego dzień przed tym wypadkiem.

– A czy znaleziono ciało?

– Nie jestem pewien – przyznał Theo.

– To skąd wiecie, że nie żyje?

– We wraku pociągu też nie było jego ciała – zauważył Theo. – Gdyby jechał z tobą w jednym wagonie, raczej by go znaleźli – dodał tonem pobłażliwej cierpliwości, który jeszcze bardziej zirytował Jacka.

– Przecież wam mówię, że zniknął. On i ona. Kogo mieli znaleźć?

Goście po raz kolejny wymienili spojrzenia. Jack czuł, jak narasta w nim dzika furia.

– Wiem, co widziałem. Darrigan i dziewczyna jechali ze mną pociągiem. Już prawie ich miałem. Zapytajcie policję... W wagonie był też jeden strażnik...

Theo zmarszczył brwi.

– Był, ale zginął.

– Naprawdę sądzisz, że to Darrigan i jego dziewczyna stoją za wykolejeniem pociągu? – spytała narzeczona Theo. W jej głosie zaciekawienie zaczynało brać górę nad sceptycyzmem. – I że potem Darrigan zniknął? To by oznaczało, że jest...

– Maginem – dopowiedział za nią Jack.

– Ale przecież Krawędź... – Narzeczona Theo podeszła jeszcze bliżej łóżka. – Od lat nie było żadnych doniesień o użyciu magii poza granicami Nowego Jorku. Skoro Darrigan jest Maginem, jakim cudem wydostał się z miasta?

– Mówiłem wam: ukradł artefakty Zakonu... – Jack w milczeniu rozważał problem w obolałej głowie. – A może to była ona – dodał po chwili.

– Co to w ogóle za dziewczyna? – dopytywała się narzeczona Theo.

– Oszustka, niejaka Esta Filosik. Tak mi się przynajmniej przedstawiła. Była w Khafre Hall w dniu pożaru. Pomogła Darriganowi wtedy i potem na moście.

– A Zakon wpuścił ich do swojej siedziby? – zdziwiła się dziewczyna. – Nie wiedzieli, że tamci dwoje są...

– Nie – przerwał jej, zanim dokończyła pytanie. Patrzył wrogo, wyzywająco.

– Powinniśmy już iść, skarbie – rzekł Theo, próbując ją odciągnąć.

– Ale mam jeszcze...

– Natychmiast – uciął dobitnie. – Możemy ci jeszcze jakoś pomóc, Jack? Potrzebujesz czegoś?

– Księgi.

– Księgi? – spytał Theo. – Jakiej księgi?

Jack wcale nie zamierzał wypowiadać tej myśli na głos. Próbując naprawić swój błąd, odparł niepewnym głosem:

– Chodziło mi o płaszcz. Przejęzyczyłem się.

– Zimno ci? – spytała dziewczyna, tym razem z troską w oczach. – Mogę dorzucić drewna do kominka. Albo może przyniosę ci jeszcze jeden koc...

– Nie! – rzucił stanowczo, aż się wzdrygnęła. Nie potrzebował jej litości. – Nie chcę żadnego cholernego koca i nie jest mi zimno. Chcę swój płaszcz.

– Poczekaj, Jack – odezwał się Theo. – Tu obok skrzyni jest cała sterta twoich rzeczy. Niech spojrzę.

Jack zamknął oczy, broniąc się przed lawendowym światłem, przed troską w oczach dziewczyny i przed bólem, który wciąż rozsadał mu

czaszkę. Jednak w ciemnościach opuszczonych powiek widział tylko własną porażkę i bezsilność. Był głupi.

– To ten? – spytał Theo.

Jack otworzył oczy. Theo trzymał w ręku lichy wełniany płaszcz, który Harte Darrigan miał na sobie podczas ucieczki na dworcu.

Tak, tak, tak, tak.

– Daj mi go – rzucił bezceremonialnie. Sam nie rozumiał, skąd wzięła się w jego głosie ta nowa siła ani dlaczego tak rozpaczliwie mu zależało na tym, by znów poczuć w rękach skórzany tom.

Musiał wiedzieć, czy tamci go znaleźli. Leżał w domu matki, należało się liczyć z tym, że jakiś członek Zakonu przejrzał jego rzeczy. Że odebrali mu Księgę, zanim zdążył odkryć jej sekrety.

– Chciałbyś, żebyśmy kogoś zawołali? – spytał Theo, narzucając Jackowi płaszcz na ramiona. – A może przyniosę ci coś przeciwbólowego. Tu na stoliku są jakieś buteleczki...

– Nie... Chciałbym tylko móc odpocząć – powiedział Jack i opuścił powieki.

Niech już sobie idą...

Czując ciężar płaszcza, odniósł wrażenie, że jest gdzieś daleko od siebie samego. Był senny i zmęczony, a jednocześnie miał do bólu wyostrzoną uwagę. To pewnie od lekarstw; lekarze musieli mu podać morfinę, żeby nastawić rękę.

– Cieszę się, że wracasz do zdrowia, Jack – rzekł Theo. – Tylko dbaj o siebie.

– Bardzo miło było cię poznać – zawtórował mu dziewczęcy głosik.

Jack nawet nie otworzył oczu. Udawał, że śpi, dopóki nie usłyszał odgłosu zamykanych drzwi. Dopiero mając pewność, że sobie poszli, podniósł sprawną rękę i wywrócił nią płaszcz na lewą stronę. Mimo bólu zdołał wymacać otwór kieszeni, a potem...

Jest.

Uniósł Ars Arcana i obejrzał ją w nikłym świetle z uczuciem triumfu. Trudno było przewracać kartki w pozycji leżącej, a ból nie pozwalał mu się podnieść. Krzywiąc się z wysiłku, spojrział ku fiołce z lekarstwem, o której wcześniej wspomniał Theo. Sięgnął po nią, lecz ból w ramieniu był paralizujący. Przez chwilę Jack rozważał wezwanie pokojówki, nie chciał jednak ryzykować, że ktoś zobaczy Księgę.

Zaciskając zęby, spróbował znowu i tym razem udało mu się musnąć buteleczkę palcami. Przewróciła się w jego stronę. Podniósł ją, otworzył i wysypał dwie kostki, nie zadając sobie trudu, by przeczytać instrukcję. Rozpuścił je sobie na języku i poczuł w ustach gorzkość, ale ból nie ustał. Nadal czuł bicie serca w piersiach. Wziął więc jeszcze dwie kostki i tym razem je rozgryzł.

Ból z wolna ustąpił. Czując, że może już normalnie oddychać, Jack natychmiast otworzył Księgę. Jej delikatne karty różniły się wyglądem, jakby pochodziły z wielu różnych źródeł. Na pierwszy rzut oka pokrywały je wyblakłe zapisy, a to po łacinie, a to w grece. Ale były tam również języki, które Jack widział pierwszy raz w życiu.

Przesuwając kciukiem po brzegach stron, nie miał pewności, czy źródłem ciepła, które odczuwa, jest sama Księga, czy krążąca w jego żyłach morfina. Po chwili stwierdził, że to bez znaczenia – i zaczął czytać.

NOWE MIASTO

1904 rok – St. Louis

P arny i lepki wieczór w St. Louis nie miał w sobie nic z rześkiej wiosny, którą Esta i Harte zostawili w Nowym Jorku. Ludziom na ulicy zdawało się to jednak w ogóle nie przeszkadzać.

Do miasta przyjechali kilka godzin wcześniej, przekroczywszy najpierw rzekę Missisipi. W Baltimore po wysłaniu paru telegramów dowiedzieli się, że Julien nie przebywa już w Chicago. Wyjechał ze swoją rewią do St. Louis i właśnie tam Esta i Harte udali się najpierw, pierwszym wieczornym pociągiem.

Widok ogromnego dworca z mnóstwem turystów, którzy zjechali na wystawę światową, był dla nich lekkim szokiem, zdołali jednak znaleźć hotel i kupić nowe ubrania. Esta powtarzała sobie, że ona i Harte są tylko partnerami we wspólnym przedsięwzięciu, ale po nocy spędzonej we dwoje w przedziale sypialnym była pobudzona i niespokojna. Dobrze, że przez kilka godzin mogła pobyć sama ze sobą. Teraz stali w kolejce po bilety przed teatrem, w którym występował Julien Eltinge. Gorączkowy szmer dookoła potęgował atmosferę oczekiwania na coś niezwykłego.

St. Louis nie mogło się równać z Nowym Jorkiem. Większość tutejszych ulic, znacznie szerszych niż te na Dolnym Manhattanie, nie była brukowana, lecz wysypana żwirem. W powietrzu wisiał ciężki węglowy dym z barek na Missisipi. Nie brakowało restauracji, obwieszczających swoje nazwy złotymi literami w oknach, lecz światła nie świeciły tak jasno jak na Broadwayu ani nawet w Bowery.

Esta była ciekawa, jak się na to wszystko zapatruje Harte. Odkąd się okazało, że przeniosła ich w czasie do przodu, stał się małomówny i skryty.

Nawet w tej chwili jego stalowoszare oczy spoglądały uporczywie w jakiś daleki punkt. Marszczył przy tym lekko brwi, jakby oceniając świat, którego był teraz częścią, według swoich wygórowanych oczekiwań. Mimo to wydawał się spokojny, przygotowany na wszystko, co może przynieść wieczór.

W rzeczy samej, biorąc pod uwagę, że przez większość podróży był dosłownie zielony od choroby lokomocyjnej, wyglądał bardzo dobrze. Miał na sobie elegancki czarny garnitur, a ciemne włosy zaczesał do tyłu, co uwypukliło ostre rysy jego twarzy. Esta dziwiła się, że potrafi wyglądać tak świeżo w tylu warstwach odzieży. Można było odnieść wrażenie, że wcale nie jest mu ciepło, podczas gdy ona w gorsecie, sukni i narzutce czuła się tak, jakby owinięto ją grubym kocem. Gdy kolejna kropla potu spłynęła jej po plecach, doszła do wniosku, że może suknia wieczorowa z surowego jedwabiu nie była najlepszym pomysłem.

Ale było już za późno, żeby się przebrać. Gdzieś za ścianą teatru, za rozszemranym tłumem widzów w szampańskich nastrojach, znajdował się pierwszy z kamieni: Gwiazda Dżina.

– O której ma występ? – spytała, postępując o krok w kolejce.

– Będzie jednym z ostatnich – rzekł Harte, zerkając na wielki szyld, na którym imię i nazwisko Juliena Eltinge’a jarzyło się elektrycznym blaskiem. – Pewnie koło dwudziestej pierwszej.

– Nadal uważam, że łatwiej byłoby zakraść się do jego mieszkania i zabrać naszyjnik – powiedziała.

Kłócili się o to w pociągu, lecz Harte był nieugięty.

– Może gdybyśmy mieli pewność, że kamień tam jest. A tak nie warto ryzykować przyłapania na gorącym uczynku. Wolę go spytać.

– Ja nigdy nie dam się złapać – przypomniała Esta, rzucając mu spojrzenie z ukosa. – A poza tym... Naprawdę sądzisz, że to dobry pomysł, żebyś użył na nim swojego daru?

– Tak będzie najprościej.

Esta wcale nie była o tym przekonana. Skoro z jej magią działa się coś dziwnego, to co musiał czuć Harte, który nosił w sobie moc Księgi?

Nagły powiew wiatru wśród budynków przyniósł Eście chwilową ulgę od wieczornej duchoty, zaszeleścił jedwabną suknią i narzutką z tafty. Chłodna metaliczna woń zapowiadała deszcz, podobnie jak ciężkie szare chmury na wieczornym niebie. Lecz Esta poczuła coś jeszcze – ciepłą energię, której nie dało się pomylić z niczym innym.

– Też to poczułeś? – spytała, lecz Harte zdawał się nie wiedzieć, o co jej chodzi.

Podszedł do okienka, Esta tymczasem przyglądała się ukradkiem ludziom dookoła. Z początku nikt nie wzbudził jej podejrzeń – dopóki nie zobaczyła dziewczyny w niebieskiej sukience.

Gdyby sama nie była złodziejką, raczej nie dostrzegłaby niczego podejrzanego w tym, że dziewczyna się potknęła, a mężczyzna oparty o latarnię złapał ją, żeby się nie przewróciła. Ponieważ jednak była złodziejką, nie uszło jej uwadze to, jak dziewczyna dyskretnie przekazała mu paczuszkę, którą mężczyzna prędko schował za kamizelkę.

Wszystko trwało dosłownie moment. Dziewczyna w niebieskiej sukience podziękowała mężczyźnie i ruszyła dalej. On znów oparł się o latarnię, a kowbojski kapelusz z szerokim rondem zaciemniał mu oczy i większość twarzy z wyjątkiem zaciśniętych ust. Garbił się lekko w sposób, który raczej nie mógł być wystudiowany.

Esta wciąż się zastanawiała, co takiego mogło się znajdować w tej paczuszce, kiedy powietrze przeszył świdrujący gwizd. Chwilę później ujrzała trzech mężczyzn biegnących w kierunku teatru. Ubrani byli w długie czarne płaszcze do kolan, a na prawym ramieniu mieli białe opaski z jakimś symbolem. W kłapach połyskiwały złote odznaki, nieco mniejsze od typowych odznak policyjnych, ale wyglądające równie poważnie.

Mężczyzna w kowbojskim kapeluszu podniósł głowę, lecz jego nieruchome usta nie zdradzały strachu ani zaskoczenia. Wręcz drgnęły w kąciku, jakby oczekiwał takiego obrotu wydarzeń. Sięgnął do kieszeni,

w blasku latarni błysnął otwierany zegarek. Mężczyzna niespiesznie obrócił tarczę, jakby miał mnóstwo czasu.

Potem odchylił rondo kapelusza – i spojrzał prosto na Estę. Zamrugał i oczy lekko mu się rozszerzyły. Rękaw koszuli przesunął się nieco do góry, odsłaniając tatuaż – czarny, wijący się wokół nadgarstka. Przez chwilę wydawało jej się, że widzi w jego oczach zaskoczenie, ale to zaraz minęło. Nieznajomy mrugnął do niej, po czym zamknął zegarek. W powietrzu rozeszła się zygzakiem fala zimno-gorącej energii, a on... zniknął.

Esta wciąż wpatrywała się w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stał, gdy Harte odciągnął ją do tyłu, omal jej nie przewracając. Trzech mężczyzn w płaszczach przecięło kolejkę do kasy. Gdy minęli Estę, poczuła kolejną falę magii. Instynktownie wyciszyła własną moc.

Harte objął ją mocno, jego dotyk był prawie gorący. Ale nawet jeśli zauważył ten przebiegający między nimi prąd, nie dał tego po sobie poznać.

– To poczułem – rzekł, rozglądając się podejrzliwie. – Chodźmy... – Powiódł ją w stronę wejścia do teatru.

Tymczasem trójka w czarnych płaszczach podbiegła do latarni i chwyciła zdezorientowanego mężczyznę siedzącego na ławce obok miejsca, w którym stał kowboj.

– Ale... – Esta wyginała szyję, próbując zobaczyć, co się dzieje, i wciąż wypatrując mężczyznę w kapeluszu.

– Nie pakujmy się w cudze kłopoty – uciął Harte. Wciąż obejmując Estę ramieniem, wprowadził ją do holu teatru.

– To była magia – powiedziała. – Jak to możliwe?

– Nie wiem – odparł, oglądając się w stronę drzwi. – Ale było w niej coś nienaturalnego.

– Prawda? Coś z nią było nie tak. – Esta powinna się teraz od niego odsunąć, ale tego nie zrobiła. Choć dzieliło ich kilka warstw materiału, czuła jego ciepło, antidotum na chłód nienaturalnej energii, która wciąż krążyła w powietrzu. Zaniepokojona całym zdarzeniem Esta instynktownie

przysunęła się bliżej. Wdychając ciepłą woń Harte'a, czystą, świeżą i znajomą, wtuliła się w niego.

To był błąd. Harte zeszywniał, jego twarz przybrała obojętny wyraz, cofnął ręce i się odsunął.

– To miało w sobie coś z Krawędzi – stwierdził rzeczowym tonem, jakby wcale jej przed chwilą nie dotykał albo jakby to nic nie znaczyło. – Pytanie, co to było.

Bolała ją ta obojętność, lecz szybko się otrząsnęła. Skoro tak ma teraz być...

– Wydaje mi się, że oni szukali takiego jednego kowboja z magicznym zegarkiem. – Opowiedziała mu o dziewczynie, która się potknęła, i o tym, jak mężczyzna spojrział jej w oczy na chwilę przed zniknięciem. – Wyglądał, jakby wiedział, że go nie złapią.

– Ale widział cię? – Harte zmarszczył brwi.

– Patrzył prosto na mnie – potwierdziła, przypominając sobie delikatnie zmieniony wyraz twarzy kowboja w tamtej chwili. – Ale może to dlatego, że się w niego wpatrywałam. Może się zorientował.

– Myślisz, że to mogli być członkowie Zakonu?

– Tak ubrani? Nie sądzę.

Zakon przyjmował przecież w swoje szeregi tylko najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi.

– To kim byli? – Harte myślał głośno. – I kto ich ścigał?

– Nie wiem. Nie podoba mi się to wszystko – przyznała Esta. Kiedy dzień wcześniej przybyli do Baltimore, nie uderzyły ją żadne oczywiste zmiany i trochę odetchnęła w nadziei, że może Księga w rękach Jacka nie wywróciła świata do góry nogami. Jednak kowboj z zegarkiem i mężczyźni w czarnych płaszczach stanowili niepokojący sygnał. Nie spodziewała się czegoś takiego poza Nowym Jorkiem. – Lepiej stąd chodźmy. Możemy przeszukać mieszkanie Juliana i ewentualnie wrócić tu jutro, jeśli będzie trzeba.

Harte obejrzał się na drzwi wejściowe, a potem na ulicę za nimi, jakby ważył różne opcje.

– Już tu jesteśmy – odparł po chwili. – Cokolwiek to było, chyba już zniknęło i nikt nawet nie zauważył. Bądźmy czujni, ale na razie trzymajmy się planu. I wyjedźmy stąd jak najszybciej, zanim wpadniemy w kłopoty.

Esta mimo woli musiała się z nim zgodzić. Wycofując się teraz, przyznałaby się do strachu, a tego nie chciała, zwłaszcza że Harte najwyraźniej się nie bał.

Marmury z teatralnego holu ustąpiły miejsca purpurowej wykładzinie prowadzącej do obfitości złota i kryształów. Surowa ceglana fasada nie zapowiadała takich bogactw. We właściwej części budynku znajdował się ogromny sklepiony sufit ze scenami przedstawiającymi aniołów i bogów. Całe wnętrze skrzyło się w łagodnym blasku białych kryształowych żyrandoli. Choć widzowie przyszli na rewię, równie dobrze mogliby – w aksamitnych fotelach, odziani w futra i jedwabie, obwieszeni drogimi kamieniami – oglądać przedstawienie operowe. Duchota jakoś nikomu nie przeszkadzała. Kobiety wachlowały się leniwie, mężczyźni bez słowa skargi ocierali chusteczką kropelki potu z czoła.

Estę świerzbiły palce. W półmroku z łatwością ukradłaby jakieś klejnoty, tym bardziej że nie wiedzieli, co przyniosą kolejne dni. Pokusa wzbogacenia się choćby o jedną szmaragdową broszkę była ogromna... lecz najpierw musieli znaleźć Julię i odebrać od niego naszyjnik. Głupotą byłoby kusić teraz los.

Ledwie zajęli swoje miejsca, światła zgasły, pogrążając w ciemnościach cały teatr oprócz purpurowej kurtyny z aksamitu i uniemożliwiając im dalszą rozmowę o tym, co się stało. Harte pochylił się lekko do przodu, czekając, aż kurtyna pójdzie w górę. Esta pod osłoną mroku przyglądała się jego twarzy, ostro zarysowanej w cieniu i świetle ze sceny. Spojrzenie miał poważne. Po chwili rozpoczął się pierwszy numer, a ciszę przerwała piosenka.

Następna godzina wlokła się bez końca. Esta tkwiła między Harte'em, który odchyłał się od niej, jakby nie chciał zetknąć się z nią nawet łokciem,

a starszą kobietą, której futro cuchnęło naftaliną, doprowadzając ją niemal do łez. Samo przedstawienie jakoś nie było w stanie jej porwać. Nie robiły na niej wrażenia ani tancerki wymachujące nogami aż po sufit, ani drobny człowiek z bródką, którego monolog w każdych innych okolicznościach śmieszyłby ją do rozpuku. Ani nawet szczupła jejmość w czerni, która połykała miecze i opowiadała sprośne dowcipy. Zainteresowała ją dopiero kobieta śpiewająca zmysłowym kontraltem.

Nie była piękna w klasycznym znaczeniu tego słowa, lecz miała w sobie coś hipnotyzującego. Twarz ciekawa, o bladej, mlecznej cerze i lekko rumianych policzkach. Usta mocno wymalowane, do tego połyskliwa niebieskawozielona suknia z naszyjnikiem z pereł. Panowała nad sceną, choć praktycznie stała w miejscu, a jej głos... Czysty i dźwięczny, oddawał cały ból, nadzieję i zachwyt wyrażone w tekście piosenki.

– Teraz – szepnął Harte, nachylając się ku Eście i dając jej znak dłonią, by wstała.

– Co? – Spojrzała na niego zdziwiona. Plan był inny: mieli wyjść w trakcie występu Julienu i poczekać na niego w garderobie.

– Teraz – powtórzył Harte, wskazując ruchem głowy kobietę na scenie.

– Myślałam, że czekamy na występ Julienu.

W oczach Harte'a błysnęło rozbawienie.

– No właśnie. To jest Julien.

OSŁAWIONA

1904 rok – St. Louis

Harte wiedział, że powinien był przygotować Estę na występ Juliana, lecz dla tej miny warto było milczeć. Radość na jej twarzy sprawiła mu wielką ulgę. Nie był wcale pewien, jak Esta zareaguje, kiedy się dowie, że Julien Eltinge wyrobił sobie nazwisko, wcielając się na scenie w kobiety. Nie wszyscy akceptowali ten szczególny talent. Esta jednak spojrzała ponownie w stronę aktora, a gdy Julien wyciągnął niemożliwie wysoki, chwytający za serce ton, na jej rozchylnych w podziwie ustach zawitał uśmiech. Potem skinęła szybko głową i zebrała fałdy sukni.

Ubrana była w popielatą suknię, bo sądziła, że nie będzie się w niej rzucała w oczy. Harte nie miał odwagi jej powiedzieć, że skutek jest odwrotny. Lejący się jedwab, z którego ją uszyto, falował tuż nad ziemią, nadając jej wygląd zjawy z zaświatów. Przyciągał spojrzenia mężczyzn i kobiet od hotelu aż po teatr i Harte musiał się powstrzymać, żeby nie objąć jej zaborczo ramieniem, aby wszyscy gapie – oraz sama Esta – wiedzieli, kto jest jej towarzyszem.

Nie zrobił tego, bo po dobie przebywania blisko niej – najpierw w pociągu, a potem w obcym mieście, gdzie trzeba było znaleźć hotel i kupić wieczorowe stroje – panowanie nad sobą przychodziło mu z coraz większym trudem.

Źle zrobił, że dotknął jej przed teatrem. To był odruch, chciał ją odsunąć, zanim faceci w czarnych płaszczach ją stratuują, lecz gdy tylko objął Estę, od razu ją poczuł – energię jej daru, sedno jej istoty – i to przez jej skórzane rękawiczki i wszystkie warstwy ubrania. W dodatku przyłgnęła do niego, jakby to było jej miejsce pod słońcem. W tamtej chwili mógłby ją

pocałować pośrodku zatłoczonego holu, mniejsza o wszystkie konsekwencje.

Moc, którą w sobie nosił, z pewnością tego właśnie chciała, lecz gdy poczuł, jak w nim wzbiera pod wpływem bliskości Esty, otrzeźwiał i zapanował nad sobą. Stłumił tę moc i jej żądzę – i puścił Estę. Od tamtej pory udawało mu się trzymać ręce przy sobie. Oby tak dalej.

– Harte?

– Co? – Zamrugął i spostrzegł, że Esta mu się przygląda. Coś do niego mówiła, ale się wyłączył.

– Pytałam, w którą stronę – wyjaśniła, nieświadoma jego myśli.

Gdy znaleźli się znowu w holu, Harte usłyszał gromki aplauz w reakcji na pierwszą piosenkę Julienu, i to mimo że zdążył zamknąć drzwi do sali. Do końca występu pozostało piętnaście, może dwadzieścia minut – nie za wiele, zważywszy, że Harte nie miał wcześniej okazji rozejrzeć się po budynku.

Na szczęście wszystkie teatry były w gruncie rzeczy bardzo podobne. Harte znał rytm życia na scenie i świat zakulisowy, ukryty i niezbędny, działający jak dobrze naoliwiony mechanizm. Kierując się intuicją, zaszedł pod niepozorne drzwi na końcu holu. Za nimi było ciemniej i Harte od razu poczuł znajomą energię teatralnego zaplecza. Odczekał chwilę, by przyzwyczać oczy, i na wszelki wypadek zdjął rękawiczki. Upewniwszy się, że trzyma moc na uwięzi, wziął Estę za rękę. Ignorując falę ciepła i pożądania, która w nim wezbrała, poprowadził dziewczynę przez labirynt korytarzy w stronę garderób.

Za rogiem natknęli się na kobietę z naręczem tkaniny. Miała ciemne blond włosy i wyglądała na krawcową kostiumów teatralnych, pracownicę zajmującą się artystami między jednym a drugim występem. Harte'owi przemknęła przez myśl Cela – i jego matka – lecz gdy kobieta na ich widok zrobiła okrągłe oczy, wiedział, że mają kłopot.

– Tu nie wolno wchodzić – oznajmiła, ściągając brwi i mierząc wzrokiem ich wieczorowe stroje.

Esta zacisnęła palce na dłoni Harte'a, on jednak przywołał na usta swój czarujący uśmiech – ten, którym torował sobie drogę w większości sytuacji.

– Ależ mnie wolno – odrzekł, puszczając dłoń Esty i wyciągając rękę w stronę kobiety. – Charlie Walbridge.

Kobieta tylko zmrużyła oczy i spojrzała nieufnie na wyciągniętą ku niej dłoń. Marszczyła przy tym nos, jakby oferowano jej kawałek zepsutego mięsa.

– Walbridge – powtórzył Harte. – Syn Cyrusa P. Walbridge'a... właściciela tego teatru – dodał, opuszczając rękę i nadając głosowi odcień zniecierpliwienia. – A to moja narzeczona, panna Ernestine Francis. – Wcześniej z łatwością ustalił nazwisko właściciela oraz paru innych ważnych ludzi w mieście. Nie miał pojęcia, czy radny Francis naprawdę ma córkę, wiedział natomiast, że nazwiska – w każdym razie niektóre – robią wrażenie.

Fortel zadziałał. Wyraźnie zaskoczona kobieta zaczęła go pospiesznie przeproszać.

Harte otaksował ją wzrokiem.

– No tak... pomyłki zdarzają się każdemu, nieprawdaż? Powiem ojcu, jak bardzo jego pracownicy dbają o teatr, zwłaszcza pani, panno...

– Joy Konarske. Ale jestem wdową, mąż zmarł trzy lata temu.

– Miło było panią poznać. – Harte znów wyciągnął ku niej dłoń. – Nie omieszkam napomknąć ojcu, jaką ma sumienną pracownicę. Na pewno to doceni.

Kobieta lekko się zarumieniła. Poprawiła sobie zwój tkaniny, by móc uścisnąć Harte'owi rękę. Skórę miała stwardniałą od prania i codziennej żmudnej pracy, dzięki której artyści mogli wyjść na scenę. Harte nie bez wyrzutów sumienia wsączył w nią odrobinę swojej energii, tak by przeniknęła delikatnie przez cielesną powłokę w głąb jej istoty.

Otworzyła szerzej oczy, ale się nie cofnęła. Nigdy się nie cofają, pomyślał.

Gdy chwilę później w końcu puścił jej dłoń, kobieta spoglądała lekko oszołomionym wzrokiem. Uśmiechnęła się do nich nieśmiało, po czym się oddaliła. Harte był pewien, że nie będzie ich więcej niepokoić. Zapomni, że w ogóle go widziała – bo tak jej rozkazał. A jeśli w przyszłości usłyszy od kogoś rysopis jego lub Esty, ogarnie ją fala wstrętu i natychmiast ucieknie jak najdalej od tej osoby.

– Czy ty właśnie...? – spytała cicho Esta.

Spojrzał jej w oczy, spodziewając się ujrzeć w nich wyrzut, ale dopatrywał się tylko zmartwienia.

– Wolałabyś, żeby powiedziała komuś, że nas tu widziała?

– Oczywiście, że nie – odszepnęła Esta. – Po prostu... Myślisz, że to bezpieczne? Teraz, kiedy masz w sobie moc Księgi?

Nie pomyślał o tym. Dlaczego nie wziął tego pod uwagę?

– Nie wiem – odparł. W gruncie rzeczy nie bardzo miał wybór. Musiał to zrobić, jeśli nie chciał, żeby ich przyłapano, zanim ta misja na dobre się zaczęła.

Na szczęście szybko znaleźli garderobę Julienu i weszli do środka niezauważeni przez nikogo. Choć roiło się tu od kobiecych peruk i sukni, atmosfera była jednoznacznie męska. Harte, znając Julienu, wcale się temu nie dziwił. Na toaletce stała popielniczka z resztkami wielu cygar, a mdlące widmo ich dymu wciąż wisiało w powietrzu.

– Ile mamy czasu? – spytała Esta.

– Jakies dziesięć minut.

Esta spojrzała na wielki kufer w kącie garderoby.

– Ja zajrzę tutaj, a ty sprawdź w toaletce.

Harte wiedział, że nie zaszkodzi się rozejrzeć. Gdyby udało im się znaleźć Gwiazdę Dżina, nie musieliby w ogóle spotykać się z Julienem. Wątpił jednak, by naszyjnik znajdował się gdzieś tutaj – Julien nie był głupi. Nawet jeśli nie zdawał sobie sprawy z mocy kamienia, raczej nie zostawiłby go w otwartej garderobie w teatrze pełnym ludzi. W ciężkiej platynowej oprawie naszyjnika tkwił turkusowy klejnot przetykany

błyszczącymi nitkami srebrzystej substancji, która czyniła go podobnym do gwiazdzistego nieba. Nie trzeba się było znać na jubilerstwie, by wiedzieć, że to rzecz niezwykła i wartościowa, a taką Julien z pewnością ukrył w bezpiecznym miejscu... o co zresztą Harte sam go prosił w dołączonym liście.

Mimo to Esta miała rację. Skoro już tu są, mogą się przynajmniej rozejrzeć.

Harte nie zdążył jeszcze nawet usiąść przy toalecie, gdy Esta wyjęła z włosów szpilkę i kilkoma sprawnymi ruchami otworzyła zamek w kufrze. Harte przez chwilę patrzył, jak przegląda zawartość, zaraz jednak zwrócił się z powrotem ku toalecie.

Gdy przed nią usiadł, przeszło go znajome uczucie. Ile to razy siadał przed takim samym stolikiem z lustrem, w blasku żarówki, która oświetlała znajome płaszczyzny i kanty jego własnej twarzy? Na blacie stały słoiczki z farbą i proszkiem antymonowym; ich swojskie zapachy przebijały się nawet przez odór przepełnionej popielniczki, budząc wspomnienia i przesywając go niespodziewanie silnym żalem i tęsknotą.

Już nigdy nie usiądzie przy takim stoliku. Nie było powrotu do tamtego życia.

Nawet jeśli wyjdzie cało z tej awantury – nawet jeśli okiełznają moc przyczajoną pod jego skórą, wywiodą w pole Zakon i powstrzymają Nibsy'ego – i tak oficjalnie jest martwy. Nie może zwyczajnie powstać ze zmarłych. Koniec z gromkimi brawami, z blaskiem reflektorów. Już nigdy nie zazna cichej samotności teatralnej garderoby.

Może wymyśli sobie nowe nazwisko i nowe życie, z którego będzie zadowolony, ale nie wróci na scenę. I będzie za nią tęsknił – za nerwowym podnieceniem przed występem i za ciarkami, o jakie przyprawiały go huczne brawa. Dopiero teraz do niego dotarło, jak bardzo będzie tęsknił.

– Masz coś? – spytała Esta, szeleszcząc papierami w jednej z przegród kufra.

To wystarczyło, by Harte wyrwał się z cikliwej zadumy nad własnym losem i zakasał rękawy.

– Na razie nic – odpowiedział. Otworzył pierwszą szufladę, wypełnioną różem w słoiczkach i zapachem talku. Nie musiał jej całej przetrząsać, by się domyślić, że naszyjnika tam nie ma.

– Co to jest? – wymamrotała pod nosem Esta.

Harte odwrócił się w jej stronę.

Trzymała w ręku skórzane pudełko ze złotymi zdobieniami, na którym widniał połączony filigranowy emblemat z monogramem Z.P. Harte podszedł bliżej. Esta wyciągnęła ze środka niewielki złoty medal na zielonej satynowej wstążce. Był to rodzaj ozdoby, jaką nosili ważni dygnitarze albo generałowie na defiladzie. Dziwne...

Wziął od niej medal i dokładnie go obejrzał. Również na nim widniały ozdobne litery Z.P., a także portret mężczyzny o pociągłej twarzy z bujną brodą. Ten człowiek o wydatnych kościach policzkowych i poważnym spojrzeniu mógłby być krzyżowcem albo świętym. Z jakiegoś powodu część jego twarzy zakrywało jednak coś w rodzaju tkaniny. Na obrzeżach medalu widniały jakieś znaki – może dekoracje, a może napisy w obcym języku, trudno było stwierdzić.

– Nie wiem – rzekł Harte, marszcząc brwi. Julien, którego znał, interesował się wyłącznie teatrem, a ten medal nie wyglądał na rekwizyt.

– To nie wszystko – powiedziała Esta, ostrożnie wyjmując złożony w kostkę kawałek szkarłatnego jedwabiu.

Była to szarfa z wpiętym kolejnym medalem. Na dnie pudełka leżała mała srebrna tacka, również ozdobiona na brzegach dziwnymi znakami z jeszcze bardziej finezyjnym odwzorowaniem tych samych dwóch liter: Z.P.

Światło nad toaletką przygasło na sekundę.

– Odłóż na miejsce – powiedział Harte, oddając Eście medal. – To znak, że rozpoczyna się kolejny występ. Julien zaraz tu będzie.

Esta prędko zamknęła kufer na zamek. Właśnie wsuwała szpilkę we włosy, gdy drzwi wejściowe się otworzyły i do ciasnej garderoby weszła umalowana śpiewaczka.

Harte zawsze był pod wrażeniem, oglądając Julię w przebraniu. Jego perfekcyjna stylizacja broniła się nawet z bliska i bez reflektorów. Krecja nie miała w sobie nic z karykatury, nie było w niej cienia błazenady. Nie, cały kunszt Julię – jego prawdziwy talent – polegał na przemianie w inną postać. Gdyby Harte minął go teraz na ulicy, ujrzałby kobietę, ni mniej, ni więcej.

Julien, jakby nie zdając sobie sprawy, że nie jest sam, ściągnął ufryzowaną blond perukę i odłożył ją na głowę drewnianego manekina. Podszedł do toaletki i usiadł przed lustrem. Zanim zaczął zmywać makijaż, wyjął z niewielkiego pojemnika grube czarne cygaro i je zapalił. Zaciągnął się głęboko i wypuściwszy chmurę dymu, która spowiła mu głowę, sięgnął po stojącą obok popielniczki karafkę i nalał sobie na dwa palce. Upił długi łyk, znowu chwycił cygaro w zęby, a potem zaczął zdejmować rękawiczki, które sięgały mu do łokci.

– Wiesz, Darrigan... – Podniósł wzrok i złowił spojrzenie Harte'a w lustrze. Głęboki, lekko zachrypnięty głos klócił się z jaskrawą szminką na ustach. – Muszę ci powiedzieć, że jak na nieboszczyka wyglądasz całkiem nieźle.

Harte wzruszył ramionami.

– Muszę przyznać, że czuję się całkiem żywy.

Julien z cygarem w ustach uśmiechnął się półgębkiem. Obrócił się i pokręcił głową.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Że stoisz w mojej garderobie.

– Dobrze cię widzieć, Jules. – Harte zrobił krok naprzód i wyciągnął rękę na powitanie.

Julien wstał i mu ją uścisnął.

– Ciebie też, Darrigan. Diabło się cieszę.

– Miło mi to słyszeć – odparł Harte, wysyłając w stronę Julię mały impuls swojej mocy.

Nigdy nie widział jasno cudzych myśli, tylko wrażenia i uczucia. Najpierw pojawiły się najświeższe wspomnienia: oślepiający blask

reflektorów, gromki aplauz, głęboka, ostra satysfakcja. Harte zignorował własną tęsknotę za tym blaskiem i falą gorąca, którą wywoływały w nim burzliwe oklaski, a skupił się na swoim zadaniu – szukał jakiejś wskazówki co do losów kamienia. Natychmiast ukazał mu się wyrazisty obraz naszyjnika z bajecznym kamieniem, a wtedy skoncentrował się jeszcze mocniej i posłał Julienowi kolejny ładunek magii, przekraczając cienką barierę, która ich dzieliła, wysyłając przyjacielowi prostą wiadomość. Prosty rozkaz.

Julien przestał się uśmiechać, oczy lekko mu się zamgliły, brwi zmarszczyły, lecz gdy Harte go puścił, twarz odzyskała pogodny wyraz. Nieświadom tego, co się przed chwilą wydarzyło, Julien odwrócił się z powrotem do lustra i sięgnął po duży słoik kremu do demakijażu. Nie zwracając uwagi na Harte'a ani na Estę, rozprowadził krem na połowie twarzy, a następnie zaczął ścierać z niej róż i podkład.

Esta przyglądała się temu wszystkiemu bez słowa. Harte skinął na nią, żeby się zbliżyła.

– Jules, chcę ci kogoś przedstawić.

Dziewczyna napotkała w lustrze wzrok Juliana. Harte dobrze wiedział, co zobaczył jego stary przyjaciel: jedwabną suknię ciasno przylegającą do każdej krągłości ciała, usta pomalowane delikatną różową szminką, włosy spięte misternie i zarazem nonszalancko. Wyglądała jak kobieta z bogatej rodziny, wcielenie elegancji. A przy tym – ze swym wzrostem i pewnością siebie – miała w oku jakiś groźny błysk, niczym debiutantka u progu towarzyskiej kariery.

Julien przyglądał się jej odbiciu, a po jego twarzy przemknął wyraz uznania.

Moja, wyszeptał głos wewnątrz Harte'a, który nie był pewien, czy źródłem tej myśli jest on sam, czy ta obca moc. W tej chwili nie miało to jednak większego znaczenia. Aby nie było żadnych nieudomówień, Harte wziął Estę za rękę.

– To jest...

– Och, dobrze wiem, kto to jest – przerwał mu Julien, posyłając obojgu chytre spojrzenie.

– Naprawdę? – Esta zerknęła z niepokojem na Harte'a.

– Oczywiście, panno Filosik. – Julien podniósł niedopalone cygaro i wskazał na nich okrągłym gestem, po czym uniósł znacząco brew. – Wiedziałem, z kim mam do czynienia, odkąd tylko wszedłem. W końcu... jesteś osławiona.

ANTIDOTUM NA PLOTKI

1902 rok – Nowy Jork

Jack już na schodach usłyszał odgłosy awantury w salonie matki. Po zejściu na dół czoło miał zroszone zimnym potem i ledwie stał na nogach, lecz groźne pomruki stryja kazały mu iść dalej.

Dobrze, że ta płochą pokojóweczka jednak przemogła w sobie strach przed nim. Gdyby nie wspomniała o nagłej wizycie stryja, Jack mógłby ją przespać, a przecież w salonie prawdopodobnie ważyła się teraz jego przeszłość. Nieważne, że kręciło mu się w głowie od zażytej morfiny ani że wciąż czuł się tak, jakby... Hm, jakby rozjechał go pociąg? Zamierzał wkroczyć do salonu i wziąć swój los we własne ręce.

– ...ktoś miał do niego dostęp! – huczał stryj, wymachując jego matce przed nosem zmiętą gazetą.

– Nikogo tu nie było – odparła drżącym głosem, jakim zwykle mówiła w chwilach zdenerwowania. – Chybabym wiedziała, gdyby do mojego domu wszedł dziennikarz.

– W takim razie skąd to wzięli? – Morgan znów pomachał gazetą.

– Pierpont, skarbie... – Ton ciotki Fanny siedzącej obok matki Jacka miał w sobie coś z przestrogi, lecz stryj nic sobie z niego nie robił.

W pokoju był jeszcze kuzyn Jacka – stał ze skrzyżowanymi ramionami, z tym samym grymasem niezadowolenia, który wykrzywiał mu twarz przez całą podróż powrotną z Grecji rok temu. Słowem, rodzinna narada. Dla Jacka nie mogło to oznaczać niczego dobrego.

Minęła chwila, zanim go spostrzegli. Pierwsza zorientowała się matka i natychmiast skoczyła na nogi.

– Kochanie, dlaczego wstałeś z łóżka? – Nie zdążyła zrobić nawet trzech kroków w jego stronę, gdy drogę zagroził jej stryj, znowu wymachując gazetą, ale tym razem przed nosem samego Jacka.

– Co to ma znaczyć, chłopcze?

Pokój lekko wirował, lecz Jack wysiłkiem woli utrzymał się na nogach.

– O czym stryj mówi? Leżę w łóżku od... – Spojrzał na matkę. Dni zlewały się ze sobą. – Jak długo tu jestem?

– Trzy dni, skarbie – odparła ze smutnym uśmiechem. – Powinieneś usiąść. Jeszcze nie jesteś w pełni sił. – Podeszła do pikowanego fotela i zaczęła układać poduszki.

Nie cierpiał tego skakania wokół siebie, jakby wciąż był dzieckiem. Nadal tak go traktowali, dobrze to wiedział. I bardzo się co do niego mylili.

– Nic mi nie jest – oznajmił z machnięciem dłoni.

Nie była to prawda, lecz nie zamierzał się do tego przyznawać przed stryjem i kuzynem. Wolałby umrzeć, niż okazać im swoją słabość.

– Nie wiem, o co stryjowi chodzi – rzekł do Morgana, spoglądając mu prosto w oczy. – Może gdyby stryj przestał się wydzierać i spokojnie mi wyjaśnił, mógłbym się do tego jakoś odnieść.

Morgan spiorunował go wzrokiem.

– Z kim rozmawiałeś?

– Ostatnio? – spytał Jack. – Tylko z matką. Oraz z armią pokojówek i lekarzy, którzy przewalają się przez mój pokój, uniemożliwiając mi wypoczynek.

Pokojówki były przynajmniej ładne, ale lekarzy miał już serdecznie dość: bez przerwy do niego zaglądali i powtarzali, że musi odpoczywać, podczas gdy on chciał tylko jednego – przeczytać Księgę ukrytą pod górą pościeli naznoszonej przez służące. Najchętniej nie robiłby nic innego, tylko dniami i nocami zgłębiał jej sekrety.

– W takim razie jak mi wyjaśnisz ten tekst w „Heraldzie”? – Morgan wepchnął mu gazetę do rąk.

Jack lekko się zachwiał, ale rozpostarł pognieciony papier i ujrzał nagłówek na swój temat. Przebiegł wzrokiem po artykule.

– No i w czym problem? – spytał. Nie rozumiał, o co tyle hałasu. – Wszystko to prawda. Darrigan i dziewczyna byli w pociągu, zanim się wykoleił. Policja nie znalazła śladów ładunku wybuchowego, więc bardzo możliwe, że przyczyną wypadku były czary.

– To nieistotne – zachnął się Morgan. – Mam gdzieś wykolejony pociąg. Chciałbym wiedzieć, skąd ten dziennikarz wie, co się wydarzyło w Khafre Hall – że pożar nie wybuchł przez przypadek ani wskutek awarii. Czy wiesz, ile starań musiał dołożyć Wewnętrzny Krąg, żeby prawda o spaleniu Khafre Hall nie wyszła na jaw? Czy wiesz, jak trudno było odciągnąć uwagę prasy od prawdziwych przyczyn pożaru? A tu proszę, artykuł na całą stronę, z którego można się dowiedzieć, że wykradziono nam najcenniejsze artefakty – i że padliśmy ofiarą pospolitych bandytów. Ten dziennikarz zna całą prawdę. Z kim rozmawiałeś?!

Jack przez ostatnie kilka dni był otumaniony bólem, morfiną... i euforią z powodu Księgi. Mógłby rozmawiać z samym Rooseveltem i pewnie by tego nie pamiętał. Co jednak nie oznaczało, że miał teraz ochotę się do tego przyznać.

– Z nikim – odparł. – Nie mam pojęcia, jak ten... Reynolds, kimkolwiek jest, mógł się wszystkiego dowiedzieć.

– Ale się dowiedział i teraz mamy cholerny kłopot! – krzyknął Morgan, wrywając Jackowi gazetę z ręki. – Wiesz, w jakim świetle to stawia Zakon? Dostajemy już sygnały z innych bractw, że niepokoją się o konklawe, mają wątpliwości, czy Zakon jest w stanie je przygotować. No bo skoro nie potrafię zapanować nad własną rodziną, jak mamy zorganizować tak ważne wydarzenie jak konklawe? – Cisnął gazetę na bok.

– Nie wiem, dlaczego zakładacie, że to moja wina. – Jack się zjeżył.

– Bo zdążyliśmy się przyzwyczaić – włączył się kuzyn. – Ty zawsze coś knujesz i rzadko ma to ręce i nogi. Brakuje ci pomysłu. Jesteś pewien, że nie udzieliłeś tego wywiadu?

Jack miał ochotę wygarnąć kuzynowi, co myśli o jego drwiącym tonie, ale tylko zacisnął zęby. Matka wciąż patrzyła na niego ze smutkiem, który tak go drażnił, że najchętniej roztrzaskałby pięścią jej drogocenną kolekcję figurynek. Gdy znów się odezwał, musiał się bardzo wysilać, żeby nie podnosić głosu.

– Dzisiaj pierwszy raz wstałem z łóżka.

Ale kuzyn go nie słuchał.

– Może Jack potrzebuje wczasów – zasugerował. – Odpoczynku z dala od miasta. Dopóki sprawa nie ucichnie.

– Ta sprawa nie ucichnie – wyrzucił z siebie Morgan. – To nie jest sprawa rodzinna, jak ta sytuacja w Grecji w zeszłym roku. Ten artykuł jest wszędzie, a inne gazety zaraz podchwycą temat. Jeśli go teraz gdzieś wyślemy, to będzie wyglądało, jakbyśmy mieli coś do ukrycia. A to ostatnie, czego nam trzeba. Uwiarygodnilibyśmy w ten sposób doniesienia prasy.

– To co możemy z nim zrobić? – spytał kuzyn.

– Ja tu jestem – przypomniał ponuro Jack. Od samego stania dostawał zadyszki, ale przynajmniej zażyta chwilę wcześniej morfina uśmierzyła ból ramienia i głowy.

– Jak gdyby to miało jakieś znaczenie! – prychnął stryj. Potem zwrócił się znowu do syna: – Zażądamy sprostowania.

– Od „Heralda”? – Kuzyn pokręcił głową. – Teraz to już gazeta plotkarska. Nie obchodzi ich, czy piszą prawdę, grunt, żeby się sprzedawało. Trzeba z nimi walczyć ich własną bronią. Wypuścić inną wersję wydarzeń, która rzuci cień wątpliwości na tę. Jeśli chcesz, porozmawiam z Samem Watsonem. Pamiętasz, przedstawiłem ci go w Metropolitanie. To sprawdzony przyjaciel Zakonu, mogliśmy na niego liczyć po kradzieży w muzeum, a przez ostatnie kilka tygodni napisał kilka wstępniaków o zagrożeniu ze strony elementu przestępczego. Jestem pewien, że mógłby zrobić wywiad z Jackiem i przedstawić wszystko w innym świetle.

– Nie chcę żadnego cholernego wywiadu – oznajmił Jack, lecz nikt go nie słuchał.

– Tak zrób – zgodził się stryj, chodząc tam i z powrotem. – Od czegoś trzeba zacząć. Ale to nie wystarczy. Nawet jeśli „Herald” wycofa się z tego, co wydrukował, nie zmieni to faktu, że Reynolds ośmieszył Zakon.

Bo jesteście śmieszni, pomyślał Jack. Ale choć morfina rozplątała mu język, zdołał się powstrzymać od komentarza. Teraz, gdy miał Księżę, nie musiał się już przejmować stryjem ani Zakonem.

– Moim zdaniem potrzebne są zaręczyny – wtrąciła ciotka Fanny.

Morgan rzucił jej poirytowane spojrzenie.

– Dziękuję ci, kochana, ale to nie twoja sprawa.

Ciotka jednak nie dała się zbyć.

– Jeśli chcecie uciąć szkodliwe pogłoski, trzeba dać prasie coś ciekawszego niż wywiad, Pierpont. Zaufaj mi. Znam się na plotkach i mam w tej dziedzinie znacznie bogatsze doświadczenie niż ty. Kiedy dziewczyna zszarga sobie reputację, najlepszą rzeczą, jaką może dla niej zrobić rodzina, są szybkie zaręczyny. Nic tak nie tłumi plotek jak głośne wesele. Czy nie mam racji, Mary? – zwróciła się do matki Jacka.

Matka, drobna i słaba kobieta, którą wiek uczynił jeszcze słabszą, sprawiała wrażenie zakłopotanej.

– Nie wiem, czy Jack jest gotowy do zalotów – odparła ostrożnie – choć pewnie dziewczyna Stewartów byłaby zainteresowana. Ten sezon nie był dla niej udany.

– Nie dam się przywiązać do jakiejś niewydarzonej debiutantki – stwierdził kategorycznie Jack. Nie zamierzał pozwolić, aby matka i ciotka aranżowały małżeństwo dla ratowania jego reputacji, jakby chodziło o zhańbioną dziewczynę.

– Nie, skarbie – rzekła ciotka do jego matki. – Nie zrobiłabym tego biednej dziewczynie.

Jack już chciał z nią dyskutować, lecz zdał sobie sprawę, że nie wie, co powiedzieć. Nie chciał się ożenić, ale obrażał go sprzeciw ciotki.

– To nie musi być od razu wesele – ciągnęła. – Jeśli chcecie uciąć plotki, trzeba podsunąć ludziom jakiś inny temat do rozmów. Ważne, żeby to było wydarzenie. Najlepiej spektakularne. – Odwróciła się do Morgana. – Jakies przyjęcie albo uroczysty bankiet. Mógłby je wyprawić Zakon, aby pokazać, że wciąż jest silny.

– To nie czas na zabawę, Fanny.

Ciotka cmoknęła.

– Kiedy ludzie biorą cię na jęzory, najgorsze, co można zrobić, to schować się przed światem, Pierpont. Trzeba pokazać się w operze w nowej wspaniałej sukni.

– To również nie czas na zakupy – odburknął Morgan.

– Matka ma rację – wtrącił kuzyn, pocierając w zamyśleniu podbródek. – Zakon mógłby zorganizować wystawną imprezę. Im bardziej ekskluzywną, tym lepiej. Gazety będą chciały ją zrelacjonować.

– A gdzie miałyby się odbyć? – spytał ponuro Morgan. – Z Khafre Hall zostały zgliszcza, gdybyś zapomniał.

– Skorzystajcie z naszej sali balowej – zaproponowała ciotka. – Ale nie wystarczy po prostu wyprawić balu. To musi być coś oryginalnego. – Zastanawiała się chwilę. – Co powiecie na żywe obrazy?

– Czy to aby na pewno stosowne? – odezwała się matka.

– Nie ma w nich nic zdrożnego, pod warunkiem że tematy są zaczerpnięte z wielkiej sztuki – odparła sztywno ciotka. – Ale to prawda, żywe obrazy mają w sobie nieco pikanterii – i właśnie o to chodzi. Będzie się o tym mówiło. Zaczną się spekulacje, które obrazy zostaną wybrane i kto będzie do nich pozował.

Kuzyn pokręcił głową.

– Sztuka to za mało. Scenki z rokokowych obrazów nie wystarczą. Jeśli mamy odbudować nadszarpniętą reputację Zakonu, musimy przedstawić wielkie dzieła pokazujące jego siłę i znaczenie. Sceny ukazujące niebezpieczeństwo dzikiej magii oraz ochronną moc nauki i oświaty. To by mogło zadziałać.

– Być może – przyznał ponuro Morgan, wążąc w myślach propozycję syna. – Ale trzeba by dopilnować, żeby ten tutaj znowu wszystkiego nie popsuł – dodał, wskazując ruchem głowy na Jacka. – Trzeba go będzie dobrze schować.

– Ja tu jestem – znów przypomniał Jack.

I znów go zignorowali. Miał już tego dość. Zaczął się wycofywać do wyjścia. Z dwojga złego wolał już leżeć w swoim pokoju. Niech sami między sobą ustalą, co dalej, byle nie musiał paradować w ślubnym orszaku. Miał inne, ważniejsze sprawy na głowie.

– O nie! – zaprotestowała ciotka. – Nie możecie go schować.

– Niby dlaczego? – zdziwił się Morgan.

– Nie ma wesela bez panny młodej, Pierponcie. O to przecież chodzi.

Jack stanął jak wryty.

– Ludzie przychodzą do kościoła, żeby zobaczyć nawróconą latawicę w białej sukni – ciągnęła ciotka. – Chcą się przekonać, czy to małżeństwo z miłości, czy może pan młody wygląda, jakby miał zaraz czmychnąć. Jeśli chcecie zdyskredytować tamten artykuł, musicie pokazać, że nie macie nic do ukrycia.

– Z nikim się nie ożenię – powtórzył Jack, ledwie panując nad złością.

– Źle mnie zrozumiałeś, mój drogi. Nie chodzi o to, żebyś poślubił jakąś pannę, tylko żebyś nią był – oznajmiła ciotka z marzycielskim uśmiechem.

– Bardzo śmieszne... – zaczął mówić Jack, ale ciotka jeszcze nie skończyła.

– Musicie skupić całą uwagę na Jacku – stwierdziła.

– Wykluczone – odparł natychmiast Morgan, marszcząc nos z dezaprobatą dla tego pomysłu.

– To jedyne wyjście – upierała się ciotka. Spojrzała na Jacka niebezpiecznie zamyślonym wzrokiem. Z myślenia kobiet nigdy nie wynikało nic dobrego. – Tak, teraz to widzę – powiedziała Morganowi. – Trzeba zrobić z Jacka bohatera wieczoru, mistrza ceremonii. To wydarzenie pokaże wszystkim, że Zakon się nie boi, że wcale nie jest słaby. Możecie

obrócić tę historię na swoją korzyść. Nie da się cofnąć tego, co się ukazało w druku, tak jak nie da się przywrócić panie młodej dziewictwa, lecz można to wykorzystać dla waszej sprawy. Zróbcie z Jacka bohatera, który w tamtym pociągu odkrył wielkie zagrożenie, które dowodzi tego, że Zakon jest ludziom potrzebny bardziej niż kiedykolwiek.

– Nie podoba mi się to – rzekł Morgan.

– I nie musi, mój drogi – odparła ciotka. – Pokaż mi jedną dziewczynę, która byłaby zadowolona z szybkiego zamążpójścia, bo raz jeden się zapomniała, podczas gdy mężczyźni mogą grzeszyć do woli. Liczy się konieczność. Musicie nadać tej historii nowy wydźwięk. To najpewniejszy sposób, również na podtrzymanie wpływów Zakonu.

– Nie jestem waszym pionkiem! – rzucił gniewnie Jack. Po morfinie myślało mu się ciężko i miał lekkie zawroty głowy, lecz jego złość była nieskazitelnie czysta. Jak śmiać układać mu życie?! Jak śmiać traktować go jak głupią pannę na wydaniu! – Mam chyba coś do powiedzenia w tej sprawie.

Morgan odwrócił się do bratanka.

– Już się wypowiedziałeś, i to na łamach gazet. Teraz możesz tylko słuchać albo wyjść. Czy wyraziłem się jasno?

Jack bał się, że zęby mu się pokruszą, tak mocno je zaciskał. Mimo wszystko skinął sztywno głową.

– Krystalicznie.

Rodzina wznowiła naradę, jak gdyby Jack był tylko niesfornym dzieckiem, które można zbesztać i odesłać do pokoju. I dobrze. Niech sobie tak myślą. Niech im się wydaje, że będzie się przed nimi płaszczył, aby odzyskać ich względy. Nie zdawali sobie sprawy, że są już niepotrzebni. Świat szedł do przodu, a oni zostali w tyle. Jack nie zamierzał popełnić tego błędu. Niech dalej zaprzatają sobie głowy porcelanowymi serwisami jak kobiety; on w tym czasie będzie poszerzał swoją wiedzę i układał plany, a gdy nadejdzie odpowiedni moment, zajmie ich miejsce, odsunie od władzy starców, którym się wydaje, że są niezastąpieni.

A tymczasem Morgan nie był jedyną osobą z koneksjami i usługowymi ludźmi. Jack też miał znajomych i zamierzał z ich pomocą dotrzeć do tego całego Reynoldsa. Parę tygodni wcześniej poznał Paula Kelly'ego; sądząc po tym, co słyszał na jego temat, Kelly nie będzie miał problemu z przekazaniem jego wiadomości. Przeklęty pismak jeszcze pożałuje, że wszedł w drogę Jackowi Grew.

KONSEKWENCJE

1904 rok – St. Louis

Gdyby Esta od małego nie ćwiczyła tłumienia wszelkich emocji w obliczu niebezpieczeństwa, na dźwięk słów Juliena Eltinge’a pewnie opadłaby jej szczęka. A tak – zachowała pokerową twarz, na której nuda mieszała się z nonszalancją. Choć w ostatnich dniach znienawidziła człowieka, który ją wychował, była mu w tej chwili wdzięczna za skuteczny trening. Mimo że na zewnątrz nie pokazała zaskoczenia, w środku wszystko biło na alarm, a żołądek ścisnął się jak od uderzenia pięścią.

– Osławiona? – spytała. – Nie wiem, co pan słyszał na mój temat, panie Eltinge, ale osławiona to chyba przesadne sformułowanie.

Usta z cygarem znów podniosły się w kącikach.

– No nie wiem – odparł z błyskiem w ciemnych oczach. Zbyt bystrych. Zbyt przenikliwych. Odkładając cygaro do popielniczki, Julien zwrócił się twarzą do lustra i zaczął usuwać resztę makijażu. – Trudno uniknąć rozgłosu, gdy się zniszczyło pociąg – rzekł z beztroskim spokojem, jakby rozmowa dotyczyła pogody.

Zniszczyło pociąg?

Esta na sekundę przeniosła się z teatralnej garderoby z powrotem do rozpędzonego wagonu. Kamień, który nosiła na ramieniu, jakby się rozgrzał na wspomnienie tamtej chwili, kiedy z najwyższym trudem chwyciła warstwy czasu i przeciągnęła ich przez nie, aby uciec przed Jackiem. Teraz miała pewny grunt pod nogami, lecz i tak kolana się pod nią ugięły – jak wtedy, gdy ziemia zatrzęsła się pod kołami pociągu. I choć w garderobie było jasno, pociemniało jej w oczach.

Nie... to niemożliwe, pomyślała.

– Ale dajmy spokój z tym ceremoniałem. Mów mi Julien. – Spojrzał na Estę w lustrze, uśmiechając się lekko, i stał z twarzy kolejny fragment makijażu. – Przyjaciółka Darrigana jest moją przyjaciółką.

– O czym ty mówisz, Julien? – spytał Harte. – Esta niczego nie zniszczyła, a już na pewno nie pociąg.

– Ciekawe. To jest raczej taka rzecz, którą się pamięta... – Julien posłał jej kolejne niepokojąco przenikliwe spojrzenie. – W każdym razie powtarzam to, o czym pisano w gazetach.

– I uwierzyłeś? – spytał Harte z odcieniem pogardy. – Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że ci ludzie zawsze szukają taniej sensacji.

Coś zamigotało na uśmiechniętej twarzy Julienu, lecz w pierwszej chwili nic nie odpowiedział. Esta zauważyła, że nadal jej się przygląda, jeszcze przez kilka sekund, zanim odwrócił się do lustra. Bez pośpiechu stał nadmiar kremu do demakijażu. Miejsce kobiety, która oczarowała widownię, zajął równie urzekający mężczyzna.

Twarz Julienu, pozbawiona jasnego podkładu i różu na policzkach, nie miała w sobie nic kobiecego. Oliwkowa karnacja, ciemne, mokre od potu, lekko kręcone włosy i czarne jak węgiel, krucze, chytne oczy nasuwały skojarzenie z urodą śródziemnomorską. Julien znów sięgnął po cygaro – Esta dostrzegła w tym pewną afektację. Dzierżył gruby ogarek jak szablę.

W końcu znów do nich przemówił, lecz tym razem jego ton brzmiał poważnie.

– Szczerze mówiąc, Darrigan, za pierwszym razem tylko się prześlizgnąłem. Gazety prawie codziennie donoszą o takim czy innym wypadku. Ale potem jeden facet zaczął twierdzić, że to wcale nie był wypadek. Pewnie bym nawet nie zwrócił uwagi, gdyby nie to, że według niego jechałeś tym pociągiem.

– Co za facet? – spytał Harte.

– Jak mu było... To ten, co ostatnio trzyma z Rooseveltem. – Julien zakręcił cygarem w powietrzu. – Chyba Grew. Gerald albo James...

Esta poczuła ścisnięcie w dołku.

– Jack.

– O właśnie. – Julien skierował cygaro w jej stronę. – Jack Grew. To chyba jeden z Morganów, prawda?

– Bratanek J.P. Morgana – potwierdził głucho Harte.

Julien pokiwał głową, jakby nie dostrzegając, jak ta wiadomość na nich działała.

– Właśnie. On też tam był, kiedy to się stało. Kilka dni później jedna z gazet napisała, że to wykolejenie nie było wypadkiem. Jack Grew twierdził, że to wy podłożyliście ogień, od którego spłonęła siedziba Zakonu Ortus Aurea w Nowym Jorku, po tym, jak ją okradliście, a on was wytropił na dworcu w New Jersey i prawie was zatrzymał, ale go zaatakowaliście...

– Ja go zaatakowałam? – Esta nie posiadała się z oburzenia.

– A potem wysadziłaś pociąg w powietrze – dokończył Julien. – Było wiele ofiar. Kiedy Grew ogłosił, że to nie wypadek, władze się zainteresowały... Och, nie patrz na mnie z takim wyrzutem, Darrigan. Ja tylko mówię, co pisano w gazetach.

– Oskarżasz nas o zniszczenie pociągu, Jules – rzekł Harte ściszone głosem, w którym brzmiała przestroga. – O zabicie niewinnych ludzi.

– Ciebie o nic nie oskarżam. W końcu dzień wcześniej podobno zginąłeś. Z tego, co słyszałem, runąłeś z mostu do rzeki.

– Czyli oskarżasz mnie? – Esta wciąż nie mogła rozgryźć tej dziwnej postaci, jaką był Julien Eltinge.

Znała ludzi takich jak on, mężczyzn, którzy w życiu torowali sobie drogę urodą i pewnością siebie. Takich jak Logan, którego miała za przyjaciela i partnera, dopóki nie zwrócił się przeciwko niej. I jak Harte, gwoli uczciwości. Urok Juliana stanowił dla niej przestroge – sygnał, że musi być czujna. Ale pod tym urokiem kryło się coś jeszcze i właśnie to coś pozostawało dla niej zagadką.

– Nikogo nie oskarżam – zaprzeczył Julien.

Harte westchnął poirytowany.

– Wystawiasz moją cierpliwość na próbę, Jules.

Julien zerknął figlarnie na Estę.

– On potrafi być strasznym palantem, nie uważasz? – Po chwili zastanowienia dodał: – Właściwie to jest nim przez większość czasu. Ale znam go wystarczająco długo, by mieć pewność, że nie jest mordercą. Za to ty... – Utkwił w niej pytająco bystre oczy. – Ciebie nie znam wcale.

– Ona jest ze mną. – Harte zrobił krok naprzód, wysuwając się nieznacznie przed Estę. – To wszystko, co musisz wiedzieć.

Estaomal nie przewróciła oczami. Odkąd opuścili Nowy Jork, Harte traktował ją prawie jak powietrze, a teraz nagle znów się zainteresował? Typowe. Nie zamierzała mu tego jednak wytykać przy Julienie.

Jules rzucił Harte'owi zaintrygowane spojrzenie.

– Rozumiem – rzekł, a kiedy znów popatrzył na Estę, na jego twarzy migotało rozbawienie. – Harte Darrigan... – Zaśmiał się cicho. – Nie sądziłem, że dożyję tego dnia... – Znów się roześmiał.

Esta zadarła lekko podbródek, próbując nadać twarzy wyraz całkowitej obojętności, a jednocześnie analizując wszystko, co przed chwilą powiedział im Julien. Po tym, jak przenieśli się w czasie, coś się stało z pociągiem, którym jechali – coś, co nigdy wcześniej się nie wydarzyło.

– Opowiedz mi o tym wypadku.

Julien jeszcze przez chwilę patrzył jej milcząco w oczy. Potem zaczął:

– Dwa lata temu doszło do poważnego wykolejenia. Pociąg zerwał cały fragment torów tuż za stacją w New Jersey. Gazety donosiły, że nic z tych torów nie zostało. Uległy całkowitemu zniszczeniu razem z połową pociągu. Śledczy ustalili, że takie zniszczenia mogły powstać jedynie wskutek eksplozji. Na początku podejrzewano któreś z ugrupowań anarchistycznych, one zawsze podkładają bomby, jak coś im się nie podoba. Ale parę dni później „Herald” opublikował artykuł o tym Jacku Grew. No i Grew miał powiedzieć, że to była wasza robota. Oczywiście większość ludzi uznała go za wariata, bo Darrigan zginął już wcześniej... Bez urazy...

Harte zaprzeczył ruchem głowy, ale usta miał zaciśnięte i Esta odniosła wrażenie, że nie chce do tego wracać.

– No i jeszcze twierdził, że to nie była bomba. Że użyliście magii.

– Magii? – Esta udała zdziwienie.

– Powiedział, że jesteście Maginami. – Julien odpowiedział na pytanie, które wisiało w powietrzu.

– Znamy się kopę lat, Jules. Gdybym był Maginem, chyba byś o tym wiedział, nie sądzisz? – rzekł Harte, skupiając na sobie uwagę Juliana. – Gdyby któreś z nas było Maginem, jak byśmy się wydostali z miasta?

Esta mimowolnie wstrzymała oddech.

– Oto pytanie, które wszyscy sobie zadawali – odparł w końcu Julien. – Niebezpieczna magia poza obrębem Krawędzi? Wydawało się to niemożliwe. Ale waszych ciał nie znaleziono, a Grew dalej się zarzekał, że oboje byliście w pociągu. Oczywiście Zakon przedstawił całe to wydarzenie jako dowód na zasadność swojego istnienia. Twierdzili, że magia nie mogła się wymknąć poza Krawędź, tak samo jak zaprzeczali, że pożar w ich siedzibie został wywołany celowo – tłumaczyli go zwarcie instalacji. Zapewniali, że niczego im nie ukradziono, bo tylko ręka samego diabła mogłaby cokolwiek wykraść ze skarbcza Ortus Aurea. Możecie sobie wyobrazić, jak to się spodobało publice. Diabła Ręka.

– Diabła Ręka? – powtórzyła Esta.

– Tak cię zaczęli nazywać. – Julien tym razem na dobre zgasił cygaro. – Przez jakiś czas nie schodziłaś ze stron gazet. Wszyscy się zastanawiali, kim jesteś i gdzie się podziałaś. Reporterzy stawali na głowie, żeby zdemaskować Diablą Rękę.

– Co za głupie imię – wymamrotał Harte.

Julien się zaśmiał.

– Może, ale wierz mi, że chwyciło. Ma w sobie... *je ne sais pas...* to coś. Działa na wyobraźnię. – Spojrzał na Estę. – Świetnie by się sprawdziło na scenie, gdybyś kiedyś chciała spróbować sił w teatrze.

– Nie chce – odpowiedział za nią Harte.

Esta rzuciła mu spojrzenie, ale nawet go nie zauważył. Wzrok miał utkwiony w przyjacielu, a zniecierpliwienie dosłownie z niego wyłaziło.

Julien zdawał się tego nie widzieć. A może po prostu się tym nie przejmował. Wzruszywszy ramionami, mówił dalej:

– Wielka szkoda. Taka wysoka dziewczyna jak ty? Założę się, że masz pod tą suknią wspaniałe nogi...

– Julien... – warknął Harte.

– Trudno mi zrozumieć, że nic o tym nie wiecie – rzekł Julien. Wyraz rozbawienia w jego oczach ustąpił miejsca zdziwieniu. – Myślałem, że to dlatego przepadliście bez wieści. Że albo nie żyjecie, albo się ukrywacie. Tak czy siak, nie spodziewałem się was tutaj.

– Byliśmy... – Harte się zawahał, jakby nie wiedział, jak to wytłumaczyć.

– Poza krajem – wtrąciła gładko Esta.

Julien zmarszczył brwi.

– Mimo wszystko można by się spodziewać, że taka wiadomość dotarłaby...

W połowie zdania przerwało mu pukanie do drzwi.

Nagły niepokój Esty znalazł odbicie w napiętej posturze Harte'a. Garderoba miała tylko jedno wejście – a więc i jedno wyjście. Skoro Julien tak łatwo rozpoznał Estę, możliwe, że nie był odosobniony. Nie mogli dać się tutaj złapać. Zbyt daleko zaszli, zbyt dużo mieli jeszcze do zrobienia.

– Nie mów, że... – zaczął Harte, lecz Julien uciszył go gestem.

– Kto tam? – zawołał, pozostając na swoim miejscu. On także wydawał się teraz podenerwowany.

– Sal.

– Inspicjent – wyjaśnił szeptem Julien. – Czego chcesz? – krzyknął. – Jestem trochę zajęty.

– W budynku jest Straż Jeffersonska. Przeszukują cały teatr! – wykrzyczał inspicjent przez zamknięte drzwi. – Przyszedłem cię uprzedzić,

w razie gdybyś... był niedysponowany.

– Właśnie jestem. – Julien spoglądał szybko to na Harte'a, to na Estę. – Możesz ich trochę przetrzymać?

– Góra pięć minut, nie dłużej! – odkrzyknął Sal.

– Odwdzięczę ci się butelką czegoś lepszego.

Poczekali, aż Sal odejdzie. Gdy jego kroki ucichły, Julien zerwał się z fotela.

– Chodźcie. Nic tu po was. – Przesunął stojak, wiszące na nim suknie błysnęły mnóstwem paciorków.

– Co się dzieje? – spytała Esta. – Co to za straż?

– To taka miejscowa prywatna policja. – Julien zaczął poluzowywać deskę w tylnej ścianie. – Ich głównym zadaniem jest walka z nielegalną magią, ale ostatnio są bardziej aktywni w związku z tegoroczną wystawą, zwłaszcza po atakach Antistasi w październiku zeszłego roku.

– Antistasi? – spytali jednocześnie Harte i Esta. – Po jakich atakach?

– Antistasi to grupa anarchistów, którzy zamiast dynamitu i kul używają magii. Zaczęli się mnożyć po wejściu w życie ustawy o przeciwdziałaniu czarom, ale o tym pewnie też nie słyszeliście. – Widząc, że kręcą głowami, kontynuował: – Najkrócej mówiąc, zdelegalizowano wszelkie formy naturalnej, nieuregulowanej magii.

– Ci Antistasi... to Magini? – chciała wiedzieć Esta.

– Tak o sobie mówią – rzekł Julien. – Gdy prawo weszło w życie, zaczęli się pojawiać jak grzyby po deszczu i sprawiać mnóstwo kłopotów. Właściwie to wasz numer z pociągiem był dla nich swego rodzaju inspiracją.

Harte i Esta spojrzeli po sobie. Wiedziała, że Harte myśli to samo co ona.

Magini żyjący poza Nowym Jorkiem – poza Krawędzią? Stara magia mogła istnieć tylko tam – czy nie tego ją uczono przez całe życie? W takim przekonaniu dorastała. Sama jednak ją poczuła w kolejce do kasy. Na ulicach St. Louis też istniała magia. Dziwna, ale magia. Czyżby coś się

zmieniło po tym, jak okradli Zakon i Księga wpadła w ręce Jacka? Czy też wszystko, co jej mówiono, było kłamstwem?

Dawniej była zadowolona z otrzymanej edukacji. Dobra znajomość Nowego Jorku pozwalała jej poruszać się sprawnie po mieście niezależnie od tego, gdzie akurat wylądowała. Teraz jednak uświadamiała sobie, jak wielu rzeczy nie wie. Czy profesor Lachlan celowo utrzymywał ją w niewiedzy co do istnienia Maginów poza miastem? Czy może po prostu trafiła do nowej przyszłości, na którą nie mogła być przygotowana?

Co do jednego nie miała wątpliwości: w jej czasach nie było czegoś takiego jak ustawa o przeciwdziałaniu czarom.

– Nie martw się, słonko – rzekł cicho Julien, mylnie interpretując jej zmartwienie. – Wydostaniemy cię stąd. – Odsunął deskę, odsłaniając otwór w ścianie. – Może i Straż Jeffersonska nie rozgląda się konkretnie za tobą, ale coś mi mówi, że nagroda za twoją śliczną główkę jest dużo większa od przeciętnej.

– Jest jakaś nagroda? – spytała Esta.

– Chryste! – rzucił Julien, ni to zdziwiony, ni to oburzony. – Naprawdę długo was nie było. Oczywiście, że wyznaczono nagrodę. Ogłosił ją sam J.P. Morgan. Gdy się wysadza pociąg w powietrze, trzeba się liczyć z konsekwencjami.

– Już ci mówiłem, że ona niczego takiego nie zrobiła – wstawił się za nią Harte.

– A ja powiedziałem, że jestem skłonny ci uwierzyć. Trudniej będzie przekonać strażników, jeśli was tu znajdą. Oni nie słyną z honorowej walki, więc moglibyście mieć spory kłopot z ucieczką.

– Ale...

– On ma rację – przerwała Harte'owi Esta. – Uciekajmy, póki możemy. – Posłała mu wymowne spojrzenie, licząc, że to wystarczy.

– Mądra dziewczyna – skwitował Julien.

Nie odpowiedziała na ten komplement. Gorączkowo analizowała w myślach możliwe skutki wszystkiego, czego się przed chwilą

dowiedziała: była poszukiwaną przestępczynią, a poza obrębem Krawędzi istniała magia, może nawet Magini.

Przejście w ścianie było już całkiem odsłonięte.

– Zdarzało mi się tędy wychodzić, gdy chciałem uniknąć tłumów przy drzwiach. – Julienowi nieco posmutniała twarz.

Esta zastanawiała się, co to oznacza.

– Idźcie korytarzem w lewo – poinstruował ich. – Dojdziecie do kotłowni. Stamtąd powinniście bez trudu znaleźć drogę na zewnątrz.

– A co do tej nagrody, Jules... – Wyraz twarzy Harte'a był ostry jak przedziałek w jego ciemnych włosach. – Na pewno nie chcesz jej zgarnąć dla siebie?

Julien sprawiał wrażenie autentycznie zaskoczonego. Gdy się odezwał, w jego głosie dało się słyszeć ton przestrogi.

– Myślałem, że lepiej mnie znasz, Darrigan.

– Sam powiedziałaś, że minęło trochę czasu – odparł Harte. Po chwili napiętej ciszy dodał: – Wygląda na to, że wiele się zmieniło. Muszę wiedzieć, czy ty się nie zmieniłaś.

– Nie chcę ich pieniędzy – odparł beznamiętnie Julien i skinął w kierunku otworu.

Patrząc mu w oczy, Esta była skłonna uwierzyć, że mówi prawdę.

– Idźcie już. Jak przyjdą strażnicy, odwróć ich uwagę, żebyście mogli spokojnie opuścić teatr.

– Będziemy musieli jeszcze porozmawiać, Julien – zaznaczył Harte.

– Jasne, jasne. – Julien ponaglił ich gestem dłoni. – Spotkajmy się za dwie godziny U Kinga.

– Gdzie to jest?

– To bar przy Del Mar. Dziura, w której nikt was raczej nie rozpozna, a jeśli nawet, to nie narobi hałasu. – Julien usunął im się z drogi. – No, idźcie już. Zanim tu przyjdą.

NIEBO CIEMNE, BEZGWIEZDNE

1904 rok – St. Louis

Harte zawahał się jeszcze tylko przez moment, szukając na twarzy Juliena jakiejś oznaki, że dziura w ścianie to pułapka, ale niczego takiego nie znalazł. Oczy Juliena były spokojne, ich wyraz szczery. Mimo to Harte wolał nie ryzykować.

– Dzięki, Jules – powiedział, wyciągając rękę.

Julien bez wahania uściśnął mu dłoń – lekko i krótko, ale ten kontakt wystarczył. Jeden impuls magii i nie musieli się go już obawiać. Inna sprawa, czy mogli się czuć bezpieczni po tym wszystkim, czego się od niego przed chwilą dowiedzieli.

Harte bez słowa podążył za Estą w głąb ciemnego tunelu, w którym zrobiło się jeszcze ciemniej, gdy Julien zasunął deskę. Przyzwyczajając oczy do mroku, słuchali, jak przesuwają stojak z sukniami. Harte czuł, że Esta jest blisko, choć jej nie widział. Jej ciepło – jej dar – wołały jego i uwięzioną w nim moc, która chwilowo ucichła, lecz Harte wiedział, że tylko się przyczaiła i czeka na moment jego nieuwagi.

– Chodź – szepnął, kiedy w mroku zarysowały się niewyraźnie kontury tunelu. – Musimy się pospieszyć.

Niedługo potem dotarli do kotłowni, dużego pomieszczenia pachnącego węglem i kurzem. W lecie było tu cicho i pusto, kotły od miesięcy stały zimne. Ogromne stalowe zbiorniki, w których podgrzewano wodę, zanim trafiła do grzejników rozsianych po całym budynku, majaczyły w półmroku, zasłaniając drugi koniec pomieszczenia. Harte i Esta poruszali się ostrożnie, najciszej, jak się dało, aż wreszcie w przeciwległej ścianie znaleźli wejście.

– Jesteś pewien, że to nie pułapka? – spytała Esta, spoglądając na drzwi bez okienka.

– Na pewno nie pułapka zastawiona przez Julię – odparł. – O to zadbałem.

– Mimo wszystko trzeba uważać. Nigdy nie słyszałam o tych patrolach. Nie wiem, czy to coś nowego, czy... – Esta długo szukała odpowiednich słów. – Nie przypominam sobie, że bym się o nich uczyła, ani o tej ustawie mającej przeciwdziałać magii. W tej przyszłości, którą znam, nic takiego nie istniało.

Harte rozpoznał w jej głosie własny strach. Na Manhattanie zdarzali się Magini gotowi sprzedać swoich za garść monet, ale Straż Jeffersonska i nowe prawo delegalizujące magię były przeszkodami, których się nie spodziewał.

– Nawet jeśli te patrole składają się z Maginów, raczej nas nie wytropią, jeżeli nie będziemy używać swoich darów. Nie potrzebujemy magii, żeby wrócić do hotelu – rzekł, chcąc uśmierzyć niewypowiedzianą przez nią na głos obawę, że zostaną zdemaskowani. – Pomyśl o nich jak o chłopakach Coreya w Słomianym Targu. Wystarczy, że będziemy ostrożni, a nic złego się nie stanie. – Taką przynajmniej miał nadzieję.

Esta chyba uwierzyła w jego fałszywy spokój – albo udawała, że wierzy. Krótco skinęła głową i po chwili oboje wyszli cichutko na wąską uliczkę na tyłach teatru. Harte przez cały czas był czujny, w razie gdyby ktoś tu się na nich zasadził. Nikt jednak nie zastąpił im drogi. Gdzieś w oddali przetoczył się burzowy grzmot.

– Zwolnij! – syknęła Esta.

Harte już miał z nią dyskutować – chciał jej powiedzieć, że im szybciej się oddalą, tym lepiej – ale nie dopuściła go do głosu.

– Jak zaczniesz biec, zwrócisz na siebie uwagę. To będzie podejrzenie wyglądało.

Miała rację. Choć instynkt kazał mu czym prędzej uciekać, Harte narzucił sobie niespieszne tempo. Spokojnym krokiem doszli do

skrzyżowania ulic.

Po prawej, przed wejściem do teatru, czekał czarny furgon bez okien. Obok powozu stało kilku mężczyzn w czarnych płaszczach. Musieli to być członkowie Straży Jeffersońskiej, co tłumaczyłoby, dlaczego wcześniej próbowali złapać kowboja, którego zauważyła Esta. Przy drzwiach teatru stało czterech podobnie ubranych ludzi, wszyscy przodem do wejścia. Czekali, aż widzowie opuszczą gmach. Widać było, że mają się na baczności.

– Możemy pójść naokoło – zasugerował Harte. – Nadłożymy drogi, ale przynajmniej ominiemy ich szerokim łukiem.

– Przecież mówiłeś, że nas nie wyczują.

Zmarszczył brwi, przypominając sobie powiew chłodnej energii towarzyszący pojawieniu się trzech strażników przed kasami teatru. Właśnie ten chłód był oznaką, że ich magia nie jest do końca naturalna.

– Bo nie powinni, ale wiesz, po tym wszystkim, co się wydarzyło, i biorąc pod uwagę, że mam w sobie moc Księgi...

Esta skinęła głową, jej złociste oczy miały poważny wyraz.

– Racja. Lepiej nie ryzykować.

Teatr znajdował się zaledwie kilka przecznic od hotelu Jefferson, w którym się zatrzymali, a który stał nieopodal brzegu Missisipi, blisko ścisłego centrum St. Louis. Był to dwunastopiętrowy budynek, zwieńczony bogato zdobionym gzymsem, który przypominał nieco koronę. Hotel był nowiutki, zapewne wybudowany z myślą o tłumach gości zwiedzających wystawę, jeszcze nieupstrzony błotem chlapiącym spod kół wozów ani sadzą z kominów parostatków.

Może należało wybrać jakieś bardziej ustronne miejsce, ale od chwili gdy opuścili Nowy Jork, minęły aż dwa lata. Wydawało się, że po takim czasie nikt nie będzie ich szukał – a już na pewno nie w odległym St. Louis. W dodatku hotel Jefferson szczycił się osobnymi łazienkami, a perspektywa zmycia z siebie brudu ostatnich kilku dni w zaciszu własnego pokoju –

z dala od Esty, która samą tylko swoją obecnością rozbudzała moc Księgi – okazała się dla Harte'a pokusą nie do odparcia.

Teraz, gdy nad miastem zawisły jeszcze cięższe, groźnie pobłyskujące chmury, hotel jawił się jako bezpieczna przystań. W swoich pokojach będą mogli odetchnąć. Zostało trochę czasu do spotkania z Julienem, który miał im przynieść kamień – bo taki milczący rozkaz wydał mu Harte, kiedy się żegnali. Tymczasem postanowił się czymś wzmocnić. Tłumienie w sobie głosu, powstrzymywanie mocy, która co rusz – zwłaszcza w obecności Esty – próbowała wypłynąć na powierzchnię, kosztowało go mnóstwo sił.

W holu panowały cisza i spokój, mocno kontrastujące z tłokiem i gwarem ulicy. Ledwie Harte wszedł do środka, od razu poczuł, jak opada z niego nagromadzone w ciągu wieczoru napięcie. Hol był obwiedziony ze wszystkich czterech stron antresolą. Marmurowe kolumny podpierały sklepienie zdominowane przez soczystą zieleń malowanych palm, które wyglądały jak prawdziwe, a kryształowe żyrandole przeświecały łagodnie przez takie same liście prawdziwych drzew. Gdzieś z oddali – może z sali balowej na górze – dobiegała muzyka, lecz choć tu i ówdzie kręciły się grupki ludzi, przepastny dwupiętrowy dziedziniec dawał poczucie bezpieczeństwa.

Byli już na końcu holu, blisko wind w zdobnych mosiężnych klatkach, gdy Harte dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Obróciwszy głowę, odniósł wrażenie, że rosnące w krótkich rzędach palmy kołyszą się, jakby poruszane niewidzialnym wiatrem. Gdy tak im się przyglądał zafrapowany, muzyka ucichła i słychać było jedynie szum powietrza. Ściany holu zaczęły się przesuwać, a on sam – przenosić w inne miejsce, w inny czas...

Była noc, sufit zmienił się w niebo ciemne i bezgwiazdne, a wiatr poruszający palmami roztaczał woń zdrady, gęstą i żelazistą jak zaschnięta krew... Przyjaciel, który stał się wrogiem, zniszczy magię, jeśli dostanie ją w swoje ręce. On się zbliża...

Harte zamrugał i wizja prysła.

Kto się zbliża?

Lecz palmy znów były nieruchome, znów otaczał go zbytkowny hol, w powietrzu niosły się jedynie dźwięki odległej muzyki oraz cichy szmer rozmów. Za to moc w jego wnętrzu szalała.

Esta ścisnęła go za ramię.

– Co się stało? – zapytał, sądząc, że może ona także ujrzała ciemną noc i poczuła ten sam niepokój, że nadchodzi coś okropnego.

– Po twojej lewej, obok dużej palmy. Szare spodnie i jasna marynarka – powiedziała Esta i Harte zrozumiał, że nie ma to żadnego związku z tym, co przed chwilą zobaczył.

– Jeden opiera się o ladę recepcji... Nie! Nie oglądaj się – syknęła.

– Na kogo? – spytał, powstrzymując się, żeby nie spojrzeć przez ramię, i jednocześnie próbując ignorować wzmagający się w nim głos.

– Nie wiem, kim są, ale na pewno nie gośćmi. Wierz mi, umiem się rozglądać, uczyłam się tego od dziecka. Potrafię rozpoznać policjanta w cywilu. Oni zawsze stoją w trochę innej pozie, zawsze mają coś takiego w oczach, nawet ci najlepsi. – Esta spojrzała na Harte'a. – Jesteś pewien, że Julien nie połasiłby się na tę nagrodę?

– Zadbalem o to – odparł Harte, urażony jej wątpliwościami. Wizja sprzed chwili wytrąciła go z równowagi, a pytania Esty jeszcze bardziej go podminowywały.

– A może tak ci się tylko wydaje...

Zanim zdążyła dokończyć, odciągnął ją na bok i przyparł do wielkiej marmurowej kolumny tuż przy jednej z palm, tak że widziała cały hol za jego plecami. Objął ją i zbliżył twarz do jej szyi. Jej gwałtowne westchnienie sprawiło mu przyjemność.

Lecz uwięziony w nim głos kipiał z podniecenia.

– Co ty ro...

– Policz, ilu ich jest – szepnął jej do ucha, testując własne panowanie nad sobą w obliczu jej bliskości.

Kiedy w końcu zrozumiała, o co mu chodzi, poczuł to natychmiast. Jej ciało stało się uległe, ramiona objęły go za szyję. To tylko gra, mówił sobie,

choć w głębi duszy wiedział, że to bez różnicy.

Musiała się umyć tym francuskim mydłem, które kupiła wcześniej w sklepie, gdy szukali strojów na wieczór, bo pachniała inaczej niż zwykle. Był to ciężki kwiatowy aromat, pod którym Harte wciąż jednak wyczuwał Estę, czystą, prawdziwą i tak bardzo znajomą, że wiele go kosztowało, żeby nie przysunąć się do niej bliżej.

Głos go do tego zachęcał, Harte czuł, jak nienaturalne ciepło zbiera się w nim i przesuwa, czekając na odpowiedni moment do ataku. Na moment, kiedy się zapomni, straci czujność.

Nie mógł do tego dopuścić.

Wróciła do niego wizja z dworca – Esta z czarną pustką zamiast oczu – i obiecał sobie, że już nigdy nie ulegnie takiej słabości. Jeśli ta moc stanie się zbyt silna, odejdzie. Będzie chronił Estę nawet za cenę utraty wszelkiej nadziei na własny ratunek. Raz już był gotów zginąć, aby uciszyć Księżę. Jeśli będzie trzeba, uczyni to znowu.

Teraz jednak, gdy miał Estę w ramionach – otoczony jej zapachem i łagodnymi dźwiękami odległej muzyki – myśli o śmierci szybko się rozproszyły. Nie mogąc się powstrzymać, musnął ustami jej ciepłą szyję.

Esta znowu westchnęła. Głos namawiał go, by posunął się dalej. I właśnie dlatego Harte się cofnął, nie dając głębszej satysfakcji ani jemu, ani sobie.

– W całym holu jest sześciu, może siedmiu – powiedziała pewnym tonem.

Wciąż jednak czuł falowanie jej klatki piersiowej. Nie była tak obojętna, jak udawała – to nie ulegało wątpliwości.

– Jesteś pewna, że to policjanci?

– Prawie – odparła półszeptem. – Straż Jeffersonska przed teatrem nosiła opaski. Nie ukrywali, kim są.

– Może ci ludzie, kimkolwiek są, nie przyszli po nas – powiedział z nadzieją Harte. I znów igrając z losem i własną siłą woli, delikatnie zanurzył nos w jej włosach. Wydały mu się chłodne, podobne do jedwabiu.

Głos zaszemrał rozochocony, lecz Harte znów się cofnął, udowadniając tej mocy – i sobie samemu – że potrafi. Że on sam jest panem własnej woli, a nie jego pożądanie, a już na pewno nie głos, który na stałe zagościł w głębinach jego umysłu.

– O nie, przyszli po nas – zapewniła go Esta. – Albo tylko po mnie... Ten koło paproci co chwila zerka w naszą stronę. – Westchnęła i poczuł jej ciepły oddech na szyi. – Nie mogę uwierzyć, jaka byłam głupia, że dałam ci się przyprowadzić w to miejsce. Nawet pod fałszywymi nazwiskami to było zbyt ryzykowne. Ten hotel jest za duży, w dodatku w samym środku miasta...

– Wiem – odparł skruszony. Esta sugerowała coś na uboczu, ale po zapchlonym pokoju na Brooklynie zamarzyła mu się ciepła woda w kranie i łóżko bez robactwa. – Ale teraz musimy jakoś z tego wybrnąć.

– Na pewno nie wyjdziemy tamtędy, którądy weszliśmy – zauważyła, wtulając się w niego mocniej.

Nie był pewien, czy zrobiła to instynktownie, czy jedynie na pokaz, ale tak czy inaczej, wolał się odsunąć. Czuł, że moc w nim szykuje się do skoku, czeka, aż na chwilę o niej zapomni. Nie mógł jej pozwolić, by go zwyciężyła.

– Za dużo ich jest – dodała Esta.

Ciekawe, myślał, czy jest świadoma tego, jak doskonale do siebie pasują, jej miękkość i jego smukłe ciało, albo czy wie, jaka to dla niego męka mieć ją tak blisko siebie i nie móc się posunąć dalej. Puls walił mu w skroniach, lecz na zewnątrz Harte zachował spokój.

– Może jest osobne wyjście dla pracowników?

– Pewnie tak – szepnęła, nieco się cofając. – Ale raczej je obstawili. – Przesunęła się w jego ramionach.

– Co się dzieje?

– Musimy iść – wyszeptała. – Ruszyli się z miejsc. Staraj się... zachowywać naturalnie. Niech myślą, że niczego nie podejrzewamy, zawsze to jakaś przewaga.

Esta zaśmiała się trzpiotowato – nigdy wcześniej nie słyszał takiego śmiechu z jej ust. Opuściła kokieteryjnie głowę, wreszcie wzięła go pod rękę i wyprowadziła spomiędzy palm.

Harte natychmiast zrozumiał, że to się nie uda. Ci ludzie co prawda nie mieli na sobie mundurów, ale sposób, w jaki byli rozmieszczeni, mówił sam za siebie. Wyjście było starannie obstawione.

– I co teraz?

– Mam pomysł – rzuciła. – Winda.

Znów ruszyli w kierunku mosiężnych klatek. Tym razem Harte zwracał jeszcze baczniejszą uwagę na to, jak mężczyźni w holu śledzą ich ruchy bez poruszania głowami. Zwolnił kroku, spowalniając Estę.

– Zwariowałaś? Jeśli wejdziemy do windy, będziemy w potrzasku.

– Przynajmniej znikniemy im z oczu – odparła. – Zyskamy trochę czasu. Chyba że masz lepszy plan.

Od wind dzieliło ich już tylko kilka metrów.

– Możemy uciec. Jeśli kontrolujesz swoją moc, możesz spowolnić czas i się wymkniemy.

– Może... – Esta wciąż spoglądała ku windom. – Ale jeśli stracę kontrolę, będziemy w jeszcze gorszych opałach.

Chwilę później dotarli do windy. Zanim Harte zdążył ją powstrzymać, Esta wcisnęła guzik wzywający kabinę. Wskazówka na górze zaczęła opadać, była jak zegar odmierzający im czas. Mężczyźni w holu szli w ich kierunku.

KIESZONKOWY ZEGAREK

1904 rok – St. Louis

Jericho Northwood – dla większości znajomych North – wystraszył kilka gołębi, pojawiając się znowu przy latarni parę godzin po tym, jak próbowali go tu zgarnąć strażnicy. Ludzi o tej porze na szczęście już nie było. Oczy chłopaka wciąż obserwowały puste teraz miejsce, gdzie wcześniej stała dziewczyna.

Nadal nie mógł uwierzyć, że ją tu widział. Czekala w kolejce po bilety z tymi wszystkimi mieszczuchami. Jakby wcale nie była jedną z najbardziej poszukiwanych Antistasi w kraju.

Na policyjnych portretach opublikowanych w prasie po pierwszym wykolejeniu wyglądała jak wiedźma, mściwy demon pragnący śmierci wszystkich Osobnych. Tymczasem dziewczyna, którą widział na własne oczy, była co prawda wysoka, tak jak to wynikało z rysopisu, ale wyglądała dużo młodziej i delikatniej. Mimo to North od razu ją rozpoznał. Nie miał żadnych wątpliwości. Esta Filosik – Diabła Ręka – była w St. Louis.

North znów spojrzał na kieszonkowy zegarek, który dostał od ojca przed blisko siedmiu laty, na jedenaste urodziny. Kto wie, skąd tata go wytrzasnął – North zawsze czuł, że nie powinien o to pytać. Już samo życie z takim sekretem jak magia było wystarczająco niebezpieczne – i to nawet zanim w 1902 roku po Wielkim Konklawe uchwalono ustawę o przeciwdziałaniu czarom. A do tego jeszcze handel przedmiotami, które wzmacniały słabnący dar? Lepiej było nie pytać o takie rzeczy, bo gdyby ktoś usłyszał, mogłoby to mieć fatalne skutki. North zrozumiał to bardzo wcześniej.

Zegarek był obdrapany, z mosiądzu, który dawniej mógł udawać złoto, lecz upływ czasu obnażył to kłamstwo. Szybka osłaniająca prostą tarczę była pęknięta, odkąd sięgał pamięcią, ale ponieważ nie używał tego zegarka do sprawdzania godziny, nigdy mu to nie przeszkadzało. Po co naprawiać coś, co sprawuje się bez zarzutu? Używając zegarka – i tylko wtedy – myślał o tacie; przez resztę czasu wspomnienie ojca i wszystkiego, co się wydarzyło, trzymał w głębokim zakamarku duszy, tam gdzie było jego miejsce.

North schował zegarek – i wszystkie związane z nim wspomnienia – z powrotem do kieszeni kamizelki, obok zawiniątka, które parę minut wcześniej przekazała mu Maggie. Nie musiał zaglądać do środka, żeby wiedzieć, co w nim jest: klucz do pobliskiej apteki. Przeklinał Matkę Ruth, że powierzyła Maggie tak niebezpieczną misję. Jakby mało było osób, które mogły wykraść ten klucz, mniej przy tym ryzykując. North zawsze podejrzewał, że Ruth lubi wystawiać młodszą siostrę na próby – sprawdzać jej lojalność i przygotowanie.

Jego zdaniem Maggie była więcej niż przygotowana. W dziedzinie opracowywania serum i konstruowania bomb dokonywała istnych cudów. Mogłoby się wydawać, że Ruth będzie ją oszczędzać, zważywszy, jak ważna była dla powodzenia ich kolejnego czynu.

Ideę „propagandy czynem” – inspirowania ludzi bezpośrednim działaniem – pożyczyci od anarchistów, ale Antistasi mieli więcej oleju w głowie. Zamiast zwykłych bomb używali magii. North przybył do St. Louis i trafił na Ruth rok temu i od tamtej pory pomagał przy wielu czynach Antistasi – włącznie z tym październikowym – ale ich najnowszy plan nie dawał się porównać z niczym do tej pory. To miało być coś więcej niż próba zwrócenia uwagi; to miało być stanowcze uderzenie pięścią. Czyn tak monumentalny, tak dramatyczny, że odmieni kraj.

Problem w tym, że czasu było za mało. Z punktu widzenia Northa wciąż istniało zbyt wiele niewiadomych, zbyt wiele pytań bez odpowiedzi. Na znalezienie tych odpowiedzi mieli już tylko parę tygodni. Rozumieli, że szansa na uderzenie w tak atrakcyjny cel więcej się nie powtórzy.

Ale North był tylko szeregowym żołnierzem. Nie był generałem i nie palił się, żeby nim zostać.

Wyjął paczuszkę z kieszeni i odwinął z opakowania klucz. Na papierze widniało koślawe pismo Maggie – lista składników potrzebnych jej do testów. North jednak wiedział, że powinien donieść Ruth o tym, co zobaczył. Sam nie miał pewności, czy pojawienie się w mieście Esty Filosik było dobrym czy złym prognostykiem. Może mogłaby im pomóc... Z drugiej jednak strony, gdyby ktoś jeszcze dowiedział się, że tu jest, byłyby z tego same kłopoty. Straż zwiększyłaby czujność, atmosfera w mieście stałaby się jeszcze bardziej napięta.

North stwierdził, że nic się nie stanie, jeśli najpierw zrobi to, co miał do zrobienia. Maggie prosiła go, żeby zdobył dla niej te składniki, i nie zamierzał jej zawieść.

Nasunął kapelusz na oczy i skręcił w uliczkę, przy której znajdowała się apteka. Zerkając czujnie na boki, otworzył drzwi kluczem i wślizgnął się do środka. Jeszcze zdąży wszystko opowiedzieć Ruth. W końcu ma swój zegarek.

KURZ I METAL

1904 rok – St. Louis

Harte śledził opadającą wskazówkę windy z poczuciem, że kończy im się czas. Każda sekunda przybliżała chwilę, kiedy policjanci w holu ich dopadną. Ale choć minęło wiele sekund, nic takiego się nie wydarzyło.

– Nie idą po nas – stwierdził na głos, widząc, że funkcjonariusze w cywilu stanęli.

– Skoro wiedzą, że tu jesteśmy, pewnie mają swoich ludzi w naszych pokojach – odparła Esta ze spokojem, który miał się nijak do tego, co czuła w środku. – Chcą uniknąć awantury w miejscu publicznym.

To go ani trochę nie pocieszyło.

– Jeśli nie możemy wrócić do pokojów, to dokąd idziemy?

Rzuciła mu spojrzenie.

– Jesteśmy w hotelu, Harte. Tu jest od groma pokojów. Nie musimy iść do naszych.

Moc Księgi była w nim pobudzona, przypominała dzikie zwierzę w klatce. Gdy wskazówka opadła do końca i winda z jękiem stanęła, Harte poczuł ciężar w piersi.

– Przecież zobaczą, na którym piętrze się zatrzymaliśmy.

– I o to chodzi – odparła Esta i nachylając się, wycisnęła na jego wargach delikatny pocałunek.

To się stało tak szybko, że ani się obejrzał, a było już po wszystkim. Ciepła miękkość jej ust wydała mu się całkiem nierzeczywista. Gdyby nie głębokie rozgoryczenie głosu, który miał Harte'owi za złe, że znów pozwolił jej umknąć, gotów byłby pomyśleć, że to sobie uroił.

Drzwi do windy się otworzyły. W środku był tylko windziarz.

– Jaki jest plan? – spytał pod nosem Harte, wchodząc do niedużej kabiny.

Parę godzin wcześniej podziwiał błyszczące drewno i lśniące lustra. Eleganckie hotelowe windy wydały mu się wtedy cudem nowoczesnej techniki. Teraz obłożona lustrami kabina miała w sobie coś z dusznej więziennej celi. Zamykające się drzwi odcinały im ostatnią być może drogę ucieczki.

– Poprosimy na siódme – zwróciła się Esta do windziarza, staruszka o brązowej skórze ubranego w nieskazitelny hotelowy uniform.

Harte zauważył, że powiedziała to wystarczająco głośno, aby usłyszeli ją policjanci w holu.

– Tak jest, proszę pani – odparł windziarz.

Ledwie drzwi się zamknęły i staruszek przesunął wajchę, Esta nachyliła się i szepnęła Harte'owi do ucha:

– Chyba lepiej, żeby on niczego nie pamiętał. Winda musi cały czas jechać. Może trochę wolniej. – Skinęła w kierunku windziarza. – Spraw, żeby ją zatrzymał na siódmym piętrze... Grzecznie.

Harte skinął głową na znak, że rozumie, o co jej chodzi, choć nadal nie miał pojęcia, jak Esta zamierza ich wyciągnąć z opałów, kiedy już dotrą na siódme piętro.

Windziarz przycupnął na stołku, twarzą do wajchy, i milcząco śledził wspinaczkę kabiny, ignorując pasażerów, jak pewnie go nauczono. Jeżeli słyszał cokolwiek z ich rozmowy albo wyczuł, że coś jest nie tak, nie dał tego po sobie poznać. Problemem był jego uniform. Marynarkę miał zapiętą pod szyję, dłonie i nadgarstki zakryte białymi rękawiczkami. Harte, aby skorzystać z daru, potrzebował bezpośredniego fizycznego kontaktu ze skórą. Pozostawał mu odsłonięty skrawek ciała między wysokim kołnierzem marynarki a równą krawędzią włosów mężczyzny – efekt zgarbionych ramion, zapewne pod wpływem długich godzin spędzonych w pracy.

Harte miał wyrzuty sumienia, że chce się posłużyć tym człowiekiem, ale nie widział innego wyjścia z sytuacji, w której się znaleźli. Wziął głęboki oddech, skupił swoją magię, przygotował się – miał tylko jedną szansę, by załatwić to bez uciekania się do przemocy. Kiedy minęli drugie piętro, w kabinie zadzwonił dzwonek, a sama winda lekko zadrżała. Harte skorzystał z tej okazji, by pochylić się i delikatnie położyć dwa palce na karku staruszka. Jego magia błyskawicznie przekroczyła granicę między ciałem a duszą.

Windziarz na moment zeszytywniał, lecz nie zdjął ręki z dźwigni, nieco ją tylko rozluźnił, przez co winda lekko zwolniła. Chwilę później Harte cofnął palce. Staruszek ani drgnął. Winda wciąż pięła się do góry, lecz ociążał jej niż przedtem. Windziarz nie odrywał oczu od wskazówki, jakby Harte'a i Esty w ogóle tam nie było.

– Podsadź mnie – powiedziała Esta, spoglądając na sufit.

Dopiero teraz dotarło do niego, o co jej chodzi – nad nimi w łagodnym blasku szklanej kuli rysował się wyraźnie panel.

– Chyba nie mówisz serio... – wymamrotał, lecz nie tracił czasu na dyskusję, tym bardziej że sam nie miał lepszego planu.

Szykując się na kolejny pomruk zadowolenia głosu, wyciągnął ręce przed siebie, tak by Esta mogła na nich stanąć, po czym uniósł ją do góry. Błyskawicznie odsunęła deskę i wspięła się na dach kabiny.

– Chodź! – Wyciągnęła dłoń w jego stronę.

Winda dalej sunęła wolno do góry. Na wysokości czwartego piętra znów brzęknął dzwonek.

– Poradzę sobie – rzekł Harte. Podskoczył i chwycił się krawędzi włazu, a następnie podciągnął.

Ciemny szyb pachniał kurzem i metalem, a gdy Esta zasunęła otwór, zapanował niemal kompletny mrok, poprzecinany tylko wąskimi nitkami światła z poziomych szczelin na piętrach. Z sąsiednich szybów dobiegały odgłosy dwóch pozostałych wind, które na przemian zatrzymywały się i ruszały.

– Co teraz? – zapytał Harte, chwytając się stalowej liny. Ruch windy trochę za bardzo przypominał mu kołysanie pociągu. Nabrał głęboko powietrza i chwycił się jeszcze mocniej.

Eście najwyraźniej ten ruch nie przeszkadzał, bo niczego się nie trzymała.

– Jeżeli dopisuje nam szczęście, ci faceci z holu będą teraz na siódme piętro. Ale kiedy winda się zatrzyma, nas w niej nie będzie.

– Ale przecież nie możemy tutaj zostać – odparł Harte. – Nawet jeśli nie dowiedzą się od windziarza, gdzie się podzialiśmy, prędzej czy później sami do tego dojdą.

– Prędzej czy później, zgoda – przytaknęła Esta, mówiąc głośno, żeby ją usłyszał wśród szczęku i zgrzytu maszynierii. – Zmarnują trochę czasu i energii, zatrzymując windy. A tutaj też nas już nie znajdą. – Wychyliła się poza krawędź kabiny, aż chciał ją odciągnąć. – Daj mi rękę. – Wysunęła dłoń do tyłu bez oglądania się na niego.

– Co?

– Rękę. Szybko! – Rzuciła mu przez ramię spojrzenie pełne determinacji. – Zaufaj mi, Harte.

Nie mając czasu na przypominanie sobie wszystkich powodów, dla których był to zły pomysł, Harte podał jej dłoń.

Esta ponownie odwróciła się w stronę krawędzi.

– Gotowy? Raz...

– Esta, nie...

– Dwa...

Zawartość żołądka podeszła mu do gardła.

– Przestań...

– Trzy!

PRZEŁOM

1902 rok – Nowy Jork

Rozłożywszy gazetę na wytartym biurku, James Lorcan poczuł, że jego pogląd na przyszłość ulega przeobrażeniu. Kiedyś to było biurko Dolpha, podobnie jak całe mieszkanie, w którym teraz siedział.

Mieszkanie znacznie lepiej wyposażone niż ciasne dwa pokoiki, w których James gnieździł się przedtem. Ale wygoda schodziła na dalszy plan wobec dostępu do wszystkich notatek Dolpha, wszystkich jego książek, całej jego wiedzy.

A czego tu nie było... James zdążył już wykorzystać niektóre sekrety Dolpha do zawarcia sojuszu z Paulem Kellym. W najbliższych dniach zamierzał użyć kolejnych, aby ustawić pozostałych graczy w Bowery na wygodnych dla siebie pozycjach.

Na ścianie wisiał portret Newtona siedzącego pod drzewem, łup z kradzieży, której drużyna Dolpha dokonała w Metropolitanie. Dla przeciętnego obserwatora obraz ten przedstawiał największe odkrycie epoki nowożytnej: moment, w którym Newton zdał sobie sprawę z istnienia grawitacji. U jego stóp leżało jabłko, czerwone i okrągłe, a w górze świeciły księżyc i słońce, dwaj strażnicy nieba.

Ale bardziej przenikliwe oczy dostrzegłyby coś więcej. Tom, który Newton trzymał w dłoniach, był podobno Księgą Tajemnic. Uwieczniona tu chwila przedstawiała Newtona w obu jego wcieleniach – maga, który omal nie przyplącił swoich alchemicznych eksperymentów szaleństwem, i naukowca. Jeden i drugi poszukiwali odwiecznej prawdy i nieznannej wiedzy, na tym obrazie odnalezionych na kartach Ars Arcana.

Opowieści i legendy o mitycznej Księdze krążyły od wieków. Jedni twierdzili, że stanowi ona źródło wszelkiej magii. Drudzy – że to Księga Thota, starożytny rękopis zakopany na dnie Nilu, skrywający wiedzę bogów, wiedzę przerastającą mikre umysły ludzi. Jeszcze inni sądzili, że to księga zaklęć, dzieło poświęcone najpotężniejszej magii rytualnej znanej światu. Wielu próbowało ją odnaleźć – sam James był jedną z takich osób. Jeszcze dwa dni temu myślał, że Księga przepadła bezpowrotnie, ale teraz...

Znów przebiegł wzrokiem po drukowanym tekście, rozbudzając swój dar, szukając nowych połączeń w eterze.

Niewiele brakowało, a byłby to przeoczył. W prasie roiło się od błahych doniesień, które miały jedynie przyciągać uwagę makabrycznymi opisami tragicznych zdarzeń. Jamesa nieszczególnie obchodziła sprawa wykolejonego pociągu, w którym zginęło mnóstwo ludzi. W rzeczy samej gazeta leżała już w koszu, gdy Kelly powiedział mu o dziennikarzu, którego kazał Violi zabić.

Dopiero teraz James wyłowił z tekstu nazwisko pewnego nieboszczyka.

Harte Darrigan.

Jeśli wierzyć gazetom – a miał do nich ograniczone zaufanie – Harte Darrigan nie zginął. Podobnie zresztą jak Esta. Jeżeli oboje przedostali się przez Krawędź, musiało to oznaczać, że Księga wciąż jest do zdobycia – i że oni jej używają.

James wziął nóż Violi i opierając go czubkiem na blacie, rozważał po kolei wszystkie możliwości. Zaledwie przedwczoraj sądził, że losy świata są już napisane: magia umrze. Stanie się jedynie wspomnieniem i przesądem. Przyszłość należeć będzie nie do Maginów, ludzi obdarzonych wrodzoną więzią ze światem, ale do Osobnych. Po awanturze na moście James zdążył się już pogodzić z tym scenariuszem. Dokładnie przeanalizował wszystkie możliwości i skorygował plany w taki sposób, aby wzmocnić własną pozycję i wpływy. Ale ta wiadomość znowu wszystko zmieniała.

Bądź co bądź, z każdej książki można wyrwać strony. Każdą opowieść można przepisać od nowa. Oczywiście jego dar nie był doskonały –

w każdym razie jeszcze nie. Ale ta nowa wiadomość pozwalała z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że ostatecznie uda mu się osiągnąć wszystko, czego pragnął.

Czubek noża werznął się w papier. James wyciął z gazety nazwiska, tak jak wycina się człowiekowi serce. Schował je do kieszeni kamizelki jako talizmany na przyszłość, po czym zszedł na dół do sali barowej, by porządzić swoim nowym królestwem. Miał przeczucie, że coś się wkrótce wydarzy, jakaś zmiana w eterze, która może być dla niego przełomem. Musiał jeszcze przemyśleć wiele spraw, ale czuł, że Harte Darrigan i Esta Filosik drugi raz mu się nie wymkną. Zapłacą za swoją perfidię. James zamierzał tego dopilnować.

MOCK DUCK

1902 rok – Nowy Jork

Podnosząc bolącą głowę znad ulicznego błota, w którym leżał, Jianyu zamglonymi oczami ujrzał nad sobą Sai Wing Mocka, przywódcę gangu Hip Sing i rywala Toma Lee w dzielnicy chińskiej. O ile Tom Lee i członkowie On Leong potrafili nieraz uprzykrzyć życie, o tyle gangsterzy z Hip Sing byli bezwzględni, na czele z człowiekiem znanym w mieście jako Mock Duck.

Mock nosił się jak dandys, lubił zachodnie, ściśle przylegające do ciała garnitury, a warkocz chował pod niebieskoszarym kapeluszem z rondem, ale mówiło się, że pod ubraniem nosi kolczugę – dla ochrony przed wrogami, których narobił sobie przez lata wojny między On Leong a Hip Sing. W dłoni ścisnął broń, którą przepłoszył oprawców Jianyu, a jego palce kończyły się długimi, lśniącymi paznokciami – widowym znakiem wpływów i zamożności. Żaden prosty robotnik nie miał takich.

Z początku herszt Hip Singów bez słowa przyglądał się Jianyu zamyślonym wzrokiem ciemnych oczu.

– Wiele o tobie słyszałem, Lee – odezwał się w końcu we wspólnym dla nich języku kantońskim.

– Nie nazywam się Lee – palnął Jianyu bez namysłu. Niemądrze było prowokować Mocka, zwłaszcza w takiej sytuacji. Z drugiej strony był to jednak wróg Toma Lee; może więc warto zaznaczyć, że on, Jianyu, nikomu nie kibicuje w ich krwawej wojnie.

Szerokie, pełne usta Mocka lekko drgnęły.

– O tym też słyszałem.

Jianyu chciał wiedzieć, dlaczego Mock Duck go szukał i czego mógł od niego chcieć, rozumiał jednak, że bezpieczniej będzie milczeć. W konfrontacji z groźnym wężem kluczem do przeżycia było nie dać mu powodu do ataku. Jianyu skupił się więc na swojej mocy i zaczął szukać nitek światła. Wciąż jednak kręciło mu się w głowie od uderzenia o bruk. Był na wpół przytomny i nie mógł się wystarczająco skoncentrować: światło prześlizgiwało mu się przez palce.

– Podnieście go – rozkazał Mock.

Nie był sam. Oczywiście, że nie. Tamci dwaj, którzy go napadli, nie przestraszyliby się samotnego mężczyzny, nawet uzbrojonego.

Ktoś bezceremonialnie dźwignął Jianyu z błota. Od tego ruchu zakręciło mu się w głowie jeszcze mocniej, a żołądek podskoczył i Jianyu z najwyższym trudem powstrzymał wymioty, które poczytano by za kolejny dowód słabości. Musiał przynajmniej iść o własnych siłach.

Mock ruszył przodem. Weszli do jednego z tuneli łączących poszczególne kwartały dzielnicy chińskiej. Pod ziemią powietrze było ciężkie i stęchłe, a ciszę mąciły jedynie ich własne kroki. Wyszli na powierzchnię w pobliżu Bowery, z dala od nominalnego terytorium Hip Singów.

Jianyu domyślił się, dokąd idą, jeszcze zanim ujrzał złotooką wiedźmę na szyldzie Stregi. Nie zdziwił się więc, kiedy Mock Duck wszedł głównym wejściem do środka, jakby to był jego lokal.

O tej wczesnej porze sala barowa świeciła pustkami, lecz Jianyu rozpoznał paru chłopaków z gangu Dolpha: z tyłu siedzieli Mooch i Werner, a Sylvan szorował ladę pod czujnym okiem jakiegoś gangstera z Five Points. Wszyscy podnieśli wzrok na wchodzącego Mock Ducka, lecz na twarzach nie odmalowało się nic prócz lekkiego zaciekawienia.

Ani śladu Violi.

Kiedyś Strega była dla Jianyu domem, bezpieczną przystanią wśród nowojorskich ulic. To, że wchodził teraz do znajomej sali jako więzień, bolało go jeszcze bardziej niż wszystkie doznane obrażenia. Głowa pękała mu od uderzenia o bruk, brzuch wciąż pulsował wspomnieniem potężnych

kopniaków, ale bycie obcym tutaj, we własnym domu, przepełniało go uczuciem zagubienia, jakiego do tej pory nie znał. Wszystko to było tak przytłaczające, że może osunąłby się na podłogę, gdyby nie widok zdrajcy, który zabił Dolpha.

Na końcu sali, na krześle, dla którego dopuścił się mordu, siedział Nibsy Lorcan. On również podniósł wzrok, by zobaczyć, kto przyszedł. Światło odbite od szkieł okularów nadawało mu wygląd mechanicznej kukły, którą Jianyu widział kiedyś w cyrku. Bezdusznej istoty napędzanej przez niejasny dla Jianyu mechanizm.

Gangsterzy na znak Mock Ducka popchnęli Jianyu do przodu.

– Znalazłeś go – rzekł Nibsy zadowolony, ale nie zdziwiony.

– Jest twój, jak tylko otrzymam zapłatę – odparł Mock.

Nibsy zawołał barmana i chłopak przyniósł zeszyt oraz plik banknotów zawiniętych w papier. Mock Duck dokładnie policzył pieniądze, a potem przejrzał zeszyt, kiwając z uznaniem głową.

– To wszystko na Toma Lee?

– I na paru innych, którzy mogą ci sprawiać problemy – wyjaśnił Nibsy.

Mock Duck raz jeszcze skinął głową zadowolony i zamknął zeszyt.

– Mam nadzieję, że będziemy jeszcze robić razem interesy.

Wyciągnął dłoń, a Nibsy ją uściskał.

– Ja również.

Potem Nibsy kazał dwóm ludziom – na oko członkom gangu z Five Points – unieruchomić Jianyu. Sam poczekał, aż Mock Duck i jego ludzie wyjdą, i dopiero wtedy spojrzał na dawnego kompana.

– A więc... – zaczął niespiesznie, wstając z krzesła i podpierając się laską należącą wcześniej do Dolpha. – Zdrajca powrócił.

Jianyu, któremu obraz rozmazywał się przed oczami, widział dwóch Nibsy, więc uśmiechnął się pogardliwie do obu.

– Ty masz czelność nazywać mnie zdrajcą?

– My wszyscy byliśmy przecież na moście – odparł Nibsy, a Jianyu zrozumiał, że chodzi mu o ludzi dookoła, przyglądających się bacznie tej rozmowie. – Dla Dolpha. Dla Stu Diabłów. A ciebie tam nie było. Twoje tchórzostwo słono nas kosztowało.

Jianyu kręciło się w głowie, w oczach miał mroczki. Z trudem zachowywał przytomność, ale ogromnym wysiłkiem skoncentrował się i wykrzywił usta w uśmiechu.

– Skąd ta pewność, że mnie tam nie było?

Dojrzał w oczach Nibsy'ego błysk zrozumienia, lecz chłopak zachował kamienną twarz.

– Jeśli tam byłeś – odparł – to nam nie pomogłeś. Pozwoliłeś magikowi uciec i straciliśmy szansę na pokonanie Zakonu. Zdradziłeś nas wszystkich.

W sali rozległ się niespokojny szmer. Jianyu dobrze rozumiał, co się dzieje. Nibsy zamierzał wykorzystać pozostałych przeciwko niemu. Wmówić im, że to Jianyu jest zdrajcą. Niech oni odwalą za niego brudną robotę. A przecież niewiele było trzeba... Kiedy przyniósł ranną Tilly, uniknął linczu tylko dzięki interwencji Dolpha.

– To nie ja tu jestem zdrajcą – rzekł szorstkim głosem, w którym gniew mieszał się z bólem. – To nie z mojej broni zginął Dolph, tylko z twojej.

Sala zamarła.

– Zdrajca i łgarz. – Nibsy się roześmiał, ale Jianyu czuł, że powietrze w barze jest ciężkie od pytań. – Próbujesz ukryć własną winę – dodał Lorcan, podchodząc bliżej. Wyjął z marynarki znajomo wyglądający nóż, sztylet Violi, i przystawił go Jianyu do twarzy.

Skąd go ma? To był ulubiony nóż Violi, nie podarowałyby go nikomu, nawet przyjacielowi. Niemożliwe, żeby zginęła. Nie Viola. Nie teraz, kiedy jej potrzebował.

– Wiesz, co robimy ze zdrajcami, Jianyu?

Ostrze załśniło w blasku lamp, lecz Jianyu nawet nie mrugnął.

– Zdrajcy zasługują na śmierć – odpowiedział, starając się, aby głos mu nie zadrżał, choć samo oddychanie sprawiało mu ból. Chyba miał złamane

żebro. – Jesteś na to gotów, Nibsy?

– Na imię mi James. – Nibsy przyłożył czubek sztyletu do skóry pod brodą Jianyu. – I to nie ja dziś umrę.

Atmosfera była naelektryzowana. Wszyscy spoglądali w stronę Jianyu, Nibsy'ego i sztyletu między nimi. Jianyu dalej patrzył Nibsy'emu w oczy. Nie zamierzał ustąpić. Nie zamierzał cofnąć oskarżeń.

Po długiej, pełnej napięcia ciszy Nibsy uśmiechnął się i zabrał nóż.

– Myślę, że szybka śmierć byłaby dla niego zbyt łagodną karą, a wy? – zwrócił się do pozostałych, lecz odpowiedziało mu tylko zakłopotane milczenie. – Myślę, że powinien nam wyjawić wszystko, co wie. Gdzie jest Darrigan i co zrobił ze skarbami Zakonu. Ale nie tutaj. Nie chcemy tu nabrudzić, niedługo zaczną się schodzić klienci. Mooch, bądź tak miły i zaprowadź go na górę, do mojego mieszkania. Tam utniemy sobie dłuższą pogawędkę.

Być może Jianyu po wyjściu z głównej sali barowej powinien stawić opór, wyrwać się i uciec. Nie byłoby to aż tak trudne. Mooch wprawdzie też ćwiczył na ringu pod okiem Dolpha, lecz dużo krócej niż Jianyu. Ale Jianyu wciąż był oszołomiony i wolał nie ryzykować. Jedno celne uderzenie w głowę pewnie by wystarczyło, aby pozbawić go przytomności.

Przede wszystkim jednak atakując Moocha, raczej by go sobie nie zjednał. Jeśli miał wygrać z Nibsym, musiał tak samo jak on planować kilka ruchów naprzód.

MATKA RUTH

1904 rok – St. Louis

Mówili na nią Matka Ruth, choć nie była niczyją matką. Przynajmniej nie rodzoną. Nigdy nie trzymała w ramionach własnego dziecka ani nie czuła takiej potrzeby, wyznawała bowiem prostą prawdę: całkowite oddanie się komuś było słabością. Matka Ruth nie pozwoliłaby żadnemu mężczyźnie pozbawić jej wolności. Napatrzyła się, jak jej rodzice ledwie wiążą koniec z końcem, by wyżywić rodzinę. Widziała, jak matka marnieje, dziecko po dziecku, aż w końcu czternaste odebrało jej wszystko, co miała.

A może matka zmarniała z innego powodu? Ruth często się zastanawiała, czy naprawdę chodziło o dzieci. Może matka oddała tę część siebie, bez której nie potrafiła żyć? Ruth mogła się tylko domyślać, że tym czymś – tak jak w przypadku jej samej – była magia.

Ojca miała nikczemnego. Bóg raczy wiedzieć, co popchnęło matkę do tego małżeństwa. Kiedy jednak ojciec dowiedział się, że jego żona posiada starą magię, zaczął ją bić. Matka nauczyła się ukrywać przed nim swój dar, lecz magii nie można tłumić w nieskończoność.

Magia matki była magią kuchenną, przydatną w przyrządzaniu potraw i warzeniu piwa, lecz Ruth wiedziała – z własnego doświadczenia – że nawet tak prosty dar może być potężny. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego matka żyła w strachu przed kimś takim jak ojciec. Od małego jednak wiedziała, że niektóre rzeczy na tym świecie wymykają się zrozumieniu. Jej matka ukrywała swoją magię, ale zanim zmarła przy narodzinach czternastego dziecka, nauczyła potomstwo – w tym Ruth – ukrywania swoich darów.

W dniu pogrzebu ojciec Ruth powiedział jej bez ogródek, że jako najstarsza z rodzeństwa będzie musiała wziąć na siebie opiekę nad resztą. Ruth nie mogła się temu sprzeciwić, ale tamtego dnia postanowiła, że przynajmniej wychowa je po swojemu. Uczyła siostry i braci niezależności, rozwijania w sobie magii, tak by nikt ich nigdy nie tłamsił.

Może powinna była uciec. W końcu w chwili śmierci matki miała już ponad dwadzieścia lat. Była młoda i ładna, chłopcy się za nią oglądali. Mogłaby sobie wybrać któregoś z tych durniów, ale po co miałyby zamieniać jedne pęta na drugie? Lepszy diabeł znany niż nieznan.

I tak wychowała siostry i braci aż do wieku dorosłego. „Mama Ruth” – wołali na nią, choć powtarzała im, że nie jest ich mamą. Większość z nich poszła w świat, z dala od nędzy, w której się wychowali. Ruth niespecjalnie tęskniła. Zawsze to problem z głowy. Nareszcie mogła się zająć sobą.

Przez całe życie miała dla siebie dokładnie jedną godzinę tygodniowo – w niedzielę podczas mszy. Ale pewnej niedzieli nie dotarła do kościoła. Po drodze złapał ją deszcz i schowała się przed nim w stajni. Oprócz cichego szmeru końskiego cielska usłyszała tam niechcący czyjaś rozmowę i – ku własnemu zdziwieniu – zamiast ruszyć w dalszą drogę, została, by posłuchać do końca. Może dlatego, że czuła w powietrzu magię, matczyne ciepło, za którym tęskniła – ciepło, które wabiło ją silniej niż cokolwiek innego. I jeszcze ten słuszny gniew, który przemawiał do niej głęboko, aż do szpiku kości.

Zamiast się modlić, nauczyła się krzyczeć. Zamiast klękać – nauczyła się powstawać. I już tak zostało.

Po zetknięciu z Antistasi jej życie zaczęło się jakby od nowa. Tamtego dnia byli tylko luźną grupką osób spragnionych towarzystwa i ucieczki od codziennego kieratu. Niezorganizowani, słabo zdyscyplinowani, wzięli nazwę z bajek o dawnych czasach rozczarowania, kiedy to Magini bronili się zaciekle przed unicestwieniem.

Dopiero Wielkie Konklawe sprzed dwóch lat, a potem ustawa o przeciwdziałaniu magii, delegalizująca sedno jej, Ruth, istoty, sprawiły, że organizacja się zmieniła. A Ruth zmieniła się razem z nią.

Dała ruchowi wszystko, co miała, wszystko, czym była. Zasilą ją pieniędzmi z browaru, który stworzyła z myślą o sobie i rodzeństwie, a jego siedziba stała się miejscem zebrań Antistasi. Chodząc między rzędami kobiet myjących i napełniających butelki, czuła, że nie urodziła się przypadkowo, że jej życie czemuś służy. Nie tylko ratowaniu dziewcząt, które u niej pracowały, przed dożywotnią niewolą za chwilę nierozwagi, ale czemuś znacznie większemu: pokazywaniu, jaka moc drzemie w ludziach zepchniętych na margines. To, co robiła, mogło odmienić losy tych, którzy wciąż mieli związki ze starą magią.

Przyglądając się uważnie pracownikom, skierowała kroki w stronę żłobka w tylnej części browaru. Żłobek był pomysłem Maggie, najmłodszej siostry Ruth – tej, której narodziny matka przypłaciła życiem. Teraz Maggie miała już siedemnaście lat i była ostatnią z rodzeństwa pozostającą pod opieką Ruth. Ponieważ nie mieli zdjęć, Maggie nie wiedziała, że jest żywą podobizną matki. Te szarobrzazowe włosy kręcące się przy skroniach, małe okulary w srebrnych oprawkach na końcu zadartego nosa... i te oczy. Patrząc w nie, Ruth miała wrażenie, że to matka przygląda jej się z zaświatów. Z tą różnicą, że spojrzenie Maggie miało w sobie siłę, jakiej Ruth nigdy nie widziała w oczach matki.

Kiedy Ruth weszła do żłobka, Maggie akurat zajmowała się nowym maleństwem, tryskającym energią dzieckiem porzuconym przez rodziców, którzy nie mogli albo nie chcieli się nim opiekować. Takie historie niestety zdarzały się często: Magini przychodzący na świat w rodzinach, w których magia zanikła wiele pokoleń temu, byli postrzegani jako odrażający wybryk natury.

Niektórzy rodzice akceptowali dzieci takimi, jakie były, ale większość, gdy próby zduszenia dziecięcej magii spełzały na niczym, pozbywała się ich. Sierocińce i zakłady dla obłąkanych w całym kraju pełne były takich odrzutek, małych dziwadeł, które nie rozumiały, kim są. Te oddawane do zakładów rzadko wychodziły stamtąd bez uszczerbku na psychice, o ile w ogóle wychodziły; z kolei w sierocińcach nie żałowano im różg.

Wychowywano w ten sposób ludzi zdziczałych i nieobliczalnych, którzy szybko wpadali w ręce policji albo Straży Jeffersonskiej.

Osobną kategorię stanowiły w żłobku ofiary ustawy o przeciwdziałaniu magii. Ich rodzice zostali zatrzymani w obławach i uwięzieni albo deportowani. Dzieci czasem przygarniali znajomi lub sąsiedzi, ukrywając je przed Strażą, lecz nie wszystkie miały tyle szczęścia. Część trafiała do browaru i tutaj czekały, aż znajdzie się dla nich jakiś nowy, bezpieczny dom.

Maggie sama wpadła na pomysł, by przygarniać małych uliczników – a nawet, w razie potrzeby, porywać ich z sierocińców i zakładów – i wychowywać w taki sposób, aby rozumiały, kim są, i mogły zostać umieszczone w kochających rodzinach. Żeby mogły się rozwinąć, tak jak Ruth pozwoliła się rozwinąć jej.

Ta dziewczyna była zbyt naiwna. Kiepsko skończy, jeśli nie przestanie patrzeć na świat przez różowe okulary. Ruth zgodziła się na otwarcie żłobka, bo uznała, że to się może opłacić. Napływ dzieci z magią pozwalał mieć nadzieję, że ruch Antistasi będzie się rozrastał. Towarzystwo Zawołanego Proroka i tym podobne organizacje mogły stawać na głowie, by wypłenić starą magię, lecz rosło już kolejne pokolenie buntowników.

Maggie podniosła wzrok znad chłopczyka, który przed chwilą zdołał podpalić trzymany w rączce kocyk, i przewróciła wymownie oczami.

– Widzę, że ten mały wciąż daje ci się we znaki.

– Nie robi tego umyślnie – odparła Maggie, gasząc butem resztki płomieni.

– Jeśli puści z dymem mój browar, będzie mi wszystko jedno, czy zrobił to umyślnie.

– Pracujemy nad tym – powiedziała Maggie, ale jej blade, porcelanowe policzki oblały się rumieńcem zakłopotania.

– Zawsze możesz użyć najtwajnu.

– To przecież małe dziecko – zaprotestowała Maggie.

– Jeśli nie panuje nad swoim darem, stanowi zagrożenie dla innych. Zrób coś z tym albo ja to zrobię. I tak jesteśmy ze wszystkim spóźnieni. Nie możemy sobie pozwolić na żadne wpadki.

– Dobrze, Mamo Ruth – wymamrotała Maggie, spuszczać wzrok.

Ruth westchnęła. Nie po to przyszła.

– North przed chwilą wrócił.

– Jericho? Już jest? – podchwyciła Maggie z nagłym zainteresowaniem.

Ruth mogła być zahartowana przez los, ale to nie znaczyło, że nie wie, jaką moc potrafi mieć przystojna twarz z parą łobuzerskich oczu. North miał w sobie wdzięk ulicznego kota – każda myślała, że trzeba go tylko oswoić, a odwzajemni się dozągonną miłością. Jednak Ruth nie wątpiła, że Jericho Northwood, jak każdy bezdomny kot, ma ostre pazury.

Sądząc po tym, jak się rozpromieniła, można było zgadnąć, że Maggie wciąż się w nim podkochuje. Trzeba będzie coś zrobić z tym jej zadurzeniem, ale najpierw...

– Przyniósł składniki, o które prosiłaś.

Lecz Maggie już odwróciła wzrok i znów próbowała okiełznać brzdąca.

– Niedługo się tym zajmę – odparła stanowczo.

Ruth nie przestawał zadziwiać ten stalowy kręgosłup siostry ukryty pod miękką zewnętrzną powłoką.

– Wiesz, jakie to serum jest ważne – przypomniała.

Maggie skinęła głową.

– Wiem, ale nic się nie stanie, jak najpierw położę dzieci do łóżek.

– Obawiam się, że wieści, które przyniósł North, są jeszcze ważniejsze. Będziesz musiała pójść ze mną.

Chłopczyk podniósł drewnianego konika, który natychmiast zatlił się pod dotykiem rozpalonych do czerwoności opuszek jego palców.

Ruth rzuciła Maggie wymowne spojrzenie, po czym odeszła. W mieście zjawił się niespodziewany gość. Dziś wieczorem Antistasi mieli pilniejsze rzeczy na głowie niż dogłądanie cudzych dzieci.

RYZIKO MAGII

1904 rok – St. Louis

W półmroku windowego szybu Esta czuła strach Harte'a nie mniej wyraźnie niż wibracje maszyny pod ich stopami. Nie miała jednak czasu wszystkiego mu teraz tłumaczyć.

Pachnący kurzem i smarem podmuch ciepłego powietrza od zjeżdżającej sąsiedniej kabiny zaszeleścił jej suknią i rozwał włosy. Harte ścisnął ją za rękę tak mocno, że czuła na skórze mrowienie przepływającej między nimi energii.

Nie po raz pierwszy miała wrażenie, że to nie jego wyczuwa. To nie było to samo ciepło, które poczuła parę tygodni wcześniej w teatrze, kiedy ją zmanipulował, ani potem w powozie jadącym do Khafre Hall, gdy usiłował odczytać jej myśli. To była inna energia. Potężniejsza. Co mogło oznaczać jedynie kłopoty.

Chwilowo nie miała jednak czasu się tym gryźć. Musiała wykorzystać jedną jedyną szansę, żeby ich stamtąd wydostać. Być może zresztą popełniała ogromny błąd.

Gdy windy zrównały się ze sobą, Esta skoncentrowała się na swojej mocy i zatrzymała czas. Wibracje ustały, w szybie zrobiło się zupełnie cicho. Esta szybko przeciągnęła Harte'a na dach sąsiedniej kabiny i natychmiast puściła czas wolno.

Windy znów ruszyły. Harte chwycił się liny, a Esta poczuła falę ulgi. Udało się. Wcale nie była pewna, co się wydarzy, kiedy użyje daru. Nie wiedziała, czy w ogóle jej się to uda. Rozważała przeskok bez spowalniania czasu, ale z dwojga złego wolała na krótko użyć magii, niż runąć w czeluść szybu.

Ryzyko się opłaciło. Patrzyli teraz, jak winda, na której byli przed chwilą, sunie dalej w górę, podczas gdy ich kabina opada. Użyła magii i nie stało się nic złego. Jej moc działała jak dawniej. Bułka z masłem. No tak, tylko że to nie koniec. Nie mogli tu zostać, bo każda upływająca sekunda przybliżała ich do parteru, na którym czekała policja.

Gdy winda zatrzymała się na czwartym piętrze, Harte jakby odzyskał przytomność.

– Nie możemy tu zostać – wypowiedział na głos jej myśl.

Esta nasłuchiwała odgłosu otwierających się drzwi. Gdy do windy weszli ludzie, kabiną delikatnie zabujało.

– Nie zostaniemy – odparła. – Wysiadamy.

– Esta, tam jest za dużo ludzi. – Harte wskazał kabinę pod ich stopami.

Dźwięk zamykanych drzwi zapowiadał, że winda lada moment znów ruszy.

– Nie tędy. Trzymaj się.

Harte zmarszczył brwi. Plamki nikłego światła zatańczyły na jego twarzy.

– Jaki mamy plan?

– Wyjdziemy drzwiami – wyjaśniła, wskazując palcem drzwi na czwartym piętrze, od których się teraz oddalali. – Gdy zjedziemy na drugie, znów spowolnię czas, żebyśmy mogli je otworzyć. I żeby nikt na dole nie pomyślał, że winda stanęła.

– Potrafiłabyś?

– Przed chwilą się udało. Bądźmy dobrej myśli.

Drugie piętro zbliżało się szybko, a policjanci, którzy zapewne czekali na siódmym, mieli wkrótce ujrzeć pustą kabinę.

– Daj mi rękę – rozkazała i tym razem Harte nie dyskutował.

Gdy winda była w połowie ozdobnych drzwi na trzecie piętro, Esta skupiła się na otaczających ją sekundach. Czuła na skórze muśnięcia energii burzącej się w Harcie, ale zignorowała je, koncentrując się na tym, jak czas

wypełnia przestrzeń między nimi, prawdziwy i namacalny niczym liny, na których wisały windy, i kurz, który łaskotał ją w nozdrza. Wydostanie się z szybu zajmie więcej niż kilka sekund. Esta nie wiedziała, czy wszystko pójdzie po jej myśli, bo Harte i moc Księgi znów sprawiali, że nie czuła się pewna swej magii. Nie przychodził jej jednak do głowy żaden inny pomysł.

Znalazła szpary między sekundami, te momenty, które zawierały rzeczywistość i jej przeciwieństwo, i rozdzieliła je, aż winda stanęła i wszystko znów ucichło. Lecz gorąca moc Księgi utrudniała jej panowanie nad czasem.

– Pomóż mi – powiedziała, chwytając wolną ręką metalową kratę.

Harte zrozumiał, złapał z drugiej strony i zaczęli wspólnymi siłami rozsuwać drzwi. Gdy otwór był już wystarczająco szeroki, Esta ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Parę kroków od windy, przy drzwiach na klatkę schodową, stał mężczyzna, prawie na pewno jeden z funkcjonariuszy w cywilu. Spoglądał w ich kierunku niewidzącym wzrokiem.

– Dasz radę? – spytał Harte.

Macki gorącej energii, które poczuła na skórze, gdy ścisnęła jego dłoń, wspiwały się coraz wyżej. Im bardziej oplatały jej ramię, tym bardziej śliskie wydawały się szczeliny między sekundami. Jeszcze przed chwilą były twarde i namacalne, ale z każdym uderzeniem serca czas – i jej magia – stawały się coraz mniej uchwytnie. Jakby ani sekundy, ani magia nie istniały naprawdę.

– Długo nie wytrzymam – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

– No to lepiej się pospieszmy.

Harte wyszedł z szybu na korytarz i odwrócił się, żeby jej pomóc.

Stawiając stopę na podłodze, Esta zdała sobie sprawę, że ciemność szybu podąża za nią do jasno oświetlonego korytarza, rozpełza się groźnie na obrzeżach pola widzenia.

Z wnętrza szybu dobiegł jęk stalowych lin, który nie miał racji bytu w tej głuchej chwili zawieszonyj w beczasie.

– Słyszałeś?

Harte zmarszczył brwi.

– Co?

Dźwięk rozległ się znowu, tym razem głośniejszy.

– To – powiedziała.

Nie mieli prawa nic słyszeć, teraz gdy prawie całkiem wstrzymała upływ sekund, a otoczenie pograżyło się w nieruchomej ciszy. Czując, jak wzbiera w niej strach, Esta spróbowała się wyrwać Harte'owi, lecz ten trzymał ją mocno.

– Nie mogę... – wykrztusiła.

– Esta? – Zaciśnął palce na jej dłoni i spoglądał zdezorientowany.

W tych windach znajdowali się ludzie niemający nic wspólnego ze ścigającymi ją policjantami. Ludzie, którzy mogą zginąć, jeśli liny się urwą, tak samo jak ci, którzy jechali pamiętnym pociągiem. Nie rozumiała, co się dzieje, ale wiedziała, że musi temu zapobiec.

Wyszarpnęła się Harte'owi, uwolniła od mrowiącej energii, która jak gdyby chciała ją opanować, i puściła czas wolno. Koła windy gwałtownie poszły w ruch, a Esta usłyszała rozbrzmiewającą gdzieś nieopodal muzykę.

– Co... – zaczął Harte, ale przerwał mu krzyk mężczyzny na korytarzu.

– Hej! – Wskazał ich palcem, wytrzeszczając oczy, jakby nie mógł uwierzyć, że wcześniej ich nie zauważył. Unosząc gwizdek do ust, sięgnął drugą ręką po złotą odznakę wpiętą w klapę. Zanim jednak zdążył jej dotknąć, Harte powalił go na ziemię i ogłuszył jednym ciosem.

– Musimy stąd zniknąć – powiedział, rozmasowując kłykcie prawej dłoni. – Zanim ktoś przyjdzie.

Esta i bez tego wiedziała, że potrzebują kryjówki. Gdy Harte się podniósł, otworzyła przed nim drzwi do jednego z pokojów.

– Daj go tutaj. Nie możemy go zostawić na korytarzu.

Pokój wyglądał identycznie jak ten, do którego zameldowała się kilka godzin wcześniej. Ta sama elegancka perkalowa tapeta, ta sama wytworna bielizna pościelowa, takie same meble z błyszczącego drewna i mosiądzu. Nie ulegało jednak wątpliwości, że to pokój mężczyzny. Na podłodze

poniewierały się spodnie i skarpetki, a choć okno było szeroko otwarte, w powietrzu wisiał zapach dymu i potu.

– Co z nim zrobimy? – spytał Harte, zamykając za sobą drzwi.

– Zanieś go do łazienki – odparła Esta, stawiając nogę na łóżku i zadzierając suknię.

Harte zamiast się ruszyć, wpatrywał się w jej obnażone kolano.

Zignorowała to płomienne spojrzenie – oraz ciepło, które poczuła w sobie – odpięła jedwabną pończochę i ją ściągnęła.

– Możesz przestać? Łap! – Rzuciła pończochę Harte’owi, który wciąż miał oszołomioną minę. – Zwiąż go. – Esta opuściła drugą pończochę i również mu ją rzuciła.

Gdyby nie ich rozpaczliwe położenie, pewnie wydałoby jej się urocze to, jak Harte’owi zaróżowiły się uszy. Nie mieli jednak czasu do stracenia. Im dłużej pozostawali w tym pokoju – i w hotelu – tym większe było ryzyko, że wpadną w ręce policji, która prędzej czy później zrozumie, co się stało, i zacznie przeszukiwać pokoje.

Podczas gdy Harte w łazience wiązał strażnika, Esta rozebrała się z sukni. Kiedy tylko ją na siebie włożyła w przebieralni domu towarowego, od razu wiedziała, że jest idealna. Nigdy nie przywiązywała zbytnej wagi do ubrań, ale pokochała tę suknię, choć zdawała sobie sprawę, że to nie jest dobry czas na zachwywanie się fataląszkami. Teraz z cichym westchnieniem pozwoliła jej opaść na podłogę i zmienić się w kałużę jedwabiu w kolorze rtęci.

W kolorze oczu Harte’a.

Odpychając od siebie tę niechcianą myśl, zwinęła suknię w kulę, jakby chcąc przekonać samą siebie, że ten kawałek tkaniny nic dla niej nie znaczy. Potem wcisnęła ją pod łóżko.

– Co ty robisz?

Odwróciła się i napotkała osłupiałe spojrzenie różowego na twarzy Harte’a.

– Pozbywam się sukni – odparła.

– Widzę – rzekł. Nie uszło jej uwagi to, jak zacisnął dłoń w pięść i jak nienaturalnie brzmiał jego głos. – Ale dlaczego?

– Za bardzo rzuca się w oczy – wyjaśniła. – A ja razem z nią.

– Nie sądzisz, że teraz będziesz się jeszcze bardziej rzucać w oczy? – Harte sztywnym gestem wskazał jej gorset i majtki, jedyne rzeczy, które miała na sobie.

Widziała już skąpiej ubranych ludzi na ulicach Nowego Jorku. Ale Harte by tego nie zrozumiał. Często zdarzało jej się zapominać, jak bardzo się różnią – jak bardzo Harte był produktem swoich czasów. W takich chwilach jak ta znów to sobie uświadamiała... Tym razem jednak będzie musiał wziąć się w garść.

– Nie zamierzam przecież tak wyjść – zapewniła go, podchodząc do szafy. – Na pewno coś tu jest.

Wyjęła ze środka kilka świeżo wyprasowanych męskich ubrań. Harte miał sceptyczną minę, ale udała, że tego nie widzi.

– To się nie uda – wymamrotał bardziej do siebie niż do niej.

– Pamiętasz, jak łatwo Julien mnie rozpoznał? A przecież nawet mnie nie szukał. Jestem za wysoka. To znaczy, jak na kobietę.

Harte wydawał się nieprzekonany.

– Naprawdę myślisz, że choć trochę przypominasz mężczyznę?

– Myślę, że ludzie zazwyczaj widzą to, co chcą widzieć – odparła, wkładając na siebie gładką koszulę. Pachniała świeżym praniem i krochmalem. Te zapachy przypomniały jej dzieciństwo u profesora Lachlana, dorastanie do jego oczekiwań, wspólne przesiadywanie nad książkami w bibliotece na ostatnim piętrze.

Teraz jednak wspomnieniu biblioteki towarzyszył inny obraz. Dakari... A zapach prania i krochmalu tylko przypominał, że nawet twarz, której ufamy, skrywa nieraz fałsz.

Odsuwając od siebie przeszłość, Esta zaczęła zapinać koszulę na guziki, przedtem jednak poluzowała nieco gorset, żeby nie wyszczuplał jej w talii. Wreszcie mogąc swobodnie oddychać, dokończyła zapinanie guzików.

– Miejmy nadzieję, że oni wszyscy są niewidomi – wymamrotał Harte. – Co do jednego. – Po czym zajął ostatni raz do mężczyzny w łazience.

Esta była zadowolona z jego reakcji, ale wiedziała, że to nie czas, by dać temu wyraz. W szafie znalazła jeszcze melonik i wygładziwszy najlepiej, jak umiała, sterczące kosmyki włosów, nasunęła go na głowę. Patrząc spod ściągniętych brwi na swoje odbicie w ozdobnie fasetowanym lustrze, zaczęła się zastanawiać, czy Harte aby nie ma racji. Jej twarz nadal wyglądała zbyt delikatnie, a nie było czasu na dalsze zabiegi; mogła tylko spróbować zetrzeć nałożony kilka godzin wcześniej puder.

Uda się, pomyślała. Zdarzyło jej się już raz przebrać za mężczyznę – kiedy parę tygodni temu pomogła Dolphowi Saundersowi obrabować wystawę kolekcji Morgana w Metropolitanie. Wkroczyła wtedy do sali pełnej członków Zakonu – na czele z samym J.P. Morganem – i nikt się nie zorientował, że jest kobietą. Oczywiście mogło to mieć związek z tym, że ludzie nigdy nie zwracają uwagi na służących.

– Gotowy? – spytała, ostatni raz obciągając kłapy marynarki, by ukryć kształt gorsetu.

Harte obrócił się i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

– Powinniśmy po prostu użyć twojego daru i wymknąć się bez tego... – wskazał gestem jej nowy strój – wszystkiego.

– Nie widziałeś, co się stało na korytarzu? – Esta lekko się wzdrygnęła na wspomnienie tamtego mroku. Był jednocześnie pusty i wszechogarniający; miała wrażenie, że gdyby spojrzała w niego, mogłaby się w nim zatracić. I jeszcze ten dziwny jęk stalowych lin... Chwilowo nie ufała swojej magii – zwłaszcza że musiałyby znów dotknąć Harte'a.

– Jeśli czujesz się słaba, możemy to robić po trochu. Nie musisz wstrzymywać czasu nie wiadomo jak długo.

Pragnienie, które widziała wcześniej w jego oczach, zniknęło. Teraz Harte patrzył na nią z tkliwą litością, która przyprawiła Estę o ciarki.

– Nic mi nie jest – oznajmiła. Była to nieprawda. W środku nadal czuła się roztrzęsiona i niepewna swojego daru, ale przecież ten mrok nie był jej

wina... A może był? Czy przemyciła przez Krawędź coś niebezpiecznego i nieobliczalnego? Nie wiedziała i nie było teraz czasu na rozmyślanie. Na pewno bardzo jej się nie podobało jego zatroskane spojrzenie. – Nie ma co kusić losu – dodała. – Zróbmy to po mojemu, dobrze?

Nie czekając na odpowiedź, wyszła na korytarz. Nie zostawiła mu zbyt dużego wyboru.

Wśród ciszy znów niosły się odgłosy orkiestry i odległy szmer przyjęcia. Esta wskazała w tamtą stronę.

– Moglibyśmy się ukryć w tłumie w sali balowej – zaproponowała. – Z sali balowej musi być przejście do kuchni, jakiś korytarz dla pracowników. Może dotrzemy w ten sposób do wejścia dla dostawców.

– Raczej obstawili wszystkie wyjścia – stwierdził Harte, oglądając się przez ramię.

– Pewnie tak.

Szli korytarzem, przystając tylko na moment przed klatką schodową, której wcześniej pilnował obezwładniony przez nich mężczyzna.

– Ale jeśli mam ryzykować użycie magii – dodała Esta – to wolę z tym poczekać do ostatniej chwili.

– Tylko że musimy się tam najpierw dostać – wymamrotał pod nosem Harte.

Rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Już pewnie odkryli pustą windę, a jeśli zorientują się, że na tym piętrze brakuje strażnika...

– Nie zamierzam tu stać i czekać, aż nas znajdą – uciął Harte, pokazując jej, żeby szła przodem.

Dźwięki muzyki zaprowadziły ich do wejścia na wąski balkon sali balowej, okalający parkiet z trzech stron. Pośrodku błyszczące żyrandole roztaczały łagodne światło. Na jednym końcu sali niewielka orkiestra grała walca, lecz na parkiecie nie było tancerzy. Esta zdała sobie sprawę, że to pewnie dlatego, iż tłum składał się z samych mężczyzn. Nawet wśród

kelnerów nie było ani jednej kobiety: wszyscy mieli na sobie ciemne spodnie i białe marynarki.

Esta nachyliła się w stronę Harte'a.

– I co, kto miał rację?

RĘCE SPRAWIEDLIWOŚCI

1904 rok – St. Louis

Z agrzmiało. Powóz Jacka Grew toczył się po ulicach St. Louis. Przyjechał do tej dziury jako członek świty prezydenta w związku z wystawą światową, a także jako delegat Zakonu na organizowany za parę tygodni Kongres Bractw. Przez ostatnie dwa dni strasznie go irytowało, że musi spędzić tyle czasu poza Nowym Jorkiem, lecz nagle wyjazd zaczął się rysować bardziej obiecująco. Wiadomość dotarła do niego przed chwilą.

Znaleźli ją.

Dwa lata. Dwa lata nie było po niej śladu, ale teraz wreszcie dostanie Estę Filosik w swoje ręce.

Przez te dwa lata Jack wyobrażał sobie to spotkanie na wiele sposobów. Uśmiechnie się zimno i drwiąco, gdy będą ją wlec do więzienia, żeby tam zgniła. A może coś bardziej zaskakującego – może jej podziękuje za to, co dla niego zrobiła, za to, kim się stał?

Oczywiście to Darrigan, nie ona, oddał mu Księgę. Lecz wypadek, z którego Jack wyszedł ze złamaną ręką, niespodziewanie otworzył przed nim nową przyszłość. Dziewczyna była wygodnym kozłem ofiarnym, obiektem powszechnej nienawiści, a zarazem dowodem na to, że Zakon wciąż jest potrzebny.

Jeszcze nie tak dawno Zakon uchodził za ciekawostkę, mało istotną z punktu widzenia przeciętnego obywatela. Jednak po tamtym wypadku wszystko się zmieniło. Magia, traktowana wcześniej jako zamierzchła legenda, po wykolejeniu pociągu i następujących później atakach stała się realnym zagrożeniem. Cały kraj żył w strachu, co było Jackowi bardzo na

rękę. Każdy nowy zamach Antistasi, każda kolejna tragedia spowodowana w imię Diablej Ręki wzmacniały potęgę Zakonu – i pozycję Jacka.

Na ostatnim zakręcie w stronę hotelu Jack zaśmiał się pod nosem. Tak. Kiedy wreszcie stanie z nią twarzą w twarz, Esta będzie w kajdankach, a on jej podziękuje. Oczyma wyobraźni widział jej zdziwioną minę. Pewnie zacznie go błagać o litość. Panna Filosik – o ile tak się istotnie nazywała – nie była głupia. Od razu pojmie, że czeka ją niechybna śmierć. Zanim jednak w areszcie dla kobiet przydarzy jej się pechowy wypadek, Jack skorzysta z okazji, by podziękować jej za perfidię. W końcu to dzięki niej został gwiazdą.

Jak mieli go zesłać na prowincję, skoro okazał się bohaterem, który próbował powstrzymać wariatkę? Nie mogli. Zaczęli więc publicznie wychwalać jego odwagę, wszyscy naraz. Lecz pomimo tych sukcesów – mimo zdobytych wpływów i wszystkiego, co zrobił dla umocnienia pozycji Zakonu – szeptali o nim za jego plecami. Wciąż się zastanawiali, czy uroił sobie całą tę historię, czy zwyczajnie ją wymyślił.

A Jack wiedział, że nie jest obłąkany. Esta nie tylko była w tamtym pociągu, ale w dodatku przeżyła.

Sięgnął za pazuchę i musnął palcami Księgę, z którą nigdy się nie rozstawał. Wszystkie jego ubrania zostały wyposażone w odpowiednią kieszeń, tak by zawsze mógł nosić Księgę przy sobie. Nie było mowy, żeby ją gdziekolwiek zostawił. Nie ufał służącym ani sejfom, nie gdy chodziło o Księgę otwierającą drzwi do świadomości, jaka mu się dawniej nie śniła.

Nie mogąc się oprzeć jej wołaniu, wyjął Księgę z kryjówki na piersi i zaczął przewracać strony. Grekę i łacinę umiał odczytać dzięki niezliczonym lekcjom pobieranym we wczesnej młodości, lecz były na tych kartach również inne, mniej zrozumiałe języki wymieszane z dziwnymi symbolami. Wydawałoby się, że nie ma prawa nic z tego zrozumieć, a jednak obudziwszy się po raz pierwszy z morfinowego letargu w domu matki, odkrył, że jakimś cudem potrafi przetłumaczyć i te fragmenty.

Teraz strony pełne były jego dopisków i notatek, ale od patrzenia na swoje drobne, schludne pismo w roztrzęsionym powozie rozboleła go

głowa. Wyjął z kieszeni kamizelki niewielką fiolkę i położył sobie na języku jedną kostkę. Natychmiast poczuł w ustach znajomą miłą goryczkę, a parę chwil później ucisk w zatokach zelżał.

Odzyskawszy ostrość widzenia, zaczął szukać interesującej go strony. Było to coś w rodzaju zaklęcia ochronnego. W tym pustym powozie wypowiedział na głos dziwne słowa, wypełniając ciasną przestrzeń chłodnym drzeniem mocy, która już na zawsze będzie należała do niego.

Od początku wiedział, że dziewczyna nie zginęła. A teraz wszystkim to udowodni.

Gdy powóz zatrzymał się przed hotelem Jefferson, Jack schował Księgę z powrotem do kieszeni kamizelki. Podziękuje pannie Filosik, a jeśli będzie go błagać na kolanach, żeby ją oszczędził, wspaniałomyślnie się zgodzi. Potem oczywiście odda ją w ręce sprawiedliwości – ręce kontrolowane przez jego rodzinę i ludzi z nią związanych.

Miles, osobisty służący i ochroniarz Jacka, otworzył mu drzwi i czekał milcząco z parasolem w dłoni. Wsiadłszy, Jack uśmiechnął się na widok rzędu ciemnych wozów i mnóstwa umundurowanych funkcjonariuszy. Tym razem nie ucieknie, pomyślał.

– Czekaj tutaj – rozkazał Milesowi, nie dbając o parasol. Czym była odrobina deszczu wobec rychłego triumfu? Wreszcie odegra się na tej oszustce. Czuł to niezawodnie, tak jak czuł ukrytą w zanadrzu Księgę, przyjemny i znajomy ciężar, który przypominał mu, że teraz on rozdaje karty.

ZDRAJCA

1902 rok – Nowy Jork

Jianyuu nie stawiał oporu Moochowi, gdy ten prowadził go po schodach, tak dobrze mu znanych, na piętro Stregi.

– Nie jestem zdrajcą – rzekł cicho, z mozołem podnosząc nogi. Ale nawet jeśli Mooch go usłyszał, nic nie odpowiedział.

Na piętrze Mooch otworzył drzwi i wepchnął Jianyuu do środka. Następnie posadził go na krześle, na którym Jianyuu odbył mnóstwo rozmów z Dolphem.

– Nie jestem zdrajcą – powtórzył, kiedy Mooch wiązał mu ręce za plecami. – Zdrajca to ten, kto odbiera człowiekowi dom, odebrawszy mu wcześniej życie. Zdrajca to ten, kto nosi laskę Dolpha i kieruje jego gangiem, jakby miał do tego prawo.

Mooch spojrział z ukosa.

– Chyba nie myślisz, że ci uwierzę, że to mały Nibsy wpakował Dolphowi kulę w plecy. On nie ma w sobie tyle odwagi.

– To dlaczego wykonujesz jego rozkazy?

– Nibsy jest cherlawy, ale bystry – odparł Mooch po chwili. – Poza tym niby kogo mam słuchać, ciebie?

– Jak tylko przestaniesz mu być potrzebny, pozbędzie się ciebie – zapowiedział Jianyuu. – Spójrz, co już teraz się dzieje.

– Nic się nie dzieje.

– A co robią w Stredze ludzie z Five Points? – spytał Jianyuu.

Za życia Dolpha byłoby to nie do pomyślenia. Członkowie Stu Diabłów wiedzieli, do czego są zdolni gangsterzy Paula Kelly'ego. Dopiero co byli

na nich wściekli, bo niespełna tydzień temu ludzie Kelly'ego zaatakowali dwóch spośród nich.

– Dogadaliśmy się z nimi – odparł Mooch, ale nerwowa nuta w jego tonie zdradzała, że nie wszyscy są zadowoleni z nowego układu.

– Doprawdy? – rzekł cicho Jianyu. Drażył temat, mimo że każdy oddech sprawiał mu ból. – Bo Nibsy ufa Kelly'emu?

– Nikt tutaj mu nie ufa. Wiemy, jaka z niego żmija. Ale Nibsy nam to wyjaśnił: Kelly ma kontakty, których potrzebujemy. Nie pozwolił spalić Stregi.

– Może i tak – przyznał mu rację Jianyu, starając się mówić cicho i jak najspokojniej. – Ale żeby się uchronić przed ukąszeniem żmii, nie wystarczy trzymać ją za ogon.

– Wiesz co? Lepiej stul pysk! – warknął Mooch, wyraźnie podenerwowany. – Skoro nas nie zdradziłeś, to gdzie byłeś, kiedy dostawaliśmy wycisk na moście?

– Wykonywałem rozkazy Dolpha – odparł Jianyu. Była to prawda.

– Dolph Saunders nie żyje. – Głos Moocha łamał się z bólu przemieszanego z bezsilną złością. – Kiedy poszliśmy na most, był już trupem.

– To nie znaczy, że straciło ważność zadanie, które mi powierzył – odparł ostrożnie Jianyu. – Mnie – podkreślił z naciskiem. – A nie zdrajcy, któremu teraz służysz.

Mooch cofnął się o krok i zaczął chodzić wszerek pokoju. Nie był najbystrzejszym spośród członków Stu Diabłów. Słowa Jianyu ewidentnie wywarły na nim wrażenie. Potrząsał głową, jakby mógł w ten sposób pozbyć się jakiejś natrętnej myśli. W końcu stanął i wbił wzrok w Jianyu.

– Nie. Mam dość słuchania twoich kłamstw. Zamknij swój wredny ryj i więcej go nie otwieraj. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Jianyu puścił tę obelgę mimo uszu. Patrzył, jak chłopak, dawniej lojalny wobec Dolpha, przemierza pokój nerwowym krokiem. Najwidoczniej to, co usłyszał, potrafiło w nim jakąś strunę. Na jego twarzy pojawiły się rumiane

plamy. Jianyu miał przeczucie, że zdoła poszerzyć ten wyłom, o ile wcześniej nie straci przytomności.

Zanim jednak zdążył cokolwiek dodać, do pokoju wpadł jak burza Werner.

Mooch odwrócił się zaskoczony, odruchowo unosząc pięści.

– Chodź prędko.

– Co ci odbiło, żeby tak...

– Pożar. Strega się pali! – Chłopak chwycił Moocha za rękaw. – Musimy pomóc.

Moochowi krew odpłynęła z twarzy, ale bez wahania podążył za Wernerem.

– Nie możecie mnie tu zostawić! – krzyknął za nimi Jianyu, lecz nic to nie dało.

Strega znajdowała się na parterze. Jeśli pożar wybuchł w barze, mógł się szybko rozprzestrzenić na resztę budynku. Jianyu był uwięziony na piętrze. Zaczął się szarpać, lecz sznur, którym skrupowano mu nadgarstki, był mocno zaciśnięty. Podobnie więzy w kostkach.

Z otwartego okna delikatnie powiało dymem. Może gdyby udało mu się przesunąć krzesło w tamtą stronę, mógłby wezwać pomoc.

Ostatkiem sił szarpnął się do przodu, zyskując kilka centymetrów. Od tego gwałtownego ruchu znów zakręciło mu się w głowie, a treść żołądka podeszła do gardła. Mimo to próbował dalej. Ze skórą lepką od potu przesuwiał krzesło coraz bliżej okna. Znieruchomiał, gdy za jego plecami otworzyły się drzwi.

– Tu jesteś.

Obrócił głowę i zobaczył dziewczynę mniej więcej w jego wieku – może siedemnastoletnią – i średniego wzrostu. Szczupła w talii, lecz krągła w biodrach i biuście, o twarzy w kształcie serca, spoglądała na niego pełnymi wyrazu oczami, głęboko osadzonymi i lekko skośnymi. Jej ciemne włosy z przedziałkiem pośrodku były spięte w modny ostatnio w mieście kok, choć parę kosmyków kręciło się niesfornie przy skroniach.

Szarozielona suknia podkreślała jej cerę w kolorze palonej umbry. Mimo zagniecień i brudnej podszewki miała doskonały krój, którego nie powstydzilyby się eleganckie sklepy przy Piątej Alei. Właśnie po tej sukience Jianyu domyślił się, z kim ma do czynienia.

– Cela Johnson? – spytał z niedowierzaniem. Wydawało się niemożliwe, żeby dziewczyna, której szukał, była właśnie tutaj, w Stredze.

Cela lekko skinęła głową, lecz na tym poprzestała.

– Co ty tu robisz? – spytał, usiłując skupić na niej wzrok. Głowa bolała go tak, że dwoiło mu się w oczach.

– Przyszłam cię uratować – odrzekła tonem oczywistości, jakby sam powinien był się domyślić. – A na co ci to wygląda? – Zwinnymi palcami rozplątywała już sznur na jego nadgarstkach.

– Ale jak mnie znalazłaś? – spytał, krzywiąc się z bólu od tego całego szarpania.

– Szłam za tobą z teatru.

Uwolniwszy mu ręce, zabrała się do nóg. Powinien jej pomóc, ale na samą myśl o tym, że miałby się ruszyć, dostawał zawrotów głowy.

– Ale dlaczego...

– Posłuchaj no, panie Lee...

– Jianyu – poprawił ją, bo nie chciał, by używała jego nieprawdziwego nazwiska.

– Panie Jianyu...

– Po prostu Jianyu.

Westchnęła gardłowo.

– Nie mamy na to czasu. Zaraz się zorientują, że ten ogień, który podłożyłam, to nic groźnego. Musimy się pospieszyć.

Ta zaskakująca informacja przebiła się przez tuman jego bólu.

– To ty podłożyłaś ogień?

– Strasznie dużo pytań zadajesz – wymamrotała, rozplątując ostatnie więzy. – Chociaż ja też będę miała kilka. Ale to musi poczekać. Możesz

normalnie chodzić?

Jianyu skinął pewnie głową, choć mógł tylko mieć nadzieję, że to prawda. Wstając, wsparł się rękami o stół i dostrzegł leżący tam wycinek z gazety. Wycięto go nierówno, a gdy przeczytał nagłówek, zrozumiał dlaczego. Prędko zwinął świstek i wetknął do kieszeni.

– Szybciej! – ponagliła go Cela, która stała już przy drzwiach.

Ruszył za nią na chwiejnych nogach, lecz zapach dymu zwiastującego pożar Stregi wciąż unosił się ciężko w powietrzu.

1902 rok – Nowy Jork

Gdy Jianyu Lee powiedział Celi, że przysłał go Harte Darrigan, od razu poczuła, że będą z tego kłopoty. Widząc, z jakim trudem idzie, tylko się w tym utwierdziła.

W ogóle nie powinna była go śledzić. Po wyjściu z pracowni trzeba było udać się prosto na północ, do rodziny, ale ciekawość wzięła górę, gdy Cela zobaczyła, jak późnym wieczorem Lee, z długim, kołyszącym się warkoczem, odchodzi spod teatru.

Nie wiedziała, że Darrigan ma wśród znajomych Chińczyków. Nie знаła nikogo takiego. Chińczycy trzymali się razem, wierni swoim dziwnym strojom i jeszcze dziwniejszym zwyczajom. Od razu więc ogarnęła ją wątpliwość: czy Darrigan naprawdę przysłał tego człowieka, żeby jej pomógł, a jeśli tak, to dlaczego? Czy wiedział, kto jest odpowiedzialny za śmierć jej brata?

Uznała, że warto się przekonać, i podążyła za nim, w pewnej odległości, najpierw do chińskiej pralni przy Dwudziestej Czwartej Ulicy, na południowym krańcu dzielnicy, którą jedni nazywali Połudwicą, inni zaś Cyrkiem Szatana. Pewnie należało go tam zostawić, ale skryta w zaułku obok pralni poczuła się prawie bezpieczna. Chciała tylko chwilę odpocząć, lecz mimowolnie zasnęła. Odgłos zamykanych drzwi pralni zbudził ją o świcie. Poszła za Jianyu dalej, na północ, w kierunku Bowery.

Ona pierwsza zauważyła tamtych dwóch – głupich, chudych wyrostków, którym dopiero sypał się zarost, ale bezlitosnych jak zwierzęta. Nie miała nawet kiedy go przed nimi ostrzec, a nie była dość silna – ani dość głupia –

by stanąć do nierównej walki. Zamierzała poczekać, aż sobie pójda, i wtedy udzielić mu pomocy, ale zjawił się tamten trzeci.

Mock Duck, tak go nazywano w mieście i wszyscy wiedzieli z gazet, do czego jest zdolny. Dziennikarze pisali o wojnie między chińskimi gangami z Mott Street i Pell Street w podobny sposób, w jaki relacjonowano plotki o ludziach z wytwornych domów przy Piątej Alei – jakby to była rozrywka. O ile jednak mieszkańcom Piątej Alei zdarzało się co najwyżej dobrać niewłaściwy kapelusz albo zatańczyć z cudzą żoną, przemoc Mock Ducka i jego pomagierów kosztowała życie niewinnych ludzi.

Cela prawie się wtedy wycofała, uznając w pierwszej chwili, że człowiek, za którym szła, najpewniej sam jest żołnierzem Mocka. Gangsterzy pomogą swojemu, nawet jeśli nic nie poradzą na obcięty warkocz. Szybko jednak okazało się, że Mock Duck nie tyle go uratował, ile wziął do niewoli.

Ktoś mądrzejszy w tamtej chwili pewnie dałby sobie spokój. Ktoś bardziej rozumny nie podążyłby za nimi w głąb Bowery. Ale Cela Johnson miała już niewiele do stracenia. Jianyu Lee twierdził, że Darrigan kazał mu ją chronić. Jej brat zginął, próbując to robić – podobnie jak wcześniej ojciec – i będzie musiała dźwigać ten ciężar do końca swych dni. Nie zamierzała go powiększać o kolejną ofiarę.

Z deszczu pod rynnę, pomyślała, naciągając na głowę kawałek tkaniny z pracowni. Idąc za nimi, ale zachowując dystans, dotarła do jakiegoś baru w Bowery. Musiała odwrócić uwagę gangsterów od Jianyu – i znalazła na to sposób.

Teraz grunt palił jej się pod stopami – i to być może całkiem dosłownie. Musieli czym prędzej uciekać, ale tempo, w jakim poruszał się Jianyu, nie wróżyło najlepiej.

Byli już prawie na parterze, blisko wyjścia, gdy dobiegły ich gniewne okrzyki. Ktoś się zbliżał.

Obejrzała się na stojącego stopień wyżej Jianyu. Sądząc po wyrazie jego twarzy, on też to słyszał. Może powinni się cofnąć... Ale jeśli ogień wciąż

płonął – wątpiła w to, nie mogła jednak tego wykluczyć – oznaczałoby to dla nich śmierć, na którą Cela Johnson nie była jeszcze gotowa.

Chłopak wydawał się o wiele mniej zatroskany. Gładkim, wprawnym ruchem wydobyl z kieszeni tuniki dwa ciemne dyski.

– Chodź i złap się mnie – powiedział.

– Ja ciebie? – spytała z niedowierzaniem, bo to nie ona słała się na nogach.

– Tak. Najlepiej, gdybyś mi wlażała na grzbiet. – Ominął ją i pochylił się nieco, by jej to ułatwić.

– Nie mam zamiaru. Prawie cię nie znam – odparła, choć przeszło jej przez myśl, że może jednak powinna zaryzykować w obliczu pożaru. – Zresztą ty ledwie stoisz.

– Nic mi nie jest – syknął przez zaciśnięte zęby.

Widziała, że maskuje urazę ogniem w oczach. Sama nieraz tak robiła.

– To nic osobistego. Po prostu...

– Jeśli nie masz ochoty wyjaśniać tym ludziom, którzy tu idą, kim jesteś i co tu robisz, lepiej mnie posłuchaj.

Głosy się zbliżały.

– Dobra. – Modląc się, by jej zmarła matka nie zobaczyła tego z góry, Cela wsparła się na jego barkach i oplótła go nogami w pasie.

Pierwsze, co pomyślała – cokolwiek niedorzecznie w tej sytuacji – to że chłopak jest bardzo umięśniony. Po tym, jak go pobito, wydawał się ledwie żywy, ale objąwszy go mocno rękoma za szyję i nogami za tułów, wyczuła pod luźnym ubraniem twarde i silne ciało.

Drugie, co jej przyszło do głowy, to że w gazetach pisali nieprawdę. Czego zresztą powinna się była domyślić. W gazetach rzadko pisali prawdę na temat ludzi o innym niż biały kolorze skóry. Czytała najróżniejsze rzeczy o Chińczykach, którzy uczynili Nowy Jork swoim domem – o ich dziwnych zwyczajach, o brudzie, w którym żyli, zamiast stać się dobrymi, porządnymi Amerykanami jak wszyscy. Lecz ten chłopak pachniał jak ziemia, jak coś zielonego i miłego.

Gdy tak myślała, Jianyu wykonał nieznaczny ruch dłońmi i nagle wszystko wkoło lekko zadrżało.

– Trzymaj się – powiedział i zaczął schodzić po schodach.

Potem przystanął i nasłuchiwał. Czują jego zdyszany oddech.

– Nie ruszaj się i bądź cicho – rozkazał, jakby miał prawo rozkazywać jej, która przysłała go uratować, a nie na odwrót. Jednak skoro, niechętnie, bo niechętnie, wdrapała mu się w końcu na plecy, może miało to pewien sens.

Po schodach wchodzili śniadzi Włosi, ci z sali barowej. Ubrani w ciemne spodnie i kurtki, mieli złowrogie miny, ale chłopak, który ją niósł, tylko przywarł do ściany.

A tamci najzwyczajniej w świecie przeszli obok, jakby w ogóle ich tam nie było. Jakby Cela była duchem.

Nie odważyła się spytać, co się stało, bo wciąż byli zbyt blisko. Milczała więc i liczyła, że szczęście nadal będzie im dopisywało.

Jianyu zaczął schodzić i chwilę później wyszli tylnym wyjściem na ruchliwą Elizabeth Street.

– Nie złaż – powiedział jej, gdy chciała się zsunąć.

Pewnie by go nie posłuchała, lecz coś w jego tonie – bardziej desperacja niż władczość – kazało jej ulec.

– Nie widzą nas – odpowiedział na pytanie, którego nie zdążyła zadać.

– Nikt?

– Dopóki siedzisz tam, gdzie siedzisz – odparł, podrzucając ją nieco wyżej na plecy i oddalając się od budynku, z którego wyszli.

Nagle zrozumiała.

– Ty jesteś jednym z nich – rzekła.

Jianyu tylko zacisnął szczękę.

Postawił ją na ziemi dopiero dwie przecznice dalej. W oddali słychać było dzwonienie nadjeżdżających wozów strażackich. Jianyu spoglądał w tamtą stronę z wyrazem smutnej powagi.

– Co się stało? – zapytała.

– Dolph zbudował Stregę z niczego. A teraz spłonie... – Głos mu się załamał.

– Masz na myśli ten bar? Nie spłonie – zapewniła go. – Zaproszyłam tylko ogień w koszu na śmieci. Żeby narobić dużo dymu. Poza tym – dodała, wsłuchując się w dźwięk syren – ktoś tu chyba ma wpływowych przyjaciół, skoro straż już jedzie.

Odwrócił się do niej.

– Dziękuję za ratunek, panno Johnson.

Proste, ciemne włosy, tak bestialsko skrócone, opadały mu teraz nierówno wokół twarzy. Wyglądał w nich jednak zaskakująco dobrze, podkreślały jego wyraziste rysy: ostre kości policzkowe, wydatny podbródek, szeroki, mocny nos i delikatne brwi nad przenikliwymi oczami.

– Mów mi Cela. Jak wszyscy.

– Cela – powtórzył, chwiejąc się lekko na nogach.

– Hej, uważaj. – Chwyciła go pod ramię, żeby się nie przewrócił. – Nieźle cię urządzili, co?

– Nic mi nie jest – odparł Jianyu, choć grymas, z jakim wypowiedział te słowa, sugerował co innego.

– Jasne.

Cela podprowadziła go do wnęki z drzwiami, żeby mógł się oprzeć i odpocząć.

– Idźmy – powiedział. – Nie odeszliśmy daleko.

Na kolejnej przecznicy był przystanek. Milczeli, dopóki nie zajęli miejsc w tramwaju zmierzającym na północ, z dala od Bowery.

– Masz dokąd pójść? – spytał, trzymając się za bolący brzuch. – Jakieś miejsce, w którym będziesz się czuć bezpieczna?

– Bezpieczna? – Zabrzmiało to tak nedorzecznie, że Cela miała ochotę się roześmiać. – Zapomniałam już, co to słowo znaczy.

BÓJCIE SIĘ DIABLEJ RĘKI

1904 rok – St. Louis

Harte Darrigan prędeż sam włożyłby suknię, niż przyznał, że decyzja Esty o przebraniu się w męski strój to ostatecznie dobry pomysł, skoro trafili na salę balową pełną mężczyzn. Przyznanie się do błędu tylko by ją ośmieliło. Najgorsze było jednak to, że nie mógł teraz oderwać oczu od jej nóg w spodniach. Rzucił jej więc tylko ponure spojrzenie i skupił się na tym, jak wydostać się z hotelu, zanim policja ich tu znajdzie.

– Wejście do kuchni musi być tam – powiedział, ignorując jej docinek i wskazując na drugi koniec sali, gdzie od czasu do czasu otwierały się drzwi, którymi wchodzili i wychodzili kelnerzy w białych marynarkach. – W rogu koło sceny są schody. Przejdziemy wzdłuż ściany, ile się da. Trzymaj się blisko, ale nie za blisko. I staraj się tak nie kołysać biodrami.

– Nie kołyszę – zachnęła się.

– Kołyszysz – odparł krótko. Wiedział, co mówi, bo dopiero co za nią szedł.

Esta otworzyła usta, jakby chciała się spierać, ale Harte ją uprzedził.

– Chodzisz jak kobieta. – Omiótł ją wzrokiem, szukając innych niedociągnięć, które mogły ją zdradzić. – Wsuń głębiej kapelusz. Masz zbyt delikatne oczy. Chryste! – wyrwało mu się. Jak mieli się przedostać przez salę pełną mężczyzn? Esta równie dobrze mogłaby zejść na dół w samym gorsecie: nie zrobiłoby to większej różnicy. – Już po nas.

– Damy sobie radę – odparła. – Całe życie spędziłam wśród mężczyzn.

– Wspaniale, za to ja jestem mężczyzną, gdybyś nie zauważyła.

– Trudno nie zauważyć. – Usta jej drgnęły i Harte’owi wydało się, że w jej oczach koloru whisky mignęło coś cieplejszego niż tylko rozbawienie.

Na ten widok wezbrała w nim rozochocona moc. Harte skupił się na tym, żeby ją stłumić, dlatego nic nie odpowiedział.

Esta westchnęła cicho, jakby rozczarowana jego milczeniem.

– Daj spokój, Harte. Większość tych ludzi jest pijana. Nie będą mi się przyglądać.

– Oby nie – rzekł Harte, ale bez przekonania.

Na dole otoczył ich brzęk kieliszków i gwar mężczyzn rozbawionych własnymi żartami. Przemykając wzdłuż brzegu sali, Harte dojrzał coś kątem oka. Spojrzał wyżej i zobaczył kilku mężczyzn stojących na balkonie i przeczesujących tłum wzrokiem. Mieli na sobie takie same ciemne płaszcze i białe opaski jak strażnicy przed teatrem.

– Nie podnoś głowy – rzucił do Esty. Sięgając po kieliszek z niesionej przez kelnera tacy, pozdrowił skinieniem starca o przekrwionych oczach.

– Co...

– Powiedziałem nie podnoś! – syknął przez zęby, po czym uniósł kieliszek do ust. Nie napił się jednak, tylko wykorzystał ten gest jako pretekst, by rozejrzeć się po sali. – Na balkonie jest dwóch, może więcej.

– Policjantów?

– Strażników. – Przeniósł wzrok na Estę. – Skoro szukają nas już tutaj, to znaczy, że mamy bardzo mało czasu.

– Mnie szukają – poprawiła go. – Szukają Diablej Ręki.

– No to jej nie znajdą. – Harte spojrział na nią znad brzegu kieliszka. – Mogłabyś nas teraz stąd wydostać.

Pokręciła głową.

– Widziałeś, co się stało w korytarzu. Sekundy mi się wyślizgiwały. Nie wiemy, co potrafią ci strażnicy. Jeśli wykrywają magię...

Miała sporo racji. Jeśli Krawędź albo moc Księgi, którą w sobie nosił, wpłynęły jakoś na jej – albo na jego – magię, lepiej było zachować

ostrożność, dopóki nie dowiedzą się czegoś więcej.

– Chodźmy.

Wyszli spod względnej osłony balkonu na otwarty parkiet. Po drugiej stronie sali zza drzwi do kuchni co chwila wyłaniał się kelner z tacą szampana lub tartinek, a światło w głębi korytarza przebłyskiwało zachęcająco.

Harte najchętniej od razu skierowałyby kroki do tych drzwi, bał się jednak, że idąc zbyt szybko, prosto do celu, zwróciłby na siebie uwagę mężczyzn stojących na balkonie. I dlatego – choć wszystko w nim krzyczało: „uciekaj!”, „biegnij!” – narzucił sobie spokojne tempo i lawirował wśród tłumu, co jakiś czas przystając, by spojrzeć na orkiestrę albo wziąć przekąskę od krążących po sali kelnerów w białych marynarkach.

Wydawało się, że nigdy nie dotrą na drugi koniec, wreszcie jednak znaleźli się tuż przy wyjściu. Jeszcze tylko kilka kroków i będą mogli schować się na zapleczu... Lecz niemal w ostatniej chwili orkiestra ucichła jak nożem uciął. Nie wszyscy zareagowali od razu, cisza powolną falą rozchodziła się po lekko podchmielonym tłumie, do którego w końcu jednak dotarło, że coś się stało.

Harte też się obrócił – i zdążył spostrzec, że jeden z funkcjonariuszy w cywilu wszedł na scenę i uniósł ręce, prosząc zgromadzonych o cierpliwość. Żyrandole nagle rozbłysły jaśniej.

– Jeśli mogę szanownych panów prosić o chwilę uwagi! – krzyknął. – Jestem detektyw Sheehan z komendy policji w Saint Louis. Przepraszam, że przerywam panom zabawę, ale ścigamy zbiegłą przestępczynię. Widziano ją przed kilkoma minutami w hotelowym holu i mamy podstawy sądzić, że nadal przebywa w budynku.

Szmer się wzmógł, zebrani wyciągali szyje, patrząc, czy nie ma wśród nich kobiety. Esta wcisnęła kapelusz niżej na czoło.

– Zajmiemy panom tylko chwilę. Moi ludzie obstawią wejścia i raz-dwa przeszukają salę.

– Tu jestem, panie władzo – dało się słyszeć wśród harmidru.

Esta – i wszyscy pozostali – powiedli wzrokiem w stronę balkonu, na którym pojawiła się postać w karmazynowej szacie. Połowę twarzy zakrywała jej maska z czerwonej porcelany zwieńczona rogami. Stała na balustradzie z uniesionymi rękoma, jakby zamierzała zanurkować w tłum. Gdy strażnicy na balkonie ruszyli w jej kierunku, zgięła się w ukłonie i... zniknęła w obłoku szkarłatnego dymu.

– Musicie być szybsi, jeśli chcecie mnie złapać – odezwał się inny głos z drugiego końca sali.

Wszystkie głowy znów się obróciły. Ta postać miała na twarzy identyczną diabelską maskę, ale ubrana była w suknię granatową jak noc. Stojąc wysoko na balustradzie, na tle połączonych ścian, wyglądała jak cień.

– I mnie – odezwała się kolejna postać, również zamaskowana, lecz spowita bielą niczym duch.

– I mnie – zawtórował głos z innego zakątka balkonu.

– I mnie. – To znów pojawiła się kobieta w czerwonej sukni.

Głosy odbijały się echem od ścian, a chwilę później po sali przetoczył się jakby grzmot burzy. Powietrze zdawało się naelektryzowane. Pośrodku zaczął wiać dziwny wiatr, wywołując coraz większy szmer podenerwowania wśród gości, którzy zaledwie przed chwilą świetnie się bawili. Jedno słowo rozchodziło się lotem błyskawicy: Antistasi.

Ludzie zaczęli uciekać w stronę drzwi, lecz policja zablokowała wszystkie wyjścia.

– Kim oni są? – szepnęła Esta, chwytając Harte'a za ramię.

– Nie wiem. – Harte przyglądał się kobietom na górze. Wszystkie balansowały na balkonowych poręczach. – Ale wygląda na to, że znaleźliśmy Antistasi, o których opowiadał nam Julien.

– Bójcie się Diabiej Ręki! – rozległo się unisono wśród coraz gęstszych kłębow dymu. – Wrogowie, strzeżcie się jej gniewu. – Coś błysnęło i postacie zniknęły, lecz dym wciąż wił się po sali jak żywa istota.

– Niesamowite są – szepnęła Esta z nutą zachwytu w głosie.

Harte był jednak daleki od jej podziwu. Widział w tych zjawach coś złowieszczonego. Więcej niż niepokojącego. W dodatku zamaskowane kobiety posługiwały się tym przeklętym imieniem, które gazety nadały Eście, a to mogło dla nich oznaczać jedynie kłopoty.

Harte poczuł w powietrzu lodowaty żar magii. Od razu się domyślił, że ma on jakiś związek z wiszącą nad ich głowami chmurą dymu. Nie zamierzał czekać, żeby się przekonać, co skrywa ten całun.

– Chodźmy.

Złapał Estę za rękę i ruszył w przeciwnym kierunku niż reszta spanikowanego tłumu.

Nawet się nie oglądał, czy ktoś widzi, jak pokonują ostatnie kilka metrów dzielące ich od wejścia dla kelnerów. Gdy znaleźli się w korytarzu, natychmiast zaczęli biec.

– Tędy. – Esta wskazała wąskie schody prowadzące w dół, na parter.

Zbiegli po nich pędem i po chwili znaleźli się w kolejnym, wyłożonym linoleum korytarzu o kremowych ścianach. Harte słyszał już hałas dobiegający ze schodów. Gdzieś z prawej zbliżały się jeszcze inne głosy. Nie wiedział, czy to policja, czy tylko obsługa, nie mogli jednak ryzykować.

Chwycił Estę i pobiegł z nią w przeciwnym kierunku, przez otwarte drzwi.

– Ślepy zaułek – stwierdziła, rozglądając się za innym wyjściem.

Trafili do magazynu. Jedna ściana była zastawiona lśniącą srebrną zastawą, wazami do zupy i półmiskami z pokrywą. W kącie stały dwa duże wózki wypełnione czystą bielizną stołową.

Z korytarza dolatywały głosy. Harte oparł się o drzwi i lekko je uchylił, nasłuchując.

– Ktoś idzie – powiedział szybko. – Chyba szukają tych kobiet z sali balowej. Musimy stąd wiać.

– Może tędy? – Esta wskazała drzwiczki na przeciwległej ścianie, kwadratowe i sięgające może połowy wysokości pomieszczenia. Otworzyła je – był to jakiś rodzaj zsypu. Akurat żeby zmieścił się w nim dorosły człowiek. – Chyba prowadzi do piwnicy. Może to zsyp na brudy do prania? – Wskazała wózki z bielizną stołową.

– Albo na śmieci do pieca. – Harte podszedł i na chwilę wetknął głowę w ciemny otwór.

Głosy na korytarzu rozbrzmiewały coraz głośniej.

– Chyba musimy zaryzykować – powiedziała Esta i uniosła nogę, by wejść do środka. – Z piwnicy na pewno jest wyjście.

– Esta, nie. – Harte ją przytrzymał. Na korytarzu trzasnęły kolejne otwierane drzwi. – Nie wiemy, jak to jest wysoko i co jest na dole.

– Ale...

Podniósł ją, nie dając dojść do słowa.

– Jak sobie połamiemy nogi, będzie po nas – rzekł, niosąc wijącą się Estę ku wózkom na brudną bieliznę.

Gdy zrozumiała, co zamierza, oczy jej się poszerzyły.

– Harte, ani się waż...

Lecz on i tak wrzucił ją do wózka.

Esta z trudem usiadła w śliskim kłębowisku tkanin.

– Ale...

– Nie mamy czasu na kłótnie. – Harte wyjął z innego kosza stertę obrusów. Kimkolwiek były te kobiety w sali balowej, zyskali dzięki nim trochę czasu. A przynajmniej tak się wydawało. – Ja zaufałem w windzie tobie. Teraz ty zaufaj mi.

– Harte...

– Schowaj się i nie wychylaj – uciał, po czym przysypał ją dodatkowymi obrusami.

Jeden zawiązał sobie w pasie na podobieństwo fartuchów, które widział na kelnerach. Nie miał co prawda białej marynarki, pozostawało mu jednak

uwierzyć w to, co mówiła Esta: że nikt nie zwraca uwagi na obsługę.

– Gotowa? – rzucił w stronę wózka.

Odpowiedziały mu stłumione przekleństwa. Potraktował to jako „tak”.

Ciągnąc wózek za sobą, ostrożnie wycofał się z magazynu. Oddalając się od głosów, usiłował się zorientować, gdzie się znajduje, i jednocześnie zachowywać naturalnie. Tuż przed pierwszym zakrętem dobiegło go wołanie.

– Hej! Ty tam!

Udając, że nie słyszy, Harte w dalszym ciągu szedł zwawym, równym krokiem ku rozwidleniu korytarza.

– Hej! – rozległo się znowu. – Stój!

Skręcił w prawo i natychmiast przyspieszył. Widząc przed sobą drzwi wahadłowe, nie zwolnił, lecz wpadł z impetem do kuchni. Zaskoczeni kucharze unieśli głowy. Na drugim końcu otwierał się pusty korytarz. Harte nie oglądał się na pościg, tylko popędził z wózkiem w głąb tego korytarza i przez kolejne drzwi wprost do głównego holu.

Mieli już przed sobą wyjście – od ulicy dzieliły ich dosłownie metry – kiedy powietrze rozdarł przenikliwy gwizdek, aż ucichło pianino, a ludzie w holu obrócili głowy. Drogę do jedyne go wyjścia momentalnie zagrodziło Harte’owi dwóch umundurowanych policjantów.

Zrozumiał, że to koniec. Na zewnątrz policji było jeszcze więcej i nawet gdyby przedarli się między tymi dwoma, nie mieliby dokąd uciec.

Co nie znaczyło, że Harte zamierzał tanio sprzedać skórę.

– Trzymaj się – powiedział do Esty, przyspieszając.

– Harte, co ty...

Spodziewał się, że dwaj policjanci usuną mu się z drogi, tymczasem stali twardo w miejscu. Gdy wózek w nich wjechał, wszyscy się przewrócili. Zdezorientowana Esta wypadła ze środka, długie włosy wystawały jej spod melonika, lecz Harte błyskawicznie się podniósł i prędko wziął ją za rękę.

– Biegiem! – zawołał, ciągnąc ją do wyjścia, lecz nagle wyrosło przed nimi jeszcze trzech funkcjonariuszy. Harte stanął. Nie mieli szans się

wydostać – nie bez pomocy magii. – Esta... – zwrócił się do niej tonem pytania, a może prośby.

Ścisnęła mu dłoń, jakby na znak, że rozumie, o co mu chodzi, ale przez chwilę nic się nie wydarzyło.

– Zaraz będzie po nas – rzucił Harte, gdy policjanci zaczęli się zbliżać.

Spojrzała zaskoczona.

– Tak...

Harte prawie się przewrócił, gdy ich prześladowcy zastygli w pół kroku. Esta wydała z siebie drżące westchnienie. Ominęli policjantów i wybiegli głównym wejściem na zewnątrz. Nie mylił się: przed hotelem stały wozy policyjne i szereg funkcjonariuszy w ciemnych płaszczach.

Burza, na którą zanosilo się przez cały wieczór, w końcu się zaczęła, wiszące w powietrzu zimne krople deszczu cięły Harte'a po twarzy, kiedy biegł z Estą przez ulicę. W górze niebo jaśniało błyskawicą, której elektryczne widły zastygły nieruchomo niczym pęknięcia na zamarznętej tafli stawu.

Esta wzięła gwałtowny wdech – potknęła się, omal nie przewracając przy tym Harte'a. Utrzymał się jednak na nogach i złapał ją w porę.

– Esta?

– Nie mogę... – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – To zbyt trudne.

Spróbowała mu się wyrwać.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wokół ich złączonych dłoni unosiły się, niczym miniaturowe wiszących na niebie błyskawic, jasne nitki energii. Nie były nieruchome jak wszystko dookoła. Ta energia żyła – gorąca i groźna, pięła się coraz wyżej po ręce Esty. Głos wewnątrz Harte'a był triumfalnie.

– Jesteśmy za blisko – stwierdził, patrząc osłupiałym wzrokiem na to, co się dzieje. Hotel nadal był w zasięgu wzroku. Policja wciąż stanowiła dla nich zagrożenie. Jeśli nie uciekną, cały ich dotychczasowy trud i ryzyko pójdą na marne. – Musisz wytrzymać jeszcze parę minut.

Twarz Esty wykrzywiało grymas wysiłku.

– To jest jak żywy ogień – powiedziała, lecz skinęła głową.

Harte bez wahania – nie prosząc o zgodę – przerzucił ją sobie przez ramię jak strażak ratujący ofiarę z pożaru i ruszył dalej, lawirując wśród znieruchomiałych pojazdów. Ignorował zimne ukłucia kropel deszczu. Moc w jego wnętrzu znowu podnosiła łeb, pulsowała zadowolona, lecz Harte zebrał siły i ją stłumił.

Ledwie hotel zniknął im z oczu, Esta stęknęła i świat dookoła ruszył z miejsca. Niebo pociemniało, a chwilę później miarowy stukot deszczu zagłuszyło uderzenie pioruna. Harte schował się w pobliskich drzwiach i postawił Estę na ziemi.

– Udało się? – szepnęła.

– Tak. – Odgarnął jej włosy z twarzy. – Udało się. Ale nie możemy tu zostać. Musisz mi pomóc. Musisz iść o własnych siłach.

Nie słuchała go. Szkliste, rozmyte spojrzenie utkwiała w niebie.

– Ty też to widzisz? Jakby ciemność pożerała świat.

Harte ani na chwilę nie oderwał oczu od Esty, która po sekundzie zamrugła i osunęła się bezwładnie w jego ramiona.

NIESPODZIEWANY KŁOPOT

1904 rok – St. Louis

Ruth, przyczajona w wozie browarnym po drugiej stronie ulicy, przyglądała się hotelowi Jefferson. Stojące przed głównym wejściem ciemne bryły wozów policyjnych zasłaniały jej widok. Na wszelki wypadek kazała innym Antistasi obserwować pozostałe wyjścia.

Sama nie wiedziała, czego się spodziewać. Zrodzoną przed dwoma laty, po katastrofie kolejowej, legendę o Diabłej Ręce od początku traktowała jak kłamstwo rozpowszechniane przez Zakon i resztę tajnych bractw po to, by podburzyć społeczeństwo przeciwko takim jak ona. Ruth nie chciało się wierzyć, że dziewczyna, zwykła dziewczyna, mogłaby zrobić to, o czym donosiły gazety. Co jednak nie przeszkodziło jej i ruchowi Antistasi w wykorzystaniu tej legendy do własnych celów – uczynieniu z Diabłej Ręki symbolu, wokół którego można się było zjednoczyć.

Niewielkie grupki Maginów żyły sobie po cichu w całym kraju, lecz po uchwaleniu ustawy o przeciwdziałaniu czarom coś się zmieniło. Zwykli ludzie, wiodący całkiem zwyczajne życie, nagle zrozumieli, jak złudne było ich poczucie bezpieczeństwa. Diabła Ręka zdawała się obiecywać inną przyszłość, a grupy w rodzaju tej, której przewodziła Ruth, ochoczo podsycaly w ludziach nadzieję.

Gdy mniejsze i większe czyny w kraju przypisywał sobie ktoś podający się za Diablą Rękę, Ruth zakładała, że to po prostu jakaś inna grupa Antistasi. Nie sądziła, że mogła w nich maczać palce tamta dziewczyna. Diabła Ręka była tylko mitem, legendarną bohaterką w rodzaju Paula Bunyana czy Johna Henry'ego. Może i kiedyś to była prawdziwa

dziewczyna, ale dawno już stała się czymś znacznie większym. Idealem. Powołaniem.

A jednak North widział ją tego wieczoru: dziewczynę, której wizerunek publikowały wszystkie gazety w kraju. Ruth musiała dopuścić możliwość, że się myli. I że jej władza w St. Louis jest zagrożona. W końcu o wiele łatwiej zapanować nad pogłoską niż nad ludzkimi sercami.

Ruth nie miała pojęcia, co to za dziewczyna ani czego chce. Nie wiedziała nawet, czy to naprawdę ona, choć najwyraźniej Straż i policja nie miały takich wątpliwości. W najlepszym razie jej pojawienie się było drobną komplikacją. W najgorszym – dziewczyna mogła przybyć do miasta, by przejąć od niej stery. Ruth zbyt ciężko pracowała, zbyt wiele miała planów, by jej na to pozwolić.

Inna rzecz, że źle by się stało, gdyby ją teraz schwytano. Widmo karcącej Diablej Ręki przestałoby chronić Antistasi przed represjami. Mogli wiele stracić i dlatego Ruth postanowiła wysłać swoich ludzi do hotelu Jefferson, żeby narobili tam zamieszania i ułatwili dziewczynie ucieczkę, a potem, jeśli się uda, przyprowadzili ją do niej. Jako rywalka mogłaby stanowić dla niej problem, ale jako sojuszniczka lub, jeszcze lepiej, podwładna... W tej wizji było coś pociągającego.

Zbyt długo to wszystko trwało. Dzięki zegarkowi Northa czas był elastyczny, lecz mimo to oczekiwanie dłużyło się niemiłosiernie. Dopóki jej ludzie znajdowali się w środku, dopóty Ruth musiała się o nich martwić.

Ale już niedługo. Błyskawica przecięła niebo, rozświetlając ulicę i fasadę hotelu. Zanim jeszcze rozległ się grzmot, dwoje ludzi pojawiło się znikąd. Ruth zmrużonymi oczyma patrzyła, jak wyższa postać podnosi niższą i rusza biegiem przed siebie. W powietrzu rozeszła się fala ciepłej magii, wyjątkowo silna. Nieprawdopodobnie czysta. Ruth przez całe życie ani razu nie czuła niczego podobnego.

Chwilę później tuż poza kręgiem światła pobliskiej latarni pojawiły się cztery zamaskowane postacie w sukniach. Natychmiast podbiegły do wozu i weszły do środka, żeby nikt ich nie zobaczył. Z tyłu zamknęły się drzwi, a przy koźle woźnicy otworzyło się okienko.

– Były jakieś problemy? – spytała Ruth, spoglądając w mrok zakrytej platformy.

North zdążył już zdjąć maskę, a teraz rozbierał się z ciemnej sukni.

– Żadnych – odparł. – Bomby Maggie zadziałały jak złoto.

– Jak zwykle – rzekła Ruth z iskrą dumy z najmłodszej siostry.

– Nie znaleźliśmy Diabłej Ręki w środku. Myślisz, że uciekła? – spytała Maggie, zdejmując swoją maskę.

Dla Ruth to zawsze był lekki szok oglądać siostrę w szkarłatach; na co dzień nosiła bardziej stonowane kolory. Sądząc po tęsknym wyrazie twarzy Northa, on też był pod wrażeniem.

Spojrzała tam, gdzie parę chwil wcześniej pojawiło się dwoje ludzi.

– Tak mi się wydaje – odparła. – Ale North miał rację. Nie jest sama.

– Mam ich śledzić? – zaproponował North.

Ruth się zamyśliła. Nie uszło jej uwadze, że po twarzy jej siostry przebiegł cień zaniepokojenia. Z jednej strony dobrze byłoby mieć po swojej stronie kogoś takiego jak Diabła Ręka, z drugiej – jeśli Maggie będzie się zamartwiać o Northa, nie skupi się na dokończeniu pracy nad serum. A czas naglił.

– Mamy w mieście wystarczająco dużo oczu. Jeśli ci dwoje znów się gdzieś pojawią albo będą stwarzać problemy, dowiemy się o tym. Na razie wolę mieć cię pod ręką.

ZOBOWIĄZANIA

1902 rok – Nowy Jork

Tramwaj sunął hałaśliwie na północ, w kierunku Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy, przy której mieszkał wuj Celi z rodziną. Dziewczyna łamiącym się głosem opowiadała Jianyu o tym, jak Abe zginął we własnym domu. Ze łzami na policzkach tłumaczyła, że teatralna pracownia – jej duma i azyl – stała się jej więzieniem.

– Czuję, że tam jesteś – powiedział Jianyu.

Pokiwała głową.

– Słyszałam cię, ale nie wiedziałam, czy mogę ci zaufać. Tyle mnie spotkało tamtej nocy... A potem zacząłeś mówić o Darriganie. Uznałam, że mądrzej będzie pozostać w ukryciu.

– To zrozumiałe, po tym, co się stało z twoim bratem i waszym domem – odrzekł prosto Jianyu, lecz Celę jego słowa zbiły z tropu.

– Nic nie wiem o domu – powiedziała z nagłym uczuciem ciężaru w żołądku.

– Nie wiesz? – Jianyu posmutniał. – Kiedy przyszedłem cię szukać, stał w płomieniach.

Tym razem to ona się zachwiała i to ją trzeba było przytrzymać, mimo że siedziała. Dom był dumą i radością jej taty. Śladem, który po sobie zostawił. Teraz – jeśli Jianyu miał rację – ten dom zniknął z powierzchni ziemi. Tak samo jak jej brat. I wszystko, co kochała. Jednego wieczoru.

Pnącze oplatające jej serce wypuściło kolce i Cella poczuła, że brak jej tchu.

Czy minęły już dwa dni?

Wyślizgnęła dłonie z rąk Jianyu.

Puścił ją, lecz oczy zwęziły mu się w zamyśleniu.

– Co? – zapytała z dojmującym bólem w sercu, bólem od kolejnych ciosów zadawanych przez los.

– Harte Darrigan w wielu sprawach kłamał, ale nie na twój temat – rzekł cicho. – Dokonał słusznego wyboru.

– Powinien był wybrać kogoś innego – zaprotestowała gorzko.

Jianyu westchnął ciężko, co Cela wzięła za przyznanie jej racji. Jeszcze przez chwilę jechali w ciszy, po czym znów się odezwał.

– Co z matką Darrigana? – spytał łagodnie. – Podobno zostawił ją u ciebie. Nie było jej tam?

– Zmarła, zanim stamtąd uciekłam – zapewniła go.

Zanim dom spłonął.

– Kim byli ludzie, którzy zabili twojego brata?

– Miałam nadzieję, że ty będziesz wiedział. Siedziałam w piwnicy, kiedy to się stało. Usłyszałam strzał i uciekłam. Nawet nie wiem, dlaczego uciekłam. Nie mogłam się zatrzymać. Zostawiłam Abła jak ostatni tchórz. – Głos jej się załamał. Wspomnienie brata – jego roześmianych oczu, wydatnych rysów twarzy, tak podobnych do ojca – było trudne do zniesienia. Pchało ją w otchłań rozpacz, z której nie było powrotu.

– Nie jesteś tchórzem, Celo Johnson. – Jianyu delikatnym ruchem otarł jej łzy z policzków.

Był to dziwnie poufały gest, do którego nie miał prawa. Mimo to nie zaprotestowała. Wiedziała, że chce ją tylko pocieszyć.

– To wszystko przez Darrigana, prawda? To, co się przydarzyło mnie i Ablowi... Wszystko dlatego, że wzięłam jego matkę pod swój dach i przyjąłam ten przekłety pierścień jako zapłatę...

– Nie wiem tego na pewno, ale... – Przechylił głowę, lekko krzywiąc się przy tym z bólu.

– To dlatego Evelyn zamknęła mnie w pracowni. Chciała zdobyć ten pierścień. – Cela wciąż nie mogła zrozumieć, jak ta głupia franca wydobyła go z kryjówki w podszewce jej sukni – i dlaczego oddała go bez walki.

– Nadal go masz? – spytał Jianyu, spoglądając jej nagle w oczy. – Czy Evelyn go zabrała?

– Musiała go wziąć – odparła Cela.

– Nie...

– Nie żebym za nim tęskniła. Przynosił mi tylko nieszczęście.

Jianyu wydał się jeszcze bledszy. Jego skóra miała wcześniej złotawy odcień; teraz jakby cała krew odpłynęła mu z twarzy.

– Jeśli go nie odzyskamy – rzekł – będzie jeszcze większe nieszczęście.

– My? – spytała. – Ja nie mam zamiaru. – Tramwaj właśnie podjeżdżał na przystanek i ani myślała jechać dalej. – Tu wysiadam. Idę do rodziny, niech Bóg ma ich w swej opiece, a ty możesz iść, dokąd chcesz. Nie chcę mieć nic wspólnego z tym pierścieniem ani z Darriganem, ani z niczym innym. Ty uwolniłeś mnie, ja uwolniłam ciebie, więc jesteśmy kwita i możemy się rozejść.

Jianyu zmarszczył brwi, ale się nie spierał.

– Nie wiem, czy mogę powiedzieć, że miło było cię poznać, ale na pewno było ciekawie. – Wyciągnęła rękę. – Niech Bóg nad tobą czuwa, bo jeśli zamierzasz szukać tego pierścienia, przyda ci się opieka boskiej opatrności.

Jianyu chciał jej uścisnąć dłoń, ale tylko ją musnął zimnymi, zbyt zimnymi palcami, po czym osunął się bezwładnie, jakby uszło z niego życie. Gdyby nie refleks Celi, drugi raz uderzyłby się w głowę.

Nie zdawała sobie sprawy, że aż tak z nim źle. Jeszcze przed chwilą wyglądał nieco lepiej. Tak czy owak, nie miała wobec niego żadnych zobowiązań. Oparła go na krzeselku i ruszyła do wyjścia.

Jednak po kilku krokach zawróciła.

Nie mogła go tak zostawić. Powinna, ale nie umiała.

Z westchnieniem potrząsała nim przez chwilę, aż ocknął się na tyle, by podnieść się z miejsca. Musiała zarzucić sobie jego rękę na ramię i pomóc mu wysiąść, przepaszając współpasażerów, którzy przyglądali się temu z nieskrywaną dezaprobatą. Gdy znaleźli się już na chodniku, przystanęła, by się rozejrzeć. Jianyu był ledwie przytomny, ale przynajmniej stał na własnych nogach.

– Chodź – powiedziała, wchodząc w jedną z mniejszych ulic. – Trzeba cię położyć do łóżka, zanim znowu mi zemdlejesz.

Od początku miała wątpliwości, czy powinna szukać schronienia u rodziny. Wuj Desmond i jego trzódka nigdy za nią nie przepadali; co powiedzą teraz, gdy zapuka do ich drzwi bezdomna, zrozpaczona, z uwieszonym na ramieniu ledwie żywym Chińczykiem?

STRACONE OKAZJE

1904 rok – St. Louis

W Jeffersonie panował nieopisany zamęt. Jack tylko przekroczył próg i stanął jak wryty. Ciemne policyjne mundury były wszędzie. Jedni funkcjonariusze przepytывali ludzi w szykownych wieczorowych strojach – kobiety w satynowych sukniach ociekających klejnotami oraz mężczyźni w eleganckich smokingach, jakich nie powstydziliby się nawet Vanderbiltowie. Drudzy stali w kordonie wzdłuż ścian i spoglądali podejrzliwie na wszystkich nowo przybywających.

– Nie wolno wchodzić! – warknął jeden ze stróżów prawa w stronę Jacka, który dopiero co wziął morfinę i dlatego wcale się tym nie przejął, tylko ominął funkcjonariusza bez słowa.

Tamten chwycił go za rękę i obrócił ku sobie.

– Powiedziałem: nie wolno...

– Kazano mi przyjść – przerwał mu Jack.

Policjant zmrużył oczy.

– Kto panu kazał?

– Ja – odezwał się głos za jego plecami.

– Komendant Matson, jak mniemam? – Jack wyrwał się szeregowemu i wyciągnął rękę na powitanie.

Szef policji był krępyim jegomościem o przenikliwym spojrzeniu.

– Miło pana w końcu poznać, panie Grew – oznajmił, ściskając mu dłoń. – Obawiam się jednak, że niepotrzebnie pana fatygowałem.

Te słowa ostudziły nieco przyjemne ciepło, które Jack czuł w żyłach po zażyciu morfiny.

– Mówił pan, że są tutaj – rzekł z napięciem w głosie.

– Byli, ale uciekli – przyznał komendant.

– Uciekli – powtórzył Jack. To słowo było jak niespodziewany cios w brzuch. – Niemożliwe. Wszystkie wyjścia były przecież obstawione, prawda?

– Wszystkie co do jednego. Nie wyszli przez nie.

– W takim razie muszą gdzieś tu być. – Jack starał się zachować spokój. – Przeszukaliście cały budynek?

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Matson.

Jack czuł, jak pulsuje mu żyła na szyi. Choć morfina wytłumiała panujący w holu zgiełk, słowa komendanta i tak podziały mu na nerwy.

– Dlaczego pan tak uważa, do cholery?!

– Bo widzieliśmy, jak zniknęli. Na oczach połowy moich ludzi. Jakieś pięć minut temu. – Matson wskazał miejsce oddalone od głównego wejścia o kilka, może kilkanaście metrów. – Otoczyliśmy ich, odcięliśmy im drogę ucieczki. Stali tam, a potem puff! I nie ma ich. Jakby to były duchy.

Miałem rację, pomyślał Jack. Obśmiewano mnie za moimi plecami, nazywano głupcem, ale miałem rację.

– Nie żebym wierzył w duchy – dodał prędko szef policji. – Dlatego wezwałem Straż.

– Straż? – Cały świat Jacka zawęził się nagle do jednej rzeczy.

– Jeffersonską – dopowiedział komendant. – W tych stronach to oni zajmują się zwalczaniem nielegalnej magii.

– Właśnie widzę, jak się zajmują – odrzekł Jack z ponurą ironią. – To jest nie do przyjęcia, komendancie Matson. Zapewnił mnie pan, że na przyjazd Roosevelta będzie tu bezpiecznie.

Komendant się nastroszył, obfite drżące policzki mocno mu się zaczerwieniły.

– Mam pełne zaufanie do moich ludzi. Prezydent może spać spokojnie. Hendricks, chodź no tutaj!

Stojący w głębi holu rumiany mężczyzna o wysokim czole, z czupryną miodowych włosów, uniósł głowę.

– Już kończę, sir.

– Natychmiast! – rzucił komendant tak ostro, że wszystkie spojrzenia powędrowały w jego stronę. Odwrócił się z powrotem do Jacka i prychnął poirytowany: – Straż myśli, że coś znaczy, bo rada miasta dała im wolną rękę, ale to ciągle amatorzy. Hendricks – rzucił, gdy wezwany mężczyzna się zbliżył – poznaj pana Jacka Grew. Pan Grew przyjechał pomóc w przygotowaniach do wizyty prezydenta. Właśnie go zapewniałem, że mamy wszystko pod kontrolą.

Hendricks stał przed nimi z uniesionym podbródkiem i rękoma złączonymi za plecami. Z bliska wyglądał młodziej. Miał najwyżej dwadzieścia lat, lecz jego szerokie barki i szczupła, muskularna sylwetka sprawiły, że Jack sam odruchowo nieco wyprężył pierś.

– Hendricks jest pułkownikiem Straży – wyjaśnił komendant. – Opowie panu o wszystkich przedsięwziętych przez nas środkach. Zostawię pana Grew z panem, pułkowniku.

– Tak jest – odparł tamten bez mrugnięcia okiem.

– Jest pan w dobrych rękach. – Komendant poklepał Jacka po ramieniu i odszedł poszukać innego swojego podwładnego.

– Ma pan jakieś pytania dotyczące naszych środków bezpieczeństwa? – odezwał się Hendricks.

– Ta cała Straż... Co to właściwie jest? – chciał wiedzieć Jack.

– Straż Jeffersonska ma za zadanie chronić Saint Louis przed nielegalną magią – wyrecytował Hendricks.

– Na czym dokładnie ta ochrona polega? – spytał Jack, przyglądając mu się z ukosa.

– Wkraczamy tam, gdzie zwykła policja by sobie nie poradziła. – Oczy pułkownika patrzyły bez wyrazu. – Dzięki określonym umiejętnościom i narzędziom ścigamy Maginów, którzy nie chcą się zasymilować ze społeczeństwem i stać się porządnymi obywatelami.

Mimo morfinowego zamroczenia, które tłumilo światło i hałas, Jackowi wyostrzyła się uwaga.

– Naprawdę? Ścigacie Maginów?

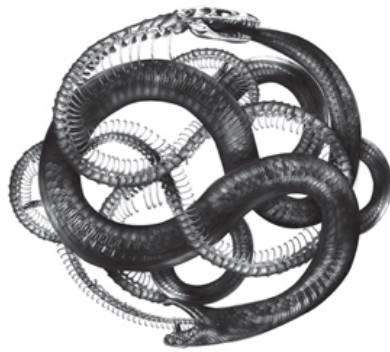
Hendricks pokiwał głową.

– Dzięki nam lądują z powrotem w rynsztoku albo za kratami, tam gdzie ich miejsce. Eliminujemy zagrożenie, jakie stanowią dla pełnowartościowych obywateli.

– Doskonale – rzekł Jack, sięgając po fiolkę z kostkami morfiny. – Cudownie.

CZĘŚĆ

TRZECIA



DELMONICO'S

1902 rok – Nowy Jork

Fiszbyny gorsetu wpijały się Violi w miękkie ciało nad biodrem, ale teraz niewiele mogła z tym zrobić, zwłaszcza że *scagnozzo* jej brata trzymał ją za ramię. Poza tym musiała grać rolę układnej damy. Minęły cztery dni, odkąd dała się bratu pobić w zamian za ochronę. Rozcięta warga zdążyła się zagoić na tyle, by Viola mogła się pokazać publicznie. Przez cztery dni czekała cierpliwie i wykonywała polecenia brata, również te najbardziej uwłaczające. Grała posłuszną i skruszoną siostrę, ale miała oczy i uszy otwarte i zaczynała już obmyślać swój plan.

Pracownik hotelowej restauracji szukał ich rezerwacji w zeszycie. Od czasu do czasu rzucał Violi i jej towarzyszowi spojrzenie pełne wątpliwości, jakby dobrze wiedział, że nie pasują do tego miejsca. Im dłużej tam stali, tym bardziej Viola czuła na sobie wzrok innych. Nie mogła się doczekać, aż ten nadęty głupiec skończy. Aż usiądą, ona i jej towarzysz, rozdzieleni stołem. Oczy już mu błędziły... i ręce też.

Wiedziała jedno: Paul nie był z nią szczery, kiedy mówił, że to wszystko po to, by mogła załatwić jednego durnia z gazety, rzekomo na życzenie „wpływowego przyjaciela”. Człowieka można było zabić na tysiąc sposobów, jeśli nie więcej, bez paradowania w eleganckiej sukni z gorsetem, który wypychał jej piersi na wierzch i prawie uniemożliwiał oddychanie. Bez kolacji w eleganckim lokalu z Johnem Torrio, przez gangsterów z Five Points zwanym Lisem. Nie, jej brat umówił to spotkanie, bo jej nie ufał. Torrio, który kazał jej mówić sobie John, był – co tu dużo gadać – niańką, choć szczerze wątpiła, czy spodobałoby mu się to

porównanie. Miał ją mieć na oku i pilnować, żeby wywiązała się ze swojego zadania.

To prawda, że kobieta udająca się do takiego lokalu jak Delmonico's potrzebowała partnera, lecz cały ten pomysł zabójstwa w restauracji był niedorzeczny. Jakby nie mogła po prostu załatwić faceta na ulicy.

Cóż, Paul najwyraźniej nie chciał jej ułatwiać zadania. Jego decyzja była przemyślana. Wiedział, że przy tak dużej liczbie świadków Viola będzie zmuszona uciec się do magii – a więc złamać obietnicę, którą złożyła sobie samej przed laty. Niewidzialny atak pozwoli upozorować naturalną śmierć tego biedaka – wszyscy uznają, że doszło do nieszczęśliwego wypadku. Wystarczy jedna chwila i przyjaciel Paula pozbędzie się problemu, a dusza Violi wzbogaci o kolejną niezmywalną skazę.

Mimo wszystko nie trzeba było do tego eleganckiej restauracji. Viola dobrze wiedziała, co Paul knuje. Nieprzypadkowo wysłał ją tu razem z Johnem. Chciał ich zeswatać. Przed laty to właśnie plan wydania jej za mąż przepełnił czarę goryczy. Teraz, gdy wróciła na łono rodziny, brat poddawał ją próbie. Stary cap, którego dla niej szykował ostatnim razem, pewnie już się przekręcił. Nic dziwnego, że teraz Paul chciał ją związać z człowiekiem, którego uważał za swoją prawą rękę – by dzięki temu móc kontrolować ich oboje.

Gdy prowadzono ich do stolika, kątem oka przyglądała się Johnowi, jego ciemnym oczom i jeszcze ciemniejszym, zaczesanym do tyłu włosom. Trudno było odmówić urody temu przystojniakowi spod Neapolu. Nie miał charakterystycznie krzywego nosa, tej dumy większości ulicznych gangsterów, lecz nawet w szykownym smokingu brakowało mu poloru Paula. Widać było po nim, że jest człowiekiem ulicy.

Poza tym jak wszyscy mężczyźni zachowywał się tak, jakby to, co miał w spodniach, czyniło go panem świata. Może zresztą tak było, pomyślała Viola, patrząc, jak kelnerzy mu nadskakują, mimo że na nich warczy.

Kolacja dłużyła się okrutnie. Słuchając, jak Torrio nawija o swoich wyczynach, Viola starała się uśmiechać, ale zaczynało ją to przerastać. Jej towarzysz nie przestał się chwalić, nawet gdy podano im pierwsze dwa

dania. Mówił po prostu z pełnymi ustami. Dopiero gdy na stole pojawiły się ogromne steki z masłem ziołowym i piure ze szpinaku, nareszcie się zamknął.

Lepiej niech się skupi na steku, zamiast sobie wyobrażać, że ma u niej szansę. Mężczyźni zawsze źle znosili odmowy, a Viola nie mogła sobie pozwolić na to, by go zabić lub okaleczyć, skoro chciała przekonać Paula, że można jej zaufać. Paul i Nibsy coś razem knuli, a zdobycie zaufania Paula było pierwszym krokiem do ustalenia, co to takiego.

Skubiąc krwisty stek i galaretowate ostrygi, Viola siedziała jak na szpilkach. Cała ta sytuacja bardzo ją krępowała. Jedzenie było dla niej zbyt wystawne, podobnie zresztą jak wszystko inne w tym lokalu. Przez całe życie trzymała się tego, co znała: najpierw kuchni matki, a potem Stregi, gdzie pracowała za barem, obsługując ludzi podobnych do siebie. Nawet po opuszczeniu rodziny nigdy tak naprawdę nie wyszła poza ulice Bowery. A teraz siedziała wśród olśniewająco białych obrusów, błyszczących kryształów, świec i wypolerowanego srebra. Restauracja Delmonico's ze swoim pozłacanym przepychem unaoczniła przepaść, jaka dzieliła Violę od wielkiego świata.

A ci ludzie... Mężczyźni, którzy przyzywali kelnera spojrzeniem, a nie warkliwymi rozkazami jak Torrio, kobiety o nienagannych manierach i dźwięcznych, dziewczęcych głosach – wszyscy oni przypominali Violi, kim jest, a kim... nigdy nie będzie. Nienawidziła ich prawie tak bardzo jak gorsetu, który wpijał jej się w ciało, i krępującej ruchy marszczonej falbany na ramionach.

Najgorsze było jednak to, że im dłużej tam siedzieli, tym bardziej nabierała przekonania, że to wszystko na darmo. Paul święcie wierzył w informacje od swoich informatorów – kucharzy i kelnerów – z których wynikało, że R.A. Reynolds jada kolacje w Delmonico's w czwartki o wpół do ósmej. Zawsze przy tym samym stoliku, w zacisznym boksie w kącie restauracji. Paul załatwił Violi i Torriowi stolik na drugim końcu sali, ale z widokiem na boks.

Tymczasem dziewiętnasta trzydzieści minęła, a Reynoldsa jak nie było, tak nie było. Cały ten wieczór to jedno wielkie fiasko i strata czasu. Podczas gdy Torrio, osuszywszy kolejną szklanę drogiej szkockiej whisky na koszt Paula, ładował w siebie wielkie kawałki wołowego steku, Viola tylko dziobała jedzenie, czekając, aż będzie mogła pójść do domu i zdjąć z siebie tę idiotyczną suknię.

Tuż przed dwudziestą zrobiło się zamieszanie. Viola odwróciła się i ujrzała parę w młodym wieku. Nie byli dużo starsi od niej, ale dało się zauważyć, że cieszą się towarzyskim powodzeniem. Zwłaszcza dziewczyna znała prawie wszystkich: zatrzymywała się na krótką pogawędkę niemal przy każdym stoliku.

Wśród morza wytwornych strojów rzucała się w oczy niczym paw pośród gołębi. Ubrana była w suknię, która nawet Violi – mającej nikłe pojęcie o tych sprawach – wydała się bardzo droga. Idealnie opinała jej giętkie ciało, a kolor tkaniny – delikatny róż pasujący do rumieńców na policzkach – na kimś mniej pewnym siebie wyglądałby zbyt frywolnie. Na niej tymczasem podkreślał blask śmietankowej cery i ciemną obwódkę rzęs.

Dziewczyna była smukła i delikatna jak trzcina, a jej dłonie o pomalowanych paznokciach wyglądały tak, jakby nie przepracowała w życiu ani jednego dnia. Blond włosy w blasku świateł nabierały gdzieś tam miedzianego odcienia, długą zgrabną szyję okalał prosty naszyjnik z pereł oparty o dołeczek pod gardłem.

Na pewno jej skóra w tym miejscu jest delikatna, pomyślała Viola, i pachnie perfumami. Może liliowymi, a może różanymi... czymś kwietnym i różowym jak ona...

Zdając sobie nagle sprawę, w którą stronę podążają jej myśli, poczuła falę gorąca na policzkach. Gapiła się bezwstydnie. Zerknęła na Torria, czy niczego nie zauważył, ale na szczęście był zbyt zajęty wpychaniem do ust resztki ziemniaków. Uspokojona Viola pozwoliła sobie na jeszcze jedno krótkie spojrzenie w stronę dziewczyny i... napotkała jej oczy. Ciemnoniebieskie, barwy morza pośrodku Atlantyku, i równie groźne.

Viola odwróciła wzrok i ogarnął ją wstyd – od śmierci Tilly minęło dopiero parę tygodni, a już uległa czarowi dziewczyny, od której w dodatku na kilometr czuć było nieosiągalnym dla niej bogactwem. I to jeszcze tutaj, na oczach człowieka jej brata.

Merda. Gdyby Paul się o tym dowiedział...

Domyślała się, co by było, gdyby się dowiedział. Dopilnowałby, żeby Viola wyszła za mąż lub spoczęła w grobie. Na klasztor było już dla niej za późno, zbyt wiele miała na sumieniu.

Jednak Torrio nie zauważył ani pojawienia się pary, ani rozkojarzenia Violi. Gdy pokazał kelnerowi, że chce jeszcze jedną szklanekę whisky, Viola nie mogła się powstrzymać. Zaryzykowała kolejne spojrzenie w stronę dziewczyny – akurat w chwili, gdy szef kelnerów odsłonił zasłonkę prywatnego boksu – boksu Reynoldsa – i wpuścił parę do środka. Dziewczyna szybko zniknęła za aksamitną kotarką, natomiast jej towarzysz zatrzymał się, by porozmawiać z szefem kelnerów.

Viola nie zaprzętała sobie głowy ukłuciem, jakie poczuła w sercu, gdy dziewczyna zniknęła jej z oczu. Koncentrowała się teraz wyłącznie na jej towarzyszu, R.A. Reynoldsie. Na człowieku, którego miała zabić.

Wzbudziła swoją moc i skierowała ją na drugi koniec sali, szukając połączenia z tym Reynoldsem. Udało jej się to bez najmniejszego trudu, jego serce biło miarowo jak tykający zegar, prawie w rytmie jej własnego.

Mogła to zrobić. Mogła z łatwością zastopować w nim krew, przemówić do tego, co było w nim żywe, i rozkazać, aby się zatrzymało.

Dlaczego miałoby ją obchodzić, że jest młody?

Co z tego, że patrzył w oczy szefowi kelnerów jak staremu znajomemu? I że padłby martwy na oczach dziewczyny w boksie?

Nie powinno mieć to dla niej żadnego znaczenia. Nie miało.

Kim był dla niej ten Reynolds? *Un pezzo grosso*. Bogaty chłoptaś żyjący z pieniędzy i nazwiska ojca, chłoptaś, który nie wie, co to praca, nie mówiąc o ciężkiej harówce od świtu do nocy. Jego dłonie w rękawiczkach na pewno nie miały okazji stwardnieć. Żołądek nie znał uczucia

prawdziwego głodu. Takich jak on były dziesiątki, co jeden to mniej ważny. Świat nie będzie za nim tęsknił.

A jednak Viola się wahała.

Choć przecież po tylu zabójstwach niewątpliwie miała duszę zbrukaną krwią ofiar. Jedna więcej nie powinna jej robić różnicy.

Viola wpatrywała się w aksamitną zasłonkę jeszcze długo po tym, jak Reynolds za nią zniknął, a ona utraciła połączenie z jego bijącym sercem.

Torrio trącił ją stopą pod stołem.

– To oni, co nie? – spytał. – Czemu go nie... – Zakręcił palcem w powietrzu.

No właśnie, dlaczego tego nie zrobiła? Ciemne oczy Torria przyglądały jej się ostro i podejrzliwie. Stało się to, czego Paul się obawiał: zmarnowała okazję, by pozbyć się Reynoldsa. Teraz był za kotarką, ukryty przed jej wzrokiem, osłonięty przed jej magią.

– Paul nie powiedział mi, że Reynolds nie jada sam – odparła, próbując wziąć się w garść. Była to jednak słaba wymówka i Torrio, sądząc po minie, domyślał się prawdziwego powodu. – Ta dziewczyna zbiła mnie z tropu – dodała.

Torrio uniósł pytająco brwi.

– Jest świadkiem – rzekła Viola, choć wiedziała, że to idiotyczne usprawiedliwienie. Świadkiem czego? Przecież magia była niewidzialna.

Torrio wzruszył ramionami.

– To ją też ukatrup. Co ci szkodzi?

– Mogłabym – skłamała – ale nie wiem, czy Paul by tego chciał. Nie wiemy, kim ona jest. A jeśli to córka kogoś ważnego? Gdy zabiję niewłaściwą osobę, to narobię Paulowi kłopotów.

– Zrobisz mu większy kłopot, jak nie załatwisz właściwej. Miałaś go na dłoni.

– To nie takie proste.

Ściągnął brwi, jakby przejrzał jej blef, i przez chwilę Viola zastanawiała się, czy Torrio wie, o czym wtedy myślała; czy rozumie prawdziwą przyczynę jej wahania.

Oparł łokcie na stoliku i pochylił się do przodu z groźną miną.

– I co my teraz zrobimy?

– Poczekamy? – zaproponowała, choć siedzenie w tej strasznej restauracji w towarzystwie Johna Torrio było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. – Może dziewczyna sobie pójdzie. A może lepiej będzie, jak wyjdziemy.

– Chcesz wyjść? – Torrio zmarszczył czoło. – Nie ma mowy. Trzeba to załatwić dzisiaj. Albo zrobimy to po twojemu i brat będzie zadowolony, albo po mojemu i będziesz mu się tłumaczyć – oznajmił ostro.

– Nie, nie – odparła pospiesznie. Dobrze wiedziała, czym grozi niezadowolenie Paula. – Chodziło mi o to, żebyśmy zaczęli się na nich na dworze. Nie wiemy, kiedy stąd wyjdą, a nie możemy tu siedzieć w nieskończoność, bo to będzie podejrzenie wyglądało.

Torrio pokręcił głową.

– Poczekamy jeszcze trochę.

Szorstkim tonem zamówił u przechodzącego kelnera kolejną whisky. Czekając na nią, przyglądał się Violi badawczym wzrokiem. Przez większość kolacji ją ignorował, ale teraz czuła na sobie ciężar jego przenikliwości. Zrozumiała, dlaczego Paul wybrał Torria – i dlaczego był głupi, że obdarzał go takim zaufaniem. Paniusie z bogatych domów mogły gustować w miękkich lisich futrach, lecz Viola dobrze wiedziała, że lisy to nic innego jak wyrośnięte szczury.

– Pewnie cię to boli – rzucił Torrio, odchylając się na oparcie.

Viola nie chwyciła rzuconej przez niego przynęty.

– Że musiałaś się ukorzyć przed bratem – doprecyzował.

– Zrozumiałam – odparła, spoglądając mu hardo w oczy.

Na jego twarzy migotało rozbawienie, które jednak w oczach Torria przybierało niepokojący wyraz.

– Jak się pracowało u kuternogi?

Violę oblała fala gorąca. Z trudem powściągała wzbierający w niej gniew.

– Podobno chodziłaś u niego na pasku jak pies – drążył Torrio.

– Tak jak ty u Paula? – odcięła mu się znudzonym tonem.

Trafiła w czuły punkt. Usta Torria wykrzywiły się w grymasie.

– Ja przynajmniej nie dałbym się wykiwać jakiemuś wymoczkowi.

– Wymoczkowi?

– Nie wiesz? – Zaśmiał się. – Temu w okularach.

– Nibsy’emu?

Wypowiedziawszy to imię, poczuła się tak, jak za pierwszym razem, gdy skaleczyła się ostrzem Libitiny. Najpierw nic, dopiero po chwili zaczęło ją piec. Teraz też tak było. Zdrętwienie, a potem ostry, pulsujący ból.

Musiała jednak przyznać, że wszystko układało się w sensowną całość: to, jak Nibsy przejął kontrolę nad Stregą, wykorzystując fakt, że cała reszta była w szoku i myślała jedynie o tym, by przetrwać kolejny dzień. I ten jego atak na Estę na moście. Nibsy. Oczywiście, że tak.

Dolph nie mógł wiedzieć, ale Viola była pewna, że musiał coś podejrzewać. W ostatnich tygodniach przed skokiem na Khafre Hall zrobił się jeszcze czujniejszy. Odsunął się od niej, ale to nie ona go zdradziła. Jeśli Torrio mówił prawdę, to Nibsy dopuścił się zdrady.

– Spójrz prawdzie w oczy – rzekł Torrio. – Źle wybrałaś. Dolph był słaby jak ta jego noga. A może nie tylko nogę miał słabą, co? – Pochylił się ku niej ze śmiechem.

Viola nie wytrzymała i sięgnęła po nóż do steku, lecz Torrio tego nie zauważył. Coś innego przykuło jego uwagę. Wskazał podbródkiem na drugi koniec restauracji.

– Dziewczyna wychodzi.

Rzeczywiście, dziewczyna w różowej sukni właśnie opuściła boks.

– Dokąd idzie? – spytała Viola, zaciskając dłoń w pięść, żeby nie dziabnąć go nożem, tak jak na to zasłużył.

– A skąd mam wiedzieć? Ale to twoja szansa.

– Moja szansa na co? Reynolds został w środku.

– To rusz swój zgrabny tyłeczek i wejdź tam – odparł z wyraźną nutą zniecierpliwienia.

– Myślisz, że nikt nie zauważy, jak tak po prostu wejdę do prywatnego boksu, zabiję faceta i wyjdę? Jesteś *pazzo*, Johnny. Upadłeś na głowę.

Torrio zignorował ten przytyk.

– Słyszałem już gorsze obelgi, *cara*. Ale masz pecha, bo teraz ja tu rozkazuję. Idź tam – powtórzył. – Ja odwrócę uwagę. Będiesz mogła się wślizgnąć niezauważona.

– To fatalny pomysł – wycedziła Viola przez zaciśnięte zęby.

– To nie pomysł, to rozkaz. – John Torrio pochylił się nad stolikiem. – Nie masz wyboru. A może powinienem powiedzieć Paulowi, że się nie nadajesz? Idź już.

Viola miała ochotę splunąć mu w twarz. Grała jednak damę, więc postanowiła nie wychodzić z roli. Rozwinęła dar, znalazła jego leniwy puls i leciutko pociągnęła. Torrio stracił oddech, a usta Violi rozwarł wilczy uśmiech.

– Ustalmy coś, Johnny. – Zniżyła głos, nadając mu gardłowe brzmienie, które tak się podobało mężczyznom. – Ja zawsze mam wybór. Teraz na przykład mogłabym cię ukatrupić, ty żałosna parodio mężczyzny. Nie zrobię tego, bo obiecałam bratu. Wybrałam rodzinę. Zrobię to, czego chcesz, ale wcale nie dlatego, że muszę. Nie dlatego, że mówisz do mnie jak do burej suki. Pójdę załatwić Reynoldsa, bo nie mam ochoty dłużej oglądać twojej brzydkiej gęby. A kiedy już będzie po wszystkim, powiem bratu, żeby trzymał cię ode mnie z daleka.

Szeleszcząc jedwabną suknią, puściła tętno Torria i ruszyła w stronę boksu. Wiedziała, że ryzykuje, odwracając się do Lisa plecami po tym, jak go upokorzyła. Zbyt dobrze знаła życie, by się łudzić, że Torrio nie ma przy

sobie broni – ani że nie odważyłyby się zastrzelić jej na oczach wszystkich, włącznie z Reynoldsem, byle udowodnić, że jest mężczyzną. Ale choć z konieczności była gotowa trochę się unurzać w błocie mętnych interesów brata, nie zamierzała całkiem zrezygnować z własnej godności. Na pewno nie dla tak żałosnego typu jak Johnny „Lis”.

Bez pośpiechu mijają skąpane w blasku świec białe stoliki, nad którymi unosiły się zapachy pieczonego mięsa. Violi widok krwawych steków przypominał tylko o życiu, które szła odebrać. O przyrzeczeniu, które miała złamać.

BĄDŹ ROZSĄDNA

1904 rok – St. Louis

Esta wydobyła się z mroku nieświadomości, który ją pochłoniął. Z wolna zaczął do niej docierać chrobot roztrzęsionego siedziska. Uprzytomniła sobie niejasno, że nie jest sama. Jej głowa spoczywała na ciepłych kolanach, a czyjeś palce głaskały ją po włosach na skroniach.

Harte.

Znowu...

Odepchnęła jego rękę, próbując się podnieść.

– Ostrożnie. – Harte przytrzymał ją, gdy prawie się na niego przewróciła, lecz Esta prędko się odsunęła.

Siedzieć mogła bez jego pomocy.

– Co się stało? – zapytała, pocierając oczy i mrugając, by odzyskać ostrość widzenia. Pamiętała dziwne wypadki na sali balowej i ucieczkę z hotelu... Ostatnią rzeczą, którą sobie przypominała, był całun atramentowej mgły i wrażenie, że świat rozpada się na drobne kawałki. A potem... nic.

– Zemdlałaś – wyjaśnił Harte. – Ale nie martw się. Kiedy ty słodko drzemałaś, ja nas wyciągnąłem z opresji. – Powiedział to lekkim tonem, który jednak nie zdołał całkiem zamaskować zmartwienia w jego głosie. – Później mi się odwdzięczysz.

Esta się zjeżyła. Nie potrzebowała jego troski. Nie chciała jej.

– Niedoczekanie – odparła chmurnie.

Harte zostawił to bez odpowiedzi. Za oknami powozu mignęła błyskawica, rozświetlając mu twarz i oczy pełne zmartwienia. Chwilę

później gdzieś daleko przetoczył się grzmot. Gdy echo wybrzmiało, w powozie nastąpiła niezręczna cisza.

– Przez chwilę myślałem, że cię straciłem – rzekł cicho Harte.

– Nic mi nie jest – odparła stanowczo, ignorując jego tkliwy ton. Nie powiedziała mu, że przez chwilę sama myślała, że już po niej. Tamten mrok był tak zupełny, że jeśli pograżyłaby się w nim zbyt głęboko, nie byłoby już dla niej powrotu. Przynajmniej tak jej się wydawało.

Harte patrzył Eście spokojnie w oczy.

– Kłamiesz.

Stanowczość, z jaką to powiedział, wytrąciła ją z równowagi.

– Przestanę, jak ty przestaniesz.

Wytrzymała jego spojrzenie i to Harte pierwszy odwrócił wzrok.

– Ci ludzie w sali balowej... – przerwała ostrożnie ciszę, która między nimi zaległa.

– Antistasi? – spytał Harte. – O ile to faktycznie byli oni...

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam – przyznała. Już pojawienie się pierwszej postaci, tej w czerwonej sukni, wprawiło ją w zdumienie, a gdy ukazywały się kolejne, czuła w żyłach adrenalinę, która dawała się porównać tylko z okradaniem sejfu z brylantami.

– Niech ich diabli wezmą – stwierdził ponuro Harte.

– Co? – Spojrzała zdziwiona. – Byli niesamowici. Rzucili wyzwanie policji i Straży.

– To było przedstawienie – odparł sceptycznie. – Spektakl.

Wzruszyła ramionami.

– Przynajmniej pokazali odwagę. Nie ukrywali, kim są.

– Używali twojego imienia.

Skrzyżowała ramiona, próbując zrozumieć, w czym problem.

– Wydawało mi się, że ono ci się nie podoba.

– Bo mi się nie podoba. Ale to nie ma nic do rzeczy – zapewnił ją sfrustrowanym tonem. – Przypomnij sobie, jak łatwo Julien cię rozpoznał.

Co będzie, jeśli inni ludzie rozpoznają w tobie Diabłą Rękę? Skoro ci Antistasi posługują się twoim imieniem, to znaczy, że będziesz poszukiwana. Co jeszcze bardziej utrudnia naszą misję.

Miał rację. Wiedziała to, a jednak... widok tych czterech kobiet, tak silnych i nieustraszonych, wywarł na niej piorunujące wrażenie. Rozniecił w niej ogień. Tak długo uciekała, ukrywała się – przez całe życie tała przed światem, kim jest. A gdyby miała taką wolność? Wzięłaby ją w ciemno z całym ryzykiem, jakie się z nią wiązało.

– Ja uważam, że ci Antistasi, kimkolwiek są, zasługują na podziw – oświadczyła. – Jeśli magia jest nielegalna, tak jak mówił Julien, to przynajmniej próbują coś zrobić.

– Tego właśnie się obawiam. – Harte wyglądał, jakby zamierzał coś dodać, lecz wtedy powóz zaczął zwalniać. – Później podyskutujemy – rzekł tylko, spoglądając przez okno, gdy pojazd się zatrzymał. – Jesteśmy na miejscu, ale nie mam czym zapłacić. Trzeba będzie uciec. Możesz biec?

Esta rzuciła mu pobłażliwe spojrzenie.

– Jestem złodziejką, pamiętasz?

Z kieszeni ukradzonej marynarki wyjęła portfel.

– To z sali balowej? – spytał Harte.

– Pomyślałam, że prędzej czy później będziemy ich potrzebować – odparła, wręczając mu kilka wilgotnych banknotów.

Harte zapłacił i sprawił, żeby woźnica o nich zapomniał. Esta tymczasem czmychnęła pod nawis budynku, by schować się przed padającym deszczem i dowieść Harte'owi – oraz sobie – że może biegać.

Pioruny błyskały coraz rzadziej, a sam deszcz nieco zelżał, lecz mimo to Harte zmókł, zanim dotarł do miejsca, w którym przystanęła, by odsapnąć. Gdy się zbliżył, lekko się wyprostowała, starając się ukryć to, że chwieje się na nogach. Harte, sądząc po minie, jednak domyślał się prawdy.

Mokre włosy zwisały jej ciężko wokół twarzy. Wyciągnął rękę i odgarnął splątany kosmyk. Ujął jej policzek w dłoń i na chwilę zapomniała, jaka była

na niego zła, tak ciepłe wydały jej się opuszki jego palców. Zastanawiała się, czy nie zbliżyć się do niego, by pokazać, jak dobrze się czuje.

Jeden krok i mogłaby przywrzeć ustami do jego warg, zatracić się w nim do cna. Przez ostatnie dwa dni tyle się wydarzyło. Esta pragnęła wyrwać dla siebie jedną krótką chwilę z pasma przeszłości i przyszłości – zapomnieć o poświęceniu, na jakie będzie musiała się zdobyć, aby ta przyszłość, w której magia jest nielegalna, a strażnicy ścigają Maginów, nie zapanowała na długo.

Harte odsunął się jednak i okazja na coś więcej rozplynęła się w ciężkim powietrzu letniego wieczoru. Najwyraźniej był w zupełnie innym nastroju. Wsadził ręce z powrotem do kieszeni.

– Musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli się wysuszyć. Jesteś lodowata.

Parę ulic dalej znaleźli pensjonat. Był to zapuszczony dom bliźniaczy jakieś trzy przecznice od baru U Kinga. Drzwi otworzyła im gospodyni w czystej prostej koszuli, siwe włosy miała schowane pod ciemną chustką. W pierwszej chwili omiotła ich podejrzliwym wzrokiem, zwłaszcza rozczochrane włosy i garnitur Esty. Jednak na widok pliku banknotów z ukradzionego portfela oczy jej rozbliły. Zaprosiła ich gestem do środka, o nic nie pytając. Nie musieli nawet podać nazwisk.

Prowadząc ich po ciemnych wąskich schodach na górę, oznajmiła, że został jej tylko jeden pokój. Jak się okazało, była to kłitka z wąskim łóżkiem i stolikiem z rozchwierutany krzesłem. Drugie krzesło stało w kącie obok niskiego pieca. Nie były to może wygody na miarę hotelu Jefferson, ale przynajmniej było czysto. Względnie czysto. Narzuta na łóżku miała plamę, ale pościel sprawiała wrażenie świeżo wypranej, a meble nie porastały kurzem.

Kobieta roznieciła niewielki płomień w piecu, po czym wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Musimy cię rozgrzać – rzekł Harte.

– Nie zmarzłam – zapewniła go, starając się opanować drżenie ciała.

– Zmarzłaś, a jeśli nie zdejmiesz tych mokrych ciuchów, będzie jeszcze gorzej. – Podszedł do niej i pomógł jej wysunąć się z mokrej marynarki. Potem odwrócił się plecami, by poczuła się swobodniej, rozwiesił marynarkę na oparciu drugiego krzesła i przysunął je do pieca, by ubranie szybciej wyschło. – Daj mi resztę.

– Harte – ostrzegła.

– Nie będę patrzył.

Było jej właściwie wszystko jedno. Widząc, że nie zamierza ustąpić, rozpięła guziki u koszuli, zdjęła ją z siebie, zwinęła w kłęb i rzuciła w tył jego głowy.

– Proszę.

– Spodnie też. I wskakuj do łóżka.

– Mieliśmy się spotkać z Julienem – przypomniała.

Co do jej ubrania Harte miał jednak rację. Było zimne i lepiło się do niej, więc zsunęła również spodnie.

– Ty nigdzie nie idziesz. Zostaniesz tutaj i się wygrzejesz. Inaczej się pochorujesz. Sam pójdę na spotkanie z Julienem.

Te słowa zmroziły ją bardziej niż deszcz.

– Słucham?

Odwrócił się.

– Słyszałaś.

– Nie pójdziesz beze mnie – oświadczyła, lecz kiedy zrobiła krok w jego stronę, kolana się pod nią ugięły.

Doskoczył do niej, zanim upadła.

– Jak chcesz się zobaczyć z Julienem, skoro nie możesz ustać na nogach?

– Zabieraj ręce – fuknęła.

Puścił ją i patrzył, jak zatacza się do tyłu.

– Nic mi nie jest. Idę z tobą.

– Esta, błagam. Bądź rozsądna.

– Rozsądna? – wybuchła, nawet nie próbując tłumić złości.

Harte stał w miejscu.

– Musisz odpocząć.

– Muszę tam być – odparła. Zrobiła na próbę krok w jego stronę, a potem drugi. – Muszę.

– Po co? – spytał. – No chyba że wciąż mi nie ufasz.

Nie była pewna, co na to odrzec. Ufała mu, a przynajmniej chciała.

Harte się cofnął.

– Jesteś poszukiwana – przypomniał. – Zwłaszcza po tym, co się stało na sali balowej.

– Oni nie szukają mężczyzny – zaznaczyła.

– Myślisz, że w spodniach nie wyglądasz jak dziewczyna? – Harte westchnął ciężko. – Spójrz na siebie. Twoje włosy... I te oczy...

– Co z nimi?

– Są ładne! – wykrzyknął zniecierpliwiony.

– To tylko oczy, Harte.

– A twoje... – Wskazał ją całą okrągłym gestem.

– Moje co?

Jęknął rozpaczliwie. Twarz mu poróżowiła aż po koniuszki uszu.

– Posłuchaj. Pozwól mi to załatwić. Skoczę do tego baru i poczekam na Juliena. Powinien mieć ze sobą kamień. – Zanim Esta zdążyła mu przerwać, dodał prędko: – Ty możesz się tu ogrzać i odpocząć. Nabrać sił. Żebyśmy mogli wyjechać z tego miasta, zanim stanie się coś złego.

– Jeszcze raz ci mówię: nie potrzebuję odpo...

– Błagam – powiedział cicho. – Zrób to dla mnie. Widziałaś dzisiaj, do czego są zdolni Antistasi. Widziałaś policję i Straż. Nie mamy pojęcia, co nas tam spotka. A ja cię nie ochronię, jeśli nie będziesz w stanie nawet iść o własnych siłach.

Esta się obruszyła.

– Nie musisz mnie chronić. Nie traktuj mnie jak ciężaru, Harte.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Tak to zabrzmiało. – Esta nie kryła rozgoryczenia. – Myślałam, że robimy to razem.

– Bo robimy. – Podniósł jej spodnie z podłogi. – Ale ten jeden raz pozwól mi to załatwić samemu. – I nie mówiąc już ani słowa, zebrał resztę jej wilgotnych ubrań, jedynych, jakie miała, po czym wyszedł.

U KINGA

1904 rok – St. Louis

Dopiero ulicę dalej dotarło do Harte'a, co właśnie się wydarzyło. Esta go zamorduje – lub zrobi mu coś jeszcze gorszego – i sam będzie sobie winien.

Gdy przyszli do pensjonatu, nie zamierzał jej tam zostawiać, ale wyglądała jak siedem nieszczęść i doszedł do wniosku, że byłoby lepiej, gdyby odpoczęła. A gdy się odwrócił i zobaczył ją roznegliżowaną... wtedy już nie było wyjścia, musiał od niej uciec. Z mokrymi rozczochranymi włosami przypominała wodną nimfę, która wyszła na ląd, by go kusić. Moc, którą w sobie nosił, domagała się od niego, by do niej podszedł.

Może zresztą nie powinien zrzucać tego wyłącznie na Księżę. To było trochę jak wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy w Słomianym Targu i ruszył w jej stronę, nie wiedząc dlaczego. Tamtą decyzję przypłacił skaleczonym językiem, toteż w sprawach związanych z Estą średnio ufał swoim odruchom.

Nie chciał też stać się marionetką siły, która w nim zamieszkała. Dopóki mógł, zamierzał ją zwalczać. Skoro głos kazał mu podejść do Esty i ją złapać, tym bardziej należało postąpić na odwrót.

Tak naprawdę jednak zostawił ją, bo był tchórzem. Esta pewnie by mu się przydała U Kinga. W końcu to nie on wypatrywał policjantów w hotelu. W barze pewnie też ich nie zauważy.

Kiedy dotarł na miejsce, Juliena jeszcze nie było. Zamówił przy barze whisky i znalazł sobie stolik w kącie sali. Przy nim czekał – i obserwował.

Bar był mniej więcej o połowę mniejszy od Bella Stregi, dawnego lokalu Dolpha Saundersa w Bowery. Również tutaj w dusznym powietrzu wisiał

gęsty dym, a klienci tłoczyli się przy ladzie i wokół stolików, pochyleni nad szklankami, jakby musieli pilnować whisky, żeby im nie uciekła. W Stredze jednak zawsze czuło się krzepiące ciepło magii, charakterystyczną energię, która czyniła bar Dolpha przyjaznym miejscem dla Maginów takich jak Harte.

U Kinga unosił się inny rodzaj energii, niemający nic wspólnego ze starą magią, którą władał Harte. Źródłem tej energii były dźwięki pianina w rogu. Siedzący przy nim człowiek w kapeluszu na bakier, odsłaniającym szerokie czoło, miał całkiem nieobecny wyraz twarzy, tak bardzo zatracił się w granej melodii. Skoczne takty ragtime'u nie były dla Harte'a niczym nowym, lecz palce tego pianisty mknęły po klawiszach z rozedrganą intensywnością, jakiej Harte nigdy wcześniej nie widział. Molowe akordy przenikały go na wskroś, trącając w nim jakąś strunę, z której istnienia nie zdawał sobie do tej pory sprawy. Inni także nie byli obojętni na czar tej muzyki: na ciasnym parkiecie splecione pary kołysały się w jej sugestywnym, nastrojowym rytmie.

Minęło dwadzieścia minut, może więcej, lecz ilekroć drzwi wejściowe się otwierały, nie stawał w nich Julien. Wątła kostka lodu w szklance Harte'a dawno już się rozpuściła. Esta, i tak już nieźle wściekła, pewnie wyglądała go niecierpliwie w pensjonacie. Może coś poszło nie tak – może Juliana zatrzymała Straż Jeffersonska, może sugestia Harte'a okazała się zbyt słaba.

A może, pomyślał, Księga zaburzyła moją magię, tak samo jak magię Esty.

Odepchnął jednak to wytłumaczenie. Czuł się zupełnie dobrze, a jego dar chwilami wydawał się czystszy i potężniejszy niż kiedykolwiek. Co nie zmieniało faktu, że gdyby Julien zamierzał się z nim spotkać, powinien był się już dawno zjawić.

Mniej więcej po godzinie Harte dał za wygraną i wypił, krzywiąc się, ciepłą już whisky. Co do zasady nie znosił mocnych trunków – otepiały go i spowalniały – ale stwierdził, że musi się czymś pokrzepić przed ponowną konfrontacją z Estą. Wstał już od stolika i podnosił wciąż mokrą

marynarkę, gdy drzwi znów się otworzyły i stanął w nich Julien Eltinge – ciemna sylwetka na tle ulicznej lampy.

Wszedł do środka takim samym krokiem, jakim wcześniej wkroczył na scenę – był to krok człowieka, który wie, że urodził się, by porywać tłumy. Nie to, żeby robił wokół siebie hałas – nie trzasnął drzwiami, nie było w nim żadnej ostentacji – a jednak coś się zmieniło w powietrzu i wszyscy to poczuli.

Choć Julien najpewniej dostrzegł Harte'a, nie od razu ruszył w jego stronę. Przez dłuższą chwilę kręcił się po sali, ściskając dłonie wyciągane w jego kierunku. Potem dał się poczęstować barmanowi szklaneczką whisky i wychylił ją na raz. Harte dobrze rozumiał, czemu to wszystko służy. Julien chciał mu pokazać, czyj to teren i do kogo należy inicjatywa.

I dobrze. Harte czuł, że wypita whisky uderza mu do głowy. Potrzebował chwili na zebranie myśli. Gdy Julien w końcu postanowił do niego podejść, wstał tylko na moment, by uścisnąć mu rękę.

Julien bez pytania usiadł naprzeciwko i zamówił u barmana jeszcze jedną kolejkę.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Harte Darrigan powstał z martwych i nawiedził Saint Louis. – Zaśmiał się.

– Już ci powiedziałem, Jules. Wyjechałem do Europy.

– Strasznie długo cię nie było. – Słowa Juliana brzmiały neutralnie, ale wyraz jego twarzy skrywał niewypowiedziane pytanie i, co gorsza, sceptycyzm.

– Dobrze nas tam przyjmowano, a i nam bardzo odpowiadała europejska wrażliwość – wyjaśnił Harte, próbując zachować lekko nonszalancki ton. – Wiesz, jak to jest, kiedy znajdziesz publiczność. Doisz ją, ile się da. Ale w końcu źródółko wyschło, jak to zwykle bywa. Znudziła mnie tamta sceneria i oto jesteśmy z powrotem.

Julien spojrzał z ukosa.

– Dziwię się, że wróciłeś. To duże ryzyko, zważywszy na to, z kim podróżujesz. Diabła Ręka...

– Nie zaczynaj znowu – zirytował się Harte. Po tym dziwacznym widowisku w sali balowej hotelu miał już dość bredni o Diablej Ręce. – Tak się składa, że ona ma imię.

– Tak – rzekł Julien, przyglądając mu się bacznie, jakby usiłował ocenić wiarygodność jego wersji. – Wiele osób wie, jak się nazywa.

Choć whisky go rozprzegła, Harte wytrzymał spojrzenie Julienu. Tamten po chwili jakby odpuścił. Wyjął zza pazuchy cygarnicę i poczęstował Harte'a cygarem. Gdy Harte grzecznie odmówił, Julien wzruszył ramionami.

– Twoja strata. – Otoczył dłonią koniec grubego cygara i przytknął do niego zapalnik. Pyknąwszy kilka razy, oparł się nonszalancko na krześle, gdy barman przyniósł im drinki. W oczach jednak wciąż miał znaki zapytania. – Obaj wiemy, że nie przyszedłeś mi opowiedzieć o wakacjach w Europie.

Harte mimo rosnącego niepokoju przybrał maskę stoika.

– Niezupełnie, Jules.

– Sądząc po tym, z kim się ostatnio zadajesz, byłbym zdziwiony, gdyby się nie okazało, że jesteś uwikłany w coś dużego. – Julien zamilkł, dając Harte'owi możliwość odpowiedzi.

Harte z niej nie skorzystał. Daj mi już ten kamień, przemknęło mu przez myśl.

– Słuchaj, Jules. Nie chciałbym okłamywać starego kumpla...

Julien wzruszył ramionami.

– Nie byłby to pierwszy raz.

– Może zmieniłem się na lepsze? – odparł Harte ze spokojem, który miał ukryć zdenerwowanie.

Julien dmuchnął z pogardą.

– Jasne, Darrigan. Za dobrze cię znam, żeby w to uwierzyć.

– Znałeś mnie – przyznał Harte łagodnym tonem. – Ale minęło dużo czasu. – Dla Julienu, który nie przeskoczył o dwa lata do przodu, jeszcze

więcej. – Możemy po prostu przyjąć, że pewnych rzeczy dla własnego dobra nie powinieneś wiedzieć?

Julien przypatrywał mu się jeszcze przez chwilę, ściskając cygaro w zębach i wydmuchując gryzące kłęby żółtawego dymu. Po długim namyśle uniósł kąciki ust i zaśmiał się chropawo.

– Ty zawsze musisz się w coś wpakować, Darrigan. Tyle razy próbowałem cię nauczyć trzymania się z dala od kłopotów, a tu masz, znów to samo.

– Naprawdę się łudziłeś, Jules?

– Powiedz mi przynajmniej, czy chodzi o tę dziewczynę.

– Zwykle chodzi o dziewczynę, nieprawdaż? – spróbował lekko wybrnąć Harte.

Julien się uśmiechnął. Pochylił się do przodu i omiótł wnętrze wzrokiem, jakby w obawie, że ktoś może go usłyszeć. W oczach miał jednak szelmowski błysk i przez chwilę Harte widział w nich starego Julięna – przyjaciela sprzed lat, który potrafił uśmiechem i wdziękiem wymigać się w ostatniej chwili od walki na pięści, a potem wkroczyć z powrotem do baru z wypiętą piersią i podniesioną głową, by dowieść, że nie ma na niego mocnych.

– Powiedz mi szczerze, Darrigan – rzekł niższym głosem. – Czy to ona zrobiła? Pytam o ten pociąg...

W jednej chwili prysły wszelkie ciepłe uczucia. Harte jednocześnie uświadomił sobie zimną wilgoć ubrania i powagę sytuacji.

– Esta nie miała nic wspólnego z atakiem na żaden pociąg. Jeśli kiedykolwiek choć trochę mnie znałeś, powinieneś wiedzieć, że teraz nie kłamię.

Julien przyglądał mu się badawczo. W końcu wyprostował się na krześle i spoglądając chytrze, znów chwycił cygaro w zęby.

– Ponieważ się przyjaźniliśmy, jestem gotów ci uwierzyć... Na razie. Ale powiem ci jak przyjaciel przyjacielowi: jeśli ta dziewczyna coś knuje, zwłaszcza w związku z wystawą, lepiej trzymaj się od niej z daleka.

Atmosfera w mieście jest napięta. Zjeżdża się mnóstwo gości. Mówi się, że Antistasi będą próbowali robić problemy.

– O co im w ogóle chodzi? – spytał Harte. – Nigdy wcześniej o nich nie słyszałem.

– To stosunkowo nowe zjawisko – wyjaśnił Julien. – Dopóki w zeszłym roku nie uchwalono tej ustawy przeciwko magii, raczej nie było kłopotu z Maginami poza Nowym Jorkiem. Wszyscy sądzili, że Krawędź załatwiła sprawę. Ale odkąd weszło w życie nowe prawo, Antistasi zaczęli sprawiać problemy w całym kraju. Tutaj w Saint Louis, gdy zaczęto szykować tereny wystawowe, było naprawdę źle. Zginęło wielu ludzi.

– Antistasi ich zabili? – Harte’a ścisnęło w żołądku. Czym innym było przebieranie się i odpalanie świec dymnych, a czym innym mordowanie ludzi.

Julien pokiwał głową.

– Najgorzej było jesienią zeszłego roku. W październiku, niedługo po tym, jak ustawa weszła w życie, doszło do ataku na budowniczych wystawy. Użyto dziwnej mgły, która zasnuła większość parku Lafayette’a. Ludzie, którzy widzieli ją z daleka, mówili, że wyglądała jak żywa istota – dosłownie emanowała złem – a ci, których spowiała, postradali zmysły. Murarze zaczęli burzyć mury, elektrycy wywoływali pożary, dochodziło do krwawych bójek między ludźmi, którzy dobrze się znali. A kiedy mgła się wreszcie rozproszyła, wszystko było pokryte lodem. Ludzie mieli odmrożenia, potracili palce u rąk i u stóp, a zamarznęta woda rozsadziła rury wodociągowe. Naprawa szkód trwała wiele miesięcy i niewiele brakowało, a przesunięto by termin otwarcia wystawy. Do zamachu przyznali się Antistasi.

Harte słuchał z coraz większą uwagą. Ci ludzie z sali balowej hotelu stosowali podobne metody. Harte nie widział, czym to się skończyło, ale zanim opuścił salę, czuł w powietrzu zimną energię. Sądząc po tym, co mówił Julien, uniknęli z Estą większego niebezpieczeństwa, niż im się wydawało.

Harte spotkał w Nowym Jorku wielu Maginów, ale nigdy nie słyszał o kimś, kto posługiwałby się mgłą. Magia, ta prawdziwa, nie opierała się na sztuczkach. Była to łączność z samą istotą świata. Co innego magia rytualna, będąca jej wypaczoną formą. Magia rytualna polegała na separacji. Zamiast wykorzystywać związki pomiędzy pierwiastkami rzeczywistości, rozdzielała je, by nad nimi zapanować.

Magia rytualna, jak Krawędź stworzona przez Zakon i jak tatuaże, którymi Dolph naznaczał członków Stu Diabłów, zawsze miała jakąś cenę.

– Czy złapano sprawców? Tych Antistasi? – spytał Harte.

Julien pokręcił głową.

– Nie. Są nieuchwytni. Ale od czasu tamtego ataku z października Straż Jeffersonska otrzymała uprawnienia na równi z policją. Jeśli twoja dziewczyna przyjechała tutaj robić problemy, nie będzie jej łatwo się wymknąć. Policja i Straż są wszędzie... Dmuchają na zimne. W końcu oczy całego świata będą skierowane na Saint Louis.

– Esta nie przyjechała robić problemów – zapewnił go Harte, co było z grubsza prawdą. Z pewnością nie należała do Antistasi ani do żadnej innej grupy anarchistów. Ona i Harte chcieli tylko odzyskać naszyjnik, i tyle.

– Chyba będę musiał ci uwierzyć na słowo – stwierdził Julien. – Gdzie ta lalunia?

– Kazałem jej czekać w hotelu – odparł twardo Harte. Esta nie byłaby zadowolona, gdyby słuchała tej rozmowy. Ale tak było łatwiej: mówić językiem Juliana i udawać, że panuje nad sytuacją, jak gdyby – aż się zaśmiał w duchu – Esta była jedną z tych osób, nad którymi można zapanować. – Pomyślałem, że jako starzy kumple możemy to załatwić między sobą.

– Ach... – Julien zgasił cygaro w popielniczce. – A więc nareszcie dochodzimy do sedna... stary kumplu.

Harte wzruszył ramionami.

– Sam powiedziałeś, że nie przyszedłem rozmawiać o wakacjach w Europie.

– Wiem, że chodzi o tę paczuszkę, którą mi przysłałeś dwa lata temu – oznajmił ponuro Julien. – O naszyjnik.

Coś w jego tonie budziło niepokój Harte’a.

– Owszem – rzekł ostrożnie.

– Gdy go dostałem, powiedziałem sobie, że kiedyś będę tego żałował. – Julien oparł łokcie na blacie. – Przeczytałem ten idiotyczny liścik od ciebie i pomyślałem: „Z tego będą kłopoty”. Byłbym ci odesłał tę paczkę, ale doszła mnie wieść, że skoczyłeś z mostu. Chciałem ją wyrzucić, ale jakoś nie umiałem.

– Mogę rozwiązać twój problem, uwalniając cię od niej raz na zawsze.

– Chciałbym, żeby to było takie proste – westchnął Julien, wyraźnie podenerwowany. – Niczego bardziej nie pragnę, niż oddać ci to cholerstwo. Ale nie mogę.

– Oczywiście, że możesz.

Lecz Julien kręcił głową i Harte miał ponure przecucie, że nie spodoba mu się to, co zaraz usłyszy.

– Już go nie mam – oznajmił Julien nie bez pewnego zakłopotania.

Harte nie zdążył nic odpowiedzieć, ponieważ wśród barowego zgielku i muzyki rozległo się głośne:

– Jak to: nie masz?

Podnosząc oczy, Harte już wiedział, kogo zobaczy. Jeszcze zanim jego wzrok padł na zmięty i brudny garnitur oraz kapelusz z rondem, domyślił się, że napotka wściekłe spojrzenie Esty. Nie był jednak przygotowany na to, jak Esta wygląda i co ze sobą zrobiła.

– No, no – rzekł Julien, omiatając ją wzrokiem od stóp do głów. Posłał Harte’owi sardoniczne spojrzenie, którego wymowa była całkiem oczywista. – Mówisz, że kazałeś jej czekać, tak?

NIESPODZIANKA

1902 rok – Nowy Jork

I dąc przez restaurację w kierunku prywatnego boksu R.A. Reynoldsa, Viola zbierała siły, by zrobić to, czego od niej oczekiwano. Nie żeby obleciał ją strach. Zabijała już wiele razy i jakoś z tym żyła, lecz jej dotychczasowe ofiary zasługiwały na śmierć, o ile w ogóle można na nią zasługiwać. A przynajmniej mogły się bronić, bo nie posługiwała się magią. Dawno już nie wykorzystwała daru do uśmiercenia człowieka – ostatni raz w dzieciństwie, kiedy jeszcze wierzyła, że lojalność wobec rodziny jest ważniejsza od własnej duszy. Zanim zrozumiała, że więzy krwi to nie wszystko.

Wiedziała, jaką ma opinię w Bowery – że potrafi zabijać na odległość. Była to prawda, lecz Viola używała strachu przed sobą i swoją magią jako zbroi. Zabijała, owszem, ale tylko tych, którzy żerowali na ludzkiej słabości. Zabijała nie z wnętrza swej istoty – takiej, jaką stworzył ją Bóg – ale z wyboru i wytrenowania. Zabijała sztyletem.

Teraz jednak ulubione ostrze Violi znalazło się w rękach zdrajcy. Mogła polegać już tylko na sobie.

W miarę zbliżania się do boksu jej własne serce biło coraz niespokojniej. Nie wiedziała, co w końcu zrobi Torrio – czy odwróci uwagę pozostałych gości, jak wcześniej zapowiedział, czy zaatakuje ją w odwecie za to, jak go potraktowała. Gdy jednak podeszła do aksamitnej kotary na odległość paru kroków, usłyszała zza pleców, jak Torrio wybucha:

– Zamawiałem szkocką, do cholery!

Zerknęła przez ramię akurat w chwili, kiedy rzucił szklanką whisky w twarz jednemu z kelnerów. Korzystając z faktu, że wszystkie oczy były

teraz zwrócone w stronę awantury, Viola wślizgnęła się niepostrzeżenie do boksu Reynoldsa.

Siedzący w środku młodzieniec podniósł wzrok znad zupy, a jego uśmiech przerodził się w konsternację.

– Tak? W czym mogę pomóc?

Miła twarz, pomyślała.

Co za absurdalna myśl. Już wcześniej, z daleka, zauważyła, że Reynolds jest przystojny, ale teraz, w zaciszu jego prywatnego boks, zobaczyła, że to typ urody, która dobrze się starzeje.

– Pan Reynolds?

– Słucham? – Ściągnięte brwi mężczyzny nie wyrażały gniewu, tylko zaciekawienie.

– R.A. Reynolds? – powtórzyła trochę wolniej.

Mężczyzna pochylił się z osłupiałą miną.

– A kto pyta?

Jego pewność siebie zdradzała, kim jest. Od eleganckiej marynarki po wyraz znudzenia na twarzy, wszystko wskazywało, że Reynolds nigdy nie musiał się martwić o pieniądze. Był taki sam jak reszta, jak wszyscy ludzie w tej restauracji, których życia Viola w ogóle nie potrafiła sobie wyobrazić.

Mogłaby go zabić. To nie byłoby trudne – jeszcze raz kazać swojej mocy znaleźć krew tętniącą w jego żyłach i ją zatrzymać. Uśmierciłaby go tak szybko, jak wyleczyła matkę z artretyzmu, i nikt by nie zauważył. Ubyłoby jednego bogatego paniczyka. Tacy jak ona mieliby w przyszłości o jednego wroga mniej. Dla jej duszy i tak nie było już ratunku. Co za różnica, czy weźmie na swoje sumienie jeszcze jedną ofiarę?

Lecz w ciepłym spojrzeniu Reynoldsa było coś, co kazało jej się zawahać.

– Czy mogę jakoś pomóc? – spytał bez tej chłodnej obojętności charakterystycznej dla większości przedstawicieli jego sfery.

Viola zrobiła krok do przodu.

– Przynoszę ci wiadomość.

– Rozumiem – odparł bez mrugnięcia okiem. Jeśli czuł się zagrożony, nie dawał tego po sobie poznać. – A czy mogę wiedzieć, od kogo?

– To nieistotne. – Zbliżając się, sięgnęła po nóż schowany w fałdach sukni. – Od kogoś niebezpiecznego. Kogoś, kto ma dużą władzę w mieście.

– Aha. – W oczach mężczyzny błysnęły iskierki humoru. – Zapewne przychodzisz mnie ostrzec.

Viola zmarszczyła brwi. Jego odpowiedź zbiła ją z tropu. Nie takiej reakcji się spodziewała. Może nie zdawał sobie sprawy, że śmierć może przyjść pod postacią młodej kobiety.

– Domyślam się, że chodzi o mój artykuł w „Heraldzie” – oznajmił Reynolds tonem, w którym więcej było znudzenia niż niepokoju. – Niech zgadnę. Jeśli nie przestanę szukać kłopotów, kłopoty znajdą mnie, albo coś w tym stylu? – Uśmiechnął się do niej i Viola, widząc, jak skóra marszczy mu się wokół oczu, jak w lewym policzku robi się dołeczek, nie miała już wątpliwości. Ta twarz nawet w podeszłym wieku będzie nosiła ślady szczęścia.

To znaczy, nosiłaby, gdyby dożył starości.

Viola w mgnieniu oka doskoczyła do niego z nożem. Przytknęła mu ostrze do gardła, lecz nawet nie drgnął.

– Chyba nie rozumiesz – powiedziała.

– Och, rozumiem doskonale. – Spojrzał jej spokojnie w oczy.

Co za *pazzo*, pomyślała, nóż na gardle i taka beztroska.

– Chcesz mnie zabić, żebym swoimi tekstami nie złościł twojego pracodawcy, kimkolwiek jest.

– Nie wierzysz, że to zrobię? – Nacisnęła lekko nóż, tak że czubek wpił się w skórę tuż nad wielką żyłą biegnącą wzdłuż szyi. Już tylko milimetry dzieliły go od śmierci.

Spojrzał najpierw na ostrze u gardła, a potem znów na nią.

– Przeciwnie – odparł cicho. – Nie wątpię, że mogłabyś mnie zabić. Choć przyznam, że trochę mnie dziwi wybór narzędzia. Rewolwer byłby chyba

bardziej niezawodny.

Viola wbiła w niego wzrok.

– W moich rękach nóż nigdy nie zawodzi.

Reynolds wydawał się jeszcze bardziej rozbawiony.

– Mimo wszystko odradzałbym ci zabicie mnie. To by nie przyniosło zamierzonego skutku.

– A to dlaczego? – spytała Viola zaskoczona.

W tej samej chwili usłyszała szczęk odciąganego kurka i kobiecy głos:

– Bo to nie jest R.A. Reynolds.

Viola nabrała gwałtownie powietrza i wciąż trzymając nóż na gardle mężczyzny, spojrzała ku wejściu. Dziewczyna w różowej sukni mierzyła do niej z rewolweru, a sądząc po tym, jak pewnie trzymała broń, raczej nie blefowała.

– Dobrze zgaduję, że to jego szukasz? – spytała dziewczyna, robiąc krok w stronę Violi, ale nie spuszczając jej ani na moment z muszki.

– Tak. – Viola w pośpiechu rozważała wszystkie swoje możliwości. Wymierzony w nią rewolwer był odbezpieczony i gotowy do strzału. Z nożem w ręku była szybka, lecz nie szybsza od kuli.

Wciąż mogła ich zabić. Jeden podmuch magii i oboje zgaśliby jak świece.

– Mam wiadomość dla R.A. Reynoldsa.

– Co ty nie powiesz – odrzekła dziewczyna bardziej znudzona niż poirytowana. – Dziwię się, że twój pracodawca nie odrobił lekcji. Niech zgadnę: jest mężczyzną? Mężczyźni zwykle mnie lekceważą. Po co im jaja, skoro nie mają mózgu?

Jej obcesowe słowa miały się nijak do jedwabnych falban i aury delikatności. Viola była mocno zbita z tropu.

– Ciebie? – zapytała, jednocześnie wypuszczając swoją magię na zewnątrz. Bez trudu odnalazła spokojne, miarowe tętno mężczyzny,

a potem równie miarowy puls dziewczyny, w którym jednak wyczuwała pewną satysfakcję, a nawet podniecenie.

Sądziła, że ta dziewczyna to tylko ślicznotka do zabawiania Reynoldsa, lecz się myliła. Nie doceniła jej.

– Tak – odparła tamta. – Bo musisz wiedzieć, że R.A. Reynolds to ja.

– Ty jesteś tym dziennikarzem? – Viola na chwilę się zdekoncentrowała i jej moc zgasła.

– Czy wyglądam jak mężczyzna? – spytała dziewczyna, krzywiąc różowe usta w drwiącym uśmiechu.

Viola sfrustrowana spoglądała to na nią, to na jej towarzysza.

– Obawiam się, że to prawda – oznajmił wesoło tamten, choć czubek noża wciąż wpijał mu się w gardło.

– Kim ty jesteś? – spytała dziewczyna, grożąc Violi bronią. – Kto cię przysłał?

Viola, która czuła podziw dla tej pewnej siebie osóбки i zarazem wstyd, że sama dała się wywieść w pole, przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Dlaczego założyła, że R.A. Reynolds musi być mężczyzną? Ona, która dobrze wiedziała, co znaczy odwalać męską robotę w męskim świecie – i być w tym lepszą od mężczyzn. Była głupia, a teraz nie miała pojęcia, jak wybrnąć z sytuacji, w której się znalazła. Zrozumiała bowiem, że nie potrafiłaby pozbawić życia tej konkretnej dziewczyny.

– Zadałam ci pytanie – ponagliła ją tamta, nie odrywając od niej spojrzenia pełnego powagi. – Zastanówmy się. Zwykle dostaję groźby z ratusza, ale przypuszczam, że moim ostatnim tekstem mogłam zaleźć za skórę członkom Zakonu. Wątpię, by to, co napisałam, komuś się tam spodobało, a nie sądzę, by ktokolwiek z ratusza darł szaty o ten pociąg.

– Członkom Zakonu? – wymsknęło się zdziwionej Violi. Chciała zniszczyć Zakon, a nie odwalać za niego mokrą robotę.

– Ty nawet nie wiesz, co tu robisz, prawda?

– Wiem tyle, ile potrzebuję – odparła. – Wiem, że powinnaś uważać, co mówisz, bo możesz nie zdążyć się z tego wycofać.

– Pierwsza rzecz, jaką musisz o mnie wiedzieć, zwłaszcza jeśli koniecznie chcesz mi zrobić krzywdę, to że nigdy się nie wycofuję z tego, co mówię. Prawda, skarbie? – Dziewczyna zwróciła się w stronę mężczyzny.

– Niestety, to prawda. Nawet kiedy się mylisz.

– I dlatego staram się nie mylić. – Dziewczyna zrobiła krok w stronę Violi. – W sprawie pociągu najwidoczniej miałam rację, skoro twój pracodawca nasłał cię na mnie. Zakon wie, że to magia zniszczyła tory, prawda? Wie, że ci ludzie, którzy wykradli ich skarby, żyją, i nie chce, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Boi się, że ludzie pomyślą, że jest słaby i nieskuteczny. Czy nie mam racji?

Ta dziewczyna wiedziała bardzo dużo – choć mniej, niż sądziła. Nie wiedziała, że jedna z osób, które okradły Zakon, stoi przed nią.

– Dość gadania! – ucięła Viola.

– Ale nie odpowiedziałas mi. – Wymierzona w Violę lufa, podobnie jak wzrok dziewczyny, nie drgnęła ani przez chwilę. – Należą mi się chyba jakieś wyjaśnienia, skoro grozisz śmiercią mojemu narzeczonemu.

Narzeczonemu?

Viola nie zdążyła się zastanowić, dlaczego na dźwięk tego słowa ścisnęło się w niej serce, bo kotara zaszeleściła i wyłonił się zza niej Torrio z rewolwerem w ręku.

– Ach, jeszcze więcej gości – rzekł leniwie młodzieniec, który wciąż siedział na swoim miejscu.

Naprawdę był z niego *pazzo*: nie tylko za nic miał nóż, który mógł w każdej chwili przebić mu gardło, ale i zupełnie się nie przejął na widok uzbrojonego Torria, jakby nic mu z jego strony nie groziło.

Dziewczyna, ta cała Reynolds, nie zbagatelizowała jednak zagrożenia: odruchowo zrobiła krok do tyłu, a srebrny rewolwer wycelowała w intruza.

– Wiem, kim jesteś – oznajmiła z dziwnym podnieceniem w oczach. – John Torrio. Pracujesz dla gangu Kelly’ego.

Oboje byli *pazza*. Niewyparzony język tej dziewczyny mógł ją kosztować życie.

Viola napotkała wzrok Torria i ujrzała w jego oczach niewypowiedzianą groźbę: jeśli ona tego nie zrobi, on weźmie sprawy w swoje ręce. Co prawda Torrio myślał, że Reynolds jest mężczyzną, którego Viola trzyma pod nożem, lecz niewiele by to zmieniło: dziewczynę w różowej sukience zabiłby, tak czy siak.

Violi pozostało tylko jedno wyjście. Puściła swoją moc wolno i ponownie znalazła tętno mężczyzny o twarzy, która mogłaby się ładnie zestarzeć, i dziewczyny, która – dopóki się nie odzywała – wyglądała na trzpiotowatą debutantkę. Pozwoliła swojej magii wezbrać i ścisnęła im obojgu żyły. Dziewczyna zrobiła wielkie oczy i osunęła się na podłogę. Mężczyzna jęknął, chwycił się za pierś i upadł twarzą w zupe.

Ale choć oboje leżeli teraz nieruchomo, Torrio nie opuścił broni. Podszedł bliżej i trącił ciało dziewczyny stopą. Palec wciąż trzymał na spuście.

– Zostaw! – syknęła Viola, chowając nóż z powrotem w fałdy sukni.

– Na wszelki wypadek – odparł Torrio, celując.

Viola obeszła stół i stanęła między nim a ciałem dziewczyny.

– Jeśli do nich strzelisz, policja może cię powiązać z tym zabójstwem. Zostaw ich tak, a nikt niczego nie udowodni.

Torrio przyglądał się ciałom, jakby nie mógł się zdecydować, czy warto zaryzykować.

– Chodźmy, zanim ktoś przyjdzie. – Viola zbliżyła się do niego. – Zanim nas nakryją.

Nie odpowiedział od razu. Zapewne chciał jej w ten sposób pokazać, kto jest panem sytuacji.

– Dobrze – odparł w końcu, opuszczając kurek w rewolwerze, po czym schował broń do pokrowca ukrytego pod marynarką i wyciągnął Violę z boksu.

Restauracja była pogrążona w chaosie. Wywiązała się niemalże bijatyka. Ci, którzy jeszcze nie uciekli, chowali się po kątach, by nie napatoczyć się mężczyznom w gładko wyprasowanych smokingach, którzy zmienili wytworną salę restauracyjną w arenę pięściarską.

– Co zrobiłeś? – spytała Viola, odsuwając się od Torria, który zmierzał w stronę zaplecza.

Nie odpowiedział jej.

W kuchni obsługa w białych kamizelkach patrzyła milcząco, jak wychodzą na uliczkę na tyłach lokalu. Cuchnęło tam zgniłymi resztkami, a ziemię pokrywała warstwa tłustego brudu, na której Viola ślizgała się w swoich butach na absurdalnie wysokich obcasach, lecz Torrio trzymał ją dziarsko za rękę i po chwili praktycznie wepchnął ją do powozu czekającego na końcu zaułka.

Ruszyli, jeszcze zanim zamknął drzwi. Usiadł naprzeciwko niej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Nie zabiłabyś ich! – rzucił oskarżycielsko.

Spojrzała w jego ciemne, chłodne oczy i uniosła podbródek.

– Nie wiem, o czym mówisz. Przecież nie żyją.

– Wahalaś się – stwierdził bez ogródek. – Widziałem to w twoich oczach. Zmiękłaś.

– A ty prawie wszystko zepsułeś – odcięła się z pogardą w głosie. – Mężczyźni. – Chrząknęła zde gustowana. – Zawsze wam się wydaje, że rozwiążecie każdy problem s pluwą. Szkoda, że tak często strzelacie na wiat. Za wcześnie. – Przetrzy mała jego spojrzenie, by mieć pewność, że ją zrozumiał. Gdy Torrio zaczął się czerwienić na twarzy, odwróciła nonszalancko wzrok i spojrzała w okno.

Nie mogła jednak przestać myśleć o tamtej dziewczynie – o Reynolds – i ogniu w jej oczach... który zgasła.

DŻENTELMEN, KTÓREGO PODZIWIAMY

1904 rok – St. Louis

Esta patrzyła z góry na Harte'a, napawając się jego zdumieniem, od którego aż pobladł.

– Tak ci powiedział? – spytała z wilczym uśmiechem. – Że kazał mi czekać?

Harte wciąż gapił się na nią z rozdziawionymi ustami i wymalowanym na twarzy poczuciem winy. Dobrze mu tak, pomyślała. Mógł jej nie zostawiać.

Z kolei Julien nie wydawał się ani trochę zaskoczony jej przybyciem. Dostrzegła za to w jego oczach błysk uznania.

– Coś w tym stylu – przyznał, po czym skinął głową w jej kierunku. – Bardzo twarzowo wyglądasz w tym stroju. Przysiądziesz się do nas? – zaproponował, wskazując gestem wolne krzesło przy stoliku.

Esta rzuciła Harte'owi jeszcze jedno gniewne spojrzenie, po czym usiadła. Zdjąwszy kapelusz, zwróciła się twarzą do niego i czekała, aż coś powie.

Harte zamknął rozdziawione usta i zaraz je otworzył, lecz głos mu uwiązł w gardle.

– Co jest, Harte? – zagadnęła uwodzicielsko. – Chyba nie zakrztusiłeś się whisky? – Zatrzepotała powiekami. – Jaka szkoda – dodała przeciągle. – Może innym razem.

Harte w końcu odzyskał mowę.

Mógł ją spytać o wiele rzeczy – na przykład o to, skąd wzięła ubranie, skoro zostawił ją w pokoju półnagą, albo jak trafiła do Kinga. Z jakiegoś

powodu zaczął jednak od rzeczy najmniej istotnej:

– Co zrobiłaś z włosami?

– Podobają ci się? – Esta zamrugła i przesunęła ręką po odsłoniętej szyi.

Harte próbował coś odpowiedzieć, ale choć poruszał ustami, nie mógł z siebie wydobyć żadnego słowa.

Esta uznała to za swój sukces, nawet jeśli nie był to wyraz aprobaty. Zresztą miała gdzieś jego aprobatę – to była jej głowa i jej włosy.

Może i rzeczywiście trochę zaszalała. W pierwszej chwili, gdy Harte zwyczajnie sobie wyszedł, jakby miał prawo mówić jej, co ma robić, była całkiem bliska szału – mimo osłabienia wpadła w istną furję. Możliwe, że przewróciła jakieś krzesło, na pewno walnęła pięścią w obdrapany blat biurka... co zresztą okazało się dość bolesne. Oraz spowodowało wysunięcie się szuflady z parą starych, zardzewiałych nożyczek.

Może faktycznie trochę ją poniosło, może nie do końca przemyślała nieodwracalne skutki, kiedy chwyciła włosy w garść i zaczęła je ciąć tępymi ostrzami. Na pewno jednak nie żałowała.

Przez chwilę stała z garścią loków w ręku, zdumiona własną impulsywnością. Upuściła ucięty kosmyk na podłogę, jakby nie mogąc uwierzyć, że to zrobiła. Zaraz jednak wzięła się w garść i doprowadziła swoje dzieło do końca – bo co innego jej zostało? Twardo ignorowała ukłucie strachu, że może popełnia błąd. Skupiła się na zastrzyku adrenaliny, jaki czuła za każdym razem, gdy kępka włosów lądowała u jej stóp.

Wyszła z tego straszna fryzura, nierówna i postrzępiona, lecz im bardziej ubywało jej włosów, tym większą czuła ulgę i tym chętniej cięła dalej. W końcu to profesor Lachlan kazał jej zapuścić długie. Z krótszymi byłoby w dzieciństwie o wiele łatwiej na co dzień, podczas treningów z Dakarim i w trakcie eksploracji miasta. Profesor nie chciał jednak, by podróżowała w czasie w perukach. Uważał, że to niepotrzebne ryzyko. Że ktoś mógłby się czegoś domyślić.

Lecz profesor Lachlan nie istniał. Był tylko Nibsy i jego kłamstwa, z których zbudował jej więzienie, ukrywając przed nią, kim naprawdę jest.

Kim ona naprawdę była. Z każdym spadającym pasmem włosów pozbywała się balastu przeszłości, uwalniała od kłamstw.

Potem zdobyła ubranie.

Po tym wszystkim, co się działo tego wieczoru, użycie daru wiązało się z pewnym ryzykiem, lecz Harte zostawił ją w pokoju w samym gorsecie i koronkowych reformach. Miała do wyboru: zaryzykować wyjście na zewnątrz albo uznać swoją porażkę. A ponieważ była zbyt wściekła, by pozwolić mu na wygraną, użyła magii i zakradła się do sąsiedniego pokoju. Mrok, który otaczał ją wcześniej, tym razem się nie pojawił. Wniosek był taki, że to nie w niej tkwił problem, ale w Harcie. A może winę ponosiła Księga? Co jednak wychodziło na jedno, biorąc pod uwagę, jaka była na niego zła.

– A ty, Julien, co sądzisz? Podoba ci się? Chyba mi do twarzy? – Esta uniosła podbródek wyzywająco, a pianista w tej samej chwili zagrał żwawe, rozgorączkowane crescendo. Melodia miała w sobie jakby pożądanie i poruszyła w Eście jakąś strunę, coś mrocznego i tajemnego, co pragnęło wolności, nie wiedząc, czym tak naprawdę ona jest.

– Odważny wybór – rzekł Julien i uśmiechnął się do szklanki. Biorąc łyk whisky, obserwował ich oboje z nieskrywanym rozbawieniem.

Esta w odpowiedzi spiorunowała go wzrokiem. Nie po to skróciła włosy, opięła ciasno piersi i znalazła drogę do Kinga, by Julien miał uciechę. Przyszła tutaj, bo tu było jej miejsce. Bo miała prawo tu być. Nie chciała być traktowana jak bezradna istota, nie chciała, by Harte w pojedynkę załatwiał sprawy, które powinni załatwiać razem. W końcu to nie Harte spostrzegł w hotelu, że grozi im niebezpieczeństwo. To nie Harte wymyślił szybko plan, dzięki któremu wymknęli się z sidła zastawionych przez policję.

Nawet jeśli potem zemdlą, to co z tego? Wydostała ich z Jeffersona po tym, jak Harte popełnił błąd w magazynie. Cokolwiek się działo z jej darem, nie była słaba. Harte już dawno powinien to zrozumieć. A ona nie powinna musieć mu niczego udowadniać. Zwłaszcza jemu.

Oto jednak siedziała w podrzędnym barze i właśnie to robiła. Musiała bowiem wysłać Harte'owi – im obu, w gruncie rzeczy – jasny sygnał, że nie da się odsunąć na bok pod byle pretekstem. Chcieli sobie porozmawiać w męskim gronie? Proszę bardzo.

Harte pochylił się w jej stronę i zniżył głos, tak że ledwie go słyszała wśród dźwięków pianina.

– Chyba nie myślisz, że to się uda.

– Mnie się zdaje, że już się udało – odparła, sięgając po stojącą przed nim szklanę z bursztynowym trunkiem. – Tylko ty się niepotrzebnie martwisz. – Odchyliwszy się na oparcie, uniosła szklanę do ust, z satysfakcją odnotowując cień irytacji, który przemknął po twarzy Harte'a. Upiła łyczek ciepłej whisky, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo pali ją w gardle.

– Niewątpliwie ma odpowiednie warunki fizyczne – rzekł Julien, otwarcie taksując ją wzrokiem. – I dużo zimnej krwi.

– Przestań – ostrzegł go Harte. – Jeszcze tego brakuje, żebyś ją zachęcał.

– Nie wydaje mi się, żeby trzeba ją było zachęcać – odparł Julien, puszczając oko w kierunku Esty.

W odpowiedzi uniosła szklanę jak do toastu.

– Gdybyś potrzebowała wskazówek – rzekł Julien, częstując Estę grubym czarnym cygarem z pudełka – służę pomocą.

Machnięciem dłoni podziękowała za cygaro; wystarczyła jej paląca whisky.

– Wskazówek?

– Przestań – powtórzył Harte, lecz ani Julien, ani Esta nic sobie nie robili z jego protestów.

– Jeśli chcesz udawać kogoś, kim nie jesteś, mogę ci udzielić kilku rad. W zasadzie to moja specjalność. – Julien zapalił zapałkę i pozwolił jej przez chwilę płonąć, po czym przytknął ją do cygara, którego Esta odmówiła, i zaczął je pykać, aż wokół rozsnuł się dym. Strzepnięciem nadgarstka

zgasił zapałkę i wyrzucił ją nonszalancko do popielniczki na stoliku. – Weźmy na przykład twoje nogi.

– Co jest z nimi nie tak? – Esta, marszcząc brwi, spojrzała w dół, na ciemne spodnie ukradzione z sąsiedniego pokoju. Leżały całkiem dobrze, tak jej się przynajmniej zdawało. Bez wątpienia były też dużo wygodniejsze od sukienek, w których chodziła przez ostatnie kilka tygodni.

– Mężczyźni tak nie siedzą – oznajmił Julien, wydmuchując obłok dymu, od którego Eście zaszkliły się oczy. – Kobiety się kurczą. Tak są chyba uczone od dziecka. Co innego chłopcy. Im się wpaja, że świat należy do nich. Rozchyl kolana trochę szerzej.

Esta uniosła brwi. Nie na taką pomoc liczyła.

Julien uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Nie tak, jak myślisz. Tak, jakby należało ci się więcej przestrzeni. – Pochylił się z błyskiem rozbawienia w tych swoich kruczonych oczach. – Jakby ta przestrzeń już należała do ciebie.

Miał rację. Nawet w jej czasach mężczyźni w autobusach i metrze zagarniali przestrzeń wokół siebie, jakby mieli do tego święte prawo. I dlatego – nic sobie nie robiąc z ostrzegawczej miny Harte'a, a nawet dodatkowo nią zachęcona – Esta lekko rozsunęła uda.

– Tak?

– O właśnie – rzekł Julien. – Tak lepiej.

– Julien, nie wygłupiaj się – odezwał się Harte z napięciem w głosie.

Czuła, że gdyby na niego teraz spojrzała, znów miałby czerwone uszy, ale Julien wciąż się w nią wpatrywał, a nie chciała odwrócić wzroku jako pierwsza. W końcu Julien zwrócił się do Harte'a.

– Poradzi sobie. Skoro z tobą zrobiłem... to – wykonał okrągły gest w stronę przyjaciela – ją też mogę nauczyć.

– O czym ty mówisz? – spytała Esta, której nie umknęło, jak wargi Harte'a zacisnęły się w kreskę.

– O niczym. Nie słuchaj go – wtrącił Harte, popatrując łapczywie na resztkę whisky w trzymanej przez nią szklance.

Julien zachowywał się tak, jakby go nie usłyszał.

– O tym, że to dzięki mojej wydatnej pomocy Darrigan stał się dżentelmenem, którego tu podziwiamy. Wymyśliłem go całego, włącznie z nazwiskiem.

– Naprawdę? – Estę bawiła milcząca furia Harte'a wymieszana z rumieńcem wstydu. Wychyliła resztkę whisky tylko po to, by zrobić mu na złość.

– A myślisz, że gdzie się tego wszystkiego nauczył? Żebyś ty go widziała na pierwszym przesłuchaniu... To nie był nawet jeden z lepszych teatrów. Chodził tam motłoch, który stać było na coś więcej niż teatry w Bowery, ale nic poza tym. Pracowałem wtedy nad własnym numerem i miałem całkiem niezłe wzięcie. Któregoś dnia byłem akurat na przesłuchaniach i zobaczyłem go...

– Julien... – szepnął Harte.

– Był beznadziejny? – spytała zaciekawiona Esta.

– Sam numer niczego sobie. – Julien spojrział na Harte'a. – Przypomnij mi, co to było, jakaś kuglarska sztuczka?

Harte w pierwszej chwili nie odpowiedział, lecz w końcu, widząc, że Julien mu nie odpuści, wymamrotał:

– Piaski pustyni.

– Właśnie! – Julien aż pstryknął palcami. – Tylko że nie pozwolono mu dokończyć. Inspicjent przegonił go po minucie. Trudno się dziwić: wystarczyła chwila z Darriganem, by się zorientować, co to za jeden. Musiałabyś posłuchać, jak wtedy mówił. Akcent miał ciężki jak smród z kanałów, ledwie go rozumiałem. A wyglądał nie lepiej... Jakby mógł przyłożyć każdemu, kto na niego krzywo spojrzy.

Esta zerknęła na Harte'a, który siedział w milczeniu, choć było widać, że kipi w nim złość.

– Wciąż zdarza mu się tak wyglądać – zauważyła.

Na przykład teraz. Nie żeby ją to specjalnie martwiło.

– I pomogłeś mu? – rzuciła. – Dlaczego?

– Oto jest pytanie. – Julien pociągnął cygaro i dmuchnął dymem z nosa jak złośliwy demon.

Esta podejrzewała, że wcale nie zastanawia się tak długo nad odpowiedzią. Te pauzy sprawiały wrażenie wystudiowanych. Chytry zabieg, musiała to przyznać: Julien umiejętnie budował napięcie w słuchaczach. Gdy w końcu otwierał usta, nawet ona umierała z ciekawości.

– Mógłbym powiedzieć, że mam dobre serce i lubię pomagać innym...

Harte zaśmiał się pod nosem, ale Julien odczekał moment, tak by znów mieć jej pełną uwagę.

– Mógłbym tak powiedzieć, ale powiem ci, jak było naprawdę – dokończył, rzucając Harte'owi przelotne spojrzenie. – Tamtego dnia dostrzegłem w nim coś, czego nie można się nauczyć. Dostrzegłem osobowość sceniczną. Darrigan był nieokrzesany, brakowało mu umiejętności, ale poruszał się po scenie jak urodzony artysta. Zobaczyłem nieukształtowany talent – i zapragnąłem mieć udział w jego formowaniu.

– Pieprzysz bzdury i dobrze to wiesz, Jules – odezwał się Harte, który najwyraźniej nie mógł dłużej tego słuchać. – Pomogłeś mi tylko dlatego, że potrzebowałeś kogoś, kto cię uwolni od braci Delancey. – Spojrzał na Estę. – Tacy dwaj, którym się wydawało, że są gangsterami. Nie rozumieli, że numer Jules'a to tylko numer. Zaczęli za nim łązić, zastraszać go, żeby pokazać, jacy są twardzi.

– Poradziłem sobie z nimi – odparł sztywno Julien.

– Oczywiście, ale reguły z klubu boksterskiego dla dżentelmenów niezbyt się sprawdzają w Bowery, a podbite oko trudno zakryć, nawet gdy ma się tonę farby na twarzy. – Harte wzruszył ramionami. – Słowem, Jules nauczył mnie, jak nie wyglądać i nie zachowywać się jak szczur z kanału, a ja go nauczyłem chwytów poniżej pasa, by mógł się uwolnić od Delanceyów. Proste.

Julienowi zrzędała mina.

– Ty to potrafisz zepsuć dobrą historię, wiesz, Darrigan?

– Nie przyszedłem tu opowiadać historii – oznajmił Harte, po czym spojrzał karcąco na Estę. – I ona też nie. Przyszliśmy po naszyjnik.

Julien zmarszczył brwi i jakby trochę zbladł.

– Już ci mówiłem, że go nie mam.

– Jak mogłeś się go pozbyć po tym, co napisałem w liście? – spytał Harte ściszonego głosem. – A może przeoczyłeś ten fragment, w którym prosiłem cię, żebyś go dla mnie przechował? I że to bardzo ważne?

– Nie przeoczyłem. – Ton Julienu był coraz bardziej napięty. – Zrozumiałem, ale byłem przekonany, że się zabiłeś, skacząc z mostu.

– A więc postanowiłeś zignorować moje ostatnie życzenie?

Julien sprawiał wrażenie lekko zakłopotanego.

– Długo przechowywałem ten naszyjnik, choć nic nie wskazywało na to, że kiedyś go odbierzesz...

– Dość tego teatru, Jules. Powiedz nam, gdzie on jest – zażądał Harte tonem, w którym pobrzmiwała groźba.

– Harte – wtrąciła się cicho Esta. – Daj mu powiedzieć.

Julien spojrzał w jej kierunku, bardziej zaintrygowany niż wdzięczny.

– Tak jak mówię, nie pozbyłem się go. Trzymałem go pod kluczem, jak mnie prosiłeś. Ale zeszłej zimy pani Konarske, krawcowa z teatru, uszyła suknię, do której ten naszyjnik wydawał się wprost stworzony.

Harte jęknął.

– Powiedz, że to żart.

– Nie mogłem się oprzeć. Myślałem, że dawno już nie żyjesz. – Julien zgasił niedopałek cygara w popielniczce. – A po tygodniu występów ktoś mi zaproponował, że go ode mnie odkupi.

– Sprzedałeś go? – spytała Esta z ożywieniem.

Skoro naszyjnik został odkupiony, to znaczyło, że nie zaginął. Wystarczy teraz ukraść go nowemu właścicielowi.

– Nie miałem wyboru.

Esta wyczytała z jego miny, że coś przed nimi ukrywa.

– Jeśli was to pocieszy – dodał lekko rozgoryczony – od tamtej pory ani razu nie włożyłem tej sukni.

– Nie obchodzi mnie twój kostium, Jules. Muszę wiedzieć, komu sprzedałeś naszyjnik. – Wzrok Harte’a był przenikliwy i pełen determinacji.

– W tym sęk. – Julien podniósł oczy i patrzył przez chwilę na Harte’a, zanim przemówił: – Nie mam pojęcia.

Harte zaklął głośno, aż Esta kopnęła go pod stołem. Ona też była sfrustrowana, lecz potrzebowali Juliana, musieli go mieć po swojej stronie, a bała się, że Harte zaraz powie o jedno słowo za dużo.

– Musisz mieć jakieś pojęcie – spróbowała łagodniejszym tonem. – Nawet jeśli nie poznałeś kupca osobiście, ktoś musiał ci przynieść pieniądze i odebrać naszyjnik.

– Owszem, doszło do transakcji – przyznał Jules. – Ale to nie znaczy, że wiem, z kim ją zawarłem.

Esta dosłownie czuła zniecierpliwienie bijące od Harte’a.

– Przestań bredzić, Jules.

– Nie sprzedałem naszyjnika konkretnej osobie. – Julien mówił spokojnym głosem. Zrobił przerwę na długi łyk whisky.

– Nie mamy całego życia – rzucił Harte przez zaciśnięte zęby.

Ale Julien nie dał się ponaglić. Była to popisowa lekcja gry aktorskiej. Pochylił się do przodu, w ciemnych oczach migotał odblask lampki na stoliku.

– Możecie zapomnieć o odzyskaniu naszyjnika – rzekł cicho. – Bo sprzedałem go Zawołowanemu Prorokowi.

TOWARZYSTWO

1904 rok – St. Louis

Harte poczuł, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. Moc Księgi burzyła się w nim. Przebudziła się, gdy ujrzał Estę z obciętymi włosami i błyskiem gniewu w oczach. Nie był przygotowany na ten widok – ani na to, by przeciwstawić się mocy Księgi, a gdy poczuł promieniującą od Esty wściekłość, głos w jego wnętrzu przebił się z łatwością przez wątle zapory jego umysłu.

Czuł kropelki potu na skroniach, tyle wysiłku kosztowało go powstrzymanie tej mocy. Chciał udusić Juliana za samo tylko patrzenie na Estę, o jego krętych wywodach nie wspominając, lecz mimo wszystko zdołał nadać głosowi pozór spokoju.

– Zawołanemu Prorokowi, czyli komu dokładnie?

Julien jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie tyle komu, ile czemu.

– Jeśli nie przestaniesz mówić do nas zagadkami... – zaczął groźnie Harte, lecz znów poczuł kopnięcie pod stołem.

Esta rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, na które moc Księgi zareagowała pomrukiem zadowolenia. Lubiła jej złość – a jeszcze bardziej jego złość, bo go rozpraszała. Czyniła słabszym. Robił więc, co mógł, by utrzymać nerwy na wodzy.

– Harte chce powiedzieć – wtrąciła się Esta – że jesteśmy w trudnym położeniu. Jak pewnie się domyśliłeś po mojej nowej kreacji, policja wie, że przyjechałam do Saint Louis. Zaryzykowaliśmy spotkanie z tobą tylko dlatego, że potrzebujemy tego naszyjnika. A skoro go nie masz, musimy go

znaleźć i wyjechać, zanim nas dopadną. Gdybyś mógł nam jakoś pomóc, byłibyśmy wdzięczni.

– Widzisz, Darrigan? Oto jak się rozmawia z przyjacielem. – Julien uśmiechnął się, po czym zwrócił do Esty: – Zawołowany Prorok to ktoś więcej niż osoba. To instytucja, swego rodzaju symbol, a odtwórca tej roli się zmienia. Co roku Towarzystwo wyłania nową osobę, lecz tożsamość Proroka pozostaje tajemnicą. Sami więc rozumiecie, że ten człowiek, któremu sprzedałem naszyjnik, to mógł być każdy. Nie widziałem jego twarzy.

– Co to za Towarzystwo? – spytała Esta.

– Towarzystwo Zawołowanego Proroka – wyjaśnił Julien.

– Pierwsze słyszę – oznajmił Harte, starając się zachować spokój.

– Jesteś tu nowy, więc nie dziwota – odparł Julien ze wzruszeniem ramion. – Ale wiecie, jak to jest: bogaci zawsze mają swoje kluby. Towarzystwo nie różni się jakoś bardzo od Zakonu. W gruncie rzeczy to grupa bankierów i polityków, którzy uważają się za kogoś w rodzaju ojców miasta i tak jak Zakon w Nowym Jorku próbują uchodzić za organizację dobroczynną. Co roku w Święto Niepodległości urządzą wielką paradę i wystawny bal, na którym koronują debiutantkę. Nic, dosłownie nic nie dzieje się w Saint Louis bez wiedzy albo udziału Towarzystwa.

– I dlatego kiedy zgłosili się po naszyjnik, musiałeś im go sprzedać – wywnioskowała Esta.

Miała rację. Julien ze swoim repertuarem byłby dla nich łatwym celem. Raczej nie mógł sobie pozwolić, aby Towarzystwo stało się jego wrogiem.

Teraz pokiwał głową. Zaciskając szczękę, upił kolejny długi łyk whisky.

– To nie była tylko kwestia pieniędzy – przyznał. – Zawołowany Prorok odwiedził mnie osobiście po jednym z występów. Zjawił się nieproszony w mojej garderobie, trochę jak wy – dodał bez humoru. – Zaproponował mi hojną zapłatę za naszyjnik, a kiedy odmówiłem – bo przysięgam, Darrigan, że nie zamierzałem się pozbywać tego cholernego kamienia – dał mi do

zrozumienia, że jeśli go nie sprzedam, pożegniam się z pracą w tym mieście, a może z pracą w ogóle. Za to jeśli się zgodzę...

– Zaoferowali ci protekcję – domyślił się Harte.

Julien pokiwał sztywno głową.

– Jestem o krok od wielkiej sławy, Darrigan. Przyjeżdżają mnie oglądać ludzie z Orpheum, rozmawiałem nawet z jedną szychą w Nowym Jorku o całym spektaklu tylko dla mnie. Mam szansę na premierę na Broadwayu. Ale ciągle się wahają. Wiesz, jak to jest. Czekają, jak się wszystko potoczy tutaj. Jestem dobrej myśli, bo na wystawę zjedzie się mnóstwo ludzi, ale gdyby Towarzystwo chciało mi utrudnić życie, straciłbym wszystko, na co tak ciężko pracowałem. Rozumiesz?

Harte skinął głową. Oczywiście, że rozumiał. Wiedział, jak to jest być u progu sukcesu, wyjść jedną nogą z szamba przeszłości. Czasem człowiek nie miał wyboru, robił to, co musiał. Ile to razy on sam przymykał oko na to, że przełom w jego karierze zbiegł się w czasie z przysługą wyświadczoną Paulowi Kelly'emu? Zbyt wiele. A więc owszem, rozumiał, a jednak...

– To niczego nie zmienia – oświadczył. – Nadal potrzebujemy tego naszyjnika.

– Musisz zrozumieć, Darrigan. Bardzo bym chciał wam pomóc, ale nie mogę. Nie jeśli w sprawę wmieszane jest Towarzystwo. Mam w tej chwili za dużo do stracenia.

Harte'owi prawie było go żal. Narobił Julienowi problemów i miał wyrzuty sumienia. Miałby pewnie jeszcze większe, gdyby Julien nie postąpił wbrew jego wyraźnemu życzeniu.

– Obawiam się, Jules, że nie masz wyjścia.

Julien zmarszczył czoło.

– Nie możecie mnie zmusić, żebym wam pomógł.

Tu się, oczywiście, mylił. Wystarczyłby jeden krótki uścisk dłoni albo nawet klepięcie w plecy i Julien zrobiłby wszystko, co Harte by mu kazał. Mina Esty wskazywała, że właśnie takiego obrotu rzeczy się spodziewa.

Lecz Harte postanowił przynajmniej spróbować innego sposobu. Nie chciał traktować starego przyjaciela jak byle kogo.

Pochylił się nad stolikiem i zniżył głos.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie. Naprawdę myślisz, że J.P. Morgan tak się przejął tym, że ileś osób zginęło w katastrofie pociągu?

Twarz Juliena w jednej chwili nabrała podejrzliwego wyrazu.

– O czym ty mówisz?

– O nagrodzie za głowę Esty. Przecież tu nie chodzi o żadną katastrofę i ofiary śmiertelne. Chodzi o to, że okradliśmy Zakon.

– Zakon zdementował pogłoski o kradzieży – odparł Julien, ale bez przekonania.

– To kłamstwo – włączyła się Esta. – Nie chcieli, żeby ktokolwiek się dowiedział. To by ich postawiło w bardzo złym świetle. Wyszliby na frajerów.

– Ich siedziba w Khafre Hall była praktycznie twierdzą – dodał Harte – a mimo to wykradliśmy im największe skarby. Jednym z nich był naszyjnik.

– Nie! – Julien z wrażenia aż podniósł głos.

– Spokojnie, Jules – rzekł Harte łagodnym tonem. Jego frustracja ustąpiła miejsca litości i poczuciu winy. – Ludzie się patrzają.

– Nie mogę uwierzyć, że naraziłeś mnie na takie niebezpieczeństwo – oznajmił Julien drżącym głosem. – Po tym, co dla ciebie zrobiłem.

– Potrzebowałem kogoś zaufanego – odparł Harte. Kogoś dobrego w dochowywaniu tajemnic, pomyślał. – Poza tym chciałbym ci przypomnieć, że napisałem wyraźnie, żebyś dobrze go ukrył i nie wyjmował, chyba że to będzie kwestia życia i śmierci. Nie prosiłem cię, żebyś paradował w nim na scenie, jeśli uznasz, że pasuje ci do stroju.

Julien drżącą ręką sięgnął do zanadru po pudełko z cygarami.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego to ma być moje zmartwienie.

Próbował zapalić, przez chwilę walczył z zapalkami, ale szybko się poddał.

– Daj spokój, Jules. Nie muszę ci tłumaczyć – rzekł Harte. – Wszyscy bogacze są tacy sami. I rozmawiają ze sobą. Nie sądzisz, że Zakon prędeży czy później i tak się dowie, że naszyjnik jest w rękach tego Proroka?

– A wtedy zaczną się zastanawiać, czy przypadkiem nie wiesz, gdzie są pozostałe rzeczy – dopowiedziała Esta. – Nie dadzą ci spokoju.

Julien zrobił się biały jak kreda.

– Wiedziałem. Jak tylko was zobaczyłem u siebie w garderobie, od razu wiedziałem, że będą z tego same kłopoty. Mogłem was nie ratować przed Strażą Jeffersonską.

– Mogłeś – zgodził się Harte. – Ale ciesz się, że nas uratowałeś.

– Nie widzę powodu – odrzekł Julien, mrużąc oczy. – Wszystko byłoby dużo prostsze.

– Sam sobie skomplikowałeś życie, pokazując się na scenie z tym naszyjnikiem. Jeśli chcesz się z tego jakoś wykaraskać, musisz nam pomóc. – Harte pomyślał o dziwnych przedmiotach, które Esta znalazła w garderobie. – Potrzebujemy kogoś, kto zna Towarzystwo i ma kontakt z jego członkami. Pomożesz nam ustalić, gdzie ten cały Prorok trzyma naszyjnik, a potem pomożesz nam go wykraść.

SEKRETY KSIĘGI

1904 rok – St. Louis

Jack Grew wszedł do swojego apartamentu i zamknął za sobą drzwi. Gdy zapalił lampę, ukazały mu się mahonie i jedwabie, perskie dywany i połyskujące mosiądze, największe ukojenie przyniosła mu jednak cisza. Upragniona cisza, nareszcie.

Przez kilka ostatnich godzin w hotelu Jefferson panowały zamęt i hałas, tak naprawdę jednak liczyło się tylko jedno: Esta uciekła. Policjanci i strażnicy zdołali ją osaczyć, a mimo to im się wymknęła.

Sprawdziwszy raz jeszcze, na wszelki wypadek, czy drzwi są zamknięte na klucz, i zaciągnąwszy zasłony, Jack poluzował krawat i wyjął Księgę z ukrytej kieszeni w kamizelce. Siadając przy kominku w fotelu z uszami, przesunął dłonią po dobrze mu znanym wzorze na spękanej okładce. Sigil Ameth – Pieczęć Prawdy. Przez chwilę, jak to miał w zwyczaju, wodził palcem po żłobieniach w skórze. Było w tym symbolu coś hipnotyzującego. Na pierwszy rzut oka stanowił zbiór osobnych, łatwych do rozróżnienia figur – równoległoboków i trójkątów ponakładanych jeden na drugi. Lecz przesuając po nich palcami, Jack odkrywał inną rzeczywistość: figury wbrew pozorom nie były osobne, lecz przenikały się w nieskończoność, trochę jak strony Księgi. Linie nie miały początku ani końca, tworzyły zapętłony wzór, który wnikał coraz głębiej w prawdę.

Uspokojony tym rytuałem, Jack wyjął z kieszeni fiolkę z morfiną i położył dwie kostki na języku. Gorzki smak był jak stary przyjaciel. Od razu poczuł ich działanie, jeszcze zanim otworzył skórzany tom. Napięcie z całego dnia powoli z niego spływało, pulsujący ból w skroniach

ustępował pod naporem lekarstwa. Przytępione zmysły z wolna odżyły i Jack wreszcie poczuł się w pełni przytomny.

Od dwóch lat studiował treść Ars Arcana i wciąż nie zgłębił wszystkich jej tajemnic. Czasem przewracał stronę po stronie, a Księga zdawała się nie mieć końca. Kiedy indziej wydawała mu się mniejsza, bardziej zwarta. Za każdym razem była inna, każdy wieczór krył niespodziankę, której Jack nie mógł się doczekać.

Dziś Księga liczyła zaledwie około trzydziestu stron i były to strony dobrze mu znane. Obok niezrozumiałych znaków widniały jego własne odręczne dopiski, swoiste świadectwo przywiązania do Księgi. Albo przywiązania do sztuki i nauki magicznej. Nieważne, że nie miał prawa rozumieć większości tych symboli. Gdy ocknąwszy się z morfinowego i alkoholowego zamroczenia, odkrywał, że udało mu się rozszyfrować nowy fragment, zgłębić nowy sekret, nie odczuwał niepokoju, przeciwnie, czuł się wyróżniony. Tłumaczył to sobie mocą Księgi, która stopniowo odsłaniała przed nim prawdę – wtedy, kiedy jego umysł był gotów ją sobie przyswoić.

Rozcierając w zębach kolejną kostkę morfiny, szukał fragmentu, nad którym pracował przed kilkoma dniami, lecz jego myśli wciąż dryfowały w kierunku Esty Filosik i Harte'a Darrigana.

Z jakiegoś powodu wieść o ich pojawieniu się w mieście niezbyt go zdumiała. Odkąd wysiadł z pociągu na dworcu w St. Louis, czuł, że ta podróż będzie inna niż wszystkie. Przeczował sukces, ale sądził, że będzie to raczej zwycięstwo polityczne.

Darrigan i dziewczyna przez dwa lata nie dawali znaków życia. Oczywiście nie brakowało głosów, że to ona stoi za licznymi tragediami, do których doszło w tym czasie. Antistasi próbowali wykorzystać legendę Diablej Ręki do swoich celów. Jemu to nie przeszkadzało. Im usilniej starali się powstrzymać pochod historii, tym łatwiej było z nich uczynić obiekt strachu i nienawiści zwykłych obywateli. Każdy, nawet najmniejszy atak zwiększał poparcie dla nadzwyczajnych kroków, takich jak ustawa o przeciwdziałaniu czarom. Każda śmiertelna ofiara Antistasi była

argumentem za ukreśleniem łąba magii w całym kraju. Tak, te dwa lata bez Esty Filosik to był dla Jacka Grew nader owocny czas.

Po katastrofie pociągu Jack wykorzystał rozgłos wokół tragedii do wspinaczki po szczeblach władzy. Zaczął od Zakonu: korzystając z mocy Księgi, zapewnił sobie udział w konklawe, na którym ostrzegł przed zagrożeniem, jakie stanowi dzika magia poza Nowym Jorkiem. Jego przemówienie zainteresowało pewnego senatora, który poprosił Jacka o pomoc w zbieraniu głosów za delegalizacją magii. Prezydent nie przejawiał zainteresowania, dopóki Antistasi nie zaczęli dokonywać ataków. Roosevelt, który sam objął władzę wskutek zabójstwa McKinleya przez anarchistę, był wyczulony na punkcie takich zagrożeń. Jack, uzyskawszy dojście do prezydenta, korzystał z niego mądrze i niedługo potem znalazł się w gronie zaufanych prezydenckich doradców.

Bo czy można było sobie wyobrazić lepszego kandydata do walki z epidemią magii, z zagrożeniem dla narodowej jedności, niż ktoś, kto sam przez nią ucierpiał?

Jack przez blisko pół roku podróżował po kraju, zbierając dla prezydenta Roosevelta informacje na temat ognisk nielegalnej magii oraz robactwa, które nie chciało się jej wyrzec. Nie było to – jeszcze – oficjalne stanowisko administracji, ale Jack miał duże nadzieje. Nie, złe słowo. Miał ambicje. I zamierzał je zrealizować za wszelką cenę.

Przewracając znajome stronicę, z umysłem rozjaśnionym morfiną, Jack rozluźnił się i otworzył na potencjał Księgi. Znalazł szukaną stronę – tę, która nie zawsze chciała się pojawić. Wiedział, że to znak – że moc Księgi właśnie tego od niego oczekuje. Powiódł palcem po własnych zapiskach na marginesach, które jednak nie były w języku angielskim, ale w dużo starszej mowie.

Jack nie był idiotą. Wiedział, że Esta i Darrigan nieprzypadkowo zjawili się właśnie tu i właśnie teraz – i że ich przybycie do St. Louis musi mieć związek z najnowszym nabytkiem Towarzystwa: naszyjnikiem będącym ponoć prastarym skarbem, na który Jack już ostrzył sobie zęby. Byłby to

kolejny krok na drodze do okiełznania mocy Księgi i starcia z powierzchnią ziemi wszystkich robali, które miały czelność mu się przeciwstawić.

NIEWYJAŚNIONA CIEMNOŚĆ

1904 rok – St. Louis

Esta odprowadzała wzrokiem plecy Julienu, który przedzierał się przez zatłoczony bar do wyjścia.

– Jesteś pewien, że nie pobiegnie zaraz do tego Towarzystwa i nas nie wyda? – spytała Harte’a.

Ten ściągnął brwi pośrodku czoła.

– Nikomu nie powie, że nas widział.

– Ale te rzeczy w jego garderobie... medale i szarfy – naciskała. – Na wszystkich były inicjały Z.P. Musi być jednym z nich.

– Wiem, ale Julien nie jest głupi. Może nie będzie zachwycony, ale zdobędzie dla nas informacje, których potrzebujemy, żeby chronić siebie i swoją karierę.

Esta zmarszczyła nos. Harte zamówił kolejną whisky, a gdy mu ją przyniesiono, wypił całą duszkiem. Przez chwilę się nie odzywał, siedział tylko zapatrzony w przestrzeń, czerwony na twarzy od wypitego alkoholu, podczas gdy dźwięki pianina wiły się po sali w hipnotycznym rytmie. Muzyk grał ragtime’a, synkopową mieszaninę przednutek i czarnych klawiszy. Rozbrzmiewała w tle przez cały wieczór, ale dopiero teraz, w milczeniu, jakie zapadło, Esta zaczęła się w nią wsłuchiwać. A słyhać było w tych rytmach i akordach niemalże przyszłość muzyki: leniwe brzmienie, które miało się z czasem przerodzić w bluesa i jazz, by następnie na przestrzeni dwudziestego wieku ulec różnym osobliwym transformacjom.

Na razie jednak była to zwykła ragtime'owa melodia, jedynie załączek późniejszych stylów, a zarazem przypomnienie – albo wręcz ostrzeżenie – że również ich przyszłość skrywa coś nieprzewidywalnego.

– A więc Julien jest... – Nie była pewna, co chce powiedzieć, zwłaszcza że czuła na sobie pochmurne, nieprzeniknione spojrzenie Harte'a.

– Jest cholernym geniuszem – stwierdził sucho Harte. Nie zabrzmiało to w jego ustach jak komplement. – Widziałas go wcześniej na scenie i przed chwilą tutaj.

Tak, widziała. Wszystko w nim, od wyraźnego przedziałka w ciemnych włosach po grube cygara, którymi kręcił podczas mówienia, składało się na portret typowo męskiej pewności siebie. Gdyby nie widziała na własne oczy, jak zdejmował przy niej blond perukę i zmywał makijaż, pewnie by nie uwierzyła, że on i kobieta, która rozdierającym, gardłowym śpiewem oczarowała publiczność w teatrze, to jedna i ta sama osoba.

– Który Julien jest prawdziwy? – zapytała. – A który to kreacja?

Harte zmarszczył brwi.

– Szczerze? Nie wiem, czy to ma znaczenie.

– Nie?

Pokręcił głową.

– Dawno temu doszedłem do wniosku, że Julien może być, kim zechce. Jest kobietą, która porywa tłumy na scenie, ale i mężczyzną, którego widzimy poza teatrem. – Harte zamilkł, jakby szukał odpowiednich słów. – To cały czas ten sam człowiek. A ta jego umiejętność przemiany z jednej osoby w drugą bez utraty własnej osobowości uświadomiła mi, jak ważne jest nie przestawać być sobą, nawet gdy udajemy kogoś innego.

Esta nagle zrozumiała, co miał na myśli Julien, mówiąc, że Harte wszystko zawdzięcza jemu. Dostrzegła w Julenie echo tej męskiej zadzierzystości, z jaką nosił się Harte. Albo raczej dostrzegła jej źródło. Nadal jednak zastanawiało ją, kogo Harte udaje przed nią.

– Słuchaj, nie martw się nim – rzekł ponuro. – Ja się nim zajmę.

Esta zmrużyła oczy.

– Nie dam się odsunąć na boczny tor, Harte.

– Nie próbuję cię odsunąć – zapewnił. – Próbuję tylko cię chronić.

– W takim razie przestań. Jak na razie radzę sobie całkiem nieźle sama. Nie potrzebuję rycerza w lśniącej zbroi.

– A ja nie powiedziałem, że chcę nim być – odparował nerwowo. – Mamy tworzyć zgrany duet, ale tobie się nie podoba, że się o ciebie martwię i że próbuję ci pomóc. To czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Żebyś przestał trzymać mnie na dystans.

Esta nie wiedziała, skąd ta myśl pojawiła się w jej głowie. Zamiast tego odparła:

– Żebyś dał mi trochę swobody i uwierzył, że dobrze znam swoje możliwości.

Po twarzy Harte'a przemknął cień urazy, ale nie zamierzała go przeproszać.

– Żebyś mi trochę zaufał – dodała.

– Tak jak ty ufasz mnie? – Harte przyglądał jej się przez chwilę i kręcił głową z niedowierzaniem. – Zostawiłem cię na chwilę samą i obciął włosy.

– To moje włosy, Harte. Mogę z nimi robić, co mi się podoba.

Zmarszczył brwi, jego wzrok ześlizgnął się z czubka jej głowy na szyję, a potem na zbyt dużą marynarkę i zmiętą koszulę. Choć Esta nie miała najmniejszej ochoty się do tego przyznawać – nawet przed sobą samą – prawda była taka, że rozgrzewał ją tym spojrzeniem jak dotykiem.

– Zabrałbym cię ze sobą, gdybym wiedział, że wpadniesz na taki pomysł – oznajmił w końcu.

– W ogóle nie powinieneś był mnie zostawiać.

Ich spojrzenia się skrzyżowały i Esta mogłaby przysiąc, że widzi w jego oczach całe mnóstwo niewypowiedzianych słów. Zaraz jednak zamrugał i odwrócił wzrok, jakby nie mógł dłużej znieść jej spojrzenia.

Westchnęła zirytowana tym spektaklem w jego wykonaniu.

– Przeceniasz swój wpływ, Darrigan – powiedziała. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, zastukała palcem w blat. – Słyszysz, co do ciebie mówię? To była moja i tylko moja decyzja.

Harte nadal spoglądał gdzie indziej.

– Gdybym cię nie zostawił i gdybyś się nie wściekła...

– I tak bym to zrobiła – przerwała mu, nie czekając, aż powie coś jeszcze głupszego. – To była konieczność. Jestem wysoka jak na kobietę. Rzucam się w oczy. Co innego jako mężczyzna. Nikt nie zwróci na mnie uwagi. A widziałeś, co się stało w hotelu. Kapelusz może mi spaść z głowy, spinki mogą się poluzować. Nie możemy więcej ryzykować. Ja nie mogłam więcej ryzykować. To tylko włosy.

Zmarszczył czoło, jakby jej nie wierzył – a może po prostu nie chciał jej uwierzyć.

– Poza tym podoba mi się ta fryzura – zakończyła, unosząc hardo podbródek. – Julien miał rację: mam warunki fizyczne... i pewność siebie.

Mina Harte wskazywała, że był innego zdania, lecz w jego oczach Esta dostrzegła jakieś nowe uczucie. Prawie głód. Aż na chwilę znieruchomiała pod tym spojrzeniem.

– Nie potrzebujesz pomocy Juliana. Jesteś wystarczająco niebezpieczna.

Esta poczuła, że robi się czerwona.

– Uważasz, że jestem niebezpieczna? – spytała, walcząc ze sobą, by się nie uśmiechnąć. Podobało jej się, że tak o niej myśli, a jeszcze bardziej – że Harte powinien się przy niej mieć na baczności.

– Odkąd tylko zobaczyłem cię po raz pierwszy w Słomianym Targu. Ale przecież nie muszę ci tego mówić. – Stalowa szarość jego tęczyówek jakby nagle pociemniała.

Eście znów się wydało, że widzi w ich głębi przebłyśki nienazwanych kolorów.

– Dobrze wiesz, że jesteś niebezpieczna.

Miał rację. Całe życie trenowała, by stać się groźną bronią. Co nie zmieniało faktu, że miło to było od niego usłyszeć.

– Uda się nam. – Poczwała to teraz głęboko w sobie. – Julien pomoże nam odzyskać naszyjnik i wyruszymy po następny kamień. – Na jej ustach zaigrał uśmieszek samozadowolenia. – W końcu pomaga ci Diabła Ręka.

Na twarzy Harte’a coś drgnęło.

– Nie wiem, czy powinno ci tak zależeć na tym tytule.

– Ty wciąż się martwisz tymi ludźmi z sali balowej? – Esta przypomniała sobie swój zachwyt na widok ich zamaskowanych twarzy i łopoczących sukni. Przede wszystkim jednak zapadło jej w pamięć to, jak w jednej chwili całkiem zmieniła się tamtejsza atmosfera: nastrój zabawy przerodził się w paniczny strach, mężczyźni w smokingach pierzchali niczym karaluchy.

– Jeżeli to byli Antistasi, musimy trzymać się od nich z daleka – stwierdził Harte. Zrelacjonował jej to, czego się dowiedział od Juliana o atakach na wystawę i na różne inne miejsca w St. Louis.

– Używali przemocy? – spytała Esta z dreszczem niepokoju i jakby rozczarowania.

– Tak, i robili to w imieniu Diabłej Ręki – odrzekł ponuro Harte.

– Zaczęło się po katastrofie pociągu. – Eście robiło się coraz smutniej. – To wszystko przeze mnie.

Harte ściągnął brwi.

– Nie wysadziłaś tego pociągu.

– Może nie rozmyślnie. Ale coś z nim się stało. Ja przeniosłam się w czasie, a inni pasażerowie zginęli.

– Może. A może nie miałaś z tym nic wspólnego – przekonywał ją Harte.

Potrząsnęła głową.

– Sam w to nie wierzysz. Popatrz, co się stało w hotelu i na dworcu. Nawet na moście, kiedy przekraczaliśmy Krawędź. Coś się ze mną dzieje, gdy używam magii przy tobie. Moc Księgi jakoś ją zmienia. Zawsze, kiedy próbuję zatrzymać sekundy, widzę ciemność, której nie potrafię wyjaśnić.

– Ciemność? – Harte całkiem znieruchomiał.

– Kiedy używam daru, widzę szczeliny w czasie, ale kiedy cię dotykam, te szczeliny jakby znikają. Jakby sam czas znikał. Pamiętasz ten dźwięk lin w szybie windy? Prawie pękły. – Zwilżyła usta i przemogła się, by mówić dalej: – Co, jeśli to samo stało się z pociągiem?

Harte znów zmarszczył brwi, a kiedy wreszcie przemówił, miała wrażenie, że ostrożnie dobiera słowa.

– Nie wiesz tego. Wiemy tylko, że nie było twoim zamiarem sprawić, że pociąg się wykolei. Jeśli Antistasi wykorzystują tamtą tragedię do własnych celów, są zwykłymi oportunistami.

– A może po prostu chcą, żeby z tej tragedii wynikło jednak coś dobrego – broniła ich. – Słyszałeś, co powiedział Julien. Jack wykorzystał katastrofę do podburzania ludzi przeciwko Maginom. Może Antistasi po prostu odpowiadają na tamte kłamstwa. – Ktoś przecież musi, pomyślała. – Może i są oportunistami, ale dziś pomogli nam w ucieczce. Może powinniśmy o nich myśleć jak o naszych sprzymierzeńcach.

– Nie potrzebujemy sprzymierzeńców – stwierdził Harte. – Potrzebujemy naszyjnika. Im szybciej go znajdziemy, tym szybciej zaczniemy szukać pozostałych artefaktów. Musimy przecież wrócić do Nowego Jorku i pomóc Jianyu.

– Nie wiem, czy uda nam się to zrobić szybko. Nad włamaniem do Khafre Hall pracował cały zespół – przypomniała. – Jeśli w Saint Louis jest grupa Maginów, którzy aktywnie zwalczają Straż, może powinniśmy skorzystać z ich pomocy.

– Musielibyśmy najpierw ich znaleźć i przekonać, żeby nam zaufali. Nie mówiąc o tym, że sami nie wiemy, czy możemy im zaufać. Policja i Straż już wiedzą, że tu jesteś. Zakon też niedługo się dowie. Im szybciej się stąd zmyjemy, tym lepiej.

Eście trudno było z tym dyskutować. Choć w krótszych włosach i męskim garniturze mogła się łatwiej wtopić w tłum, każdy dzień zwłoki oznaczał dla nich dodatkowe ryzyko. Znalezienie Antistasi rzeczywiście mogło zająć trochę czasu. Nie była tylko pewna, czy Harte słusznie robi, z góry przekreślając tę możliwość.

Pianista wygrywał już ostatnie akordy, a tłum na parkiecie zaczął się przerzedzać.

– Pora iść – oznajmił Harte. Ton miał napięty, szczęka chodziła mu nerwowo.

Dobrze, pomyślała Esta. Mógł się dąsać, jeśli chciał. Ale nie mógł już odstawić jej na boczny tor.

1902 rok – Nowy Jork

Po wizycie w Delmonico's Viola zdawała sobie sprawę, że jest obserwowana jeszcze pilniej niż przedtem. Powiedzieć, że oblała egzamin, byłoby przesadą, lecz wahanie, które wtedy okazała, czyniło ją podejrzaną. Brat wciąż nie ufał jej do końca – i miał rację, bo przecież jej uległość była jedynie fortelem. Niemniej jego podejrzenia dodatkowo wszystko komplikowały. Zwłaszcza że – wiele na to wskazywało – wszedł w konszachty z Nibsym Lorcanem, tym zdrajcą.

Zabiłaby Nibsy'ego, ale nie chciała ryzykować gniewu brata. Jeszcze nie teraz. Najpierw musiała ustalić, jaki wspólny interes ich połączył. Paul był potężny, a jego ludzie bezwzględni; mógłby z ich pomocą raz-dwa rozprawić się z Nibsym i pozostałymi Diablami. Skoro jeszcze tego nie zrobił, widocznie Nibsy miał coś, na czym Paulowi zależało. Może trzymał go w szachu dzięki sekretom, które Dolph zbierał przez lata, również na temat gangu z Five Points. Viola odniosła jednak wrażenie, że ich stosunki są zbyt przyjazne, by mogło tu chodzić o zwykły szantaż.

Pozostając pod czujnym okiem brata, była poniekąd w służbie Nibsy'ego i Zakonu. Brzydziła się jednym i drugim, ale przynajmniej dopóki tu tkwiła, raczej nie musiała się ich obawiać. Zamierzała cierpliwie czekać i poznać ich słabe punkty. Wykorzysta Paula przeciwko Nibsy'emu i odzyska swój sztylet.

A gdy nadejdzie odpowiedni moment, zniszczy Zakon od wewnątrz.

Niestety, cierpliwe czekanie wiązało się z pozorowaną uległością, która była sprzeczna z jej naturą. Po wieczorze w Delmonico's Viola przez wiele dni zdzierała sobie ręce, szorując naczynia. Jedynym zaś ostrzem, które

udało jej się zdobyć, był nożyk do obierania, który schowała w fałdach sukni, dość żalony, bo mierzący zaledwie dziesięć centymetrów długości, z cienkiej stali, która dawno już wygięła się u wierzchołka. Nie miałyby z niego wiele pożytku w starciu z przeciwnikiem, ale też nic na razie nie zapowiadało takiego starcia. Zaproponowała Paulowi, że będzie jego bronią, a on zrobił z niej pomoc kuchenną. Czuła, że się tępi, jak nóż rzucony w kąt szuflady i zapomniany.

Drzwi w kuchni restauracji Mały Neapol otworzyły się za nią i Viola odruchowo sięgnęła po swój politowania godny nóż. Okazało się jednak, że to tylko matka przyszła zajrzeć do gara.

– *Giorno, Mamma* – rzekła Viola, spuszczać wzrok i usuwając się matce z drogi.

Twarz matki miała poważny wyraz, oczy patrzyły surowo. Wzięła od Violi chochlę i zamieszała soczewicę w kotle. Chrząknawszy, uniosła chochlę do ust i spróbowała, po czym skrzywiła wargi.

– Za mało słone. Dodałaś słoniny, tak jak ci mówiłam?

– Tak, mammo. – Viola wciąż stała ze wzrokiem utkwionym w podłogę, tak by matka nie dojrzała w nim frustracji. – W cienkich plastrach, tak jak kazałaś.

– I wytopiłaś z niej tłuszcz, zanim dodałaś soczewicę?

– Tak, mammo. – Viola zacisnęła zęby, żeby nie powiedzieć nic więcej.

– No to nic już nie poradzimy – stwierdziła matka, wzdychając.

Viola dobrze znała to westchnienie; w dzieciństwie słyszała je prawie codziennie.

– Jutro postarasz się bardziej.

– Tak, mammo. – Viola spróbowała rozluźnić szczękę i podniosła wzrok na matkę, która już przebierała w pokrojonych przez nią ziemniakach.

– Za grubo – mamrotała pod nosem.

Nieważne, że były pokrojone równiutko, w idealną kosteczkę – w końcu Viola umiała się posługiwać nożem. Reakcja matki zawsze była taka sama. Za grubo, za cienko, za słone, niesłone. Ilekroć przychodziła sprawdzić, jak

Viola sobie radzi, coś jej nie pasowało. Jej kochany Paolino zasługiwał na więcej.

A Viola?

Viola była zbyt dumna, zbyt zuchwała. „Za dużo chciała”.

Otrząsnęła się z tych przykrych wspomnień.

– Będziesz dziś jadła z Paolem, mamó?

To pytanie było nieudolną próbą pozbycia się matki z kuchni, zanim Viola powie lub zrobi coś, czego potem pożałuje.

– Si – odparła matka, unosząc talerz, by ocenić jego czystość. – Nałóż mi z chlebem.

Viola przygotowała dwa talerze soczewicy i dołożyła do nich po kromce. Przynajmniej do chleba matka nie mogła się przyczepić, Viola bowiem uczyła się go wypiekać od mistrzyni. Dzień w dzień patrzyła, jak Tilly w kuchni Stregi przemienia górę składników w ciepłe bochenki, którymi ludzie Dolpha najadali się do syta. Viola zapamiętała ruchy dłoni Tilly przy odmierzaniu, mieszaniu i ugniataniu – to, jak jej zwinne palce obrabiały grudę mąki i drożdży, aż stawała się ona gładka i jędrna niczym ciało. Była wtedy szczęśliwa, mogąc tak po prostu patrzeć na dziewczynę, w której się zakochała, przyjaciółkę, która nie przypuszczała, jak wiele dla niej znaczy.

Tilly była dzielna. Umarła, bo ruszyła na pomoc, nie myśląc o sobie ani o grożącym jej niebezpieczeństwie. Nawet utraciwszy magię, walczyła do końca. Viola zamierzała brać z niej przykład.

Otarła wilgoć z policzków i podniosła oba talerze. Przywołała na usta uśmiech, bo wiedziała, że jej brat chce ją oglądać uśmiechniętą. Wchodząc do sali, czuła na sobie wzrok chłopaków Paula, lecz ignorowała ich gorące spojrzenia. Wiedziała, że dopóki Paul traktował ją jak swoją własność, żaden jej nie tknie. Matka i brat siedzieli przy stole w rogu. Podawała im obiad ze sztywnym ukłonem, wiedząc, że odwaga musi być nieraz dyskretna i cicha, jak Tilly.

Zostawiła ich dwoje z jedzeniem. Ponieważ chciała odetchnąć świeżym powietrzem, postanowiła wynieść miskę z resztkami na śmietnik na tyłach

budynku. Wiązanka przekleństw, którą mamrotała pod nosem, przyprawiłaby o rumieniec największych twardzieli z Bowery, o ile zrozumieliby cokolwiek z jej włoszczyzny. Nie mówiła jednak w ojczystym języku z troski o cudzą wrażliwość. Nie obchodziło jej, czy jakaś dobrze wychowana dama zrozumie, co znaczą te słowa. Ona przestała być damą w dniu, w którym brat po raz pierwszy zmusił ją, by zabiła człowieka.

Stawiając miskę na ławeczce za budynkiem, zorientowała się, że nie jest sama. Udając, że wyciera dłonie w postrzępiony fartuch, sięgnęła po ukryty w fałdach sukni nożyk i poszła dalej, w stronę wychodków. Gdy kątem oka wykryła ruch, nie wahała się ani chwili. Jednym płynnym ruchem okręciła się na pięcie i rzuciła nożem.

Jak zwykle rzut był celny: przyszpilił intruzkę za rękaw do drewnianego płotu.

Intruz...kę?

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy ze strachu – a może to było tylko zaskoczenie? Cokolwiek to było, szybko zniknęło z jej rozpromienionej twarzy.

– Ach, brawo!

Viola potrzebowała chwili, żeby do niej dotarło, kogo ma przed sobą. Była to dziewczyna z Delmonico's, tyle że ubrana już nie w różową suknię z falbaną, lecz w ciemną spódnicę i coś na kształt męskiej kamizelki. U kołnierza bielutkiej koszuli miała schludnie zawiązany fular, a na głowie – męską czapkę. Wyglądała niedorzecznie, jak dziecko, które dla zabawy przebrało się w rzeczy swojego papy.

Wyglądała doskonale.

– Co ty tu robisz? – syknęła Viola, ignorując falę ciepła, która ją ogarnęła, i zerkając przez ramię w kierunku wejścia do kuchni. Dołożyła trudu, żeby ją ocalić, a teraz dziewczyna pcha się z powrotem do paszczy lwa.

– W tej chwili próbuję się uwolnić – odparła, mocując się z nożem tkwiącym w sztachecie.

Viola podeszła do niej i wyszarpnęła ostrze gwałtownym ruchem, od którego dziewczyna aż się wzdrygnęła. Potem przysunęła nóż do jej szyi.

– Nie powinnaś tu przychodzić.

Szczęk odbezpieczanego rewolweru uświadomił jej, że nie są same.

– A ty nie powinnaś znów jej grozić, panno Vaccarelli.

Wie, jak się nazywam, pomyślała Viola. By pokazać, że się nie boi, rzuciła mu wściekłe spojrzenie, a noża nie opuściła.

– Mogłabyś łaskawie pójść z nami? – Wykonał gest rewolwerem, który siedział mu w dłoni mniej więcej tak pewnie jak żywa ryba.

Ach, ci *americani*, pomyślała. Im się wszystkim zdaje, że są kowbojami. Krowa ma więcej rozumu niż oni.

– Nigdzie nie idę.

Dziewczyna posłała towarzyszowi karcące spojrzenie.

– Theo, przestań się wydurniać i schowaj broń. – Potem jej granatowe oczy napotkały wzrok Violi, a policzki lekko się zaróżowiły. – Nie mamy zamiaru robić ci krzywdy, choć Theo bardzo się stara, żeby to wyglądało inaczej. Chcemy tylko porozmawiać.

Viola raz jeszcze zerknęła na mężczyznę – tego samego co w restauracji.

– Nie mam wam nic do powiedzenia – oznajmiła.

Dziewczyna westchnęła.

– Jak widzisz, wiemy, kim jesteś. Viola Vaccarelli, siostra Paula Vaccarellego, właściciela tego zacnego przybytku i przywódcy gangu łajdaków terroryzującego Bowery od czasu wyborów zeszłego lata. Oczywiście zważywszy na jego rzekome powiązania z ratuszem...

– Cśśś – syknęła Viola i znów obejrzała się za siebie.

– Ona potrafi tak godzinami – wtrącił wesoło mężczyzna. – Jest tylko jeden sposób, żeby przestała: trzeba pozwolić jej skończyć.

– Brzmi rozsądnie – przyznała dziewczyna z uśmiechem, od którego zmarszczył jej się nos.

Taki kokieteryjny uśmieszek w normalnych okolicznościach powinien Violę mierzić, ale z jakiegoś powodu przeszył ją na wskroś dziwnym prądem.

– Viola? – zawołał Torrio z kuchni. – Jesteś tam?

Viola zamarła. Myślała, że dała mu jasno do zrozumienia, że ma się do niej nie zbliżać, ponieważ jednak Paul popierał jego zaloty, a sam Torrio widział w niej szansę na umocnienie swoich wpływów, nie dawał za wygraną. Ledwie zniknął, znów się pojawiał. Był jak uciążliwa wysypka.

Wypchnęła dziewczynę za róg budynku.

– Musicie stąd iść. Natychmiast.

– Nie po to szliśmy taki kawał – odrzekła tamta z afektacją.

– Hej, Viola! – znów zawołał Torrio. – Trzeba ci w czymś pomóc?

W jego tonie słyhać było lekkie zniecierpliwienie. Jakby uważał, że ma do niej prawo.

– Nie, nie! – odkrzyknęła, jednocześnie posyłając tamtym dwojgu milczący sygnał, że mają się nie odzywać.

– Co tam robisz? – Głos Torria rozlegał się coraz bliżej.

Violę przebiegł dreszcz strachu. Gdyby Torrio zobaczył ich tutaj – całych i zdrowych – wyszłoby na jaw, że wcale ich wtedy nie zabiła. I że, co gorsza, zapobiegła wykonaniu rozkazu, nie pozwalając mu strzelić do leżących na ziemi ciał.

Trzeba było się go wtedy pozbyć.

– Już idę! – zawołała. – Muszę się wysikać. Poradzę sobie bez twojej pomocy.

Po tych słowach zapadła grobowa cisza. Mężczyźni, pomyślała. W pewnych sprawach są tacy delikatni.

Chwilę później Torrio odezwał się natarczywiej:

– Twoja matka wychodzi, więc może się pospiesz, co?

Viola ponownie wymamrotała wiązaną przekleństw. Poczekała, aż Torrio wróci do środka, po czym spojrzała w stronę nieproszonej gości.

Dziewczyna uśmiechała się do niej. Viola podparła się pod boki.

– Co jest takie śmieszne?

Dziewczyna wcale nie wyglądała na zawstydzoną. Przeciwnie, zmierzyła Violę od stóp do głów długim rozbawionym spojrzeniem, które w końcu zatrzymało się na twarzy. Wyraz oczu dziewczyny jakby się zmienił, lecz Violi trudno było tę zmianę nazwać.

– Nic takiego – odparła dziewczyna, poważniejąc. – Naprawdę nic.

– Może tak byśmy odbyli tę rozmowę gdzie indziej? – zasugerował Theo.

– Tak – poparła go dziewczyna. – Mamy dużo do omówienia.

Viola jeszcze raz spojrzała przez ramię, czy nikt jej nie szuka.

– Dobrze – oznajmiła, wiedząc, że im szybciej spełni życzenie dziewczyny, tym prędzej uwolni się od niej raz na zawsze.

– Co powiesz na krótką przejażdżkę? – zaproponował mężczyzna. – Tam dalej czeka na nas powóz.

– W porządku – zgodziła się Viola. Teraz liczyło się tylko to, by nie zobaczył ich Torrio ani jej brat.

Lecz idąc obok tej dziewczyny, coraz dalej od budynku Paula, coraz bliżej lśniącego powozu na kolejnej przecznicy, zdała sobie nagle sprawę, że R.A. Reynolds nie pachnie słodkimi liliami ani zalotną wonią róż, jak można by się po niej spodziewać. Nie, pachniała czymś znacznie bardziej przyziemnym. Makiem? I gdy ten zapach uderzył Violę w nozdrza, natychmiast zrozumiała, że jest w gorszych opałach, niż sądziła.

WYMUSZONA BLISKOŚĆ

1902 rok – Nowy Jork

Ruby Aurelea Reynolds wiedziała, że ma kłopoty, gdy tylko usiedli z Theo w zamkniętym powozie z tą skromnej postury Włoszką, która jednak wypełniała swoją obecnością niemal całe wnętrze. Ruby rzadko czuła się onieśmielona. Najmłodsza z pięciu sióstr, przetrwała jakoś dzieciństwo pod znakiem porcelanowych filiżanek i wykrochmalonych fartuszków, by stać się tym, kim chciała – dziennikarką, która wdarła się na łamy gazet mimo protestów matki i konsternacji towarzystwa. A że raz i drugi wywołała skandal? Cóż, skandale były świetnym sposobem na pozbycie się niechcianych absztyfikantów, którym zresztą zależało tak naprawdę jedynie na majątku pozostawionym przez ojca panny Reynolds.

Nie przerażały jej ani ponure slumsy, ani wytworne matrony, lecz siedząc naprzeciwko Violi Vaccarelli, prawie stykając się z nią kolanami w rozkołysanym powozie, Ruby poczuła nagłe zdenerwowanie. Nie żeby wcześniej naiwnie sądziła, że Viola nie jest groźna. Oczywiście, że była groźna. Chodziło przecież o siostrę osławionego gangstera, dziewczynę, która, gdy się spotkały po raz pierwszy, trzymała nóż przy gardle biednego Theo. A jeśli dodać, co zrobiła z głupim kuchennym nożykiem... Nie, Ruby ani przez chwilę nie lekceważyła zagrożenia z jej strony.

Po prostu nie zdawała sobie sprawy... Nie całkiem.

Jeszcze tego ranka wszystko wydawało się takie proste: mieli z Theo znaleźć Violę, a potem ona, Ruby, miała ją sobie owinąć wokół palca, wydobyć z niej wszelkie informacje przydatne do pokonania Zakonu.

Nowojorczyki mieli wysokie mniemanie o Zakonie Ortus Aurea, bo nie znali prawdy. Członkowie Zakonu pozowali na krystalicznie czystych

obrońców miasta przed zalewem dzikiej hołoty. Może i kiedyś nimi byli, ale dawno już przestali. Źródła donosiły, że Zakon jest w zмовie ze skorumpowanymi politykami, a jej własne niedawne doświadczenia pokazywały, że Ortus Aurea posuwa się nawet do współpracy z pospolitymi przestępcami w rodzaju Paula Kelly'ego, którzy odwalali za nich mokrą robotę. Gdy szło o umacnianie swoich wpływów, ochronę swojej reputacji, Zakon nie cofał się przed niczym. Lecz w imię czego? W mieście wcale nie było przez to bezpieczniej. A śmierć ojca? Rodzina mogła sobie twierdzić, co chciała, ale Ruby była pewna, że matka została sama z pięcioma córkami właśnie z winy Zakonu.

Dopiero teraz, gdy Viola łypała na nią w złowroziej ciszy, Ruby zaczęła powątpiewać w swój plan. Viola nie wyglądała na kogoś, kto da się łatwo owinąć wokół palca. Inna rzecz, że Ruby miała tyle do ugrania... Mogła zdziałać wiele dobrego, musiała się tylko odważyć na wykonanie pierwszego kroku.

Po długiej ciszy, mąconej przez terkot kół na wyboistych ulicach, Ruby stwierdziła, że się waha – i że to do niej niepodobne.

– Może powinniśmy zacząć od przedstawienia się sobie – powiedziała, naśladowując promienny głos, jakim jej matka zwykła rozmawiać z gośćmi. Wyszło jej to nieco zbyt piskliwie, z nutą fałszu. – Jak wiesz, nazywam się R.A. Reynolds. R. to skrót od Ruby. A to mój narzeczony: Theodore Barclay.

– Mów mi Theo – zaproponował.

Viola dalej patrzyła na nich milcząco spode łba. Ruby zauważyła, że jej zmrużone oczy mają niesamowity fioletowy odcień, jak irysy, które matka hodowała w szklarni na dachu.

– Kim ty jesteś, już wiemy – dodała, gryząc wargi z nerwów. Początek nie był najlepszy. – Theo, skarbie, odłóż to. Potrafiłbyś się odprężyć, gdyby ktoś bez przerwy w ciebie mierzył z rewolweru?

Viola zerknęła na broń w jego ręku, ale nie wyglądała wcale na wystraszoną. Ani na odprężoną, gdy Theo wreszcie schował rewolwer do kieszeni marynarki.

– Naprawdę... – Ruby mówiła prawie szeptem. – Mimo tego... incydentu w Delmonico's... nie mamy złych zamiarów. Wiemy, że nie chciałaś zrobić nam krzywdy.

Ciemne brwi Violi lekko się uniosły.

– Wiecie?

Ruby skinęła twierdząco głową.

– Oczywiście. To ten drugi, John Torrio, cię zmusił. W trakcie moich dziennikarskich śledztw dowiedziałam się co nieco o nim i różnych jego... pomysłowych metodach. Ale dopiero tamtego wieczoru w Delmonico's zrozumiałam, kim on jest.

Jedyną reakcją Violi były zmarszczone brwi. Raczej nie zamierzała nic dodawać od siebie.

– No wiesz – nie poddawała się Ruby, licząc na to, że Viola zrozumie, o co jej chodzi. – To jeden z nich.

– Torrio jest groźny, tyle o nim wiem – odparła Viola, spoglądając na Ruby jak na ostatnią idiotkę.

Ruby знаła to spojrzenie: często je napotykała, kiedy próbowała podjąć jakiś ważny temat. To spojrzenie mówiło, że powinna wracać do salonu i zająć się robótkami albo rodzeniem dzieci, zapomnieć o prawdziwym życiu.

– Należy do gangu z Five Points, tak samo jak twój brat, ale to nie wszystko, prawda?

Viola obrzuciła ją zde gustowanym spojrzeniem.

– Posłuchaj, panno Reynolds...

– Ruby...

– Panno Reynolds – powtórzyła z naciskiem Viola, wyraźnie się od niej dystansując mimo ciasnoty powozu. – Nie wiem, w co ze mną grasz, ale wierz mi, nie chcesz zadzierać z Johnem Torrio ani z moim bratem. To nie są przyjemniaczki. Oni grają według własnych reguł i bez wahania pozbędą się każdego, kto stanie im na drodze.

– Nie boję się ich – odparła Ruby, unosząc podbródek. Na pewno nie byli gorsi od większości przyjaciółek jej sióstr, od tych zazdrosnych harpii, które za jedno krzywe spojrzenie gotowe były kłamliwą plotką zszargać dziewczynie reputację.

– W takim razie jesteś idiotką – oznajmiła Viola. – To nie zabawa. Mój brat i Torrio zabijają ludzi. Tak, by nie było śladów.

Brzmienie jej drżącego głosu niespodziewanie ścisnęło Ruby za serce.

– A ratusz ich kryje – odparła, coraz głębiej przekonana, że obrała właściwą drogę. – Ludzie wybrani po to, by służyć wszystkim, chronią... bandytów, których powinni zwalczać.

Theo poklepał ją po kolanie i Ruby zdała sobie sprawę, jak bardzo się uniosła.

– Czasem puszczają jej nerwy – odezwał się.

– Nie puszczają mi nerwy! – rzuciła szorstko, odpychając jego rękę. Czowała, że policzki jej płoną, i przeklęła w duchu matkę za to, że odziedziczyła po niej tak jasną skórę, na której wszystkie emocje odmalowywały się tym samym różowym kolorem.

– Oczywiście, że nie – odparł, lecz Ruby знаła ten ton.

Uwielbiała Theo, ale nie znosiła, gdy traktował ją protekcjonalnie. Rzuciła mu kose spojrzenie, na co Theo uniósł teatralnie ręce w geście kapitulacji. Ruby zwróciła się do Violi.

– Nie puszczają mi nerwy – powtórzyła. – Po prostu sprawy, w które wierzę, budzą we mnie emocje. Jestem w końcu dziennikarką.

– Ten tutaj to twój narzeczony? – spytała Viola.

– Przyznaję się bez bicia – podchwycił Theo, znów krzywo się uśmiechając.

– I pozwalasz jej na to? – Twarz Violi wyrażała niedowierzanie. – Następny idiota.

Theo zaśmiał się na głos.

– Nie potrzebuję jego pozwolenia – wtrąciła Ruby, czując jeszcze większy ogień na policzkach.

– To prawda – zgodził się Theo. – Ja tylko za nią chodzę i sprzątam po niej bałagan – oznajmił wesoło. – Czego się nie robi z miłości...

Dość tego. Rzuciła mu miażdżące spojrzenie, lecz Theo wciąż się uśmiechał. Pewnie dlatego, że wiedział, jak bardzo ją to zdenerwuje.

– Ja z tym bałaganem nie chcę mieć nic wspólnego – oznajmiła Viola. – Mam dość własnych kłopotów. Nie potrzebuję cudzych. Bądźcie tak mili i pozwólcie mi wysiąść...

– Ale przecież jeszcze nie porozmawialiśmy! – zaprotestowała Ruby z przerażeniem w głosie. Wyciągnęła rękę i zacisnęła palce na dłoni Violi.

Nawet przez delikatne skórzane rękawiczki poczuła ciepło jej skóry. Zastanawiała się, czy Viola też poczuła tę falę energii, bo ledwie ich ręce się zetknęły, cofnęła swoją jak oparzona.

– No to słucham – odparła Viola tonem bardziej szorstkim niż jeszcze przed chwilą. Jej fioletowe oczy jakby pociemniały.

– No więc... – Ruby musiała sobie przypomnieć, o czym chciała porozmawiać. – Tak... – Wyjęła z torebki notes i ołówek, by dać sobie chwilę na zebranie myśli.

Przewracała kartki zapisane własnymi zawijasami. Przeglądając te notatki, odzyskała spokój i koncentrację. Viola Vaccarelli, w przeciwieństwie do większości dziewcząt, wśród których dorastała Ruby, nie była żadną durną i afektowaną debiutantką. Głowę trzymała wysoko i patrzyła prosto w oczy. Jakby umiała przejrzeć pozę Ruby, dostrzec wszystkie wątpliwości ukryte pod powierzchnią pozorów.

Nabrała powietrza, wyprostowała się i zaczęła.

– Przygotowuję tekst o korupcji w sercu miasta. Wiem, że gang z Five Points jest w zмовie z ratuszem...

– Każdy to wie – zauważyła Viola, krzyżując ramiona na kształtnych piersiach.

Ona nie nosi gorsetu, zdała sobie sprawę Ruby. Była to absurdalna myśl w takiej chwili, lecz Ruby nie mogła się od niej uwolnić. Poza tym w stroju Violi nie było nic wyzywającego. Wydawał się po prostu... wygodny.

Skup się, Reynolds.

– Tak jak mówiłam, ludzie wiedzą o związkach z ratuszem, ale po naszym spotkaniu w Delmonico's zdałam sobie sprawę, że twój brat musi też pracować dla Zakonu Ortus Aurea.

– A co to kogo obchodzi? – zapytała Viola, lecz po wyrazie jej twarzy Ruby domyśliła się, że trop jest dobry.

– Ludzi może obejść to, że organizacja, której członkowie mienią się obrońcami miasta, współpracuje z brutalnymi gangsterami pokroju Paula Kelly'ego. Ale jeszcze bardziej powinno ich obejść to, że Zakon współpracuje z tymi, przed którymi rzekomo nas chroni. Chcę ich zdemaskować, panno Vaccarelli. Chcę, żeby całe miasto dowiedziało się, że Zakon nie tylko nie jest dobroczynną siłą, za którą chce uchodzić, ale wręcz przeciwnie, chroni niebezpiecznych przestępców.

– To się nie uda – odparła Viola, kręcąc głową.

– To moja praca – stwierdziła Ruby.

– Jeśli chcesz dożyć własnego ślubu, radzę ci się zastanowić – powiedziała Viola dziwnie drżącym głosem. – Mój brat i jego zbiry nie pozwolą ci wtykać nosa w ich sprawy. Właśnie to ci próbowałam wytłumaczyć w restauracji. Skończ z tym, zanim oni skończą z tobą.

– Mogą spróbować, ale jeśli przedtem ich zdemaskuję, to nie będzie miało znaczenia – odrzekła Ruby, starając się zawrzeć w tych słowach swoją głęboką wiarę w sens całego przedsięwzięcia. – Tylko potrzebuję twojej pomocy.

– Niby co miałabym dla ciebie zrobić?

– Nie udawaj, że nie wiesz, że wśród ludzi Paula Kelly'ego są Magini.

Viola zbladła. Przez chwilę wyglądała, jakby chciała wyskoczyć z jadącego powozu.

Może jednak nie wie, pomyślała Ruby.

– John Torrio jest Maginem – oznajmiła, nie wiedząc po co ścisząc głos.

– Torrio? – Viola, skonsternowana, zmarszczyła czoło.

– Musiałaś o tym wiedzieć – upierała się Ruby. – Ja zrozumiałam od razu, gdy tylko się ocknęłam na podłodze w Delmonico’s. No bo jak inaczej wytłumaczyć to, że oboje w tej samej chwili straciliśmy przytomność? Poza tym... – Zniżyła głos do szeptu. – Czuliśmy magię, prawda, Theo?

Theo zrobił udręczoną minę.

– Ja się czułem, jakbym przywalił głową w stół, skarbie.

Ruby rzuciła mu jeszcze jedno poirytowane spojrzenie, po czym zwróciła się z powrotem ku Violi.

– Aż się iskrzyło w powietrzu.

– Myślicie, że John Torrio włada starą magią? – spytała Viola tonem głębokiego niedowierzania.

Nie wiedziała, biedaczka.

– Tak. Wiem, że to może być dla ciebie szokiem, ale teraz już rozumiesz, dlaczego ten artykuł, który piszę, jest taki ważny. Jeśli dowiodę, że gang Kelly’ego korzysta z usług Maginów, a Zakon chroni gang, będę w stanie wykazać, że Zakon chroni tych, których rzekomo próbuje zniszczyć. Rozumiesz chyba? – Pochyliła się i bez zastanowienia chwyciła Violę za rękę. Znowu poczuła przypływ gorąca, lecz tym razem go zignorowała. To była adrenalina. Podniecenie. Viola też musiała to poczuć. – Z twoją pomocą – dodała Ruby – mogę pogрузić Zakon.

DODATKOWE KORZYŚCI

1902 rok – Nowy Jork

Violi odebrało mowę. Przyglądała się tej dziewczynie, Ruby Reynolds, jej błyszczącym oczom i wyczekującej minie, i nie mogła wydusić słowa. Czy ona naprawdę myślała, że Torrio jest Maginem?

– Rozumiesz, jakie to ważne, prawda? – powtórzyła Ruby. – Pomożesz mi?

– Dlaczego?

Ruby zmarszczyła brwi.

– Co dlaczego?

– Dlaczego chcesz zniszczyć Zakon? Oni są tacy jak ty: biali, bogaci i stąd. Masz świat u swoich stóp. Po co to robisz?

Ruby miała minę, jakby ktoś ją spoliczkował.

– Może nie chcę być taka jak oni, panno Vaccarelli.

Zamilkła, lecz nie była to cisza spowodowana strachem. Nie, to milczenie miało w sobie zaciekłość, którą Viola doskonale rozumiała. Malowany ptak na jej oczach przeobraził się w cichą i śmiertelnie groźną tygrysięcę.

– Tak – dodała Ruby głosem kruchym jak rozbite szkło. – Świat leży u moich stóp. Mam wspaniałe życie wypełnione wspaniałymi ludźmi i wspaniałymi przyjęciami w najwspanialszym mieście świata. – Pochyliła się do przodu z powagą. – Ale mam też dość udawania, że takie życie mnie zadowala. Wolę już umrzeć.

Viola nie zamierzała dać się wzruszyć tej bogatej dziewczynie i jej okrągłym zdaniom.

– Tak to się skończy, jak będziesz się kręcić koło Paula Kelly’ego.

– Przynajmniej umrę z poczuciem, że dobrze przeżyłam swoje życie.

Theo delikatnie poklepał Ruby po nodze, jakby chciał ją pocieszyć, ale dla Violi było jasne, że Ruby wcale nie potrzebuje pocieszenia. Policzki miała czerwone, spojrzenie jasne i pełne determinacji. Dziwne z niej było stworzenie, wcale nie tak delikatne, jak Viola z początku sądziła. Choć pewnie tak rozpieszczone, skoro rodzina pozwalała jej ganiać po mieście za każdym pomysłem, który wpadł jej do głowy.

– Zakon jest zagrożeniem dla tego miasta – oznajmiła Ruby ciszej, ale z powagą w głosie. – Osłabł i boi się własnej słabości. Boi się, że jest niepotrzebny, przestarzały, i dlatego, chcąc odbudować wpływy, szuka pomocy w ratuszu, a teraz szuka jej u twojego brata. Sam stał się tym, przed czym miał chronić mieszkańców. Nasłali na mnie ciebie i Torria tylko dlatego, że napisałam artykuł do gazety. Artykuł, w którym niczego nie zmyśliłam. Pokazałam jedynie, jacy są słabi i nieskuteczni. Oni nie chcą, żeby ktokolwiek się dowiedział, co naprawdę wydarzyło się w Khafre Hall. Nie chcą, żeby ludzie zrozumieli, że dalsze trwanie Zakonu nie ma sensu, i dlatego chwytają się wszystkiego – włącznie ze skorumpowanymi politykami, przestępcami, a nawet Maginami – żeby chronić swoją władzę. Ratować umierającą organizację. A to oznacza, że ludzie będą ginąć.

– Już giną – rzekła ponuro Viola.

– A więc rozumiesz? – spytała Ruby tonem, w którym pobrzmiwała nadzieja.

Przez długą chwilę wszyscy troje siedzieli w milczeniu. W końcu przerwał je Theo:

– Możemy ci oczywiście zapłacić za twoje świadectwo. A jeśli martwisz się o swoje bezpieczeństwo, pomożemy ci opuścić miasto.

„My”. No tak, w końcu byli parą. Zamierzali się pobrać. A wtedy ta dziewczyna będzie jak wszystkie inne, które ułożyły sobie bukiet i ofiarowały się mężczyźnie. Ciekawe, co się wtedy stanie z ogniem, który w sobie ma? Zgaśnie czy może wybuchnie, niszcząc sielankowy obraz wspólnego życia?

Viola zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie martwię się o swoje bezpieczeństwo. – Ta dziewczyna sama była zagrożeniem dla siebie, dla wszystkich Maginów, wreszcie dla niej. Viola tylko w jeden sposób mogła nad tym zagrożeniem zapanować. A że przy okazji osłabi potęgę Zakonu? To dodatkowa korzyść. Dziwni to będą sojusznicy, pomyślała, spoglądając na tamtych dwoje. Wydawali się jednak wiarygodni.

– Dobrze – oznajmiła Viola. – Pomogę ci.

– Dziękuję... – zaczęła Ruby, lecz Viola uciszyła ją gestem uniesionej dłoni.

– Mam warunek.

– Jaki? – Theo patrzył teraz na nią jak na karalucha, który właśnie wybiegł spod kredensu.

– Dopóki ze sobą współpracujemy, nie napiszesz żadnego innego tekstu. Ani jednego – zaznaczyła, widząc, że dziewczyna zamierza się z nią kłócić.

– Kiedy ja muszę – zaprotestowała Ruby. – To mój zawód.

Viola pokręciła głową. Gdyby Ruby Reynolds opublikowała kolejny artykuł, stałoby się jasne, że Viola wcale jej nie zabiła.

– A pod pseudonimem? – zasugerował jej narzeczony.

– Ale Theo...

– Tylko do czasu, aż się wszystkiego dowiesz. – Theo zerknął na Violę. – Ile to potrwa?

– To zależy, czego będzie ode mnie chciała.

– Potrzebuję informacji – odparła Ruby. – Z tego, co się orientuję, Zakon szuka ludzi, którzy zniszczyli Khafre Hall. Muszę wiedzieć, co stamtąd wykradli. Potrzebuję nazwisk, dowodów na związki Zakonu z twoim bratem i gangiem z Five Points. Muszę dowieść ponad wszelką wątpliwość, że Zakon nie jest organizacją, za jaką się podaje. Że stanowi zagrożenie dla tego miasta.

– Prosisz o wiele. Nie wiem, czy nie o zbyt wiele. To potrwa – stwierdziła Viola, zanim Ruby zdążyła otworzyć swoją przemądrzałą

buzię. – Paul mi nie ufa. Zdobycie tych informacji nie będzie łatwe. – Ale nie byłoby niemożliwe. A gdyby Violi przy okazji udało się obciążyć Nibsy’ego? Upiekłaby dwie pieczenie na jednym ogniu. – Jeśli będziesz pisać kolejne teksty, utrudnisz mi zadanie. I narazisz mnie na jeszcze większe niebezpieczeństwo – zakończyła, próbując zagrać na emocjach dziewczyny.

– Nie może milczeć w nieskończoność – stwierdził Theo. – Musi być jakaś granica.

Dopóki nie odzyskam Libitiny, pomyślała Viola, lecz nie mogła tego powiedzieć na głos.

– Dopóki nie powiem. Taka jest moja propozycja. Możecie ją przyjąć albo poszukać sobie innego dojścia do gangu.

Czekała, przypuszczając, że jej bluff się nie uda – że Ruby odrzuci jej ofertę i sama porwie się na tę szaleńczą misję – ale jednak po cichu liczyła, że stanie się inaczej.

W końcu Ruby skinęła twierdząco głową.

– Umowa stoi.

Viola przez chwilę spoglądała na wyciągniętą w jej stronę dłoń, przeklinając się w duchu, że dała się w to wplątać. Powinna odejść, umyć od tego ręce. Ale gdyby dziewczyna pomogła jej zniszczyć Zakon i pokazać bratu, gdzie jego miejsce, a przy tym jeszcze odegrać się na Nibsym? Takiej okazji nie wolno było zaprzepaścić.

Nie podobała jej się ta Ruby Reynolds. Jej idealnie białe zęby, lekko zadarty nos i policzki, które różowiły się za każdym razem, gdy ktoś coś do niej mówił. Może i była mniej delikatna, niż Viola sądziła, lecz mimo to zbyt delikatna, by przetrwać w jej świecie. Cóż. Została uprzedzona.

Viola uścisnęła jej rękę, ignorując ciepło rozlewające się po całym ciele, gdy jej dłoń przylgnęła do gładkiej skórzanej rękawiczki Ruby. Ich oczy się spotkały i nie wiedzieć czemu Viola zobaczyła w nich spojrzenie Tilly. To sprawiło, że zapalała do Ruby Reynolds jeszcze większą niechęcią.

Dopiero teraz się zorientowała, że powóz stoi. Prędko cofnęła rękę.

– Kiedy następne spotkanie? – spytał Theo, przerywając ciszę.

Viola pokręciła głową.

– Nie wiem.

– Musisz nam... – zaczął Theo, ale Ruby go powstrzymała.

– Na pewno ma swoje obowiązki – powiedziała mu, nie odrywając jednak wzroku od oczu Violi. – Jak tylko czegoś się dowie, da nam znać... Mam rację?

Jeszcze kilka dni temu Viola była pogodzona z tym, że resztę życia spędzi w Bowery. Brakowało jej Tilly, ale nie narzekała na swój los, miała jasność, czego się po nim spodziewać. Teraz nic już nie było pewne. Nie wiedziała, gdzie wyląduje. Obiecała sobie jednak, że wyląduje na dwóch nogach.

– Dam znać.

Theo wyjął z kieszeni marynarki kremową wizytówkę i wręczył ją Violi.

– Znajdziesz nas pod tym adresem.

Odbierając od niego wizytówkę, zwróciła uwagę na idealnie opiłowane paznokcie, na miękkie opuszki palców – i na adres przy Madison Avenue. Zabijała już o wiele groźniejszych ludzi niż Theo Barclay, lecz pierwszy raz od bardzo dawna odezwał się w niej lęk zgoła innego rodzaju.

Theo otworzył i przytrzymał jej drzwi. Wsiadłszy, zorientowała się, że jest wciąż w tym samym miejscu – tyle się wydarzyło, a powóz w tym czasie jedynie zatoczył koło.

– Do zobaczenia wkrótce – powiedziała Ruby, zanim drzwi się zamknęły.

Viola patrzyła, jak wóz odjeżdża i znika za rogiem, zostawiając w tyle brud i nędzę Bowery, jakby nigdy go tutaj nie było.

Otrząsnąwszy się z ponurego zamyślenia, zawróciła w stronę siedziby Paula. Ruby Reynolds mogła sobie zgrywać bohaterkę, ale tak naprawdę była tylko znudzoną i spragnioną wrażeń dziewczynką z bogatej rodziny. Łączyła w sobie wszystko, czego Viola nie znosiła: uprzywilejowanie, beztroskę i oderwanie od realiów życia.

Tak było w teorii. Ale Viola widziała, jak zmienił się wyraz jej twarzy, gdy opowiadała o innym życiu. Owszem, Ruby Reynolds ucieleśniała to wszystko, czego Viola nienawdziła, zarazem jednak Viola czuła bez cienia wątpliwości, że musi się postarać, aby ta delikatna ślicznotka nie postradała życia, zanim przejrzy na oczy.

1904 rok – St. Louis

Na dworze przed barem U Kinga wilgotne wieczorne powietrze wciąż miało w sobie chłód minionej burzy. Esta wcisnęła czapkę nisko na czoło. Plecy trzymała prosto i szła zdecydowanym krokiem, pomna wskazówek Julienu. Wciąż gniewała się na Harte'a, wciąż wracała myślami do wypadku pociągu, do Antistasi, próbując ułożyć to wszystko w sensowną całość, ale jej irytacja z każdą chwilą słabła.

Czuła się zaskakująco pewnie, idąc przez to całkiem obce miasto. Może ze względu na jego znajomą energię – na to nagromadzenie ludzi, którzy razem tu żyli i oddychali, spierali się i kochali. Mimo późnej pory St. Louis było rojne i tętniło życiem.

Kiedy dotarli do pensjonatu, Harte się zawahał. Niebo się przetało i twarz chłopaka tonęła w bladej poświacie księżyca.

– Co się stało? – spytała Esta.

– Nic. Po prostu... – Ale zamiast dokończyć, potrząsnął tylko głową i ruszył po stopniach na ganek, a potem schodami na piętro, gdzie znajdował się ich pokój.

Po wejściu do środka Esta marzyła tylko o jednym: by zrzucić z siebie zasmrodzone ubranie. Trąciło dymem z cygar, którymi Julien uparcie ich okadzał, a także poprzednim właścicielem. Cisnąwszy marynarkę w kąt, zaczęła rozpinać guziki u koszuli. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że Harte wciąż stoi w progu, z rękoma wetkniętymi w kieszenie i zagadkową miną.

– Nie wchodzisz? – spytała, wysuwając ręce z rękawów.

Jego oczy prześlizgnęły się po prześcieradle, którym owinęła się przed wyjściem, by zamaskować kobiece kształty.

– To się nie uda – powiedział.

On znowu swoje, pomyślała.

– Julien był innego zdania. Zresztą nie zauważyłam, żeby ktoś w barze mi się przyglądał, a ty?

Lecz Harte już kręcił głową na znak niezgody. Nigdy się z nią nie zgadzał.

– Po prostu jesteś zły, że sam na to nie wpadłeś – dodała.

– Zły? – powtórzył zdziwiony, robiąc krok w jej stronę. Jego głos brzmiał głucho, oczy miały jakiś nieprzenikniony wyraz.

– A nie?

Zrobił kolejny krok, a potem następny, aż wreszcie podszedł tak blisko, że czuła jego ciepło.

– Wściekły – odrzekł, ale jego ton w ogóle na to nie wskazywał.

W oczach coś mu błyskało, ale nie były to dziwne kolory, które widywała wcześniej. Nie, teraz to było pytanie, iskra nadziei, pragnienia, głodu tak potężnego, że mogła już tylko unieść zapraszająco podbródek.

Chwilę później usta Harte'a przywarły mocno do jej ust, nie pozostawiając miejsca na kolejne pytania. Mogłaby go powstrzymać, mogłaby powstrzymać siebie, ale nie chciała. Woląca objąć go za szyję i przyciągnąć bliżej. Strach, frustracja i zmartwienie towarzyszące jej przez cały wieczór nie zniknęły, ale nagle przestały mieć znaczenie. Liczył się tylko dotyk jego warg, całe jego twarde, ciepłe i spragnione ciało. Harte pocałował ją głębiej i przez chwilę oboje byli tylko tym pocałunkiem.

A potem zniecka się cofnął, zrywając połączenie między nimi. Oczy błyszcząły mu teraz jaśniej i znów mieniły się nienazwanymi kolorami, pierś falowała ciężko. Esta miała ochotę przyciągnąć go do siebie i znów pocałować, ale czekała, wyczuwając, że taki pochopny ruch mógłby wszystko zepsuć.

Harte pomału, ostrożnie wyciągnął rękę i odgarnął jej grzywkę z czoła.

– Nie mogę uwierzyć, co ty z nimi zrobiłaś.

Jego uwaga trochę ją ostudziła.

– To tylko włosy, Harte – powiedziała. Lecz gdy tak muskał palcami jej nową fryzurę, trudno było się długo na niego gniewać. – Nie obchodzi mnie, czy ci się podoba.

Zmarszczył brwi.

– Nie powiedziałem, że mi się nie podoba – rzekł cicho.

– Po twojej reakcji w barze sądziłam... – Urwała, bo zjechał dłonią po jej obnażonej szyi. – Nie wyglądałeś na zadowolonego.

– Dziwisz mi się? – szepnął, po czym oparł się czołem o jej czoło. – Zaskoczyłaś mnie. Myślałem, że jesteś tutaj, bezpieczna, i nagle zjawiasz się... w tym stroju.

Zrobiła krok w tył i już miała znów się odgryźć, ale powstrzymała się na widok jego miny. Pragnął jej i potrzebował tak jak ona jego, miał to wymalowane na twarzy.

Przesunął palcami po jej szyi, a Esta poczuła w tym miejscu rozgrzewające ciepło własnej rozbudzonej magii.

– Właściwie równie dobrze mogłaś przyjść naga. Miałaś odsłoniętą szyję, a twoje nogi w spodniach...

– Nikt mi się nie przyglądał. – Esta była jednocześnie rozbawiona i poirytowana jego pruderią.

– Ja się przyglądałem – odparł i znów ją do siebie przyciągnął, a jego rozpaczliwy pocałunek pozbawił ją tchu.

Prawie zapomniała, że drzwi wciąż stoją otworem, tak bardzo wczuła się weń wszystkimi zmysłami. Harte głaskał ją po szyi, po ramionach, kołnagromadzony w niej gniew i strach, zagłuszał pustkę, którą czuła, gdy nie panowała nad własną magią, i rozniecał w niej coś innego – ciepłego i jasnego jak nic, co znała do tej pory. Zaczął szarpać za supeł na prześcieradle i po chwili opadło ono na podłogę, a Esta przywarła nagą skórą do jego szorstkiej marynarki. Mogłaby go w każdej chwili zatrzymać,

ale nie chciała. Zanurzyła palce w jego włosach i przyciągnęła go bliżej na znak zachęty. Pragnęła go tak, jak on jej.

Że się przemieszczają, uświadomiła sobie dopiero, gdy uderzyła łydkami o brzeg łóżka i oboje runęli na cienki materac. Harte przygniótł ją swoim ciężarem. „Tak” – chciała mu powiedzieć, jednak gdy tylko znaleźli się w pozycji leżącej, Harte całkiem znieruchomiał, a po chwili się uniósł. Patrzyła, jak twarz mu się zamyka, a tęczęwki rozkwitają dziwnymi kolorami.

– Harte? – szepnęła, dotykając jego policzków, gdy tak wisiał nad nią w bezruchu, nie licząc tylko zdyszanej, falującej piersi. Ale choć oczy miał otwarte i utkwione w jej oczach, Esta nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jego duch jest gdzie indziej.

KOBIETA

1904 rok – St. Louis

Harte'a dzieliła od Esty odległość oddechu. Czuł jej gorącą skórę, jej miękkie ciało pod swoim twardym, ale to nie ją widział. Nawet obskurny pokoik zniknął mu z oczu. Duszny skwar letniej nocy oblepiał go ze wszystkich stron.

Miał przed sobą kobietę w białej lnianej szacie opadającej na podłogę – i ta kobieta krzyczała. Była Estą i jednocześnie kimś innym – i krzyczała wniebogłosy. Krzyczały obie. Ten krzyk dźwięczał mu w uszach tak głośno, że nie słyszał nic prócz strachu, męki i szału. Kobieta patrzyła na niego twarzą Esty i choć Harte niejasno rozumiał, że to się nie dzieje naprawdę – że to jakaś wizja, koszmar na jawie – nie mógł się ocknąć.

Chciał krzyczeć, żeby Esta uciekała. Chciał zerwać z nią połączenie, ale było już na to za późno. Głos w nim wzbierał, całkiem zacierając twarz Esty.

I nastąpiła ciemność, i wydało mu się, że on sam jest tą kobietą. Jakby czuł i widział to samo, co ona.

Pojawiło się światło i ruszyła ku niemu, a światło jaśniało coraz mocniej, aż wyłoniła się z niego komnata pełna zwojów i pergaminów na wysokich półkach. Wiedza i moc, i wszystkie tajemnice świata.

To ona.

Ona to wszystko stworzyła, lecz na próżno. Zostało jeszcze wiele do zrobienia... Inaczej moc na tym świecie zaniknie jak blask księżyca w świetle poranka.

Pośrodku komnaty stał długi, niski stół, na którym lśniło pięć klejnotów, pięć kamieni, które nie pochodziły z głębin ziemi, lecz zostały stworzone.

Jej moc umierała. Magia gasła od pewnego czasu, osłabiał ją każdy podział, każdy rozłam. Próbowała zatrzymać tę powolną śmierć. Stworzyła coś, co miało zapobiec skażeniu i rozpadowi mocy. Żeby ją ocalić. Stworzyła słowo na stronie. Ale to nic nie dało. Ukradziono jej to i zrobiono z tego zły użytek.

Chciała ich wszystkich ocalić, a tymczasem przypieczętowała upadek magii.

Ale zamierzała powstrzymać ten proces. Tu i teraz.

Muskała palcami stworzone przez siebie klejnoty, a on czuł, że one ją wołają. Czuł ich przyciąganie: mocne, pewne, czyste.

A potem wizja znów uległa zmianie. Wszystko zawirowało i oto ujrzał inną kobietę – a może to była Esta? Ciemne włosy kłębiły jej się bezładnie wokół twarzy. Oczy ziały czarną pustką. Usta krzyczały. Kamienie świeciły, a ona była więźniem ich mocy. Komnatą wstrząsały ból, gniew, dzika furia. I strach. Powietrze było ciężkie od strachu – i od bólu zdrady.

– Harte? – Chłodne palce dotknęły jego twarzy, wyciągając go z otchłani. Wzdrygnął się i otrząsnął z koszmaru, który nawiedził go na jawie.

– Nie dotykaj mnie – powiedział wysiłonym głosem. Odsunął się i zeskoczył z łóżka, byle znaleźć się jak najdalej. – Nie zbliżaj się. Zostań tam, gdzie jesteś.

Wizja wciąż majaczyła mu przed oczami. Twarz krzyczącej kobiety zmieniała się w twarz Esty i na odwrót. Na próżno usiłował się od niej uwolnić.

Esta położyła się na boku.

– Co się dzieje? Co w ciebie wstąpiło?

– Pragnę cię... – zaczął, lecz sam sobie zakrył usta, bo to nie były jego słowa. Głos wykorzystał jego słabość, wydarł się na zewnątrz, przejmując kontrolę nad jego ciałem, używając go jak marionetki.

Esta się uśmiechnęła, a jej złociste oczy lekko pociemniały.

– Teraz już wiesz, że możesz mnie mieć – rzuciła figlarnie.

– Nie! – wykrzyknął. I tym razem był to jego własny głos. Był sobą. Harte'em Darriganem, a nie tym, co w nim zamieszkało.

Esta aż podskoczyła. Po jej twarzy przemknął wyraz bolesnego zawodu.

– Harte, co się dzieje?

Znowu wyciągała ku niemu ręce, taka piękna i krucha, tak łatwo można było ją zniszczyć.

Wiedział, co oznacza jego wizja – że by ją zniszczył. Księga, uwięziona w nim siła, cokolwiek to było, zniszczyłaby ją i wykorzystała – i to on byłby temu winien. Nikt inny. Zniszczyłby ją, tak jak zniszczył własną matkę, przy czym z Esty nic by nie zostało, tylko ciemność, która wciąż nad nim wisiała, mimo że wizja dawno znikła.

Smolista ciemność, jak ta, o której opowiadała mu Esta.

Harte przełknął ślinę i zmusił się, by na nią spojrzeć – by się upewnić, że czarna pustka w jej oczach była tylko złudzeniem. Włosy miała rozczochrane, a nierówno ucięte kosmyki czyniły ją podobną do jakiegoś baśniowego stwora, lecz oczy miała swoje własne. W ich bursztynowej głębi kryły się troska, ból i pytanie.

– Nie panuję nad sobą – powiedział.

Twarz Esty rozjaśnił błysk zadowolenia, lecz Harte zgasił go, mówiąc:

– Nad Księgą...

– Nad Księgą? – powtórzyła.

– Nad mocą, która we mnie siedzi. Ja... Ona cię pożąda. Chce cię wykorzystać, a jeśli to zrobi...

Ciemność była nieskończenie pusta. Gdyby rozlała się na świat, nikt nie byłby bezpieczny.

– O czym ty mówisz? – spytała powoli Esta wyraźnie chłodniejszym tonem. – Chcesz powiedzieć, że wcale nie chciałeś mnie pocałować?

– Tak – odparł, kręcąc głową. Zaraz jednak poczuł, że to nie do końca prawda. – Nie wiem.

Esta usiadła, marszcząc brwi. Owinęła się prześcieradłem, lecz Harte'owi zdążyła jeszcze mignąć plama różowego brązu i gładkie nagie ciało, które przez chwilę było jego.

Tak... Moje...

– Nie! – Jego krzyk rozległ się w ciasnych czterech ścianach jak wystrzał rewolweru.

Esta znów się wzdrygnęła. Nie, nie mógł pozwolić, by ta moc ją posiadała.

– Nie wiem, co we mnie jest – powiedział chrapliwym głosem. – Nie wiem, co jest między nami. Nie wiem, czy to ja cię pragnę, czy ta siła. Ale nie możemy tego zrobić. Ani teraz, ani nigdy.

– Harte... – Ton cierpienia w jej głosie przeszył go na wskroś.

– Widziałem różne dziwne rzeczy – szepnął.

– O czym ty mówisz?

– O wizjach. Na dworcu, w hotelu, przed chwilą... – Spojrzał na nią i zaczął opowiadać, co mu się ukazywało, bardzo chcąc, żeby go zrozumiała. – Zrobię ci krzywdę. Jeśli cię dotknę, jeśli się przy tobie zapomnę, zniszczę cię.

– Nieprawda...

Z gardła wyrwało mu się drżące westchnienie.

– Nie wiesz tego.

– Nie jestem kruchą istotą, za którą mnie masz, Harte. Poradzimy sobie z tym. Razem.

Wyciągnęła rękę w jego stronę, ale cofnął się przed nią. Głos był zbyt blisko, czaił się tuż pod powierzchnią. Po chwili Harte odwrócił się od Esty, bo wiedział, że jeśli teraz na nią popatrzy, jeśli zobaczy cierpienie w jej oczach, jej nagie ciało, przestanie nad sobą panować.

– Naprawdę chcesz sobie pójść? – zapytała z niedowierzaniem.

– Wyjdę na chwilę – odparł i wreszcie spojrział w jej kierunku. Włosy miała potargane, usta czerwone od gwałtownych pocałunków. – Muszę

przewietrzyć głowę.

– Harte...

– I побыć trochę sam – dokończył, stanowczym krokiem wychodząc na korytarz. Zamknął za sobą drzwi zdecydowanym ruchem, niepozostawiającym żadnych wątpliwości.

Na drżących nogach zbiegł po schodach i wyszedł prosto w noc. Było wciąż ciepło i wilgotno po deszczu, a chmury się rozstały, odsłaniając gwiazdy, na które jednak Harte nie zwracał uwagi. Nie obchodziło go nawet, w którym kierunku idzie. Po prostu szedł przed siebie, szybkim, desperackim krokiem, tam gdzie go nogi poniosą.

Pocałował ją. Pocałował, dotknął – i to było coś niesamowitego. Coś, na co nie był przygotowany.

Mógł ją mieć. Oddałaby mu się, mógł ją sobie wziąć na tym wąskim brudnym łóżku w ciasnym, obskurnym pokoju. Ale później by go za to znienawidziła.

Szedł i szedł, dopóki zamieszkująca go siła się nie cofnęła, dopóki podeszwy jego stóp nie były tak zmęczone jak on sam, i przez cały czas powtarzał sobie, że nigdy do tego nie dopuści.

CO BYŁO, A NIE JEST

1904 rok – St. Louis

Esta wpatrywała się w złuszczoną farbę na zamkniętych drzwiach. Powoli docierało do niej, co Harte właśnie zrobił. Siedziała z biustem zakrytym pościelą, przez otwarte okno dobiegało szczekanie psów i, od czasu do czasu, daleki terkot powozu. Serce waliło jej bez opamiętania, skórę wciąż miała rumianą i ciepłą od pocałunków Harte'a, mimo wzbierającej furii.

„Zrobię ci krzywdę” – dzwoniło jej w uszach.

Co prawda, to prawda, pomyślała.

Od początku miała świadomość, że zebranie wszystkich kamieni i okiełznanie Księgi może się dla jej skończyć fatalnie. Profesor Lachlan uzmysłowił jej to, gdy próbował sam zagarnąć dla siebie moc Księgi. „Jesteś tylko naczyniem”. Czy nie tak powiedział?

Łudziła się, że Ars Arcana może skrywać jakiś klucz do odmiany jej losu, lecz Księga znajdowała się w rękach Jacka Grew, a kto wie, gdzie on teraz jest. Jeśli chcieli wrócić do miejsca i czasu, w którym ją utracili, Harte musiał znów stać się sobą. Na razie nic tego nie zapowiadało: gdy go dotykała, nawet spowolnienie czasu przychodziło jej z najwyższym trudem. Nie zamierzała ryzykować przenosin w przeszłość, dopóki nie znajdą sposobu, by zapanować nad uwięzioną w nim siłą.

Siłą, która najwyraźniej miała na nią chrapkę.

Esta aż się wzdrygnęła na samą myśl. Pokój w jednej chwili wydał jej się piekielnie ciasny, a zarazem nieznośnie pusty. Narzuciła bluzkę, którą nosiła wcześniej pod gorsetem. Przez chwilę stała w milczeniu, spoglądając to na wąskie, wkleśnięte łóżko z odrzuconą na bok brudną narzutą, to na

spłowiały zasłony, w każdej chwili mogące spaść na dół ze starości, wreszcie na kupkę własnych obciętych włosów, które wciąż leżały na podłodze.

Prawie przespała się z Harte'em Darriganem. Kilka minut temu zaufała mu na tyle, by całkiem się przed nim odsłonić. A jego nawet tam nie było. Był, ale to nie on sobą kierował. Nawet nie wiedział, czy robi to wszystko z własnej woli.

Ogarnął ją niemiły chłód. Odsunęła kosmyki z oczu. Palce wciąż pamiętały tamte długie włosy, w których się zanurzały i które trzeba było odgarniać za uszy, a te krótkie wydawały im się obce. Nieśmiało przesunęła dłonią po karku, po nierównych, strzępiastych końcówkach, ale to jej tylko przypomniało dotyk Harte'a.

Spostrzegła swoje odbicie w pękniętym lustrze na przeciwległej ścianie i niewiele myśląc, podeszła do niego. Ledwie siebie rozpoznawała: pod oczami miała ciemne kręgi, krótsza fryzura uwydatniała jej szczękę, wyostrzała usta, choć te ostatnie wciąż były zaróżowione od szorstkich pocałunków. Na rzęsach nie miała już ciemnego tuszu. Zmieniło się w niej coś więcej niż tylko fryzura. W jej oczach płonął ogień bólu i bezsensownej tragedii. Usta zaciskały się z determinacją.

Przyglądała się przez chwilę tej nowej sobie, aż dotarło do niej z całą mocą, co zrobiła – z włosami, z Harte'em – w jakim znaleźli się położeniu i jak wiele od nich zależy. I co jeszcze może ich czekać.

Nie знаła dobrze tej dziewczyny, która patrzyła na nią z lustra, ale już ją polubiła. Albo nauczy się ją lubić. Zrobi, co do niej należy, aby kamienie już nigdy nie wpadły w ręce Nibsy'ego. Uchroni Księżę i jej moc przed Zakonem i innymi, którzy mogliby jej użyć przeciwko takim jak ona. Musi się jednak znieczulić na Harte'a Darrigana. Będzie jego partnerką, postara się go nawet uratować, lecz drugi raz nie otworzy przed nim serca.

Nie powtórzy błędu.

To, co dawniej było jej włosami, walało się u jej stóp. Przyjrzała się tym długim kosmykom wystającym spod skórzanych męskich butów, które cały czas miała na sobie. Tamte włosy należały do kogoś innego. Esta nie mogła

na powrót stać się tamtą dziewczyną, tak jak nie można sobie przyczepić do głowy obciętych włosów. I tak jak nie mogła wymazać z pamięci namiętych pocałunków Harte'a. Zebrała kupkę z podłogi, po czym wrzuciła ją do pieca – lecz ogień dawno już w nim zgasł.

ZA PÓŹNO

1902 rok – Nowy Jork

Bowery spowiała mgła gęsta i nieprzenikniona jak sama noc. Łagodne światło latarni ledwie przedzierało się przez mrok. Ulice, mokre od wielogodzinnego deszczu, lśniły jak woda, która zalewała pola ryżowe wokół jego wioski. Przez chwilę Jianyu miał wrażenie, że oto wrócił w rodzinne strony, stoi na wzgórzu i toczy wzrokiem po bezkresnych polach, gdzie w nasiąkniętej wodą ziemi giną chwasty, które w przeciwnym razie zdusiłyby uprawy. Zaraz jednak obraz się zmienił i Jianyu znowu widział tylko miasto – ponure ulice i rozlewające się kałuże, które nigdy nie obmyją Bowery z dławiącego je brudu i nędzy.

Był spóźniony. Zawiódł już Celę, a teraz zawiedzie znowu.

Przyspieszył, nie uciekając się jednak do magii. W taką pogodę jego dar na niewiele by się zdał, każdy jego krok i tak odciskał się w kałużach. Szedł jednak żwawiej i trzymał się cienia. Nie mógł się spóźnić. Jeśli ten chłopak znajdzie Nibsy'ego, skutki mogą być katastrofalne. Nibsy zdobyłby wiedzę o przyszłości. Byłby nie do powstrzymania.

Ulice świeciły pustkami – zawsze to łut szczęścia po wydarzeniach ostatnich feralnych dni. Dać się zaskoczyć i pobić prawie do nieprzytomności, a potem trafić w ręce Mock Ducka i zostać przehandlowanym za parę sekretów? Choć może powinien się cieszyć, że uszedł z życiem. Na pewno cieszył się, że Cela go śledziła – i że postanowiła go uratować, narażając własne życie. Zarazem irytowała go świadomość, że to on potrzebował jej pomocy, a nie na odwrót. Zawiódł ją – tak samo jak wcześniej Dolpha – lecz to się już więcej nie powtórzy. Nie pozwoli wygrać temu chłopakowi z innych czasów. Gdyby tak się stało,

gdyby Nibszy zyskał władzę, o jakiej mówili Harte i Esta, skutki odczuliby zapewne nie tylko mieszkańcy Nowego Jorku, ale nawet ludzie za oceanem.

Ruch cienia po drugiej stronie ulicy przykuł uwagę Jianyu. Odwracając się, ujrzał mężczyznę wychodzącego z mroku w mętny krąg światła latarni.

Był to Mock Duck.

Wśród nocy srebrne guziki jego kamizelki lśniły jak oczy.

Jianyu opuścił głowę i przyspieszył kroku. Próbował wymacać w kieszeniach brązowe lusterka, ale ich tam nie znalazł. Nieważne. Przywołał swoją moc i otworzył wiązki światła wokół siebie, jednocześnie puszczając się biegiem w boczną uliczkę. Nie oglądał się, by zobaczyć, czy jest ścigany przez drabów Mock Ducka. Skupiał się wyłącznie na unikaniu kałuż, które mogłyby zdradzić kierunek jego ucieczki.

Za dwie przecznice odbije na zachód i w pół minuty dojdzie do miejsca, gdzie według Esty miał się pojawić ten chłopak... o ile już się tam nie pojawił.

Skręciwszy w Essex Street, stanął jak wryty. W oddali grupka mężczyzn otaczała kogoś.

Za późno.

Trzymając światło przy sobie i bacznie omijając zdradzieckie kałuże, Jianyu zakradł się bliżej – i poczuł ścisnięcie w żołądku. Tom Lee z trzema innymi członkami On Leong stali nad mężczyzną lub chłopcem leżącym nieruchomo na ziemi.

Jianyu wiedział, że powinien uciekać. Tom Lee nigdy mu nie wybaczy złamania przysięgi złożonej On Leong. Może i nie był tak brutalny jak Mock Duck, ale gdyby go teraz spostrzegł, bez wahania by go zaatakował. Jianyu musiał się jednak dowiedzieć, czy ten człowiek, nad którym stali, to szukany przez niego chłopak. Zbliżył się jeszcze trochę, wciąż maskując swoją obecność za pomocą magii.

Jeden z członków On Leong kopnął leżącego z taką siłą, że Jianyu sam poczuł lekki ból pod żebrami. Mężczyzna jęknął głośno i przewrócił się na

plecy.

Jianyu zastygła krew.

To nie był blondyn, którego Esta opisała mu na moście. W mdłym blasku latarni Jianyu zobaczył siebie samego – własną twarz wykrzywioną w agonii.

Nie dowierzając oczom, cofnął się odruchowo i wdepnął w stojącą wodę. W tej samej chwili światło mu się wyślizgnęło.

Tom Lee i jego ludzie obrócili głowy w jego stronę i zrobili wielkie oczy. Z mieszaniną zaskoczenia i grozy patrzyli to na Jianyu, stojącego w mrugającym świetle, to na swoją prawie całkiem znieruchomiałą ofiarę. Tylko po Tomie Lee nie było widać strachu ani zaskoczenia. Z błyskiem w oczach dobył rewolweru i zrobił krok do przodu.

Jianyu odwrócił się do ucieczki, lecz jego kroki zagłuszył odbity echem huk wystrzału. Poczł przeszywający ból i upadł.

Upadł w błoto zmoczonej deszczem ulicy, ale nie zatrzymał się na nim, tylko leciał dalej, tak jakby śmierć była niekończącym się upadkiem. Leciał, jakby miał nigdy nie wylądować.

W końcu jego ciało uderzyło twardo o ziemię. Poderwał się prędko, usiłując wstać. Musiał uciekać...

– Spokojnie, leż – odezwał się jakiś głos, lecz nie w języku kantońskim, którego spodziewał się Jianyu. Była to angielszczyzna, łagodna i falująca, jakiej nigdy przedtem nie słyszał. – Cela! Chodź no.

Gdy otworzył oczy, ulica zniknęła. Jej miejsce zajął mały, lecz przytulny pokój. Palila się w nim lampka, ciepłe powietrze trąciło stęchłym potem.

Nie, to nie pokój tak pachniał. To był jego własny smród. Przepoczone ubranie kleiło mu się do skóry i nagle zrobiło mu się nieznośnie gorąco i zarazem zimno.

– Co się stało? – odezwała się Cela z progu.

– Budzi się – odpowiedział jej męski głos. Należał do osoby, która przytrzymała Jianyu, starszego mężczyzny o śniadej cerze i włosach przyprószonych siwizną po bokach szerokiego czoła. – Zajmij się nim.

Ręce zniknęły, a po chwili łóżko się obniżyło i usiadła przy nim Cela. Jej dłonie, kiedy dotknęła jego czoła, były przyjemnie chłodne.

– Jak długo? – spytał ochryple, próbując się podnieść. Wciąż czuł rwanie w boku i pulsujący ból w głowie.

– Poczekaj. – Cela sięgnęła po szklanekę wody. Próbowała mu ją podać do rąk, ale ją odepchnął.

– Jak długo tu jestem? – spytał znowu z bijącym sercem, jeszcze się całkiem nie otrząsnąwszy ze snu o śmierci.

– Prawie pięć dni. Co jakiś czas się budziłeś.

Nie. Było późno. Za późno. Spróbował zdjąć nogi z łóżka, lecz od tego ruchu zakręciło mu się w głowie.

Cela przytrzymała go za ramię.

– Musisz usiąść.

– Muszę iść – odparł, strząsając jej dłoń.

– Iść? – Jej głos doleciał jakby z bardzo daleka. – Ledwie siedzisz. Dokąd chcesz pójść?

Stanął na nogach, lecz pokój zaczął mu wirować w oczach i Jianyu zatoczył się do tyłu.

– Nigdzie nie idziesz – oznajmiła Cela. Posadziła go delikatnie z powrotem na łóżku. Był tak słaby, że nie mógł jej się przeciwstawić. – Wypijesz tę wodę, a jeśli nie zwymiotujesz, dostaniesz trochę rosołu.

– Jestem spóźniony – powiedział, biorąc od niej szklanekę. Ręce mu się trzęsły pod ciężarem wody i nie mógł ich uspokoić.

– Skatowano cię prawie na śmierć. Nie wiem, co takiego masz do zrobienia, ale myślę, że to może poczekać. – Cela wskazała szklanekę, dając do zrozumienia, że powinien się napić.

Była w błędzie. Chłopak nie będzie czekał z odnalezieniem Nibszy'ego. Jianyu niechętnie napił się wody. Wydała mu się zaskakująco chłodna i nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo jest spragniony. Opróżnił szklanekę duszkiem i natychmiast poprosił o kolejną, a właściwie jej zażądał. Pięć dni, przemknęło mu przez głowę.

Wypił drugą, trochę aby ugasić pragnienie, a trochę by udowodnić, że jest w stanie. Pięć dni. Stracił pięć dni. To znaczy, że było już za późno.

ZOSTAWIONY

1902 rok – Nowy Jork

Dla Logana Sullivana podróż w czasie nie miała w sobie nic z romantycznej przygody rodem z filmów. Po pierwsze, nie odbywała się w latającym pojeździe ani zaczarowanej budce telefonicznej. Żadne tam hop-siup. Podróż w czasie bolała. Po drugie, dostawał od niej zawrotów głowy, wnętrzności podchodziły mu do gardła i czuł się tak, jakby miał się rozpaść na kawałki. Zawsze gdy Esta przenosiła go z jednego czasu do drugiego, był taki moment, w którym Logan mógłby przysiąc, że może im się nie udać, moment, kiedy czuł się tak, jakby w ogóle nie istniał. Krótko mówiąc, podróż w czasie była trudna, niebezpieczna i cholernie denerwująca.

Zupełnie jak Esta.

Ona zawsze potrafiła go przejrzeć, co w wypadku Logana Sullivana było rzeczą wielce niepożądaną, już dawno bowiem odkrył, że łatwiej mu iść przez życie, gdy wszyscy skupiają się na jego ładnej twarzy.

Co nie zmienia faktu, że było mu jednak trochę głupio z powodu pistoletu, pod którym ją trzymał, tym bardziej że profesor Lachlan załadował go nabojami. Nie żeby Logan nie uwierzył profesorowi, gdy tamten powiedział, że Esta zwróciła się przeciwko nim i nie można jej ufać. Po prostu Logan, przy wszystkich swoich wadach, nigdy nie myślał o sobie jak o mordercy. Nie uśmiechało mu się, że miałby wpakować jej kulę w plecy. Nawet jeśli ona zrobiła to samo Dakariemu.

I dlatego cieszył się, że Esta nie stawia mu oporu, kiedy szli do punktu, z którego mieli się cofnąć w czasie. I że na miejscu wystarczy ją tylko szturchnąć. Powinien był jednak wiedzieć, że to nie będzie takie proste. Nic

nigdy nie było takie proste, jak się wydawało. Najpierw miał wrażenie, jakby cały świat rozpadał się na drobne kawałki, a jego dusza zapadała w sobie. A potem znów poczuł pod sobą twardą rzeczywistość chodnika.

Zanim zdążył się podnieść, przeszył go ból w stawie barkowym i ręka mu zdrętwiała. Esta mu się wymknęła, próbował wstać, ale wzrok miał rozmyty i zdołał tylko dojrzeć, że Esta znika z powierzona mu torbą.

Siedział tak chwilę na ziemi, mrużąc oczy, aż nagle do niego dotarło. Wilgoć brukowanej ulicy, zapach węglowego dymu i sadzy. Światło pod dziwnym kątem padające zza chmur i gwar rozmów w niezrozumiałych dla niego językach. Profesor Lachlan próbował go uczyć, ale Logan w przeciwieństwie do Esty nie miał pamięci do słówek.

Esta, wieczna prymuska we wszystkim. Esta, która ewidentnie go zostawiła.

W przeszłości.

Obok sadzy w powietrzu unosił się jeszcze inny zapach – dojrzała woń czegoś żywego. Albo już martwego. Zwierząt, zgniłej żywności albo łajna. Tak, to było łajno. O rześkim poranku smród był umiarkowany, ale Logan już sobie wyobrażał, jaki będzie duszący, kiedy miasto zaleje skwar letniego dnia.

Nie powinien był się tu znaleźć w lecie. Profesor Lachlan obiecał mu co innego. Po dostarczeniu torby i notatek Esta miała go zabrać z powrotem do jego czasów – do ich czasów.

Tam, gdzie było jego miejsce.

Torbę już stracił, ale przynajmniej wciąż miał notes. Poklepał się po kieszeni kurtki. Uff, jest.

Wreszcie zdołał się podnieść. Spodnie miał mokre od kałuży, w której wylądował. Oby to była woda deszczowa... Rozmasowując głowę w miejscu, w którym uderzył nią o bruk, uświadomił sobie, że jest obserwowany. Dwaj barczyści mężczyźni w ciemnych płaszczach i nisko opuszczonych kapeluszach skradali się ku niemu. Jeden miał przy sobie coś w rodzaju pałki zakończonej groźnie wyglądającym kolcem.

Logan poderwał się na nogi i zaczął się wycofywać z uniesionymi rękami, lecz zaraz wpadł na trzeciego.

– Oj! – zawołał. Kręciło mu się w głowie i ledwie stał.

– Co my tu mamy? – odezwał się największy z trójki, robiąc krok w jego stronę.

Na widok bezdusznego uśmiechu Logan poczuł się tak, jakby połknął kamień. Nie miał natury wojownika – to była raczej specjalność Esty. Z kłopotów ratował się gadką. Ale ci faceci nie wyglądali na cierpliwych słuchaczy.

– Gdzie się podziała dziewczyna? – spytał drugi tonem płaskim jak jego złamany nos. – Przed chwilą tu była...

– Psiakrew! – rzucił ten większy, dźgając Logana pałką. – Ona jest jedną z nich. – Przygwoździł Logana ostrym spojrzeniem. – Mam rację? Ty też jesteś?

– Panowie, ja nie szukam kłopotów – oznajmił Logan.

– Trochę na to za późno, co? – odparł większy, a mężczyzna, na którego Logan wpadł tyłem, chwycił go za ramiona.

Jego towarzysz podniósł pistolet, który jeszcze kilka chwil wcześniej Logan trzymał w dłoni na wypadek, gdyby Esta próbowała uciec, po czym schował go do kieszeni.

– Pójdiesz z nami. Szef będzie chciał z tobą pogadać.

Popychany i szarpany Logan nie miał wyjścia, mógł tylko iść przed siebie – i przeklinać w duchu Estę, która wycięła mu taki numer.

SYRENA

1902 rok – Nowy Jork

Jack Grew już po dwóch dniach miał serdecznie dość skaczącej wokół niego matki. Po pięciu był tak umęczony, że przeniósł się z powrotem do swoich pokojów. Mógł teraz nareszcie odpocząć od ciągłych wizyt służących i lekarzy, a także od rodziny, która zjawiała się co chwila, by poinformować go o kolejnym umówionym wywiadzie lub spotkaniu.

Wszystko ustalali sami. Nigdy nie pytali go o zdanie. Tylko od niego wymagali, a on nie mógł już tego znieść. Teraz wreszcie miał czas, by zająć się rozszyfrowywaniem Ars Arcana.

Zegar wybił ósmą. Donośne dzwonięcie wyrwało Jacka z odrętwienia. Zamrugał kilka razy, próbując sobie przypomnieć, gdzie jest i co robi. Na stole przed nim leżała otwarta Księga, pełna symboli i zapisków w nieznanym języku.

Ach, tak. Czytał. W każdym razie usiłował.

Potań oczy. Usiadł do lektury tuż po piątej, chciał przebrnąć przez stronę greki i widocznie zasnął gdzieś w połowie. Studiując Księgę, dość szybko się zorientował, że kiedy próbuje ją zgłębiać, czas staje się czymś względny. Nieraz budził się rano w ubraniu, które miał na sobie wieczorem, z karkiem obolałym od spania w fotelu, a Księga leżała przed nim otwarta.

A może to po prostu efekt zażywania morfiny, pomyślał smętnie, krzywiąc się z bólu, który rozsadzał mu głowę. Sięgnął do kieszeni po fiolkę, wyjął z niej kostkę lekarstwa i włożył do ust, aż się wstrząsając od goryczy. Nie minęło jednak parę chwil, a ból zaczął słabnąć.

Za wolno, pomyślał Jack, kładąc sobie na języku kolejne dwie gorzkie kostki. Jeszcze trochę i przestanie je brać. Nie był przecież jakimś uzależnionym żołdakiem. Zresztą nie trwało to od nie wiadomo jak dawna, pomyślał, czując, jak umysł mu się rozjaśnia. Potrzebuję tylko czasu, powiedział sobie, wracając do Księgi.

Za drugim razem z letargu wyrwało go już nie bicie zegara, lecz całkiem inny dzwonek.

Zamrugnął, w głowie kręciło mu się przyjemnie, stępiony ból wydawał się bardzo odległy. Chciał potrzeć oczy, ale zorientował się, że trzyma w ręku pióro. Księga wciąż była otwarta, a niezrozumiałą wcześniej stroną teraz wypełniały notatki... zapisane jego charakterem pisma.

Coś więcej niż notatki. Tłumaczenia. Nie mógł sobie przypomnieć, czy to on je sporządził.

Dzwonienie nie ustawało.

Dzwonek do drzwi, uświadomił sobie. Sam Watson. Na śmierć zapomniał, że stryj umówił go na kolejny wywiad. Pierwszy okazał się kompletną stratą czasu, lecz najwyraźniej Zakon doszedł do wniosku, że trzeba powiadomić prasę o planowanej gali – za pośrednictwem jego i Sama.

Jack westchnął ciężko i zamknął Księgę gwałtownym ruchem. Strony zafalowały z mocą. Dzwonek i Watson mogą chwilę poczekać, pomyślał, wynosząc Księgę do sypialni i chowając ją w sejfie. Potem wziął jeszcze dwie kostki morfiny, bo głowa już zaczynała mu pękać od natarczywego dzwonka. Wreszcie otworzył drzwi.

To nie był Watson.

– Panna DeMure – rzekł zaskoczony.

Miała na sobie jedwabną suknię w głęboko szmaragdowym odcieniu zieleni, kontrastującym z czerwienią włosów i warg.

Na pierwszy wywiad Watson przyprowadził ją ze sobą. Jack odniósł wtedy wrażenie, że panna DeMure jest nim zainteresowana – i to nawet

bardzo. Miał nadzieję na ponowne spotkanie, ale nie spodziewał się, że złoży mu wizytę sama i bez zapowiedzi.

Spojrzał nad jej ramieniem, czy gdzieś z tyłu nie stoi dziennikarz.

– Sam nie mógł przyjść – oznajmiła, wchodząc do środka. – Niestety, coś go zatrzymało w biurze. Ale pomyślałam, że nie wzgardzisz moim towarzystwem. – Rzuciła mu przez ramię uśmiech, a Jack, który nie zwykł marnować takich prezentów, zamknął za nią drzwi.

– Twoim towarzystwem? – spytał z nadzieją.

Przesunęła opuszkami palców w rękawiczce po gładkim ciemnym blacie drewnianej konsoli.

– Czy się myliłam?

– Nie – odparł, czując, że ogarnia go fala ciepła i zadowolenia. – Proszę, wejdź. Coś do picia?

Przeszli do salonu i Jack nalał im po kieliszku sherry. Wzięła od niego trunek z kokieteryjnym uśmiechem, potem jednak odwróciła się i zaczęła oglądać jedną z figurynek na kredensie.

Zrozumiał od razu, o co chodzi w tym tańcu, który właśnie zaczęła. Na myśl o tym, co go czeka – o wzajemnych podchodach zwieńczonych triumfem – przeszył go miły dreszcz.

Po chwili Evelyn zwróciła się do niego. Oczy lśniły jej w łagodnym świetle.

– Wiesz, znałam Harte’a Darrigana...

Jacka zmroziło.

– Darrigana? – spytał z ledwie skrywaną irytacją. Ten cholerny magik był ostatnią rzeczą, o jakiej chciałby myśleć w towarzystwie ohotnej kobiety.

Evelyn skinęła twierdząco głową.

– Można by wręcz powiedzieć, że poznałam go bardzo blisko.

– Doprawdy? – Nawet nie próbował zataić swojego zniesmaczenia.

– Och, Jack, nie bądź zazdrosny – rzekła i roześmiała się gardłowo.

Ten dźwięk znów coś w nim poruszył, mimo całej irytacji. W żyłach Jacka wciąż jednak krążyła morfina, więc umysł miał przytomny i jasno myślący. Ta kobieta bawiła się z nim w kotka i myszkę.

Ale on nie był myszką.

Podszedł do niej powoli, żeby jej nie przestraszyć. Żeby się nie zorientowała, że to nie on jest zwierzyną.

– Zazdrosny o takiego śmiecia jak Darrigan?

Jej czerwone wargi wygięły się w uśmiechu.

– Tak myślałam, że nie będziesz. Gdy tylko usłyszałam, jak rozmawiasz z Samem, od razu stwierdziłam, że jesteś zbyt inteligentny, zbyt mądry, by żywić takie małostkowe uczucia. I dlatego uznałam, że możesz być zainteresowany pewną informacją na jego temat.

Podszedł krok bliżej, aż poczuł ciężkie perfumy, które otaczały ją niczym chmura; krzykliwe i śmiałe jak ona sama.

– Jaką informacją?

– Byłam tam, kiedy to się stało – powiedziała znad sherry, ani na chwilę nie odwracając wzroku od jego oczu.

To się nazywa wyzywające spojrzenie, pomyślał.

– Byłam w Khafre Hall tamtego wieczoru. Wiem, że Zakon stara się zamieść wszystko pod dywan i że używają cię, żeby odwrócić uwagę opinii publicznej od tego, co się naprawdę wydarzyło. Skoro mówisz, że Darrigan jechał tym pociągiem, to ja ci wierzę.

– Wierzysz? – spytał Jack, podchodząc jeszcze bliżej i odstawiając kieliszek na kredens.

– Oczywiście, Jack. Znałam Darrigana i tę jego żonę, którą sobie znalazł. To wszystko jej wina.

Chwycił ją za ramię, a widząc w jej oczach mgnienie strachu, uśmiechnął się w duchu.

– Nie interesują mnie żadne gierki. Jeśli wiesz, gdzie jest Darrigan albo dziewczyna, powiesz mi.

– Nie wiem, gdzie jest. Nie wiem nawet, czy uratował się z tego pociągu...

Jack ścisnął jej ramię mocniej, aż wybałuszyła oczy.

– Ale wiem, że prawdopodobnie coś zostawił... – dodała. – Coś, co może cię zaciekać.

– Tak? – Jack najpierw lekko poluzował uścisk, a po chwili całkiem ją puścił. Morfina w końcu rozkwitła w żyłach i wszystko złagodniało, a Jack czuł się teraz bardziej obecny, jakby wypełniał sobą cały pokój. – Co takiego zostawił?

– Taką wiedzę dzielę się tylko z przyjaciółmi. Tymi bliskimi – zamruczała. – Jesteśmy przyjaciółmi, Jack?

– Oczywiście – odbąknął.

Usta same wygięły mu się w uśmiechu, kiedy Evelyn podeszła do niego z triumfalnym błyskiem w oczach, jakby to ona była zwyciężcą.

Ach, jak bardzo się myliła!

WYSTAWA

1904 rok – St. Louis

Harte czekał z Estą na rogu Lindell i Plaza, naprzeciwko jednego z głównych wejść na tereny wystawy światowej. Od rana się do niego nie odzywała, lecz Harte bynajmniej nie miał ochoty wracać do tego, co się wydarzyło zeszłej nocy. Wyglądało na to, że oboje są tchórzami. Nie uszło jednak uwagi Harte'a to, jak Esta starała się go nie dotykać. Gdy jechali tramwajem przez miasto, robiła wszystko, żeby nawet nie otrzeć się o niego łokciem.

Dopiero stojąc przed bramą i patrząc na nieprzerwany strumień zwiedzających, Harte zaczął sobie uzmysławiać, jak wielką imprezą jest wystawa światowa. Park Lafayette'a, w którym się odbywała, rozciągał się na wiele mil w każdą stronę. Skala tego wydarzenia budziła podziw. Zza bramy dobiegał rojny gwar i harmider muzyki, a od czasu do czasu również wystrzał armatni albo ostry huk karabinu.

– Musisz się odprężyć. – Głos Esty wyrwał go z zamyślenia. – Zwracasz na siebie uwagę.

– Czym? – spytał, ryzykując spojrzenie w jej stronę.

Oczywiście zaraz tego pożałował. Jej oczy patrzyły czujnie, policzki były różowe z przejęcia – a może zwyczajnie od gorąca. Gdy tak na nią spoglądał, coś się w nim zaciskało i to coś nie miało nic wspólnego z mocą, która buzowała, odkąd pocałował Estę.

– Wyglądasz, jakbyś czaił się na kogoś – odparła, posyłając mu zagadkowe spojrzenie spod oka.

– Wcale nie... – zaczął, lecz w tej samej chwili ujrzał znajomą twarz. – Idzie.

Julien, mimo że spóźniony o dwadzieścia minut, zbliżał się spacerowym krokiem, jakby nigdy nic.

– Spóźniłeś się – zauważył Harte, wyciągając rękę na powitanie.

– Nie dało się tego uniknąć – odparł Julien ze wzruszeniem ramion. Ale wyraz jego oczu kłócił się z beztroskim tonem.

Gdy ścisnął mu dłoń, Harte'owi przeszło przez myśl, żeby skorzystać z daru, tak na wszelki wypadek. Po drugiej stronie ulicy stał jednak w gotowości oddział Straży Jeffersonskiej. Jeśli Julien miał rację, że potrafią wyczuwać magię, lepiej było nie ryzykować.

Esta także wyciągnęła rękę.

– Dobrze cię widzieć, Jules – rzekła niższym głosem niż jej naturalny.

– No, no – odparł Julien.

Harte zaklął pod nosem.

– To szaleństwo – powiedział. – Więcej niż pewne, że ktoś rozpozna w niej kobietę.

– Nikt nie będzie jej się przyglądał. – Julien wskazał ruchem głowy wejście po drugiej stronie. – Tam są takie cuda, że ludzie mają na co patrzeć.

– Jakie to cuda? – spytała Esta zaciekawionym tonem.

Humor jej dopisywał. Jeśli nawet była wściekła na Harte'a za wczoraj, nic nie mówiła. A to oznaczało, że prawie na pewno jest na niego wściekła – i że prędzej czy później będzie musiał stawić czoło konsekwencjom.

Nie żeby miał do niej pretensje. Wykorzystał ją i wyszedł. Miała pełne prawo go ukarać.

Julien wetknął kciuki w kieszenie kamizelki i zakołysał się na piętach.

– Tam w środku? Och, tylko największa i najbardziej imponująca wystawa, jaką świat widział. Za tym ogrodzeniem znajdują się dowody geniuszu naszej cywilizacji oraz cuda z szerokiego świata: wszystkie odkrycia i innowacje epoki.

– Daruj sobie popisy, Jules – wtrącił Harte, któremu nie podobało się to, że słowa Juliena tak bawią Estę. Nawet na mnie nie spojrzysz, pomyślał. – Chcemy tylko naszyjnika. Mówiłeś, że jest gdzieś tutaj...

Julien posłał Eście konspiratorskie spojrzenie.

– Cierpliwości, Darrigan – rzekł, po czym ruszył przodem przez ulicę.

– Jest trochę irytujący, co? – rzuciła Esta zniżonym głosem, tak by Julien nie usłyszał.

– Więcej niż trochę – odparł szorstko Harte.

– Ale mimo wszystko lubię go.

Zerknął w jej stronę.

– Większość ludzi tak reaguje. Nie daj mu się zaczarować. Dobra, brachu?

– Brachu?

– Tylko sprawdzam, jak brzmi – odparł ze wzruszeniem ramion. – Skoro upierasz się przy tym stroju, muszę się do ciebie jakoś zwracać.

Prawie odetchnął z ulgą, gdy spojrzała mu groźnie w oczy.

– Na pewno nie „brachu” – oznajmiła.

To, jak jej się zarumieniły policzki, przekonało go.

– No nie wiem – rzekł z uniesionym kącikiem. – Coraz bardziej mi się podoba.

Zaczęła protestować, lecz Harte tylko przyspieszył kroku, zrównując się z Julieniem, tak że musiała ich gonić.

Zapłaciwszy za wstęp, przeszli pod łukiem ozdobnej bramy. Tłum posuwał się naprzód powoli, po części dlatego, że na wprost wejścia znajdowała się estrada, na której orkiestra dęta grała skoczny marsz. Przedzierając się przez gąszcz słuchaczy, Esta wskazała na wielki bęben z wymalowaną nazwą zespołu.

– Czy to Sousa? – spytała Juliena.

Dyrygent, cały na granatowo, z niemal mechaniczną precyzją dyktował batutą tempo utworu. Harte oczywiście – jak chyba każdy – słyszał o Johnie

Philipie Sousie, zastanawiał się jednak, dlaczego na widok dyrygenta twarz Esty przybrała tak skupiony i poważny wyraz.

– Mówiłem wam, że mają najznakomitszych artystów, najwspanialsze pokazy z całego świata i absolutnie cudowne pawilony – powiedział Julien. – Towarzystwo chce za pomocą wystawy rozślawić Saint Louis, tak by dorównało prestiżem Chicago, a może nawet Manhattanowi.

Sądząc po spojrzeniu, jakie posłała Harte'owi, Esta miała co do tego spore wątpliwości. Gdy jednak ich oczy się spotkały, natychmiast spochmurniała.

Harte poczuł skurcz w żołądku i odwrócił wzrok.

– Chcę tylko naszyjnik, Jules. Możemy już przejść do sedna?

Musieli się przedzierać przez tłum zgromadzony wokół estrady. Po lewej odchodziła w głąb parku aleja w szpalerze drzew. W oddali Harte widział słońce odbite od tafli jeziora. Julien minął budynki administracyjne i znak z napisem PROMENADA.

– To tutaj. – Wskazał gestem równy brukowany chodnik.

Szeroki bulwar wiódł do iście fantastycznego świata. Niedaleko za wejściem wznosiły się góry o wysokości co najmniej dziesięciu pięter, królujące ponad alpejską wioską, która wyrosła tuż obok repliki zamku rodem z opowieści o królu Arturze. Jak okiem sięgnąć, wzdłuż ulicy ciągnęły się budynki w nierealnie żywych kolorach. W dali Harte znów usłyszał huk wystrzału.

– Co to? – spytała Esta.

– Pewnie rekonstrukcja drugiej wojny burskiej. Dwa razy dziennie odtwarzają bitwę. – Julien zerknął na kieszonkowy zegarek. – Ach, tak. Już prawie wpół do jedenastej. To pora szarży kawalerii.

– Kawalerii? – powtórzył zdziwiony Harte. Zaczynał się poważnie zastanawiać, gdzie oni się znaleźli.

– Głównie aktorzy, choć są też uczestnicy tamtych walk. – Julien puścił do niego oko. – Witaj na Promenadzie. To miejsce, jakiego jeszcze nie było. Tutaj można podróżować po świecie, nie opuszczając miasta. Można

odwiedzić Hades albo wstąpić do nieba. Poznać gejszę albo odbyć wyprawę na biegun północny. Niesamowite, prawda?

– Niczego sobie – odparł sceptycznie Harte, tocząc wzrokiem po szerokim bulwarze.

Całe życie marzył o ucieczce z miasta, ale teraz, kiedy mógł więcej niż uciec, bo wręcz przenieść się do innego świata, coś mu nie grało. Choć znał praktycznie tylko Manhattan, już na pierwszy rzut oka stwierdził, że nic z tego, co tu zobaczą, nie jest prawdziwe. Wszystko było zbyt kolorowe, zbyt doskonałe. Elektryczne szyldy i latarnie rozświetlone nawet w biały dzień, zgiełk naganiaczy krzykiem namawiających przechodniów do wydania kolejnych dwudziestu pięciu centów na takie lub inne dziwa – wszystko to składało się na karnawałową atmosferę, która niewiele miała wspólnego z prawdziwymi cudami świata.

W gruncie rzeczy atrakcje Promenady miały w sobie coś z tanich gabinetów osobliwości w Bowery. Harte zawsze czuł niesmak, widząc popularność tych tandetnych przybytków, gdzie wystawiano ludzi na pokaz w charakterze dziwadeł, które można było obejrzeć za kilka monet.

Sądząc po jej lekko przerażonej minie, Esta musiała czuć to samo.

Budowle stojące wzdłuż Promenady stanowiły przedziwny melanz. Japońska pagoda sąsiadowała z budynkiem reprezentującym starożytny Rzym. Ogromna sztuczna grotta z napisem WSPÓŁCZEŚNI JASKINIOWCY stała ściana w ścianę z budowlą jakby żywcem wyjętą z weneckiego placu Świętego Marka.

– To chyba nie są prawdziwe Indianki? – spytała Esta na widok dwóch ciemnowłosych kobiet, które stały milcząco przed jedną z grot i oferowały na sprzedaż bransoletki z paciorków.

– A niby kto? – zdziwił się Julien.

– Aktorki? – podsunęła ni to z nadzieją, ni to z obawą w głosie.

– Ale jaki by to miało sens? – Julien, sądząc po minie, był autentycznie zaskoczony jej wątpliwościami.

– Nie wiem – odparła Esta. – Czy one tu mieszkają? Na terenie wystawy?

– Kto wie – rzucił Julien z nonszalancją. – Chyba źle tu nie mają?

Ale Harte widział, że Esta nie jest przekonana. Spoglądała pochmurno, z wyraźną troską, może nawet oburzeniem.

– Czy Indian się zmusza, żeby tu byli? – drążyła temat.

– A skąd mam wiedzieć? – Julien wzruszył ramionami. – Na pewno coś dostają.

Harte zrozumiał, że Julienu to nie obchodzi, bo to nie jego zmartwienie. Urodził się wolnym człowiekiem, z prawem do własnych wyborów i podążania swoją drogą. Mógł się udać, dokąd tylko chciał i kiedy tylko chciał. Nie umiał sobie wyobrazić innego życia.

Jedna z kobiet złowiła spojrzenie Harte'a i wyciągnęła w jego stronę bransoletkę. Odmówił grzecznie ruchem głowy, lecz równocześnie dotarło do niego, że Esta ma rację. Spokojna twarz tej kobiety skrywała coś dobrze Harte'owi znanego: frustrację i rozczarowanie światem – i nie była w stanie tego ukryć, w każdym razie nie przed nim. A to dlatego, że Harte dotkliwie odczuwał to samo.

Wyciągnął parę monet i wymienił je na bransoletkę. Kobieta schowała pieniądze bez cienia radości. Harte nawet nie obejrzał swojego nabytku; przesuwając kciukiem po gładkich paciorkach, schował bransoletkę do kieszeni kamizelki. Niech mu ona przypomina, że świat jest większy, niż mu się zdawało, a jego problemy niezliczone.

Szli dalej we troje wśród groteskowo malowniczych widoków. Architektura mimo sztuczności mogła jednak imponować. Na równym bruku zwykli obywatele mieszały się z ludźmi ubranymi w przeróżne kostiumy. Harte nie był w stanie stwierdzić, czy są one autentyczne, trudno było jednak odmówić pewnego piękna poszczególnym haftom, ozdobom i wzorom.

Z budynków sączyła się muzyka, różne style zlewały się ze sobą i zderzały z ulicznym harmidrem. Organizatorzy wystawy stworzyli świat,

w którym za dwadzieścia pięć centów każdy mógł ziszczyć fantazje o dalekich krainach i egzotycznych ludach. Wszystko było sztuczne, ale Harte wyczuwał, że nie o prawdę tutaj chodzi – ani wystawcom, ani zwiedzającym. Ci drudzy niczym się nie różnili od widzów, którzy co wieczór przychodzili oglądać jego występy. Nie chcieli rzeczywistości ze wszystkimi jej zawiłymi subtelnościami i niewygodnymi prawdami; łaknęli fikcji, szukali ucieczki. Nawet zdystansowany Harte chcąc nie chcąc dawał się trochę uwieść tej fantazji.

– Jesteśmy – oznajmił Julien, gdy stanęli przed ogromnym sklepionym przejściem, w którym wyryto napis ULICE KAIRU.

W głębi rozciągało się istne miasto pełne budowli w kolorze piasku z mnóstwem arabskich akcentów: łuków i minaretów urozmaicających proste bryły. Błękitne niebo przesłaniały kopulaste dachy, a na ulicach ludzie w lejących się szatach zachęcali głośno do przejażdżek na wielbłądach i osłach. To wszystko miało niewątpliwie wyobrażać Egipt, lecz było jedynie fantazyjną, wystylizowaną wersją tego kraju, stworzoną z myślą o ludziach, którzy nigdy tam nie pojadą.

– Mam nadzieję, że to ma jakiś związek z naszymnikiem, Jules – rzekł ponuro Harte.

– Ta część wystawy została przygotowana specjalnie przez Towarzystwo – wyjaśnił Julien głosem, który prawie ginął w zgiełku. – Największą atrakcją, z tego, co słyszałem, jest legendarny artefakt z czasów starożytnych: naszymnik z kamieniem, który zawiera w sobie gwiazdy.

– Jest tutaj? – zapytała Esta.

– Tak, ale na waszym miejscu bym się nie cieszył – odparł Julien. – Środki bezpieczeństwa są imponujące. Po ostatnich wybrykach Antistasi wszyscy mają się na baczności.

– Tym będziemy się martwić później – stwierdził Harte. – Najpierw upewnijmy się, czy to rzeczywiście ten naszymnik, którego szukamy.

Razem zagłębili się w labirynt budynków, przechodząc przez bazar, na którym sprzedawano kolorowe tkaniny i różne małe cacka przypominające rzeczy ukradzione z grobowca faraona. Z ogromnej restauracji sączyły się

na ulicę, nęcąc przechodniów, zapachy pieczonych mięs i odurzających przypraw. Wreszcie doszli do budowli, której nadano taki kształt, aby sprawiała wrażenie sprowadzonej prosto z Egiptu.

Duży, głęboki portyk okalały z dwóch stron pasiaste kolumny z piaskowca, na których wymalowano coś w rodzaju hieroglifów. Przypominały Harte'owi gmach Khafre Hall z jego złożonymi zdobieniami i mnóstwem błękitnych akcentów. Esta, sądząc po tym, jak nagle znieruchomiała, również wpadła na ten trop.

– Gotowi na rejs po Nilu? – rzucił Julien.

Lecz Harte nie miał cierpliwości do jego gier. Upał zaczynał mu doskwierać, bolała go głowa, wzrok się rozmazywał, a jego umysł nagle wypełnił się hukami.

Słońce stało tak wysoko, że świątynia nie rzucała cienia. W jej grubych chłodnych murach byłoby przyjemnie i bezpiecznie.

Wizja innego miejsca i czasu rozviała się równie szybko, jak się pojawiła. Harte stał obłany zimnym potem, w uszach mu dzwoniło.

– Harte? – Usłyszał głos Esty, a kiedy napotkał jej oczy, dojrzał w nich troskę. Powinna to być dla niego miła odmiana po obojętności, jaką okazywała mu od rana, lecz nie otrząsnął się jeszcze po tym, co zobaczył.

Weź się w garść, powiedział sobie w duchu.

– Nic mi nie jest, brachu – odparł i mrugnął do niej.

W jej oczach zamigotała złość.

– Ale przecież właśnie...

– Daj spokój – przerwał jej, po czym zwrócił się do Juliana, który także przyglądał mu się z poważną miną. – Bierzmy się do roboty. Zobaczmy, z czym się mierzymy.

Okazało się, że Julien nie przesadzał: wewnątrz budynku ujrzeli sznur ludzi czekających w kolejce do prawdziwych stateczków w kształcie długich piróg o zadartych końcach, co miało je upodabniać do łodzi, które niegdyś pływały po Nilu. Gdy przyszła ich kolej, Julien dyskretnie wręczył

pracownikowi obsługi kilka monet, dzięki czemu mieli całą łódź tylko dla siebie.

– Ty pierwsza – powiedział do Esty, puszczając ją przodem.

Usiadła na ławce pośrodku. Julien ruszył za nią, lecz Harte przytrzymał go za ramię.

– Młodość przed pięknem – oznajmił, po czym zajął miejsce obok Esty, ignorując uśmiezek na ustach przyjaciela i udając, że nie widzi poirytowania dziewczyny.

Z tyłu stał wioślarz w szacie z lnu przetykanej złotą nicią i najgorszej peruce, jaką Harte widział w życiu. Spilśnione czarne warkocze okalały twarz o błękitnych oczach podkreślonych proszkiem antymonowym. Także skóra tego człowieka wyglądała na sztucznie przyciemnioną – odcień był zbyt czerwony, by mógł być naturalny. Zapewne miał wyglądać jak wyjęty żywcem z egipskiego malowidła, lecz – w odróżnieniu od kobiecej kreacji Juliana – kostium wioślarza był karykaturalny. Jak ci biali aktorzy rewiowi, którzy czernili sobie twarze węglem korkowym, był kpina z ludzi, których miał przedstawiać.

Wioślarz w milczeniu odbił od brzegu i łódź popłynęła wąskim kanałem wypełnionym nienaturalnie błękitną wodą. Esta siedziała prosto jak świeca, czujnie się rozglądając.

– No to zaczyna się – wymamrotał Julien u wlotu ciemnego tunelu, rzucając im szelmowskie spojrzenie przez ramię.

Im dalej się zagłębiali, tym robiło się ciemniej, aż nastąpiła sztuczna noc, a jedynym słyszalnym dźwiękiem był miękki plusk wody.

– Na początku było tylko morze, ciemne i bezkresne... – W mroku rozległ się głęboki, teatralny głos wioślarza. – Ten pierwotny ocean był jednym wielkim chaosem...

Wioślarz umilkł i znów sunęli w ciszy przez gęstą ciemność, ale Harte nie potrafił się odprężyć – nie kiedy Esta siedziała tuż obok, a moc w jego wnętrzu budziła się wśród mroku.

Choć poranny skwar został daleko z tyłu, w tunelu panowała duchota, jakby od powietrza odgradzała ich zasłona wilgoci. Zapach stęchlizny i kurzu przywodził na myśl starożytny grobowiec. Harte zastanawiał się, czy ten efekt był zamierzony. Przełykając gulę, która zrobiła mu się w gardle, powstrzymał się przed odruchem poluzowania kołnierza.

Mimo ciemności czuł bliskość Esty – i głos w jego wnętrzu też ją czuł. Mrok go ośmielał i Harte z trudem ignorował zwielokrotniony echem, niezrozumiały chór, podczas gdy z tyłu wioślarz recytował coś monotonicznie.

– Ten chaos nie miał kresu i nie było w nim żywych istot, dopóki wody się nie rozstały i nie wyłonił się bóg słońca Ra, by zaprowadzić porządek i stworzyć świat.

W oddali pojawił się jasny punkcik, który rósł w miarę, jak się do niego zbliżali, aż w końcu łódź wpłynęła do kolejnej sali, kopulastej i pomalowanej na złoto – można było odnieść wrażenie, że jest się we wnętrzu słońca. Głos wycofał się lekko, ale to wystarczyło, by Harte mógł trochę odetchnąć. Esta miała twarz zwróconą gdzie indziej. Chłoneła otaczające ich widoki, a może po prostu dalej go unikała – trudno było stwierdzić.

Harte trochę żałował, że jej dotknął, ale nie do końca. Nawet teraz, po wielu godzinach od tamtych kilku skradzionych sekund, kiedy czuł pod sobą każdy centymetr jej ciała, silnego, zwinnego i miękkiego, nawet w oczyszczającym blasku dnia jego usta wciąż pamiętały jej smak, jego palce wspominały żar jej skóry. Gdyby miało mu po niej zostać tylko to wspomnienie, przyjąłby je z wdzięcznością.

Nie mógł teraz nie skorzystać z okazji, by dobrze jej się przyjrzeć: smukłej krzywiźnie szyi w miejscu, gdzie zaczynały się skrócone włosy, ustom zbyt różowym i zbyt delikatnym, aby mogły należeć do chłopca, wreszcie długim i silnym nogom, tak wyraźnie zarysowanym w spodniach, które uparła się nosić. Wioślarz znowu snuł opowieść, tym razem o przygodach Ra i Ozyrysa, Isis i Horusa oraz innych bóstw. Harte czytał o nich dawniej, przygotowując się do występów, teraz jednak nie słuchał. W każdym razie niezbyt uważnie. Znał te historie. Poznał je, gdy „zglębiał

tajniki” wiedzy magicznej. Ignorując wioślarza, odtwarzał w myślach wciąż od nowa tamte parę minut z ostatniej nocy, gdy świat wymknął mu się spod kontroli, wydając się jednocześnie groźny i doskonały.

Jakby w odpowiedzi na to wspomnienie poruszyła się uwięziona w nim siła. Wezbrała tak mocno, że Harte ledwie słyszał szmer wody, a opowieść wioślarza dochodziła jakby hen z daleka. Jako że poprzedniej nocy przespał zaledwie parę godzin – na domiar złego w niewygodnym krześle z prostym oparciem – tłamsił tę moc i hamował jej wzrost ostatkiem sił. Prawie nie przyglądał się teraz mijanym salom, cała jego uwaga koncentrowała się bowiem na niej. I na Eście, która siedziała na wyciągnięcie ręki.

Minęli trzecią salę, w której wzniesiono makietę świątyni, i wpłynęli do komnaty z mnóstwem regałów zastawionych różnymi tabliczkami i zwojami pergaminu. Głos w jego wnętrzu natychmiast ucichł. Była to jednak niespokojna cisza. Moc, która jeszcze przed chwilą groziła wybuchem, pomału zgasła i po chwili Harte czuł już tylko milczącą pustkę.

ROZPOZNANIE

1904 rok – St. Louis

North patrzył, jak gondole suną przez sztuczne jezioro ku Hali Festiwalowej, i notował ich czasy, gdy nagle spostrzegł tego faceta. W pierwszej chwili nie było dla niego jasne, skąd go zna, lecz zaraz sobie przypomniał. To ten sam człowiek, który poprzedniego wieczoru stał w kolejce do teatru – w towarzystwie Diablej Ręki.

Zaciekawiony schował notes i podążył za nieznajomym.

Godzinę wcześniej odprowadził Maggie i od tamtej pory robił to, co zwykle, kiedy na nią czekał: starał się dowiedzieć jak najwięcej o wystawie. Był to ogromny teren, pełen ludzi i zakamarków, a czasu na przygotowanie akcji zostawało coraz mniej. Na razie North rozrysował mapę całej wschodniej części, w której znajdowały się filipińskie wioski oraz większość pawilonów związanych z rolnictwem i leśnictwem. Teraz przesuwiał się na zachód, przez ekspozycję marokańską i replikę Jerozolimy. Wiedział już, gdzie są wejścia i wyjścia, gdzie najczęściej zbierają się członkowie Straży i kiedy się zmieniają. Znał wszystkie miejsca, w których groziło im zdemaskowanie, i te, gdzie w razie potrzeby mogli się ukryć. Jedno po drugim rozpoznawał wszystkie zagrożenia, bo Ruth chciała, żeby przewidział je zawczasu. Ten facet niewątpliwie się do nich zaliczał – tym bardziej że nie był sam.

Gdy wraz z dwoma towarzyszami wkroczył na Promenadę, North, korzystając z tłoku i hałasu, zakradł się nieco bliżej. Całkiem spory tłum czekał na wejście do Zaświatów, co jemu wydawało się dość idiotyczne, ale przynajmniej mógł niepostrzeżenie wyprzedzić śledzoną trójkę. Przeciął bulwar i stanął pod głębokim nawisem Stworzenia, gdzie mógł czekać

niezauważony. Chwilę później tamtych trzech wyłoniło się z tłumu. North na ich widok parsknął śmiechem, aż wystraszył stojącą obok kobietę.

Jeden z mężczyzn wcale nie był mężczyzną. To była Diabła Ręka. W garniturze i czapce wyglądała inaczej, obcięte włosy ledwie sięgały kołnierzyka, lecz musiały nie mieć oczu, żeby się nie zorientować, kto to jest.

Ale co ona tutaj robi?

Że dziewczyna, o której trąbiły gazety, pojawiła się w mieście tuż przed największym – i najbardziej niebezpiecznym – czynem Antistasi, to jedno. Można to było wytłumaczyć zbiegiem okoliczności. Ale że pojawiła się na wystawie, w miejscu upatrzonym przez Ruth wiele miesięcy temu? I to właśnie teraz, gdy wszystko zmierzało do finału?

Źle mu to pachniało.

Z kapeluszem wciśniętym na czoło ruszył za nimi wzdłuż Promenady, aż doszli do Ulic Kairu. Niepokojące, że udali się wprost do atrakcji ufundowanej przez Towarzystwo, jakby nic więcej ich nie interesowało.

Może powinien wejść za nimi do środka, lecz miał już plan tego miejsca – było tam jedno wejście i jedno wyjście – i nie uśmiechało mu się znów płynąć tą cholerną łódką. Nie chciał niepotrzebnie ryzykować, że ktoś go przyuważy; ostatnia rzecz, na jakiej zależało teraz Antistasi, to żeby North zwrócił na siebie uwagę strażników. W końcu miał jeszcze do rozpoznania jedną trzecią wystawy. Ustawił się więc pod chińskim łukiem naprzeciwko Kairu i obserwował wyjście.

Większość wystawy mu nie przeszkadzała, jednak Promenada budziła w nim głęboką niechęć. Wszystko tutaj było za duże, za głośnie albo zbyt krzykliwe. Choć musiał przyznać, że Jim Key, mądry koń, to było coś. Najbystrzejsze zwierzę, o jakim North słyszał, a co dopiero widział. Taka właśnie to była wystawa – człowiek nie wierzył własnym oczom. Łuk, pod którym stał North, też był niczego sobie: czerwieńszy niż krew i połyskujący złotem. Powierzchnię pokrywały dziwne czarne i niebieskie symbole, a dach wieńczyły finezyjne smoki spoglądające z góry na tłum, jakby czegoś pilnowały.

Ale nawet tacy strażnicy nie mogli zapobiec temu, co zaplanowała Ruth i reszta Antistasi.

Pod koniec miesiąca do miasta zjadą się wysocy rangą przedstawiciele bractw. Przez jeden wieczór będą wszyscy razem, w jednym miejscu.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Antistasi nie tylko wyślą sygnał Towarzystwu; to będzie ich manifest dotyczący magii i przyszłości świata. Czyn planowany przez Ruth był niemożliwy i oczywisty zarazem. Jeśli się uda, zmieni wszystko – dosłownie wszystko. Towarzystwo upadnie, bractwa zostaną bez przywódców, a magia znów będzie wolna. Nareszcie.

Diabla Ręka mogła sobie być legendą, lecz North nie zamierzał pozwolić, by pokrzyżowała im szyki.

GWIAZDA DŻINA

1904 rok – St. Louis

Wioślarz wciąż opowiadał, lecz uwaga Esty skupiała się na tym, jak blisko niej siedzi Harte i jak udaje, że jej nie widzi.

Jego milczenie ją irytowało. W nocy prawie nie zmrużyła oka, bo cały czas rozmyślała o tym, co między nimi zaszło. Harte wrócił dopiero nad ranem. Była zbyt sfrustrowana i zła – na niego i na siebie – by z nim rozmawiać, więc tylko się odwróciła i udawała, że śpi.

Lecz nawet gdy Julien umówił się z nimi na spotkanie przy wejściu na wystawę, Harte wciąż był ponury i milczący. A ponieważ to on porzucił ją, nie ona jego, nie zamierzała pierwsza wyciągać ręki na zgodę.

Wciąż jeszcze wydawało jej się, że czuje dotyk jego ust. Pewnie nigdy nie zapomni ciężaru jego ciała wgniatającego ją w materac. Jak mógł teraz udawać, że nic się nie wydarzyło?

No chyba że naprawdę to nie on jej pragnął, lecz moc Księgi. A to by znaczyło, że tylko niepotrzebnie zrobiła z siebie idiotkę.

Esta odepchnęła te myśli na bok i odsunęła się od Harte'a pod pozorem oglądania ekspozycji. Każda sala, przez którą płynęli łódką, była pieczołowicie udekorowana i przedstawiała jakąś scenę ze starożytnego Egiptu – tak jak go sobie wyobrażano na początku dwudziestego wieku – lecz Esta prześlizgiwała się po nich niewidzącym wzrokiem. Jej uwaga co rusz wracała do Harte'a – do jego sztywnych pleców i, pomimo upału, świeżego, mydlanego zapachu.

– I wreszcie zbliżamy się do Komnaty Książek – oznajmił wioślarz, gdy wpływali do kolejnej sali, z mnóstwem regałów zastawionych tabliczkami

oraz zwojami papirusu. – Tutaj bóg Thot, władca Biblioteki Życia, wynalazł sztukę pisania i podarował ją ludziom.

Harte przez cały rejs trzymał ją na dystans, lecz gdy wioślarz wspomniał o Thocie, coś się zmieniło. To było jak chwila przed ulewą, gdy czuć w powietrzu nadchodzącą burzę. Twarz Harte'a przybrała bardzo dziwny wyraz.

– Tak powiedzieli? – W jego głosie brzmiała pogarda całkiem niewspółmierna do sytuacji. – Thot, władca Biblioteki? – Z gardła wydobył mu się mroczny śmiech.

Zachowywał się tak dziwnie, że Esta na moment zapomniała o swojej złości.

– Harte? – Wyciągnęła rękę przed siebie, a kiedy zetknęła się z nim skórą, Harte znieacka obrócił głowę. Jego dłoń zacisnęła się na jej nadgarstku i Esta poczuła gorąco, które nie miało nic wspólnego z jego magią. Nie mogła mu się jednak wyrwać, nie ryzykując rozbujania lub nawet przewrócenia łodzi.

– Thot niczego nie wynalazł – oznajmił Harte. Mówił jakby nie swoim głosem, a źrenice powiększyły mu się tak bardzo, że nie widać było koloru tęczówek. Wyzierała z niego jakaś ciemność podobna do mroku, który osaczył Estę na dworcu, a potem w hotelu.

– Harte – powiedziała cicho, próbując go przywołać do rzeczywistości. – O czym ty mówisz?

– Thot był zwyczajnym złodziejem. – Harte nie tyle wypowiedział, ile wypluł to słowo z obrzydzeniem. – Kradł wiedzę, która nie była jego, a gdy mu nie wystarczała, kradł jeszcze więcej. – Znów roześmiał się dziwnym, głębokim, bezradosnym śmiechem, aż Julien spojrział na Estę z pytaniem w oczach.

Pokręciła delikatnie głową na znak, że nie wie, o co Harte'owi chodzi.

– Cśś – spróbowała go uciszyć, bo nie przestawał się śmiać.

Wioślarz na nowo podjął swoją opowieść. Mówił teraz o tym, że starożytni wierzyli, iż wszystko, co było zapisane w bibliotece w Kairze,

zostanie przepisane i urzeczywistnione w świecie bogów.

– Thot należał do najważniejszych bóstw tej cywilizacji. Dał światu nie tylko pismo, ale również naukę i magię – ciągnął. – Stwarzając słowo pisane, nadał porządek chaosowi kosmosu, a dzięki zapisaniu zaklęć wyeliminował zagrożenie ze strony dzikiej magii, okiełznał ją dla ludzkości.

– Kłamstwa – wymamrotał Harte. – Same kłamstwa...

– Co z tobą? – szepnęła Esta, dźgając go łokciem w bok.

Harte zamrugął.

– Co?

Odsunął się od niej, marszcząc brwi. Oczy wciąż patrzyły dziwnie, ale szara tęczęwka zaczynała już wracać na swoje miejsce. Może i nie powinien był jej wczoraj pocałować. Może i nie powinna była go pożądać. Ale patrząc teraz na jego twarz, zastygła w dziwnym, na wpół osłupiałym wyrazie, poczuła, że gniew w niej pierzchnie.

Wioślarz dalej opowiadał w najlepsze.

– Ponieważ był dobrym bogiem, Thot ukrył niebezpieczeństwo chaosu w księdze zwanej Księgą Thota. Zakopał ją na dnie Nilu, gdzie strzegły jej węże, a śmiałkowie, którzy próbowali ją stamtąd wydobyć, płacili wysoką cenę, albowiem wiedza boska nie była przeznaczona dla zwykłych śmiertelników.

Księga Thota? Esta zerknęła przelotnie na Harte'a. Cokolwiek w niego przed chwilą wstąpiło, już minęło. Nadal był spięty, ale słuchał teraz wioślarza. A może zaprzętało go coś innego. W każdym razie na jego zamyślanej twarzy nie było już widać oburzenia.

Następna w kolejności po Komnacie Książek była olśniewająco błękitna sala z ogromną dioramą. Na dalekim wzgórzu wznosiła się biała świątynia, błyszcząca w sztucznym słońcu.

– Z czasem stare cywilizacje przeobrażały się w nowe imperia – opowiadał wioślarz – i Thota zaczęto nazywać Hermesem, wciąż jednak pozostawał sojusznikiem ludzkości w dążeniu do wiedzy. Według jednej

z legend wykradł wiedzę z Olimpu, by podarować ją ludziom, przez co stał się patronem złodziei. Później jako Hermes Trismegistus zasłynął wynalezieniem Szmaragdowych Tablic, skrywających tajemnicę kamienia filozoficznego, czyli podwalin alchemii. Szmaragdowe Tablice objawiły ludziom sekret przemiany samej istoty świata – rzekł wioślarz, gdy przepływali obok czegoś, co musiało być górą Olimp. – Dzięki wnikliwym studiom nad naukami hermetycznymi nauczyliśmy się panować nad mocami, które dawniej stanowiły zagrożenie. A dzięki alchemii i wiedzy tajemnej ci, którzy za cel stawiają sobie doskonałość, tacy jak sam Zawołowany Prorok, mogą rzucić wyzwanie dzikiej potędze nieujarzmionej mocy.

W ciszy zanurzyli się w ciemnościach kolejnego tunelu, który okazał się ostatnim na trasie.

– A teraz – odezwał się wioślarz – jeśli podążycie dalej Ścieżką Prawości do Świątyni Chorasán, będziecie mogli obejrzeć jeden z najcenniejszych skarbów Zawołowanego Proroka: wykuty w epoce starożytnej naszyjnik z kamieniem, który miał być stworzony przez samego Thota.

Esta na dźwięk tych słów poczuła, że włosy stają jej dęba. Harte, sądząc po twarzy, otrząsnął się z tego, co mu się przytrafiło w bibliotece. Nie widziała jednak w jego spojrzeniu nerwowego oczekiwania, które sama teraz czuła. Oczy miał szkliste i jakby nieobecne, szczękę zaciśniętą, skronie lśniły warstewką potu. Wyglądał tak, jakby w ogóle nie usłyszał słów wioślarza.

Ścieżkę pomalowano na srebrno, lecz była to ułuda jak wszystko inne na Promenadzie. Gdy szli po niej z pozostałymi, niczego nieświadomymi turystami, muzyka przeszła w żywą melodię o wschodnim brzmieniu. Ścieżka zawiodła ich do mniejszej komnaty wypełnionej ludźmi. Pośrodku, zasłonięta przez tłum, stała oświetlona od góry gablota.

Esta nie musiała jej dobrze widzieć, by się domyślić, co tam jest. Gwiazda Dżina. Czuła jej wołanie, tak jak wtedy, gdy na przełomie tysiącleci ukradła ją z salonu jubilerskiego na Upper East Side.

Gdyby mogła zwolnić bieg czasu, pewnie zdołałaby ją wykraść i teraz, lecz im bardziej się zbliżała do gabloty pośrodku sali, tym silniej czuła, że użycie magii nie wchodzi w grę. Mniejsza nawet o to, że przy wejściu do komnaty minęli dwóch członków Straży Jeffersonskiej. Jeszcze bardziej niepokoił ją unoszący się w powietrzu mdły zapach.

– Opium – szepnął Harte. Wyraz twarzy miał wciąż lekko nieobecny, ale i bardziej zatroskany.

– To tylko aromat – stwierdził lekceważąco Julien. – Chcieli, żeby wystawa przemawiała do wszystkich zmysłów.

Jednak Esta była pewna, że Harte ma rację. Znała dobrze ten zapach i obezwładniające działanie narkotyku, który uniemożliwił jej zatrzymanie czasu, gdy złapano ją w Słomianym Targu tuż po tym, jak po raz pierwszy przybyła do starego Nowego Jorku. Nawet teraz czuła, że jej magia jest przytępiona. To nie była ilość narkotyku mogąca komukolwiek zaszkodzić, ale wystarczała, by osłabić jej dar.

Wkrótce stanęli całą trójką przed gablotą. Za szkłem na wyściółce z granatowego aksamitu leżała Gwiazda Dżina. W naszyjniku lśnił wypolerowany kamień, który zdawał się kryć w swoim wnętrzu całe galaktyki.

– Teraz chyba już rozumiecie, że odzyskanie waszego naszyjnika jest niemożliwością – rzekł Julien, pochylając się, tak by nikt inny nie słyszał. – Ulice Kairu to wkład Towarzystwa Zawołowanego Proroka w wystawę, a naszyjnik to najważniejszy eksponat. Przecież wam go nie odsprzedadzą.

Nie zamierzaliśmy za niego płacić, pomyślała Esta.

– W takim razie chyba będziemy musieli go sobie wziąć – stwierdziła na głos, wzruszając ramionami.

– Wziąć? – Julien z rozdziawionymi ustami spojrzał na Harte'a, który w zamyśleniu wpatrywał się w kamień. – Zabrać go Towarzystwu? Chyba do szczętu oszalałaś.

– Skąd – szepnęła z błyskiem w oku. – Po prostu jestem złodziejką.

ULICE KAIRU

1904 rok – St. Louis

Choć Harte czuł mróz w żyłach, skórę miał tak gorącą, że aż go piekła. Oto stali przed Gwiazdą Dżina. Moc w jego wnętrzu się kotłowała – czy to ze strachu, czy z podziwu, nie wiedział. Zdawał sobie niejasno sprawę, że Esta i Julien rozmawiają o naszyjniku, ale nie przysłuchiwał się, dopóki Esta nie powiedziała, że jest złodziejką.

– Nie tutaj – zwrócił jej uwagę ściszym głosem. Znajdowali się w pomieszczeniu pełnym ludzi, otoczonym przez Straż Jeffersonską. Czym innym była pewność siebie, a czym innym głupota.

Esta spojrzała krzywo, ale zamilkła.

– Chodźcie – rzucił. Potrzebował odetchnąć świeżym powietrzem. Nie mógł wstrzymać oddechu w nieskończoność, a po tym, co się wydarzyło podczas rejsu łódką, czuł się lekko oszołomiony. Nie patrząc, czy idą, ruszył przez tłum i chwilę później wyszedł na ulicę. Teraz wreszcie mógł zaczerpnąć powietrza, które nie było ciężkie od otępiającego narkotyku, i zebrać w sobie siłę, by zepchnąć w głąb moc, która poruszała się rozochociona.

Na zewnątrz potrzebował chwili, żeby przyzwycząić oczy do jasnego światła dnia. Odetchnął głęboko, by przewietrzyć głowę, ale krew nadal łomotała mu w skroniach. Wyszli gdzie indziej, niż weszli: na główny deptak Promenady. Harmider był ogłuszający, a tłum zdawał się płynąć zgodnie w jednym kierunku.

Harte obejrzał się i stwierdził z ulgą, że Esta i Julien są tuż za nim.

Julien pociągnął go za rękaw.

– Chodź – rzekł, usiłując go prowadzić w kierunku, w którym zmierzali wszyscy zwiedzający. – Nie stój tak na środku, bo nas zdeptają.

Odsunął Harte'a i chwilę później minął ich wielki wóz zaprzężony w parę siwych koni. Na wozie wzniesiono szalę z czegoś w rodzaju suchych liści palmowych i zwiłków gałęzi. Przed szalą starszy mężczyzna o śniadej cerze, przewiązany jedynie opaską w biodrach, siedział na stołku z całkiem obojętną miną, nic sobie nie robiąc z gapiących się i krzyczących ludzi naokoło. Kilku podobnie ubranych mężczyzn stało na baczność, a pośrodku siedziała gromadka dzieci. Wyglądały, jakby coś krzyczały albo śpiewały, lecz Harte nie słyszał ich wśród zgiełku.

– O co tu chodzi? – spytał, podążając za Julienem i Estą wzdłuż budynków, gdzie tłum był trochę rzadszy.

– To parada – wyjaśnił Julien.

– Widzę, ale po co? – spytał Harte. Czuł przypływ trudnej do uzasadnienia irytacji. Uwięziona w nim siła znów się wyrывała, słoneczny żar rozchodził mu się po skórze. – Sama wystawa nie wystarczy?

– To część zabawy, Darrigan – odparł Julien. – Inaczej skąd byś wiedział, które atrakcje odwiedzić? Ta parada, która właśnie nas minęła, reklamuje wioskę Igorotów – fascynująca sprawa. Oni tam prawie nie noszą ubrań... Ale to się zaraz skończy. Parady nigdy nie trwają długo. Codziennie odbywają się przynajmniej dwie. To jest pierwsza. Później, pod wieczór, będzie druga.

Przez kilka minut stali we troje w cieniu budynku, otoczeni nieprzebrany tłumem. Parada posuwała się dalej, za wozem szła grupka kobiet w jedwabnych szatach, o twarzach pomalowanych na białą jak gejsze. Z obu stron kroczył równy szpaler członków Straży Jeffersońskiej, pilnując, by rozentuzjasmowany tłum nie podchodził za blisko. Gdy ktoś – zwykle jakiś mężczyzna – się zapominał, jeden ze strażników odpychał go równie brutalnie, co mechanicznie.

– Wszystko w porządku? – spytała Esta, przyglądając się Harte'owi z troską w oczach.

– Nic mi nie jest – odparł.

– Bo wyglądasz...

Powietrze rozdarło głośne wycie i parada pogrążyła się w chaosie. Trzy postacie w zmiętych szatach i dziwnych powykrzywianych maskach zaatakowały Straż Jeffersonską. Wśród zgiełku i zamętu rozległo się głośne „puk” i z palców jednego z napastników zaczął się wydobywać kolorowy dym.

Strażnicy eskortujący gejsze rzucili się do walki.

– Antistasi – stwierdził Julien z nutą strachu w głosie.

Harte nie był tego jednak taki pewien. Tym razem nie wyczuwał w powietrzu żadnej magii. Nic nie wskazywało na to, że dym jest czymś więcej niż próbą odwrócenia uwagi.

Z pawilonu Nilu wybiegli kolejni strażnicy i zaczęli się przedzierać przez tłum, odpychając każdego, kto niebacznie stanął im na drodze. Przewrócona przez nich kobieta upuściła dziecko, które trzymała w górze, by mogło zobaczyć paradę. Dziecko się rozpłakało, ale żaden ze strażników nie zatrzymał się, żeby pomóc. W pośpiechu graniczącym z brutalnością zaczęli wyłapywać uciekających przed mgłą. Mężczyzn, kobiety, a nawet dzieci – wszystkich bez wyjątku.

Jedna z tajemniczych postaci została schwytana i zdarto z niej maskę. Był to chłopak nie więcej niż czternastoletni. Splunął na strażników, wołając:

– Niech żyją Antistasi!

– Niech żyje Diabla Ręka! – zawtórował mu inny głos.

W odpowiedzi jeden ze strażników zdzielił chłopaka pięścią w brzuch.

Esta zrobiła krok w ich kierunku, lecz Harte złapał ją za nadgarstek. Odwróciła się ze wściekłym ogniem w oczach.

– To przecież dzieci! – rzuciła drżącym głosem.

– Nie możemy im pomóc – odparł Harte.

– Ja mogę...

– Nie – uciął. Gdyby użyła teraz daru, pośrodku tego zamieszania... Nie wiadomo, jak by się to skończyło, tym bardziej że musieliby przedostać się

jakoś przez bramę wejściową.

Esta zaczęła się wyrywać.

– Nie możemy ich tak zostawić.

– Jeśli nas złapią, będzie jeszcze gorzej. Musimy iść.

Ale Esta patrzyła na niego jak na wroga, jakby gotowa była poruszyć niebo i ziemię, byle tylko uratować tych chłopców. Przez chwilę Harte myślał, że będzie musiał ją wziąć na ręce albo, co gorsza, zawieść mozolnie budowane wzajemne zaufanie i zmusić ją do posłuszeństwa. Nie mógł jednak ryzykować. Nie tylko dlatego, że byłaby to niewybaczalna zdrada. Również dlatego, że trzymając Estę za rękę, i tak już ledwie panował nad uwięzioną w nim siłą.

Czuł napór tej siły w miejscach, w których był najbardziej bezbronny – w tych cząstkach własnej istoty, które pragnęły Esty i które się z nią zgadzały. Razem mogliby zniszczyć Straż. Pomóc tym chłopcom, którzy najpewniej mieli tyle wspólnego z Antistasi co reszta ludzi w tłumie. Tak łatwo byłoby dokonać innego wyboru. Jednym dotknięciem mógłby sprawić, że strażnik bijący chłopca sam odebrałby sobie życie.

Brutalność tego obrazu, jego wyrazistość tak bardzo zaskoczyły Harte'a, że wydał stłumiony okrzyk. Zaraz jednak się otrząsnął i skupił na rzeczywistości. Na tym, co prawdziwe.

Moc wciąż próbowała się zbliżyć do Esty, jakby złakniona jej gniewu. Ale nic z tego.

– Chodźmy. – Harte odciągnął Estę i podążył za Julienem, z dala od parady i od rejuwachu Promenady, ku jednej z bocznych alejek wiodących z powrotem do głównej części wystawy.

Esta w końcu się z tym pogodziła, choć wciąż oglądała się w tamtą stronę, dopóki nie dotarli do zbiegu Promenady z innymi alejami. Gwar był tutaj cichszy i Harte prawie nie słyszał odgłosów awantury. Wypielegnowane ścieżki wiodły do wielkich pałacowych budowli, z których wychodzili i do których wchodzili elegancko ubrani ludzie.

– Musimy się stąd wydostać – stwierdził Harte, puszczając Estę, co wprawilo moc w furię.

– Może jednak lepiej poczekać – zasugerował Julien. – Po ataku Antistasi na pewno będą wzmożone kontrole przy wyjściach.

– To nie byli Antistasi – odezwała się głucho Esta, znów patrząc w stronę Promenady. Z miejsca, w którym się znaleźli, widzieli już tylko zarysy budynków. Trudno było stwierdzić, co tam się dzieje.

– Nieważne, kim byli – odparł Julien. – Widzieliście reakcję Straży. Będą teraz szukać winnych. Nie chcecie przecież mieć kłopotów.

– Jules ma rację – stwierdził Harte. Potrzebował czasu, by pozbierać myśli i nabrać sił. – Odczekajmy trochę. Poudawajmy turystów, dopóki sytuacja się nie uspokoi.

– Ja niestety nie mogę – oświadczył Julien. – Obawiam się, że muszę was tu pożegnać.

– Zostawiasz nas? – Esta odwróciła się twarzą do nich.

– Za moją głowę nie wyznaczono nagrody – odparł. – Nie muszę się obawiać Straży. Ale mam dzisiaj występ popołudniowy.

– Jeszcze nie skończyliśmy – rzekł Harte, starając się mówić spokojnym tonem, choć uwięziona w nim siła wciąż się burzyła, że nie postąpił tak, jak chciała. Na wszelki wypadek odsunął się od Esty jeszcze o krok.

Julien zmarszczył brwi.

– Spełniłem waszą prośbę. Pokazałem wam naszyjnik.

– Ale jeszcze go nie odzyskaliśmy – zauważył Harte. – Dopóki jest na wystawie, nie możesz czuć się w pełni bezpieczny.

Julien się najeżył.

– To zajmijcie się tym, Darrigan. To ona jest złodziejem, nie ja.

– Chcesz, żebyśmy się tym zajęli? Potrzebujemy dodatkowych informacji o środkach bezpieczeństwa i planowanych wydarzeniach. Musimy wiedzieć, czy naszyjnik jest w gablocie przez całą dobę, czy na noc przenoszą go w inne miejsce.

– Niby skąd miałbym wziąć te informacje? – spytał Julien wyraźnie poirytowany i, jeśli Harte się nie mylił, cokolwiek nieswój.

– Ponieważ jesteś członkiem Towarzystwa.

Julien zbladł, lecz Harte mówił dalej:

– Myślałeś, że nie wiemy, Jules?

– To tylko członkostwo grzecznościowe. Jestem dla nich nikim.

Harte wyczuł nutę goryczy w tonie przyjaciela.

– Jesteś bliżej Towarzystwa niż którekolwiek z nas – podkreślił. – Chcesz się od nas uwolnić? Zdobądź dla nas te informacje.

– Dobrze – odparł Julien. – Ale to chwilę potrwa.

– Im prędzej odzyskamy naszyjnik, tym szybciej przestaniemy ci zawracać głowę – przypomniał Harte. – Będziesz mógł o wszystkim zapomnieć i wrócić do normalnego życia.

Julien westchnął sfrustrowany.

– Kiedy to się już stanie, wierz mi, Darrigan, że nie będę za tobą tęsknił.

Harte odprowadził go wzrokiem, dopóki przyjaciel nie zniknął w tłumie zwiedzających.

– Mogliśmy pomóc tym dzieciakom – powiedziała Esta cicho, ale gniewnie.

Harte westchnął zmęczony i odwrócił się do niej bez pośpiechu.

– Wiem.

– To dlaczego...

– Bo mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia.

– To były dzieci. Z bombami dymnymi – ciągnęła drżącym głosem. – Przebrane za Antistasi. Za mnie. Widziałeś te suknie i maski? Udawali Diabłą Rękę. A ci strażnicy nie mieli dla nich żadnej litości. Widzieli przecież, że to są dzieci, ale nic ich to nie obchodziło.

– To nie twoja wina – zapewnił ją, lecz gdy wypowiedział te słowa, natychmiast ich pożałował. Oczy Esty rozbłysły furją, a moc w jego wnętrzu znów się rozgrzała.

Gdy Esta się odezwała, jej głos brzmiał chłodno, beznamiętnie.

– Nie moja? Może ty potrafisz oddzielić swoje plany od cierpienia innych ludzi. Już nieraz ci się to udało. Ale ja tak nie umiem. I nie zamierzam.

Jej słowa trafiły w czuły punkt, zapewne dlatego, że było w nich wiele prawdy. Ich kłopoty wzięły się przecież stąd, że chciał uciec z miasta. Dla tego jednego marzenia był gotów poświęcić niemal wszystko. Co nie zmieniało faktu, że powinni teraz zakończyć misję – i że jeśli im się nie uda, Magini będą mieli dużo większe zmartwienia niż Straż.

– Musimy znaleźć kamienie – powiedział łagodnie. – Najpierw odzyskać naszyjnik, potem odszukać Billa i zabrać sztylet, a potem pojechać na drugi koniec kraju po diadem. Z więzienia albo z grobu raczej niewiele wskóramy. – Zamilkł na chwilę, zbierając się w sobie, odpychając moc, która atakowała jego słabe punkty. Oczy Esty wciąż płonęły złością, lecz Harte mówił dalej: – Jeśli nie odzyskamy tych kamieni, zwycięży Nibsy. I Jack. Chciałbym pomóc tym dzieciakom, ale wystawilibyśmy się w ten sposób na cel. Chcesz pomóc im i wielu takim jak oni? W takim razie musimy zwyciężyć. Znaleźć kamienie i odzyskać Księgę.

Oboje mamy coraz mniej czasu, przemknęło mu dojmująco przez myśl.

Esta marszczyła brwi, ale ogień w jej spojrzeniu trochę ostygł.

– Nienawidzę ich – powiedziała głucho. – Nienawidzę Straży i Towarzystwa. Ich wszystkich.

– Ja też – odparł całkiem szczerze Harte. – I dlatego nie możemy się rozdrabniać. Trzeba ich rzucić na kolana. Wykradniemy naszyjnik, to ich upokorzy. Potem pojedziemy dalej i zrobimy to znowu, aż będziemy mieli wszystko, czego potrzebujemy. Aż będziemy mogli wrócić do czasów, zanim uchwalono to prawo i powołano Straż, i zapobiec temu draństwu. Tylko w ten sposób możemy uratować tych chłopaków.

Westchnęła ciężko i potarła usta dłonią. Ten gest, w którym nie było żadnej sztuczności, upodobił ją do mężczyzny, za jakiego się przebrała.

– Pewnie masz rację – rzekła. – Ale nie myśl sobie, że już nie jestem na ciebie zła.

– Możesz się na mnie złościć, ile chcesz – odparł – ale błagam, tutaj, a nie za kratami.

– Nie ma takich krat, które by mnie powstrzymały – odpowiedziała, patrząc mu hardo w oczy.

– No nie wiem... Te w pawilonie Nilu wyglądały solidnie.

Na tę wzmiankę zrzęda jej mina.

– Skoro już mowa o Nilu, możesz mi wyjaśnić, co tam się stało?

Harte nabrał powietrza.

– Nie wiem. To się stało nagle, byłem sobą, a potem już nie byłem.

– Mówiłeś o Thocie, jakbyś go znał – stwierdziła z pytaniem w oczach. – Nazwałeś go kłamcą.

Harte niejasno pamiętał, że wypowiedział te słowa, lecz teraz myślał o nich jak o cudzych.

– To chyba to coś, co było uwięzione w Księdze. Z każdym dniem staje się coraz silniejsze. Coraz trudniej mi nad tym zapanować.

A przy tobie jest najgorzej, pomyślał.

– Cokolwiek to jest, bardzo nie lubi Thota – zauważyła Esta, odwracając wzrok.

– To coś jest bardzo... stare – oznajmił, sam nie wiedząc, skąd mu to przyszło na język. – Wyczuwam, że bardzo długo czekało, aż ktoś je uwolni... I nie chce czekać dłużej.

Esta podniosła wzrok i przez chwilę złość w jej oczach ustąpiła miejsca zmartwieniu.

– Będzie musiało – odparła. – Jesteśmy blisko. Naszyjnik jest na wyciągnięcie ręki. – Wskazała Promenadę. – A ten budynek to nie Khafre Hall. Nie powstrzyma nas ani Straż, ani opium. – Zamyśliła się. – A gdybyśmy wykorzystali paradę jako zasłonę?

Minęła ich jakaś para. Mężczyzna przyglądał im się spod zmarszczonych brwi.

– Może – odparł Harte – ale nie mówmy o tym tutaj. Nie wiemy, czy ktoś nie podsłuchuje.

– Dobrze – powiedziała Esta. – To co chcesz robić?

– Przez jakiś czas nic, ale nie możemy tak stać, bo zwracamy na siebie uwagę. Zobaczmy, co tam jest? – Wskazał pobliski gmach. – Może w środku będzie chłodniej.

Budynek okazał się Pałacem Transportu. Przepastny hol wypełniały rozmaite maszyny – eleganckie lokomotywy parowe i automobile lśniące w blasku elektrycznych świateł. Gdy tak spacerowali, udając turystów, Esta miała nieobecne, prawie smutne spojrzenie.

– Kiedyś wszyscy będą mieli własny – powiedziała, przesuwając palcem po metalowej krzywiźnie samochodu. – Nikt nie tkwi w miejscu, jeśli nie musi. Można wsiąść do samolotu i polecieć, gdzie tylko się chce...

– Polecieć? – Wydało mu się to nieprawdopodobne. – Sterowcem?

Pokręciła głową.

– Szybciej. I wyżej. W parę godzin można się dostać na drugi koniec kraju. W każdym razie niektórzy mogą – dodała smutno. Potem spojrzała na Harte'a z iskierką nadziei w oku. – Kiedy już odzyskamy kamienie i Księgę, bo przecież w końcu je odzyskamy, będziemy musieli coś z nimi zrobić. Będzie trzeba się zastanowić, co z Krawędzią. Czy lepiej ją poprawić, czy zniszczyć. Nadchodzi przyszłość i jeśli Magini mają przetrwać, miasto nie może być dla nich więzieniem. Może gdyby było inaczej, mieliby szansę. Może właśnie po to tu jesteśmy – żebyśmy mogli na własne oczy zobaczyć, jaka jest alternatywa. Żebyśmy zrozumieli, że można coś zmienić. Że to my możemy spowodować zmianę, ale tym razem na lepsze. Nawet jeśli nie zdołamy wrócić. Trzeba zacząć już.

Harte nie potrafił wykrzesać z siebie podobnej nadziei. Stał w Pałacu Transportu, otoczony maszynami, które zbudowano z myślą o prędkości, tak by zwykli ludzie mogli uciec od codziennego życia i udać się, dokąd

dusza zapragnie. To były maszyny przyszłości, maszyny, które kiedyś staną się faktem. Lecz Harte Darrigan wiedział, że one nie są dla niego. Był człowiekiem bez przyszłości. Żadna, nawet najszybsza machina nie pomoże mu uciec przed niebezpieczeństwem, które nosił w sobie.

ŻYCIE W UKRYCIU

1904 rok – St. Louis

North starał się obserwować pawilon Kairu z za parady, kiedy nagle wybuchło zamieszanie. Widząc, że Straż Jeffersonska rusza do akcji, zrezygnował ze śledzenia Diabłej Ręki i poszedł w stronę wyjścia, przepychając się przez tabuny uciekające w tym samym kierunku. Nikt w tłumie Osobnych nie mógł wiedzieć, że rozsnuta mgła była zwykłym dymem, sprawką grupki niemądrych dzieciaków udających Antistasi.

Choć w sumie trudno było im się dziwić. Sam przez całe dzieciństwo ukrywał magię płynącą w jego żyłach. Ojciec go tego nauczył, tak by nikt się nie zorientował. Inna sprawa, że wcale nie żyło im się dzięki temu lepiej. Ukrywanie magii nie uratowało też ojca od śmierci.

North miał siedemnaście lat – i od dwóch lat był sierotą – kiedy w New Jersey wykoleił się pociąg i wszystkie gazety zaczęły straszyć, że Magini wydostali się poza Krawędź. Wcześniej większość Osobnych sądziła, że Krawędź skutecznie rozwiązała problem magii. Żyli sobie spokojnie w przeświadczeniu, że nie ma wśród nich Maginów.

Tacy jak on musieli się zadowolić egzystencją w ukryciu – żyli po cichu i po cichu umierali.

Tylko że takie życie nigdy ich nie zadowalało. A śmierć nieraz wcale nie była cicha ani lekka.

Ojciec Northa usechł przez to życie. Dawał z siebie wszystko, by wychować syna po tym, jak matka ich opuściła, lecz w chwili śmierci w rzeźniach Chicago, w których pracował, był już cieniem samego siebie, steranym i przedwcześnie postarzałym człowiekiem. Northa w dniu pogrzebu nie stać było nawet na prosty nagrobek, a tydzień później trzeba

było uregulować czynsz. Mógłby pójść do tych samych zakładów, w których pracował i zmarł ojciec, wzięliby go na pewno z jego wzrostem i tężyzną. Postanowił jednak wyjechać na zachód, ku otwartym przestrzeniom, w nadziei, że gdzieś tam znajdzie dla siebie miejsce.

Wędrując po bezkresnych równinach, doszedł w końcu do wniosku, że gdziekolwiek by poszedł, ilekolwiek by miał nad sobą błękitnego nieba, komuś takiemu jak on nigdy nie będzie dane cieszyć się prawdziwą wolnością.

O dziewczynie zwanej Diabłą Ręką usłyszał po raz pierwszy w Kansas, gdzie pracował na fermie. Kiedy spojrziała na niego ze zdjęcia w wymiętej gazecie, poczuł iskrę nadziei, która stała się impulsem do poszukiwania innych takich jak on, również mających dość podobnego życia. Trafił do St. Louis i tam spotkał Antistasi, a kiedy poznał Maggie, klamka zapadła.

Gdyby był trochę młodszy, pewnie zrobiłby coś głupiego, jak te dzieciaki. Gdyby ojciec nie miał na niego oka przez tyle lat, pewnie zrobiłby coś głupiego i nigdy nie usłyszałyby o słynnej złodziejce.

Ciekawe, pomyślał teraz, czy te dzieciaki mają ojców, którzy złoiliby im skórę za ten wybryk, czy może dorastają bez rodziców, jak wiele chłopców i dziewcząt ostatnimi czasy. Pewnie trzeba będzie im jakoś pomóc – wydostać ich z aresztu, do którego na pewno trafią, a potem albo przekazać rodzicom, albo znaleźć dla nich jakieś bezpieczne schronienie. Najpierw jednak musiał spotkać się z Maggie.

Budynek, w którym pracowała, był olbrzymem z dwiema ogromnymi wieżami po bokach. W środku szereg mechanicznych urządzeń utrzymywał noworodki przy życiu. Ruth nie chciała od Maggie pomocy na wystawie. Mieli dość ludzi od rekonesansu, a Maggie mogła im się lepiej przysłużyć, pracując nad serum. Ale ta drobna i delikatna dziewczyna, gdy jej na czymś zależało, miała kręgosłup ze stali. Ostatecznie postawiła na swoim. Z grubsza. Nadal zajmowała się małymi dziećmi, wypatrując u nich oznak daru, a North tylko eskortował ją w drodze do pracy i z pracy.

Podszedł teraz do barierki i czekał, aż go zauważy. Wreszcie podniosła wzrok i zmarszczyła brwi na jego widok. Rozumieli się bez słów. Mijając

głównie kobiety, North przeszedł do bocznego korytarza. Chwilę później zjawiała się tam Maggie.

– Co się stało? – spytała, wyraźnie poirytowana, że odciąga ją od pracy.

– Chyba mamy problem. – Opowiedział jej o tym, co zobaczył, o Diablej Ręce i jej towarzyszach. – Mogą tu szukać tylko jednego.

– Naszyjnika – przytaknęła.

North przypomniał sobie pierwszą wizytę w egipskim pawilonie. Dawniej myślał, że pięć artefaktów to tylko legenda, podobnie jak wątpił w istnienie Diablej Ręki, dopóki jej nie zobaczył. Lecz naszyjnik był prawdziwy, bez dwóch zdań. North nie miał co do tego żadnych wątpliwości, ponieważ poczuł jego moc. Tak jak zegarek w jego kieszeni, naszyjnik roztaczał wokół energii, której trudno się było oprzeć – tyle że znacznie potężniejszą. North przypuszczał, że czuli ją wszyscy zwiedzający, również Osobni, nawet jeśli nie wiedzieli, dlaczego eksponat działa na nich z taką siłą.

Nie można było dopuścić, aby Towarzystwo – czy którekolwiek inne bractwo – posiadało taką moc. Ruth zamierzała ukraść naszyjnik w zamieszaniu wywołanym zamachem, ale może trzeba działać szybciej.

– Kiedy będzie po wszystkim, naszyjnik musi być nasz – powiedział North. Bez niego prysną nadzieje na zjednoczenie Antistasi pod jednym przywództwem. Bez naszyjnika i jego mocy władza pozostanie w dotychczasowych rękach – członkowie bractw byli zamożnymi ludźmi, a mieszkali w kraju, w którym za pieniądze można kupić wszystko, zwłaszcza władzę. Nie, Antistasi potrzebowali naszyjnika, by liczyć się w tej walce. – Nie możemy pozwolić, żeby ona zdobyła go pierwsza.

– Nie... – zgodziła się Maggie, lecz nadal marszczyła brwi, a wzrok miała zamyślony, jakby rozważała wszystkie możliwe konsekwencje ostatnich wydarzeń. Nagle zamrugła i podniosła oczy. – A może tylko nie możemy pozwolić, żeby z nim uciekła.

NIEWIDZIALNA ENERGIA DOKOŁA

1904 rok – St. Louis

Upał już nieco zelżał, kiedy Jack Grew wreszcie zwał się z łóżka, wrzucił na język dwie kostki morfiny i wyruszył na wystawę. Członkowie Towarzystwa mogli ją wychwalać pod niebiosa, lecz nie zmieniało to faktu, że w porównaniu z Nowym Jorkiem St. Louis było grajdołem. Towarzystwo nigdy nie dorówna Zakonowi w jego nowym kształcie, nadanym mu przez Jacka, a to miasto zawsze będzie zapyziałą dziurą z ambicjami.

Musiał jednak uczciwie przyznać, że światła robiły wrażenie. Płonęły jasno mimo późnej pory, oblewając blaskiem cały teren wystawy i przeglądając się w sztucznym jeziorze. Zwiedzających było teraz dużo mniej, a Ulice Kairu świeciły pustkami. One także były żalną próbą wskrzeszenia splendoru dawno upadłej cywilizacji. Nie mogły się równać z Khafre Hall – ani tym bardziej z przyszłą siedzibą Zakonu. Nie mieli tu nawet prawdziwego obelisku, pomyślał z pogardą, takiego jak ten, który można było podziwiać w Central Parku na Manhattanie.

Nie przeszkadzało to jednak Corwinowi Spenserowi oraz Davidowi Francisowi pysznić się wkładem Towarzystwa w ekspozycję: jedynym w swoim rodzaju kamieniem wprawionym w zachwycający platynowy naszyjnik i tak starannie wypolerowanym, że zdawał się lśnić własnym światłem.

Artefaktem, który znajdował się kiedyś w skarbcu Zakonu.

Czy zdają sobie sprawę, co im wpadło w ręce? – zastanawiał się Jack, oglądając naszyjnik w wyściełanym aksamitem pudełku za szybą. Czy ci dwaj – i reszta ich żalnego Towarzystwa – wiedzą, że ten kamień

wykradzono z Khafre Hall? Czy ich zadowolenie brało się z mylnego przekonania, że Jack przejmuje się pozycją Zakonu? A może naprawdę sądzili, że odkryli jakieś nowe źródło potężnej mocy? Tego nie wiedział.

W gruncie rzeczy było mu to jednak obojętne. Zakon i jego sprawy interesowały Jacka o tyle, o ile miał z nich jakiś pożytek. Już dwa lata temu na konklawe udowodnił, jak łatwo zmarginalizować przywódców Wewnętrznego Kręgu. Banda słabowitych starców i nic więcej.

Tym, z czego Spenser i Francis nie zdawali sobie sprawy, chełpiąc się wpływami Towarzystwa, był fakt, że Zakon stanowi dla Jacka jedynie wygodne narzędzie, umożliwiające dostęp do odpowiednich osób i odpowiednich miejsc. Miejsc takich jak ta komnata, do której Jack miał możliwość wejścia nawet w nocy, poza godzinami zwiedzania.

– Mówicie, że gdzie to znaleźliście? – spytał nonszalanckim tonem.

– Och, nie możemy ujawnić naszych kontaktów – odparł Spenser z wyrazem satysfakcji na twarzy.

– Zabezpieczenie takiego skarbu musi być trudne przy takiej liczbie zwiedzających – zauważył Jack niby mimochodem. – Jestem pod wrażeniem.

Jego rozmówcy połknęli przynętę.

– Ależ to bardzo proste – oznajmił z dumą Francis. – Skorzystaliśmy z najnowszych zdobyczy techniki. Ściany to pół metra zbrojonego betonu, odpornego na kule i bomby, a gdyby ktoś próbował naruszyć gablotę, zasuną się drzwi grubsze niż ściany w bankowym skarbcu.

Łatwo nie będzie, pomyślał Jack, ale da się zrobić.

– Jesteśmy też zabezpieczeni przed... elementem niepożądanym – dodał Francis, nadymając pierś. – System wentylacyjny wyposażono w maszynę, która rozsiewa niewielką ilość substancji tłumiącej, na wypadek gdyby ktoś próbował się dostać do środka za pomocą nielegalnej mocy. W razie alarmu stężenie wzrasta dziesięciokrotnie. To wystarczy, żeby w porę unieszkodliwić drania.

– A co z Antistasi? – chciał wiedzieć Jack. – Słyszałem, że wasze miasto nie radzi sobie ostatnio z tym elementem.

Spenser się zjeżył.

– Antistasi nie zagrażają miastu. Towarzystwo i Straż panują nad sytuacją. W razie kłopotów reakcja służb będzie szybka i zdecydowana.

– Ale z Diablą Ręką chyba nie idzie wam tak łatwo? – spytał od niechcienia Jack, delektując się konsternacją, która odmalowała się na twarzach jego rozmówców.

– Mamy wszystko pod kontrolą – upierał się Francis.

– Naprawdę? Bo ona się tu zjawi, panowie. Chyba jesteście tego świadomi? – Zrobił pauzę, by dotarło to do nich z całą mocą. – Ale rozumiem, że bierzecie pod uwagę każdy scenariusz. Nie muszę wam przecież mówić, jaka by to była kompromitacja, gdyby ukradziono wam to cudo w przededniu balu, i to po wszystkich waszych obietnicach. Moi bracia w Zakonie dobrze wiedzą, jak smakuje takie upokorzenie – oznajmił tonem, z którego można się było domyślać, że byłby rad, gdyby to samo spotkało kogoś innego. – I są bardzo ciekawi, czy naszyjnik dorówna waszym obietnicom.

Spenser wyglądał na zmieszanego.

– Jestem pewien, że będziesz mógł sam o tym zaświadczyć – odparł.

– Oczywiście – rzekł Jack. – Nie wątpię. Gratulacje, panowie. – Podał rękę najpierw Spenserowi. – Wygląda na to, że przyćmiliście nawet sam Zakon.

Spenser z pewnym zakłopotaniem uścisnął wyciągniętą ku niemu dłoń. Doskonale, pomyślał Jack. Niech się martwią. Niech pilnują naszyjnika jak oka w głowie, żeby nie wpadł w ręce Darrigana i dziewczyny. On, Jack, zdobędzie go w swoim czasie.

Z końca sali przyglądał im się Hendricks, strażnik, który rozmawiał z nim w hotelu. Pożegnawszy się, Jack ruszył do wyjścia i skinął na niego, żeby poszedł za nim.

Na Promenadzie wciąż panował tłok. Jack odszedł z Hendricksem na bok, pod budynek mieszczący wystawę o elektryczności. Wewnątrz tego iście świątynnego gmachu wieża telegraficzna De Foresta nadawała drogą powietrzną sygnały do Chicago. Z tego, co się orientował, podobna technologia w połączeniu z wiedzą hermetyczną była tajemnicą skutecznej komunikacji Straży Jeffersońskiej. Według Hendricksa każdy strażnik nosił medalik, za pomocą którego mógł poinformować innych o dostrzeżonym niebezpieczeństwie. Jack musiał z niechęcią przyznać, że było to zmyślne rozwiązanie.

Interesował się nim tym bardziej, że nie tak dawno sam próbował zbudować własną maszynę. Prawie zapomniał o tamtej próbie, a przecież tak niewiele wtedy zabrakło. Teraz odżyła w nim chęć powrotu do zarzuconego pomysłu. W końcu Księga kryła odpowiedzi, których mógł się tylko domyślać. Kto wie, czy zawarte na jej kartach tajemnice nie pozwolą mu nareszcie doprowadzić tamtego projektu do pomyślnego końca.

– Czy mogę panu jakoś pomóc? – spytał Hendricks. Jeśli odczuwał niepokój z powodu tego spaceru, nie dawał tego po sobie poznać.

– Chcę wiedzieć, gdzie Towarzystwo znalazło eksponat wystawiany teraz w pawilonie Kairu. Naszyjnik, który przyciąga takie tłumy.

Hendricks uniósł pytająco brwi.

– Liczę na to, że pomogą mi znaleźć podobny – dodał lekko. – Jestem kolekcjonerem. – To rzekłszy, wręczył oficerowi straży pokaźny banknot.

– Na pewno zdołam się czegoś dowiedzieć – odparł Hendricks, chowając banknot do ciemnej marynarki.

– Hojnie się panu odwdzięczę. Interesuje mnie wszystko na temat naszyjnika: gdzie go przechowują, kiedy będzie przenoszony. Wszystko. Potrzebuję zaufanego człowieka, który mi pomoże, Hendricks. Mam nadzieję, że tym człowiekiem okaże się pan.

– Oczywiście – zapewnił go Hendricks z chciwym błyskiem w oku. – Jestem do usług szanownego pana.

– Doskonale. – Jack poklepał oficera energicznie po plecach i odszedł, zostawiając go z całą tą niewidzialną energią dookoła.

ZAWOALOWANY PROROK

1904 rok – St. Louis

I dąc w stronę garderoby, Julien Eltinge próbował złapać dech po ostatnim numerze. Serce jeszcze mu waliło od huraganowych oklasków. Na chwilę prawie zapomniał o stresującym dniu. Kiedy Darrigan i Esta oznajmili, że chcą ukraść naszyjnik, Julienowi zajrzało w oczy widmo życiowej katastrofy. Cała jego kariera i wszystkie plany miały ot tak runąć. Jak mogli się łudzić, że wyniosą coś z takiego miejsca, że okradną tak potężną organizację jak Towarzystwo? Dopiero na scenie odzyskał równowagę, a huczna owacja sprawiła, że opadło z niego napięcie, które narastało w zatokach, i niepokój, który ciążył mu w nogach.

Wciąż pamiętał chwilę, gdy po raz pierwszy zrozumiał, co dla niego znaczą brawa. Nie sam dźwięk ani nawet widok ludzi wstających z miejsc, ale to uczucie, które przeszywało go na wskroś, aż do najgłębszej istoty. Tamta pierwsza owacja coś w nim otworzyła i zapragnął więcej. Szukał poklasku, gdzie tylko się dało, tak jak terier węszy za szczurem. Dziś był już mądrzejszy. Dziś czekał, aż brawa przyjdą do niego.

Wymarzony sukces, na który tak długo czekał, był już prawie na wyciągnięcie ręki. Co wieczór żegnał go głośniejszy aplauz. Coraz więcej ludzi przychodziło zobaczyć jego popis, jego kunszt. Oni rozumieli.

Rodzice prychnęli, kiedy próbował im to wyjaśnić, ale powstrzymać go nie mogli. Pewnego dnia wsiadł do pociągu z walizką pełną marzeń i własnoręcznie wykonanych kostiumów. Pewnie myśleli, że gorzko się rozczaruje, że wróci do nich z podkulonym ogonem, bijąc się w piersi, przyznając, że mieli rację.

Poprzysiągł sobie, że tak nie będzie, i dotrzymał słowa. Walczył zaciekle, nieraz nawet przy użyciu pięści, aż w końcu zwyciężył. Saint Louis to nie Nowy Jork, ale był tutaj gwiazdą, i to błyszcząca coraz jaśniej. Dziś na przykład spostrzegł w łoży po lewej samego Edwarda Albee. To, że przebył szmat drogi, żeby obejrzeć jego występ, dobrze wróżyło. Albee był jednym z najbardziej wpływowych ludzi w branży rewiowej. Julien miał przecucie, że przyjechał spełnić swoją obietnicę.

Cały spektakl tylko dla siebie – muzyczna rewia z Julienem Eltinge'em w roli głównej – w jednym z największych i najbardziej prestiżowych teatrów na Broadwayu. To się jeszcze może udać, pomyślał. Darrigan dotrzyma słowa i odzyska naszyjnik, zanim ktokolwiek się zorientuje, że Julien miał z nim coś wspólnego. Wszystko się jakoś ułoży. On i jego kariera wyjdą bez szwanku.

Julien zamknął za sobą drzwi garderoby i zdjął perukę, napawając się samotnością i chłodnym powietrzem, które owiało mu spocone włosy. Starannie ułożył loki na manekinie, żeby ich nie zmierzwić – łatwiej było zadbać o nie teraz niż później poprawiać. Swoim zwyczajem wziął z toaletki cygaro i zapalił je, wypełniając usta bogatym smakiem i aromatem. To była jego nagroda za dobrze wykonaną robotę.

Widząc to grube cygaro między umalowanymi wargami w lustrze, zaśmiał się cicho sam do siebie. Ciemne rzęsy, jaskrawa szminka, rumiane policzki, rysy umiejętnie złagodzone makijażem: z lustra spoglądała na niego kobieta. Cieszyła go sama przemiana, nie kobiecość, nie gorset, który wpijał mu się w żebra, nie suknie z mnóstwem koralików i drapiących koronek i nawet nie zazdrosne spojrzenia kobiet, miara jego sukcesu. Nie, największą satysfakcję miał z samego aktorstwa. Ze sztuki całkowitej transformacji. To było jak magia.

Rozległo się stanowcze pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołał Julien.

– Masz gości – oznajmił Sal, wsuwając głowę do środka.

Po takim dniu Julien nie był w nastroju.

– Powiedz, że dzisiaj nikogo nie przyjmuję.

Inspicjent pokręcił głową.

– Im tego nie powiem.

– To powiedz, że już wyszedłem – odparł Julien, z powrotem zwracając się twarzą do własnego odbicia w lustrze.

– Obawiam się, że już na to za późno – dobiegło zza pleców Sala.

Julien patrzył w lustrze, jak drzwi otwierają się szerzej, odsłaniając wysoką postać o twarzy spowitej białym koronkowym woalem. Inspicjent nieśmiało wzruszył ramionami, po czym usunął się na bok, by Zawoalowany Prorok mógł wejść do środka. Postać zamknęła za sobą drzwi, a odgłos zasuwki zabrzmiał jak wystrzał z broni palnej.

– Pan Eltinge – rzekł Prorok.

– Pan... – Julien urwał, nie wiedząc, jak się zwracać do tego człowieka, który wypełniał teraz swoją obecnością jego przytulną garderobę. Uświadomił sobie nagle, że dał się przyłapać między wcieleniami. W makijażu, ale bez peruki nie był ani sobą, ani kobietą, nie wiedział, w którą wejść rolę, i czuł się z tym bardzo nieswojo.

Tamtego wieczoru, kiedy Zawoalowany Prorok przyszedł po naszyjnik, dał Julienowi do zrozumienia, że Towarzystwo mu się przygląda, odkąd przyjechał do miasta. Początkowo uważali, że jego występy są groźne, że godzą w system wartości szacownych obywateli St. Louis. Nie potrzeba im tu było wschodniego kiczu, a gdyby posunął się za daleko, gdyby przyszło mu do głowy szerzyć znieprawienie, zamierzali podjąć stanowczą interwencję. Jego kariera dobiegłaby końca.

Julien pojął wtedy, że ani trochę go nie rozumieją, i dlatego uległ ich żądaniom. Odstąpił im naszyjnik za półdarmo i wszystko było dobrze – dopóki nie zjawił się Darrigan z dziewczyną i nie wciągnęli go w ten cały mętlik.

Zawoalowany Prorok, ktokolwiek to był, szybko przeszedł do rzeczy:

– Mamy dla pana propozycję, panie Eltinge.

– Propozycję? – powtórzył Julien, zły na siebie, że głos mu zadrzał.

Przecież nie mogą wiedzieć...

– Zadanie – uściślił tamten. – Będzie pan miał okazję zrobić użytek ze swoich talentów.

Julien wychwycił nutę pogardy, ale miał swoją dumę. Nie był klaunem, z którego można się podśmiewać.

– A jeśli nie mam teraz czasu na dodatkowe zatrudnienie? – spytał, pykając cygaro, aby pokazać, że nie da się zastraszyć.

Mężczyzna się nachylił, ciężka koronka na jego twarzy zafalowała.

– Wie pan, jak rozległe są nasze wpływy, panie Eltinge. Widzieliśmy dzisiaj na widowni pana Albee. Musi pan wiedzieć, że to nasz dobry przyjaciel.

Julienowi skurczył się żołądek. Jeśli faktycznie mieli wpływ na Edwarda Albee, mogli mu zniszczyć karierę. Pozbawić go marzeń o własnym spektaklu.

– Myślę, że mógłbym znaleźć trochę czasu... Może jutro? Wtedy nie gramy – odparł. – Teraz jestem dość zajęty.

– Dzisiaj, panie Eltinge. Teraz.

– Teraz? – Julien spojrzał na suknię, którą wciąż miał na sobie.

– Damy panu chwilę, żeby ubrał się pan w coś... stosowniejszego. – W tonie Proroka słyhać było lekki niesmak. – Nasz powóz czeka – dodał, wychodząc.

Julien był pełen najgorszych przeczuc. Oglądając się w lustrze, przeklął Darrigana i dziewczynę. Skoro ten naszyjnik był tak niebezpieczny, Harte w ogóle nie powinien był mu go przysyłać. Nie mógł pozostać trupem? Tak byłoby najlepiej dla wszystkich.

CZĘŚĆ

CZWARTA



W LUDZKIEJ PAMIĘCI

1904 rok – St. Louis

Czerwcowy dzień był ciepły, niebo jasne i błękitne. Otaczające Estę nieskazitelnie białe pawilony wystawowe mocno kontrastowały z brudem i nędzą pozostałych dzielnic miasta. Parom spacerującym pod ramię i rodzinom z dziećmi nie przyszłoby do głowy, że elegancki mężczyzna stojący nad brzegiem wody był w istocie kobietą, która na dodatek szykowała się do popełnienia przestępstwa.

Chwile tuż przed robotą miały w sobie coś takiego, co przyprawiało Estę o gęsią skórę – nie ze strachu czy niepokoju, ale z podniecenia i czystej satysfakcji, jaka towarzyszy robieniu rzeczy, do których jest się stworzonym. Może była to tylko adrenalina, lecz Esta zawsze uważała, że to musi być coś więcej niż przypadkowa reakcja chemiczna. Umysł miała czysty i gotowy, a jej ciało śpiewało. To musiał być znak – swoisty dobry omen. Niewiele było w jej życiu takich momentów, kiedy miała poczucie, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, ale zwykle działo się to właśnie na chwilę przed robotą. Teraz, stojąc przy barierce obok jeziora pośrodku wystawy, Esta była niemal pewna, że to jeden z tych momentów.

Mogłoby się wydawać, że noc byłaby odpowiedniejszą porą, lecz po kilku dniach planowania, opierając się na informacjach, których dostarczył im Julien, doszli z Harte'em do wniosku, że łatwiej będzie wykraść naszyjnik za dnia, niż czekać na zamknięcie wystawy. Raz, że tłok działał na ich korzyść, a dwa – i to zaważyło – wiedzieli, jak wygląda pawilon w godzinach otwarcia. Przez kilka dni przechadzali się po wystawie, udając turystów, a tak naprawdę przyglądając się okolicom Kairu i Promenadzie. Wiedzieli, ilu tam jest strażników i kiedy się zmieniają.

Z kolei noc była zagadką. Nie mieli pewności, jakie obowiązywały wtedy środki bezpieczeństwa ani nawet gdzie przechowywano naszyjnik. Co innego w ciągu dnia. Organizatorzy rozpisali im nawet program wszystkich wydarzeń, dzięki któremu łatwiej było zaplanować działania odwracające uwagę.

Według programu codziennie odbywały się przynajmniej dwie parady: jedna w południe, druga pod wieczór. Esta i Harte rozważali wykorzystanie tej wieczornej, ponieważ mogliby wtedy działać pod osłoną zmierzchu, ostatecznie jednak zdecydowali, że łatwiej i bezpieczniej będzie przeprowadzić akcję za dnia.

Esta zauważyła zbliżającego się Harte'a, jeszcze zanim on ją spostrzegł. Obserwowała go przez chwilę, jak idzie wśród tłumu. W ostatnich kilku dniach zapanowała między nimi względna harmonia. Jak gdyby bez słów doszli do porozumienia, że nie będą więcej rozmawiać o tamtej nocy – o pocałunku, o kłótni. Esta nadal czuła się odtrącona, lecz po tym, co się wydarzyło w łodzi, postanowiła nie drążyć tematu. W końcu Harte jej wszystko powie albo nie powie – nie mogła go zmusić, żeby jej zaufał, tak samo jak nie mogła nic poradzić na to, że serce lekko jej się ściska za każdym razem, kiedy go widzi – za każdym razem, kiedy przypomina sobie dotyk jego ust.

Teraz miał na sobie wąskie oliwkowozielone spodnie i kamizelkę w identycznym kolorze, a na wierzchu jaśniejszą marynarkę. W ocieniającym twarz słomkowym kapeluszu, z nonszalancko rozkołysanymi rękoma, wyglądał rześko i schludnie. Poznała, kiedy ją zobaczył, bo usta mu się zacisnęły, a oczy zmarszczyły, jakby się na coś szykował. Zaraz jednak przybrał odprężoną minę, a całe napięcie sprzed chwili zniknęło bez śladu.

Kiedy się zbliżał, miała dziwną wizję, że Harte uśmiecha się promiennie i wyciąga ku niej łokieć. Prawie sobie wyobraziła, jak odchodzą, trzymając się pod rękę, chłonąc widoki i dźwięki jak wszyscy. Przez chwilę marzyło jej się, by rzucić to wszystko i wcielić tę wizję w życie – zapomnieć

o czekającym ich zadaniu i udawać, że są zwykłą parą przechadzającą się po wystawie w słoneczny dzień.

Ale marzenia były dla frajerów, a Esta nie chciała już nigdy więcej być frajerką. Zwłaszcza gdy szło o Harte'a Darrigana.

– Chyba nigdy nie zapomnę tego miejsca – rzekł Harte, przystając, by popatrzeć na wodę.

Jezioro ciągnęło się w głąb wystawy, a na jego drugim końcu wznosił się nieskazitelnie biały gmach ze złożoną kopułą – Hala Festiwalowa. Nawet w południe skrzyła się światłem. Na całej długości brzegów obsadzonych drzewami wystrzeliwały w powietrze kaskady wody z fontann. Białe posągi z chłodnego marmuru stały milcząco jak strażnicy.

– Świat wcale tak nie wygląda – zauważyła Esta, nagle pochmurniejąc. Oparła się o barierkę i udawała, że ogląda scenerię, tak naprawdę jednak jej uwaga skupiała się na czym innym. Kamień pod jej ręką wyglądał jak rzeźbiony marmur, lecz był to zwykły beton pomalowany farbą. Atrapa, jak wszystko inne tutaj. – Połowa tych budowli to puste skorupy. Za kilka miesięcy zostaną zburzone i nie poznasz tego miejsca.

– Wiem... – W tonie Harte'a zabrzmiała nuta nostalgii.

Esta podniosła wzrok i zobaczyła, że przygląda się gondolom sunącym po gładkiej tafli wody.

– Ale mimo wszystko cały ten spektakl robi wrażenie.

Trudno się było nie zgodzić. Nawet zblazowana Esta nie była całkiem wolna od zachwyty. Budynki otaczające szerokie jezioro wyglądały jak marmurowe i granitowe. Przypominały budowle na zdjęciach z wielkich miast europejskich. Ale mimo całego przepychu wystawy samo St. Louis wyglądało nader skromnie. Poza murami ekspozycji wciąż rozciągało się typowe miasto pogranicza, któremu daleko było do rojnych ulic Nowego Jorku. Za miastem czekał już świat.

– Dałaś radę? – spytał Harte.

– Oczywiście – odparła, udając, że podziwiała widoki, a tak naprawdę upewniając się, czy nikt ich nie obserwuje. Otworzenie kłódki na jednej

z furtek dla pracowników niedaleko Promenady nie nastreczyło jej większych trudności. Pałak od kłódki dla niepoznaki wsunęła do środka, by nikt się nie zorientował, lecz furtka pozostawała otwarta, dzięki czemu łatwo uciekną, gdy będzie już po wszystkim. – A ty?

Skinął twierdząco głową.

– Składnicy nikt nie pilnował. Podmieniłem wszystkie naboje, które znalazłem, ale nie wiem, czy to wystarczy.

– Musi wystarczyć – odparła. – Uda się.

Ale łatwo nie będzie, pomyślała.

Najtrudniejsze nie było wcale to, że wszystko miało się odbyć w biały dzień wśród tłumów. Ani nawet to, że mogli liczyć tylko na siebie. Julien przezornie wybrał dzień, w którym występował wczesnym popołudniem, aby mieć żelazne alibi. Zrobił, co mógł, żeby im pomóc, a reszta była w ich rękach. Nie, największa trudność polegała na tym, że musieli się obyć bez magii. Straż Jeffersonska była postawiona w stan najwyższej gotowości. Nie mogli ryzykować – chyba że w absolutnie wyjątkowej sytuacji. Będą musieli polegać na swoich umiejętnościach.

– Parada zaczyna się za kwadrans. Musimy być wtedy oboje w Kairze. Będziesz musiała się spieszyć. Masz ładunki?

– No przecież – odparła poirytowana tym, jak szybko zrobił się spięty i zaczął szukać dziury w całym. Pod tym względem przypominał jej trochę Logana... No właśnie, co się stało z Loganem? Czy Jianyu go znalazł? A może Logan zdołał odszukać Nibsy'ego? Lecz o tym będzie mogła pomyśleć później. Teraz musiała się skoncentrować.

Ich plan nie był może finezyjny, ale miał szanse powodzenia. W różnych miejscach na Promenadzie rozmieścili bomby dymne, które Esta miała odpalić na chwilę przed rejsem łodzią po Nilu – akurat gdy parada dotrze pod wrota Kairu.

Sala z naszyjnikami miała tylko jedno wejście i wyjście. Jeśli dobrze zsynchronizowali zapalniki, równoczesne wybuchy zaleją Promenadę kolorowym dymem, który – na to liczyli – zostanie wzięty za atak Antistasi.

Straż Jeffersonska powinna wtedy pospieszyć na miejsce domniemanego ataku, dzięki czemu kamień będzie słabiej strzeżony.

Jeśli wszystko odbędzie się punktualnie – a do tej pory tak było – to zaraz potem do ataku ruszą weterani wojny burskiej, którzy odgrywali swoje potyczki dwa razy dziennie. Ponieważ Harte podmienił ich ślepaki na naboje dymne, po pierwszej salwie zrobi się jeszcze większe zamieszanie.

Chaos na Promenadzie, tłum uciekający z pola bitwy – wszystko to powinno na jakiś czas zająć Straż. Esta i Harte mieli wtedy ukraść naszyjnik z gabloty i szybko się ulotnić.

– Wszystko musi być idealnie zgrane – przypomniał jej Harte, sprawdzając, czy ich zegarki kieszonkowe pokazują dokładnie tę samą godzinę. – Nawet parę minut różnicy może nam pokrzyżować szyki.

– Przecież wiem. – Esta nie mogła się już doczekać. – Omawialiśmy to milion razy.

Wzięła od niego jeden zegarek. Do barierki podeszła rodzina z dzieckiem. Rodzice byli młodzi – mniej więcej w wieku Dolpha. Ojciec trzymał za rękę złotowłosego chłopczyka, który sprawiał wrażenie jego miniatURY. Kiedy chłopiec zaczął płakać, ojciec uniósł go delikatnie, tak by zobaczyć fontanny, a matka poprawiła synowi włosy.

Esta przyglądała im się bezwiednie, dopóki Harte nie chrząknął znacząco.

– Musisz się skupić – oznajmił łagodnym tonem, lecz i tak zabolą ją ta reprimenda.

– Jestem skupiona – odparła, starając się nie zwracać uwagi na wesołe piski chłopczyka.

– Wiesz, że wszystko musi zadziałać jak w zegarku, a są rzeczy, które w ogóle nie zależą od nas. Nie będzie łatwo.

– Nigdy nie jest łatwo.

Zerknęła ostatni raz na parę z dzieckiem. Może to przez jasne niebo, a może przez unoszący się w powietrzu słodki zapach wanilii i karmelu, ale patrząc na tę rodzinę, na ich życie wolne od trosk, mimowolnie zacisnęła

dłonie w pięści, a nawet wbiła paznokcie w skórę, godząc się na chwilowy ból, aby powstrzymać gwałtowną falę gniewu. Oni mają wszystko i nawet o tym nie wiedzą, pomyślała. Ona musi walczyć i kombinować... a na koniec i tak zostanie z niczym. I nikt się o tym nie dowie.

A może się dowiedzą, pomyślała z isierką nadziei. Może ci Antistasi, kimkolwiek są, będą pielęgnować pamięć o niej i o tym, co zrobiła – albo co próbowała zrobić – tak jak to robili przez ostatnie dwa lata.

– Hej, brachu. – Głos Harte’a dobiegł jakby z daleka. – Słyszałeś, co powiedziałem? Wszystko z tobą w porządku?

– Tak. – Zamrugła, sama zaskoczona torem, którym podążyły jej myśli. – Nic mi nie jest.

Była to prawda.

Co z tego, że nie mogła mieć wszystkiego? Co z tego, że człowiek, którego traktowała jak ojca, okazał się oszustem, a prawdziwego ojca straciła, zanim zdążyła go poznać? Nie było sensu tego roztrząsać. Najważniejsze, że wyniosła z dzieciństwa cenne umiejętności, a kłamstwa, którymi ją karmiono, nie przesądzały o jej przyszłości. Będzie tym, kim chce być. A jeśli zginie? Może przynajmniej przetrwa w ludzkiej pamięci.

Wyprostowała się i posłała Harte’owi najzuchwalszy uśmiech, na jaki było ją stać.

– Chodź, ukradnijmy sobie coś.

NA GRANICY ZACHODU

1904 rok – St. Louis

Harte oddałby niemal wszystko, by móc przyciągnąć Estę do siebie i pocałować jej uśmiechnięte usta. Nie ufał jednak sobie – ani uwięzionej w nim sile. Stał więc tylko z rękoma w kieszeniach, pilnując się, by nie zrobić żadnej z idiotycznych rzeczy, które chodziły mu po głowie.

Esta już się odwróciła i ruszała w stronę Promenady, by wcielić ich wspólny plan w życie. Odprowadzał wzrokiem jej szczupłą postać, dopóki nie zniknęła w tłumie. Głos w jego umyśle poruszał się niespokojnie, nie po raz pierwszy wyraźnie zirytowany jego decyzją. Harte'owi coraz lepiej szło ignorowanie tego głosu, trochę na tej samej zasadzie, na jakiej człowiek przyzwyczaja się do chronicznego kaszlu albo do chorego kolana. Po prostu trzeba nauczyć się z tym żyć. Nie mógł tylko ignorować faktu, że moc z każdym dniem stawała się coraz silniejsza, że głos, który przez nią przemawiał, rozbrzmiewał coraz głośniej.

Choć dzień był ciepły, Harte poczuł mróz na plecach. Przeczucie. A może po prostu racjonalny, w pełni uzasadniony strach. Zamierzali w biały dzień wykraść dobrze strzeżony naszyjnik z pawilonu pełnego ludzi.

W życiu nam się to nie uda, pomyślał.

Niestety, musiało się udać. Musieli zdobyć Gwiazdę Dżina i jak najszybciej opuścić miasto. Tylko wtedy Julien będzie mógł spać spokojnie.

Harte wsunął kapelusz na czoło i po raz enty zerknął na zegarek. W przeciwieństwie do Esty nie ruszył w stronę Promenady. Skierował kroki na wschód, obok pałacowych gmachów, w których znajdowały się wystawy poświęcone przemysłowi oraz elektryczności, a potem jeszcze dalej, obok

Pałacu Transportu, przed którym, po obu stronach łukowato sklepionego wejścia, stało sześć identycznych posągów z tarczami.

Wszędzie pałace, pomyślał. Nawet tu, na granicy Zachodu, gdzie otwierały się szerokie horyzonty możliwości, Amerykanie chcieli czuć się arystokratami. To dlatego ludzie pokroju Jacka Grew i reszty Zakonu mogli robić to, co robili – bo zwykły obywatel im na to przyzwalał. Zwykłemu obywatelowi podobała się wizja przyszłości, w której może stać się bogaty jak król albo potężny jak cesarz. Ludzie dużo mówili o demokracji, ale tak naprawdę pragnęli spektaklu monarchii.

Minąwszy gmach, wszedł na Promenadę nieopodal Kairu. Zajmując miejsce w pobliżu ekspozycji poświęconej mieszkańcom jaskiń, znów spojrzął na zegarek. Doskonale. Słyszał już odgłosy zbliżającej się parady.

Tyle że nigdzie nie było widać Esty.

NOWA ERA W BOWERY

1902 rok – Nowy Jork

James Lorcan sówicie by zapłacił za choćby jedną odpowiedź na dręczące go pytania. Zbyt wiele było zmiennych, zbyt wiele czynników ryzyka. Minęło pięć dni, odkąd Mock Duck przyprowadził Jianyu do Stregi i wymienił go na plik dolarów oraz notes z sekretami do wykorzystania przeciwko Tomowi Lee. Pięć dni, odkąd James dostał Jianyu w swoje ręce. Pięć dni, odkąd ten farbowany lis jakimś cudem zdołał uciec.

Przynajmniej pożar okazał się niegroźny, koneksje Paula Kelly'ego zaś sprawiły, że oddział straży naprawdę gasił ogień, a nie tylko przyglądał się, jak płonie. Dzięki temu James mógł teraz siedzieć w głębi sali barowej i toczyć wzrokiem po swoich włościach.

Przynajmniej nie musiał się już martwić Violą. Wspomnienie ulubionej morderczyni Dolpha, zakrwawionej i posiniaczonej od ciosów brata, nadal poprawiało mu humor. To najlepszy dowód na to, że Dolph ją przeceniał. Viola zawsze była tylko nieobliczalną chimeryczką. Balastem. Nigdy nie lubiła Jamesa, tyle wiedział na pewno. Sądząc po jej nienawistnym spojrzeniu sprzed paru dni, nic się w tym względzie nie zmieniło, ale przynajmniej teraz nie stanowiła już problemu. Przeliczyła się, wracając pod opiekę brata. Jak na razie wszystko wskazywało, że Kelly zdoła ją okiełznać. Zawsze to jakaś pociecha. Jedno zmartwienie mniej.

Co nie zmieniało faktu, że przyszłość była – jak na jego gust – zbyt nieprzewidywalna. Nie mógł się połapać w rozedrganych zmiennych falujących w eterze, pojawiających się i znikających jak duchy. Jednego był pewien: coś nadchodzi. I to coś wszystko zmieni.

Z przodu sali otworzyły się drzwi, a powiew chłodnego powietrza dotarł na sam koniec, aż do miejsca, w którym siedział James. Myśląc o Paulu Kellym, najwyraźniej wywołał wilka z lasu. Atmosfera w barze zmieniła się w jednej chwili, gdy tylko ludzie zdali sobie sprawę z przybycia okrytego złą sławą herszta gangu z Five Points.

Kilka tygodni temu wizyta Kelly'ego w mateczniku Dolpha Saundersa byłaby nie do pomyślenia. Dopóki Dolph żył, Kelly nie ośmieliłby się zadrzeć ze Stoma Diablami na ich terytorium. Ale teraz to było inne miasto, inny świat. I dlatego James pomyślał tylko: „Nareszcie”.

Za Kellym weszło dwóch barczystych mężczyzn, którym patrzyło z oczu równie groźnie jak jemu. Trzymali między sobą świńskiego blondyna, którego James nie kojarzył. Nieborak sprawiał wrażenie nieco starszego od Jamesa, lecz miał delikatne rysy, które nadawały mu jeszcze bardziej chłopięcy wygląd. Jego lewe oko było sine i całkiem spuchnięte, zapewne w wyniku scysji z ludźmi Kelly'ego.

Klienci zwęszyli kłopoty i po barze rozszedł się niespokojny szmer. Kelly ze swoimi zbirami zatrzymał się za progiem i omiół wewnątrz wzrokiem. Większość obecnych opuściła oczy i gapiła się w szklanki, jak gdyby alkohol w nich mógł w każdej chwili zapłonąć. Paru dokończyło napitki i wyszło, omijając Kelly'ego szerokim łukiem.

Zadowolony z takiej reakcji Kelly ruszył w głąb niecodziennie cichej sali. Gdy się zbliżył, James potarł kciukiem srebrną gałkę laski – głowę gorgony o anielskiej twarzy. O twarzy Leeny. Srebrne węże wijące się pod jego palcem wydawały się nienaturalnie chłodne. Przypominało to Jamesowi, że choć gang z Five Points jest silny na ulicach, on i jego podwładni dysponują mocą, o jakiej Paul Kelly może tylko pomarzyć.

Ale ten chłód przypominał także, o jaką stawkę toczy się gra. W srebrnej głowie gorgony zaklęta była moc: część daru Leeny, którą Dolph jej zabrał, by zapewnić sobie kontrolę nad Stoma Diablami. James nie miał z niej na razie żadnego pożytku, była poza zasięgiem jego daru. Do tego potrzebował Księgi.

Kelly przemierzył już prawie cały bar. James nie chciał być posądzony o słabość – i to na własnym terenie, na oczach swoich ludzi – dlatego zignorował ból w rannej nodze i wstał z krzesła, podpierając się laską.

Paul Kelly, który był Osobnym, nie mógł poczuć, jak po jego wejściu roziskrzyła się magia. Powietrze wypełniło się nerwowym ciepłem wzbudzonych mocy, wszyscy Magini bacznie obserwowali rozwój wydarzeń. James Lorcan przez chwilę miał wrażenie, że cały świat skurczył się do rozmiarów tej zadymionej sali, w której garstka bywalców wstrzymywała teraz w napięciu oddech.

– Paul – powitał gościa jak starego przyjaciela. – Co cię dziś do nas sprowadza? – Zerknął na chłopaka trzymanego przez dwóch zbirów. – A może powinienem spytać: kogo mi tu sprowadziłeś?

Kelly uśmiechnął się pod nosem.

– Moi chłopcy zgarnęli go z Broome Street. Ma całkiem ładną buźkę. – Smagnął go raz i drugi otwartą dłonią po twarzy, aż ta skrzywiła się w bolesnym grymasie. – Ale rozumu tyle co nic. Sam chciał, żebym go przyprowadził do ciebie.

– Doprawdy? – James przyglądał się blondynkowi, nie zwracając uwagi na niespokojną energię wypełniającą bar.

– Owszem – potwierdził Kelly. – Co rodzi pewien problem. Musimy coś ustalić, Lorcan. Współpraca współpracą, ale pamiętaj, że nie przyjmuję od ciebie rozkazów. I od twoich ludzi też nie. Rozumiemy się?

– To nie jest mój człowiek. – James zwrócił się ponownie ku Kelly'emu, starając się ocenić powagę sytuacji.

– On twierdzi co innego.

Blondyn oddychał ciężko, jakby cierpiał. Niespuchnięte oko wpatrywało się w Jamesa, który jednak zamiast przyglądać się twarzy, skupił się na eterze wokół chłopaka. Otaczająca go energia była niewyraźna, lecz nie wskazywała na zagrożenie. Przeciwnie, zdawała się wpasowywać w istniejący układ, co James uznał za dobrą wróżbę. Podszedł bliżej, stukanie jego laski rozbrzmiewało głośno wśród napiętej ciszy.

– Kim jesteś? – spytał blondyna, stanąwszy przed nim. Tak, ten chłopak miał w sobie magię, jej ciepło było nie do pomylenia.

– Jestem Logan – odparł, bez mrugnięcia okiem wytrzymując świdrujące spojrzenie Jamesa. – Logan Sullivan.

– Kto cię przysłał, Loganie Sullivan?

Na twarzy młodzieńca nie drgnął ani jeden mięsień. Eter wokół niego w ogóle się nie poruszył.

– Ty.

– Ja? – James, wietrząc podstęp, obrzucił nieznanego podejrzliwym spojrzeniem.

– To samo powtarzał moim ludziom – wtrącił Kelly.

– Kłamie – stwierdził James, nie odrywając wzroku od zagadkowej postaci. – Nie znam żadnego Logana Sullivana. A tego tutaj widzę pierwszy raz w życiu.

– Znasz mnie i mogę to udowodnić – odparł chłopak.

James podskórnie wyczuł, że ten Logan Sullivan, kimkolwiek jest, mówi prawdę. A przynajmniej wierzy w to, co mówi. Z punktu widzenia jego, Jamesa, relacji z Kellym nie oznaczało to nic dobrego. Trzeba było jak najprędzej rozładować sytuację, zanim cały jego misterny plan zacznie się sypać.

– Szkoda mi czasu na słuchanie tych bredni – oznajmił James.

Już się odwracał, kiedy Logan rzekł:

– A co byś powiedział na Łzę z Delf? Jest tutaj. W mieście...

– O czym ty mówisz?

– Dobrze wiesz, o czym – odparł Logan z kamienną twarzą. – Chcesz mieć ten pierścień? Mogę ci go znaleźć. Jest niedaleko stąd, ale się przemieszcza.

– Co to ma znaczyć? – spytał Kelly tonem ponurym i podejrzliwym.

Wodzenie go za nos było sztuką, tym bardziej że James nie chciał, aby Kelly dowiedział się zbyt wiele. Informacje dawały władzę, a wiedza była

pętlą, którą można zarzucić na szyję. Lecz James nie zwlekał z odpowiedzią.

– To jeden z klejnotów, o których ci opowiadałem – rzekł bez wahania. – Tych, które zwinął Darrigan z dziewczyną.

– Tych, których szukają moi ludzie? – Kelly zmrużył podejrzliwie oczy. – Mam nadzieję, że nie marnujesz mojego czasu, Lorcan.

– Skąd – odparł James, ignorując groźbę w jego tonie. – Darrigan i dziewczyna gdzieś tam są. Kiedy ich znajdziesz, i ukradzione przez nich rzeczy, Zakon hojnie cię nagrodzi.

To znaczy, nagrodziłby cię, gdybym nie zamierzał przejąć tych kamieni, pomyślał James.

Zmierzył Logana wzrokiem.

– Gdzie ten dowód?

– W mojej kurtce. Wewnętrzna kieszeń.

James znów nie mógł się nadziwić opanowaniu nieznajomego. Nie wyczuwał jednak żadnego niebezpieczeństwa... Wręcz przeciwnie.

Zbliżył się ponownie do Logana.

– Mogę?

Dwóch oprychów spojrzało na Kelly'ego, a ten nieznacznie skinął głową. James wsunął rękę do kieszeni Logana i wyłowił z niej zawiniątko.

– Co to jest?

– Odpakuj – odparł Logan, patrząc mu spokojnie w oczy.

Zbyt spokojnie.

James chwycił laskę pachą i szybko rozwinął papier. Oczy powiedziały mu, co trzyma w ręku, ale mózg nie od razu przyjął to do wiadomości.

– Skąd to masz?

– Mówiłem. Ty mi dałeś.

Niewiarygodne, a jednak: był to dobrze mu znany notes. Identyczny nosił we własnej kieszeni.

– Nic ci nie... – Zaniemówił, kartkując zeszytik i widząc w nim swoje własne ścieśnione pismo. Zatrzymał się i wrócił do początku... Tak, to niewątpliwie jego notatki.

Zarazem nie miał wątpliwości, że jego notatnik wciąż znajduje się w kieszeni. Nawet w tej chwili czuł jego krzepiący ciężar.

Przewracając kartki, zatrzymał się na stronie, którą zapisał rano. Notatki powinny się tu kończyć, tymczasem ciągnęły się dalej, wszystkie skreślone jego charakterem pisma.

– Co to? – spytał Kelly wyraźnie zniecierpliwiony.

– Nic takiego – odparł James, zamykając notes. – On kłamie. Nic mi to nie mówi.

Kelly zmarszczył brwi, jakby nie był pewien, czy może uwierzyć Jamesowi na słowo. W końcu jednak odpuścił.

– To co z nim robimy? Jeśli chcesz, moi ludzie mogą załatwić sprawę.

– Zostaw go mnie – odparł James.

– Tobie? – Kelly wyglądał na zaskoczonego i cokolwiek rozczarowanego.

– To mnie nurza w błocie. Sam się z nim rozprawię – oświadczył James. W przeciwnym razie Kelly przestałby go szanować. – Możesz o nim zapomnieć, nie będzie was już niepokoił.

Kelly przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. W tej ciszy niepokój wypełniający salę zdawał się pęcznić. Wreszcie Kelly znów skinął na swoich ludzi, a tamci puścili chłopaka, który natychmiast osunął się na kolana.

– Mooch – odezwał się James. – Odprowadzisz naszego gościa do piwnicy? Zwiąż go i dopilnuj, żeby siedział cicho, dopóki nie przyjdę. Jeśli będzie trzeba, użyj siły.

– Nie... – Logan próbował się podnieść, ale Mooch i jeszcze jeden chłopak zaraz do niego doskoczyli. Ze swoją drobną budową nie miał z nimi szans.

James poczekał, aż sobie pójda, po czym wskazał gestem stolik, przy którym siedział przed paroma minutami.

– Napijemy się? Ja stawiam. Jestem ci to winien za przysługę.

Kelly znów otaksował go czujnym wzrokiem, ale przystał na propozycję.

– A co mi tam – powiedział, wzruszając ramionami. – Zobaczmy, jakie siki Saunders serwował swoim klientom.

– Zdziwisz się – odparł James, poklepując Kelly’ego po ramieniu.

Wciąż czuł wokoło niespokojną energię. Wiedział, że ludzie w barze boją się Kelly’ego. W tych ostatnich dniach nawet Dolph nie był w stanie ich obronić przed bezwzględnością gangsterów z Five Points.

Niech zobaczą, pomyślał. Niech wszyscy zobaczą i zrozumieją, kim jestem i jakie mam wpływy.

Nalał sobie i Kelly’emu po dwa palce najlepszej whisky i uniósł szklanke jak do toastu. Dopiero gdy ją wychylił, Kelly napił się ze swojej.

– A więc – zaczął James, dolewając whisky. – Co tam słyhać u twojej uroczej siostrzyczki? Nadal sprawia kłopoty?

Kelly się uśmiechnął.

– Viola? – Zaśmiał się cicho do szklanki. – Sprawia kłopoty tylko wtedy, kiedy jej każę.

Doskonale, pomyślał James. Właśnie to chciałem usłyszeć.

SKRWAWIONA ZIEMIA

1902 rok – Nowy Jork

Boso, w zbyt dużej pizamie, Jianyu sprawdził, czy zdoła ustać na nogach wsparty ręką o słupek łóżka. Obraz przed oczami wciąż rozmazywał mu się od najmniejszego ruchu, jakby patrzył przez mgłę, lecz nabrał powietrza i znalazł w sobie siłę, by nie upaść.

Upłynęło wiele czasu. Zbyt wiele.

Chłopak, przed którym ostrzegała go Esta, na pewno już dawno zjawił się w Nowym Jorku. I skontaktował się z Nibsym. A to oznaczało, że on, Jianyu, nie sprostał zadaniu. Po raz kolejny.

Nie był pewien, gdzie się znajduje ani jak długo. Budził się już wcześniej, ale trudno mu było zachować przytomność, za każdym razem tracił grunt pod nogami i osuwał się z powrotem w gęsty mrok. Teraz w końcu wydostał się na powierzchnię. Słońce padało ukośnie zza cienkich zasłonek w pojedynczym oknie, powietrze było ciepłe i przesycone zapachem nieznanymi przypraw. Dopiero po chwili wyłowił słodką woń goździków i ostrą nutę czosnku, zapachy kojarzące mu się z domem, którego już nigdy nie zobaczy.

Pobudzony tą myślą zmusił się do zrobienia kroku. Od razu przystanął, upewniając się, że ma pod nogami twardy grunt, inaczej niż – kiedy to było? – dzień lub dwa temu. Wtedy tak desperacko pragnął odnaleźć tego chłopaka, przed którym ostrzegała go Esta, że się przeforsował i upadł, nabijając sobie kolejnego guza.

Z początku szedł powoli, ostrożnie, sprawdzając, na ile go stać. Dopiero gdy poczuł się pewniej, podążył za głosami przez drzwi niewielkiej sypialni, a potem krótkim korytarzem do wąskiego pokoju dziennego, gdzie

trzy kobiety zszywały stertę męskich spodni. Jedną z tych kobiet była Cela. O ile jednak pozostałe dwie pochłaniała rozmowa, Cela pracowała w skupieniu, z pochyloną głową. Tamte miały na sobie proste ciemne spódniczki i wyblakłe bufiaste bluzki. Cela była ubrana w różową suknię w odcieniu kwiatu herbaty. Była to prosta dzienna suknia, jakich wiele, ale i tym razem Jianyu zwrócił uwagę na doskonały krój dodający jej szyku. Zwinne palce Celi skończyły obrębiać nogawkę i zabrały się do drugiej, lecz jej twarz miała nieobecny wyraz – bardziej smutny niż zamyślony.

W jej pracowni w teatrze Jianyu spędził tylko kilka minut, ale tamto miejsce było schludne i uporządkowane, bele materiału stały w równych rzędach, a wszystkie koraliki, cekiny i kryształki leżały na swoim miejscu. Tutaj nic się nie błyszczało. Nie było jedwabów ani satyny, a sama Cela wyglądała na zmęczoną.

Starsza z dwóch kobiet podniosła wzrok i spostrzegła Jianyu stojącego w progu, opartego o futrynę. Chrząknęła i wtedy Cela również tam spojrzała.

– Zbudziłeś się – powiedziała nisko, jakby z wyrzutem. – Nie powinieneś wstawać z łóżka.

Miała oczywiście rację. Ledwie wypowiedziała te słowa, Jianyu zachwiał się na nogach. Cela błyskawicznie zerwała się z miejsca i pomogła mu sięść na krzesło, które zwolniła.

Podziękował jej, ale oprócz wdzięczności czuł też palący wstyd. Okazał słabość na oczach tych kobiet. Nie był w stanie wywiązać się z obietnic...

– Wszystko w porządku? – Cela usiadła na podłodze i wróciła do przerwanej pracy.

Skinął milcząco głową, a niedawno obcięte włosy musnęły mu twarz, przypominając o tym, co się wydarzyło.

Starsza z kobiet przyglądała mu się znad obszywanych spodni. Druga, od której Cela była tylko parę lat młodsza, także co jakiś czas zerkała w jego stronę.

– To jak długo jeszcze pan z nami... zostanie, panie Jianyu? – odezwała się ta starsza.

– Ciociu – powiedziała Cella tonem przestrogi.

Potem dodała coś jeszcze, ale Jianyu niewiele z tego zrozumiał, choć słowa, których używała, brzmiały w większości jak angielszczyzna. Może to jego głowa...

W każdym razie ciotka Celi najwyraźniej wszystko rozumiała. Odpowiedziała w tym samym dziwnym narzeczu. Rozmawiały tak przez minutę, a Jianyu nie musiał znać języka, by zorientować się, czego dotyczy rozmowa, tym bardziej że oczy kobiety co rusz wędrowały w jego stronę. Po chwili ciotka odłożyła robotę i dała znak drugiej kobiecie, by z nią poszła. Jianyu i Cella zostali sami, a w mieszkaniu zapanowała cisza.

Cella zrobiła jeszcze kilka szwów, po czym znieruchomiła i przeciągle westchnęła. Jej ciemne oczy zaszkliły się łzami. Jianyu nie umiał jej pocieszyć.

– Jeśli przeze mnie masz kłopoty...

Potrząsnęła głową i wytarła oczy wierzchem dłoni.

– Moja ciocia czasem już taka jest. Z kuzynką Neolą łatwiej się dogadać.

– To ta druga?

Cella potwierdziła skinieniem głowy. Odłożyła spodnie, które obszywała.

– Jak się czujesz?

– Dobrze – odparł. Dopóki siedział, była to prawda.

– Lepiej wyglądasz – powiedziała. – Strasznie się gruchnąłeś w głowę. Przez parę dni nie miałam pewności, czy jeszcze się obudzisz.

W jej tonie pobrzmiwała jakaś kruchość, ale Jianyu wolał udąć, że tego nie słyszy.

– Dziękuję – odparł sztywno. – Nie musiałaś się dla mnie kłopotać.

Rzuciła mu wątpiące spojrzenie.

– Może i nie, ale po tym, jak pomogłeś mi się wydostać z teatru, nie mogłam cię zostawić na wpół żywego w tramwaju. A moją rodziną się nie

przejmuj.

– Twoja ciotka... chyba jest zła.

– To u niej normalne – odparła lekceważąco, ale widząc jego pytające spojrzenie, westchnęła i zaczęła tłumaczyć: – Rodzina mojej mamy pochodzi z Wysp Nawietrznych. Zawsze uważali się za lepszych od ludzi, którzy żyją tutaj od pokoleń, a już na pewno za lepszych od mojego taty, który przyjechał z Południa i którego rodzice urodzili się niewolnikami. Ona pewnie jest zadowolona, że pracuję tu przy szyciu spodni. Powtarzali mi, że jestem głupia, bo szukam pracy w teatrze u białych. Mówili, że trzeba znać swoje miejsce i twardo stąpać po ziemi, a nie bujać w obłokach. – Wzruszyła ramionami. – Zawsze mi się wydawało, że są zazdrośni, bo nie zarabiają połowy tego co ja. Wprawdzie nie odziedziczyłam po mamie jasnej cery, ale zawdzięczam jej fach i charakter. – Zawahała się i odwróciła wzrok. – Ale może oni jednak mieli rację.

Jej słowa coś w nim rozzarzyły, jakiś węgielek frustracji, który przywiózł ze sobą zza oceanu. Nie znał dobrze jej sytuacji, ale rozumiał ton rozczarowania w głosie.

– Nie sędzę – odrzekł, mając nadzieję, że jego również to dotyczy.

– Nie wiem. – Cela ponownie głęboko westchnęła. Oczy znów jej błyszczały niewypłakany łzami. – Może powinnam była zadowolnić się tym, co miałam, zamiast gonić za nie wiadomo czym. To chyba z kolei mam po tacie. On też zawsze aspirował do czegoś więcej. Tylko że on koniec końców przypłacił to życiem, a ja – wszystkim, co miałam. Domem. Bratem. – Głos jej się załamał i zamilkła na chwilę, jakby próbowała się pozbierać. – Wróciłam tutaj i zszywam stare portki, tak jak mi przepowiadali. A jedyna osoba, która zawsze mnie rozumiała, nie żyje.

– W takim razie mam wobec ciebie jeszcze większy dług – stwierdził Jianyu.

Pokręciła głową.

– Jesteśmy kwita.

– Darrigan kazał mi chronić ciebie i pierścień. Zawiodłem podwójnie.

– O nic takiego nie prosiłam – oznajmiła sztywno.

– To akurat nieistotne – zauważył Jianyu. – Nie powinien był ci dawać tego pierścienia, narażać na takie niebezpieczeństwo, nie uprzedzając cię, jak to się może skończyć. Ale to ja miałem cię chronić i zawiodłem.

– Głupi pierścień! – rzuciła Cela, wstając z podłogi. – Wolałabym w ogóle nie wiedzieć o jego istnieniu. Jego i Harte’a Darrigana.

– Jeśli chodzi o tego magika, jestem pewien, że wiele osób myśli podobnie jak ty – stwierdził cierpko Jianyu.

Spojrzała na niego pytająco.

– Ty też?

Przekrzywił głowę.

– Zdecydowanie. Chociaż gdybym go nie znał, nie poznałbym ciebie. Koniec końców chyba nie żałuję. Dobrze jest wiedzieć, że po tym świecie chodzi ktoś, kto ma w sobie tyle siły i dobroci.

Odwróciła wzrok, a policzki oblały jej się rumieńcem zakłopotania lub przyjemności, w każdym razie przez moment wydawała się trochę mniej smutna.

– Wiesz – powiedziała po chwili milczenia, w którym było coś mile intymnego. – Mogłabym ci pomóc z tymi włosami.

Sięgnął postrzępionych kosmyków, które wisiały mu wokół twarzy. Nie można mi pomóc, przemknęło mu przez myśl.

– Potrafię używać nożyczek. Obcinałam mojego brata Abła... – Uniosła pięść do ust, jakby próbując powstrzymać ból przed wylaniem się na zewnątrz. Po chwili odezwała się znowu, tym razem ciszej: – Po śmierci matki zawsze go strzygłam. Nie mogę ci wydłużyć włosów, ale mogę je ładnie wyrównać.

Nie spodziewał się takiej propozycji. Nie zasłużył na ten prezent, lecz nie potrafił odmówić.

Usiedli w małej kuchni, Jianyu z wytartym ręcznikiem na ramionach, by obcięte włosy nie spadały na podłogę. Z początku Cela była ostrożna, jakby

w ogóle bała się go dotykać. Z czasem jednak wyzbyła się tej nieśmiałości, a jej silne palce poruszały się stanowczo. Nożyczki szemrały swoją niekończącą się historię.

– Opowiedz mi o tym pierścieniu – odezwała się Cela.

Zaczął mówić o pierścieniu i reszcie artefaktów – i złapał się na tym, że nie może przestać. Często wieczorami siadał z Dolphem i rozmawiali na różne tematy – o wieściach z miasta, nadziejach na przyszłość, a nawet o władzy i magii oraz jej roli w świecie. Ale przed skokiem na Khafre Hall Dolph był zbyt zajęty łataniem przecieków w spękanej tamie Stu Diabłów, by wpadać na pogaduszki, a po tamtym wieczorze wszyscy, na czele z Jianyu, przeżywali swoją żalobę w samotności. Tak dawno już nie rozmawiał z drugim człowiekiem, że teraz uwaga Celi kołała jak balsam.

Słuchała, nie przerywając, a jej palce i nożyczki wędrowały mu po głowie.

– I dlatego muszę znaleźć pierścień i uchronić go przed tymi, którzy wykorzystaliby go do złych celów – zakończył.

Cela przez chwilę w milczeniu obcinała mu włosy nad karkiem.

– Wiesz – rzekła w końcu – tyle się mówi o magii. Ludziom tak zależy na tym, żeby ją mieć albo kontrolować, że dopuszczają się najgorszych rzeczy. – Jej ręce znieruchomiały, zrobiła krok do tyłu, by obejrzeć swoje dzieło. – A może nikt nie powinien jej mieć. Może powinna przeminąć. – Przechyliła głowę i przycięła jeszcze odstający kosmyk na głowie Jianyu. – Moim zdaniem – kontynuowała – z tym krajem jest coś nie tak. Ludzie, którzy byli tu pierwsi, ci, którzy naprawdę mogą nazywać tę ziemię swoim domem, zostali wymordowani albo zepchnięci na margines. Trudno, żeby cała ta przemoc pozostała bez wpływu na to miejsce. Magia nie zapuści korzeni w skrwawionej ziemi. Ale ja sobie myślę, że może to i lepiej. Może nikt nie powinien mieć takiej władzy nad innymi. – Otrzeпаła mu ramiona. – Przejrzyj się i powiedz, czy ci się podoba.

Po drugiej stronie pomieszczenia wisiało kwadratowe lustro. Jianyu podszedł do niego niepewnie, trochę dlatego, że chwiał się na nogach, a trochę dlatego, że bał się, kogo ujrzy w zamglonym zwierciadle.

Nie przypominał siebie. Włosy, które dawniej nosił ściągnięte, okalały mu teraz twarz. Miał przed sobą nie syna swojego ojca, lecz jakąś nową wersję tamtego chłopaka. Obcego Amerykanina. Poczł dreszczyk, ale sam nie wiedział, czy to strach, czy może raczej... gotowość.

Celi nie groziło niebezpieczeństwo. Znajdzie pierścień. Jeszcze nie wszystko stracone. Tym razem nie zawiedzie.

MAPA ŚWIATA

1902 rok – Nowy Jork

Kończąc czytać ostatnią stronę w notatniku, który dostał od Logana Sullivana, James poczuł, że mapa świata zmienia kształt. Chciał wierzyć, że to mistyfikacja, bo alternatywa przekraczała jego pojęcie. Chciał, żeby to był fortel, próba wywiedzenia go w pole, jednak zmysły podpowiadały mu, że notes jest prawdziwy, podobnie jak cała jego zawartość.

Odłożył go na wytarty blat biurka, na którym leżał bliźniaczy egzemplarz.

Zdjął okulary z nosa i przecierając szkła, rozważał po kolei wszystkie możliwości. Każde jego zwycięstwo i każdy błąd znajdowały się w zeszycie przyniesionym przez Logana. Za pomocą swojego daru i wiedzy zawartej na tych stronach mógł dowolnie kształtować swoją przyszłość. Mógł napisać od nowa własną historię – i nie tylko.

Najpierw jednak musiał się upewnić – ponad wszelką wątpliwość – kim był ten cały Logan Sullivan. Wspominał o Łzie z Delf, więc James postanowił, że pozwoli mu ją odnaleźć. Jeśli Logan nie spełni obietnicy, będzie to oznaczało, że można się go spokojnie pozbyć.

Przyglądał się przez chwilę identycznym notatnikom, po czym wziął do ręki ten od Logana i schował go do kieszeni. Wolał go mieć przy sobie, dopóki się nie upewni, czy może ufać temu chłopakowi. Tym bardziej że prawdopodobnie na tych stronach znajdowała się historia jego życia. Lepiej, żeby nikt inny się o niej nie dowiedział. James chwycił marynarkę, włożył czapkę i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz. Musiał

porozmawiać z tym zagadkowym przybyszem, który mógł zmienić jego przyszłość.

PROMENADA

1904 rok – St. Louis

Na Promenadzie jak zwykle było tłoczno i głośno, kiedy Esta wkroczyła tam z zamiarem wykonania swojej części planu. Miała około dziesięciu minut, by przedostać się od wejścia, obok budzących respekt ogromnych sztucznych Alp, do umówionego miejsca spotkania naprzeciwko bramy Kairu. Harte powinien nadejść z innej strony, od wschodu, tak by nikt nie widział ich dwojga razem.

W kieszeni trzymała pacuszki proszku dymnego wyposażone w zapalniki. Były to niegroźne rekwizyty teatralne, przygotowane przez Harte'a i Julię, lecz ludzie, którzy zobaczą dym, nieprędko się zorientują, że nic im nie grozi.

Minęła pawilony Azji i szła dalej w stronę Stworzenia – ogromnej budowli z kopułą. Podobnie jak na sztucznym Nilu, oferowano tam przejażdżki. I podobnie jak wszędzie indziej, sceneria była krzykliwa i kiczowata. Esta zatrzymała się przy sprzedawcy ogromnych solonych precli i zerknęła na kieszonkowy zegarek od Harte'a. Pięć minut. To znaczy, że ma jeszcze co najmniej dwie minuty zapasu. Z oddali dobiegały już dźwięki bębnow zwiastujące nadejście parady.

Jeszcze raz spojrzała na zegarek – i nagle doznała dziwnego uczucia, jakby ktoś ją obserwował. Podniosła wzrok i okazało się, że intuicja jej nie myli. Po drugiej stronie ulicy, nieopodal wejścia do gmachu Inkubatora, stał kowboj, którego widziała pierwszego dnia przed teatrem. Patrzył wprost na nią.

Dopóki miał ją na oku, nie mogła zrobić tego, po co tu przyszła. Wzięła głęboki wdech i odpędzając strach, postanowiła to rozegrać jego własnym

sposobem. Mrugnęła do niego, po czym czmychnęła jak najgłębiej w tłum, aby zniknąć mu z oczu. Tylko raz się obejrzała – i zobaczyła, że kowboj podąża za nią. Przepychając się, dotarła do zakamarka na prawo od kasy biletowej i tam spowolniła bieg czasu.

Odetchnęła trochę, gdy świat dookoła pograżył się w ciszy. Testowała swój dar zaledwie kilka dni temu – w pensjonacie, pod nieobecność Harte'a – lecz potem, w obawie przed Strażą, bardzo uważali, żeby nie korzystać z magii. Teraz moc aż ją rozpierała, jakby chciała się wygimnastykować. Esta była jej pewna i to dodawało dziewczynie impetu. Lawirując w zastygłym nieruchomo tłumie, stanęła wreszcie oko w oko z kowbojem, który ją śledził. Z bliska zobaczyła, że oczy ma zielone jak kot, ale brązowe plamki w jednym sprawiały, że wydawało się innego koloru niż drugie.

To go na chwilę zajmie, pomyślała, podpalając lont w pierwszej paczusce i wsadzając ją do zewnętrznej kieszeni jego kurtki. Zaraz potem uciekła i puściła czas wolno.

Stopy same niosły ją w stronę Kairu. Zatrzymawszy się przy koszu na śmieci, na krótką chwilę spowolniła czas, by zapalić kolejną paczkę i umieścić ją w środku. Puściła czas, gdy znalazła się w bezpiecznej odległości. Miała w sumie osiem paczek, a więc przed dotarciem do Kairu musiała rozdysponować jeszcze sześć. Podążając Promenadą, zatrzymywała się co jakiś czas, a to przy pustym wózku dziecięcym, a to przy podchmielonym mężczyźnie. Za każdym razem używała na chwilę daru, by pozbyć się jednej paczki.

Plan zaczynał działać. Widziała, jak strażnicy, rozmieszczeni w regularnych odstępach wzdłuż Promenady, wyciągają się jak struny, wyczuwając w powietrzu magię. Esta była jednak zawsze o kilka kroków przed nimi.

Do ekspozycji jaskiniowej, czyli umówionego miejsca spotkania, dotarła spóźniona. Parada była już bardzo blisko, a Harte z nerwowo zaciśniętymi ustami dyskretnie przeczesywał tłum wzrokiem. Na widok Esty wyraźnie odetchnął.

– Spóźniłaś się – oznajmił na powitanie.

– Miałam mały problem.

Harte uniósł brwi.

– Jaki problem?

– Pamiętasz tego kowboja sprzed teatru? Widział mnie.

Harte spochmurniał.

– Może nie powinniśmy...

– Spokojnie – weszła mu w słowo. – Zgubiłam go. I jeszcze zostawiłam mu prezent niespodziankę.

– Rozumiem – odparł Harte, lecz na jego twarzy wciąż malowało się zmartwienie.

– Chodźmy – rzekła Esta. – Parada już tu jest.

Nie dając mu czasu na protesty, ruszyła w poprzek szerokiej alei, w stronę Kairu i naszyjnika.

CIEŻAR WIĘZÓW

1902 rok – Nowy Jork

Zniknięcie pod osłoną mroku bez słowa pożegnania – nie tak powinien się odwdzięczyć rodzinie Celi za okazaną mu życzliwość, ale po sześciu dniach miał poczucie, że i tak minęło już zbyt dużo czasu, odkąd pierścień przepadł bez śladu. Jianyu długo odwlekał to, co nieuniknione, ale teraz miał jeszcze jedną obietnicę do spełnienia. Musiał chronić innych.

Powtarzał sobie, że Celi nic nie grozi, nawet jeśli atmosfera w domu była tak gęsta, że można by ją nożem kroić. Widział, jak tu na nią patrzą, lecz rodzina to jednak rodzina. Teraz, gdy Cela nie miała już kamienia, nie groziło jej niebezpieczeństwo. Dopóki nie stanie na nogi, będzie mogła liczyć na pomoc rodziny.

Może i był tchórzem, że jej nie uprzedził, ale tłumaczył sobie, że gdyby ktoś przyszedł go szukać, Cela będzie bezpieczniejsza, nie wiedząc, gdzie się podział.

Mógł użyć daru i stać się niewidzialnym, ale głowa jeszcze go pobołowała i wolał uniknąć wysiłku, jakim byłoby użycie brązowych dysków. Musiał oszczędzać siły. Nie wiadomo, co przyniosą kolejne dni.

Gdy dotarł na róg Amsterdam Avenue, z jednego z barów wyłoniła się znajoma postać. Mógłby rozdzielić promienie światła i ukryć się przed jej wzrokiem, lecz było już na to za późno. Zobaczyła go. Uciekając teraz, okazałby jej brak szacunku.

– Czułam, że dziś nas opuścisz – oznajmiła Cela, gdy w końcu do niej podszedł. Czekala ze skrzyżowanymi ramionami. – Ale tak bez słowa pożegnania? Naprawdę?

Nic nie odpowiedział. Bo i co tu odrzec? Miała całkowitą rację i pełne prawo do złości, która pobrzmiwała w jej głosie.

– Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam? Po tym, jak namówiłam rodzinę, żeby wzięła cię pod swój dach?

– Jestem wam niezmiernie wdzięczny... – zaczął, ale Cela nie wytrzymała.

– Jakoś wcale tego nie widać. – Spiorunowała go wzrokiem. – Gdzie ty się w ogóle wybierasz, hm?

– Lepiej, żebyś tego nie wiedziała – odparł cicho. Wyraz jej oczu sprawiał mu niewysłowioną przykrość. Było w nich podejrzenie. Odraza. Uczucia często odbijające się w oczach ludzi, których spotykał na swej drodze, ludzi, którzy nie widzieli w nim człowieka, bo zamiast na sercu skupiali się na kolorze skóry. – Będziesz bezpieczniejsza.

– Bezpieczniejsza? – powtórzyła z głośnie drwiną. Jej brwi spotkały się pośrodku czoła. – Chodzi o ten pierścień, prawda?

Nie odpowiedział, ale sądząc po jej minie, Cela i tak wszystko rozumiała.

– Dlaczego? Nikomu jeszcze nie przyniósł nic dobrego. Nie lepiej zostawić to cholerstwo w spokoju?

– Nie mam wyboru – odparł zgodnie z prawdą.

– Czemu? – naciskała.

– Dałem słowo – wyjaśnił. – Obiecałem Darriganowi, że zadbam o twoje bezpieczeństwo i będę chronił pierścień. To pierwsze się udało. To drugie dopiero przede mną.

– Nie jesteś nic winien Darriganowi – stwierdziła nieco łagodniejszym tonem, a jej pełne wargi ułożyły się jakoś smutno. – Ani ty, ani ja nie mamy już wobec niego żadnych zobowiązań.

– Być może – przyznał. – Ale tłumaczyłem ci przecież, jaką moc ma ten pierścień. W nieodpowiednich rękach może doprowadzić do katastrofy. Nie mogę do tego dopuścić. Nie mogę pozwolić na to, by kamień trafił w ręce Zakonu lub innych osób, które mogą go wykorzystać do złych celów.

Cela przez chwilę przyglądała mu się byстрыm spojrzeniem ciemnych oczu. W końcu westchnęła głośno, a zrozumienie mieszało się w tym westchnieniu z irytacją.

– No dobrze, w takim razie idę z tobą.

– Nie...

– To ja posiałam ten pierścień, więc pomogę ci go znaleźć.

Jianyu potrząsał głową.

– To nie twoje zmartwienie. Zostaniesz tutaj, z rodziną. Tu jest twoje miejsce.

Rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie.

– Czy ty byłeś ze mną w tym domu, czy nie? To nie jest moje miejsce.

Zdawał sobie z tego sprawę, widział, jak napięte są relacje między nimi, ale...

– To twoja rodzina. Twoja krew.

– Może i są rodziną mamy, ale dla mnie nigdy nie byli prawdziwą rodziną. Mniejsza o pokrewieństwo. – Jej zaciśnięta szczęka wyrażała determinację. – Dziadkowie nie pochwalali małżeństwa mojej mamy z tatą z wielu powodów, ale najważniejszy był taki, że tata miał zbyt ciemną skórę. Nieważne, że harował jak wół, żeby zapewnić nam godne życie, dach nad głową i porządne ubranie. Dla nich był człowiekiem z nizin, i my też, bo urodziliśmy się z jego kolorem skóry. Nigdy nie powiedzieli tego wprost, ale i tak wiedzieliśmy. – Zgarbiła się pod ciężarem tego wyznania. – Rodzina mamy tolerowała nas przez wzgląd na nią – opowiadała dalej – ale nigdy nie była dla nas oparciem, nawet za jej życia. Kiedy parę lat temu zmarła na suchoty, obarczyli winą mojego tatę, a teraz obwiniają mnie o śmierć Abla. Widzę to w ich spojrzeniach. Doszły ich słuchy, że widziano mnie, jak uciekam, i może nie powiedzą tego wprost, ale myślą, że miałam coś wspólnego z tym, co się stało. I dlatego nie ma tu dla mnie miejsca. Idę z tobą.

Jianyu dobrze rozumiał wyraz twarzy Celi, jej uniesiony wyzywająco podbródek. Sam nieraz przybierał taką maskę, swoisty pancierz chroniący

go przed wiecznie wrogim światem. A ponieważ znał tę maskę, wiedział również, co kryje się pod spodem: wrażliwe cząstki duszy, równie ważne, co podatne na zniszczenie.

Zasepił się.

– To mój ciężar.

Westchnęła przeciągle i nagle wydała mu się bardzo krucha.

– I tu się mylisz. Odkąd zabrali mi brata, to również moja sprawa.

– Ale...

Przerwała mu.

– Ciekawa jestem, czy masz plan, jak znaleźć Evelyn. – Zamilkła na chwilę, a nie doczekawszy się odpowiedzi, pokręciła głową. – No właśnie. Zamierzałeś się błąkać po ulicach, aż w końcu na nią wpadniesz? To duże miasto. Ja przynajmniej wiem, gdzie jej szukać.

NIEZGODNIE Z PLANEM

1902 rok – Nowy Jork

Nic nie poszło tak, jak Logan Sullivan oczekiwał. Kiedy rano wychodził z budynku profesora Lachlana, nie przyszłoby mu do głowy, że wieczór spędzi w ciemnej i wilgotnej piwnicy pod okiem dwóch facetów, którzy wyglądali, jakby zaczęli się golić w wieku ośmiu lat.

Zwłaszcza ten rudy napawał go niepokojem. Wciąż pocierał opuszki palców i wypuszczał z nich tańczące płomyki, jednocześnie łypiąc na Logana. Jakby tylko czekał na jego fałszywy ruch.

I dlatego Logan siedział nieruchomo.

Może i profesor Lachlan mylił się, sądząc, że wszystko pójdzie jak z płatka – że jego młodsza wersja bez trudu zrozumie, że wszystko, co Logan mówi, jest prawdą. Na pewno byłoby dużo łatwiej, gdyby nie dopadły go te zbiry. I gdyby, ma się rozumieć, Esta nie prysnęła z przesyłką, którą powierzył mu profesor. Księga i kamienie z całą pewnością załagodziłyby sytuację.

Ale przynajmniej miał notes. Kiedy profesor go przeczyta, uwierzy w słowa Logana. Dowie się, że chłopak pomagał mu w przyszłości. Zrozumie, że może mu zaufać. Może nawet pomoże mu wrócić do jego czasów. Choć Logan miał niepokojące przeczucie, że bez Esty będzie to niemożliwe.

Cholera.

Na stromych schodach do piwnicy rozległy się kroki. Logan w mig rozpoznał to kuśtykanie. Proszę bardzo. A więc miał rację.

Posłał rudzielcowi buńczuczne spojrzenie. Jeszcze chwila i zostanie oczyszczony z podejrzeń.

Wciąż nie mógł się nadziwić, jak młody jest profesor tutaj, w tych czasach. Wyglądał na góra piętnaście lat, mniej więcej tyle, ile miał Logan, gdy otrzymał bilet i zaproszenie za ocean, by tam zacząć nowe życie. Jego wuj, drobny paser i jeden z angielskich kontaktów profesora, nie pytał go nawet o zdanie. Trzynastoletniemu Loganowi to wszystko wydało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe: nie tylko uwolnił się od wuja, od życia w ciągłym strachu przed jego pięścią, ale jeszcze profesor zafundował jego matce dom na wsi, o którym zawsze marzyła. Logan musiał wprawdzie przywyknąć do życia za Krawędzią, do uciążliwych podróży w czasie i przemądrzalstwa Esty, ale szacunek i wygoda, które zawdzięczał profesorowi, były tego warte.

Lecz ten chłopak tutaj nie był jeszcze profesorem. Na jego młodej twarzy nie było jeszcze ani cienia zarostu, a oczy za szklami w złotych oprawkach, choć znajome, nie były zamglone kataraktą, która nękała go w późniejszym życiu. A jednak widać w nich było tę samą przenikliwość, błysk inteligencji, dzięki którym Logan od razu, już na pierwszym spotkaniu, domyślił się, że lepiej z tym staruszkiem nie zadzierać.

Będzie dobrze, pomyślał.

– Zostawcie nas.

Chłopak, który w przyszłości miał się stać profesorem Lachlanem, stanął przed Loganem i przyglądał mu się znajomym wzrokiem.

– Na pewno, Nibs? – upewnił się rudy, pstrykając ogniem w palcach i mierząc Logana nieufnym spojrzeniem. – Mogę zostać, na wszelki wypadek.

Profesor obrócił się gwałtownie.

– Myślisz, że sobie nie poradzę? – spytał jadowitym tonem.

Płomienie na czubkach palców rudego zgasły.

– Myślałem tylko...

– Myślenie lepiej zostaw mnie, Mooch. Od ciebie oczekuję wykonywania poleceń. A teraz każę ci zostawić mnie samego z więźniem. Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Dobra, Nibs. Przepraszam.

Mooch rzucił Loganowi jeszcze jedno groźne spojrzenie, ale posłusznie ruszył po schodach na górę, zostawiając Logana sam na sam z młodszą wersją jego przyjaciela i mentora.

– Uhm – chrząknął Logan, by przerwać coraz bardziej uwierającą go ciszę. Nie wiedział, od czego zacząć. Człowiek, który miał wyrosnąć z tego chłopaka, był dla niego jak ojciec. Wziął Logana pod swoje skrzydła i nauczył go wszystkiego. Ale ten tu młodziak był mu całkiem obcy. – Mówią na ciebie Nibs?

– Tylko ci, którzy nie wiedzą, jak mam na imię. – Nozdrza profesora lekko się rozděły, jak to miały w zwyczaju, gdy Logan lub Esta czymś go wkurzyli. Dziwnie było widzieć tę znajomą reakcję na młodej twarzy chłopca. – Ponieważ my się chyba znamy, możesz mi mówić James.

– A więc przeczytałeś notatnik – rzekł Logan, wciąż spięty.

– Owszem. – Profesor, czy też James, oparł się na lasce ze srebrną gałką. – Ładny mi sprawiłeś prezent. Aż nie chce się wierzyć, że może być prawdziwy.

– Nie wierzysz? – spytał Logan. Dreszcz niepokoju zjeżył mu włosy na karku. Musi uwierzyć, pomyślał. Inaczej będzie po mnie.

– Nikomu nie wierzę na słowo. Potrzebuję dowodu. – James wsunął okulary na grzbiet nosa. – Wspominałeś coś o Łzie z Delf...

– Jest tutaj, w mieście – podchwycił Logan. Najwyraźniej James nie wyczytał w notatniku nic o paczce z pozostałymi kamieniami. Może to i lepiej.

– Skąd wiesz?

– Od tego jestem – odparł Logan, a gdy James zmrużył oczy, prędko wyjaśnił: – Chodzi mi o to, że potrafię odnajdywać rzeczy. Takie, które

zawierają w sobie ładunek magii. Inne zresztą też – dodał, widząc, że James marszczy czoło. – Ale łatwiej mi wyczuć przedmioty otoczone jakąś mocą.

– A gdzie reszta artefaktów? Kamienie i Księga?

Logan poczuł ucisk w gardle.

– Reszta? – zagrał na zwłokę.

– Według tych notatek miałeś mi je dostarczyć. Jeśli ufać temu, co tam jest napisane, powinieneś dostarczyć mi przesyłkę. Skoro jej nie masz...

– Miałem ją – odparł Logan. – Przysięgam.

– Ale już nie masz. – Twarz Jamesa przybrała świetnie znany Loganowi wyraz srogiego rozczarowania.

– Esta ją zabrała – przyznał. – Ona wie, że po każdej podróży w czasie jestem trochę skołowany. Wykorzystała to.

– Esta? – James zastygł w zupełnym bezruchu. Po chwili przemówił niecierpliwym głosem: – Ona ma Księgę i artefakty? Jesteś pewien?

Logan pokiwał twierdząco głową.

– Zabrała je i mnie zostawiła. A potem tamci mnie znaleźli.

– Chłopcy Kelly’ego – wymamrotał James, nie patrząc na Logana. Spoglądał w ciemny piwniczny kąt i widać było, że o czymś rozmyśla. Aż nagle coś postanowił. – To ciekawa historia.

– To prawda – zapewnił go Logan.

– Ty tak twierdzisz, a ja się skłaniam, żeby ci uwierzyć, ale nie mam pewności. Mogłeś wykorzystać Księgę, żeby mnie oszukać.

– Nic takiego nie zrobiłem – bronił się Logan, znów ogarnięty strachem. – Musisz mi uwierzyć.

– Otóż wcale nie muszę. Co rodzi pewien problem, w każdym razie dla ciebie. – Poprawił sobie łaskę w dłoni, a Loganowi ten gest wydał się równie groźny jak wypowiedziane przez profesora słowa.

– Pozwól mi to udowodnić.

– Jak? – spytał James. – Jakiego rodzaju dowód masz na myśli?

– Znajdę Łzę z Delf. Ten pierścień. Jest blisko. Czuję to. Znajdę go i oddam tobie. Wtedy się przekonasz, że niczego nie ukrywam.

Twarz chłopaka nie zdradzała choćby cienia zainteresowania.

– Jesteś pewien, że wiesz, gdzie on jest?

– Nie wiem, gdzie dokładnie – przyznał Logan. – Ale mogę cię do niego zaprowadzić.

James rozważył jego propozycję.

– Mooch! – ryknął głośniej, niż można się było spodziewać po tak wąłym cieie.

– Tak, Nibs? – Rudy momentalnie zjawił się u szczytu schodów, jakby tylko czekał na wezwanie.

– Przyrowadź tu Jacoba i Wenera.

Nie takiej reakcji oczekiwał Logan. Gdy James spoglądał wyczekująco ku schodom, Logan dyskretnie sprawdzał wytrzymałość sznura, którym związano mu ręce. Gdyby go trochę poluzował, może zdołałby się uwolnić. Więzy były jednak bardzo ciasne i zanim cokolwiek zdziałał, trzech dryblasów zeszło po schodach na dół.

– Mamy pomóc? – spytał chłopak o piaskowych włosach, a Loganowi nagle brakło tchu.

– Jeszcze nie, Wenerze – odparł James, nie odrywając oczu od Logana. – Będzie nam potrzebny żywy... przynajmniej na razie.

WŁAMANIE

1902 rok – Nowy Jork

Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, Jianyu spojrział w górę, ku ciemnym oknom mieszkania Evelyn, i zastanawiał się – nie po raz pierwszy – czy obrał słuszną drogę. Jako dziecko wcale nie chciał być złodziejem. Teraz, wskutek dokonanych wyborów, nie miał ojczyzny ani domu, był z dala od rodziny, w sytuacji, która wymykała się jego wyobraźni, a tym bardziej kontroli. Przez chwilę patrzył na wieczorne niebo, na konstelacje gwiazd, które tak dobrze znał z dzieciństwa.

Odnalazł gwiazdy układające się w Pasterza i Tkaczkę, tak jak to często robił w bezchmurne noce. Według legendy zostali oni rozdzieleni wstęgą Srebrnej Rzeki, tak jak jego oddzielały od rodzinnych stron cały kontynent i wielka woda. Lecz Jianyu powinien mieć żal tylko do siebie i własnych decyzji, nie mógł też liczyć na to, że czarodziejskie sroki zainoszą go z powrotem, a gdyby nawet miał taką możliwość, nie mógłby z niej skorzystać. Nie bez warkocza wymaganego przez mandżurskie prawo.

Przyszłość była niewiadomą. Jego życie było związane z tym krajem, ale co miał z nim począć? Dokąd by się udał, kim by się stał, gdyby nie ograniczała go Krawędź, skoro nie mógł już wrócić do swej ojczyzny? A jeśli Krawędź nie zniknie, jak ułoży sobie dalsze życie w tym świecie?

Lecz te pytania były przedwczesne. Jeśli kamień wpadnie w nieodpowiednie ręce, nie będzie dla niego żadnej przyszłości. I dlatego Jianyu, chcąc nie chcąc, znów musiał zostać bandytą i złodziejem, aby mieć szansę na inny los.

– Na pewno tu mieszka? – spytał.

Cela skinęła głową.

– Parę miesięcy temu byłam u niej z ubraniami, bo nie chciało jej się pofatygować do teatru. Myślę, że mamy dużo czasu.

– Mamy? – Jianyu aż poczuł ciarki na plecach. Nie mógł jednocześnie wykradać kamienia i troszczyć się o jej bezpieczeństwo. – Ty nigdzie nie idziesz – stwierdził bardziej szorstko, niż chciał.

– Właśnie że...

– Będziesz mi potrzebna tutaj – dodał, próbując okiełznać jej wybuchowy temperament. – Chcę, żebyś stała na czatach.

– I co niby miałabym zrobić, jeśli kogoś zobaczę? – zapytała sceptycznie.

– Ostrzec mnie – odparł. – Potrafisz naśladować odgłos jakiegoś ptaka? Okno jest otwarte. – Wskazał palcem powiewającą zasłonę.

Wiedział, że Cela jest na niego zła, lecz nie było czasu do stracenia. Nie czekając, aż spróbuje go zatrzymać, otworzył wiązki światła, owinął się nimi, po czym ruszył w stronę budynku.

Z łatwością znalazł mieszkanie Evelyn, lecz kiedy wszedł do środka, ujrzał widok, jakiego się nie spodziewał. Wnętrze nie miało w sobie nic z krzykliwej ostentacji swojej właścicielki: pokoje były zimne, prawie nieumeblowane, na podłodze wały się sterty ubrań. Był to dom, który w ogóle nie przypominał domu – raczej miejsce, do którego ktoś przychodzi odsypiać wieczory suto zakrapiane najtwardszym alkoholem albo kiedy nie ma dokąd pójść. Jianyu prawie zaczął się nad nią litować, zaraz jednak przypomniał sobie, że osoba pokroju Evelyn nie zasługuje na litość. Dokonała w życiu takich, a nie innych wyborów, i musi teraz dźwigać ich ciężar.

Poruszając się bez trudu w blasku księżyca sączącym się z otwartego okna, Jianyu zaczął przeszukiwać skrzynie i zaglądać pod meble. Robił to bardzo metodycznie, wyjmował jedwabne pończochy, a potem starannie odkładał na miejsce, żeby nie zostawić po sobie żadnych śladów.

Przeglądał właśnie ubrania rozrzucone na łóżku, gdy usłyszał pohukiwanie sowy.

Nie, to nie sowa, uprzytomnił sobie, gdy odgłos rozległ się po raz drugi. A potem znowu.

Cela.

Odłożył ubrania tam, gdzie były wcześniej, i już mknął w stronę drzwi, kiedy rozległ się szcęk zamka. Nie mając dokąd uciec, Jianyu wyciągnął z kieszeni brązowe dyski, otworzył za ich pomocą blade światło księżyca i owinął się nim szczelnie. Evelyn pewnie i tak go wyczuje, ale przynajmniej zdoła jej się wymknąć.

Ustawił się przy drzwiach i czekał. Lecz osobą, która weszła do środka, wcale nie była Evelyn.

1904 rok – St. Louis

Elektryzująca atmosfera parady zrobiła swoje: wywabiła ludzi na szeroki bulwar, przez co kręte uliczki Kairu prawie całkiem opustoszały. Harte podążał za Estą wśród straganów z tandetą, a kiedy minęli restaurację, która rozsiewała ciężką woń przypraw i pieczonego mięsa, zaburczało mu w brzuchu. Nadal jednak szedł skupiony na wąskich ramionach Esty przed sobą – i na rozszemranej energii w sobie.

Przy replice egipskiej świątyni, w której odbywały się rejsy łodzią, omal się nie potknął, tak mocno wierzgnęła w nim ta moc, dając znać o sobie. Ta konkretna atrakcja wystawy jakoś szczególnie pobudzała głos. Niestety właśnie wtedy, przez Nil, wiodła jedyna droga do komnaty z naszyjnikiem. Harte starał się ze wszystkich sił ignorować moc, gdy dopłacał pracownikowi obsługi parę groszy w zamian za łódź na wyłączność.

Chwilę później wiosłarz odepchnął łódź od brzegu i zanurzyli się w mroku pierwszego tunelu. Wystawa zniknęła w tyle, słyszeli tylko łagodny szmer wody męczonej wiosłem i wdychali zatęchłą woń kanału. Harte bez patrzenia na Estę wiedział dokładnie, gdzie ona jest. Czuł ją obok siebie mimo panującego wokół odoru. Ponieważ uparła się, że będzie udawać chłopaka, nie używała już swojego delikatnego kwiatowego mydła, ale prostego i czystego zapachu; gdy poczuł tę woń w ciemnościach, stanęła mu przed oczami Esta, jaką zobaczył rano, świeżo wypucowana i jeszcze mokra.

To był błąd – uwięziona moc aż w nim zawibrowała, napierając na delikatną barierę jego cielesnej powłoki. Harte dobrze znał tę barierę, bo często ją przekraczał, gdy za pomocą magii przenikał w głąb człowieka, by

odczytać jego myśli albo wpłynąć na jego zachowanie. Teraz sam czuł się zagrożony i przypominało mu to, jak niebezpieczny może być jego dar.

Wioślarz monotonnym głosem recytował swoje kwestie, lecz Harte prawie go nie słyszał – całą uwagę skupiał na powstrzymywaniu mocy w sobie. Mijali sceny z życia starożytnych Egipcjan, budowę piramid, wylew Nilu i spowodowany przez niego urodzaj. Jak zza grubej szyby docierały do jego uszu imiona bogów i bogiń, lecz moc rosła w siłę i coraz trudniej było mu ją powstrzymać.

Esta siedziała obok wyprostowana, ze wzrokiem utkwionym gdzieś przed sobą, jakby szykowała się na to, co mieli do zrobienia. Harte natomiast ledwie widział na oczy. Dłonie miał spocone, kręciło mu się w głowie, obraz na krańcach pola widzenia migotał, w uszach rozbrzmiewał zwielokrotniony echem głos, wykrzykujący niezrozumiałe słowa w nieznanym języku.

Pod koniec rejsu głos ucichł, a moc się uspokoiła, wycofała, zostawiając po sobie tylko wydrążoną pustkę. Zdyszany Harte wysiłkiem woli odetchnął głęboko. Byli już prawie na miejscu. Jeszcze dwie komnaty i wysiądą z łodzi, przejdą tak zwaną Ścieżką Prawości do Świątyni Chorasán, gdzie czekała już Gwiazda Dżina. Ledwie jednak łódź wpłynęła do sali pełnej zwojów i pergaminów, moc znów podniosła łeb.

Harte'owi już przedtem wydawała się silna, lecz dopiero teraz zrozumiał, że wszystko, czego doświadczył wcześniej, to był zaledwie cień jej potęgi. Zrozumiał, jak bardzo był naiwny, sądząc, że uda mu się nad nią zapanować. Ukrywała się przed nim, jakby czekając na tę chwilę.

Łódź, sztuczny Nil i biblioteka zmieniły się w inne miejsce w innym czasie. Ściany zaokrągląły się pod sufitem pomalowanym na złoto, a pośrodku sali, na stole przypominającym ołtarz, leżała księga. Stała nad nią kobieta o kręconych włosach spływających wokół szczupłej twarzy. Oczy podkreślone proszkiem antymonowym wpatrywały się w pergamin przed nią. Harte aż czuł w powietrzu jej poruszenie. Otaczała ją magia, ciepła i gęsta, silniejsza niż wszystko, co Harte poznał do tej pory.

Usta kobiety się ruszały. Nie słyszał, co mówią, lecz i tak wszystko rozumiał, bo moc tych słów rozchodziła się po komnacie i muskała go złowrogo. To było tak jak wtedy, kiedy Esta przeniosła go w czasie – czuł, że dzieje się coś strasznego, niebezpiecznego i złego. Jak gdyby cały świat w jednej chwili zawalił się i rozpadł na kawałki. Harte ze zgrozą patrzył, jak nieznajoma sięga po nóż i rozcina sobie koniuszek palca, a krew skapuje do niewielkiego pucharu.

Kobieta podniosła kawałek trzciny, zanurzyła go we krwi, mieszając, a potem dotknęła nim pergaminu. Z każdym pociągnięciem energia w powietrzu wzmagala się, strzelając wściekle na wszystkie strony. Twarz kobiety zastygła w wyrazie skupienia, oczy w ciemnych obwódkach miała zmrużone, szczękę zaciśniętą, gdy energia w powietrzu zaczęła burzyć jej włosy. Jeszcze raz i drugi, z drzeniem ręki, pociągnęła trzcina, aż wreszcie skończyła.

Wtedy podniosła oczy i spojrzała na Harte'a wzrokiem, który zdawał się widzieć wszystko. Każdy popełniony przez niego błąd. Każdą jego obawę i każde pragnienie. Każdy żal. Jakby zaglądała wprost do jego wnętrza.

A potem, bez ostrzeżenia, upuściła trzcinę i wrzasnęła, jakby ją obdzierano ze skóry. Moc krążąca po sali wzmogła się, ściany rozbrzmiały wściekłym rykiem, który zdawał się wydostawać z samego Harte'a, z jego najgłębszej istoty. Jak gdyby on stał się nią.

Gdy pisała ostatni znak, wrzask dobiegał z niej, ale i spoza niej. Świat grzmiał złowieszczo, ale nie słyszała – nie chciała słyszeć. Zamierzała dokończyć to, co zaczęła, mimo że czuła, że się rozpada. Poświęcała się, składała siebie w ofierze mocy będącej jądrem wszelkiej magii.

Ta ofiara miała ją przemienić w coś więcej.

Choć czuła, że jej wewnętrzna istota pęka, że szczeliny w jej wnętrzu rosną i ją rozsadzają, krzyknęła znowu, trzymając się kurczowo stołu, podczas gdy moc zaklęcia – jej największego i najstraszniejszego dzieła – krążyła w niej.

Zbliżał się, ale to już nie miało znaczenia. Przybył za późno.

Za późno, by ją powstrzymać.

Za późno, by odebrać jej moc zaklętą w pergaminie i atramencie – tej skórze i krwi, które stworzyła. Próbował ukraść tę magię, przywłaszczyć ją sobie, dzielić się nią w zamian za przychylność i wpływy, podarować ją tym, którzy nie mieli do niej prawa.

Zbliżał się, a ona go zniszczy. Jeśli będzie trzeba, postrąca gwiazdy z nieba, byle nie zatriumfował.

Zdrajca. Złodziej. Zginie tej nocy, a jej dzieło będzie bezpieczne.

Ale najpierw... Wzięła z ołtarza jeden z wypolerowanych klejnotów, lapis-lazuli, po czym, koncentrując swoją magię, przelała w niego część siebie. Potem sięgnęła po następny, malachit, i po kolejny, dzieląc się na kawałki, aby móc stać się czymś więcej.

Wziąwszy do ręki ostatni z pięciu kamieni, poczuła, jak znów się rozpada w imię wyższych celów. Kamienie zaczęły świecić, a cały jej ból, groza nieistnienia, ustały. Osunęła się ciężko na stół.

Nie było jednak czasu na odpoczynek. Prędko, na chwiejnych nogach, zaczęła umieszczać kamienie na podłodze dookoła stołu. Układała je po kolei w idealnym kręgu, pośrodku którego znajdował się ołtarz z Księgą.

Odwróciła się na dźwięk kroków. Ktoś stał w cieniu.

Mężczyzna bez twarzy.

– Thot – wymówiła jego imię, czując, jak zalewa ją wściekłość.

Mężczyzna wyszedł z cienia. Na brązowej głowie nie miał ani jednego włosa.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – rzekła oskarżycielsko.

– Ach, Seszat... – Pokręcił smutno głową. – Oczywiście, że przyszedłem. Uchronić cię przed strasznym błędem.

Wydęła wargi.

– Myślisz, że zdołasz mnie powstrzymać? Jesteś tylko człowiekiem.

– Teraz nazywają mnie bogiem – odparł z łagodnym uśmiechem.

– Wkrótce się przekonają, jak bardzo się mylą – oznajmiła, okrążając stół. Stała między ołtarzem a mężczyzną.

– Nie możesz zniszczyć stronic, które sama stworzyłaś, Szesat. Zgubiłabyś nas wszystkich.

Oczy jej rozbłysły, strach, o ile w ogóle tam był, zniknął bez śladu.

– Kto mówi, że chcę je zniszczyć?

Suche pustynne powietrze poruszyło się, zaczęło wirować wokół ołtarza. Kamienie znów świeciły.

– Przestań! – rozkazał Thot.

Ale ona go nie słuchała. Klejnoty zmieniły się w jasne punkty, podobne do gwiazd, które spadły na ziemię; łączące je nitki bytu – części świata powstrzymujące chaos – zaczęły się mienić dziwnymi kolorami.

– Próbowaleś zagarnąć dla siebie coś, do czego nie miałaś prawa – oznajmiła z dziwnym, piskliwym śmiechem, który nawet jej samej wydał się obłąkańczy. – Myślałaś, że możesz władać mocą, ty, urodzony bez niej? Nigdy więcej nie dotkniesz serca magii. Twój wyznawcy zwrócą się przeciw tobie. Rozerwą cię na strzępy. A ja zatańczę na twoich kościach, wysuszonych przez słońce.

Na twarzy mężczyzny malowało się przerażenie. Dосkoczył do niej z nienacką ze wściekłym grymasem.

Nie była na ten atak przygotowana. Wbiła mu paznokcie w skórę, żłobiąc czerwone bruzdy na twarzy, lecz Thot był od niej silniejszy i po chwili, krzycząc, zatoczyła się do tyłu, wśród wirujących kolorów, poza nitki światła, które wyznaczały granicę wokół ołtarza.

– Diabla suko! – rzucił do niej pogardliwie, wycierając zakrwawiony policzek. Spojrzał z odrazą na krew, po czym ruszył za nią, zbliżając się do ściany światła, nie na tyle jednak, by jej dotknąć.

Oczy miała oszalałe ze strachu. Chciała uwięzić tajemnicę magii, a tymczasem sama była teraz uwięziona.

– Co ty zrobiłaś?!

– Obróciłem twoje zło przeciwko tobie – wyjaśnił. – Myślałaś, że przywłaszczysz sobie całą moc tej Księgi? – Kręcąc głową, sięgnął za plecy po szablę o klindze zakrzywionej jak kosa.

Seszat wewnątrz kręgu rzucała się i wyła niczym demon.

– Znasz moją broń, prawda, Seszat? To ostrze zrobione z gwiazd. Żelazo, które spadło z nieba. – Podszedł do pierwszego kamienia i uniósł szablę. – Nie ma takiej rzeczy, której nie zdołałoby rozkuć.

– Nie! – rozdarła powietrze krzykiem.

Ale nie mogła już nic zrobić. Thot opuścił wygiętą klingę, a kamień rozłupał się na dwoje i natychmiast zgasł. Równocześnie Seszat zawyla przenikliwie z głębi swego bólu i strachu.

Thot podszedł do kolejnego kamienia.

– Nie będziesz już więcej sprawiała kłopotów – oznajmił, tnąc szablą po raz drugi. – Już nie zagarniesz władzy dla siebie – dodał, niszcząc trzeci klejnot.

Siedziała teraz na ziemi, próbując się podnieść, dosięgnąć ołtarza, na którym leżała Księga. Gdy podniosła wzrok w tamtą stronę, zrobiło jej się ciemno przed oczami. Ten mrok był wszechogarniający, pożerał ją i cały świat.

Thot stanął nad czwartym kamieniem, a kiedy go zniszczył, wygięła się w pałąk i upadła na plecy. Ciemność wylewała jej się z ust, razem z jej żalonym lamentem wypełniała komnatę. Mimo to zdołała się podźwignąć i spojrzeć na Thota. Ciemność w jej oczach przypominała teraz żywą istotę.

– Nie ukryjesz się przede mną – rzekła. – Wszędzie cię znajdę. I choćbym miała rozbić świat na drobne kawałki, zapłacisz mi za to.

Gdy Thot rozłupał piąty, ostatni kamień, Seszat wydała z siebie ostatni krzyk. Ciemność wylała się z niej do końca, aż nie zostało nic. Ani ciała, ani krwi, ani kości. Tylko głuche echo jej krzyków.

UNICESTWIENIE

1904 rok – St. Louis

Harte wracał do siebie, ale wciąż miał wrażenie, że się rozpada. Prześladował go obraz kobiety rozpływającej się w nicości, nadal czuł jej przerażenie i gorycz porażki. Gorycz bycia unicestwianą. W przebłysku zrozumienia poczuł jej furję i tęsknotę. Całą wieczność spędziła uwięziona w Księdze, czekając i snując plany, coraz bardziej wściekła.

Moc, którą w sobie nosił, miała imię.

Seszat. Demon gotów zniszczyć świat w imię zemsty.

Kiedyś była żywym człowiekiem, stąpała po tej ziemi, próbowała zagarnąć magię dla siebie, ukryć ją przed światem. Została powstrzymana. Unicestwiona. Tyle że... nie całkiem. Przetrwała w słowach zapisanych własną krwią. Ta jej częśćka, jedyna, która ocalała po tym, jak reszta uległa zniszczeniu wraz z kamieniami, czekała na kartach Księgi, słaba, okaleczona i wściekła, bardzo wściekła. A teraz była gotowa, by się odrodzić. I zniszczyć świat w imię zemsty.

Harte trząsł się z tkwiącego gdzieś głęboko bólu, z gniewu kipiącego w jego wnętrzu. Choć wizja minęła, cienie innego czasu wciąż kładły się na otaczającym go świecie. Dopiero gdy poczuł plaśnięcie w policzek, mrok zaczął się rozplwać, aż pozostała jedynie rzeczywistość.

– Harte, co ty odstawiasz? – W głosie Esty słyhać było złość, ale Harte'owi wydało się, że w jej oczach koloru whisky dostrzega coś jeszcze. Strach.

Nie chciał, żeby się bała. Niewiele myśląc, podniósł głowę i przylgnął wargami do jej ust. Nie odwzajemniła pocałunku, tylko cofnęła się

z wyrazem absolutnego przerażenia, tak gwałtownie, że ziemia się zakołysała.

Nie ziemia...

Wciąż byli w łodzi, na sztucznym Nilu pośrodku sztucznego Kairu, z którego mieli wykraść naszyjnik. Za ich plecami wiosłarz wydał odgłos zaskoczenia połączonego z dezaprobatą.

W dodatku Esta jest przebrana za chłopaka, mignęło Harte'owi w głowie.

– Idziemy. Prędko – szepnęła przez zaciśnięte zęby. – Zanim kogoś zawoła.

Harte nie był pewien, czy zdoła ustać o własnych siłach, ale nie miał wyboru. Zmusił nogi do posłuszeństwa i zszedł na pomost, wspierając się rękami o barierkę. Głowa go ćmiła, wzrok miał wciąż nieostry.

– Musimy się wycofać – powiedział do Esty w strumieniu turystów idących do wyjścia. Kolana mu drżały, kiedy szli srebrzystą ścieżką w stronę komnaty z naszyjnikiem.

– Za późno. Jesteśmy za blisko – szepnęła. – Co z tobą?

– Nie co, tylko kto – odparł cicho, przypominając sobie tamtą spiekotę i ból, wrażenie rozpadania się na kawałki. I zdradę. Ten ból wciąż mu towarzyszył, tak prawdziwy, że Harte słał się na nogach.

Rzuciła mu poirytowane spojrzenie.

– Będziesz musiał mi wytłumaczyć, co to miało być. To znaczy, o ile wydostaniemy się stąd w jednym kawałku. A na razie weź się w garść, dobrze? Masz paczuszkę?

Poklepał się po marynarce i wyczuł pod ręką ostatnią paczkę z proszkiem dymnym.

– Tak...

Byli już prawie na końcu srebrnej ścieżki, blisko wejścia do większej komnaty. Pozostało odpalić ostatnią paczkę, przepłoszyć turystów dymem, a następnie pod jego osłoną uciec z naszyjnikiem. Plan mało finezyjny, ale wykonalny.

Coś jednak było nie tak. O ile w poprzednich dniach wokół naszyjnika tłoczyło się mnóstwo zwiedzających, teraz sala była prawie pusta, nie licząc garstki osób, które tak jak oni dopiero co zakończyły rejs Nilem. Gablota pośrodku stała niezastłonięta.

– Nie... – powiedziała Esta, ruszając w jej stronę. – To niemożliwe.

Uwięziona w nim moc szarpnęła się i przez chwilę Harte miał wrażenie, że cały świat wiruje, oddalając się od Esty, a on razem z nim.

Naszyjnik zniknął.

– Niemożliwe... – zaczął, lecz urwał, spostrzegłszy na drugim końcu sali dwóch członków Straży Jeffersonskiej, którzy im się przypatrywali. Reszta zwiedzających, widząc, że nie ma czego oglądać, szła dalej, tylko Esta i Harte się zawahali, co nie uszło uwagi strażników, którzy teraz wymienili spojrzenia, po czym jeden z nich dotknął złotego medalika w klapie marynarki.

– To pułapka – szepnął Harte.

Już sam ton jego głosu wystarczył Estce za przestrożę. W jej szeroko otwartych oczach błysnęło zrozumienie.

– Prędko – dodał.

Pobiegli do wyjścia, lecz strażnicy już ruszyli w ich kierunku. Przed nimi jaśniał otwór drzwi wyjściowych na Promenadę, ale w połowie drogi Harte usłyszał zgrzyt zamykanej kraty. Byli blisko, jednak w mig pojął, że nie zdążą. Żelazne pręty opadały szybko i Harte poczuł złowieszczy powiew spaczzonej magii, niepokojąco podobnej do energii Krawędzi.

Siła w jego wnętrzu zawrzała, gdy dotarło do niej, co się dzieje, a Harte aż się zatoczył pod ciężarem jej gniewu. Esta zdążyła go jednak przytrzymać przed upadkiem. W komnacie nagle zaległa cisza. Krata zawisła nieruchomo. Harte spojrzał na Estę, dostrzegł skupienie na jej twarzy. W powietrzu dookoła kłębił się kurz, promienie słońca wpadające od strony Promenady wzywały ich do ucieczki. Uwięziona w nim moc – Szeszat – zaryczała triumfalnie i znów próbowała wydostać się na

powierzchnię, forsując i tak już osłabione bariery, którymi odgradzał ją od świata.

W jednej chwili zobaczył to, co ona widziała, i zrozumiał to, co ona rozumiała: straszliwą moc, bijące serce magii, groźbę świata pogrążonego w chaosie.

Magia istniała w przestrzeniach między wszystkimi rzeczami, ale gdyby stamtąd uciekła, mogłaby zniszczyć połączenia zespalające świat. Harte pojął to właśnie teraz, dosłownie ujrzał czarną pustkę tych przestrzeni – tę samą, którą widział w oczach kobiety, gdy magia ją pochłonęła... Tę samą, która sączyła się z oczu Esty jak w złowieszczym koszmarze. Rozciągała się i rosła, rozrywając fragmenty świata. To było coś więcej niż zniszczenie. To była nicość.

Zrozumiał to z wielką jasnością i ostrością. Jeśli Seszat zapanuje nad Estą, jeśli wykorzysta jej dar, będzie mogła zniszczyć świat. Harte miał to przed oczami – widział, jak świat rozpływa się w nicość – ale ten wyrazisty obraz nie trwał długo. Ledwie wybiegli na zewnątrz, Esta puściła jego dłoń i świat znów pognął naprzód.

Słońce oślepiało blaskiem, a na Promenadzie, zgodnie z przewidywaniami, panowało wielkie zamieszanie, lecz strażnicy z pawilonu deptali im po piętach. Jeszcze zanim wybiegli tamci dwaj z komnaty, pojawili się inni, brnący przez tłum w stronę Kairu. Harte'owi wciąż pękała głowa, nogi mogły mu w każdej chwili odmówić posłuszeństwa, lecz nie bacząc na to, jak to będzie wyglądało, chwycił Estę za rękę i pociągnął ją naprzód.

Moc w jego wnętrzu rzuciła się w jej stronę, ale Harte nawet nie próbował jej tłamsić. Całą swoją energię wkładał w przedzieranie się z Estą przez rozgorączkowany tłum i ucieczkę przed Strażą. Tak jak to było zaplanowane, znalazł przejście wiodące z powrotem do pozostałej części wystawy. Wydostawszy się z chaosu Promenady, od razu puścili się biegiem przed siebie.

ODKRYTY

1902 rok – Nowy Jork

Jianyuu wycofał się w sam róg pokoju i stamtąd patrzył, jak nieznajomy wchodzi do mieszkania. Był to młody mężczyzna – właściwie chłopak, mimo wysokiego wzrostu – o blond włosach i zatroskanej minie. Zamknąwszy za sobą cicho drzwi, wszedł do środka i Jianyuu poczuł, jak pokój wypełnia się magią. Muskały go ciepłe nitki, a nieznajomy odwrócił się i utkwiał wzrok w kącie.

Jianyuu wstrzymał oddech. Widząc, że chłopak robi krok w jego stronę, był pewien, że kryjówka została odkryta. Nieznajomy mrużył oczy, jakby usiłował wyłowić jego sylwetkę z cienia. Zrobił kolejny krok do przodu i uniósł rękę.

Potem jednak nagle zawrócił w głąb ciemnego pokoju. Stał nieruchomo i jakby czegoś nasłuchiwał. Wreszcie podszedł do okna i przy nim uklęknął.

Jianyuu rozważył swoje możliwości: mógł wyjść, ale wtedy otworzy drzwi i blondyn dowie się, że nie jest tu sam. Pozostanie w środku było jednak równie ryzykowne: chłopak niewątpliwie był Maginem. Im dłużej Jianyuu korzystał ze swojego daru, tym bardziej się narażał na wykrycie.

Decyzję ułatwił mu sam chłopak, zaczynając mocować się z parapetem. Obluzowawszy drewniany element, wysunął go spod okna i odłożył na bok.

Na dworze znów rozległo się pohukiwanie sowy.

Za późno, pomyślał Jianyuu.

Chłopak tymczasem wyciągał coś spod ramy okiennej – jakieś małe zawiniątko. Jianyuu nawet bez patrzenia wiedział, że w środku znajduje się

pierścienia. Czuł to, energia artefaktu rozchodziła się w powietrzu, zarazem chłodna i gorąca. Dziwna, lecz nieodparta.

Logan. To musiał być on. Miał jasne włosy i wiedział, gdzie szukać pierścienia. Dlaczego właśnie tutaj? Na to pytanie trzeba będzie znaleźć odpowiedź, na razie jednak Jianyu odłoży je na bok, skupiając się na okazji, jaką stwarzało mu pojawienie się chłopaka. To było coś więcej niż druga szansa – pierścień i chłopak w jednym miejscu. Blondynek znalazł pierścień, a teraz Jianyu mu go zabierze. I jeszcze dopilnuje, żeby Logan nie sprawiał więcej kłopotów.

Zbliżył się powoli, patrząc, jak chłopak wstawia parapet na swoje miejsce. Stąpał ostrożnie, bezszelestnie. Jeszcze parę kroków i pierścień będzie jego.

I wtedy usłyszał, jak otwierają się drzwi wejściowe. Pod sufitem zamigotała goła żarówka. Jianyu odwrócił się i ujrzał w progu Evelyn z ustami czerwonymi jak włosy i oczami przepełnionymi furją.

– Co my tu mamy? – odezwała się z uśmiechem ostrym niczym brzytwa.

Jianyu usunął się na bok. Evelyn niespiesznym krokiem podeszła do Logana, który teraz, w blasku żarówki, wydawał się jeszcze młodszy i bardziej nieopierzony niż po ciemku. Na jej widok oczy mu się rozszerzyły. Znalazioną przed momentem paczuszkę schował odruchowo za plecy.

– No co tam trzymasz, przystojniaczku?

Jianyu poczuł, że energia Evelyn zalewa pokój. Była to łagodna, nęcąca magia, której aż chciało się ulec. Logan najwyraźniej poczuł to samo, bo wzrok mu się zaszklili. Wyciągnął paczkę zza pleców i pokazał ją Evelyn.

– Tak lepiej – rzekła kobieta. Odebrała od niego zawiniątko i je otworzyła. Gdy chwilę później wsunęła pierścień na palec, Jianyu poczuł, że jej dar się wzmacnia. Pogłaskała chłopaka po twarzy, zanurzyła palce w jego jasnych włosach. Logan Ignął do jej ręki jak pomrukujący kot, lecz gdy tylko zamknął błogo powieki, Evelyn chwyciła go za kosmyk i bez ostrzeżenia rzuciła na kolana. Mimo to dalej patrzył uległym, niewidzącym wzrokiem w jakiś punkt.

– Wyłaź – odezwała się nagle. Oczy błyszczały jej groźnie, zęby wyzierały zza krwistoczerwonych warg. – Wiem, że nie jest sam. Czuję cię.

Jianyu zeszywniał. Owiany ciepłą falą jej mocy, łaskotany pod brodą nitkami jej energii, co miało w sobie coś z pieszczoty, zerknął w stronę otwartych drzwi. Z trudem opierał się jej czarom.

Mógłby uciec, ale wtedy pierścień zostałby w jej rękach – i Logan również. Jianyu wiedział, że nie może na to pozwolić.

– Ułatwię ci decyzję – rzekła Evelyn do pozornie pustego pokoju. Sądząc po tym, jak wodziła wzrokiem naokoło, jeszcze go nie znalazła. – Pokaż mi się, a wypuszczę tego nieboraka. A jeśli chcesz wyjść, to śmiało, droga wolna. Nigdy nie dostaniesz pierścienia, a tego tu przystojnisia zatrzymam jako zabawkę. – Wolną ręką najpierw pogłaskała chłopaka po twarzy, a potem wymierzyła mu siarczasty policzek.

Magia Evelyn wypełniała pokój i drażniła się z wolą Jianyu. Mógł zostać. Mógł się oddać w jej ręce i...

Nie. Jianyu owinął się szczelniej własną magią. Może jeszcze zdoła przechwycić pierścień, jeśli się pospieszy. Chłopaka już nie uratuje. Za dużo magii unosiło się w powietrzu.

Zrobił krok w ich stronę, sam nie wiedząc, czy idzie po pierścień, czy na wezwanie Evelyn. W każdym razie nie mógł się powstrzymać.

– No właśnie – zamruczała. – Po co się opierać?

TYLKO PUSTKA

1904 rok – St. Louis

Biegnać z ogniem w płucach, z sercem walącym jak młot, Esta czuła, że ciepło Księgi rozlewa jej się po skórze dłoni, za którą trzyma ją Harte. Jakby to coś ją sprawdzało, pełzło niczym wąż obok jej własnej mocy, szukając słabych punktów, jakiegoś wyłomu, przez który mogłoby się dostać do środka. To było dużo gorsze niż wtedy na dworcu w New Jersey. Silniejsze. Niebezpieczniejsze – i zarazem kuszące jak nigdy przedtem.

Lecz bardziej niż ta pokusa zaprzętało ją teraz miażdżące rozczarowanie, jakim było zniknięcie Gwiazdy Dżina z gabloty. Naszyjnik zdjęto z wystawy. Zastawiono na nich pułapkę. A to oznaczało, że ktoś wiedział. Jeśli teraz dadzą się złapać Straży, pewnie już nie będzie im dana kolejna szansa.

Esta nie zamierzała do tego dopuścić.

Minęli w biegu Pałac Transportu i kierowali się teraz w głąb wystawy. Ścieżki były tu węższe, a zieleń i architektura dawały lepszą osłonę. Obiegli gromadkę rodzin oglądających teatr lalek i przemknęli wśród garstki młodych mężczyzn podziwiających widoki. Straż wciąż jednak deptała im po piętach, a gdy Esta usłyszała tętent kopyt, zdała sobie sprawę, że wyścigu z koniem nie wygrają.

Harte zerknął przez ramię.

– Musimy się jakoś wydostać! – zawołał. – Ty musisz nas wydostać. Potrzebujemy czasu.

Miał rację, lecz Esta nie doszła jeszcze całkiem do siebie po tym, jak parę minut wcześniej uratowała ich z komnaty. Kiedy rozsunęła sekundy,

aby zatrzymać opadającą kratę, osaczył ją mrok, jakiego się nie spodziewała.

– Zapanuję nad tym – dodał Harte, jakby rozumiejąc powód jej wahania. – Musisz...

Jeźdźcy ich doganiali. Czuła pod stopami każde uderzenie końskiego kopyta, jakby gdzieś w głębinach ziemi biło wielkie serce. Skręciwszy za róg, minęli zegar z kwiatów wielkości wozu. Zmierzali ku mniejszemu jezioru, lecz konie skracały dystans. Kopyta grzmiały jak burza. Esta mogłaby przysiąc, że czuje pot wierzchowców i wściekłych jeźdźców.

– Szybko, Esta! Teraz!

Nie zwalniając kroku, zacisnęła zęby, znalazła szczeliny między sekundami i poszerzyła je swoją magią. Zgiełk wystawy ucichł, ptaki na drzewach zamilkły, wszyscy dookoła znieruchomieli, a Esta i Harte biegli dalej. Obejrzała się za siebie: konie zastygły malowniczo, podobne do posągów, jakich pełno było na wystawie. Pyski miały otwarte, brutalnie rozciągnięte wędzidłami, a grzywy przypominały palce chwytające powietrze. Nad tym całym obrazem sączyła się ciemność, niczym smuga czarnego atramentu rozlanego na kartach rzeczywistości. Podążała za nimi.

Podążała za nią.

Moc pełzająca jej po skórze zrobiła się gorąca jak rozpalone żelazo. Mrok urósł gwałtownie, zamazując wszystko. Przez chwilę była tylko ciemność, tylko pustka. Widząc ją – i czując – Esta wyrwała się Harte'owi. Świat bez ostrzeżenia ruszył z kopyta i mrok, który jeszcze przed sekundą groził unicestwieniem wszystkiego, zniknął jak mgła rozproszona przez słońce.

– Esta? – Harte znów wyciągał do niej rękę, ale oczy miał utkwione gdzieś za jej plecami, a jego wystraszona mina przepełniła ją niepokojem.

Odwracając się, spodziewała się ujrzeć Straż, tymczasem zobaczyła coś niewiarygodnego: głęboką czeluść w kształcie leja, tak jakby ziemia się rozstąpiła. Ta czeluść rozerwała ścieżkę, którą biegli. Konie zatrzymały się tuż przed ziejącą dziurą, zrzucając jeźdźców.

Esta wydała stłumiony odgłos. Jej nogi zaczęły zwalniać, lecz Harte ponownie chwycił ją za rękę i pociągnął do przodu. Biegła na oślep, aż uświadomiła sobie, że stanęli, ponieważ dotarli do ogrodzenia wystawy, w miejsce, gdzie wcześniej otworzyła wytrychem kłódkę od furtki. Głowę miała pełną domysłów na temat tego, co się przed chwilą stało. Bez wątplenia miało to związek z Księżą. Gdy Harte jej dotknął, poczuła to bezsprzecznie, tak jak ciepło jego skóry. Ale co ta moc jej robiła? Jak wpływała na jej dar? Najpierw pociąg, potem winda w hotelu, a teraz ten ogromny lej, który niechcący zrobiła – zrobili – na terenie wystawy... Jej dar dotyczył czasu, nie materii, dlaczego więc Księża wywierała taki skutek?

Oszołomiona obrotem wydarzeń Esta dopiero za furtką spostrzegła czekających po drugiej stronie ludzi. Zaraz potem dołączył do niej Harte, który na ich widok spojrział na Estę i znów, takie miała wrażenie, oczy rozbłysły mu kolorami.

Kowboj, na którego natknęła się wcześniej, wyszedł z cienia wozu i podszedł, odchylając szerokie rondo kapelusza. W rękę trzymał rewolwer, a dźwięk odciąganego kurka rozległ się czysto jak dzwonek, nawet wśród szumu dobiegającego z wystawy.

Esta i Harte jednocześnie unieśli ręce na znak, że się poddają. Gdyby była sama, mogłaby wstrzymać bieg czasu i uciec, lecz obecność Harte'a i liczba przeciwników mocno komplikowały sytuację.

– Nareszcie się spotykamy – oznajmił kowboj z uśmiechem zadowolenia. – Diabła Ręka we własnej osobie.

On wie, pomyślała.

– Kim jesteście? – rzuciła, zadzierając podbródek, jakby to ona osaczyła ich, a nie na odwrót.

– Możesz nas traktować jak odsiecz – zaproponował kowboj, dotykając brzegu kapelusza. – Chyba że wolisz powierzyć swój los Straży.

Esta spojrzała pytająco na Harte'a, który tylko zaprzeczył lekkim ruchem głowy.

– Czego od nas chcecie? – zapytał.

– Ja osobiście niczego – odparł kowboj. – Ale jest ktoś, kto chciałby was poznać, a moim zadaniem jest doprowadzić do tego spotkania. Możecie pójść po dobroci albo możemy was zmusić. Tak czy owak, spotkanie dojdzie do skutku. To jak?

– Nie dajesz nam zbyt dużego wyboru – zauważył Harte.

– Wybór jest zawsze – stwierdził przeciągle kowboj. – Zawsze można wybrać, czyją się bierze stronę. My w tej chwili bierzemy waszą. – Wzruszył ramionami. – A przecież nie musimy. Jeżeli dacie nam powód, możemy się rozmyślić.

Esta spojrzała na Harte'a. Twarz miał kamienną, lecz po tym, co się zdarzyło na Nilu, nadal był niezdrowo blady. Zza ogrodzenia dochodził coraz większy hałas. Musieli stąd uciekać. I to czym prędzej.

Przenosząc wzrok z powrotem na kowboja, Esta wyprostowała plecy i przekrzywiła głowę.

– Chętnie pozwolimy się podwieźć – oznajmiła spokojnie.

– Tak myślałem. – Kowboj się uśmiechnął, opuścił broń i otworzył drzwi z tyłu wozu. Gdy Esta podeszła do schodków, wyciągnął w jej stronę worek z grubego płótna. – Musimy zachować ostrożność. Na pewno rozumiecie.

– Myślałem, że jesteście po naszej stronie – wytknął mu Harte. – Nie macie się czego bać.

– Z całym szacunkiem, nie wiem, czy mogę się zgodzić. Ta wasza bomba dymna wypaliła mi dziurę w kieszeni – odparł kowboj. – Skoro nie macie złych zamiarów, to powinno być wam wszystko jedno.

Szkoda było czasu na dyskusję. Nie czekając na odpowiedź Harte'a, Esta wzięła worek i rzuciwszy Darriganowi spojrzenie pełne determinacji, naciągnęła go sobie na głowę. Chwilę później ktoś spętał jej ręce, a potem jakieś silne ramiona uniosły ją i wepchnęły do wnętrza wozu. Niedługo później usłyszała, jak obok niej z cichym stęknieniem ląduje Harte. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Wóz szarpnął i ruszyli.

– Wszystko w porządku? – spytał Harte przytłumionym głosem zza grubego płótna.

Słyszała, że się szamoce, pewnie już starał się poluzować więzy, jakby to była jedna z jego magicznych sztuczek.

– Chyba tak – odpowiedziała. Czuła ulgę na myśl, że Harte poszedł za jej przykładem i poddał się bez walki.

– Zaraz się wyswobodzę – oznajmił, gdy zarzuciło ich na zakręcie. – Nie wiem, co ty sobie myślałaś.

– Myślałam, że trzeba wiać, a oni chcą nam w tym pomóc. To Antistasi – dodała, jakby to nie było oczywiste.

– Najwyraźniej. A oni wiedzą, kim ty jesteś – rzekł Harte tonem ponurej satysfakcji.

– Tak. I pomyślałam, że możemy to wykorzystać.

– Na razie to głównie oni wykorzystują ciebie – wymamrotał.

Słyszała, jak nadal mocije się z więzami.

– Już prawie...

Nagle gdzieś w pobliżu rozległ się huk i syk.

– Co to było? – spytał Harte, a Esta w tej samej chwili poczuła słodki, lekko stęchły zapach.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wszystko pociemniało.

CZŁOWIEK PREZYDENTA

1904 rok – St. Louis

Jack przełknął kęs wygotowanego kurczaka i upił trochę wodnistego koktajlu, udając zainteresowanie planowanym na koniec miesiąca balem, o którym opowiadali mu ze szczegółami Francis i Spenser. Miało to być pierwsze zebranie bractw od czasu konklawe w 1902 roku, czyli wydarzenia, które ugruntowało pozycję Zakonu wśród bratnich organizacji, a przede wszystkim umocniło wpływy samego Jacka. Najchętniej wyszedłby, nie czekając na kolejne danie, ale nie siedział tam dla własnej przyjemności. Reprezentował Roosevelta i dlatego poprosił o jeszcze jedną szklaneczkę szkockiej, udając, że plany komitetu związane z wizytą prezydenta żywo go interesują.

Francis i Spenser mówili jeden przez drugiego, starając się mu zaimponować. Nadaremno, bo ich garnitury zdążyły już wyjść z mody na Manhattanie, podobnie zresztą jak zamówione przez nich potrawy. Ale Jack świetnie to rozumiał. Ludzie z Towarzystwa Zawołanego Proroka, wśród nich ci dwaj, wierzyli, że ta głupia parada i zbliżający się bal odmienią przyszłość ich miasta. Wydawało im się, że jeśli wejdą Rooseveltowi w tyłek, zyskają jego przychylność i będą się cieszyć taką samą władzą, jaka była udziałem Zakonu.

Najwyraźniej nie rozumieli, że Roosevelt był w pierwszej kolejności nowojorczykiem, a ludzie z St. Louis zawsze będą jedynie kupcami w eleganckich butach. Nie byli świadomi przyszłości, która nadciągała z prędkością lokomotywy parowej. W najbliższych latach utarczki między regionami zejdą na dalszy plan, liczyć się będzie kraj jako całość, a Jack

zbuduje sobie pozycję, która pozwoli mu z czasem wyjednać dowolną przysługę.

Dopijał właśnie drinka, gdy drzwi do prywatnej sali jadalnej się otworzyły i stanęła w nich postać o twarzy przesłoniętej białą koronką. Jack na ten widok prawie opluł się whisky, lecz reszta osób przy stole ucichła i wstała z szacunkiem, powstrzymał więc śmiech i wziął z nich przykład.

Zawołowanej postaci – to musiał być ten ich cały Prorok – towarzyszył ciemnowłosy mężczyzna o nietęgłej minie, jakby obecność w tym miejscu sprawiała mu tyle przyjemności co Jackowi. Za nimi stało dwóch ludzi w mundurach Straży. Jednym z nich był Hendricks.

– Dobry wieczór panom – rzekł Prorok, nakazując im gestem, by zajęli miejsca. – Chciałbym wam przedstawić pana Julienu Eltinge’a. Niektórzy z was może kojarzą, że pan Eltinge od paru miesięcy występuje na deskach teatru Hipodrom. Zgodził się wspaniałomyślnie pomóc nam w przygotowaniach do parady. Będzie miał na sobie naszyjnik do czasu przybycia na bal.

Jack zaciekawiony odstawił szklankę. Od jakiegoś czasu zastanawiał się, jak najłatwiej przechwycić naszyjnik, a teraz nadarzała się po temu nowa sposobność. Ludzie z Towarzystwa mogli sobie mówić o Julienie Eltinge’u, co chcieli, ale na jego oko człowiek ten wyglądał dość niepozornie. W rzeczy samej wydawał się mocno zakłopotany całą sytuacją. I bardzo dobrze. Ten jego dyskomfort można będzie z pewnością wykorzystać.

POWRÓT

1902 rok – Nowy Jork

Cela po raz kolejny zawołała ze swojej kryjówki w uliczce naprzeciwko budynku Evelyn. Huczała jak oszalała sowa, by ostrzec Jianyu przed podejrzanym chłopakiem, który niedawno wszedł do środka. Odpowiedzią była jednak cisza. Ani śladu Jianyu.

Może chłopak po prostu wrócił do domu. Może wcale nie był groźny. Jednak Cela nie urodziła się wczoraj, a intuicja w takich sytuacjach rzadko ją zawodziła. Chłopak przyszedł z grupką typków, którzy nie pasowali do tej dzielnicy: maszerując zadzierzyście w krzykliwych ubraniach, wyglądali raczej na mieszkańców Bowery.

Cela odczekała jeszcze chwilę, po czym zdecydowała. Nie chciała wracać do mieszkania wujostwa, do tych ciasnych pokoi i do rodziny, która patrzyła na nią tak, jakby to ona ponosiła winę za śmierć Abla. Na samo wspomnienie porozumiewawczych spojrzeń, jakie między sobą wymieniali, kiedy myśleli, że nie widzi, poczuła ścisnięcie w piersi. Choć to i tak było nic w porównaniu z cierniami żalu oplatającymi jej serce. Jeśli ten chłopak istotnie był groźny, to Jianyu jest w niebezpieczeństwie. Nie mogła pozwolić, by ludzie, którzy zabili Abla, odnieśli kolejne zwycięstwo.

Nabrała powietrza i stanowczym krokiem wyszła z kryjówki. Nie zdążyła jeszcze nawet wejść w krąg światła latarni, gdy ktoś ją złapał od tyłu i wciągnął z powrotem w głęboki cień.

Próbowała krzyczeć, ale usta zakryła jej szeroka dłoń, równie stanowcza jak ta, która chwyciła ją w tali.

– Cśś – usłyszała szept koło ucha. – To ja.

Gdyby nie siła ramion, które ją podtrzymywały, Cela z wrażenia osunęłaby się na ziemię. Na dźwięk tego głosu nogi się pod nią ugięły.

To niemożliwe, przemknęło jej przez myśl.

– Puszczam cię, ale bądź cicho, dobrze?

Ze łzami w oczach przytaknęła. Gdy dłonie się cofnęły, obróciła głowę i ujrzała swojego brata. Abel stał za nią, cały i zdrowy, i bynajmniej nie wyglądał jak duch. Pierwszy raz od wielu dni Cela naprawdę odetchnęła.

Natychmiast zawiesiła mu się na szyi, wybuchając szlochom, którego nie dało się stłumić.

– Cśś – szepnął znowu, poklepując ją silnymi dłońmi. – Mówiłem, żebyś była cicho.

Odsunęła się i przyjrzała mu ponownie, jakby chciała się upewnić, czy umysł nie spletał jej ponurego figla. Ujęła twarz brata w dłonie.

– Abe. Przecież ty nie żyjesz.

– A wyglądam na martwego? – Spojrzał na nią z wyrazem niedowierzania, który widywała setki razy, gdy przed laty, będąc małą dziewczynką, łąziła po ulicach za nim i jego kolegami, nie dając się spławić.

– Ale jak to możliwe? – Ze szczęścia kręciło jej się w głowie, a pnącze oplatające jej serce wypuściło kwiaty zamiast cierni. – Nie zastrzelili cię?

Abe uniósł brew.

– Nikt mnie nie zastrzelił, Króliczku.

Na dźwięk tego durnego przezwiska omal nie pękło jej serce.

– Ale słyszałam... – mówiła łamiącym się głosem. – Był wystrzał, a potem upadłeś na podłogę.

– Bardzo się starali, ale to nie ja wtedy zginąłem – odparł, pochmurniejac.

Abe żyje. To oznaczało... że był żywy przez cały ostatni tydzień.

– To gdzie się podziewałeś? – spytała nagle. Spędziła u wujostwa prawie tydzień, a on nie przyszedł po nią. Zostawił ją z najczarniejszymi

domysłami. Porzucił. Uderzyła go dłonią w pierś. – Myślałam, że nie żyjesz. Co wieczór wypłakiwałam sobie oczy. – Znów go uderzyła. – Potem rano budziłam się i przez chwilę nie pamiętałam, i przypomiinałam sobie wszystko od nowa – dodała drżącym głosem. Uniosła rękę, by znowu go uderzyć, bo wciąż było jej mało.

Chwycił ją łagodnie za nadgarstek.

– Przepraszam, ale nie mogłem przyjść. Nie chciałem zaprowadzić ludzi, którzy mnie ścigali, do domu Desmonda. Czekałem, aż się oddalisz, żeby móc z tobą porozmawiać.

– Ciebie ścigali? – spytała z wahaniem. – Chyba mnie. Z powodu matki Darrigana.

I pierścienia, pomyślała.

Abe pokręcił głową.

– To byli ludzie z kolei.

– Z kolei? Czego od ciebie chcieli?

– Chcieli mnie nastraszyć. Ja i paru znajomych rozmawialiśmy z Rycerzami Pracy o założeniu związku zawodowego, żeby wymusić na Pullmanie podwyżkę płac i krótsze godziny pracy. Im się to nie spodobało, więc próbowali mi to dość brutalnie wyperswadować.

– A więc to ty strzelałeś do nich? – spytała z niedowierzaniem, bo znała swojego brata i wiedziała, że nigdy rozmyślnie by nikogo nie skrzywdził.

– Zrobiło się gorąco – odparł. – Bałem się też o ciebie – dodał ponuro. – Słuchaj, mam bezpieczną kryjówkę u znajomych z „Freemana”. Wszystko będzie dobrze. Później o tym porozmawiamy.

– Abel...

– Obiecuję, że wszystko ci opowiem, ale teraz nie ma czasu.

Zaczął ją ciągnąć z powrotem w głąb uliczki.

Zatrzymała się po trzech krokach i wyszarpnęła rękę z jego uścisku.

– Ale Jianyu jeszcze stamtąd nie wyszedł.

Abel pokiwał głową.

– I właśnie dlatego musimy się pospieszyć. Żeby zdążyć, zanim wróci.
Wyciągnął rękę, lecz Cela cofnęła swoją.

– Nie rozumiesz. To mój przyjaciel i...

Na ulicy z turkotem zatrzymał się powóz. Na widok wysiadającej z niego kobiety Cela poczuła skurcz w żołądku. Zbliżyła się do wylotu zaułka, patrząc, jak Evelyn zmierza w stronę wejścia do budynku.

Nie.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Cela wyszła zza rogu i zaczęła huczeć jak sowa. Abel próbował ją odciągnąć, ale się nie dała.

– Co ty robisz?

Patrzył na nią, jakby postradała rozum.

– Jeśli ta kobieta, która właśnie weszła, go znajdzie, będzie miał kłopoty. Nie mogę go tak zostawić.

– Jego kłopoty to nie nasz problem. – Abel objął ją ramieniem.

– Ale mój tak – odparła, zarazem czerpiąc pociechę z ciepła i siły brata. Abel. Żywy. – Jianyu uratował mi życie, kiedy ty się ukrywałeś, zniknąwszy bez wieści – wyrzuciła mu zdenerwowana. Abel żyje. Nie wiedziała, w co się wplątał, ale żyje.

Milczał przez chwilę, aż w końcu ciężko westchnął.

– No to lepiej go stamtąd wyciągnijmy.

Cela pozwoliła mu iść przodem, bo szkoda jej było czasu na kolejną dyskusję. Po wejściu do budynku nie napotkali żadnych trudności. Zatrzymali się dopiero na korytarzu nieopodal otwartych drzwi do mieszkania Evelyn. Cela słyszała rozmowę, ale zbyt niewyraźnie, by cokolwiek zrozumieć. Rozpoznała głosy Evelyn i Jianyu. Sądząc po jej tonie, Evelyn nie była zadowolona.

– Wejdem pierwsza – szepnęła Cela.

– Nie... – Jej brat był nieugięty.

– Evelyn mnie zna – wyjaśniła. Wolała przemilczeć fakt, iż wredna jędra trzymała ją pod kluczem – i że ukradła jedyną cenną rzecz, jaka jej

pozostała. – Mogę odwrócić jej uwagę.

– Nie pozwolę ci...

Lecz Cela już szła przed siebie. Bez planu, nie licząc myśli, że już raz straciła brata. Przeszła przez ten koszmar, żyła przez tydzień ze straszną świadomością, że nigdy więcej go nie zobaczy, i zamierzała uczynić wszystko, żeby to piekło się nie powtórzyło. Nawet jeśli oznaczało to, że będzie musiała jako pierwsza stawić czoło tej rudej diablity.

Nie zapukała, nie obwieściła swojej obecności żadnym odgłosem – im bardziej Evelyn będzie zaskoczona, tym lepiej. Kiedy jednak weszła do mieszkania i ujrzała, co tam się dzieje, dotarło do niej, że wdepnęła głęboko. Oczy Evelyn płonęły diabelskim blaskiem, trzymała w ręku garść włosów blondyna, który klęczał przy niej, a stojący naprzeciwko Jianyu przykładał sobie nóż do własnej szyi. Ręce mu się trzęsły, a po jego twarzy było widać, jak walczy ze sobą, żeby nie wbić ostrza w miękką skórę osłaniającą gardło.

Magia, zrozumiała w jednej chwili. Evelyn była jedną z nich. Cela mieszkała w Nowym Jorku od urodzenia i zawsze sądziła, że problem starej magii w ogóle jej nie dotyczy. Wiedziała, że to niebezpieczna siła, że zwykłych ludzi trzeba przed nią chronić, i dlatego dziwnie i strasznie było uświadomić sobie, że przez cały czas się o nią ocierała. Najpierw Jianyu i Darrigan, a teraz Evelyn. Przed tą ostatnią już wcześniej miała się na baczności, ale nie sądziła, że to magia czyni ją tak groźną.

Evelyn podniosła wzrok i na widok Celi stojącej w drzwiach twarz jej pociemniała.

– Ach, Cela. Zastanawiałam się, gdzie się podziałas, a tu proszę. – Kąciki uszminkowanych ust zawinęły się do góry, odsłaniając zęby. – Co za niemila niespodzianka. Ale skoro już jesteś, wejdz, proszę.

Cela poczuła, że potulnieje, chciała wejść do środka, choć wiedziała, że to zły pomysł. Mimo woli zrobiła krok do przodu i tylko z najwyższym trudem powstrzymała się przed kolejnym.

– Właśnie zabawiałam dwóch nieproszonych gości – wyjaśniła Evelyn. – A właściwie powinnam powiedzieć: dawałam nauczkę dwóm

złodziejaszkom. Może do nas dołączysz?

– Jestem tu z powodu mojego przyjaciela. I tego, co mi ukradłaś – odparła Cela przez zaciśnięte zęby, tyle wysiłku kosztowała ją walka z dziwnym przyciąganiem. Choć wiedziała, kim jest Evelyn i do czego jest zdolna, nie mogła się oprzeć jej magnetyzmowi.

– Och, naprawdę? – Evelyn uniosła rękę. Pierścień, który Darrigan powierzył Celi, zabłysnął w świetle żarówki. – Możesz spróbować mi go zabrać – oznajmiła ze śmiechem. – Choć szczerze wątpię, by mogło się to udać komukolwiek z Osobnych.

Stopy Celi same przesunęły się ku Evelyn. Najpierw jedna, potem druga, bez względu na to, jak bardzo się opierała.

Abel, przemknęło jej przez myśl. Potrzebuję Abła.

Odpowiedział jej huk wystrzału.

Głośne echo wypełniło ciasny pokój, a Evelyn z jękiem osunęła się na podłogę, chwytając się za prawe ramię. W tej samej chwili Jianyu wypuścił z ręki nóż i opadł na kolana, ciężko dysząc, a chłopak, którego Evelyn trzymała za włosy, przewrócił się na podłogę. Sprawiał wrażenie zbyt oszołomionego, by wstać.

Abel stał w progu, w ręku trzymał rewolwer.

– Chodźmy – powiedział.

– Postrzeliłeś ją! – wyrzuciła z siebie Cela, nie mogąc otrząsnąć się z szoku.

Evelyn wiała się z bólu i trzymała za ranę.

Jej brat nie skrzywdziłby muchy. Kim więc był ten człowiek, tak do niego podobny?

Za długo patrzyła na niego oczami małej dziewczynki – nie zdawała sobie sprawy, jaki stał się silny i zdecydowany. A powinna. Po śmierci ojca Abel opiekował się nią przez dwa lata. Był jej opoką. Nie powinno jej dziwić, że miał w sobie stanowczość ojca i upór matki, tak samo jak ona.

Spojrzała znowu w głąb mieszkania. Blondyn leżał nieruchomo, a Jianyu podniósł się i podszedł do Evelyn. Złapał ją za rękę i usiłował zsunąć

pierścien, ale kobieta broniła się zaciekle mimo przestrzelonego ramienia, aż chłopak się cofnął.

– Musimy iść – powiedziała Cela.

Jianyu spojrział w jej stronę. Wzrok miał nieco zmącony, czoło zroszone potem.

– Nie możemy odejść bez pierścienia.

– To lepiej się pospiesz – wtrącił Abel. – Ktoś na pewno słyszał strzał. – Chwycił Celę za rękę, lecz te same stopy, które przed chwilą sunęły do przodu, teraz w ogóle nie chciały się ruszyć.

Evelyn podnosiła się z podłogi, oczy znów płonęły jej demonicznym blaskiem.

– Chodź po niego – zamruczała w kierunku Jianyu. – Jeśli się nie boisz...

Lecz Jianyu opuścił bezwładnie ręce i zastygł w martwym bezruchu.

– Jianyu? – zawołała Cela, ignorując brata, który ciągnął ją do wyjścia.

Evelyn, choć miała pod sobą kałużę krwi, zanosła się maniakalnym rechotem. Cela poczuła ścisnięcie w dołku i zrobiła krok do tyłu.

– Tak jest – zwróciła się do niej Evelyn. – Uciekaj. Uciekaj jak najdalej, maleńka. – Znów się roześmiała. Twarz miała bladą, głos zachrypnięty. – Chłopcy są moi.

– Nie możemy ich tu zostawić. – Cela wyrwała się Ablowi i podeszła do Jianyu, który stał z wzrokiem utkwionym w przestrzeń. – Ty weź tamtego.

Abel chrząknął niezadowolony, ale zgarnął blondyna z podłogi.

– Czy teraz już pójdziemy? – spytał. – Czy mam stąd wynieść kogoś jeszcze?

Evelyn leżała na podłodze, trzymając się za krwawiące ramię, i próbowała wstać. Choć otaczał ją jeden wielki chaos, Cela poczuła w gardle wzbierający śmiech. Abel nie zginął. Dopóki jej brat żył, nic innego się nie liczyło.

Na schodach Jianyu wrócił do siebie i szedł już o własnych siłach.

– Pierścien – odezwał się na dole i zawrócił.

– Nie! – Cela chwyciła go za rękaw.

– Nie możemy go tam zostawić – protestował, usiłując się wyrwać, ale czuła, że obchodzi się z nią delikatnie.

– Jeśli tam wrócisz, aresztują cię za próbę zabójstwa białej kobiety – stwierdził Abel.

Jianyu nie wyglądał na przekonanego.

– Możesz tam wrócić tak, żeby się nie zorientowała? – spytała Cela.

Napotkała jego oczy i zobaczyła w nich namysł. W końcu Jianyu pokręcił głową.

– Nawet jeśli mnie nie zobaczy, wyczuje moją obecność.

– W takim razie nie możesz tam wrócić – odparła. – Nie teraz.

– Ale pierścień...

– Martwy niewiele działasz – przerwała mu Cela. – Wrócimy po niego. Obiecuję.

– Nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać – włączył się Abel. – Nie możemy tu być, kiedy zjawi się policja.

Blondyn się nie ocknął, więc Abel wciąż go niósł. Wybiegli w objęcia nocy, a za nimi niosło się wycie Evelyn.

BROWAR

1904 rok – St. Louis

Esta odzyskiwała przytomność stopniowo. To było jak płynięcie w górę, ku powierzchni głębokiego i zimnego jeziora. Leżała w ciemnościach, z bolącą głową, i wdychała zapach zakurzonego worka, którego jej nie zdjęto. Nie wiedziała, gdzie jest ani jak długo była nieprzytomna. Pamiętała tylko, kto ją porwał.

Antistasi.

Aż się wzdrygnęła na wspomnienie wszystkiego, co się działo na wystawie: najpierw okazało się, że naszyjnik zniknął z gabloty, a potem, gdy jej magia weszła w kontakt z mocą Księgi, z nieba spłynął bezkresny i nieprzenikniony mrok. I jeszcze... ziemia się rozstąpiła. Ziemia się rozstąpiła.

Esta podniosła się do pozycji siedzącej, lecz tak jej się przy tym zakręciło w głowie, że omal nie przewróciła się z powrotem. Czym ją tak odurzono? Pewnie opium, sądząc po tym, jak słabo czuła swoją magię, ale nie tylko. Nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś podobnego – jakby wznosiła się w powietrzu, mimo że czuła pod sobą twardą podłogę.

Zawołała Harte'a, lecz nie doczekała się odpowiedzi.

Po chwili wydało jej się, że słyszy głosy, a kilka sekund później drzwi się otworzyły.

– Chodź – odezwał się ktoś.

Nie rozpoznała tego głosu, a więc raczej nie był to kowboj. Twarde dłonie wzięły ją za ramiona i wywlokły z miejsca, w którym leżała. Od razu dotarło do niej, że kiedy spała, zdjęto jej bransoletkę. Wpadła w popłoch,

wiedziała bowiem, co to oznacza. Nie dała jednak nic po sobie poznać. Lepiej, żeby nie wiedzieli, jaka jest dla niej ważna.

Wyprowadzono ją z powozu i usłyszała brzęczenie owadów i cichy szum drzew. Byli poza miastem. Zachwiała się na nogach, ale szybko wzięła się w garść, nie czekając, aż ktoś ją podeprze. Cokolwiek ma się wydarzyć, pójdzie o własnych siłach. Inna sprawa, że na stojąco jeszcze bardziej bolała ją głowa.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała. Język w suchych ustach wciąż poruszał się niemrawo i ociężale, ale głos zabrzmiał mocno. Tak jej się przynajmniej zdawało.

– Wkrótce się dowiesz, ale muszę cię ostrzec, tak samo jak ostrzegłem twojego przyjaciela. – Tym razem to mówił kowboj. – Jeśli któreś z was choć pomyśli o robieniu kłopotów, nikt się tu nie będzie z wami patyczkował. Nieważne, za kogo się uważacie. Jasne?

– Jasne – odparła, co nie przeszkodziło jej natychmiast zacząć obmyślać plany ucieczki na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

– To dobrze. Idziemy. Tędy...

Z głową pękającą z bólu i nogami jak z galarety brnęła po omacku przez istny tor przeszkód, jakim były kolejne schody i pochyłości. W końcu weszli do jakiegoś budynku – domyśliła się po tym, że owady ucichły. Sądząc po echu, znajdowali się w dużym pomieszczeniu, w którym słychać było głosy jeszcze dwóch albo trzech osób.

Posadzono ją na krzesło i przywiązano dodatkowym sznurem. Potem bez uprzedzenia zdjęto jej worek z głowy. Zamrugła. Światło, choć mętne, przeszło jej głowę kolejną błyskawicą bólu.

Mrużyła oczy, czekając, aż się przyzwyczają. Nie myliła się: byli w czymś na kształt dużego magazynu. Pod jedną ze ścian stał rząd olbrzymich srebrnych zbiorników. Na drugim końcu – szereg długich stołów, a na nich drewniane skrzynie pełne szklanych butelek. I dużo stołków, na których nikt nie siedział. To jakaś fabryka, pomyślała. Ludzie stali w gromadzie na otwartej przestrzeni między zbiornikami a stołami.

Oprócz kowboja byli tam jeszcze mężczyźni i kobiety w różnym wieku. Wyglądali, jakby na coś czekali.

Naprzeciwko Esty dwóch mężczyzn w roboczych kombinezonach pilnowało krzesła, na którym siedziała ostatnia osoba – Harte. Choć jemu nie zdjęto worka, Esta czuła, że Harte wie, że ma ją przed sobą – zwrócił głowę w jej stronę, a całe jego ciało nagle się ożywiło, napierając na sznur, którym przywiązano go do krzesła.

– To ty, brachu? – odezwał się. – Nie zrobili ci krzywdy?

– Nic mi nie jest – odparła cicho. – A tobie?

– Też nie, choć wolałbym coś wiedzieć – rzekł Harte i pokręcił głową, jakby chciał strząsnąć worek.

– Już niedługo – wtrącił kowboj. – Jak tylko Ruth zdecyduje o waszym losie.

Spojrzał ponuro na Estę, ale nie zdążył już nic dodać, bo gdzieś w głębi fabryki otworzyły się drzwi. Wszyscy zwrócili się w stronę nadchodzących kroków. Było jasne, że oczekują na kogoś ważnego.

Po chwili na kładce w górze zjawiała się kobieta. Przez moment przyglądała się zgromadzonym ludziom, a potem zeszła po schodach. Wyglądała na czterdzieści parę lat, lecz włosy miała już przetkane siwizną. Wyraz jej twarzy wskazywał, że to ona tutaj rozkazuje.

Kobieta – niewątpliwie Ruth, o której wspominał kowboj – skinęła milcząco, a wtedy jeden z mężczyzn pilnujących Harte'a zdjął mu worek. Harte zgubił kapelusz, rozczochrane ciemne włosy sterczały na wszystkie strony. Spojrzał na Estę, a ona, widząc jego wielkie, dziko patrzące oczy, zmrużyła swoje ostrzegawczo. Lepiej niech uważa, bo się czegoś domyśla.

Przestań, próbowała mu powiedzieć bez słów. Nie była jednak pewna, czy zrozumiał. Naprężone ścięgna na jego szyi nie rozluźniły się ani trochę.

Ruth od razu przeszła do rzeczy.

– Gdzie on jest? – zwróciła się do Esty tonem żelaznej determinacji.

Esta zamrugła.

– Gdzie co jest?

– Naszyjnik.

Ruth z wolna podeszła do jej krzesła.

– Nie mam żadnego naszyjnika – odparła Esta, choć doskonale wiedziała, o jaki przedmiot pyta Ruth. Skoro o nim wiedzieli, być może wiedzieli również, czym jest jej bransoleta.

Ruth wywinęła wargi z niedowierzaniem.

– W Kairze mogła was interesować tylko jedna rzecz, ta sama, która interesuje nas. Wiemy, że chcieliście ukraść naszyjnik i że właśnie po to wybraliście się dzisiaj na wystawę. Nie przerywałam tej farsy, bo była mi ona na rękę, ale moja cierpliwość się wyczerpała. – Kobieta pochyliła się nad nią i Esta widziała teraz drobne zmarszczki, które zaczynały żłobić jej twarz. – Pytam po raz ostatni: co zrobiliście z naszyjnikiem?

– Nie mogliśmy ukraść czegoś, czego tam nie było – oświadczyła Esta. – Zastawiono na nas pułapkę. Gablota w komnacie była pusta. Straż tylko czekała, aż się zjawimy.

Ruth się zachmurzyła.

– Jesteście pewni?

Gdy Esta skinęła głową, Ruth zwróciła się do kowboja, który tylko wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Wiedziałam, że to nie wypali – rzekła. – Trzeba było ich powstrzymać przed kilkoma dniami i samemu wykraść naszyjnik.

– Przed kilkoma dniami? – podchwyciła Esta.

– Krótkie włosy i garnitur mogą zmylić Straż, ale ja nie jestem taka naiwna, Esto Filosik. Diabla Ręko. Obserwowaliśmy cię, odkąd mój człowiek wypatrzył cię przed teatrem.

Esta nie dała po sobie poznać, jaki niepokój wzbudziły w niej słowa kobiety. Mniejsza nawet o to, że Harte miał rację, wątpiąc w jej przebranie; najgorsze, że śledzono ich przez kilka dni, a ona niczego nie podejrzewała. Albo wyszła z wprawy, albo nie doceniła tych Antistasi.

– Skoro wiedzieliście, kim jestem, nie rozumiem, dlaczego marnowaliście czas na chodzenie za mną – oświadczyła tonem wyniosłej

obojętności. – Powinniście przecież zakładać, że jestem po waszej stronie.

– Czy na pewno?

– Oczywiście – potwierdziła Esta, nie okazując na zewnątrz ani cienia zdenerwowania. Z nie takich kłopotów już wychodziła za pomocą blefu. Skoro uważali ją za Diabłą Rękę, zamierzała to maksymalnie wykorzystać. – Czy nie dlatego tak swobodnie przywołujecie moje imię?

Kobieta rozdęła gniewnie nozdrza, lecz nie zaprzeczyła.

– Tak, wiem o wszystkim – ciągnęła Esta, przechodząc do ofensywy. – Widziałam wasze suknie i maski. Wiem, że wasza grupa podszywa się pod Diabłą Rękę. Udajecie, że jesteście mną. – Patrzyła, jak oblicze Ruth ciemnieje. – Wiem wszystko o Antistasi.

Kobieta zaśmiała się głucho.

– Powiedzieć, że my to Antistasi, to jak nazwać kroplę oceanem.

– Ale jesteście częścią ruchu – upierała się Esta, próbując wyczuć nastrój w pomieszczeniu. Mimo wątpliwości, jakie najwyraźniej miała wobec niej Ruth, pozostali, takie odnosiła wrażenie, patrzyli na nią życzliwiej, może z wyjątkiem kowboja. Wyglądało na to, że tamtym nie jest wszystko jedno, czy Esta to naprawdę Diabła Ręka. Zamierzała to wykorzystać, by chronić Harte'a. – A może im też ukradliście ich nazwę?

– Niczego nie ukradłam. Zapracowaliśmy na to, by móc się nazywać Antistasi – oznajmiła Ruth głosem zaprawionym jadem.

– Słyszałam – przyznała Esta, zachowując chłodny i obojętny ton. Nie odrywała wzroku od Ruth, mimo że korciło ją, by choć zerknąć na Harte'a.

Ruth obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem.

– Tak?

Esta skinęła głową.

– Wyrobiliście sobie markę w tym mieście. Jestem pod wrażeniem waszych dokonań – oświadczyła, biorąc kobietę pod włos.

Ale jej fortel nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. Ruth zmrużyła oczy.

– W takim razie powinnaś wiedzieć, że nie ma z nami żartów. Powinnaś rozumieć, że nie mamy litości dla naszych wrogów.

– Oczywiście – odparła lekko Esta. – Ale ja nie jestem waszym wrogiem. Prędzej waszą mużą, z tego, co zdążyłam się zorientować.

– Ty? – Ruth zaśmiała się krótko, a potem zacisnęła usta w drwiącą kreskę. – Dobrze sobie. Diabła Ręka to coś więcej niż pojedyncza osoba. Na pewno coś więcej niż ty. W najlepszym razie jesteś zbędna. W najgorszym – jesteś kłopotem, którego musimy się pozbyć.

– Nie jestem kłopotem – zapewniła ją Esta odruchowo. Po namyśle wzruszyła jednak beztrosko ramionami. Nie da się jej zastraszyć. – Chociaż właściwie może jestem. Tyle że nie waszym.

– Nie? – zaciekawiła się Ruth. – Z mojego punktu widzenia jesteś problemem dla naszego ruchu.

Esta zaśmiała się chłodno i wykorzystując to jako pretekst, zerknęła na Harte'a, który śledził rozmowę z wyrazem natężonej koncentracji.

– A to dlaczego?

Ruth zrobiła krok w jej stronę.

– Policja i Straż cię szukają od czasu, gdy pomogliśmy wam się wymknąć z hotelu Jefferson. Od tygodnia wszędzie węszą, mocno utrudniając mi życie. Twoja obecność w mieście sprawiła, że moi ludzie nie mogą wykonywać swoich zadań. Naraziłaś nas wszystkich na niebezpieczeństwo wykrycia. Władze uważają, że jesteś kimś wyjątkowym i bardzo groźnym. Diablą Ręką. – Żachnęła się z nutą pogardy w głosie. – I oto siedzisz przede mną, zdana na moją łaskę. Bardziej dziewczyna niż kobieta. I chyba tylko ślepiec mógłby cię wziąć za mężczyznę. Same z tobą problemy.

Esta wygięła usta w lekkim uśmiechu.

– Gdybyś naprawdę tak uważała, nie odurzyłabyś nas i nie przywiązała do krzeseł tylko po to, żeby uciąć sobie z nami pogawędkę.

Ruth wyraźnie się zjeżyła.

– Wolę nie ryzykować – odparła. – Zwłaszcza gdy chodzi o bezpieczeństwo moich ludzi.

– Nic nie zrobiłam twoim ludziom – skontrowała Esta. – Nie wiem, skąd w ogóle ten pomysł.

Ruth przekrzywiła głowę na bok.

– To nie ty wetknęłaś mojemu człowiekowi bombę dymną do kieszeni?

– Śledził mnie – odparła Esta bez cienia skruchy. – Skąd miałam wiedzieć, co to za jeden? Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że jest jednym z was, a musiałam jakoś odwrócić jego uwagę. Poza tym chyba nic takiego mu się nie stało.

Ruth ściągnęła brwi.

– Akurat za przechytrzenie Northa należy ci się szacunek. Ale za lekkomyślne popisy na wystawie już nie.

North, pomyślała Esta. To musi być ten kowboj. Jego ponure spojrzenie zdawało się to potwierdzać.

– Wiesz, co by się stało, gdyby was dzisiaj złapano? – ciągnęła dalej Ruth. – Co by się stało z nami?

– Nie rozumiem, jaki związek z wami miałoby moje zatrzymanie.

– Co tylko dowodzi twojej bezmyślności – skwitowała Ruth. – Nie wiem, kim naprawdę jesteś ani czy faktycznie zrobiłaś cokolwiek z rzeczy, które ci się przypisuje, ale wiem jedno: gdyby Straż cię aresztowała, byłoby to zwycięstwo Towarzystwa i pozostałych bractw. I śmiertelny cios dla ruchu Antistasi w całym kraju. Koniec legendy Diablej Ręki. Ta legenda nas chroni, a budzi strach w naszych wrogach. Bez niej bylibyśmy bezbronni.

Eście w ogóle to nie przyszło do głowy. Widziała zamaskowane kobiety w sali balowej, wysłuchała opowieści Julienu o wyczynach Antistasi, miała dla nich mnóstwo podziwu. Nie wpadła na to, że swoim istnieniem zagraża ich sprawie.

– Nie miałam zamiaru narażać was na niebezpieczeństwo – oznajmiła tonem skruchy. – Nie chcę być dla was obciążeniem. Wolałabym jakoś wam pomóc.

– Ale nie pomagasz. Co masz mi do zaoferowania, jeżeli nie naszyjnik?

– Poza moim imieniem? – spytała Esta dla zyskania czasu. Usilnie próbowała wymyślić coś, co rozwieje wątpliwości Ruth.

– To już mamy. Nie potrzebujemy twojej zgody, żeby się nim posługiwać.

– Ale nie macie dojścia do Towarzystwa – odezwał się Harte z głębi pomieszczenia.

Ruth zmarszczyła brwi. Odwróciła się od Esty, skupiając wzrok na Harcie. Minę miał wytężoną, lecz w oczach błyskała determinacja.

– Dlaczego uważasz, że jest nam ono do czegoś potrzebne?

– Bo wiemy, że macie ambitne plany – odrzekł z namysłem Harte. – I wiemy, czego wam brakuje.

BENEDICT O'DOHERTY

1904 rok – St. Louis

Harte'owi nadal głowa pękała z bólu od narkotyku, którym potraktowano go w powozie, a moc Księgi burzyła się niespokojnie w jego wnętrzu. Nie podobał jej się ten środek odurzający – i Hartowi też nie. Czuł swoją magię niewyraźnie, jakby ta moc, która zawsze i wszędzie mu towarzyszyła, znajdowała się teraz poza jego zasięgiem.

Trudno, poradzi sobie. Zasłynął jako magik, ale w głębi duszy był przecież aktorem.

– Skoro tyle wiecie, może powinniśmy czym prędzej się was pozbyć – stwierdziła Ruth, idąc w jego stronę. W jej oczach wściekłość mieszała się ze strachem – mogła to być niebezpieczna mieszanka – ale przynajmniej zdołał odwrócić jej uwagę od Esty.

– To byłby błąd.

– My – odparła Ruth – w przeciwieństwie do was nie popełniamy błędów.

– Może tak było do tej pory – odrzekł Harte bez mrugnięcia okiem – ale nieskorzystanie z naszej pomocy byłoby dużym błędem.

– Na co twoim zdaniem potrzebne nam jest dojście do Towarzystwa?

– Naszyjnika nie było na wystawie. Skoro wy go nie macie, to znaczy, że Towarzystwo przeniosło go gdzie indziej. Jak zamierzacie go zdobyć, nie wiedząc nawet, gdzie jest? – Pozwolił, by to pytanie wybrzmiało, zanim przemówił znowu. – A czasu macie coraz mniej.

Ruth się wyprostowała. Z tego, jak zmienił się wyraz jej twarzy, Harte domyślił się, że odgrywa przedstawienie przed wszystkimi obecnymi.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

– Nie? – odparł spokojnie Harte, sięgając do wrażeń, które zdołał wydobyć z jej ludzi, gdy tamci, nie wiedząc, czym to grozi, go złapali. – Twój ludzie mają pietra, bo wiedzą, że nie jesteście w stu procentach gotowi. Uważają, że to zbyt ryzykowne. Zwłaszcza ten tutaj. – Harte wskazał skinieniem głowy chłopaka, który trzymał ręce za plecami, a któremu zdążył zajrzeć w myśli, gdy tamten wpychał go do wozu. – Frank, dobrze mówię? Ma siostrę w Chicago. Zastanawia się, czy do niej nie uciec, zamiast dać się zabić.

Ruth odwróciła się w stronę chłopaka, który pobladł jak płótno.

– Czy to prawda? Nie wierzysz w nasze przedsięwzięcie?

Tamten przez chwilę tylko potrząsał głową, nie mogąc wydobyć słowa.

– On kłamie, Ruth. Próbuje nas skłócić.

Ale strach, który dało się słyszeć w jego głosie, mówił zupełnie co innego.

– Powinieneś bać się własnego tchórzostwa, Frank. A nie moich planów. – Ruth skinęła głową na jednego ze stojących obok chłopaka. – Zabierz go na dół i dokładnie skrępuj. Nie ma miejsca na strach i wątpliwości. Nie teraz. – Potem zwróciła się do Harte'a: – Wiem, kim ona jest, ale kim ty jesteś?

– Kimś bardzo podobnym do was – odparł z prostotą. – Nienawidzę Towarzystwa i wszystkiego, co sobą reprezentuje. Słyszeliśmy o tym, co zrobiliście zeszłej jesieni – o ataku na budowę wystawy. To było genialne posunięcie. Prawdziwy majstersztyk.

Ruth otaksowała go wzrokiem.

– Jak się nazywasz?

– Benedict O'Doherty – odparł Harte bez chwili namysłu. – Ale wszyscy mówią na mnie Ben.

To znaczy, mówili dawniej, pomyślał. Przemknęło mu ponuro przez głowę, że oto zmartwychwstał po raz drugi.

– Nie ufam żadnemu z was – oznajmiła Ruth.

– To tylko dowodzi twojego rozumu – stwierdził Harte. – Ale odrzucenie naszej propozycji byłoby jego zaprzeczeniem. Tym bardziej że możemy wam pomóc osiągnąć sukces, o jakim wam się nie śniło. Pozwól nam się wykazać. Ten chłopak, którego przed chwilą zabrano, nie palił się do roboty, którą dla niego miałś. Możemy go zastąpić.

Ruth zmrużyła oczy w zamyśleniu.

– Dobrze – odparła w końcu i wygięła usta. – Dostaniecie jedną szansę. – Zerknęła w stronę kowboja. – Zabierz go i pilnuj, żeby nie wyciął żadnego numeru.

– Ale robota... – zaczął Harte.

– Myślę, że powierzymy to zadanie Diablej Ręce. Skoro tyle potrafi i tak bardzo chce nam pomóc, na pewno jej się uda. A jeśli będzie próbowała nas zdradzić, ty nam za to zapłacisz.

ZWYKŁA DZIEWCZYNA

1904 rok – St. Louis

Maggie patrzyła, jak ludzie siostry wyprowadzają Diablą Rękę i jej towarzysza. Szli posłusznie, choć z wyraźną niechęcią, a wzrok, jakim ten facet, Benedict, spoglądał na dziewczynę – jakby zamierzał uczynić wszystko, by zapobiec temu, co się miało wydarzyć – potracił w niej jakąś czułą strunę.

– Czy to naprawę konieczne? – zwróciła się do Ruth, która także się przyglądała, jak zwykle nieporuszona.

– Podważasz moją decyzję? – Siostra, która była jej również matką, spojrzała z irytacją.

Maggie zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, Mamo Ruth. Tak się tylko zastanawiam...

Lecz w głębi duszy rzeczywiście podważała decyzję siostry. Skrycie kwestionowała jej metody działania od pewnego czasu, a teraz nabrała pewności, że powinna zabrać głos.

– Jeśli ludzie Lipscomba ją dopadną...

– To rozwiążę mój problem za mnie – dokończyła Ruth tonem nieznoszącym sprzeciwu. – To żadna Diabla Ręka, Maggie. To zwykła dziewczyna, taka jak ty. Jak ja kiedyś. Diabla Ręka to coś większego – to nasze wspólne dzieło. Jeśli da się złapać Calebowi Lipscombowi i jego tępym socjalistom, to znaczy, że nie zasługuje na inny los.

– A jeśli nie?

Twarz siostry pojaśniała.

– Wtedy już się nie odetnie od naszej sprawy. Pomyśl, Margaret. Jeśli wykona swoją misję, nie będzie już mogła się rozmyślić. Będzie odpowiedzialna za eksplozję i jej następstwa. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, tak jak mnie zapewniałaś, będzie współodpowiedzialna za efekty działania serum. Nie tylko zrozumie jego moc, ale na dodatek będzie dumna ze swojego udziału. Na zawsze zostanie jedną z nas. A co więcej, nasi potencjalni rywale będą wiedzieli, że ona jest nasza. Gdy wszyscy pozostali Antistasi zrozumieją, że Diabła Ręka wybrała nas, umocnimy się na pozycji przywódczej.

Maggie odruchowo zmarszczyła brwi.

– Nie sądzisz, że powinniśmy ją wtajemniczyć w nasze plany?

– Po co? – spytała Ruth. – To będzie sprawdzian jej determinacji. Lojalności wobec naszej sprawy... i wobec mnie. Jeśli naprawdę trzyma naszą stronę, będzie gotowa zabijać w naszym imieniu. A jeśli nie, to przynajmniej przekonamy się o tym niebawem, zanim zdąży zaszkodzić naszym poważniejszym planom.

PRZECHYTRZONY

1902 rok – Nowy Jork

Jack ostatni raz był za kulisami Teatru Wallacka wiele tygodni temu, kiedy jeszcze odwiedzał Darrigana, wierząc, że magik jest sprzymierzeńcem, a nie wrogiem. Najchętniej do końca życia omijałby to miejsce szerokim łukiem. Był jednak pewien, że Evelyn ma coś, na czym mu zależy – rzecz, dla której ktoś inny był gotów ją zabić.

Irytowało go tylko, że wciąż nie wie, co to jest.

Na drugi dzień po jej niespodziewanej wizycie obudził się w pustym łóżku z potwornym bólem głowy, zapewne po sherry, którym się raczyli we dwoje. Ponieważ przesadził z alkoholem, wspomnienie minionej nocy majaczyło mgliście. Może zresztą nie było czego wspominać. Potem jednak przeczytał w „Heraldzie”, że padła ofiarą napaści. Jacyś ludzie włamali się do jej mieszkania, by je okraść, a gdy próbowała ich zatrzymać, postrzelili ją. Oczywiście Evelyn wykorzystywała tę sprawę dla zyskania rozgłosu, ale to nie zmieniało faktu, że musiała być w posiadaniu czegoś cennego. Przypomniał sobie wtedy, jak się do niego wdzięczyła.

Aby dowiedzieć się, co takiego miała Evelyn, Jack był gotów przewyciężyć odrazę i złość, jaką budził w nim ten labirynt za sceną. Tak jak ostatnim razem, tak i teraz nikt go nie zatrzymywał. Z bukietem róż pod pachą zapukał dwukrotnie do garderoby Evelyn, po czym, słysząc w odpowiedzi jej głos, wszedł do środka.

Garderoba Evelyn w ogóle nie przypominała tej Darrigana. Była trochę większa, jedwabne i satynowe płachty na ścianach tworzyły egzotyczny i zmysłowy nastrój. Na Jacku nie robiło to jednak żadnego wrażenia. Tym razem nie pozwoli, żeby sytuacja wymknęła mu się spod kontroli.

Evelyn, odziana w jedwabną szatę, leżała w malowniczej pozie na szezlongu. Nie widział jej rany, ale najwidoczniej nie zagrażała ona życiu. Na jego widok Evelyn podniosła kąciki ust.

– Witaj, skarbie – zamruczała. – Czy to dla mnie? – Wstała, by wziąć od niego kwiaty, a Jack spostrzegł na jej palcu złote lśnienie.

Był to ogromny pierścień. W filigranowej oprawie tkwił klejnot, jakiego nie zwykły nosić pospolite ladacznice pokroju Evelyn. Jack w mig zrozumiał, że właśnie tego szukali włamywacze – i że właśnie po to do niej przyszedł.

– Co się stało, Jack? – spytała Evelyn, układając kwiaty w wazonie na toalecie. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Nie ducha – odparł podnieconym tonem. – Anioła.

Oczy jej się zaświeciły i podeszła do niego, ciepła i chętna.

Później, wracając powozem do domu, ocknął się z tumanu pożądania i dotarło do niego, że całkiem zapomniał o pierścieniu. Znowu! Miał go na wyciągnięcie ręki, a nawet go nie dotknął. I nie mógł sobie przypomnieć dlaczego. W ogóle nie pamiętał, co zaszło.

Dłonie same zacisnęły mu się w pięści. Tym razem nie mógł nawet wytłumaczyć swojej słabości wpływem alkoholu.

Powinien być mądrzejszy. Coś takiego przydarzyło mu się już w Grecji. Wtedy też budził się rano, nie pamiętając, co się działo w nocy. Żartował, że zakochał się w syrenie, która wabi go na skały. Nie zdawał sobie sprawy, ile w tym było prawdy. Jak przebiegła była tamta dziewczyna.

Teraz doznał olśnienia: z Evelyn jest tak samo. Podobnie jak tamta Greczynka, która omal go nie zgubiła, Evelyn była czarownicą, której wydawało się, że pokona go w jego własnej grze. Ale Jack nie był już tak zielony jak wtedy. Grecja go zmieniła, a Księga uczyniła nowym człowiekiem. Evelyn mogła mieć swoją dziką magię, mogła nawet mieć pierścień, który potęgował jej moc, ale nie miała Księgi. Do głowy by jej nie przyszło, że nie ma z nim żadnych szans.

SEKRET Z ORCHARD STREET

1902 rok – Nowy Jork

Kiedy Logan Sullivan wszedł do budynku, a zaraz potem nieopodal ktoś zahuczał jak sowa, James Lorcan poczuł, że robi się ciekawie. Resztę swoich ludzi, poza Moochem, odesłał do Stregi. Nie potrzebował teraz siły; cokolwiek miało się zdarzyć, to nie była pora ani miejsce na konfrontację. Wszystko w swoim czasie.

Nie wychylając się z cienia, obserwował wejście do budynku, aż wyłoniła się z niego grupka ludzi. Krzepki mężczyzna o brązowej karnacji niósł Logana zarzuconego przez ramię, a przy Jianyu szła dziewczyna, której James nie znał. Dość nieoczekiwany rozwój wydarzeń, ale zawsze to jedno pytanie mniej. I przynajmniej tamci pozostali byli Osobnymi. Ludźmi niewartymi uwagi, gdyby nie fakt, że mieli dwóch, którzy powinni być jego więźniami.

Mooch zrobił krok w stronę grupy, która już biegła chodnikiem, oddalając się od budynku, lecz James chwycił go za ramię.

– Tylko ich śledź. Dowiedz się, dokąd idą, ale nic więcej nie rób. Potem wracaj do Stregi.

Mooch miał minę, jakby chciał się spierać, lecz rozmyślił się, gdy James zmrużył oczy.

Jianyu schwytał Logana, jednak nie miało to większego znaczenia. Ten chłopak był w gruncie rzeczy dodatkowym ciężarem. Zresztą James miał wszystkie potrzebne mu sekrety – na półkach w mieszkaniu Dolpha i w notesie, który nosił przy sobie.

Pojawienie się Jianyu tutaj, w mieszkaniu, w którym nie miał powodu być, wskazywało na jedną bardzo ważną rzecz: Logan nie kłamał na swój

temat. A to oznaczało, że notes nie był żadnym fortelem ani pułapką. Był jak najbardziej prawdziwy.

Choć dochodziła już północ, James musiał jeszcze zahaczyć o jedno miejsce – teraz gdy wiedział, że może ufać słowom, które nosił na piersi, słowom, które w przyszłości sam by napisał.

W budynku na Orchard Street nie paliło się już światło, ale to nie był żaden problem. Zapłacił kobiecie z trzeciego piętra wystarczająco dużo, by jej wynagrodzić to, że musi wstać z łóżka.

Nie wyglądała na zachwyconą, ale i nie narzekała. Poprowadziła Jamesa wąskim korytarzem do niewielkiego pokoju, w którym spała dziewczynka. Odesławszy kobietę, podszedł do łóżka i uklęknął przy nim. Gdy zaczął budzić małą, jej twarzyczka wykrzywiła się w proteście, w końcu jednak rozwarła sklezione od snu powieki.

Na początku, ilekroć patrzył w te oczy, widział w nich Leenę, która milcząco wyrzucała mu jego wybory. Z czasem jednak nauczył się dostrzegać za tymi złotymi oczami, za szerokimi ustami dziecko z całym jego potencjałem. Przyszłą dziewczynę.

Kiedyś myślał, że zdoła ją uchronić od wad Leeny. Partnerka Dolpha, w gruncie rzeczy jego żona, była zbyt miękka, zbyt ufna. Zaskoczyło go – bardzo miło, ale jednak zaskoczyło – kiedy postanowiła ukryć dziecko przed Dolphem. Ale koniec końców to właśnie ją zgubiło.

James miał nadzieję, że uformuje dziewczynę na swoje podobieństwo. Teraz już wiedział, że to się nie uda. Hodował zmię, która w przyszłości zagrozi jego dziełu, wszystkim jego ambitnym zamiarom.

Mógłby ją w tej chwili zabić, ale czas był dziwnym wynalazkiem, splątany jak supeł, ułożony we wzór, którego nawet on jeszcze nie umiał odczytać. Gdyby ją zabił, co by się zmieniło? Ile by stracił z tego, co zawdzięczał jej istnieniu?

Nie mógł tego zrobić. Jeszcze nie teraz. Ale mógł przy jej pomocy wysłać wiadomość.

Wyjął z marynarki nóż Violi.

– Chodź, *carina*, pobawimy się trochę.

Wyśle Eście wiadomość do innego miejsca i czasu. Niech wie, że będzie na nią czekał.

Opuścił ostrze nazwane imieniem bogini obrzędów pogrzebowych i zaczął ciąć.

ZAMACH

1904 rok – St. Louis

Powóz z turkotem przecinał noc, wioząc Estę w nieznane. Na ławce naprzeciwko niej siedział rozparty w leniwej pozie North. Rewolwer w jego ręku miał jej przypominać, żeby nie próbowała żadnych sztuczek.

– Lepiej nim nie potrząsaj – powiedział, gdy przesunęła zeszyt spoczywający na jej kolanach. Wyglądał jak zwyczajny zeszyt w skórzanej oprawie, ale ważył więcej. W środku kryło się coś ciężkiego – i niebezpiecznego. – Nie chcemy, żeby wybuchł przedwcześnie – dodał North.

Na dźwięk tych słów Esta lekko się wyprostowała.

– Dokąd w ogóle jedziemy?

– Zobaczysz.

– Chyba mam prawo wiedzieć, kogo mam zabić – stwierdziła, usiłując przybrać ton znudzonej obojętności. Tak naprawdę jednak dłonie miała spocone z nerwów, a gdy wóz podskakiwał na nierównościach, trzymała zeszyt nieruchomo. Co wcale nie było proste, biorąc pod uwagę stan dróg łączących obrzeża miasta, na których znajdował się browar, z centrum St. Louis.

– Kto mówi o zabijaniu? – zdziwił się North. Rondo kapelusza zacięniało mu oczy, ale w blasku księżyca zza okna dobrze widziała uśmiech, który zakwitł na jego wąskich ustach.

Esta nie dała się jednak tak łatwo uspokoić.

– To przecież bomba, prawda?

North zacisnęła usta w kreskę, aż błysnęła białą cienką blizną w ich kąci.

– Bomby są dla Osobnych. Są zawodne i robią bałagan. Nikt dziś nie zginie – oznajmił. – Chyba że ty, jeśli ta przesyłka nie dotrze do adresata. No i twój przyjaciel, jeśli się nie spiszesz.

Esta zmarszczyła brwi, ale niezbyt się przejęła tymi groźbami. Gdyby Antistasi chcieli ich zabić, już dawno by to zrobili.

– Skoro to nie bomba, to co?

– Prezent – odparł North. Potem odwrócił się twarzą do okna, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Ładny mi prezent, pomyślała Esta.

Kobieta, którą pozostali nazywali Matką Ruth, nie kryła, że zawartość jest niebezpieczna. Gdy przekazywała ją Eście, ostrzegając, żeby otworzyła ją w ostatniej chwili przed podłożeniem, reszta Antistasi trzymała się z dala. Instrukcje od Ruth były proste: zostawić przesyłkę w samym środku budynku, jak najbliżej celu. I nie sprzeniewierzyć się w żaden sposób misji. Inaczej Harte zginie.

A jeśli Esta zostanie złapana? Cóż, Ruth uważała, że to nie jej zmartwienie. Po ludziach, którym Esta miała dostarczyć zeszyt, raczej nie powinna się spodziewać życzliwego potraktowania. Będzie zdana tylko na siebie i na ich łaskę. Na dodatek nikt jej nie chciał powiedzieć, kto ma być obiektem zamachu.

– Powiedz mi przynajmniej, z kim będę miała do czynienia – spróbowała ponownie wciągnąć Northa w rozmowę.

Droga wiodąca do tej pory wśród pól weszła między chaotyczną zabudowę przedmieścia, rzędy ciągnących się wzdłuż rzeki magazynów i fabryk.

– Jakie to ma znaczenie? – spytał z drwiącym uśmiechem. – Jesteś przecież Diablą Ręką.

– Lubię być przygotowana – odparła nonszalancko. – I sama decydować o tym, czy warto ryzykować życie dla śmierci tej osoby.

North utkwiał w niej przenikliwe spojrzenie dziwnych różnobarwnych oczu.

– Kim jesteś, żeby to rozstrzygać? – spytał łagodnie. – To nie pierwszy czyn w twoim imieniu i na pewno nie ostatni. Nie wiem, czy to najlepszy moment na zadzieranie nosa.

Jego słowa coś w niej poruszyły. Miał rację. Antistasi już nie wiadomo ile razy posługiwali się jej imieniem. Nieważne, że to nie ona była sprawczynią tych ataków. Jeden dokonany przez nią wybór uruchomił lawinę wydarzeń.

– No właśnie – skwitował jej milczenie North, po czym znowu spojrzał w okno. Drapiąc się pod uchem, patrzył na mijane miasto, a gdy wreszcie powóz stanął, wyrzwał na zewnątrz. – Jesteśmy na miejscu. – Odchylił kapelusz, by spojrzeć jej prosto w oczy. – Chyba że się rozmyśliłaś?

Esta rozważyła wszystkie swoje możliwości. Bez względu na to, co twierdził North, w zeszycie, który trzymała na kolanach, znajdowało się coś niebezpiecznego. Wciąż mogła się wycofać. Odbezpieczyć zeszyt tutaj, owinąć się czasem i uciec.

Ale co potem?

Matka Ruth i reszta Antistasi wciąż mieli Harte'a w swoich rękach. Niepotrzebnie się w ogóle odzywał. Zabrali go nie wiadomo dokąd. Zanim ustalili, gdzie on jest, może być martwy. Nie mogła wstrzymywać czasu w nieskończoność – zwłaszcza ostatnio średnio jej to wychodziło.

A zresztą nawet gdyby uratowała go w porę, nie miała pojęcia, co Antistasi zrobili z Kluczem Isztar. Nie pytała, bo nie chciała niepotrzebnie zwracać ich uwagi na ten przedmiot – może jeszcze się nie zorientowali, jak bardzo jest dla niej ważny? A jeśli wiedzieli, jaka moc drzemie w tym kamieniu...?

Teraz nie mogła sobie tym zaprzętać głowy. Miała zadanie do wykonania. A skoro musiała wybierać między Harte'em a osobą, której miała dostarczyć zeszyt... Cóż, wybór był prosty. Dakari, Dolph... Straciła już zbyt wielu przyjaciół, by móc poświęcić kolejnego.

Coś jednak wciąż nie dawało jej spokoju – jak swędzenie w miejscu, do którego nie można sięgnąć. Czuła, że jest wykorzystywana. Przez całe dwa lata bez jej wiedzy szafowano jej imieniem na prawo i lewo. Jeśli Ruth dopnie swego, Antistasi dalej będą się pod nią podszywać. A miała już dość bycia pionkiem w cudzej rozgrywce. Przez całe jej życie profesor Lachlan bawił się nią jak marionetką. Nie chciała, żeby teraz Ruth miała nad nią podobną władzę.

Nie, widziała przecież, jaka atmosfera panowała w magazynie, kiedy Ruth przemawiała. Słyszała strach w głosie Franka po tym, jak Ruth zarzuciła mu tchórzostwo. To, że Antistasi byli wobec niej posłuszni, wcale nie oznaczało, że darzą ją sympatią i zaufaniem. I tu właśnie Esta upatrywała swojej szansy. Aby jednak zaskarbić sobie ich zaufanie, musiała najpierw dowieść, że jest jedną z nich – zaczynając od Northa. I dlatego nie mogła się teraz wycofać.

– Nie rozmyślę się – zapewniła go. – Kto jest moim celem?

Przyglądał jej się bacznie przez parę sekund, jakby węsząc podstęp.

– Tylko pamiętaj, że nie ty jedna potrafisz zniknąć. Nie próbuj niczego głupiego, bo twój przyjaciel zginie.

– Wiem o tym. – Rzuciła mu znudzone spojrzenie. – Będziemy tu siedzieć do rana czy może jednak powiesz mi, dla kogo ten prezent? – spytała, gdy nie przestawał się w nią wpatrywać.

– Tylko się upewniam, że się rozumiemy – wyjaśnił North. – Ten człowiek nazywa się Caleb Lipscomb. Znajdziesz go pod numerem czterysta trzydzieści dwa. Pójdiesz wzdłuż tych magazynów i na końcu skrócisz w prawo. W środku kieruj się na drugie piętro.

Caleb Lipscomb. Nigdy o nim nie słyszała, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

– Jak go rozpoznam?

W dziwnych oczach Northa zamigotały iskierki rozbawienia.

– Będziesz wiedzieć, który to. Lubi być w centrum uwagi. No, idź już.

Otworzył jej drzwi.

Na zewnątrz było chłodniej, a powietrze pachniało rzeką, czuło się i ziemię, i błoto, i ciężką woń smarów i węgla z pobliskich fabryk. Esta poprawiła paczkę pod pachą, tak by zeszyt się nie ruszał i nie otwierał. Powiedziano jej, że uruchomi zapalnik, wyciągając ze środka luźno wystającą kartkę. Nie chciała, żeby to się stało, zanim znajdzie adresata.

Czuła ciężar w piersi. Nie wierzyła Northowi, że to nie jest bomba, i choć szła przed siebie, wciąż miała wątpliwości, czy nie powinna zawrócić. Niby wszystko sobie przemyślała, ale czym innym była teoria, a czym innym zbliżający się nieuchronnie moment ostatecznej decyzji.

Owszem, wtedy na dworcu była gotowa zabić Jacka. Trzymała rewolwer i dłoń by jej nie zdrząła – bo ten drań sobie zasłużył. Bo wiedziała, że jeśli ujdzie z życiem, skrzywdzi jeszcze mnóstwo osób. I się nie myliła. Z tego, co zdążyła się zorientować, Jack był jednym z pomysłodawców ustawy o przeciwdziałaniu magii. To przez niego magia została zdelegalizowana i w majestacie prawa prześladowano Maginów. Teraz sytuacja była jednak inna. Esta nie wiedziała, kim jest ten cały Caleb Lipscomb. To dla niej nazwisko bez twarzy, nieznamy, który nic złego jej nie zrobił.

Mimo to nie widziała innego wyjścia. Nie chciała uczynić sobie wrogów z Antistasi. Nie mówiąc o tym, że nie chciała ryzykować życia Harte'a.

Budynek oznaczony numerem 432 okazał się bardzo długim magazynem, czymś w rodzaju fabryki albo warsztatu. Pojedyncza żarówka oświetlała wejście mdłym żółtym blaskiem. Esta miała wrażenie, jakby wchodziła w pułapkę. Obejrzała się z wahaniem za siebie. North wciąż ją obserwował.

Skinął głową. „No, idź!” – zdawał się mówić. Pokonała ostatnie kilka metrów dzielących ją od ponurego kręgu światła. Najciszej, jak umiała, otworzyła drzwi, po czym weszła do środka.

BETSAIDA

1902 rok – Nowy Jork

Viola owinęła chustę wokół głowy i zatknęła ją pod brodą. Siedziała z twarzą odwróconą od pozostałych pasażerów tramwaju zmierzającego na północ, w kierunku Central Parku. Paul myślał, że wybiera się na targ rybny przy Fulton Street, więc musiała się tam pojawić w drodze powrotnej. Nie mogła ryzykować, że brat nabierze jeszcze większych podejrzeń. Zwłaszcza że była coraz bliżej zdobycia potrzebnych jej informacji.

Wysiadła koło Madison Avenue i przeszła East Drive przez park, aż dotarła do placu z ogromną fontanną zwieńczoną skrzydlatym aniołem. Sama z siebie rzadko odwiedzała to miejsce – nie miała takiej potrzeby. Widok ludzi wylegujących się na trawie albo spacerujących wśród drzew przypominał jej tylko, że niektórzy wiodą inne życie, które jej nigdy nie będzie dane. Ale kiedy już tędy przechodziła, zawsze wybierała ścieżkę biegnącą obok fontanny. Rzeźby nawiązywały do biblijnej opowieści o aniele, który uzdrawiał ludzi wodą z Betsaidy.

W rodzinie Osobnych Viola była anomalią. Magię, z którą się urodziła, traktowano jak piętno, skazę na jej życiu. Może właśnie dlatego historia anioła, który leczył za pomocą odrobiny wody, zawsze mocno do niej przemawiała, jakby Viola łudziła się, że kiedyś i jej dusza zostanie w podobny sposób oczyszczona.

Ale Viola twardo stąpała po ziemi. Dawno zrozumiała, że nie dla niej są piękne baśnie. Żyła w ciele, które otrzymała, i nauczyła się czerpać satysfakcję z takiego, a nie innego życia. Nie próbowała sobie wyobrazić, jak mogłoby ono wyglądać, nie tęskniła za tym, co nieosiągalne, i dlatego

smutek, który ścisnął ją za serce na widok różowego muślinu i beżowej koronki dziewczyny siedzącej przy fontannie, kłopotał ją podwójnie.

Ruby czekała w umówionym miejscu. Obok niej leżał przewiązany sznurkiem stosik i siedział jej narzeczony Theo. Rozparty na ławce, z dłońmi splecionymi za głową, wyglądał jak władca świata. Ruby z wyrazem skupienia na twarzy pisała coś w notesiku. Po ciemnej spódnicy i wysoko pozapinanej koszuli z fularem, które miała na sobie w dniu, kiedy Viola przejechała się w kółko ich powozem, nie było śladu. Dziś strój Ruby wyglądał jak ubranie uszyte z myślą o niewinnej debutantce. Bledziutki róż, lekko bufiaste rękawy i delikatna koronkowa falbana u szyi. Na tle fontanny wyglądała jak z obrazka. Piękna i nieosiągalna.

Były takie dni, gdy Viola wprost nie mogła się uwolnić od wspomnienia pereł, które Ruby miała na sobie tamtego wieczoru w restauracji Delmonico's – delikatnego kremowego naszyjnika układającego się idealnie na wgłębieniu pod szyją. Teraz czuła, że również ta chwila na długo wryje się jej w pamięć.

Bach! Strząsnęła z siebie tę myśl i uczucie gorąca. Po prostu pogoda się zmieniała i tyle. Słońce stało wysoko na niebie, a ciepło, wyczuwalne na skórze pod bluzką, nie miało nic wspólnego z tą głupią, głupią paniusią, która w swojej bezmyślności posłała jej wiadomość przez posłańca do New Brighton – pod sam nos Paula. Jeszcze trochę i obie zapłacą życiem za jej lekkomyślność – ale kto by się kłopotał takim drobiazgiem jak śmierć, mając tyle pieniędzy? Bogacze pewnie myśleli, że wystarczy zapłacić aniołowi kilka dolarów, żeby zamiast nich wziął ze sobą któregoś ze służących.

Theo spostrzegł Violę i trącił Ruby łokciem. Podniosła wzrok znad papieru i zmrużyła oczy. Na widok zbliżającej się Violi całe jej oblicze pojaśniało. Odłożyła bloczek i ołówek do haftowanej kopertówki wiszącej u nadgarstka.

– Przyszłaś! – zawołała i zanim Viola zrozumiała, co się dzieje, znalazła się w objęciach tej panienki z dobrego domu, spowita chmurą kwiatów, bursztynu i ciepła.

Kiedy Ruby ją puściła, pod Violą ugięły się nogi, aż się zachwiała. Robiąc krok do tyłu, uchroniła się przed upadkiem, ale chusta jej się zsunęła. Usłyszała stłumiony okrzyk Ruby i prędko z powrotem zakryła głowę i kawałek twarzy. Jednak Ruby nie zamierzała przejść do porządku dziennego nad tym, co zobaczyła. Z obliczem wykrzywionym zmartwieniem wyciągnęła rękę i znów odsłoniła twarz Violi.

– Kto ci to zrobił? – zapytała tak cicho, że jej głos prawie zginął w szumie fontanny.

– Nikt. To nic takiego. – Viola jeszcze raz poprawiła chustę. Wiedziała, co widzi Ruby: fioletowo-zielony siniec na lewym policzku to była cena, jaką przyszło jej zapłacić za to, że tamtego dnia wymknęła się na chwilę z kuchni, nie mówiąc Paulowi, dokąd idzie. Nie pożegnała się z matką, więc brat postanowił nauczyć ją dobrych manier.

Mogłaby go zabić, ale cierpliwie zniosła karę. Byle się uspokoił. Jaki miała wybór? Nie mogła mu przecież powiedzieć, gdzie była. Teraz odczuwała ból za każdym razem, gdy otwierała usta przy mówieniu albo jedzeniu – i za każdym razem obiecywała sobie, że odpłaci mu się po dziesięciokroć.

Lecz mimo wszystko będąc tutaj, z tymi ludźmi, czuła się winna. Gdyby mogli, skrzywdziliby Paula – zwłaszcza ta dziewczyna. Złamaliby go, zniszczyli. Nie żeby sama tego nie chciała... A jednak był dla niej rodziną. Łączyła ich krew. Nie wiedziała już, czy to słowo cokolwiek znaczy, czy to tylko jeszcze jedno kłamstwo, jak szczęście i wolność.

– Nie mów tak – zaprotestowała Ruby. – Ktoś cię skrzywdził.

– To bez znaczenia – odparła beznamiętnie Viola. Ludzie bez przerwy krzywdzili innych ludzi. Dlaczego jej miałyby to nie dotyczyć?

Ruby chciała dotknąć jej policzka swoimi wypiełgnowanymi palcami.

– Możemy ci pomóc. Nie musisz...

– *Basta!* – Znów odepchnęła dłoń Ruby. – Ciekawe jak. Może chcecie mnie zabrać do domu jak bezpańskiego psa?

Ruby zamruwała, wyraźnie zaskoczona tonem Violi. Pewnie dlatego, że nikt wcześniej nie odważył się mówić do niej w ten sposób. Ruby Reynolds należała raczej do dziewcząt, które rzadko słyszały „nie”, w przeciwieństwie do Violi, dobrze znającej smak odmowy.

– Nie udawaj, że rozumiesz moje życie – rzuciła Viola tonem ostrzeżenia i zarazem prośby. – Nie udawaj, że możesz je zmienić. I nie myśl sobie, że bym tego chciała. – Zadarła hardo podbródek. – Sama się zatroszczę o siebie. – Była to jednocześnie deklaracja i obietnica. – Nie potrzebuję litości panienki z dobrego domu.

Ruby aż się wzdrygnęła, lecz nie zamierzała się poddać.

– Źle mnie zrozumiałaś. Po prostu chciałam pomóc.

– Chcieliście, żebym przyszła, więc przyszłam – odparła Viola, ignorując nutę przykrości w głosie Ruby. – No więc? Czego chcecie?

– Pomyślałam, że moglibyśmy porozmawiać. – Ruby przygryzła dolną wargę krawędzią jednego ze swych prostych białych zębów.

– Słucham.

– Wolalabym gdzieś na osobności.

Dziewczyna rozejrzała się niespokojnie, jakby martwiła się, że ktoś zobaczy, jak rozmawia z kimś tak pospolitym jak Viola.

Violi zrobiło się ciężko w płucach, jak tamtego wieczoru w Delmonico's, kiedy miała na sobie sztywny gorset. Niepotrzebnie tu przyszła.

Wciąż mogła odejść. Nawet powinna, zamiast pozwolić, by ta bogata cizia na nowo zasiała w niej ziarno zwątpienia w wybraną drogę życiową. Ale odchodząc teraz, uznałaby swoją porażkę, a tego też by nie zniosła.

– Dobrze – rzuciła ostrzej, niż chciała. – Dokąd chcesz pójść?

– Może weźmiemy łódkę? – zaproponował Theo. – Jest ładny dzień, mam ochotę się trochę zmęczyć.

Viola stłumiła westchnienie wzbierające w krtani. Trudno jej było wyobrazić sobie życie wypełnione wygodami, tak że trzeba na siłę szukać zajęcia. I to tak bezcelowego jak wiosłowanie w kółko. Nie do wiary. Ale im szybciej skończą, tym lepiej.

– Dobra – rzuciła, unikając spojrzenia Ruby. – Chodźmy.

SŁUŻĄCA

1902 rok – Nowy Jork

Viola była na nią zła za ten liścik. Nie powiedziała jej o tym wprost, ale Ruby czuła, że płomień w oczach dziewczyny ma wiele wspólnego z faktem, że ją wezwała. W ogóle nie przyszło jej do głowy, że Viola może to tak odebrać, ale się stało. Wezwała ją, tak jak wzywa się pokojówkę albo dzwoni po kucharkę, by zaparzyła herbaty. A Theo jeszcze dolał oliwy do ognia, proponując, by popływali łódką po stawie.

Tak to już było z Ruby, że bystry umysł i cięty język, niezawodne w każdym innych okolicznościach, zawodziły ją w obecności Violi. Pod surowym spojrzeniem jej fioletowych oczu mogła tylko słabo pokiwać głową.

– To fatalny pomysł – szepnęła do Theo, który szedł z nią przodem.

– Dlaczego? – spytał narzeczony.

– Bo ona mnie nie znosi – odparła Ruby na tyle cicho, by Viola nie usłyszała.

– Jest po prostu źródłem jak każde inne i tak o niej myśl. Nie musi cię lubić. Musi ci pomóc.

Miał oczywiście rację, a jednak Ruby czuła różnicę.

Na domiar złego chłopak szykujący dla nich łódź zasugerował, że służąca może poczekać na ławce koło hangaru.

– Nie – powiedziała Ruby, a policzki aż paliły ją ze wstydu. – Ona płynie z nami. – Kątem oka dostrzegła gniewne spojrzenie Violi. – To znaczy, chciałam powiedzieć, że nie jest moją... naszą służącą, tylko naszą... – Kim właściwie była Viola?

– Nasza przyjaciółka płynie z nami – przyszedł jej z odsieczą Theo.

To jednak nie powstrzymało fali gorąca, która oblała szyję i policzki Ruby. Mogła się tylko domyślać, jak bardzo poczerwieniała. Czuła się okropnie.

Viola nic nie mówiła. W milczeniu wsiedli do łodzi, a chłopak zepchnął ich na wodę. Theo zaczął wiosłować długimi, niespiesznymi pociągnięciami; łódź oddalała się od brzegu, zmierzając na środek stawu.

Dzień istotnie był piękny. W każdych innych okolicznościach Ruby cieszyłaby się z przejażdżki i odpoczynku od zmartwień i obowiązków, które zwykle ją zaprzętały. Cisza i spokój. Kiedy była dziewczynką, uwielbiała, gdy ojciec zabierał ją i jej siostry do parku, zwłaszcza wczesną wiosną, gdy zdawało się, że miasto lada moment rozkwitnie.

Ale to było przed całym tym dramatem. Zeszłego lata Theo zabrał ją tutaj kilka razy, żeby ją rozchmurzyć, lecz najszybciej zapomniała o troskach, pracując.

Teraz też była w pracy, właśnie to sobie uświadomiła. Nie czuła się jednak zbyt komfortowo, gdy Viola tak wrogo na nią łypała.

Miała w sobie po prostu coś... przytłaczającego. Nie żeby była duża. Jeszcze niższa niż Ruby, na pewno nie gruba ani nawet pulchna. Miała jednak więcej krągłości niż ciało Ruby. Choć wcale nie była od niej starsza, wyglądała jakoś bardziej kobieco. Z jej oczu patrzyło doświadczenie. Mądrość.

Ale ta biedna twarz...

Viola zauważyła, że Ruby znów się jej przygląda, i nasunęła chustę jeszcze głębiej na siniaka.

Ktoś ją uderzył. Ktoś ją skrzywdził, a teraz Ruby miała ochotę zetrzeć tego kogoś na proch.

Theo gwizdał jakąś nieokreśloną melodię i zataczał niespieszne kółka po stawie.

– No tak – bąknęła głupio Ruby. – Porozmawiajmy.

Viola nic nie odpowiedziała. Czekwała tylko, a Ruby, która zawsze wiedziała, co powiedzieć, tym razem nie miała pojęcia, od czego zacząć. Konfundowało ją to spojrzenie Violi, jakby czytała w niej niczym w otwartej książce, jakby widziała rzeczy, które Ruby ukrywała przed całym światem z wyjątkiem Theo, a nawet takie, które ukrywała przed nim. Na żadnym balu, w ramionach żadnego przystojnego tancerza nie czuła się tak niepewnie jak teraz pod baczynym wzrokiem Violi.

Wyjęła bloczek i ołówek. Ta prosta czynność pomogła jej się skoncentrować.

– Co wiesz o znajomości swojego brata z Johnem Torrio?

– Torrio to jeden z jego ludzi – odparła Viola. – Paolo chce go zrobić współnikiem w interesach. Lubi go – dodała nie bez odrazy. Zmarszczony nos dobitnie świadczył, że nie podziela opinii brata.

– A twój brat – zagadnęła Ruby ze wzrokiem utkwionym w notatkach, by nie musieć znów spoglądać w oczy Violi. – Co mi możesz powiedzieć o jego interesach?

– Jest właścicielem New Brighton i Małego Neapolu. O nich wie nasza matka. Poza tym dowodzi gangiem w Five Points. – Wymieniła jeszcze kilka rzeczy, parę burdeli oraz innych powiązań Paula Kelly’ego, które jednak nie były dla Ruby żadną tajemnicą. – Mój brat jest *un coglione*... Jak to się mówi? Nie jest dobrym człowiekiem. To drań z wyboru, nie z urodzenia.

Ruby nie miała wątpliwości, że Viola mówi prawdę, lecz sprawę związków Paula Kelly’ego z półświatkiem naświetliły już pozostałe gazety. Ją interesowało co innego.

W końcu podniosła wzrok znad notatnika.

– Nasłał na mnie Johna Torrio, żeby mnie zabił, prawda? – spytała i tym razem to Violi zabrakło odwagi, by spojrzeć jej w oczy. – Spokojnie – powiedziała. – Ty też tam byłeś, ale wiem, że nie chciałeś zrobić mi krzywdy. – Położyła rękę na kolanie Violi.

Viola spojrzała jej w oczy, a Ruby, nagle zawstydzona i spocona, cofnęła dłoń.

– Czy wiesz, dlaczego Torrio miał mnie zabić?

Viola pokręciła głową.

– Nie spodobało im się coś, co napisałaś.

– Otóż to. Opisałam sprawę katastrofy kolejowej. To nie miało żadnego związku z Paulem Kellym i jego gangiem.

Viola zmarszczyła brwi, lecz milczała. Wyraz jej oczu wskazywał, że czeka na ciąg dalszy.

– Chodziło o ten pociąg, który wykoleił się za miastem dziewięć dni temu. Tym pociągiem jechał pewien kolega Theo ze szkoły...

– Nie nazwałbym go swoim kolegą – wtrącił Theo. – Zwłaszcza nie teraz.

– Byli znajomymi – uściśliła Ruby, powstrzymując się, żeby nie wybuchnąć. – Lekarzom, którzy go uratowali, powiedział, że widział w pociągu człowieka uważanego za zmarłego. Magina imieniem Harte Darrigan. W towarzystwie dziewczyny.

Viola otworzyła szerzej oczy.

– Harte Darrigan?

Ona zna to imię, pomyślała Ruby.

– Tak, z dziewczyną. Namówiłam Theo, żeby poznał mnie z tym człowiekiem, Jackiem Grew. Albo nie wiedział, kim jestem, albo było mu wszystko jedno, w każdym razie opowiedział mi tę historię ze szczegółami. To był naprawdę duży temat. Zakon stawał na głowie, żeby zamieść sprawę pod dywan, próbowali nawet mnie zabić. Sama więc rozumiesz, jak ważny jest dla mnie ten temat. Nie dam sobie zamknąć ust. Nie będę chodzić na niczyim pasku. Zdemaskuję ich kłamstwa i zrobię, co w mojej mocy, żeby osłabić władzę Zakonu w Nowym Jorku. – Przerwała, dławiąc w sobie gniew i zniecierpliwienie. – Ale tu chodzi o coś więcej niż Zakon.

– Tak? – spytała Viola, poważna i zamyślona.

Ruby skinęła twierdząco głową.

– Jeśli Jack Grew mówił prawdę, a wydaje mi się, że mówił, skoro Zakon tak usilnie starał się mnie uciszyć, tamta katastrofa pociągu nie była wypadkiem. To był zamach. Zamach z użyciem magii.

1904 rok – St. Louis

W budynku było ciemno, ale Esta widziała światło w korytarzu po prawej. Z oddali dochodził jakby szmer rozmów. Ponieważ nie było z nią Harte'a, odważyła się użyć daru i poszła w kierunku światła, aż dotarła do schodów.

Wciąż wstrzymując bieg czasu, weszła powoli na górę, pilnując, by zeszyt nie wysunął jej się spod pachy. Na piętrze kolejny korytarz kończył się drzwiami, spod których wydobywało się światło. Gdy szła w ich kierunku, jej kroki obijały się echem w ciszy stworzonej przez magię. Drzwi okazały się otwarte.

Po drugiej stronie znajdowała się duża i wysoka, ciągnąca się przez całą długość budynku sala pełna ludzi. Kobiety i mężczyźni, schwytni w sieć spowolnionego czasu, w rozdziawieniu spoglądali na mówcę pośrodku. Część siedziała na ławkach, ale większość tłoczyła się na stojąco wokół mężczyzny na podium. Mówca miał na sobie koszulę bez marynarki, podwinięte rękawy odsłaniały szerokie przedramiona człowieka pracy, lecz było jasne, że ten okres w życiu ma już za sobą. Jego przerzedzone włosy były prawie białe, a część twarzy zasłaniała broda. Ręce trzymał w górze, twarz miał zastygłą w wyrazie euforii, usta otwarte, a oczy dzikie.

Esta domyślała się, że to Lipscomb. Mogła tu zostawić przesyłkę i wyjść, ale gdyby się pomyliła, miałyby kłopoty. Musiała się upewnić, czy to właściwy człowiek.

Brnęła przez tłum słuchaczy, uważając, żeby nikogo nie dotknąć ani nie upuścić pakunku. Znalazła sobie miejsce w rogu, tak by nikt nie zauważył jej nagłego pojawienia się, i puściła czas wolno. Sala ożyła. Gwar był

ogłuszający, a powietrze w jednej chwili wypełniło się energią, która nie miała nic wspólnego z magią.

Donośny głos męczyzny rozchodził się po pomieszczeniu.

– Burżuazja za nic ma robotników! – krzyczał. – Oni by mogli drukować pieniądze krwią naszych dzieci. Kiedy nasze rodziny zaharowują się na śmierć w fabrykach, bogacze urządzają wystawne bale i przyjęcia. Tuczą się, a my przymieramy głodem! Spójrzcie tylko na rozrzutność wystawy światowej! – zawołał, bijąc pięścią w otwartą dłoń. – Zamiast opiewać robotnika, czyli prawdziwego ducha tego kraju, wysławia feudalną przeszłość, do której nie może być powrotu. Wznosi się pałace i świątynie w mieście, którego synowie umierają bez dachu nad głową! Spójrzcie na Towarzystwo, na ich pogańskie zwyczaje. Zwracają się ku magii, ku wiedzy tajemnej, bo rozumieją, że ludzie pracy w tym kraju nie dadzą się uciszyć. Wiedzą, że tylko pogańska moc jest w stanie powstrzymać połączone siły robotników. Ale my im pokażemy, że nawet zaklęcia nie ugaszą ognia, który tu dziś płonie! – Zrobił pauzę, rozglądając się z satysfakcją. – Towarzystwo zaplanowało paradę...

Po sali rozszedł się szmer oburzenia przetykany buczeniem. W głosie męczyzny nie było słycać nawet cienia magii, a mimo to była w nim jakaś wielka moc. Esta czuła, że mówca roznieca coś w umysłach słuchaczy, używając do tego celu jedynie słów. Ludzie pochylali się w stronę podium, chłonąc każde wypowiedane przez niego zdanie.

– Tak, ta parada to hańba. Czczą fałszywego proroka, bożka zysku i władzy, którego jedyną racją bytu jest zduszenie głosu proletariatu. Sami dobrze o tym wiecie. Widzicie to co roku, odkąd dzielni stewardzi na kolei zbuntowali się, żądając godnej płacy, i zostali zgnieceni przez burżuazyjne świnię. Każdego roku burżuazja przypomina nam, że nasze życie jest w jej rękach, rękach, które nie znają ciężaru młota ani znoju ciężkiej pracy. Ale ten rok będzie inny. W tym roku powstaniemy. W tym roku, na oczach całego świata, w obecności samego prezydenta, musimy powstać i powiedzieć: „dość!”. Musimy zawalczyć o to, co nam się należy. Siłą, jeśli będzie trzeba.

Wybuchł aplauz. Esta dla niepoznaki również biła brawo, lecz gniew i nienawiść bijące od tego człowieka przeszywały ją niemiłym dreszczem. Czowała się jak w beczce prochu, która lada chwila eksploduje.

– Jesteś pierwszy raz?

Jakaś dziewczyna stanęła obok i przyglądała jej się badawczo.

– Słucham? – Esta była zdenerwowana, że tak łatwo dała się zaskoczyć.

Nieznajoma miała na sobie ciemnopopielatą sukienkę zapiętą aż pod brodę. Była bardzo młoda i dziwnie wyglądała w tak poważnym kolorze, choć prosty krój pasował do jej surowego wyrazu twarzy.

– Nie widziałam cię tu wcześniej – dodała z pytaniem w oczach.

Mózg Esty pracował w zawrotnym tempie.

– Usłyszałem o tym... spotkaniu – wymyśliła na poczekaniu. – I chciałem zobaczyć na własne oczy, jak to wygląda.

– A kto ci powiedział? – dopytywała dziewczyna. Mówiła łagodnym, ale stanowczym tonem i przyglądała jej się podejrzliwie.

– A, taki jeden z browaru. Powiedział, że może mnie to zaciekawić.

Dziewczyna jeszcze przez dłuższą chwilę taksowała ją wzrokiem, jakby nie dowierzając, ale w końcu zmiękła.

– Jestem Greta. A ty?

– John – odparła Esta, wybierając najzwyczajniejsze, najmniej zapadające w pamięć imię, jakie przyszło jej do głowy.

– Miło, że przyszedłeś, John – powiedziała Greta, po czym wręczyła Eście płachtę papieru. – Nasz ruch potrzebuje jak najwięcej młodych i sprawnych ludzi gotowych okazać niezłomną wolę.

Ściskając notes pod pachą, Esta wzięła ulotkę, ale jej nie przeczytała.

– Dziękuję. Kto teraz przemawia?

Dziewczyna lekko zmrużyła oczy.

– Twój kolega z browaru ci nie powiedział?

Esta poczuła gulę w gardle.

– Powiedział tylko, że może mnie to zainteresować... i niewiele więcej.

– Gdzie on jest? – spytała dziewczyna. – Ten twój znajomy.

– Kto go wie? – odparła Esta, lecz wyczuwając, że to nie jest właściwa odpowiedź, dodała prędko: – Pewnie robi nadgodziny. – Wzruszyła ciężko ramionami. – Wiesz, jak to jest. Jak brygadzysta każe ci zostać, nie masz nic do gadania.

Dziewczyna wydawała się uspokojona tym wyjaśnieniem.

– Tak. Wszyscy wiemy, jak to jest. – Zerknęła na krótko w stronę mówcy. – To Caleb Lipscomb. Obecny sekretarz SPR. Jest świetny.

– O jaką paradę mu chodziło?

– O Paradę Zawołowanego Proroka, ma się rozumieć. – W oczach dziewczyny znów pojawił się błysk podejrzania. – Odbywa się co roku... – dodała cicho, jakby Esta powinna to wiedzieć.

– Jestem tu nowy – wyjaśniła szybko. – Kuzyn ściągnął mnie do Saint Louis. Powiedział, że łatwo będzie znaleźć pracę w związku z wystawą. Mieszkam tu niecałe dwa miesiące.

Dziewczyna nie wydawała się do końca przekonana.

– Mówiłeś, że gdzie pracujesz?

Esta miała wrażenie, że sztywny kołnierzyk koszuli zaraz ją udusi. Ale nie z takich sytuacji wychodziła już obronną ręką.

– W browarze Feltza.

To miejsce, należące do Ruth, było jedynym, jakie знаła w St. Louis.

Dziewczyna chrząknęła.

– Sekretarz mówi o Paradzie Zawołowanego Proroka zaplanowanej na Święto Niepodległości.

– Czy ta parada... to ważne wydarzenie? – zapytała Esta, próbując wysondować dziewczynę.

– Zależy dla kogo. Wielu mieszkańcom podoba się widowisko, ale nie brakuje takich jak my, którzy znają prawdę. – Greta wzruszyła ramionami. – To demonstracja wpływów. Towarzystwo zaczęło ją organizować w siedemdziesiątym ósmym, po strajku na kolei, który groził

paralizem miasta. Nie mogli puścić czegoś takiego płazem garstce prostych robotników, którzy w dodatku mieli ciemniejszą skórę niż oni. Dlatego wymyślili Proroka i paradę. Wykorzystują rzekome zagrożenie magią do trzymania robotników w ryzach przez cały rok, a parada przypomina o ich władzy, o tym, kto w tym kraju naprawdę jest wolny. – Twarz dziewczyny zajaśniała determinacją. – Nigdy nie ułatwiamy im życia i podczas tegorocznej parady będzie tak samo.

– Rozumiem. – Esta zerknęła na ulotkę, którą trzymała w ręku. Tłusty czarny druk dodatkowo wzmacniał gniewną wymowę tekstu.

– Baw się dobrze – rzekła dziewczyna. – Gdybyś miał jakieś pytania, możesz się zwrócić do dowolnej osoby z płachtą.

– Dzięki – odparła Esta i skierowała wzrok na przemawiającego.

Udawała, że przysłuchuje się temu, co mówi Lipscomb. Gdy po kilku minutach zerknęła przez ramię, okazało się, że dziewczyna wciąż ją obserwuje. Zaklęła w duchu. Dopóki była obserwowana, nie mogła zniknąć ani zostawić zeszytu, bo zaraz by się wydało, kim jest i co tutaj robi. Magia ułatwiłaby jej zadanie, ale nie mogła ryzykować użycia daru na oczach tej dziewczyny.

W tłumie przed nią zrobił się prześwit. Esta skorzystała z okazji i zaczęła pomału przesuwać się w kierunku podium. Co jakiś czas przystawała, jakby namyślając się nad usłyszczanymi słowami, by po chwili znów zająć zwolniony przez kogoś kawałek przestrzeni. Nie wątpiła, że dziewczyna wciąż śledzi ją wzrokiem, ale na to nie było już rady.

Wreszcie stanęła naprzeciwko mówcy. Postanowiła odczekać jeszcze dwie minuty, zanim ruszy do akcji.

– Ale musimy zachować czujność! – grzmiał Lipscomb. – Wiemy, że są tacy, którzy chcieliby pokrzyżować nam szyki. Element niepożądany, który przynosi feudalne przesady ze starych krajów: katolicy posłuszni papieżowi, a także ci, którzy nie chcą odrzucić dzikiej magii i zasilić szeregów prawdziwego proletariatu. Wiecie, o kim mówię! – wykrzyknął z gorączką w głosie.

– Robactwo! – zawołał ktoś z głębi sali.

Esta widziała, jak na dźwięk tej obelgi usta Lipscomba rozchylają się w uśmiechu.

– Właśnie. Po co tu przybywają? Dlaczego chcą nam odebrać ciężko wywalczone miejsca pracy? Zburzyć swoimi groźnymi zwyczajami ład, który staramy się budować? – Lipscomb teatralnie potrząsnął głową. – Musimy strzec się przed tymi, którzy chcieliby przy użyciu swych podejrzanych mocy zwieść prawdziwy proletariat na manowce.

Esta udawała zainteresowanie, lecz pod maską spokoju skrywała odrazę. Najwyraźniej nie tylko nie ma honoru wśród złodziei, ale i solidarności wśród uciskanych, pomyślała. Może i nie знаła tego Caleba Lipscomba, lecz znała takich jak on – i powoli wyzbywała się wszelkich skrupułów przed tym, co miała uczynić.

On zrobiłby ze mną to samo, przemknęło jej przez myśl, kiedy zbliżała się do podium. Albo coś jeszcze gorszego.

Ktoś ją potrącił i celowo wypuściła z ręki płachtę, którą dostała od dziewczyny. Pozwoliła jej opaść, a następnie schyliła się po nią i – zwinnym ruchem wyćwiczonym przez lata treningów – umieściła zeszyt na podłodze, jednocześnie chwytając róg wystającej strony. Gdy pchnęła zeszyt w kierunku podium, luźna kartka została jej w ręce.

Antistasi powiedzieli jej, że po odbezpieczeniu ładunku będzie miała niecałe pięć minut na ucieczkę. Kiedy jednak się wyprostowała, dotarło do niej, że nie ma jak się wydostać. Otaczał ją zwarty tłum rozentuzjasmowanych słuchaczy wznoszących gorliwe okrzyki. Esta szybko utorowała sobie drogę, dźgając łokciem w brzuch mężczyznę za plecami. Jęknął i zatoczył się do tyłu, na ludzi stojących za nim, a tłum, w którym emocje i tak już sięgały zenitu, odepchnął go. Chwilę później komuś puściły nerwy, w ruch poszły pięści i sala pogrążyła się w chaosie.

Esta skuliła ramiona i zaczęła się przedzierać na obrzeża tego szaleństwa. Gdy jej się to udało, owinęła czas wokół siebie i pobiegła do wyjścia.

Puściła czas dopiero na zewnątrz, przy wozie, w którym czekał na nią North. Gdy otworzyła drzwi i weszła do środka, otoczyły ją znowu wieczorne odgłosy.

– Ruszaj! – zawołała, wyglądając przez okno.

Lecz North nawet nie spojrzał znad paznokci, które przycinał sobie scyzorykiem.

– Prędej! – ponagliła go. – Musimy stąd wiać.

– Poczekajmy jeszcze dwie minuty na wszelki wypadek.

On zwariował, pomyślała.

Wciąż miała zadyszkę od biegu, a serce jej waliło, jakby chciało się wyrwać z piersi. Co to za pomysł, żeby czekać na miejscu zbrodni, aż ich przyskrzynią?

– Musimy uciekać, zanim przyjedzie policja!

– Mamy czas – odparł North, chowając nóż do tylnej kieszeni. Z wnętrza kamizelki wyjął zegarek i rzucił okiem na tarczę. – Powiedziałbym, że jeszcze co najmniej dwie minuty.

Ponieważ uciekała pod osłoną magii, czekali prawie cztery.

North właśnie podnosił rewolwer, gdy doleciało ich echo niedużej eksplozji.

Estę ścisnęło w dołku.

– Mówiłeś, że to nie bomba – powiedziała z suchością w gardle, myśląc o tych wszystkich ludziach, zwykłych robotnicach i robotnikach, którzy przyszli na wiec, bo łaknęli nadziei. Słowa Lipscomba tak ją rozgniewały, że podkładając przeznaczony dla niego ładunek, nie myślała o całej reszcie zgromadzonych.

– Nie – odparł North, spoglądając jej prosto w oczy. – Powiedziałem, że nikt nie zginie, bo to prawda. Ten ładunek w najgorszym razie pozbawi kogoś ręki albo nogi. Lipscomb trafi do szpitala i przez chwilę będziemy go mieli z głowy. – Gdy pierwsi ludzie zaczęli wylegać na zewnątrz, North obrócił pokrętło z boku zegarka.

Z budynku wydobywała się gęsta mgła i Esta nawet z odległości stu metrów czuła w powietrzu dziwną, gorąco-zimną magię.

– Co wyście im zrobili?

– Nie „co myśmy im zrobili” – odrzekł North, podnosząc wzrok znad zegarka – tylko „co ty zrobiłaś dla nich”.

Zamknął zegarek i zanim Esta zdążyła się zastanowić nad sensem jego słów, poczuła, że krew ścina jej się w żyłach, a cały świat robi się biały.

1902 rok – Nowy Jork

Violi zatkało dech w piersi.

– Jak to: z użyciem magii? – zwróciła się do Ruby, której śmietankowa cera mocno się różowiła, kiedy mówiła z przejęciem. Co tylko dodawało jej wdzięku.

– Jack wyraził się jasno. Pociąg nie wykoleił się tak po prostu. Na pokładzie nie wybuchła bomba. Tamci dwoje – Harte Darrigan, który rzekomo zginął dzień wcześniej na moście Brooklińskim, i niejaka Esta Filosik zniszczyli pociąg za pomocą magii. – Ruby nachyliła się do przodu. – Użyli magii poza Krawędzią.

– To niemożliwe – stwierdziła Viola. Darrigan musiałby mieć Księgę. No i co robiła z nim Esta? Nie...

– Skoro to nieprawda, to dlaczego Zakon robi wszystko, żeby mnie zakneblować? – spytała retorycznie Ruby.

Viola tylko pokręciła milcząco głową.

Ruby ciągnęła:

– Sam fakt, że byli gotowi zatrudnić twojego brata, by się mnie pozbyć, dowodzi, że to prawda. Są Magini poza miastem, ale to jeszcze nie wszystko. Jack powiedział mi, co się naprawdę wydarzyło w Khafre Hall tamtej nocy, kiedy spłonęło.

Viola poczuła w brzuchu ołowiany ciężar.

– Naprawdę? – Starła się zachować spokój, ale już się zastanawiała, jak głęboka jest woda wokół nich. Czyżby to była pułapka?

– Okradziono ich – oznajmiła Ruby z błyskiem satysfakcji w oczach. – Grupa Maginów weszła do ich siedziby i wyniosła stamtąd najcenniejsze skarby.

– Tak? – Głos Violi zabrzmiał bardzo słabo, sama to zauważyła.

Ruby pokiwała twierdząco głową.

– Tak, ale Zakon próbuje to zatuszować. Nikt nie pisał ani słowa o złodziejach ani o tym, co ukradziono. Dopóki Zakon uchodzi za wszechpotężny, dopóty może liczyć na poparcie mieszkańców. I dlatego jesteś mi potrzebna. Muszę się dowiedzieć, co się tam wydarzyło.

– Nic na ten temat nie wiem – zapewniła ją Viola i, zapominając, gdzie jest, omal nie wstała. Dopiero kołysanie łodzi jej przypomniało. – Wracajmy na brzeg – powiedziała do Theo. – Koniec tego.

– Co się stało? – Ruby była szczerze zdezorientowana. – Martwisz się o swoje bezpieczeństwo? Możemy cię chronić.

– Wy? – Viola aż się zaśmiała. – Wy mnie ochronicie?

– Przed Paulem Kellym, kiedy mój tekst się ukáže...

– Przed Paulem? – powtórzyła zdziwiona Viola.

– Nie rozumiesz? – Ruby zniżyła głos. – To wszystko układa się w logiczną całość. Kelly ma pod rozkazami Torria, czyli Magina. W tym samym czasie ktoś okrada Khafre Hall. Przypominam, że mówimy o Paulu Kellym, znanym przestępcy, bez obrazę – dodała, rumieniąc się jeszcze mocniej.

Viola skwitowała jej przeprosiny lekceważącym machnięciem.

– Myślisz, że to mój brat włamał się do Khafre Hall? – spytała zdumiona. Zawsze to lepiej, niż gdyby Ruby wiedziała o jej udziale w tamtym skoku – ale niewiele lepiej.

– Nie mam pewności, ale mogłabyś mi pomóc to ustalić. Gdyby udało nam się znaleźć dowody, pogrążylibyśmy mafijnego bossa i Zakon za jednym zamachem. Ratusz musiałby zerwać z Kellym, żeby podliznąć się Zakonowi, a wszyscy by zobaczyli, że Zakon jest słaby i niepotrzebny.

A gdybyśmy ustalili, co ludzie Kelly’ego ukradli, może nawet dałoby się odnaleźć te przedmioty i zadbać, żeby nie trafiły w niepowołane ręce.

Ruby sprytnie kombinowała, lecz jej spryt był niebezpieczny. Zgłębiając temat, mogła w końcu powiązać skok z Dolphem, a potem z Violą. Inna sprawa, że Viola jako źródło informacji miałaby istotny wpływ na kierunek jej dochodzenia. Jeżeli dobrze to rozegra, będzie mogła przy okazji zniszczyć Nibsy’ego Lorcana.

Wahała się chwilę, jednak wizja tego zdrajcy rzuconego na kolana stanowiła zbyt wielką pokusę. Tak, Paul był jej rodzonym bratem, ale sam wybrał sobie taką, a nie inną drogę w życiu. Viola wyjęła z kosza na ramieniu paczuszkę i podała ją Ruby.

– Co to? – Dziewczyna zrobiła okrągłe oczy i wyciągnęła rękę.

Viola się zawahała.

– Kwity z ostatnich paru miesięcy. Nie wiem, co tam jest ani czy się przyda, ale Paul ma jakieś poważne plany. Tylko przez ostatni tydzień wysłał czterech swoich ludzi poza miasto.

– Po co?

Viola wzruszyła ramionami.

– Nie jestem pewna, ale ma większe ambicje niż panowanie na ulicach. A ja znam swojego brata. Byłoby lepiej dla świata, gdyby pilnował własnego nosa.

Ruby ze ściągniętymi brwiami przeglądała kwity.

– Jest tego więcej?

– Tak, ale Paul ich pilnuje. Nie udało mi się zdobyć wszystkich. – Viola zmarszczyła czoło na myśl o tym, jak dobrze była pilnowana przez brata i jego chłopaków. – Ale wyciągnę je.

– Kiedy? – zapytała Ruby, trzymając paczkę przy sobie.

– Jak tylko będę mogła – odparła Viola, zirytowana nagłym tonem dziewczyny.

– To za mało – stwierdziła głośno Ruby, jeszcze mocniej ściskając paczkę z dokumentami. – Muszę wiedzieć dokładnie.

– Ruby – odezwał się łagodnie Theo, wiosłując już w stronę brzegu.

– Nie jestem twoją służącą! – odfuknęła Viola. – Nie będziesz mi mówić, co i kiedy mam robić.

– Nic takiego nie powiedziałam – odrzekła Ruby z czerwonymi rumieńcami na bladych policzkach. – Chodziło mi o to, że...

– O nic ci nie chodziło, *principessa!* – wybuchła Viola. Stres przebywania tak blisko Ruby, bycia uwięzioną na tyle różnych sposobów, przerwał zbudowane przez nią tamy, wylewając się na zewnątrz w postaci ognistej tyrady. – Na tym polega twój problem. Ryzyko, na które się narażasz, ciągnąc tego tu ze sobą jak szczeniaka...

– Hej! – obruszył się Theo, ale Viola niezrażona mówiła dalej.

– Nie masz pojęcia, czym jest prawdziwe niebezpieczeństwo, bo nigdy go nie doświadczyłaś w tym swoim cukierkowym świecie. Wydajesz ludziom rozkazy i nawet nie patrzysz, jak skaczą. Ale mnie nie zmusisz.

– Ja wcale... – zaczęła Ruby. – Ty po prostu... – Nie mogąc się wysłowić, jęknęła sfrustrowana i odwróciła twarz.

Viola udawała, że nie zauważyła, że oczy Ruby się zaszklily ani że głos jej drżał. Sama też się odwróciła, ignorując tamtych dwoje.

Przez kilka minut płynęli w milczeniu do brzegu. Gdy przybili do pomostu, Ruby natychmiast wstała i z pomocą chłopaka bez słowa wyszła z łodzi, jak przystało na rozpieszczoną dziedziczkę.

Theo wskoczył na pomost i podał rękę Violi, która źle się czuła w rozkołysanej łodzi. Potem przez moment stali w krępującej ciszy, jakby żadne nie chciało odejść pierwsze.

– Nie zamierzam przeproszać, jeśli na to czekasz – rzuciła do Theo, który wpatrywał się w nią trochę zbyt intensywnie.

Choć kąciki ust mu się podniosły, minę miał smutną.

– Nic podobnego – zapewnił ją.

– To co tu jeszcze robisz? – spytała nieufnie.

– Myślę... – Mrużąc oczy od słońca, Theo postukał się w brodę. – Wiesz, ona chce dobrze.

Viola wciąż patrzyła gniewnie.

– Wiem, co sobie o niej myślisz, ale znam Ruby od najmłodszych lat. Wcale nie miała tak łatwo, najpierw z ojcem, a potem z tym wszystkim, co się działo w jej rodzinie. Ona naprawdę chce pomóc. Próbuje po swojemu zrobić coś dobrego. – Widząc nieprzejednaną minę Violi, westchnął. – To się chyba nie skończy dobrze, co?

Szczerłość jego spojrzenia zmiękczyła jej upór.

– Paul Kelly to nie jest ktoś, z kim warto zadzierać...

Theo pokręcił głową.

– Nie o to mi chodziło. Choć pewnie w tej sprawie też masz rację. Miło było cię znów spotkać, Violu.

Wyciągnęła rękę i chwyciła go za rękaw.

– Czy jest jakaś szansa, żeby wybić jej to z głowy? – spytała tonem palącej troski, której nie udało jej się ukryć.

Zaśmiał się.

– Mnie się jeszcze nigdy nie udało niczego jej wyperswadować. Ona ma więcej żywotów niż kot. Uważaj na nią, dobrze?

Viola zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, co masz na myśli...

– Myślę, że wiesz – rzekł z dziwnym, drżącym uśmiechem, który na innej twarzy wyglądałby zgoła pijacko. Na twarzy Theo sprawiał jednak tylko niewinne i... sympatyczne wrażenie. – Myślę, że wiesz – powtórzył – i że pomimo brawury, która zresztą mi się w tobie podoba, zatroszczysz się o nią. Jeśli nie, będziesz miała do czynienia ze mną.

Uchylił kapelusza na pożegnanie, po czym zebrał rzeczy Ruby i pobiegł za nią. Viola została nad brzegiem wody sama, z rozdziawionymi ustami i dziwnym poczuciem, że chyba właśnie przegrała spór, nie wiedząc nawet, że go toczy.

RÓŻNICA

1904 rok – St. Louis

Harte nie miał pojęcia, gdzie umieścili go Antistasi, ale miejsce to przywodziło na myśl piwnicę. Jego oprawcy woleli dmuchać na zimne: chwilę po tym, jak wylądował na podłodze, rozległ się ten sam syk, który słyszał przedtem we wnętrzu wozu. Ten sam słodki zapach co wtedy przyprawił go o lekkie zawroty głowy i stępił jego dar. A choć tajemniczy środek zdążył od tamtego czasu wyparować, Harte wciąż czuł się tak, jakby od jego magii dzieliły go kilometry.

Sznury na przegubach dłoni zawiązano zbyt ciasno, by mógł się z nich wyswobodzić, siedział więc po ciemku i czekał. Jedyne plus tej sytuacji był taki, że narkotyk, którym go potraktowano, uciszył mieszkający w Harcie głos. Domyślał się, że samo opium nie odniosłoby takiego skutku.

Gdy w końcu otworzyły się drzwi, ręce miał już całkiem zdrętwiałe. Dźwignął się prędko na nogi, gotowy na najgorsze. Jeśli misja Esty się nie powiodła, raczej nie przyszli świętować.

– Chodź – odezwał się w ciemnościach znajomy głos. To był ten kowboj – North.

Dłonie, które chwyciły go za ramię, nie były może zbyt uprzejme, ale też nie robiły mu krzywdy, a jedynie prowadziły.

Wreszcie zatrzymali się i zdjęto mu worek z głowy. Mrugając od światła, zobaczył, że jest w niedużym gabinecie. Nie był sam. Oprócz Northa miał przed sobą Matkę Ruth, dziewczynę w srebrnych okularach, którą widział już wcześniej, oraz Estę. Esta wyglądała na zmęczoną i zmartwioną, nie rozchmurzyła się nawet na jego widok. Nie była jednak związana, co

w połączeniu z faktem, że go jeszcze nie zabito, pozwalało z nadzieją patrzeć w przyszłość.

Nawet w tym idiotycznym garniturze i przyciętych włosach robiła obłądne wrażenie.

Spojrzał jej w oczy. Wszystko w porządku?

Skinęła prawie niezauważalnie, ale potem jej wzrok powędrował w stronę Ruth.

– Zrobiłam, co chciałaś, tak jak obiecałam. Możecie go teraz rozwiązać – powiedziała. W jej głosie było coś niepokojącego, wszystko jednak wskazywało na to, że nie stała jej się żadna krzywda.

– Nie ma pośpiechu – odparł kowboj z krzywym uśmiechem.

– Zrobiła, o co ją prosiłeś, North. – Tym razem głos zabrała dziewczyna w okularach. Miała wygląd szarej myszki, ale Harte nie zamierzał się tym sugerować. Raz już nie docenił osoby w okularach i później tego żałował.

– Maggie ma rację – stwierdziła Ruth. – Dziewczyna dowiodła swej wartości... na ten moment. Możesz go rozwiązać.

Kowboj jednym płynnym ruchem wyjął i otworzył wąski scyzoryk. Szpaner, pomyślał Harte. Zachował to jednak dla siebie, ukrywając irytację pod maską absolutnego znużenia.

– Po czymś takim chyba zasłużyłam sobie na wasze pełne zaufanie – odezwała się Esta.

– Dostarczyłaś przesyłkę we wskazane miejsce – odrzekła Ruth. – To jeszcze nie daje ci prawa do stawiania żądań.

– Prawie zabiłam człowieka – stwierdziła spokojnie Esta. – Odpaliłam jakąś magiczną bombę, która zrobiła tym ludziom nie wiadomo co. Ludziom, z których strony nie spotkało mnie nic złego.

Moc uwięziona w Harcie szarpnęła się, obudzona czymś w rodzaju przyjemności. Musiał przy tym wydać jakiś odgłos, bo North zerknął w jego kierunku. Lecz Harte tylko zacisnął zęby i nakazał sobie spokój.

Ruth obrzuciła Estę wzrokiem pełnym politowania.

– Każdy z nich, gdyby dostał szansę, zrobiliby ci to samo.

– Pewności nie masz – odparła Esta bez przekonania.

– Wiesz, czym jest SPR? – zapytała Ruth.

– To socjaliści – odparła Esta. – Robotnicy pragnący godniej żyć.

Ale w jej głosie brzmiał jakiś niepokój. Coś, co zwróciło uwagę mocy uwięzionej w Harcie.

– Tak, ale jakim kosztem? – Ruth podeszła bliżej Esty. – Znam tych robotników tak dobrze jak Towarzystwo. To ludzie, którym się marzy, że pewnego dnia sami dostąpią zaszczytu pracy dla Zawołanego Proroka. Rok w rok głosują na tych, którzy najchętniej oczyściliby kraj z magii. Rok w rok dają wiarę obawom bogaczy, biorą ten strach i dźwigają go na własnych ramionach, bo to nie oni ucierpią. Ustawa, Straż, nawet samo Towarzystwo – to wszystko ich nie dotyczy. Może dawniej byli niewinni. Może faktycznie chcieli tylko lepszej płacy i więcej chleba dla swoich rodzin. Ale Caleb Lipscomb doskonale wie, co robi. Wykorzystuje ich do własnych celów. Jak myślisz, na kogo tak naprawdę są źli tamci robotnicy? Na kapitalistów, którzy mieszkają w eleganckich domach przy McPherson Avenue? – Zaśmiała się drwiąco. – Nie. Każdy z tych ludzi, którzy słuchali Lipscomba, chce zostać jednym z nich. Marzą im się takie same domy, dzieci w jedwabnych fartuszkach i żony ociekające biżuterią okupioną krwią zwykłych ludzi pracy. Złość zwolenników SPR wcale nie jest wymierzona w rządzących miastem, ale w tych, których mają pod sobą: w nowo przybyłych imigrantów gotowych pracować za mniejsze pieniądze niż oni. W Maginów, którzy nie są przecież winni temu, że urodzili się z mocami, jakie innym trudno sobie nawet wyobrazić. – Wzruszyła ramionami, którym to gestem zdołała wyrazić również poirytowanie. – Lipscomb o tym wie – ciągnęła. – To jego ludzie stali za zamieszkami w Dutchtown sprzed trzech tygodni. Trzy osoby zginęły, bo Lipscomb rozpuścił plotkę, że tamtejsi mieszkańcy ukrywają Maginów, którzy zabiorą chleb zwykłemu robotnikowi. Traktuje nas jak zagrożenie, bo wie, że nasza moc oznacza lojalność wobec czegoś znacznie większego niż jego sfrustrowani zwolennicy. Wykorzystuje gniew ludzi, bo może, bo ci ludzie

boją się tego, czego nie znają i nie rozumieją. Wiesz, co planował Caleb Lipscomb?

– Coś w związku z Paradą Zawołowanego Proroka – odparła Esta.

– Zamierzał podłożyć bomby na trasie parady. Oddałaś przysługę światu. Dzięki tobie wylądował w szpitalu i nie będzie mógł stamtąd podburzać swoich zwolenników.

– Dlaczego miałyby ci zależeć na uratowaniu Parady Zawołowanego Proroka? – włączył się do rozmowy Harte.

Ruth odwróciła się w jego stronę.

– Mam gdzieś paradę, ale za każdym razem, gdy jakaś grupa w rodzaju SPR przeprowadza akcję, Towarzystwo przekierowuje złość tłumu na starą magię. To żerowanie na ludzkich obawach i uprzedzeniach pomaga im umocnić swoją władzę. Odpowiedzialnością za niewinne ofiary obarczono by nas.

– Ale w takim razie czemu miał służyć ten ostatni atak? – spytała Esta. – To nie była zwykła bomba. Wiem, że użyliście magii. Za to nie będą was winić?

– Winić nas? – Ruth się zaśmiała. – Będą nam dziękować. Ale masz rację, to nie była bomba, tylko coś nieskończenie potężniejszego, swoisty prezent stworzony przez Maggie. – Ruth podeszła do dziewczyny i dotknęła czule jej brody. – Towarzystwo i tacy jak oni myślą, że znają się na alchemii, ale moja siostra ma do niej talent, o jakim oni mogą tylko pomarzyć.

– To jest ta rzecz, której użyliście do ataku zeszłej jesieni – powiedział Harte.

Tej samej mgły użyli, żeby unieszkodliwić jego i Estę. To nie było ani samo opium, ani zwykła magia, lecz jakieś połączenie jednego z drugim, coś zupełnie nowego. Na tę myśl wzbudziła się w nim siła i miał wrażenie, że słyszy w duszy głos, który pyta go szeptem: „Widzisz, do czego są zdolni? Jakie będą siał spustoszenie?”. Odepchnął jednak ten głos, choć

niejasno uświadamiał sobie, że to prawda. Nie dość, że Zakon wypaczał magię do własnych celów, teraz jeszcze to samo mieli robić Magini...?

– Nie – odparła Ruth, zdejmując rękę z podbródka Maggie. – Niezupełnie ta sama.

– Wtedy chodziło nam jedynie o spowolnienie prac – odezwała się Maggie. – Moje serum nie było jeszcze całkiem gotowe, potrzebowaliśmy więcej czasu.

– Serum? – zainteresowała się Esta. Spojrzała Harte'owi w oczy, lecz nie miał odpowiedzi na jej pytanie.

Ktoś zapukał do drzwi, a Ruth zawołała, żeby wszedł. Był to jeden z chłopaków, których Harte widział wcześniej koło wozu.

– Jakież wieści? – spytała Ruth z przejętą miną.

– Udało się – oznajmił chłopak, promieniejąc. – Właśnie przywieźli pierwszy przypadek do szpitala miejskiego. Dziewczynę. Czego nie dotknie, wyrastają z tego kwiaty.

Ruth odetchnęła cicho, a po jej twarzy przemknął jakby wyraz ulgi. Zwycięstwa.

– Dobrze – powiedziała. – Niech Marcus trzyma rękę na pulsie i da mi znać, gdyby cokolwiek się zmieniło. – Potem zwróciła się do Maggie: – Udało ci się. Nareszcie ci się udało.

– Co się udało? – spytał Harte, bo zniecierpliwienie wzięło w nim górę.

– Rozwiązała problem od wieków trapiący takich ja my – odparła Ruth. Oczy wręcz jej się świeciły, taka była zadowolona.

Harte pokręcił głową z niezrozumieniem.

– Dlaczego Osobni nas nienawidzą? Dlaczego zamykają nas w gettach i zmuszają do wyrzeczenia się swojej natury, tak byśmy stali się cieniami samych siebie? Aż moc płynąca w naszych żyłach zaniknie z upływem pokoleń?

– Bo mamy dar starej magii – odparła Esta dziwnie głucho. – Bo jesteśmy inni. Bo wiedzą, że posiadamy moc, której nigdy nie będą w stanie dorównać.

– Tak. Bo zapomnieli – dodała Ruth z zapalem. – Kiedyś magia była obecna wszędzie. Każdy mógł przywołać starą magię. Ale przez wieki ludzie oddalili się od korzeni swej mocy i przestali pielęgnować pamięć o niej. Ci, którzy zapomnieli, zaczęli się bać i prześladować tych, którzy zachowali związki ze starą magią. Wiecie, co to znaczy być Osobnym? – zapytała. – To znaczy być rozdartym, oderwanym. Ci, którzy pozwolili, by magia w ich krwi zanikła, stracili kontakt z ważną częścią siebie. Są okaleczeni, pęknięci, nie mają pojęcia, co w nich drzemie. Dlatego pielęgnują w sobie złość, niszczą wszystko na swojej drodze, by uśmierzyć nienazwany ból, wypełnić pustkę. – Ruth przerwała. – Ale gdybyśmy zdołali obudzić tę magię? Uleczyć to rozdarcie? Gdybyśmy przestali się różnić, bo wszyscy mieliby magię, której teraz tak bardzo się boją?

Esta zmarszczyła brwi.

– Ta mgła...

– Teraz rozumiesz? – spytała Maggie z nadzieją w głosie. – My ich uleczyliśmy.

Lecz Harte wcale nie był tego taki pewien. Znał różnicę między ciepłą, przyjemną, naturalną energią, której potrafili dotknąć Magini, a niepokojącym chłodem magii rytualnej. Wszystko, co widział, czego doświadczył w swoim krótkim życiu, podpowiadało, że magia nienaturalna jest wypaczeniem. Niebezpieczeństwem. Dolph sądził, że potrafi ją ujarzmić, ale przypłacił to życiem. Swoim i Leeny.

– Chcecie powiedzieć, że ich zaraziliście – odezwał się. – Nie pytając ich o zgodę.

Nie wyobrażał sobie, żeby to się mogło dobrze skończyć.

North zrobił krok w jego stronę, ale Ruth podniosła rękę.

– To, co zrobiliśmy, jest o wiele ważniejsze niż poszczególne osoby, które to spotkało – oznajmiła z drżącą pewnością gorliwej wyznawczyni. – Udowodniliśmy dziś, że pradawna więź ze starą magią nie zanikła, że czeka uśpiona. My tylko przebudziliśmy tych ludzi, przypomniał im, jak powinien wyglądać świat.

– Według kogo? – zastanowił się głośno Harte. Znał takich ludzi jak Ruth, przekonanych o słuszności swojej drogi. Dolpha Saundersa, który w imię sprawy uciekał się do różnych knowań i gotów był skrzywdzić nawet swoich najbliższych. Nibsy’ego Lorcana, który wyznawał inną wizję świata, lecz wierzył w nią równie żarliwie. A nawet przedstawiciele Zakonu na czele z Jackiem Grew, któremu zdawało się, że wie, jak świat powinien być ułożony. Nie ulegało wątpliwości, że Ruth i jej Antistasi w pewnym sensie niewiele się od nich różnią.

Atmosfera w pomieszczeniu wyraźnie się zmieniła, oczy Ruth były teraz zimne.

– Myślisz, że to wszystko mój wymysł? – spytała. – Antistasi są starzy jak strach przed magią i nienawiść do niej. Kontynuujemy misję poprzednich pokoleń. Diabła Ręka dowiodła dzisiaj oddania naszej sprawie. Ciekawe, jak będzie z tobą.

Esta błagała go wzrokiem, żeby ugryzł się w język, ale nie mógł się powstrzymać, nie kiedy burzyła się w nim moc Księgi.

– Dokonuję samodzielnych wyborów. Nie jestem pionkiem i nie dam się wykorzystać – oświadczył.

Esta zacisnęła szczękę i utkwiała wzrok w podłodze.

Usta Ruth lekko się wygięły, ale oczy patrzyły bez humoru.

– Cóż, panie O’Doherty. Na twoim miejscu decydowałabym się szybko.

DOGODNY MOMENT

1904 rok – St. Louis

Kiedy gruchnęła wieść o ataku, Jack stał u boku Roosevelta. Prezydent przyjechał porannym pociągiem i udali się prosto na wystawę, by wziąć udział w jednym z wydarzeń w Gmachu Rolnictwa. Roosevelt obejrzał własne popiersie wyrzeźbione, kto by pomyślał, z masła, a gdy pozował ze swoją maślaną podobizną do zdjęcia, do Jacka podszedł Hendricks.

– Mieliśmy incydent – szepnął mu do ucha. – Wszystko jest już pod kontrolą, pomyślałem jednak, że pan i prezydent powinniście o tym wiedzieć.

– Co się stało? – Jack wziął Hendricksa na bok, tak by nikt inny nie słyszał. Czyżby to był ten moment, na który czekał? Wiedział, że prędzej czy później karaluchy posuną się za daleko i będzie mógł wykorzystać ich błędy przeciwko nim.

– W jednej z fabryk nad rzeką odbywało się zebranie socjalistów – wyjaśnił strażnik. – Lipscomb został ranny w wybuchu.

– Lipscomb? – spytał Jack bez większego zainteresowania.

– To jeden z naszych, tutejszych. Socjalistyczny podżegacz z SPR. Wiele wskazuje na to, że jego ugrupowanie planowało atak na paradę w przyszłym tygodniu.

– Są ofiary śmiertelne?

Hendricks pokręcił głową.

– Nie, sir. Ale są... inne obrażenia.

Roosevelt spoglądał już znacząco na Jacka, dając do zrozumienia, że pora iść.

– Co mnie obchodzą obrażenia garstki cholernych socjalistów? – spytał zniecierpliwiony niepotrzebnym zawracaniem głowy.

Strażnik zniżył głos.

– To był atak z użyciem magii, sir. Poszkodowani mają bardzo... dziwne objawy.

– W jakim sensie dziwne? – spytał Jack.

– Jeden podpala szpitalną pościel samym dotykiem palców. Inna przywołuje deszcz płaczem. Podobno po wybuchu rozsnuła się mgła. Ci, których przywieziono już do szpitala, twierdzą, że dziwne symptomy zaczęły się po tym, jak mgła ich dotknęła. – Zawahał się. – Jakby się zarazili, sir.

Jack przyglądał się bacznie twarzy Hendricksa, próbując ustalić, czy strażnik nie przesadza.

– Zarazili? – powtórzył.

Hendricks miał poważną minę, ale rysy wykrzywiała mu odraza, jakby poczuł woń zgnilizny.

– Magią – uściślił.

Rzecz jasna, Roosevelt i jego świta natychmiast opuścili wystawę. Dopóki sprawcy przebywali na wolności, w każdej chwili mogło dojść do kolejnego ataku. Należało ich złapać i rozprawić się z nimi. Roosevelt jak zwykle zdał się w tej sprawie na Jacka. Prezydent nie do końca rozumiał, co się dzieje. Jego polityka cieszyła się niemal takim poparciem jak on sam. Prywatnie opowiedział się za ustawą o przeciwdziałaniu magii, choć wolał się z tym nie obnosić publicznie. Wciąż bowiem wiele osób uważało starą magię za przesadę, a glisty za zwykłych ludzi usiłujących normalnie żyć.

Jack wyczuwał jednak zmianę nastrojów. Te ostatnie ataki były czymś nowym, innym i nieporównanie groźniejszym. Jeśli tak dalej pójdzie, glisty same wykopią sobie grób. A Jack z przyjemnością je pogrzebie.

BRANSOLETA

1904 rok – St. Louis

Ruth patrzyła, jak ostatnie pracownice sprzątają browar przed nocą. W sumie do szpitala odwieziono piętnaście osób z symptomami magii. Piętnastu Osobnych, w których obudziły się dary. Z jednej strony był to sukces, ale z drugiej – na spotkanie z Lipscombem na pewno przyszło znacznie więcej ludzi.

Może reszta trafi do szpitala jutro. Może niektórzy się ukrywali, bo wiedzieli, co oznaczają te objawy. Wiedzieli, co świat myśli o mocy, która się w nich budzi. Jeśli nie, to serum wymagało dalszych prac, a czasu było coraz mniej.

Czwartego lipca dygnitarze z całego kraju zjadą się na Paradę Zawołowanego Proroka i doroczny bal. Antistasi muszą być wtedy gotowi. W tym roku nadarzała się wyjątkowa okazja: w związku z wystawą światową Towarzystwo urządziło coś więcej niż tradycyjny bal dla miejscowych bogaczy. Tegoroczny bal miał być próbą przejęcia kontroli nad krajem z rąk Zakonu, dramatycznego przesunięcia ośrodka władzy ze wschodu na zachód. Wśród zaproszonych znaleźli się nie tylko członkowie Towarzystwa i ci co zwykle dygnitarze, sami w sobie stanowiący atrakcyjny cel, ale również przedstawiciele różnych bractw z całego kraju. Będą tu wszyscy, którzy coś znaczą: politycy i potentaci przemysłowi, baronowie nafty i magnaci kolei, a przede wszystkim Roosevelt we własnej osobie.

Prezydent, człowiek pełen chłopięcego uroku, był popularny, ale Ruth nie miała co do niego złudzeń: tak naprawdę przyjaźnił się z tymi, którzy pomagali mu w umacnianiu władzy, a to znaczyło, że nie dbał o ludzi

podobnych do niej. Bez słowa sprzeciwu pozwolił na uchwalenie ustawy o przeciwdziałaniu magii, a teraz słono zapłaci za tamtą decyzję. Jeśli Antistasi zdołają obudzić w nim magię, której inni tak się obawiają, wszystko się zmieni. Nastanie nowa cywilizacja, w której stara magia wszystkich zrówna. Ale jeśli serum nie zadziała, jeśli nie wywrze wpływu na najważniejsze osoby, taka szansa już się nie powtórzy.

Maggie to mądra dziewczyna, pierwsze oznaki sukcesu były tego najlepszym dowodem. W razie potrzeby poprawi recepturę i serum zadziała tak, jak powinno. Ruth nie dopuszczała innej możliwości.

Odwróciła się od swoich pracowników i zaszła na nowo w gabinecie, zamykając za sobą drzwi, by nie przeszkadzał jej hałas. W górnej szufladzie biurka, owinięta w kawałek flaneli, leżała bransoletka, którą jej ludzie znaleźli na ramieniu złodziejki. Srebrna, elegancka, z wielkim ciemnym klejnotem, który w głębi mienił się kolorami tęczy.

Był zbyt ciężki jak na swoje rozmiary. I pachniał magią...

Nie była to stara magia w ścisłym znaczeniu. Ale też bransoletka nie przypominała rzeczy, na które Ruth natknęła się wcześniej, takich jak zegarek Northa, zaczarowany nabytą mocą, aby wzmacniał dar. Ludzie zabijali się o takie przedmioty, ale ten był inny. Starszy, potężniejszy.

Do stworzenia czegoś takiego nie wystarczał prosty rytuał. Rzeczy o tak głębokiej mocy wymagały żywej ofiary, a zaklęte w nich dary były bardzo rzadkie, jedyne w swoim rodzaju.

Ruth wiedziała, że każdy Magin ma unikalną łączność z esencją istnienia. Większość miała dar powiązany z istotami żywymi, z rzeczami martwymi albo z duchami. Dary były wyjątkowe jak ludzie, jedne zaznaczały się silniej, inne słabiej, bywały mocno wyspecjalizowane albo dość ogólne. Z czasem i odległością słabły, wszyscy Magini o tym wiedzieli.

Ale dawniej był jeszcze inny rodzaj daru.

Magini z mocą wpływania na więzy magii zawsze byli rzadkością. Wielu sądziło, że taki dar to jedynie legenda, jak prastare opowieści o bogach i boginiach. Ale każda opowieść kryła w sobie ziarno prawdy, a strach, że

to konkretne ziarno zakiełkuje, doprowadził do krwawych wydarzeń znanych jako Odczarowanie. Ludzie, których dar dotyczył samej istoty magii, zostali wytepieni, razem z tysiącami przypadkowych ofiar.

W tamtych mrocznych czasach magia ucierpiała, lecz nie zginęła, jak chcieli jej przeciwnicy. Teraz też nie zginie. Dzięki planom Ruth i serum autorstwa Maggie rozkwitnie na nowo. A bransoleta dosłownie spadła im z nieba. I ona, i naszyjnik były potężnymi artefaktami, zdolnymi obdarować właściciela niewyobrażalną mocą. Oba mogły odegrać zasadniczą rolę w umocnieniu wpływów Antistasi, kiedy nastąpi przebudzenie magii. Aby jednak to się stało, Ruth musiała jeszcze zdobyć naszyjnik.

W progu jej gabinetu stanął North.

– Dziewczyna jest z Maggie, a jego zamknąłem w osobnej celi. Nie będzie sprawiał kłopotów, mamy spokój co najmniej do rana.

– Tylko niech ktoś ma go stale na oku – odparła. – Gdyby zaczął coś kombinować, chcę natychmiast o tym wiedzieć.

– Jasne – rzucił North i odszedł w ciemność.

Ruth owinęła kamień flanelą i na wszelki wypadek zamknęła go w sejfie. Zamierzała strzec go jak oka w głowie, podobnie jak tej dziewczyny. Nietrudno będzie ją sobie zjednać – wystarczą odpowiednie słowa, delikatna perswazja uczyni z niej groźną broń. A jeśli ten jej towarzysz będzie sprawiał kłopoty? Rozprawi się z nim, tak jak rozprawiała się ze wszystkimi problemami na swej drodze.

CZĘŚĆ

PIĄTA



PRZEGRUPOWANIE

1902 rok – Nowy Jork

Za dużo tu facetów, pomyślała Cela, patrząc, jak jej brat i Jianyu mierzą się wzrokiem po dwóch stronach pokoju. Jak tak dalej pójdzie, jeszcze tego wieczoru dojdzie do rękoczynów. Przy czym nie mogła wykluczyć, że to ona pierwsza zacznie. Jeśli chłopcy dalej będą tak prężyć muskuły, nie ręczy za siebie.

– Skończcie już, co? – fuknęła, wręczając Ablowi kubek świeżo zaparzonej, mocnej kawy.

– Ja nic nie robię – rzekł brat, wciąż taksując Jianyu wzrokiem.

– Chcesz go powalić na łopatki spojrzeniem – stwierdziła, choć zarazem czuła pewną ulgę na myśl, że Abel w ogóle może tak na kogoś patrzeć. Jej brat żyje. – Wiem, co mówię, bo ze mną też nieraz tego próbowałeś.

– Chcę tylko mieć pewność, że nie popełniliśmy błędu, przyprowadzając ich tutaj ze sobą – wyjaśnił Abel, wskazując na Jianyu i na blondyna z mieszkania Evelyn. – Nie wiem, czy szczęście aż tak nam sprzyja, żebyśmy nie musieli się niczym przejmować.

Znajdowali się w domu, w którym Abel przebywał od czasu pożaru, w niepozornym budynku przy Sto Dwunastej Ulicy w dzielnicy o nazwie Harlem. Należał do jednego z wydawców „New York Freeman”, najważniejszej gazety adresowanej do czarnej ludności w mieście. Redakcja ostatnio zainteresowała się problematyką pracowniczą, w którą uwikłany był Abel.

– Jianyu jest w porządku – zapewniła go Cela. – Już ci mówiłam, że to przyjaciel.

– On może tak, ale ten drugi? – spytał Abel, wskazując białego chłopaka, który leżał na boku, wciąż nieprzytomny.

– On jest moim zmartwieniem – odezwał się Jianyu. Odkąd przybyli do tego zatłoczonego budynku, był milczący, ale czujny. – Mam wobec was dług za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Nie chcę nadużywać waszej dobroci. Zabiorę chłopaka i pójdę sobie.

– Nie mam nic przeciwko – podchwycił Abel, ale Cela potrząsnęła głową.

Wiedziała, jak to jest być jedyną brązową w morzu białych twarzy, bo właśnie tak było w Teatrze Wallacka. Nieważne, że dostała pracę ze względu na swój talent i umiejętności. Zawsze traktowano ją inaczej, zaczynając od tego, że pracowała w piwnicy, a kończąc na tym, jak zachowywali się przy niej artyści. Zastanawiała się, czy Jianyu czuje to samo, kiedy idzie ulicami miasta, w którym zawsze będzie uchodził za obcego – i czy czuje to w tej chwili, otoczony ludźmi, których nie zna. Jednak znajomi jej brata stali razem, odwrócenie plecami do nich, i rozmawiali między sobą.

– Nie – powiedziała. – Nie musisz stąd iść. Powiedz mu, Abel. Powiedz, że jest tu mile widziany.

Jego wahanie ją zdenerwowało.

– Powiedz mu – powtórzyła z naciskiem. – Zostawiłeś mnie samą, Ablu Johnsonie. Byłam przez tydzień u wuja Desmond i nawet nie raczyłeś po mnie przyjść. Jeśli na kogoś mogłam w tym czasie liczyć, to na Jianyu. Wyciągnął mnie z teatru po tym, jak ta wredna harpia zamknęła mnie na klucz. Nie sądzisz, że my też mamy wobec niego dług wdzięczności?

Abel zmarszczył brwi.

– To nie nasza sprawa, Cela – odparł cicho. – Mamy teraz własne problemy, własną bitwę.

– Być może, ale czy zastanawiałeś się w ogóle, dlaczego to nie nasza sprawa?

– Bo i bez tego mamy dość zmartwień.

– Tego właśnie od nas oczekują, prawda? – Cela zaczęła chodzić w kółko. – Nie widzisz, co robi ratusz? Oferuje barom dla czarnych protekcję w zamian za głosowanie po ich myśli. Nie pomagają nam, tylko nas wykorzystują, jak to politycy. Walczysz o lepsze płace, ale z kim? Kto jest właścicielem kolei? – spytała, lecz nie dała mu czasu na odpowiedź. – Powiem ci kto. Oni wszyscy należą do Zakonu.

Brat słuchał jej, ale na nią nie patrzył. Gapił się na Jianyu, jakby nie mogąc się zdecydować.

– Myślisz, że nie ma Maginów, którzy wyglądają jak my? – ciągnęła. – Nie pamiętasz historii, które opowiadał nam tata? O Afrykańczykach umiejących latać?

– To były tylko legendy.

– Tak sądzisz? – spytała cicho. – Bo mnie się wydaje, że mówił to tak, jakby to była prawda.

– Cela...

– Nie! – Przerwała mu, kręcąc głową i nie pozwalając, by znów przybrał protekcjonalny ton starszego brata. – Zmieniłam się przez ten tydzień, kiedy zostałam sama i myślałam, że nie żyjesz. Może to nie jest twoja sprawa, ale moja tak, odkąd Jianyu stał się moim przyjacielem.

Jianyu przyglądał im się z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Nie musisz się przyłączać do mojej sprawy – powiedział. – Źle się stało, że cię w to wplątano. Darrigan nie powinien był tego robić.

– Ale to zrobił – odrzekła, po czym spojrzała znowu na brata. – Jeśli on sobie pójdzie, ja idę z nim. Nie mogę się wiecznie ukrywać, Abel. Nie teraz, kiedy wiem, że Evelyn ma ten kamień, i kiedy znam jego moc. Jeśli on wpadnie w ręce złych ludzi, po kogo przyjdą, jak myślisz? To, że nie posiadamy magii, nie znaczy, że możemy czuć się bezpieczni.

Abel wyglądał, jakby zamierzał się z nią spierać, lecz przez długą, ciężką minutę tylko milczał. Dopiero gdy uniosły mu się kąciki ust, Cela zrozumiała, że udało jej się go przekonać.

– Jesteś gorsza niż mama, wiesz?

Uśmiechnęła się szeroko z oczami wilgotnymi od wstrzymywanych łez.

– To chyba najmiłsza rzecz, jaką usłyszałam z twoich ust.

– Tylko żeby ci się nie przewróciło w głowie, Króliku. Co robimy z tym drugim? – spytał Abel, poważniejąc.

Cela spojrzała tam, gdzie leżał biały chłopak, i z nerwów skurczył jej się żołądek.

– Żeby coś z nim zrobić, będziemy najpierw musieli go znaleźć.

Blondyn zniknął.

NOCNA WIZYTA

1904 rok – St. Louis

Porokój przydzielony jej przez Ruth nadal tonął w ciemnościach, gdy Esta w końcu dała za wygraną. Nie zaśnie. Zbyt wiele się wydarzyło – zniknięcie naszyjnika, porwanie przez Antistasi, wybór, którego dokonała w magazynie nad rzeką. Jej myśli były jak ptaki zrywające się do lotu, lecz nie wiedziała, czy fruną ku wolności, czy uciekają przed niewidocznym zagrożeniem.

Zostawiła ten ładunek w przypiływie gniewu i desperacji. Słowa Lipscomba poruszyły tę cząstkę jej duszy, która wciąż cierpiała z powodu straty i domagała się odwetu. Dopiero kiedy doleciał ją huk eksplozji, zrozumiała, jak daleko się posunęła. Odetchnęła z ulgą, gdy powiedziano jej, co to była za bomba – i czego tak naprawdę dokonali z jej pomocą Antistasi.

Ruth obudziła magię w Osobnych. To się wydawało zbyt fantastyczne, by mogło być prawdziwe.

A jednak miało sens. Czyż profesor Lachlan nie mówił jej, że dawniej Zakon składał się z Maginów? Bogatych ludzi, którzy przybywszy do nowego świata, ukrywali swoją prawdziwą naturę, by zacząć wszystko od nowa i nie musieć się obawiać powtórki z Odczarowania. Kiedy z czasem ich magia osłabła, zaczęli się martwić, że nowi przybysze okażą się potężniejsi od nich, dlatego zbudowali Krawędź, by chronić swoje wpływy. Popełnili jednak błąd: Krawędź zamiast tarczą stała się pułapką. W miarę zaniku magii w kolejnych pokoleniach członkowie Zakonu zapomnieli, kim byli dawniej. A może po prostu nie chcieli pamiętać.

Logicznie rzecz biorąc, tamte utracone dary mogły wciąż istnieć w uśpionej postaci. A jeśli to było możliwe, to możliwa była również inna przyszłość, bez podziałów i groźby śmierci magii. W przyszłości, w której dorastała Esta, za sto lat, większość ludzi uważała magię za wytwór wyobraźni, a Magini byli grupą na wymarcium. Gdyby jednak Antistasi zdołali teraz wskrzesić magię w całym społeczeństwie, przyszłość mogłaby wyglądać inaczej. Lepiej.

W Harcie najnowsze wieści najwyraźniej nie wzbudziły podobnych nadziei. Chwilę po tym, jak wyraził swoje zdanie, North wyprowadził go z pokoju. Esta nie mogła pójść z nimi – straciłaby wtedy zaufanie Ruth – ale musiała się z nim zobaczyć. Coś mu się stało podczas rejsu Nilem, a przecucie podpowiadało jej, że miało to związek z jego zachowaniem w gabinecie Ruth.

Nie zdziwiło jej, że drzwi do pokoju, w którym ją umieszczono, są zamknięte na klucz. Zwłaszcza po tym, co zaprezentował Harte, trudno było mieć żal do Ruth i reszty Antistasi, że nie całkiem jej ufają, mimo tego, co dla nich zrobiła. Ona sama na ich miejscu pewnie też miałaby wątpliwości. Ponieważ jednak zamknięte drzwi nigdy nie były dla niej żadną przeszkodą, owinęła się wstęgą czasu i raz-dwa otworzyła zamek wytrychem. Ominęła strażnika, który zasnął na posterunku w korytarzu, i zaczęła szukać Harte'a.

Znalazła go piętro niżej. Weszła do klitki wielkości szafy i puściła czas wolno. Na podłodze leżała puszka podobna do tej w wozie, mająca zapewne unieszkodliwić Harte'a.

Spał na wąskiej prycy, oddychał cicho i równo. Uklękła przy nim, odgarnęła mu włosy z czoła i wyszeptała jego imię. Gdy nie odpowiedział, potrząsnęła nim lekko.

Otworzył oczy i zamrugał w półmroku celi.

– Esta? – szepnął miękko, zaspanym głosem. Uniósł dłonie do jej twarzy i pogłaskał ją kciukiem po policzku, tak że poczuła falę ciepła.

– Nic ci nie jest? – spytała szeptem, by nie usłyszał jej strażnik na korytarzu.

Zaprzeczył ruchem głowy i przyciągnął ją do siebie, pomału i ostrożnie, jakby sprawdzając, jak zareaguje. Podniósł głowę i dotknął ustami jej ust, tak delikatnie, że gardło jej się ścisnęło. Poczowała kolejne uderzenie ciepła, lecz nie próbowała się odsunąć. Pierwszy raz od czasu pocałunku w pensjonacie czuła, że może swobodnie odetchnąć.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że ciepło, które czuje na ustach, to nie żar pocałunku. Gdy się zorientowała, że to moc uwięziona w Harcie próbuje się do niej wedrzeć, jego ciało nagle zeszywniało, jakby wszystkie mięśnie się skurczyły. Harte cofnął się gwałtownie i usiadł.

– Przyszłaś – odezwał się, ale jakby nie swoim głosem. Nakładała się na niego jakaś inna siła. W głębi oczu Harte’a migotały niesamowite kolory. Jego spojrzenie nie było do końca jego.

– Co... – zaczęła głosem, w którym strach mieszał się z poczuciem zdrady.

– Wiedziałaś, że przyszłaś – zamruczał ten obcy głos. Kolory w oczach Harte’a pobladły, ustępując miejsca mrocznej pustce, druzgocąco zimnej i nieprawdopodobnie starej. – Widzisz świat taki, jaki jest – popękany i straszny – i przyszłaś do mnie, tak jak się spodziewałam. Czuję twój gniew, pulsującą w tobie złość, czystą i prawdziwą. Mogę stać się ostrzem, którym przetniesz świat na pół.

Harte jęknął gwałtownie i zwinął się w kłębek na pryczy.

– Harte? – Esta jednocześnie chciała go dotknąć i odsunąć się jak najdalej.

– Nie zbliżaj się – wydyszał chrapliwie, zaciskając zęby i walcząc z tym czymś, co w sobie nosił.

Mogła tylko patrzeć i czekać, aż w końcu zaczął oddychać wolniej, a jego ciało się rozluźniło. Gdy na nią spojrzał, tym razem widziała już tylko Harte’a.

– Co ty sobie myślisz? – powiedział. – Nie możesz tak się zakradać.

Ostry ton wytrącił ją z i tak już mocno nadwątlonej równowagi.

– Do diabła, Harte! Czy to w ogóle byłeś ty, choć przez chwilę? – spytała, bojąc się odpowiedzi.

– Czy pamiętam, że cię pocałowałem? – spytał drżącym głosem. Przeczesał włosy palcami z miną tak żalną, że prawie mu wybaczyła tanto warknięcie. – Myślałem, że to sen. Dopiero po chwili zorientowałem się, że ona mną kieruje.

Esta otworzyła szeroko oczy.

– Ona?

Westchnął ciężko.

– To coś we mnie. Wydaje mi się, że to jest ona. – Opowiedział jej wszystko, co widział podczas rejsu Nilem – o kobiecie, Księdze, Thocie i kamiennym kręgu. – Na imię jej Seszat. Jest chyba czymś w rodzaju demona. Thot próbował ją powstrzymać, ale mu się nie udało. Nie umarła całkiem. Częstka jej istoty przetrwała w Księdze.

– Widziałeś to wszystko?

– Bardziej czułem. Jakbym doświadczał tego, co ona – odparł, aż się wzdrygając na samo wspomnienie. – Miała kamienie – nie te Zakonu, ale podobne. Thot je zniszczył, to ją okaleczyło. I to chyba jedyny sposób, żeby znów ją okiełznać. Jeśli połączymy kamienie, możemy uwięzić tę siłę. Musimy tylko wymyślić sposób, jak je połączyć.

Esta już wiedziała, jak to zrobić. Ona mogła je połączyć. Profesor Lachlan niedawno próbował ją do tego zmusić. Teraz sama dobrze rozumiała, że będzie musiała to zrobić, jeśli to szaleństwo ma się kiedyś zakończyć.

– Musimy połączyć kamienie za pomocą eteru – powiedziała. – Będziemy do tego potrzebowali Księgi, a kiedy ją zdobędziemy, mogę to zrobić.

Przypomniała Harte'owi, co się wydarzyło, kiedy wróciła do swoich czasów. Na twarzy Harte'a odmalowało się zrozumienie.

– Nie – zaprotestował, kręcąc głową. – Nie ma mowy.

– To jedyny sposób.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości – odparł. – Znajdziemy inny. Odzyskamy Księgę i coś wymyślimy.

Minę miał tak przerażoną i zarazem upartą, że tylko skinęła głową.

– Dobra – powiedziała.

Bo jaki był sens się spierać? W tym wszystkim nie chodziło przecież o jej życie. Jej zadaniem było dopilnować, by Nibsy nie zwyciężyły, by Zakon i jemu podobni nie zniszczyli kolejnej przyszłości. A może nawet sprawić, żeby Harte kiedyś stał się wolny, tak jak to sobie wymarzył.

– Musimy iść – oznajmił, wstając. – I tak już straciliśmy dużo czasu. Jeśli w porę znajdziemy Julię i dowiemy się, co Towarzystwo zrobiło z naszymi, będziemy mogli uciec z miasta zgodnie z planem.

Ale zanim jeszcze skończył mówić, Esta już kręciła głową.

– Nie wydaje mi się.

– Dlaczego? – spytał z oczami ukrytymi w cieniu.

– Antistasi...

– Antistasi nie są naszym zmartwieniem – uciął. – Im szybciej znajdziemy Księgę, tym więcej będziemy mieli czasu, by zapanować nad tą siłą we mnie. I tym prędzej wrócimy i powstrzymamy Nibsy'ego.

Esta nadal kręciła głową.

– Oni mają Klucz Isztar.

COŚ DO POWIEDZENIA

1904 rok – St. Louis

Harte znieruchomiał.

– Mają twoją bransoletę?

Esta sztywno pokiwała głową.

– Musieli ją zabrać, kiedy leżeliśmy nieprzytomni w wozie.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – spytał z paniką w głosie. Bez bransoletki tkwili w roku 1904. Nie mogli teraz zapanować nad Księżą, a jeśli wpadłaby w niewłaściwe ręce...

– Kiedy miałam ci powiedzieć? Nieprzytomna? Czy może przy wszystkich?

Miała rację. Odkąd porwali ich Antistasi, nie mieli nawet sekundy na osobności.

– Nic się nie stało – zaczął ją przekonywać, choć miał poczucie, że jednocześnie próbuje przekonać samego siebie. – Odzyskamy ją.

W pierwszej chwili tylko zmarszczyła brwi, jakby szukała innego rozwiązania.

– Możesz ją wykraść – zaproponował sposób, który sam się nasuwał.

– Nie wiem, czy powinniśmy – odparła. – Przynajmniej nie teraz.

– Oczywiście, że powinniśmy. Jesteś złodziejką, i to nie byle jaką. – Harte usiłował przejrzeć jej tok myślenia. – Dlaczego nie chcesz tego zrobić?

– Chcę – odpowiedziała. – Ale myślę sobie... że może warto poczekać. Posłuchaj mnie – dodała prędko, nie dopuszczając go do głosu. – Nie wiemy, gdzie teraz jest naszyjnik.

– Julien może się dowiedzieć – przypomniał jej Harte. Aby jednak porozmawiać z Julienem, musieli najpierw uciec.

– Jasne. Ale co, jeśli nie zdołamy go wykraść tylko we dwoje? Ruth i Antistasi też chcą zdobyć naszyjnik, tak? Możemy ich wykorzystać, tak jak oni wykorzystują nas.

Rzucił jej sceptyczne spojrzenie.

– Nie wiem, czy tak łatwo dadzą się wywieść w pole.

– Z Dolphem też nie było łatwo – odparła – ale to cię nie zniechęciło. Na razie dobrze byłoby mieć w nich sojuszników. Jak zdobędą naszyjnik, mogą wykraść oba przedmioty. Wtedy znikniemy.

Harte pokręcił głową.

– Ten ich cały plan zarażania ludzi magią... Nie podoba mi się to. Ludzie powinni mieć w tej kwestii coś do powiedzenia. Poza tym to niebezpieczne. Jeśli uwikłamy się w ich sprawy, możemy już nigdy nie odnaleźć pozostałych kamieni.

Ale Esta skwitowała jego wątpliwości wzruszeniem ramion.

– Wcale nie musimy dać się złapać, jeśli im pomożemy.

– Oni atakują ludzi, Esto.

– Dają im magię – przekonywała. – Próbują coś zmienić.

Harte pokręcił głową. Jak mogła tego nie rozumieć? Ci ludzie na wiecu nie zasłużyli na to, co ich spotkało. A jeśli nie chcieli magii? Jeśli woleliby, żeby wszystko zostało po staremu?

Esta skrzyżowała ramiona.

– Słyszałeś, co mówiła o nich Ruth...

– Tak – przerwał jej. – Słyszałem, co mówiła Ruth. Ale nie znamy tych ludzi. Nic o nich nie wiemy. Wierzysz jej na słowo, a przecież nas porwała.

Mimo półmroku widział determinację na jej twarzy, a uwięziona w nim siła na ten widok szarpnęła się podniecona.

– Słyszałam tych socjalistów – odparła Esta. – Słyszałam, co mówili o nas.

Harte westchnął.

– Nie sądzisz, że po tym ataku tylko się utwierdzą w swoich uprzedzeniach?

Esta zadarła podbródek, w jej oczach błysnęły ognie.

– Może jednak mimo wszystko było warto, jeśli uda się w ten sposób coś zmienić.

– Esta...

– Nie, Harte. Posłuchaj, nie wiemy, gdzie jest Jack i Księga. W tej chwili nie mamy ani jednego artefaktu. Jest gorzej, niż kiedy zaczynaliśmy – zauważyła. – Jedyne znany nam sposób na okiełznanie tej mocy w tobie wymaga użycia mojego daru. Jeśli ta siła tobą zawładnie...

– Nie zawładnie – oświadczył surowo. Nie zamierzał pozwolić Eście, by poświęciła dla niego życie.

– Jeśli to się stanie – powtórzyła – nie będę w stanie zabrać cię z powrotem. Zostaniesz w roku tysiąc dziewięćset czwartym. I dlatego wydaje mi się, że współpraca z Antistasi to nasza jedyna szansa, by naprawić to, co zmieniliśmy. Jeśli ich plan wypali, jeśli sprawią, że magia się odrodzi, będziesz miał przyszłość. Ty i wszyscy Magini. Ani Nibsy, ani Zakon nie będą mieli nad nią kontroli.

Potrząsnął głową na znak niezgody.

– Nie uwierzę, że nie mamy innego wyjścia.

– Tego nie wiem, ale musimy się z tym liczyć.

– Nie...

– Dajmy sobie dzień albo dwa. Nadal nie wiemy, gdzie jest naszyjnik, a dopóki tego nie ustalimy, nie będziemy wiedzieli, czy potrzebujemy pomocy Antistasi w jego zdobyciu. Nie ma sensu palić mostów, dopóki to nie będzie konieczne.

Nie podobało mu się to wszystko. Nie podobała mu się Matka Ruth ani jej Antistasi. I nie podobało mu się to, jak moc Księgi mruzczała zadowolona, widząc determinację Esty. To jej zadowolenie było dla niego sygnałem, że powinni szukać innego rozwiązania.

Znał jednak Estę i tę jej upartą minę. Rozumiał, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Przynajmniej w tej chwili.

– Dobrze – rzekł. – Ale jeśli pojawią się jakiegokolwiek problemy, jeśli sytuacja zacznie nam się wymykać spod kontroli, bierzemy nogi za pas. Obiecuj mi przynajmniej tyle.

Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, drzwi do ciasnego pokoiku się otworzyły i stanął w nich North. Z kamienną twarzą zmierzył ich wzrokiem. W tym spojrzeniu przebijała podejrzliwość.

Jak dużo usłyszał? – przemknęło Harte'owi przez myśl.

– Marsz! – rzekł North beznamiętnym tonem. – Oboje.

Instynkt podpowiadał Hartowi, że powinni uciekać. Teraz. Wykraść bransoletkę i uciec jak najdalej od tych Antistasi. Ich sprawa nie była jego sprawą. Nie odnajdywał się w ich wizji przyszłości. Lecz Esta spojrzała na niego z prośbą w oczach i nie potrafił jej odmówić.

ODWET

1904 rok – St. Louis

Podążając za Northem, Esta obejrzała się za siebie, by sprawdzić, czy Harte też idzie. Z głębi budynku dochodził nieokreślony hałas, który stał się zrozumiały, gdy weszli do obszernej jasno oświetlonej sali. W środku Maggie i parę innych kobiet próbowały uspokoić jakiś tuzin rozplakanych dzieci.

– Wspaniale, przydacie się – powiedziała Maggie, przekazując jedno z niemowląt Eście, która w osłupieniu nie zdążyła nawet zaprotestować.

Dziecko wilo jej się w ramionach, a gdy otuliła je ciaśniej, zapłakało jeszcze głośniejsze, ale przynajmniej była spokojniejsza, że go nie upuści.

– Skąd one się tu wzięły? – rzuciła w stronę Maggie, która właśnie podeszła do dwulatki w kącie i kucnąwszy przy niej, odgarnęła jej włosy z oczu.

Esta usłyszała za plecami dźwięk kroków. Odwróciła się i zobaczyła w drzwiach cień Ruth.

– Wygląda na to, że nasz atak na Lipscomba trafił w czuły punkt – oznajmiła. – Straż przed chwilą zrobiła nalot na Dutchtown. Pewnie szukali sprawców. Nasi przynieśli dzieci tutaj. Wszyscy wiedzą, że Maggie ma słabość do maluszków.

– Ale po co nalot? – zdziwiła się Maggie, biorąc dziewczynkę na ręce. – Przecież to było zebranie SPR. Towarzystwo powinno się cieszyć.

– Nie jestem pewna, za co ten odwet – odparła Ruth – ale to jego efekt.

– Co się stało z ich rodzicami? – spytała Esta, poprawiając sobie na rękach ciepły – a może mokry? – pakunek. Chyba jednak mokry...

– Aresztowano ich – wyjaśniła Ruth. – Zostaną osądzeni i prawie na pewno skazani na więzienie lub deportację.

– Mimo że nic nie zrobili – dodała Maggie, kołysząc dziewczynkę, aż jej płacz przeszedł w cichutkie kwilenie.

Dziecko na rękach Esty nie dawało się utulić.

– Jakby to miało jakieś znaczenie – skwitowała gorzko Ruth.

Esta rozejrzała się po sali, przebiegła wzrokiem po buziach i zaczerwienionych oczkach dzieci. Powinny być teraz w ramionach matek i ojców. Wiedziała, że nigdy nie zapomną tej chwili, kiedy rozłączono je z opiekunami.

Przypomniała sobie, jak Dolph oprowadzał ją po kamienicach czynszowych w Bowery. Widziała wtedy dzieci w podobnym wieku trzymane w domach, żeby ich magia nie wyszła na jaw. Dolph walczył o lepsze życie dla nich, próbował obalić Zakon i zniszczyć Krawędź. Chciał innej przyszłości, a dostał kulę w plecy. Co się stało z tymi wszystkimi dziećmi po jego śmierci dwa lata temu?

Jedno nie ulegało wątpliwości: Towarzystwo i Zakon są siebie warte. Towarzystwo rządziło miastem za pomocą Straży Jeffersonskiej, używając swoich wpływów podobnie jak Zakon. Nieważne, że byli poza Krawędzią, na drugim brzegu Missisipi. Nawet tu, z dala od więzienia, jakim był Manhattan, nie istniała wolność, nie dla Maginów. Nie w sytuacji, kiedy magia krążąca w ich żyłach – magia stanowiąca nieodłączną część ich natury – budziła niechęć i strach. Bez zdecydowanych działań nic się nie zmieni.

– North? – odezwała się Ruth. – Weź paru naszych i odbijcie poszkodowanych ze szpitala.

– Tych socjalistów? – zdziwił się kowboj.

– Odwet Towarzystwa był niespodziewany. Nie ufałabym Straży, że dobrze się zatroszczy o poszkodowanych. Lepiej mieć tych przebudzonych po naszej stronie niż przeciwko nam – stwierdziła. Potem obrzuciła sondującym wzrokiem Harte'a i Estę. – Weźcie ze sobą Bena. Trzeba ich

stamtąd wyciągnąć przed świtem. On wam pomoże, w razie gdyby ktoś robił problemy.

Esta spojrzała w kierunku Harte'a i napotkała jego wzrok. Wiedziała, co sobie myśli. Właśnie tego się obawiał – że wpakują się w coś niebezpiecznego. Jednak stojąc tak z płaczącym dzieckiem, czuła jeszcze bardziej niż przedtem, że powinna tu zostać.

Widziała tę straszną istotę uwięzioną w Harcie i rozumiała lepiej niż kiedykolwiek, że będzie musiała się poświęcić, aby ją powstrzymać. A ponieważ mogła to przypłacić życiem, musiała teraz dołożyć wszelkich starań, by wywalczyć dla niego lepszą przyszłość. Sprawić, że ani Zakon, ani Towarzystwo już nigdy nie będą w stanie użyć starej magii przeciwko Maginom.

U FERRARY

1902 rok – Nowy Jork

P óźnym rankiem Viola znalazła byle jaki pretekst i wyszła z New Brighton, kierując się na południe, ku Bowery, którego ulice uważała kiedyś za swój dom. Na chodnikach było już tłoczno, handlarze wystawiali stragany z towarami, kupujący targowali się o każdego centa. Gromadki dzieci bawiły się, czym popadło, i same miały na siebie oko, bo większość rodziców pracowała w pobliskich fabrykach albo warsztatach. Viola przypomniała sobie pierwsze dni tutaj, kiedy Nowy Jork wydawał się dziwnym i niebezpiecznym nowym światem. Na ulicy nauczyła się angielskiego, ale i uświadomiła sobie, jak bardzo jest inna.

Odsuwając na bok wspomnienia, skręciła w Grand Street, ku lśniącym witrynom i pozłacanemu szyldowi Ferrary. Za obrotowymi drzwiami uderzyły ją gorzkawy zapach świeżo palonej kawy i słodka woń anyżu. Ciepłe wnętrze piekarni pachniało kuchnią jej matki w okresie Bożego Narodzenia, kiedy to, mimo że rodziców ledwie stać było na opłacenie dachu nad głową, matka całymi dniami piekła *biscotti*, które potem rozdawała sąsiadom. Viola wybrała to miejsce, bo dobrze je знаła, bo miała poczucie, że to jej teren, nie ich. Zapomniała jednak, jak potężną trucizną potrafi być nostalgia. Teraz tęsknota przeszła ją na wskroś i przez chwilę Viola znów była dziewczynką o niesfornych włosach i jeszcze bardziej niesfornym sercu, niezdającą sobie sprawy, że świat będzie próbował ją słamsić i żądać od niej rzeczy, których żądać nie miał prawa.

Nie była już tamtą dziewczynką. Rozumiała zbyt dobrze niebezpieczeństwa tego świata, zatwardziałość serc, które wcześniej nauczyły się nienawidzić.

Ruby i Theo już na nią czekali w głębi piekarni. Ruby, ubrana w kolejną sukienkę, w której wyglądała jak róża na chwilę przed zakwitnięciem, rozglądała się szeroko otwartymi oczami. Na stoliku przed nią znajdował się talerz ze słodkimi wypiekami oraz trzy filiżaneczki espresso, wszystko nietknięte.

Zauważyła Violę dopiero w ostatniej chwili. Theo wstał, by się przywitać, lecz Viola tylko machnęła ręką i usiadła. Przyszła tu w interesach, nie dla przyjemności.

– Cudowne miejsce – powiedziała Ruby, uśmiechając się trochę sztywno, jakby za bardzo się starała zrobić dobre wrażenie. – Dzięki za wiadomość – dodała i sięgnęła po *sfogliatelle* z talerza. – Masz jakieś informacje? – Czekać na odpowiedź, wgryzła się w ciastko.

Viola zdążyła jedynie otworzyć usta, lecz odjęło jej mowę na widok rozkoszy, jaka odmalowała się na twarzy Ruby. Łowiąc różowym językiem płatki delikatnego ciasta, wydała pomruk błęgiego zadowolenia. Violę zamurowało, mogła tylko patrzeć z dziwną mieszaniną pożądania i beznadziei.

– No więc? – Ruby podniosła wzrok, a gdy ich spojrzenia się spotkały, jej oczy troszkę się powiększyły, a policzki oblały różem głębszym niż kolor obłędnie kobiecej sukienki.

– Ruby chyba chciała powiedzieć – wtrącił się Theo, podsuwając talerz bliżej Violi – że powinnaś się poczęstować.

– Wiem, jak smakują – odparła Viola. Zresztą miała zbyt sucho w ustach, by cokolwiek przełknąć. Przywołała się do porządku i zwróciła oczy na Theo, bo tak było łatwiej. – Mogę wam powiedzieć, jakie rzeczy ukradli Zakonowi – oznajmiła.

Ruby odłożyła ciastko i pochyliła się nad stolikiem.

– Naprawdę?

Viola pokiwała głową. Wciąż nie była pewna, czy powinna wyjawić wszystko, ale informacje, które miała, dowodziły, że Zakon kłamliwie próbował zatuszować sprawę kradzieży. Ujawnienie tych faktów byłoby

ciosem w jego wiarygodność. I właśnie dlatego Viola postanowiła powiedzieć im o Księdze i pięciu artefaktach.

– Nie wiem, czym dokładnie były – skłamała – ale stanowiły źródło władzy Zakonu.

Ruby zaświeciły się oczy.

– Masz dowód?

Tylko własne wspomnienia, pomyślała Viola i na chwilę stanęła jej przed oczyma dziwna komnata oraz ciała, które tam znaleźli. Ona i Darrigan, który potem ją zdradził.

– Nie – odrzekła – ale przyniosłam parę dokumentów. – Wyjęła plik z kieszeni w fałdach sukni i przesunęła go po blacie. Były tam dowody na związki jej brata z Nibsym oraz współpracę Stu Diabłów z gangiem z Five Points. – To za mało – przyznała – ale na początek zawsze coś.

Trudno jej się było rozstać z tym plikiem. Czuła, że zwracając ich uwagę na Stu Diabłów i Stregę, dopuszcza się najgorszej możliwej zdrady wobec Dolpha. Zaraz jednak przypomniała sobie, że Dolpha już tam nie ma. I że napuszczając Zakon na Nibsy'ego i Paola, mogą się przyczynić do ich zniszczenia.

Ruby nawet nie rzuciła okiem na papiery, od razu je schowała.

– Dziękuję ci – rzekła, wyciągając rękę nad stołem i łapiąc Violę. Gdy tylko jej dłoń w rękawiczce spoczęła na gołej dłoni Violi, Ruby zarumieniła się i cofnęła rękę.

Viola zerknęła na Theo; przyglądał im się z powagą w figlarnych zazwyczaj oczach. Niedobrze, pomyślała. Może i wyglądał jak szczeniak, ale był spostrzegawczy, zbyt spostrzegawczy. Viola, która znała się już trochę na ludziach, wiedziała, że nie wolno jej go lekceważyć.

– Wydaje mi się, że Paul ma tego więcej – powiedziała. – Coś knuje, coś dużego, co chwila wysyła kogoś poza miasto. To chyba ma jakiś związek z Zakonem i tymi ukradzionymi rzeczami. – Zmarszczyła brwi. Paolo mógł sobie być jej bratem, ale nie zamierzała dopuścić, by kiedykolwiek posiadał moc, która dawniej była udziałem Zakonu.

Ktoś wszedł do piekarni i mówił coś z przejęciem, na tyle głośno, że Theo spojrział w tamtą stronę.

Ruby odłożyła ciastko.

– Co się dzieje? – spytała. – O czym rozmawiają?

– O jakimś pożarze – odparła Viola, która jako jedyna z ich trojga rozumiała po włosku. – Płonie któraś remiza strażacka.

– Remiza strażacka? Dziwne – zauważył Theo.

Viola znów nasłuchiwała, dobrze rozumiejąc strach w głosach rozmawiających.

– Nie takie dziwne – odparła. – Wiecie, ile budynków spłonęło tylko w zeszłym tygodniu? Strażacy nawet nie kiwnęli palcem, żeby je ugasić.

– Jak to? – spytała Ruby, marszcząc czoło.

– Zakon wysyła w ten sposób sygnał – rzekła Viola ze wzruszeniem ramion. Początkowo miała zamiar nie dotykać jedzenia, bo nie chciała, żeby cokolwiek jej fundowali, ale Ruby wciąż miała cukier puder w kącikach ust i Viola musiała się czymś zająć, żeby nie zwariować. Sięgnęła więc po filiżankę espresso i wypila kawę jednym haustem, tak by ciepła gorycz uzbroiła ją przeciwko własnej głupocie.

– Nie rozumiem – rzekł Theo.

– W tej części miasta większość komisariatów policji i oddziałów straży pożarnej znajduje się pod kontrolą władz – wyjaśniła Viola. – Zakon za pomocą ratusza bierze odwet na mieszkańcach Bowery za to, co się wydarzyło niecałe dwa tygodnie temu.

– Szukają artefaktów? – spytała Ruby.

– I wysyłają sygnał.

Słyszając, że mężczyzna coraz bardziej podnosi głos, Viola zmarszczyła brwi.

– Co teraz mówi? – chciała wiedzieć Ruby. Nachyliła się nad stołem.

Viola miała ochotę wyciągnąć rękę i zetrzeć jej cukier z kącika ust, ale tylko zacisnęła palce na fałdach sukni.

– Coś się święci – stwierdziła.

Ruby znów jej się przyglądała tymi oczyma w kolorze oceanu. Viola musiała uważać, żeby w nich nie utonąć.

– Co masz na myśli?

Nie musiała im nic więcej mówić. Ta wiedza nie była im do niczego potrzebna. Ale Ruby patrzyła na Violę takim szczerym wzrokiem – niemalże jak na przyjaciółkę, kogoś równego sobie – że Viola odpowiedziała, nim zdążyła ugryźć się w język.

– Oni twierdzą, że woda nic nie daje. Ktoś podsyca płomienie magią.

PRZEBUDZENI

1904 rok – St. Louis

North niespecjalnie wziął sobie do serca to, co powiedziała Maggie: że trzeba dać temu nowemu szansę. Niespecjalnie go też obchodziło, że Diabła Ręka dostarczyła bombę we wskazane miejsce. Za późno ich nakrył, by usłyszeć, o czym dokładnie rozmawiali. Wciąż jednak im nie ufał, mimo że Ruth zaczynała się do nich przekonywać. I właśnie dlatego siedział teraz obok Bena – jeśli faktycznie miał tak na imię – w drodze do szpitala po nowych towarzyszy broni. Po obławie na Maginów z Dutchtown Matka Ruth wolała nie ryzykować, że i pacjenci wpadną w ręce Straży. North też wolał nie ryzykować, bo Ben wydał mu się urodzonym blagierem.

Szpital znajdował się na północy miasta, z dala od rwetesu wystawy. Był jeszcze środek nocy, więc minęli tylko paru podróżnych. Uratowanie przebudzonych nie powinno stanowić problemu, zwłaszcza że mieli w szpitalu na nocnej zmianie swojego człowieka.

Tak czy inaczej, należało sprawę załatwić jak najszybciej. North delikatnie smagnął konie cugłami. Siedzący obok Ben milczał, lecz North czuł na sobie ciężar jego spojrzenia. Po kilku milach nie wytrzymał.

– Masz jakiś problem? – spytał ze złością. – Chcesz mi coś powiedzieć?

Gdy już myślał, że nie doczeka się odpowiedzi, Ben przemówił dziwnym głosem:

– Twój tatuaż...

North tyle się już nasłuchał o swoim tatuażu, że zwykle ukrywał go pod ubraniem. Tym razem jednak, wyrwany ze snu, nie zadał sobie trudu, by zapiąć rękawy naprędce włożonej na siebie koszuli, a teraz, gdy powoził, jeden z nich podwinął się, ukazując ciemny krąg na lewym nadgarstku.

– Co z nim? – North wyzywająco zadarł podbródek.

– Znałem kogoś, kto miał podobny – odparł Ben.

– Wątpię. – North obrócił nadgarstek, odsłaniając wymalowaną bransoletkę w kształcie węża zjadającego własny ogon. – Chyba że należał do Antistasi.

– Nie był może taki sam, ale coś w tym rodzaju – powiedział Ben, mrużąc oczy. – Czy to znaczy, że to jest wasz symbol?

– To? To jest uroboros, znak o wiele starszy niż ruch Antistasi. Ale faktem jest, że Antistasi przyjęli go jako swój, prawdopodobnie w okresie Odczarowania. To był ich znak rozpoznawczy – dodał, opuszczając rękaw. Tym razem zapiął guziki u mankietu.

– I musiałeś dać go sobie wytatuować, żeby wstąpić do organizacji? – spytał Ben.

North czuł, że stara się zachować nonszalancki ton, ale kiepsko mu to wychodziło.

– Nic nie musiałem – odparł. Zrobił sobie tego węża, mając szesnaście lat. To była obietnica dana sobie i ojcu, którego stracił. Czystym przypadkiem natknął się niedługo potem na Matkę Ruth, która szczęśliwie wzięła go pod swoje skrzydła. – Nikogo się nie zmusza, żeby go sobie wytatuował. Nie żyjemy w średniowieczu.

– Ale zrobiłeś go sobie.

– Bo podobało mi się jego przesłanie – odpowiedział North. – Wąż zjadający własny ogon to prastary symbol wieczności. Nieskończoności.

Odrodzenia.

Przedtem North był innym człowiekiem, a wąż na przegubie dłoni przypominał mu, że kiedyś będzie jeszcze kimś innym.

– Wąż oddziela świat od chaosu, z którego ten świat powstał – stwierdził Ben, jakby coś o tym wiedział. – Życie i śmierć, dwie strony tego samego medalu, jak zwykł mawiać mój przyjaciel. Jedna nie może istnieć bez drugiej.

North zmarszczył brwi. Nie wiedział, jak rozumieć te słowa. Nigdy o tym w ten sposób nie myślał i chyba nie chciał.

– Antistasi używają go jako symbolu magii. Bo wszystko na tym świecie, słońce, gwiazdy, nawet czas, zaczyna się i kończy magią.

– I jeśli skończy się magia – dodał Ben cicho, z powagą – skończy się świat.

North prychnął.

– Magia nie może się skończyć. To właśnie pokazuje ten symbol. Magia nie ma początku ani końca. Od czasu Odczarowania próbowano nas wykurzyć z kryjówek i pozabijać, ale się nie udało. Jesteśmy elastyczni, dostosowujemy się i zmieniamy.

– Wierzysz w to? – spytał Ben, przyglądając mu się z ciekawością w oczach.

– A ty nie?

Ale Ben nic nie odpowiedział, nie było zresztą na to czasu, gdyż właśnie dojechali na miejsce.

North zawrócił wóz, tak jak się umówili, po czym zagwizdał kilka razy, otrzymując podobną odpowiedź. Parę minut później otwarto szpitalną bramę. Teraz ich misja zaczęła się na dobre.

Do przeniesienia było mniej więcej tuzin chorych. Jeden miał dłonie w bandażach, wszyscy sprawiali wrażenie potulnych i sennych.

– Co z nimi? – spytał Ben. – Czy to działanie serum?

North potrząsnął głową.

– To nie serum. Pewnie czymś ich nafaszerowano w szpitalu, tak na wszelki wypadek. Obstawiam morfinę. – Rozumiał powody, którymi mogły się kierować pielęgniarki. Nowi Magini sprawiali kłopoty, bo nie umieli jeszcze panować nad swoimi mocami.

Rozumiał też, jaki cel przyświecał Ruth, gdy postanowiła obdarować tych ludzi magią. Nie takiego widoku się jednak spodziewał. Ruth mówiła, że chce uwolnić tych ludzi, ale oni wcale nie wyglądali na wolnych.

Sprawiali raczej wrażenie wyczerpanych, jakby wytarzano ich w błocie. Wyczerpanych i przestraszonych.

Jako ostatnia wyszła młoda kobieta, miała nie więcej niż osiemnaście lat. Blond włosy zwisały jej smętnie wokół twarzy, a przez garść piegów na nosie wyglądała jeszcze młodziej. Tak jak reszta miała osłupiałą minę, ale w odróżnieniu od pozostałych zatrzymała się, by porozmawiać z Northem.

– Kim jesteście? – spytała. – Dokąd nas zabieracie?

– Jesteśmy waszymi przyjaciółmi – zapewnił ją North. – Zabierzemy was w bezpieczne miejsce.

Zmarszczyła brwi, oczy wciąż miała zaszkłone od narkotyku.

– Szpital nie jest bezpieczny?

North westchnął. Każda minuta bez snu tej nocy dawała o sobie znać. Nie miał czasu na wyjaśnianie tej dziewczynie, jak będzie teraz wyglądał jej świat.

– Jak masz na imię? – spytał.

– Greta – odparła z konsternacją w sennych oczach.

– Wiesz, co się z tobą dzieje, Greto?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Oczy lśniły jej od powstrzymywanych łez.

– Nie chcę tego robić, ale nie mogę na to nic poradzić...

– W porządku, złotko. Coś się w tobie przebudziło, to wszystko. Odzyskałaś magię. – Starał się nadać głosowi ten sam nabożny ton, jakiego używała Ruth, ale wyszło mu to dziwnie, a dziewczyna jeszcze bardziej zmarszczyła brwi.

– Pan Lipscomb... Caleb. Był wybuch. Czy on...

– Nic mu nie będzie – zapewnił ją North.

– Niczego nie chcieli nam powiedzieć. Trzymali nas pod kluczem, ale nie chcieli powiedzieć, co się dzieje.

No tak. Teraz, gdy w tych biedakach odkryto starą magię, będą traktowani jak pariasi.

– Przyszliśmy was uwolnić – odparł łagodnie.

Jednak dziewczynie drżał podbródek, a chwilę później miała już mokre policzki. Myślał, że to łzy, ale zaraz się zorientował, że jego twarz także jest mokra.

– Pada – stwierdził Ben, zadzierając głowę. – A na niebie ani jednej chmury.

Greta siąknęła.

– Przepraszam. Nie wiem, dlaczego to się dzieje. Nie umiem przestać.

North nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Wcześniej myślał, że ci ludzie, którym podarowali magię, będą jak odrodzeni, a tymczasem wyglądali, jakby mieli ochotę skulić się i umrzeć. Nie znał słów, którymi można by ukoić taki smutek, ani nie miał pewności, czy w ogóle mieściłoby się to w jego gestii. Bez słowa pomógł Grecie wsiąść do wozu, a przed zamknięciem drzwi odbezpieczył butelkę z miksturą Maggie i wrzucił ją do środka.

– Czy to naprawdę konieczne? – spytał Ben. – I tak ledwie chodzą. Raczej nie będą sprawiać kłopotów.

– Są jak dzieci – wyjaśnił North. – Nie panują nad tym, co mają. Jeden mimo woli podpala własne ręce, druga zostawia pnącza na wszystkim, czego się dotknie. Do browaru jest kawał drogi, nie możemy ryzykować. Gdy już bezpiecznie dotrą na miejsce, będziemy mogli nauczyć ich samokontroli. – Spojrzał na Bena. – Pamiętasz, jak to było, nie? Kiedy sam byłeś dzieckiem i nie zdawałeś sobie w pełni sprawy ze swojej mocy...

– Tak... – W głosie Bena słychać było echo jakiegoś dawnego żalu. – Pamiętam.

– No właśnie. – North wspiął się na kozioł z przecuciem, że nie tylko jego prześladowały duchy przeszłości.

Wzmianka o dzieciństwie skutecznie uciszyła Bena. Tym lepiej, pomyślał North. Miał za dużo do przemyślenia, by tracić czas na rozmowę.

Wracali do browaru w ciszy, a widnokrąg rozjaśniało już światło poranka. Ale to Ben pierwszy spostrzegł dym.

– Co to? – Wskazał palcem jasny punkt na horyzoncie, gdzie ku niebu wznosiły się, przesłaniając gwiazdy, czarne kłęby jak z sennego koszmaru.

Browar płonął.

LIBITINA

1902 rok – Nowy Jork

Gdy Viola, upewniwszy się, że Theo i Ruby trafią bezpiecznie do swojej części miasta, wróciła do New Brighton, Paul wiedział już o pożarze. Chodził w tę i we w tę, pokrzykując na swoich ludzi. Ten, którego nazywali Brzytwą, stał nerwowo z boku.

– Gdzie byłaś? – naskoczył na nią Paul, ledwie przestąpiła próg. Na twarzy miał plamy wściekłej czerwieni.

– Przejść się – odparła, udając, że nie dostrzega jego wzburzenia.

– Przejść się?

Wzruszyła ramionami.

– Potrzebowałam świeżego powietrza.

Po spotkaniu z Ruby nadal potrzebowała świeżego powietrza, lecz Paul nie musiał o tym wiedzieć.

– A ja potrzebowałam ciebie tutaj! – fuknął. – Remiza trzydziesta trzecia się pali i to nie jest normalny ogień. – Patrzył na nią gniewnie, jakby to była jej wina.

Viola zrewanżowała mu się podobnym spojrzeniem.

– Myślisz, że to ja podпалиłam?

– A do czego potrzebne ci było to powietrze?

Zmarszczyła brwi. Dotarło do niej, że wszyscy członkowie gangu przyglądają jej się pytająco.

– Ogień nie jest w moim stylu, Paolo. Wiesz dobrze.

– Jeśli ta remiza spłonie, ratusz nie będzie zadowolony – zauważył Brzytwa. – Musimy coś zrobić.

Paul warknął bezsilnie i wziął Violę pod rękę.

– To twoi ludzie, więc mi pomożesz.

Gdy dotarli na miejsce, w powietrzu było pełno dymu. Płomienie wyrywały się z łukowatych okien, a ceglana elewacja poczerniała od sadzy. Oddział straży polewał ogień wodą z beczkowozu, lecz nie przynosiło to żadnego skutku, zapewne dlatego, że ciepło w powietrzu nie pochodziło wyłącznie z pożaru.

Gdzieś w pobliżu musiał być ktoś z darem ognia, lecz gdzie? Viola potoczyła wzrokiem po tłumie. Stara magia opierała się na łączności ze światem zewnętrznym, przez co wymagała skupienia i, bardzo często, kontaktu – jeśli nie fizycznego, to przynajmniej wzrokowego. Osoba odpowiedzialna za pożar nie mogła być daleko.

– Znajdź robaka, który to robi, albo nie masz po co wracać do New Brighton – oznajmił Paul.

Viola puściła tę obelgę mimo uszu. Słyszała już od brata gorsze rzeczy.

– A co mam zrobić, jak go znajdę?

– Jesteś moim ostrzem czy nie? – przypomniał jej Paul.

– Nie mam noża – odparła. – Sam o to zadbałeś.

– Ile razy mam ci powtarzać, że go nie potrzebujesz? Pospiesz się, zanim będzie za późno.

Przeszło jej przez myśl, żeby się pokłócić, ale nie zdążyła, bo w jednym z okien pękła szyba i buchnęły płomienie. Jeśli ktoś władający starą magią zniszczy remizę, władze miasta wezmą odwet. Niewinni ludzie mogą oberwać rykoszetem.

Nie mając wielkiego wyboru, Viola zanurkowała w tłum. Rozglądała się bacznie za potencjalnym sprawcą, skupiając się na ciepłej energii, która nie miała związku z ogniem. Po paru chwilach ujrzała znajomą postać na schodach budynku dwa numery dalej.

Nibsy Lorcan.

Jego złote oprawki błyszczały w blasku pożogi. Obok niego stał chłopiec o włosach w kolorze ognia i wpatrywał się z natężeniem w płonąca remizę.

Viola skierowała swoją moc w tamtą stronę, a gdy znalazła jego bijące serce, lekko za nie szarpnęła. Nie na tyle, by go zabić, ale wystarczająco mocno, by upadł na ziemię.

Nibsy spojrział na chłopaka, po czym zaczął przeczesywać wzrokiem tłum. Wyłowił ją szybko i uśmiechnął się do niej, jakby zdał sobie sprawę, że jest niegroźna.

Co to za morderczyni, która nie potrafi zabić?

Ale ten chłopak był kiedyś w gangu Dolpha. Jak mu było na imię? Nie mogła sobie przypomnieć, ale wiedziała jedno: to nie on zasługiwał na śmierć. Ten zaszczyt należał się Nibsy'emu, który uśmiechał się teraz, jakby czytał w jej myślach – i ani trochę się nie przejmował.

Ile by dała, żeby zetrzeć mu ten uśmieszek z twarzy.

Skupiła się na miarowym tętnieniu krwi w jego żyłach, napawając się świadomością, że trzyma w garści życie Nibsy'ego. Tak łatwo byłoby je przerwać. Mogłaby zaprzedać resztkę swojej duszy w imię zemsty za śmierć Dolpha. Nie żeby jej zbrukana dusza miała jeszcze jakąkolwiek wartość, ale czuła, że w tej chwili mogłaby to zrobić.

Co więcej. Zabije go własnymi rękoma.

Ulica była pogrążona w chaosie. Gdy woda zaczęła w końcu gasić ogień, w tłumie gapiów rozległo się buczenie, lecz Viola prawie go nie słyszała. Szła przed siebie załamana od dymu, ze spojrzeniem wbitym w Nibsy'ego.

Wyszedł jej na spotkanie. Im bardziej się do niego zbliżała, tym większe rozbawienie migotało w jego oczach.

– Mam nadzieję, że pogodziłeś się ze swoim bogiem, Nibsy – rzekła. – Przyszłam po ciebie.

Nawet mu powieka nie drgnęła.

– Gdybym wierzył w boga, dawno straciłbym w niego wiarę. Nie przestraszysz mnie. Jeślibyś chciała mnie zabić, leżałbym już trupem.

Wykrzywiła usta w groźnym uśmiechu.

– A może wolę się nad tobą popastwić?

– Widzę, że pobyt u rodziny ci służy. Jesteś jeszcze bardziej czarująca niż zwykle – stwierdził Nibsy, kołysząc się lekko na piętach.

– *Bastardo!* – rzuciła w jego stronę. Zetrze mu z twarzy ten uśmieszek zadowolenia i zrobi to gołymi rękoma.

– Nie jestem twoim wrogiem – powiedział cicho.

– Ciekawe – skwitowała. – Wiem, co zrobiłeś. Zdradziłeś Dolpha. Nas wszystkich.

– Nigdy cię nie zdradziłem. Dolph Saunders był zagrożeniem dla siebie i dla takich jak my. Rozpętałyby wojnę, którą byśmy przegrali. Chroniłem Stu Diabłów i wszystkich Maginów – rzekł takim tonem, jakby sam w to wierzył.

– Nie potrzebowałam twojej ochrony – odparła z pogardą.

– Nie? – zapytał drwiąco. – Rozumiem, że dobrze ci u brata? – Gdy odpowiedziała mu wściekłym spojrzeniem, mówił dalej: – Tobie było pisane coś więcej niż rola pomywaczki u Paula Kelly’ego. Tak, wiem, do czego cię wykorzystuje. Chwalił mi się. Jesteś „jego ostrzem”. Pokazał ci twoje miejsce w szeregu. – Nibsy pokręcił głową. – Ładne mi ostrze. Do obierania ziemniaków.

– Ciebie też mogę obrać ze skóry.

– Ciekawe czym? – zakpił Nibsy. – Brakuje ci jej, co? – zapytał z błyskiem drwiny w oku.

Libitina.

– Nawet byś nie wiedział, co z nią zrobić. Ale się nie martw. Niedługo ci ją odbiorę, a potem wytnę ci serce i położę na grobie Dolpha.

– Jesteś taka żądna krwi – odparł z rozbawieniem w oczach. Zaraz jednak spoważniał. – Jeśli chcesz, możesz spróbować mi odebrać nóż, choć wolałbym ci go po prostu oddać.

Zmrużyła oczy, wężąc podstęp. Ten chłopak był śliski jak węgorz.

– Dlaczego miałbyś to zrobić? Jeśli masz choć trochę oleju w głowie, powinieneś wiedzieć, że od razu wbiłabym ci go w serce.

– Bo mimo wszystko myślę, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi.

ZIARNO ZWĄTPIENIA

1902 rok – Nowy Jork

James Lorcan patrzył, jak niedowierzanie w oczach Violi ustępuje miejsca czystej nienawiści.

– Nigdy! – Bardziej wypluła, niż powiedziała.

Niczego innego się nie spodziewał, ale to go nie zniechęciło. Przechylił pojednawczo głowę.

– To może chociaż sojusznikami?

Wzdrygnęła się. Widział, że chce się z nim spierać – zawsze chciała się spierać – ale nie dopuścił jej do głosu.

– Zależy nam na tym samym, nieprawdaż? – zarzucił haczyk. Owszem, mogła go zabić w mgnieniu oka, i to bez pomocy noża, lecz James znał jej słaby punkt, utrzymywany przez Dolpha w tajemnicy przed resztą. Zgubny moralny kompas zakazujący jej zabijania z użyciem daru. Zresztą gdyby zamierzała go zaatakować, zorientowałyby się prędzej niż ona sama. I dlatego naciskał dalej: – Oboje chcemy obalenia Zakonu. Wolności dla naszych.

– Dolph chciał tego samego i zginął z twojej ręki – zauważyła.

– Czy na pewno chciał tego samego? – James zamilkł na chwilę dla lepszego efektu. Przyglądał się Dolphowi i Violi w tamtych dniach, kiedy wszystko się decydowało, i teraz miał wiedzę, która pozwalała mu to ładnie rozegrać. – Powiedział ci to? Nie sądzę. Nikomu z nas nie wyjawiał swoich planów w całości. Nie uprzedził cię, co się może wydarzyć w Khafre Hall, prawda? Pozwolił ci wdepnąć w pułapkę zastawioną przez Darrigana.

Patrzył, jak Viola milcząco zaciska szczękę. Nie zaprzeczyła, bo nie mogła.

– Idę o zakład, że nie powiedział ci o tym, jak wpędził Leenę do grobu.

– Kłamstwa! – syknęła. – Nic takiego nie zrobił. Nie skrzywdziłby jej.

James musiał się bardzo starać, żeby zachować smętną minę, nie dać po sobie poznać przyjemności, jaką mu sprawiała ta rozmowa.

– Nosisz jego tatuaż, prawda? Jak myślisz, skąd wziął moc, dzięki której uczynił je batem na nas? Oczywiście, że od niej. Jak inaczej wytłumaczysz to, że Leena tak łatwo wpadła w ręce Zakonu?

Viola kręciła głową, jakby odpychając od siebie niewygodną prawdę, ale widział, że jego słowa wnikają w nią coraz głębiej, kruszą jej opór.

– Nie musisz mi wierzyć na słowo – dodał, wyciągając pakunek zza pazuchy. – Proszę.

Widział po niej, że od razu się domyśliła, co to jest. Zmrużyła oczy, jakby czekając, aż wyjawí swój podstęp. Nie była przecież głupia. Co nie znaczy, że dorównywała mu sprytem.

– To taki drobny prezent na dowód moich szczerych intencji. Znajdziesz tam wszystko, co chciałabyś wiedzieć – oznajmił. Dzięki zeszytom z mieszkania mógł jej przedstawić własnoręczne zapiski Dolpha potwierdzające jego wersję... w każdym razie na pierwszy rzut oka. – Ja, inaczej niż Dolph, nie mam sekretów przed przyjaciółmi.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi i nie obchodzą mnie twoje sztuczki – odparła, lecz nie uszło jego uwagi to, jak mocno trzymała paczkę przy sobie. – Ale zachowam swój nóż.

– Żadnych sztuczek – zapewnił ją, po czym odszedł. Zrobił trzy kroki w stronę Moocha, który leżał nieprzytomny – ale żywy – na ziemi. Trzy kroki, żeby miała czas pomyśleć o tym, co się właśnie wydarzyło, żeby zasiana w niej wątpliwość zakiełkowała. Potem się odwrócił. – Aha, jeszcze jedno. Skąd ta pewność, że to ja zdradziłem? Co z Jianyu? Nie było go z nami na moście. Nigdy nie wrócił do Stregi. Jestem przekonany, że działał w zмовie z Darriganem.

– Dlaczego miałby?

– A dlaczego nie? Nigdy tak naprawdę nie był jednym z nas, nie uważasz? Zawsze powtarzałem Dolphowi, że nie powinien mu ufać. Ale jeśli mi nie wierzysz, sama go spytaj. Mogę się założyć, że Jianyu zjawi się na wielkiej gali Zakonu. Podobno może się tam pojawić jeden z artefaktów – pierścień zwiększający moc daru. Jianyu raz już próbował go zdobyć. Zdziwiłbym się, gdyby nie spróbował znowu.

A gdy staną naprzeciwko siebie, to James wyjdzie zwycięsko z tej konfrontacji.

FALA PANICZNEGO STRACHU

1904 rok – St. Louis

Siedzący obok Harte'a North ponaglił konie, lecz zmęczony zaprzęg przyspieszył tylko nieznacznie. Takie przynajmniej wrażenie odniósł Harte, gdy jechali ku coraz mocniej szalejącym płomieniom.

Kiedy dotarli na miejsce, co najmniej połowa browarnego magazynu, w którym przechowywano beczki z gotowym trunkiem, stała w ogniu. Główny budynek z biurem i pokojami do spania nie płonął, ale Harte wiedział, że nie będzie spokojny, dopóki nie zobaczy Esty na własne oczy, całej i zdrowej.

Myśl o utracie dziewczyny nie tylko jego zalała falą panicznego strachu. Szesat też się bała. Czuł, jak się w nim rzuca, domagając się rozpaczliwie, by powiedział tym ludziom, jak ważna jest dla nich Esta.

Harte zeskoczył na dół, jeszcze zanim wóz na dobre się zatrzymał. North podbiegł do Ruth, która stała podparta pod boki wśród garstki ludzi i toczyła wokół morderczym wzrokiem.

– Co się stało? – wydyszał Jericho.

Migotliwy blask ognia dodatkowo podkreślał wściekłość malującą się na twarzy Ruth.

– Oskarżono nas o pomaganie przestępcom – wycedziła ze złością. Jej wzrok powędrował na chwilę w stronę szeregu ludzi w ciemnych marynarkach i znajomych opaskach na ramionach.

Straż Jeffersonska.

– Przestępcom? – powtórzył Harte.

– Nieważne – odparła Ruth. – Wymyślili byle pretekst, by nas ukarać za to, że mieliśmy czelność pomagać dzieciom.

– To Straż podłożyła ogień? – spytał Harte.

– Nie żebyśmy mieli na to jakiś dowód – przyznała Ruth. – Mają jednak swoich ludzi, którzy potrafią wzniecić pożar bez jednej zapałki, tak jak my.

– Gdzie jest Esta? – zapytał Harte, nie widząc jej wśród zebranych.

– Jest z Maggie i paroma innymi – odrzekła Ruth. – Wynoszą dzieci tylnym wejściem, żeby Straż nie widziała.

– Pomogę im – oznajmił Harte i ruszył w stronę budynku.

– Nie przepuszczą cię! – zawołała za nim Ruth, ale jej nie posłuchał.

Myślał tylko o jednym: żeby odnaleźć Estę i dopilnować, by nic jej się nie stało.

Kiedy zbliżał się do kordonu strażników, rozległ się huk eksplozji, a po jednej stronie budynku rozprysły się szyby i z okien buchnęły płomienie. Harte przyspieszył kroku, ale Ruth miała rację. Natychmiast doskoczyło do niego kilku strażników, żeby go odciągnąć.

– Nie ma przejścia – oznajmił najwyższy. – Ze względów bezpieczeństwa – dodał z lekkim uśmiechem.

– Tam mogą być ludzie – zaprotestował Harte, próbując się przedrzeć, ale miał przeciwko sobie pięciu mężczyzn.

Odepchnęli go bez najmniejszego trudu.

Z drzwi głównego budynku, gdzie w ogromnych kadziach warzyło się piwo, wydobywał się ciemny dym. Płomienie zaczęły już trawić dach, lecz kordon strażników nie pozwalał nikomu walczyć z ogniem.

Po chwili u boku Harte'a wyrósł North.

– Tam jest Maggie – powiedział, a Harte usłyszał w jego głosie odbicie własnego strachu.

– Ruth mówiła coś o tylnym wyjściu? – Pożar nie dotarł jeszcze do skrzydła mieszkalnego, ale było tam ciemno od dymu. – Może już uciekli.

– Tam jest tuzin dzieci do wyniesienia. – North patrzył, jak rosące w oczach płomienie sięgają coraz dalej. – Jeśli ogień się rozprzestrzeni...

– Można się tam dostać naokoło?

North sztywno skinął głową.

– Ale jeśli pójdziemy teraz, zwrócimy na siebie uwagę. Dopadną Maggie i dzieci.

– To się rozdzielmy – zaproponował Harte. – Ja ich czymś zajmę, a ty idź na tyły.

North zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, czy może Harte'owi zaufać.

– Prędeż! – ponaglił go Harte. – Później będziesz na mnie krzywo patrzył.

Nie czekając, aż North się zdecyduje, natarł na kordon Straży, jednocześnie dobywając swojej mocy. Zanim go obezwładniono, zdążył zadać tylko jeden cios, ale chwila kontaktu pięści z twarzą wystarczyła, by zmienić nastawienie strażnika, który zwrócił się przeciwko towarzyszom. W powstałym zamęcie Harte zdołał jeszcze dotknąć rękoma dwóch innych i oni również po chwili zaczęli walczyć jeden z drugim. Harte wykorzystał zamieszanie i przemknął się w stronę głównego budynku, także już płonącego. Biegł co tchu.

Drzwi od frontu były otwarte. Czuł żar bijący ze środka, lecz nie pozwolił, by to go zatrzymało. Towarzyszyła mu jedna myśl: że bez Esty będzie zgubiony. Nie miał czasu się zastanawiać, co to właściwie znaczy – czy tak uważa on sam, czy to uwięziona w nim siła popycha go naprzód.

Wyglądało na to, że pożar objął tylko wschodnie skrzydło. Jeśli się pospieszy, uratuje Estę i dzieci. Wbiegł do środka, zakrywając usta i nos koszulą, by chronić się przed ciężkim dymem. W głównej warzelni panował chaos. Jedna z ogromnych kadzi już eksplodowała pod wpływem wysokiej temperatury i Harte wolał, żeby go tu nie było, kiedy to samo stanie się z drugą. Prędko wbiegł po schodach do części biurowej, oddychając tylko sporadycznie, by się nie zaczadzić. Pokoje do spania były puste, więc

pobiegł do żłobka, wołając Estę po imieniu i nie przejmując się, czy ktoś go usłyszy.

Na miejscu okazało się, na szczęście, że żłobek jest pusty. Widocznie już uciekły, pomyślał. Teraz więc pora na niego.

W połowie korytarza zaskoczyła go kolejna eksplozja, stracił równowagę i runął na ścianę. Gdy się podnosił, usłyszał trzask i jeszcze jeden wybuch. A potem nad jego głową rozstąpił się sufit.

W OGIENI

1904 rok – St. Louis

Esta pomagała jednemu z dzieci wsiąść do wozu czekającego na podwórku za magazynem, gdy doleciał ją huk eksplozji. Odwróciła się i zobaczyła, że główny budynek staje w płomieniach.

Dopiero co tam byliśmy, pomyślała. Niewiele brakowało, a wciąż byśmy tam byli.

Maggie z dwulatką na biodrze podniosła rękę do ust, z jej gardła wydobył się stłumiony okrzyk.

– O nie – szeptała. – Nie, nie, nie...

Esta postawiła dziecko w środku wozu i wyciągnęła ręce po dziewczynkę, a Maggie oddała ją z ociąganiem. Wielkimi szklistymi oczyma patrzyła, jak rodzinny interes idzie z dymem.

– Jesteśmy bezpieczne – powiedziała jej Esta. – I dzieci też. Wszystko inne można odbudować.

Ale Maggie kręciła głową, nie wiadomo, czy zaprzeczając, czy w ogóle nie słysząc, co się do niej mówi. Po chwili dołączył do nich North i bez namysłu, na oczach wszystkich, chwycił ją w ramiona. Szeptał jej coś do ucha, a na jego twarzy malował się wyraz ulgi.

Gdy ładowano do wozu ostatnie dziecko, zza rogu budynku wyszła Matka Ruth z grupką osób.

– Gdzie jest Har... Ben? – poprawiła się szybko Esta.

North zwrócił się do Ruth.

– Nie ma go z wami?

Budynkiem wstrząsnęła kolejna eksplozja.

Ruth pokręciła głową.

– Ostatni raz widziałam go, jak wbiegał do środka. Szaleniec.

– Bał się, że tam jeszcze jesteście – oznajmił głucho North, jakby myśl, że Harte może być w środku, przerażała go tak samo jak Estę.

– Jest w budynku? – Słowa te wydarły się Eście ze ściśniętej krtani.

Dach głównej części browaru zatrzeszczał i się poruszył. Maggie, jakby czytając w jej myślach, złapała Estę za nadgarstek.

– Nie możesz...

Esta wyrwała się i pobiegła.

Gdy była już blisko, bez wahania spowolniła czas i weszła do płonącego budynku.

Nie wiedziała, gdzie szukać Harte'a, lecz postanowiła zacząć od żłobka. Tam pewnie by za nią poszedł.

Żar ognia rozchodził się po korytarzach, ale same płomienie zastygły nieruchomo jak olśniewające kwiaty namalowane na ścianach i sufitach. Nie mogła całkiem zatrzymać biegu czasu, a więc i procesu spalania tlenu przez ogień. Żar nie słabł, a powietrze było ciężkie od zabójczego dymu, lecz Esta nie zamierzała się cofnąć. Nie mogła się cofnąć. Najpierw musiała odnaleźć Harte'a.

Serce ścisnęło jej się w piersi, gdy skręciwszy za róg do żłobka, ujrzała stertę płonącego gruzu. A kiedy spostrzegła wystający spod niego but, prawie straciła kontrolę nad czasem.

Natychmiast zaczęła zdejmować z Harte'a kawałki zawalonego sufitu, lecz trwało to niemiłosiernie długo. Odsłoniła jego twarz i zobaczyła, że oczy ma otwarte – żył, ale dopóki leżał bezwładnie, nie mógł jej pomóc. Po chwili namysłu Esta puściła sekundy. Ogień znów się rozhuczał, a Harte jęknął, gdy z sufitu posypały się kolejne cegły.

Pobladł, widząc ją nad sobą.

– Pomóż mi – powiedziała, próbując zdjąć z niego gruz.

Słyszała, jak cały budynek trzeszczy w posadach, ale w końcu wspólnymi siłami pozbyli się dużego kawałka gruzu, który przygniatał mu

nogi.

– Możesz iść? – spytała, kaszląc od dymu i gorąca.

– Chyba tak – odparł, stając chwiejnie na nogach.

Przytrzymała go, żeby się nie przewrócił.

– Nie możesz...?

Choć urwał, wiedziała, o co mu chodzi. Chciał, by zatrzymała czas.

– Nie – stwierdziła. – Nie z tobą. Ten budynek ledwie stoi. – Widziała, że Harte chce się spierać, ale nie dała mu szansy. Zakryła koszulą usta i nos i ruszyli przed siebie najszybciej, jak się dało, kierując się w stronę tylnego wyjścia.

Dzieliło ich od niego już tylko parę kroków, gdy Esta nagle się zatrzymała.

– Co robisz? – Harte pchał ją dalej.

– Moja bransoletka. Klucz Isztar jest gdzieś tutaj.

– Na pewno? – spytał przez kaszel.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Ale jeśli tu jest... – Pożar wybuchł niespodziewanie i Ruth była zbyt zajęta kłótnią ze Strażą, odwracaniem ich uwagi od Maggie i dzieci, by dopilnować innych spraw. Esta nie mogła zaprzepaścić takiej szansy. – Bez niej nie wrócimy – przypomniała, spoglądając w stronę ognia.

Bez Klucza Isztar byli tutaj uwięzieni. Nie mieli jak tego wszystkiego naprawić.

– Nie, Esta... – Harte złapał ją za rękę.

– Puść mnie. – Próbowała mu się wyrwać, ale był zbyt uparty. Czowała już ciepło tamtej mocy wędrujące po skórze, wyraźne i prawdziwe jak ogień dookoła.

– Nie zostawię cię tutaj. Nie warto dla tego umierać.

Ale czy nie podjęła już decyzji?

– I tak jestem martwa – odparła.

Pokręcił głową, chciał z nią dyskutować, ale nie dopuściła go do głosu.

– Potrzebuję tego kamienia, ale nie mogę tego zrobić z tobą, Harte. Z tym, co w tobie siedzi. Puść mnie, żebym mogła przynajmniej spróbować. Uratowałam cię przecież.

Harte znów chciał się spierać, ale trudno mu było zaprzeczyć.

– Wrócę, zanim się obejrzysz.

– Nie, Esta. – Ścisnął ją mocniej, aż jego palce wpiły się boleśnie w jej rękę, podczas gdy twarz przybrała ponury, desperacki wyraz.

Esta nie była pewna, czy widzi w jego oczach troskę płynącą z głębi duszy, czy jednak coś innego. Szesat. Demoniczną siłę uwięzioną w jego ciele. Czy Szesat wiedziała, że kamienie ją zgubią?

To ją ostatecznie przekonało.

– Przykro mi – powiedziała, wykręcając mu rękę i kładąc go ciosem na łopatkę.

Gdy tylko ją puścił, spowolniła bieg czasu i raz jeszcze zniknęła wśród płomieni.

PIWONIA WŚRÓD POMIDORÓW

1902 rok – Nowy Jork

Kłamstwa. Viola wiedziała, że słowa Nibsy’ego są brudne i trujące jak ścieki w miejskich kanałach, a teraz, gdy odzyskała Libitinę, zamierzała mu pokazać, co myśli o jego kłamstwach. Zaczęła odwijać sztylet, który tak przyjemnie ciążył jej w dłoni, gdy nagle kątem oka spostrzegła coś różowego. Nie był to kolor, jakiego można się spodziewać w ponurym, zakopconym Bowery.

Mogła natomiast i powinna była się spodziewać, że dziewczyna jej nie posłucha i nie wróci między swoich, tam, gdzie jej miejsce. Czy naprawdę powinno ją dziwić, że Ruby stała teraz w tłumie, wyciągając szyję, by dojrzeć pożar, podobna do piwonii na grządce pomidorów?

Ruby była zbyt pochłonięta obserwacją pożaru, lecz Theo, sądząc po jego minie, zorientował się, że nastrój wśród tłumu wyraźnie się zmienił, odkąd strumień wody zaczął gasić ogień. Gapie nie byli zadowoleni, że pozbawia się ich rozrywki.

Viola miała ochotę dołączyć do tej pary. Ruby i Theo w odróżnieniu od niej nie byli częścią brutalnego świata Dolnego Manhattanu. Musiała też jednak pamiętać o Nibsym, a zemsta była przecież tak blisko, że prawie czuła jej smak w ustach.

Rozdarta odwróciła się w stronę Nibsy’ego, lecz zdrajcy już nie było. Zobaczyła tylko, jak znika w tłumie, zostawiwszy rudzielca na ziemi. Dolph w życiu by się tak nie zachował, pomyślała.

Ale rudzielec nie był jej zmartwieniem. Sam jest sobie winien, skoro wzniecił pożar.

Zamiast troszczyć się o niego, ruszyła w kierunku Ruby i Theo popychanych przez niespokojny tłum. Była już prawie przy nich, gdy tuż za Ruby spostrzegła swojego brata zmierzającego w jej stronę. Razem z nim szedł John Torrio.

Viola wiedziała, co się zaraz stanie: Torrio zauważy Theodore'a i myśląc, że to Reynolds, uzna, że Viola wcale go nie zabiła. Nieważne, że to nie Theo był ich prawdziwym celem. Liczyć się będzie tylko to, że Viola skłamała i, co gorsza, nie pozwoliła Torriowi dobić ofiary. Jeśli Torrio zobaczy Theodore'a i Ruby, jeśli zda sobie sprawę, co się naprawdę wydarzyło – albo raczej nie wydarzyło – tamtego wieczoru, będzie już po niej. Na dodatek Theo i Ruby także przypłacą to życiem.

Viola zaczęła machać rękoma w kierunku brata i Torria, próbując odciągnąć ich uwagę od Ruby, od jej rzucającej się w oczy różowej sukienki. Wiedziała, że jeśli tylko spojrzą w tamtą stronę, na pewno ją zauważą. Delikatna i elegancka, za bardzo się wyróżniała w tłumie twardzieli z Bowery.

– Paolo! – zawołała rozpaczliwie, lecz brat ani Torrio jej nie słyszeli. Wyraźnie szukali kogoś w tłumie. Znów krzyknęła na całe gardło, zbliżając się do miejsca, z którego Ruby i Theo patrzyli na pożar.

Wreszcie Paul ją dostrzegł, a zaraz potem również Torrio. Natychmiast zmienili kierunek i zamiast do Ruby zbliżyli się do Violi.

– Co jest? – spytał Paul, wyraźnie rozczarowany, że nie przyszła do nich ze sprawcą w garści.

– Ten, który to zrobił, leży tam – powiedziała, wskazując ręką w kierunku nieprzytomnego chłopaka. – Rudy, na oko piętnaście lat. Od Nibsy'ego Lorcana.

– Od Lorcana? – Paul przyglądał jej się podejrzliwie. – Jesteś pewna?

Viola skinęła głową. Powieka jej nie drgnęła, nawet gdy rozsunęła swoją moc, by znaleźć w tłumie znajome tętno Ruby. Było miarowe i spokojne, a więc dziewczynie, przynajmniej chwilowo, nie groziło niebezpieczeństwo.

Paul zerknął na Torria, wymienił z nim porozumiewawcze spojrzenie, po czym rzekł do niej:

– Załatwiłaś go?

– Lepiej – odparła. – Zostawiłam go tobie. Prezent dla ratusza – dodała.

– Nie o to cię prosiłem. Miałaś go zabić.

– Po co? Zastanów się dobrze. Gdybym go zabiła, jaki miałbyś dowód, że dopadłeś sprawcę? Nie da się odróżnić martwego Magina od nie-Magina. Nie mówiąc o tym, że nie mógłbyś go spytać, dlaczego to zrobił ani dla kogo pracuje. A tak masz chłopaka w garści, masz dowód. – Dowód na to, że Nibsy’emu nie wolno ufać, pomyślała. – Zawieź go do ratusza i pozwól im się z nim rozprawić. Będą ci wdzięczni.

Torrio łypał na nią podejrzliwie, ale Viola nawet nie spojrzała w jego stronę. Paul mógł sobie roić, że uczyni z nich parę, lecz ona nie była zainteresowana.

Paul nie zdążył się z nią jeszcze zgodzić ani pokłócić, gdy nagle poczuła, że serce Ruby zaczęło bić szybciej. Od razu zrozumiała, że coś się dzieje.

– Szybko! – zawołała, wskazując palcem w kierunku miejsca, gdzie zostawiła rudzielca.

Przyniosło to oczekiwany skutek: Paul i Torrio odwrócili się równocześnie, a ona, korzystając z ich nieuwagi, dała nura w tłum, aby poszukać dziewczyny o ptasim mózdzku, która robiła wszystko, żeby ją zabito.

PORWANI PRZEZ FALE

1902 rok – Nowy Jork

Nawet stojąc na obrzeżach tłumu gapiów, Ruby Reynolds czuła żar dziwnych płomieni trawiących remizę strażacką. Widziała teraz na własne oczy, że pożar miał związek z magią. Jeszcze przed chwilą woda w ogóle nie miała się ognia. Coś się jednak zmieniło, bo strumień z węża w końcu zaczął przynosić rezultaty.

Nie żeby gapiom to się podobało, o nie.

– Musimy stąd iść – zauważył Theo, osłaniając ją własnym ciałem jak tarczą przed naporem niespokojnego tłumu.

– Jeszcze minuta – odparła błagalnie. – Gdyby udało nam się podejść trochę bliżej...

– Nie ma mowy – rzekł tonem, jakim rzadko się do niej zwracał.

– Ale Theo...

Ledwie wypowiedziała jego imię, tłum napał, spychając ją w lewo. Dopiero teraz dotarło do niej, że ciekawość i podniecenie tych ludzi szybko przeradzają się w rozczarowanie, a nawet gniew. Kiedyś, gdy była młodsza i ojciec zabrał ją z siostrami na Coney Island, weszła za głęboko w morze i fale wciągnęły ją pod wodę. Teraz, porwana przez rozwrzeszczany tłum, przypomniła sobie tamtą chwilę, tamto dziecięce uczucie bycia zdradzoną.

Wtedy ojciec chwycił ją pod pachy i postawił na nogach, jakby nic się nie stało. Teraz kochany Theo robił, co mógł, by ją ochronić przed lawiną rąk i głów, ale i tak z trudem utrzymywała się na nogach.

Wszystko to było ogromnie ekscytujące.

Theo, sądząc po jego minie, miał inne zdanie. Biedaczysko. Zawsze taki ostrożny, dmuchający na zimne. Choć zarazem był jej najserdeczniejszym przyjacielem, podporą w trudnych chwilach, gdy ojciec przechodził załamanie i gdy po jego śmierci matka próbowała wydać wszystkie córki za mąż... I jeszcze ta świadomość, że jest bez przerwy oceniana. Nie żeby ją obchodziło, co ludzie o niej myślą, ale wyroki ferowane przez innych potrafiły mocno utrudnić życie. Na szczęście Theo był zawsze przy niej.

Czuła się okropnie, że naraża go na to wszystko... ale gdyby tylko udało jej się ustalić, od czego zaczął się ten pożar...

– Ruby! – dobiegło ją wśród ogólnego zgiełku. – Theo!

Odwróciła się i ujrzała Violę, a w jej fioletowych oczach... czy to mógł być strach?

– Viola?

Nie miała nawet kiedy zdać sobie sprawy z rumieńca, którym się oblała, a który nie miał żadnego związku z ciepłem bijącym od pożaru. Tłum znów się zakołysał, spychając ją na lewo, z dala od Theo i prosto w ramiona Violi. Przez chwilę dane jej było poczuć krzepę tej dziewczyny. Choć sama przewyższała ją wzrostem, łagodne krągłości Violi skrywały mocne ciało, które nie pozwoliło Ruby się przewrócić.

Przez ułamek sekundy połączenie między nimi było niezaprzeczone. Ruby poczuła motyle w brzuchu, nagle zabrakło jej tchu, a cały świat zamknął się w przenikliwym fiolecie oczu o ciemnych rzęsach.

Viola zamarła, ramiona jej zeszywniały. Tłum przez chwilę wydawał się odległy. Uszy Ruby wypełnił dziwny szum i mogłaby się założyć, że Viola też czuła tę przepływającą między nimi energię. Lecz Viola tylko pomogła jej stanąć prosto i zaraz się odsunęła.

– Chodźcie! – rzuciła, chwytając Ruby za nadgarstek. – Nic tu po was.

Ciepło, które jeszcze przed momentem krążyło w jej ciele, osłabło, ale nadal czuła gorąco na skórze, tam gdzie zacisnęły się palce Violi. Próbowwała się wyrwać, ale dziewczyna trzymała ją pewnie.

– Musimy iść. W tej chwili – zakomenderowała, szukając wzrokiem wsparcia u Theo.

– Ona ma rację – powiedział z przepaszającą miną. – Tu jest niebezpiecznie.

Niebezpiecznie? Bezpieczeństwo było klatką, niczym więcej. Całe jej życie podporządkowano bezpieczeństwu: miała się trzymać z dala od kłopotów, z dala od zagrożeń, z dala od wszystkiego, co ważne i prawdziwe. Ale koniec z tym. Zdecydowała, że bezpieczne życie jej nie interesuje, w dniu, w którym znaleźli ojca w pracowni, doprowadzonego do obłędu przez własną obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Za namową ludzi z Zakonu próbował zawładnąć magią, lecz to magia zawładnęła nim. Zawładnęła to mało powiedziane – ona go zniszczyła. Niewiele brakowało, a przy okazji zniszczyłaby całą jego rodzinę.

Teraz Ruby interesowała jedynie prawda. A prawda była taka, że żaden dziennikarz płci męskiej, znalazłszy się w podobnej sytuacji, nie uciekłby z powodu byle utarczki.

– Nie mogę – powiedziała Violi. – Muszę się dowiedzieć, co tu się stało.

Viola znów ją pociągnęła.

– Nie jesteś tutaj bezpieczna.

– Nieważne – odparła Ruby, marszcząc brwi.

– Ruby... – próbował ją przekonać Theo.

– Nie, Theo. Przyszliśmy zobaczyć pożar i zamierzam go zobaczyć. – Z rozpalającym krew w żyłach uczuciem determinacji zwróciła się do Violi: – Muszę wiedzieć, czy to był zwykły ogień. Nie rozumiesz, jakie to ważne?

– To, czy jesteś żywa, czy martwa, też jest ważne – odparła Viola, z trudem wytrzymując napór rozkołysanego tłumu.

Są gorsze rzeczy niż śmierć, powiedziała sobie w duchu Ruby. Pomyślała o ojcu, który dożył swoich dni w zakładzie psychiatrycznym na północy stanu. O siostrach, które czasem kochały mężów, ale zwykle jednak nie.

O sobie, uwięzionej na wąskim poletku życia, które powinno być dużo większe, dużo szersze.

– Chyba powinniśmy jej posłuchać – stwierdził Theo.

Zdrajca.

Ruby tylko potrząsnęła głową i weszła głębiej w tłum.

Nie zrobiła jeszcze nawet trzech kroków, kiedy niedaleko niej ktoś zdzielił kogoś pięścią, uruchamiając lawinę przemocy. Ludzie rozpychali się łokciami, jedni rzucali się w sam środek awantury, inni rozpaczliwie próbowali uciekać, a Ruby dopiero teraz poczuła pierwsze ukłucie strachu. Zachwiała się i poleciała do tyłu, ale Theo już tam czekał, by ją złapać. Jak zawsze.

Błagam, zdawały się mówić jego oczy, i choć Ruby chciała być silna, chciała być dzielna, nie potrafiła mu odmówić. Skinęła głową i razem podążyli za Violą, która torowała im drogę w tłumie.

Już prawie wyszli z tego piekła, jeszcze tylko parę kroków, myślała Ruby, i będą bezpieczni. Ledwie jednak dotarli na obrzeża tłumy, powietrze rozdarło wycie syren policyjnych. Ludzka masa znów szarpnęła, Ruby się zachwiała, a kiedy próbowała odzyskać równowagę, wśród zgietku rozległ się huk wystrzału i Theo puścił jej dłoń.

Obejrzała się i zobaczyła tylko, jak upada z czerwoną plamą krwi podobną do goździka wetkniętego w klapę marynarki.

BEZSILNOŚĆ

1902 rok – Nowy Jork

Krzyk Ruby przebił się przez ogólny rwetes i przeszył Violę jak nożem. Odwracając się, zobaczyła, że Ruby próbuje złapać upadającego Theo.

Tłum pierzchał teraz na wszystkie strony, nikt już nie rwał się do bójki, wszyscy woleli brać nogi za pas. Padł kolejny strzał, i jeszcze jeden. Ulica zamieniła się w piekło.

Wracając się po Ruby i Theo, Viola poszukała wzrokiem brata i Torria, szybko jednak odkryła, że to nie oni strzelali, lecz dwie grupki chińskich gangsterów, które wzięły się za łby pośrodku tego zamieszania. Zdawało się, że całe Bowery do cna postradało rozum.

Theo leżał na ziemi, w eleganckim wełnianym garniturze uwalanym brudem ulicy i krwią, która sączyła mu się z piersi. Ruby klęczała przy nim i kołysała go w ramionach. Jej różowa skóra oblała się trupią bladością, usta poruszały się bezgłośnie. Ale Theo nadal żył. Spojrzał na Violę.

– Zabierz ją stąd – wydusił z siebie.

– Nie – zaprotestowała Ruby, podnosząc na nią wzrok. – Bez niego nigdzie nie idę.

Wokół nich lała się krew, ale wyraz twarzy Ruby wykluczał wszelką dyskusję.

– No to pomóż mi go podnieść – powiedziała Viola.

Ruby stanowczo kiwnęła głową. Theo jęknął boleśnie, kiedy razem dźwignęły go na nogi. Viola niesłusznie się obawiała, że gibka jak trzcina

Ruby ugnie się pod jego ciężarem. Marszczyła twarz z wysiłku, a Viola podziwiała ją za determinację.

Choć jednocześnie kłuło ją serce, gdy widziała, jakim wzrokiem Ruby spogląda na Theo.

Gdy wreszcie oddalili się na bezpieczną odległość, Theo był już ledwie żywy. Mimo to Viola odeszła z nim jeszcze kawałek, pod wejście do znajomej kamienicy. Jej mieszkańcy byli kiedyś lojalni wobec Dolpha. Mogła mieć tylko nadzieję, że ujrzą w niej przyjaciółkę, nie zdrajczynię.

Wciągnęły Theo do środka, za drzwi tłumiące hałas ulicy. Jeden z lokatorów wyjrzał na chwilę z mieszkania, lecz najwyraźniej uznał, że cokolwiek dzieje się na korytarzu, jemu nic do tego.

Ruby tuliła Theo, poklepywała go czule po twarzy, ale jej narzeczony gasł w oczach. Powieki miał uchylone, lecz patrzył nieprzytomnie szklanym wzrokiem. Skóra wyglądała trupio, usta zaczynały już sinieć.

– Nie – mówiła do niego Ruby łamiącym się głosem. – Nie opuszczaj mnie, Theodorze Barclay. Słyszysz, co mówię? – Łzy spływały jej po twarzy. – Ani się waż mnie zostawiać.

Ale Theo nie odpowiadał. Oddychał płytko, z jego piersi wydobywał się charkot, który Viola знаła zbyt dobrze. Na chwilę przeniosła się w czasie do pokoju Tilly i znów patrzyła bezsilnie, jak umiera jej przyjaciółka.

Lecz tym razem nie była bezsilna.

– Proszę – mówiła Ruby, opierając się czołem o czoło narzeczonego. Powtarzała to słowo bez końca, drżącym głosem. Na próżno.

– Przesuń się – rzekła Viola głuchym tonem beznadziei, którą czuła w sercu. Ale przynajmniej tyle mogła zrobić, nawet jeśli musiała się w tym celu zdemaskować. – Przesuń się! – powtórzyła, delikatnie odpychając Ruby.

Ruby spojrzała na Violę oczyma pełnymi łez. Już chciała się sprzeciwić, ale Viola nie dopuściła jej do głosu.

– Mogę mu pomóc – oznajmiła nieco łagodniej. – Ale musisz mi pozwolić.

Ruby odsunęła się z ociąganiem. Theo krwawił, ale nadal żył, sądząc po krwi, która sączyła mu się z rany.

Nie chciała go dotykać. Nie było to konieczne, ale wiedziała, że tak będzie szybciej i łatwiej, dlatego położyła dłoń na jego klatce piersiowej, na przesiąkniętej koszuli. Czuła pod palcami gorącą, śliską krew, lecz odepchnęła od siebie myśli o śmierci i weszła w niego swoją energią.

Pomału znalazła uszkodzone miejsce i zaczęła zszywać je za pomocą magii, aż jego ciało wypchnęło kulę z rany wprost na jej dłoń. Viola nie podnosiła wzroku na Ruby, żeby się nie dekoncentrować, tylko dalej sączyła swój dar w jego stronę, w głąb jego ciała, łagodząc spustoszenie, które spowodował pocisk.

Przywracając go do żywych.

Raptem Theo nabrał tchu. Viola cofnęła się dopiero, gdy otworzył oczy. Ręce miała umazane jego krwią, w palcach trzymała resztki pocisku. Ale Theo będzie żył. Dojdzie do siebie. I Ruby też.

Wyczerpana, lecz zadowolona Viola podniosła wzrok, ale w oczach Ruby czekało na nią tylko przerażone zdumienie.

– To byłaś ty – szepnęła Ruby. – To nie John Torrio jest Maginem, prawda?

Viola odruchowo potrząsnęła głową. Chciała jej wszystko wyjaśnić – że dostała rozkaz, by ją zabić, i odmówiła – lecz zmroziła ją chłodna nuta w tonie Ruby.

– Okłamałaś mnie. Cały czas mnie okłamywałaś. – W oczach dziewczyny błysnęło jakieś nowe uczucie. – Jesteś jedną z nich.

Violę ogarnęła konsternacja.

– Ja... – Sama nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć. – Mówiłaś, że chcesz zniszczyć Zakon.

– Bo ich władza opiera się na magii – stwierdziła Ruby z bezbrzeżną odrazą. – Bo to miasto nigdy nie będzie bezpieczne, dopóki grożą nam nienaturalne siły. Takie, które zniszczyły mojego ojca i prawie byłyby zniszczyły całą moją rodzinę.

– Myślałam...

– Nie mogę uwierzyć, że byłam tak głupia... – W oczach Ruby zbierały się łzy gniewu. – Powinnam się była domyślić, a pozwoliłam ci się do nas zbliżyć. Błagałam cię o pomoc! – dodała z histerycznym śmiechem przechodzącym w szloch. – I proszę, mam za swoje.

Oskarżycielski ton Ruby sprawił, że Viola nie wytrzymała.

– Nie prosiłam, żebyście tu przychodzili. Mówiłam, żebyście trzymali się z daleka. Ostrzegałam was, nie zaprzeczysz.

Ale Ruby była nieprzejednana.

– Theo prawie przez ciebie zginął.

Theo wydał z siebie cichy odgłos, ale Ruby nie widziała, że jego stan polepsza się z minuty na minutę, nie mogła tego zauważyć przez zasłonę nienawiści, która lśniła jej w oczach.

Viola wstała chwiejnie.

– To nie ja go tu dzisiaj przywlokłam ze sobą. To nie ja się upierałam, żeby zostać! – krzyczała, wkładając w te słowa cały swój płomienny gniew i żal. – To twoja wina, panno Reynolds. Możesz sobie zwałać wszystko na mnie. Możesz mnie nienawidzić za to, kim jestem, choć nie miałam na to żadnego wpływu. Możesz sobie wymyślać bajeczki o złych Maginach, ale pamiętaj, że to przez ciebie Theo dostał kulę – oznajmiła drżącym głosem. – A ja go uratowałam.

– Zostaw nas w spokoju – odparła Ruby, osłaniając narzeczonego własnym ciałem. – Nie chcemy mieć z tobą nic wspólnego.

Viola dobrze знаła to spojrzenie. Ta mieszanina pogardy i strachu przeszła ją na wskroś. Zbyt długo w życiu starała się udawać kogoś, kim nie była, więc tym razem dała za wygraną. Spełniła prośbę Ruby i odeszła bez słowa. Nie obejrzała się za siebie ani razu.

NIEPRAWDA

1902 rok – Nowy Jork

Ruby oczami pełnymi łez odprowadzała Violę Vaccarelli. I nie było jej smutno z tego powodu.

Nie było.

Dopiero po chwili zauważyła, że Theo porusza się w jej ramionach. Właściwie to już wstawał, rozmasowując sobie wciąż mokre od krwi miejsce na piersi.

– Theo! – zawołała bezgłośnie i objęła go mocno.

Lecz Theo strząsnął ją z siebie.

– Nic mi nie jest – rzekł słabym głosem. – Byłaś zbyt surowa, nie sądzisz? – Uniósł znacząco brew i serce Ruby aż podskoczyło z radości na widok tego spojrzenia, które tak dobrze znała.

– Surowa? – powtórzyła, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi.

Theo tylko patrzył jej w oczy.

– Ona jest jedną z nich, Theo. Co miałam zrobić?

– Mogłaś jej podziękować – odparł łagodnie.

Trudno było odmówić mu racji. Ale ona jest jedną z nich.

– Okłamała nas. – Ruby odgarnęła mu włosy z twarzy. – Naprawdę nic ci nie jest?

Theo nabrał powietrza w płuca, jakby chciał je przetestować. Skinął twierdząco głową.

– Na to wygląda. A ty jak się czujesz? – spytał czulej.

– Dobrze – zapewniła go. – Ale to nie mnie postrzelono.

– Nie o to pytam. Lubiłaś ją.

– Nieprawda...

– Przestań – wtrącił delikatnie. – Mnie nie musisz okłamywać. Nigdy nie musiałaś.

Ruby znowu poczuła pieczenie w oczach, ale pokręciła głową, starając się powstrzymać łzy.

– Nieważne – odparła. – Ona jest jedną z nich, a wiesz, jaki mam stosunek do magii. Wiesz, co magia zrobiła mojej rodzinie.

Theo przez chwilę milczał, potem chwycił ją za podbródek i zwrócił ku sobie.

– Ruby...

– Przestań.

Znów potrząsnęła głową. Nie chciała o tym nawet myśleć.

– Nie. – Theo wziął jej twarz w dłonie. – Jesteś moją najdroższą przyjaciółką i właśnie dlatego, że kocham cię najbardziej na świecie, powiem ci coś, co powinienem był ci powiedzieć już dawno, jeszcze zanim rozpoczęłaś tę swoją krucjatę: twój ojciec sam dokonał takich, a nie innych wyborów, skarbie.

Chciała się z nim spierać, ale osadził ją jednym spojrzeniem. Przyjaźnili się od najmłodszych lat. Nikt nie rozumiał jej tak dobrze jak on, przy nikim innym nie czuła się tak bezpieczna. Aż do teraz. Teraz jej nie chronił, tylko zmuszał do pogodzenia się z prawdą.

– Może faktycznie Zakon pogłębił jego niezdrową obsesję, ale twój ojciec od początku wiedział, co robi. To nie miało nic wspólnego z dobrem rodziny ani dobrem miasta. Magia być może odegrała pewną rolę, ale przede wszystkim to był jego wybór.

Ruby kręciła głową, nie chciała tego słuchać, lecz w głębi serca – tam gdzie dobrze rozumiała rzeczy, o których się nie mówi – wiedziała o tym od zawsze. Była jeszcze bardzo młoda, kiedy ojciec postradał rozum i zaatakował przyjaciela dla jakiegoś rzekomo magicznego przedmiotu. Prawie kogoś zabił z powodu byle czego. Nic dziwnego, że wołała – wraz

z całą rodziną – zrzucić winę na magię, tę osobną, zewnętrzną wobec niego siłę. O wiele łatwiej było nienawidzić tego czegoś, niż przyjąć do wiadomości, że jej ojciec sam był przyczyną rodzinnych nieszczęść.

Może i zainteresował się alchemią i wiedzą tajemną pod wpływem Zakonu. Ale Ruby i tak znała prawdę. Jej ojciec zawsze pragnął być ważniejszy, niż był. Nieprzypadkowo należał do Zakonu. Kiedy była mała, widziała w dumnym i buńczucznym ojcu uosobienie męstwa. Wydawał się niezniszczalny.

Ale Ruby nie była już mała.

– Ona mi nigdy nie wybaczy – szepnęła, przypominając sobie wszystkie podłości wypowiedziane pod adresem Violi.

– A chcesz, żeby ci wybaczyła? – spytał ją łagodnie.

– Sama nie wiem – odparła Ruby, lecz wiedziała, że to nieprawda. Ale gniew i poczucie zdrady nie pozwoliły jej się do tego przyznać.

TUŻ POD POWIERZCHNIĄ

1904 rok – St. Louis

Zanim Harte pojął, co się dzieje, wylądował na plecach. Cios Esty i siła uderzenia o ziemię na moment pozbawiły go tchu. Kiedy w końcu się podniósł, wbiegała już do płonącego budynku. Zobaczył jeszcze jej cień na tle ognia, po czym zniknęła.

Uwięziona w nim moc zareagowała na to zniknięcie z gwałtownością, na którą nie był przygotowany. Wciągnęła go znienacka w głąb ciemnej otchłani, w której czuł tylko ból rozdarcia, furię z powodu zdrady i nieznośną, narosłą przez wieki tęsknotę za wolnością.

Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że sam próbuje wbiec w ogień. Ocknął się dopiero, gdy North i jeden z pracowników browaru chwycili go za kołnierz. Wyrywał im się z całej siły.

Rozszarpię ich, jeśli będę musiał.

Zaraz jednak ujrzał, że Esta wraca, szła ku nim cała i zdrowa. Widząc jej zmarszczone brwi, odgadł, że nie znalazła bransolety.

Był teraz wdzięczny tamtym dwóm, że go nie puścili. Szeszat czaiła się tuż pod powierzchnią, tak blisko, że nie mógł się powstrzymać, żeby nie ruszyć za Estą. Nie mógł powstrzymać Szeszat przed atakiem.

A Esta nie byłaby na to przygotowana. I nie zdążyłaby się przygotować.

Rozluźnił mięśnie, a North i tamten drugi powoli go puścili. Na twarzy Esty rysowała się troska, lecz nie podszedł do niej. Moc wciąż go sprawdzała, wciąż napierała.

Wolał nie zbliżać się teraz do Esty, a tym bardziej nie dotykać jej, pokręcił więc głową, by ją ostrzec.

W jej oczach zamigotał żal, ale Harte odwrócił wzrok. Wiedział, że jeśli teraz do niej podejdzie, demoniczna siła, która w nim zamieszkała, zwycięży.

– Nic tu po nas – oznajmiła Ruth. – Trzeba się zbierać, zanim Straż wpadnie na jakiś pomysł.

Harte miał ochotę podejść do Esty, otoczyć ją ramionami, upewnić się, że jest cała i że nic jej nie grozi, przekonać ją, by porzuciła tych Antistasi, którzy oznaczali dla nich same kłopoty, lecz jej twarz, przed chwilą smutna, zacięła się już w gniewie. Esta odeszła bez słowa, pomagając Ruth, Maggie i reszcie wsiadać do wozu. Harte'owi pozostało tylko wziąć z nich przykład.

GROŻBY I OBIETNICE

1904 rok – St. Louis

Dochodziła północ, kiedy Julien Eltinge wymknął się tylnymi drzwiami z teatru. Wieczór był parny, powietrza nie poruszał nawet najmniejszy powiew wiatru. Ale przynajmniej było cicho – miła odmiana po wyczerpującym dniu.

Ranek zaczął się dla niego od spotkania z Corwinem Spenserem i omówienia planów Towarzystwa związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa podczas parady. Nie wszystkim w mieście podobały się uroczystości z Zawołowanym Prorokiem w roli głównej. Towarzystwo zawsze brało pod uwagę możliwość, że jakiś motłoch będzie próbował zakłócić innym zabawę, ale tym razem, w obecności samego prezydenta, nie mogło być mowy o żadnych wpadkach – zwłaszcza gdy szło o naszyjnik. Julien raz jeszcze zapewnił starca, że poradzi sobie bez trudu z każdym, kto będzie próbował czegoś głupiego w trakcie parady. Reszta dnia upłynęła mu na występach prawie bez chwili wytchnienia. Za każdym razem na sali był komplet, ale publiczność reagowała nieco apatycznie. Upał dawał się we znaki wszystkim.

Skrecając za róg w kierunku swojego mieszkania, Julien uświadomił sobie, że jedzie za nim jakiś powóz. Zwolnił kroku, aby puścić natręta przodem, lecz woźnica wstrzymał konia, a drzwi się otworzyły. W środku Julien ujrzał znajomo wyglądającego mężczyznę – widział go kilka dni wcześniej na przyjęciu, na które zaprosił go Zawołowany Prorok. Nie był to członek Towarzystwa, lecz przedstawiciel któregoś z bractw. Tylko którego?

– Pan Eltinge? – zagadnął nieznajomy. – Pozwoli pan, że go podwiozę?

Nowy Jork, uzmysłowił sobie nagle, rozpoznając charakterystyczny akcent. A zatem był to delegat Zakonu.

– Dziękuję – odparł Julien, czując, jak pot ścieka mu po plecach. – Ale chyba się przespaceruję. Wieczór taki piękny. – Pomachał na pożegnanie i ruszył przed siebie w nadziei, że na tym się skończy.

Ale oczywiście stało się inaczej. Powóz dogonił go i znów przystanął.

– Myślę, Julienie, że jednak dasz się namówić na przejażdżkę. – Mężczyzna wychylił się i światło latarni rozjaśniło mu rysy. – Chyba że mam opowiedzieć Zakonowi, jak to naprawdę było z tym naszyjnikiem.

Choć noc była upalna, Julienu przeszył mróz.

– Nie jestem pewien, do czego pan nawiązuje – odparł. Rozważał w duchu wszystkie możliwości, ale wyścig z koniem wydał mu się jedną z najgorszych.

– Myślę, że rozumiesz – oznajmił nieznajomy. – Dam ci wybór: możesz wsiąść i powiedzieć mi wszystko, co wiesz o planach Towarzystwa związanych z naszyjnikiem i paradą, a ja w zamian będę cię chronił. Dopilnuję, by Zakon nigdy się nie dowiedział o twoich związkach z Darriganem i kradzieżą ich drogocennych skarbów. Albo możesz iść dalej i mieć we mnie jeszcze jednego wroga.

Mężczyzna nie był stary, ale brzuchaty i sflaczały, jakby za dużo pił, a za mało się ruszał. W ringu Julien bez trudu rozłożyłby go na łopatki, ale życie to nie był pojedynek na pięści. Życie bardziej przypominało partię szachów, a Julien nie zamierzał dać się zaszachować z powodu Harte'a Darrigana.

– Właściwie – odrzekł nonszalancko – to chętnie się przejadę.

ROZCZAROWANIE

1902 rok – Nowy Jork

Viola nie wiedziała nawet, dokąd idzie. Mijała całe kwartały miasta i dopiero gdy była już prawie na skraju wyspy, jej nogi same zwolniły i otrzeźwiała. Nagle wyczerpana, znalazła schronienie w drzwiach jednego z budynków i osunęła się ciężko na ziemię. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, że wciąż trzyma w ręku pocisk. Wyrzuciła go z obrzydzeniem.

Potem wyjęła z kieszeni spódnicy paczkę od Nibsy'ego. Odczekała chwilę, napawając się jej przyjemnym ciężarem w dłoni, po czym zaczęła ją rozwijać. Wreszcie odzyskała spokój i równowagę. Była gotowa.

Do diabła z ich planami. Dlaczego miała czekać nie wiadomo ile na sprawiedliwość? Dlaczego miałyby pozwolić Zakonowi zniszczyć Nibsy'ego Lorcaną, skoro mogła zachować tę przyjemność dla siebie? Zetrze go z powierzchni ziemi, a potem zajmie się bratem. A na koniec rozprawi się z Zakonem. Srebrne ostrze zalsniło, gdy zdjęła z niego papier. Uniosła je i obejrzała z dumą i zachwytem.

Wstając, opuściła opakowanie na ziemię, lecz jej uwagę przykuły jakieś zapiski na papierze. Pochyliła się i odczytała znajome pismo, pochylone, ale schludne, mocne, stanowcze.

Dolph.

Serce jej się ścisnęło na wspomnienie utraconego przyjaciela, lecz kiedy przebiegła wzrokiem po tych zapiskach, ból ustąpił miejsca głębokiemu niedowierzaniu.

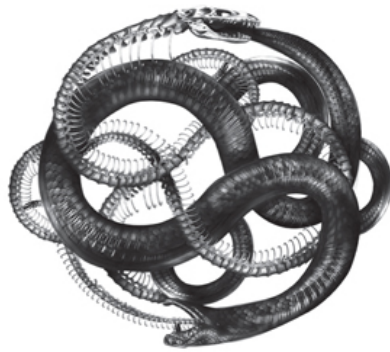
To niemożliwe, pomyślała. Dolph nie mógłby napisać tych słów. Nie mógłby tak skrzywdzić Leeny. Lecz oto miała przed sobą, czarno na

białym, opis wszystkiego, co sobie zamyślił, aby odebrać jej moc, aby ją wykorzystać. Kobieta, którą podobno kochał.

To musi być podstęp, przyszło jej zaraz do głowy. Jeszcze jedna chytra sztuczka Nibsy'ego. Albo wszystko, co myślała o Dolphie Saundersie, było nieprawdą.

CZĘŚĆ

SZÓSTA



1904 rok – St. Louis

Po tym, jak z browaru zostały zgliszcza, Antistasi przenieśli się do niewielkiego obozu na brzegu Missisipi na południe od miasta. Esta dołączyła do nich właściwie bez namysłu czy dyskusji. Harte też poszedł, ale unikał jej jak ognia. Trzymał się z dala, szukał wymówek, by być wszędzie, tylko nie tam, gdzie ona. Nie żeby miała do niego żal po tym, co mu zrobiła. Teraz, gdy wszyscy próbowali pomóc przebudzonym, Harte siedział nad wodą odwrócony plecami do niej i do reszty.

W porządku, pomyślała. Jak chce, niech się dąsa. Może w końcu jednak zrozumie, że musiała przynajmniej spróbować odzyskać bransoletę. Starła się nie myśleć, co to dla nich oznaczało, że jej nie znalazła.

Czy po prostu szukała nie tam, gdzie trzeba? Czy może Ruth wciąż ją miała?

Nie mogła jednak dłużej bujać w obłokach, jeśli chciała naprawdę pomóc nowym Maginom. Odsunęła więc od siebie myśli o niezadowoleniu Harte'a i skupiła się na tym, co było do zrobienia. Większość ludzi ze szpitala wciąż dopiero się oswajała z nową rzeczywistością, wobec której stanęli. Urodzeni Magini od małego uczyli się wykorzystywać swoją więź ze starą magią i później mieli to już we krwi. Ale celem zamachu Ruth byli dorośli, którzy teraz wykazywali spore trudności z opanowaniem swoich darów, z ujarzmieniem przebudzonej w sobie mocy.

Samej Eście też nie było lekko. To wszystko przypominało jej własne dzieciństwo, dni spędzone na nauce u profesora Lachlana. Nienawidziła go. Musiała go nienawidzić, bo ją zdradził. Ale pomagając przebudzonym, zaczęła się zastanawiać, czy jednak nie jest również jego dłużniczką.

Nauczył ją odnajdywania szczelin między sekundami, szkolił ją tak długo, aż potrafiła je spowalniać bez najmniejszego trudu. Choć nie chciała tego przyznać nawet przed samą sobą, podarował jej Klucz Isztar i sekrety podróży w czasie. Było tak, jak mówił: to on ją stworzył.

Oczywiście, przypomniała sobie zaraz, człowiek, którego знаła jako profesora, nie musiałby tego wszystkiego robić, gdyby chłopak, którego znała pod imieniem Nibsy, nie ukradł jej całego życia. Kim by teraz była, gdyby Nibsy Lorcan nie zabił jej rodziców?

Odepchnęła od siebie pytania o przeszłość, próbując skoncentrować się na mężczyźnie przed sobą. Arnie był w średnim wieku, z kępkami włosów po obu stronach głowy i nierównym wąsem o pożółkłych brzegach. Wciąż się rozpraszał, a wtedy z czubków jego palców buchały płomienie i zaczynał biegać, wymachując rękoma i szukając wiadra z wodą, by je ugasić. Jeżeli trwało to zbyt długo – a często tak było – Esta wzywała jednego z nalewaczy z browaru, który był również uzdrowicielem, żeby pomógł złagodzić oparzenia.

– Pomyśl o tym jak o połączeniu – wyjaśniała teraz, gdy Arnie po raz dziesiąty moczył dłonie w kubie. – Wszystko na tym świecie jest ze sobą połączone. Magia istnieje w przestrzeniach między tymi połączeniami. Używając swojego daru, ściskasz te szczeliny, manipulujesz nimi, zmieniasz ich kształt.

Arnie zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem, jak by mi to miało pomóc. Ten ogień mnie parzy.

Esta nie wiedziała, co mu na to odpowiedzieć. Ona zawsze, odkąd sięgała pamięcią, używała magii w sposób intuicyjny. Nigdy się jej nie bała.

– Wystarczy chwila i już płoną mi ręce – skarżył się Arnie. – Nie widzę żadnych szczelin. To boli i tyle.

– Może przestań myśleć o tym ogniu jak o czymś zewnętrznym? – zasugerowała. Ogień, czyli reakcja chemiczna, wiązał się z materią, ale czas był inny. Był eterem. Był wszystkim.

Nie nadawała się na nauczycielkę.

– Ja cię znam – odezwał się ktoś za jej plecami.

Odwróciła się i ujrzała dziewczynę z wiecu. Bez sztywnej, wysoko zapiętej szarej sukienki wyglądała młodziej. Nos miała upstrzony piegami, oczy patrzyły oskarżycielsko.

– Nie – skłamała Esta, odwracając wzrok. – To pomyłka.

Ale dziewczyna nie odpuszczała.

– John. Masz na imię John. Byłeś tam, kiedy to się stało.

– Nie – odparła Esta, lecz kątem oka zobaczyła, jak na twarzy dziewczyny odmalowuje się zrozumienie.

– Jesteś jednym z nich. Byłeś tam. Widziałam cię. Rozmawiałam z tobą.

Dzień był słoneczny i bardzo ciepły, lecz Esta poczuła nagle podmuch lodowatego powietrza. Drzewo nad nimi aż się od niego zakołysało, a zielone liście pokryły się szronem.

Dziewczyna zrobiła krok w jej stronę.

– To ty nam to zrobiłeś. Wiedziałam. Wiedziałam od początku.

– Nie... – Esta zaczęła się cofać. Nie potrafiła jednak kłamać w żywe oczy tej biednej, nieszczęśliwej i wściekłej dziewczynie. – Ja tylko...

Jak miała odpowiedzieć na to nienawistne spojrzenie? Raczej nie wystarczyło stwierdzić, że była jedynie narzędziem. Że sama nie miała złych zamiarów. Wchodząc do tego magazynu, wiedziała przecież, że ktoś może ucierpieć. Uznała po prostu, że Harte i dobro ich misji to sprawy ważniejsze od życia tych ludzi. Gdyby znów musiała wybierać, postąpiłaby tak samo.

A przynajmniej tak jej się wydawało.

– Greta, dość! – wtrąciła się Ruth, podchodząc do dziewczyny od tyłu.

– Ale to on...

– Powiedziałam: dość. Jesteś teraz jedną z nas – skarciła ją Ruth. – Uspokój się.

Lodowaty wiatr zamarł i znów zrobiło się ciepło. Topniejący szron skapywał z drzew, ale liście zdążyły pociemnieć od zimna.

– Chodź ze mną – powiedziała Ruth do Esty.

Esta skwapliwie oddaliła się od Grety i jej oskarżeń.

– Ona nas nienawidzi – zauważyła.

– Jeszcze nie zdała sobie sprawy, że magia to dar – odparła Ruth. – To kwestia czasu.

– A jeśli nie? – spytała bez namysłu Esta.

Ruth przekrzywiła głowę i rzuciła jej karcące spojrzenie matki.

– Zrezygnowałabyś ze swojej mocy?

– Nie, ale ja się z nią urodziłam. Bez niej nie byłabym sobą. Grety nikt nie pytał o zdanie – dodała, wspominając obiekcje Harte’a.

– Ciebie też nikt nie pytał. Otrzymałaś swój dar od losu, a mimo to nie wyobrażasz sobie życia bez niego. Greta potrzebuje tylko czasu. Oni wszyscy go potrzebują.

Ruth niewątpliwie wierzyła w to, co mówi. A mówiła z takim przekonaniem, z taką pasją, że Esta też prawie w to uwierzyła. Może i była narzędziem, ale ostatecznie nikt jej nie zmusił do zamachu na Lipscomba i uczestników wiecu. Mogła poszukać lepszego sposobu, ale tego nie zrobiła. Posłuchała trochę Lipscomba i stwierdziła, że jego życie jest mniej warte od życia Harte’a.

Może i tak było. Ale patrząc na męki tych przebudzonych Maginów, widząc strach w ich oczach za każdym razem, gdy magia wymykała im się spod kontroli, wcale nie była pewna, czy miała prawo do tamtej decyzji.

Zrobiła głęboki wdech i odepchnęła od siebie wątpliwości.

– Chciałaś coś ode mnie?

– Oczyszczyłaś się z podejrzeń – oznajmiła Ruth. – Tym, co zrobiłaś dla Maggie i dzieci w czasie pożaru, i swoją pracą tutaj, z przebudzonymi.

– Mówiliśmy ci, że nie jesteśmy waszymi wrogami – zauważyła Esta, starając się jednak, aby w jej tonie nie było słycać satysfakcji.

– No cóż... – Ruth zamilkła, lekko rozdymając nozdrza, jakby trudno jej było przyznać nawet tyle. – Po tym wszystkim, co się wydarzyło, chyba nie

mam wyjścia, muszę myśleć o was jak o sprzymierzeńcach – oznajmiła bez entuzjazmu. – Zniszczyli nam browar, a do tego mamy teraz na głowie przebudzonych. Potrzebna mi twoja pomoc.

Esta poczuła ciarki.

Nareszcie.

– Jaki masz plan?

– Chodzi o Towarzystwo – wyjaśniła Ruth. – Chcę, żeby zapłacili za to, co nam zrobili. Chcę ich rzucić na kolana.

– Ja chcę tego samego – zapewniła ją Esta. Mogła mieć swoje wątpliwości, ale w tej kwestii ona i Ruth były w stu procentach zgodne.

– Ale nie wystarczy ich upokorzyć. Musimy ich pokonać na dobre. – Ruth zerknęła na Estę spod oka. – Naszyjnik nie może pozostać w ich rękach. Potrzebna mi złodziejka.

– To się dobrze składa, bo lepszej ode mnie chyba nie znajdziesz. – Esta ukloniła się lekko. – Ale mam jeden warunek. W zamian za pomoc chcę odzyskać to, co mi zabrałaś. Bransoletę.

Ruth długo milczała.

– A jeśli się nie zgodzę?

– To i tak ją sobie wezmę. Mogłabym też ukraść naszyjnik, zwinąć wam go sprzed nosa. Ale wolę z wami współpracować. Mam nadzieję, że zostając z wami tak długo, udowodniłam, że chcę wam pomóc. – Mówiąc to, Esta zdała sobie sprawę, że wcale nie jest pewna, ile w tym kłamstwa, a ile szczerzej prawdy.

Ruth zacisnęła usta.

– Dobrze. Pomóż nam zniszczyć Towarzystwo i zdobądź dla mnie naszyjnik, a odzyskasz bransoletę.

Tylko co potem? – zastanawiała się Esta.

Czy ukradnie też naszyjnik i porzuci Ruth i Antistasi, jakby nigdy jej tu nie było? A może istniało jakieś inne wyjście? Może ona i Harte nie musieli toczyć tej walki tylko we dwoje? Im dłużej Ruth opowiadała jej o planach Antistasi, tym głębiej Esta się nad tym zastanawiała.

DO KOŃCA

1904 rok – Nowy Jork

Harte zbyt późno zauważył zbliżającą się Estę, by móc się przed nią schować. Było już popołudnie; uwięziona w nim siła uspokoiła się, czuł tylko jej ciche pomruki, ale wciąż miał się na baczności. Na wszelki wypadek wolał trzymać się z dala od Esty, choć jednocześnie starał się mieć ją w zasięgu wzroku, bo nie ufał też Antistasi.

Ruth była charyzmatyczną przywódczynią, bez dwóch zdań. Wierzyła w słuszność swojej sprawy. Ale życie nauczyło Harte'a, że granica między wiarą a fanatyzmem bywa bardzo cienka i łatwo ulega przerwaniu. Pomysł obdarzenia Osobnych magią byłby szlachetny, gdyby jej ofiary miały w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia. Ruth jednak postawiła je przed faktem dokonanym, zaraziła mocą, której nie chciały i nad którą nie umiały zapanować.

Nie rozumiał, czym to się różni od postępowania Osobnych, którzy zmuszali Maginów do ukrywania się z mocą. Obiema grupami powodowały desperacja i strach. Były jak dwie strony jednego medalu.

Gdy Esta przy nim usiadła, skupił się na Seszat, gotów ją powstrzymać, w razie gdyby usiłowała się wydostać na powierzchnię. Na razie była spokojna, lecz to mógł być kolejny podstęp.

Esta z początku się nie odzywała. Podniosła kamyk i rzuciła go w mętłą wodę. Rozchodzące się fale połyskiwały w promieniach słońca. Harte przez chwilę wyobraził sobie, że siedzą zupełnie gdzie indziej, z dala od tego wszystkiego. Całe życie chciał się wydostać z miasta, lecz odkąd mu się to udało, nie miał nawet czasu, by się zatrzymać i odetchnąć, tyle się działo.

– To jest większe, niż sądziłem – przyznał cicho.

Poczuł na sobie jej wzrok.

– Rzeka?

– To wszystko. – Obrócił się twarzą do niej. – Wiedziałem, że to będzie wielkie, ale nie sądziłem, że aż tak.

Zagryzła wargę i westchnęła ciężko.

– Wiem, co masz na myśli. Większe i inne. – Zamilkła, by zrobić miejsce dla milczącego zrozumienia między nimi. – Przepraszam, że cię uderzyłam – powiedziała w końcu. – Po prostu bardzo mi zależało, żeby...

– Nie szkodzi – zapewnił ją.

Esta skinęła głową i znów spojrzała ku rzece.

– Ruth prosi nas o pomoc – przerwała w końcu ciężkie milczenie. – Chce zniszczyć Towarzystwo, a pierwszym krokiem do tego ma być kradzież naszyjnika.

W jej głosie przebijały nadzieja i determinacja, lecz było w nim coś jeszcze, co sprawiło, że uwięziona w Harcie siła znów ocknęła się z letargu.

– Nie przyjechaliśmy tu po to, żeby walczyć z Towarzystwem, Esto – powiedział bardziej zdenerwowanym tonem, niż zamierzał, ponieważ jego uwaga skupiała się teraz na Seszat. Bał się, że demon znów spróbuje targnąć się na Estę. – Mamy zdobyć naszyjnik i wyjechać, pamiętasz? To nie jest nasza walka.

– Dlaczego nie? – naciskała. – Możemy pomóc ludziom, którzy tu mieszkają.

– Albo jeszcze pogorszyć sytuację – odparł. – Popatrz, co się stało po tym zamachu. Popatrz na tych wszystkich, których uratowaliśmy ze szpitala.

Moc wyczuwała poruszenie Esty i puchła, pulsowała podniecona.

– Dzięki Ruth odzyskali swoją magię. Pomogła im.

– Zaatakowała ich. Spójrz na nich! – Obrócił ją w kierunku gromady nieszczęśników. Połowa wciąż miała na sobie szpitalne ubranie. – Przyjrzyj im się dobrze. Czy tak wyglądają szczęśliwi ludzie?

Wysunęła mu się spod rąk.

– Będą szczęśliwi. Ty nie jesteś?

Zaśmiał się.

– Szczęśliwy? – Pokręcił głową, zastanawiając się, jak sprawić, żeby zrozumiała. Jego dar odepchnął od niego ojca i zniszczył matkę. Owszem, dawał mu władzę nad ludźmi, ale jednocześnie czynił go bardziej samotnym. Musiał zawsze uważać, żeby się przed kimś zanadto nie odkryć. – Z powodu mojego daru? O nie.

Zmarszczyła brwi.

– Nie wierzę ci.

– Dajmy temu spokój – rzekł. – Proszę cię. Mamy jeszcze Julię. On pomoże nam ustalić, gdzie jest naszyjnik. Wykradniemy go i uciekniemy stąd. Antistasi ze swoimi wielkimi planami nie są nam do niczego potrzebni.

Esta wskazała na swoje ramię.

– Pamiętasz, że Ruth nadal ma Klucz Isztar? Bez niego nie uciekniemy.

Rozgarnął włosy dłonią, starając się zapanować nad frustracją, bo tylko panując nad sobą, mógł zapanować nad uwięzionym w środku demonem.

– Nie zauważyłem, żeby wozila ze sobą pancerny sejf. Jesteśmy na odludziu. Czy to naprawdę takie trudne wykraść jej tę bransoletę i zniknąć? Nie wikłajmy się w to wszystko. Po co mamy atakować Towarzystwo...

– Chcesz tak po prostu zniknąć? – Wyraz twarzy Esty był nieprzenikniony, a kiedy znów się odezwała, ledwie dało się słyszeć jej szept. – Po tym, jak tamci spalili browar? – Spojrzała mu głęboko w oczy. – Niewiele brakowało, a zginęłyby dzieci, Harte. Straż musiała o nich wiedzieć, ale było im wszystko jedno. Chcieli, żeby umarły. Bo to mali Magini. Bo z punktu widzenia Towarzystwa i Straży im mniej Maginów, tym lepiej.

Nie mógł z tym dyskutować. Tamto podpalenie było czystym złem, a Towarzystwo niczym się nie różniło od Zakonu. Teraz gdy wydostał się poza Krawędź, dotarło do niego, że walka z tymi ludźmi jest skazana na

porażkę. Co z tego, że człowiek zabije jednego albo nawet sto karaluchów, jeśli kolejne tysiące w ukryciu tylko czekają, by się rozpełznąć po zapadnięciu zmroku.

Pewnie, mogliby pomóc Antistasi, ale co dalej? Ryzyko było zbyt wielkie, a pożytek? Harte bał się, że więcej by zepsuli, niż naprawili.

– Przykro mi – odparł wreszcie.

Twarz Esty zacięła się w złości.

– Nie możemy się już wycofać.

Zmrużył oczy.

– Jak to?

Utkwiła w nim wzrok i hardo zadarła podbródek.

– Już im powiedziałam o Julenie.

Harte poczuł skurcz w żołądku.

– Chyba żartujesz...

I tak już nadużyli zaufania jego starego przyjaciela, mieszając go w całą tę awanturę.

– Sam powiedziałaś Ruth, że mamy swojego człowieka w Towarzystwie – zauważyła.

– Ale nie zdradziłem jego nazwiska.

– Wiem, ale... – Esta westchnęła, spuściła wzrok, a kiedy go podniosła, dojrzał na jej twarzy żal przyćmiony błyskiem nadziei. – On mógłby nam pomóc tam wejść.

– I co dalej? – Czuł, że powoli traci panowanie nad sobą i nad Seszat. – Wyjedziemy, zostawiając Juliana na pastwę tych ludzi? Nie mogę mu tego zrobić.

– Niczego złego mu nie zrobimy. Kiedy Antistasi rozpylą serum, wszystko się zmieni. Pomyśl o tym, Harte. Na balu będzie się roiło od notabli, przedstawicieli wszystkich tajemnych bractw. Nie zabraknie tam żadnej wpływowej osoby. Jeśli uda się ich zarazić magią, przestaną mieć

interes w jej zwalczaniu. A w tym roku pojawi się wyjątkowy gość, na którym Ruth szczególnie zależy...

– Chcą zaatakować prezydenta – dokończył za nią Harte i aż go ścisnęło w dołku.

– Taki jest plan.

– To straszny plan, Esto. Nie widzisz tego?

Iskry uporu znów rozjaśniły jej oczy.

– To się może udać, Harte. Ludzie uwielbiają Roosevelta. Kiedyś wykują jego podobiznę w ogromnej skale.

W skale? Harte zamrugał.

– O czym ty...

Ale Esta parła do przodu.

– Nikt nie zwróci się przeciwko niemu, nawet jeśli obudzi się w nim magia. Roosevelt może być kluczem do...

Ona postradała rozum, pomyślał. Dała się urzec tej fantazji, zapominając o innych możliwych konsekwencjach.

– Nie, Esto. Nie możemy do tego dopuścić.

– Dlaczego nie? Dolph by tego chciał. Żebyśmy walczyli dalej. I próbowali naprawdę coś zmienić.

– Nie wiesz, czego chciał Dolph! – wykrzyknął Harte. – Ani ty, ani ja, ani nikt. On się nie zdradzał ze swoimi planami. Popatrz, co zrobił Leenie.

Esta kręciła głową.

– Może nie znałam wszystkich jego planów, ale chcę przynajmniej spróbować dokończyć to, co zaczął. Jestem mu to winna.

– Nie jesteś Dolphem.

– Wiem – odparła, trzęsąc się z przejęcia.

– I nie jesteś mu nic winna – dodał już łagodniej. – Możesz kroczyć własną drogą.

– Chcesz, żebym uciekła.

– Chcę, żebyśmy przeżyli – poprawił ją. – Chcę, żebyś mogła spojrzeć w lustro bez pogardy. Nie przyszło ci nigdy do głowy, że może twoja matka miała powód, żeby cię ukrywać przed Dolphem? Znałem ją. Leena nie pochwałała wszystkiego, co robił Dolph. Inaczej by cię nie ukryła. Widocznie chciała dla ciebie innego życia niż ciągła walka, przemoc i śmierć.

– Dolph próbował zmienić rzeczywistość...

– Dolph był moim przyjacielem, ale na pewno nie był świętym, za jakiego go uważasz. Skrzywdził Leenę, bo uznał, że tak będzie najlepiej. Dla niej, dla magii, dla wszystkich. Nigdy mu całkiem nie wybaczyła, że odebrał jej moc. Czym to się różni od tego, co robią teraz Antistasi?

Spoglądała na niego z wyrazem twarzy, jakiego nigdy przedtem u niej nie widział. Nie wiedział, co ta mina oznacza, i dlatego poczuł niepokój.

– Przed nami długa droga – rzekł innym, łagodniejszym tonem. – Pamiętasz chyba o naszej misji? Nibsy wciąż gdzieś tam jest.

– Wiem.

Podwinęła sobie rękaw.

– Co to? – spytał.

Na jej skórze widniało kilka blizn przypominających litery. Cofnęła jednak rękę, zanim zdążył je odczytać.

– Nie miałam tego wcześniej. Zmieniamy świat i dobrze wiem, że Nibsy gdzieś tam jest i czeka. Tylko że on czeka na mnie, Harte.

Ból i zmartwienie, z jakimi to powiedziała, rozdzierały mu serce, ale to nie był wystarczający powód, żeby wykonywać rozkazy Ruth.

– Musimy opuścić to miasto żywi. Wtedy będziemy mogli wrócić i wszystko naprawić. Tak żeby żadna z tych rzeczy – ustawa, zamachy i tak dalej – nigdy nie miała miejsca. W ten sposób naprawdę pomożemy ludziom.

– A jeśli to się okaże niemożliwe? – spytała ponuro. – Jeśli nie będę mogła cofnąć nas z powrotem do tysiąc dziewięćset drugiego?

– Będiesz mogła...

– Nie wiesz tego – weszła mu w słowo. – I ja też nie. Muszę to zrobić.
W razie gdyby... – Ale nie dokończyła.

Harte wyciągnął do niej rękę.

– Esta...

– Nie, Harte. – Wstała i zrobiła krok do tyłu. – Nie zmuszę cię, żebyś mi pomógł, ale też nie dam się zatrzymać. Albo mogę na ciebie liczyć, albo zrobię to sama.

Westchnął ciężko.

– Wiesz, że możesz na mnie liczyć.

Jego słowa podziały na nią kojąco. Uśmiechnęła się lekko, kiwnęła głową i odeszła, by porozmawiać z Ruth. Patrzył, jak się oddala, wyprostowana, kołysząca ramionami. Silna i pewna swego. Wierna sobie.

– Do końca – wymamrotał nie wiadomo do kogo, a jego słowa porwał wiatr.

ŻYWE OBRAZY

1902 rok – Nowy Jork

W terkoczącym powozie Jack zgniótł w zębach dwie kolejne kostki morfiny, by uśmierzyć ból głowy i rozjaśnić umysł. Dopiero gdy narkotyk zaczął krążyć po jego ciele, poczuł, że może znów oddychać, a świat nabrał ostrości. Wyjął Księgę zza pazuchy i przez ostatnie kilka minut drogi do rezydencji Morgana przeglądał jej zawartość, a zwłaszcza własnoręczne zapiski. W ogóle ich nie pamiętał, ale dawno już przestał się tym niepokoić, uznawszy to za dobry znak, dowód, że Księga postanowiła odkryć przed nim swoje tajemnice. Że nie tylko był godzien, aby je poznać, ale wręcz było mu to przeznaczone.

Ta świadomość utwierdzała go w przekonaniu, że obrał słuszną drogę. Uległość i posłuszeństwo nie były mu pisane. Za pomocą Księgi zdołał przejąć kontrolę nad przygotowaniem do gali Zakonu, stał się reżyserem tego spektaklu. Na kilka dni przed wydarzeniem miał tylko jedno zmartwienie, z którym nie zdążył się jeszcze rozprawić, a na imię mu było Evelyn DeMure.

Wiedział, że tamten pierścień, który nosiła, to coś więcej, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Domyśliłby się nawet bez podpowiedzi zawartych w Księdze; gładka doskonałość kamienia, skwierczenie magii w powietrzu naokoło wystarczyłyby mu za wskazówkę. Wewnętrzny Krąg zawsze pilnie strzegł tajemnicy, jaką była zawartość Misterium. Wiedzieli o niej tylko najwyżej postawieni członkowie Zakonu, lecz Jack zgłębił te sekrety podczas nocy spędzonych nad Księgą. Teraz już wiedział, że pierścień musi być Łzą Delf, kamieniem stworzonym przez samego

Newtona. Wiedział również, jak Newton go stworzył – poprzez ofiarę – i co można było zdziałać, korzystając z jego mocy.

Tamtego wieczoru w teatrze Jack zrozumiał, kim jest Evelyn i dlaczego tak skutecznie broni siebie i pierścienia przed jego zakusami. A teraz miał już rozwiązanie problemu, który dla niego stanowiła. Wszystko układało się w logiczną całość, a Jack zamierzał wyjawić prawdę na gali, odbierając Evelyn pierścień i rozprawiając się z nią raz na zawsze.

Gdy powóz wreszcie zatrzymał się przed domem jego stryja przy Madison Avenue, Jack schował Księgę z powrotem do kieszeni. Nosząc ją na piersi, dosłownie czuł jej moc, pulsowanie wtórujące biciu jego serca. Wsiadł, ignorując ćmiący ból głowy. Morfina bardzo mu pomagała. Podobnie jak świadomość, że wkrótce będzie miał już wszystko, czego potrzebuje, wszystko, czego kiedykolwiek pragnął. Poinstruował woźnicę, aby wniósł do środka skrzynię przytroczoną z tyłu pojazdu, rekwizyt przygotowany specjalnie na galę.

Patrzył, jak służący stryja pomaga woźnicy wnieść skrzynię, po czym sam wszedł do środka. Był coraz pewniejszy, że wszystko ułoży się po jego myśli. Przy drzwiach czekała nowa służąca, dziewczyna o brązowej karnacji, całkiem nie w jego guście. Podał jej machinalnie płaszcz i kapelusz, a następnie udał się do sali balowej, by zobaczyć, jak idą przygotowania.

W ciągu dwóch dni od jego ostatniej wizyty dokonał się znaczny postęp. Aksamitne zasłony w kolorze wina spływały na dół wśród szerokich kolumn, dzieląc parkiet na cztery osobne sceny do wystawiania żywych obrazów.

Żywe obrazy były najnowszym krzykiem mody. Żadne ekskluzywne przyjęcie nie mogło się obyć bez tych urzekających pokazów ożywionej sztuki. Nawet najwięksi sztywniacy patrzyli z błyskiem w oku, jak inni przedstawiciele wyższych sfer ustawiają się w najróżniejszych pozach, odtwarzając sceny z klasycznego malarstwa. W mieście już huczało od plotek, jakie dzieła będzie można oglądać tym razem. Ku wielkiemu zadowoleniu ciotki Jacka gazety prześcigały się w spekulacjach na temat

udziału tegorocznych debiutantek oraz mniej lub bardziej skąpych strojów, w jakich się zaprezentują. Reporterzy stawali na głowie, żeby otrzymać zaproszenie. Dokładnie tak, jak chciał Zakon.

Celem Zakonu było umocnienie swoich wpływów w mieście, lecz Jack zamierzał wykorzystać galę do swoich spraw. Pokazać dobitnie, jaki jest ważny – nie tylko rodzinie, ale także Zakonowi. I całemu miastu.

Evelyn już tam była. Stała na niskim taborecie, oblekana przez krawcowe w przezroczysty szyfon do żywego obrazu, który dla niej wybrał. Kiedy mu pomachała, jak zwykle poczuł w sobie gwałtowny przypływ żądz, której źródłem – teraz już to wiedział – była jej dzika magia. Dzięki rysunkowi, który namalował sobie rano na piersi, wzorując się na ilustracji z Księgi, nie miała już nad nim takiej władzy, w każdym razie nie na odległość. Na wszelki wypadek wolał nie podchodzić zbyt blisko.

Odmachał jej, udając zainteresowanie, a tak naprawdę przyglądając się kostiumowi. Był niemal doskonały – Evelyn miała się wcielić w nieprzytomną piękność z tajemniczego obrazu *Nocna mara* Johanna Füssliego. Nawet nie przypuszczała, jak trafny był to wybór. Przekona się o tym dopiero na gali.

Jack zwrócił swoją uwagę ku pozostałym scenom. Właśnie omawiał z innym członkiem Zakonu najlepsze usytuowanie obrazu przedstawiającego Kirke, gdy poproszono go do gabinetu stryja.

Jack do tej pory odwiedził ten gabinet tylko raz, tuż po powrocie z Grecji. Był wtedy słaby i podłamany, przyniósł wstyd sobie i rodzinie. Teraz wszedł do środka bez entuzjazmu, ale z podniesionym czołem, pamiętając, że jest wybrańcem Księgi.

Pracownia Morgana była urządzona z przepychem, pod beczkowato sklepieniem sufitem pyszniły się stateczne meble w odcieniu ciemnego brązu. Był to gabinet księcia handlu, magnata interesów, lecz na Jacku, który czuł na piersi ciepło Księgi, kosztowne wnętrze nie robiło wrażenia.

Morgan zwrócił się do niego z wyrazem nieskrywanej pogardy.

– Jak idą przygotowania?

– Prawie zakończone – odparł spokojnie Jack.

– Najwyższy czas – stwierdził Morgan. – Zostały już tylko dwa dni.

Jack puścił mimo uszu zjadliwy ton stryja. Już niedługo Morgan będzie go przeproszał i błagał, by podzielił się z nim swoją wiedzą i władzą. A wtedy Jack zaśmieje mu się w twarz.

Na razie tylko wzruszył ramionami.

– Zdążymy bez problemu.

Kartoflowaty nos Morgana drgnął.

– Wszystko ma być dopięte na ostatni guzik. Widziałeś to?

Nieomal rzucił w Jacka gazetą.

– Co takiego? – spytał Jack, próbując zrozumieć, który spośród wielu entuzjastycznych nagłówków tak bardzo wzburzył stryja.

– O pożarze – wyjaśnił Morgan, pochylając się nad biurkiem i dźgając tłustym palcem zadrukowaną stronę. – Te zwierzęta spaliły remizę przy Great Jones Street. To rewir Charliego Murphy’ego. Terytorium ratusza.

– Nie bardzo rozumiem, jaki to ma związek z tobą czy ze mną – skwitował Jack. Wśród rządzących roiło się od irlandzkich karierowiczów, sprzedajnych polityków, którym zdawało się, że otwierają się przed nimi nieskończone możliwości awansu.

– Taki – odparł Morgan – że mamy porozumienie z ratuszem. Pomagają nam w zwalczaniu Maginów na Dolnym Manhattanie.

– To tylko pożar...

– Właśnie że nie tylko – przerwał mu stryj złowieszczym tonem. – To było zamierzone podpalenie, a ten ogień to nie był zwykły ogień. Przez bitą godzinę nie dawało się go ugasić wodą. Cała sprawa cuchnie na kilometr dziką magią.

– No i? – Jack nie mógł zrozumieć, dlaczego miałby się przejmować jakąś zdewastowaną remizą strażacką. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby całe Bowery poszło z dymem.

– Wiesz, w jakim to nas stawia świetle? – zagrzemiał Morgan, waląc pięścią w blat. – Jakbyśmy nie byli w stanie nic zrobić.

Jack zastanawiał się, jak to możliwe, że kiedyś bał się tego starca. Jego groźne pohukiwania były jedynie dowodem słabości. Prawdziwa siła obywatela się bez gniewu. Żarzyła się cicho, trawiąc od wewnątrz.

– Ludzie pomyślą, że Zakon jest słaby, tylko jeśli ty i reszta Wewnętrznego Kręgu nie zareagujecie – stwierdził. Krążąca w żyłach morfina rozjaśniła mu umysł, czuł się odprężony i pewny siebie. – Moim zdaniem należy się tylko cieszyć. Taki pożar daje Zakonowi pretekst, żeby raz na zawsze rozprawić się z robactwem.

– Być może, ale jeśli ratusz zacznie robić problemy, możemy mieć kłopot na konklawe. Już przebakują, jacy to są wszechpotężni w mieście. Nie dalej niż przedwczoraj Barclay słyszał, jak jeden z nich się odgrażał, że do końca roku Zakon przestanie się liczyć.

– Kogo obchodzi, co powiedział jeden...

– Mnie obchodzi! – warknął Morgan. – I Wewnętrzny Krąg. Pod koniec roku na konklawe zjadą się do miasta trzy inne bractwa i nie dopuszczę, żeby Zakon miał opinię słabego. Konklawe to dopiero początek. Decydują się losy tego, kto będzie sprawował władzę w nowym stuleciu, a kto nie. Najpierw ci przekłeci złodzieje ukradli nam artefakty i Ars Arcana, a teraz jeszcze z twojej winy jesteśmy posądzeni o słabość. Jeśli Zakon nie zaznaczy swojej przewodniej roli w zjednoczeniu bractw, Nowy Jork straci znaczenie i wpływy. Prezydent jest nam teraz przychylny. Jeśli dobrze rozegramy konklawe, możemy mieć cały kraj w garści.

– Rozumiem – odparł Jack. Bo naprawdę rozumiał. Co nie znaczy, że miał zamiar pozwolić starym przykom z Wewnętrznego Kręgu, aby to oni sięgnęli po tę władzę.

– Śmiem wątpić – rzucił zdenerwowany Morgan. – Ale jeśli to zawalisz, dopiero zrozumiesz. Na gali będą goście z ratusza. To bardzo ważne, abyśmy im pokazali, że trzeba się z nami liczyć.

– Pokażemy – zapewnił go Jack, tłumiąc wzbierające rozbawienie. Na gali całe miasto dowie się, z kim trzeba się liczyć mniej, a z kim bardziej.

JESZCZE RAZ

1902 rok – Nowy Jork

Viola mogła trafić nożem w serce z odległości czterdziestu kroków. Paul nie był idiotą i dlatego rzadko pozwalał jej nosić przy sobie taką broń. Jednak słuchając go teraz, jak głądzi o jej kolejnym niepowodzeniu, zaczęła się zastanawiać, jaką krzywdę mogłaby mu zrobić drewnianą łyżką, którą trzymała w dłoni. Na pewno mogłaby przynajmniej sprawić, żeby się zamknął.

– Wiem, Paolo – odrzekła, podpierając się pod boki. – Ale nie pójdę z Johnem Torrio.

– Dlaczego nie? – Paul nastroszył brwi. – Uważasz się za lepszą od niego? A może istnieje jakiś inny powód? Jakaś osoba, o której powinienem wiedzieć?

– Nie lubię go, to wszystko – wycedziła ze złością.

Kiedy uniósł rękę, by ją uderzyć, tylko się uśmiechnęła.

– Nie – powiedział przez zaciśnięte zęby, opuszczając dłoń. – Nie możesz pójść na galę posiniaczona.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego miałabym się stroić dla tej świni. Nie ufam mu, Paolo, i ty też nie powinienes. Jak tylko będzie miał okazję, wbije ci nóż w plecy.

– Myślisz, że nie wiem? – odparł jej brat. – A dlaczego chcę, żebyś z nim poszła?

– Dobrze wiem dlaczego. Bo nadal mi nie ufasz.

– Nikomu nie ufam, włącznie z Torriem. Na tej gali chcę mieć swoje ostrze pod ręką. Pójdziesz z Lisem i spełnisz swój obowiązek wobec mnie

i rodziny albo nie masz tu czego szukać. – Usta rozchyliły mu się w kąciku, odsłaniając krzywy kiel. – Ale pamiętaj, będziesz musiała uważać już nie tylko na patrole ratusza i chłopców z dzielnicy. Mam teraz przyjaciół na wysokich stanowiskach. Mój dobry znajomy Jack Grew na pewno chętnie by się dowiedział, gdzie szukać złodziejki, która okradła skarbiec Zakonu. A gdybym dostarczył mu ją do rąk własnych, jego wdzięczność nie miałaby granic.

Viola splunęła na podłogę u jego stóp.

– Nie odważyłbyś się. Nie zdążyłbyś nawet otworzyć ust, a byłoby po tobie.

– Ależ ty lubisz mi grozić, siostrzyczko. A mimo to wciąż jestem żywy. Wciąż trzymam w rękach twoje życie. – Zbliżył się do niej. – Przyjąłem cię z powrotem pod opiekę rodziny, bo mama mnie poprosiła. Ona nie widzi, jaka jesteś naprawdę. Nigdy tego nie widziała. Myślisz, że nie pamiętam, jak cię rozpieszczali z papą, a ja musiałem po tobie sprzątać? To dlatego, że urodziłaś się potworem, dziwadłem. Zawsze ci się wydawało, że jesteś lepsza od nas, jakby reguły tego świata ciebie nie dotyczyły. Ale teraz wiesz, że tak nie jest. Teraz to ja dyktuję warunki. To moje miasto.

Zaśmiała się ponuro.

– Ci ludzie cię wykorzystują, Paolo. Ci z ratusza i ci z Zakonu. Nie szanują ani ciebie, ani twoich pieniędzy, bo są zbyt nowe. I zbyt brudne jak na ich gust.

Brat spiorunował ją wzrokiem.

– Może im się wydaje, że mnie wykorzystują, ale moje pieniądze są tak samo dobre jak każde inne, a kraj się zmienia, siostrzyczko. Wkrótce będzie się liczyć już tylko zawartość kiesy, a nie jej wiek.

– Paolo...

– Pójdiesz z Torriem albo wcale, *capisce*?

Viola zacisnęła zęby, powstrzymując się, żeby nie powiedzieć wszystkiego, co jej się cisnęło na usta. Gdyby nie to, że potrzebowała zaproszenia na galę, naprawdę zrobiłaby użytek z łyżki.

– Rozumiem – rzekła, odwracając się do garnka, w którym mieszała, zanim jej przerwał.

– Zamówię ci sukienkę. Bądź gotowa na osiemnastą.

Jedynie skinęła głową, bojąc się, że jeśli otworzy usta, coś jej się wymsknie. Lecz gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, z całej siły rzuciła drewnianą łyżką w miejsce, gdzie przed chwilą stał. Zrobi, jak kazał, ten ostatni raz. Jakoś zniesie namolne spojrzenia Torria i jego zbyt swawolne ręce. Ale tylko dlatego, że potrzebowała brata i jego ludzi, by zbliżyć się do Zakonu. Potem wszystko się może zdarzyć.

SAM SOBIE STEREM

1902 rok – Nowy Jork

Logan Sullivan był zmarznięty, głodny i marzył o prysznicu, ale przynajmniej odzyskał wolność. Po tym, jak dał się zaskoczyć w mieszkaniu tej kobiety, od paru dni ją śledził. A mówiąc ściślej, podążał za kamieniem i zbierał informacje.

Teraz stał naprzeciwko wejścia do Belli Stregi, a wiedźma z szyldu wpatrywała się w niego, jakby chciała go przepłoszyć.

Może i powinien uciec. Profesor Lachlan z przeszłości nie był tym samym człowiekiem, którego Logan znał i uważał za swojego mentora, niemalże ojca. Nie, to był przebiegły szesnastolatek, groźny jak drapieżnik. Wracając do jego jaskini, popełniał być może największy błąd w swoim życiu.

Ale jakie miał inne wyjście? W tym Nowym Jorku nie znał nikogo. Co się zaś tyczy Jamesa Lorcana, przynajmniej wiedział, kim ten chłopak zostanie w przyszłości. Jeśli ktoś mógł odnaleźć Estę i zmusić ją, by zabrała Logana z powrotem do jego czasów, to chyba tylko obecny właściciel baru Bella Strega.

Poza tym teraz, gdy dowiedział się czegoś więcej o kamieniu – przede wszystkim gdzie i kiedy go szukać – miał mocniejszą kartę przetargową. Prawda była taka, że nigdy za bardzo nie uważał, kiedy profesor Lachlan usiłował wytłumaczyć mu, z jakich części składa się magia. Miał jednak nadzieję, że jeśli tylko zdobędą ten kamień, to być może – kto wie? – uda mu się powrócić tam, skąd przybył.

PRZYGOTOWANIA

1904 rok – St. Louis

Julien przesuwiał po powiekach Esty chłodnym czubkiem pędzelka.

– Jeszcze chwila – powiedział i znów poczuła na twarzy jego tytoniowy oddech. – Już. Gotowe.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że przygląda jej się z wyrazem satysfakcji. Stojący obok Harte marszczył brwi.

– I jak? – spytała.

– Doskonale – orzekł Julien, po czym odwrócił się do lustra, by zrobić makijaż sobie.

Esta stanęła przy nim, żeby się przejrzeć, i szczęka jej opadła. Skórę miała zbyt bladą, usta – i tak już spore – za sprawą ceglastej szminki wydawały się ogromne. Oczy podkreślił jej dramatycznymi pociągnięciami proszku antymonowego, a powieki pomalował na turkusowo i złoto.

Na złoto.

– Wyglądam jak klaun – powiedziała, odgarniając z twarzy długie warkocze ciemnej peruki.

Mówiąc ściślej, wyglądała jak wyjęta żywcem z malowideł zdobiących Ulice Kairu, ale w gruncie rzeczy wychodziło na to samo. Jej stylizacja również raziła sztucznością.

Julien spojrział na jej odbicie w lustrze.

– I o to chodziło.

– Żeby przypominała cyrkowego błazna?

Poruszając ustami, czuła, że szminka jeszcze nie wyschła.

– Uważaj, żeby nie rozmazać – odparł Julien, ignorując jej wzburzenie. Swoje usta pociągnął dyskretniejszą czerwienią.

– Dlaczego ty możesz wyglądać jak kobieta, a ja muszę wyglądać jak klaun?

Jej rysy zdawały się teraz grubsze i bardziej kanciaste, podczas gdy jego własny makijaż wywierał odwrotny efekt: łagodził męskie oblicze, nadając mu kobiecy wygląd.

Julien popatrzył na nią spod oka.

– Bo ty jesteś kobietą. Zaufaj mi. Dzięki tej charakteryzacji nikt nie zwróci uwagi na ten drobny szczegół. Wyglądasz tak, jak trzeba – jak wszyscy inni mężczyźni, którzy będą dzisiaj jechać na platformach.

Znów spojrzała ponuro na swoje odbicie, a zaraz potem napotkała w lustrze spojrzenie Harte'a. Na jego twarzy zgroza mieszała się z bólem. Widocznie miał co do tej charakteryzacji podobne odczucia.

Nie rozmawiał z nią od czasu tamtej sprzeczki nad rzeką, ale przyszedł tutaj z nią. Nie wyłamał się z planów, a więc wygrała. Z jakiegoś powodu to zwycięstwo niezbyt ją cieszyło. Pomyślałaby, że to nerwy, ale przecież nie zwykła się denerwować, nie w obliczu tak ważnego i niebezpiecznego zadania.

Westchnąwszy z frustracji, Esta wzięła jeszcze trochę waty i wepchnęła ją do zbyt luźnego gorsetu pod lejącą się białą suknią. Było w tym coś absurdalnego: spłaszczała się, by zaraz potem znów się wypchać, bo inaczej nie wypełniłaby sobą sukni od Juliana. A wszystko dlatego, że kobiety nie mogły wsiadać na platformy – tłumaczono to względami przyzwoitości albo czymś podobnym. Nadal nie rozumiała, w czym kobieta jest gorsza od zgrai podchmielonych mężczyzn przebranych za kobiety, ale przynajmniej ta obłudna moralność otwierała jej drogę do udziału w paradzie, a przede wszystkim – do zbliżenia się do naszyjnika.

Ktoś zapukał do drzwi garderoby.

– Wasz powóz czeka – odezwał się Sal.

– Powiedz, że będziemy za pięć minut! – zawołał Julien. Włożył swoją perukę w stylu Kleopatry i zwrócił się do Esty i Harte’a: – No, już czas.

Sprawił wrażenie zdenerwowanego. Trochę za bardzo.

– Wyluzuj się, Jules. – Harte poklepał go po ramieniu. – Pomyśl, że to występ jak każdy inny. Trochę błysków, sztucznego dymu i koniec.

– Tego się właśnie obawiam – wymamrotał Julien.

Nie był szczęśliwy, kiedy przyszli i oznajmili, że znów potrzebują jego pomocy. Esta sądziła, że gdyby nie znajdowali się wtedy w restauracji pełnej ludzi, Julien powaliłby Harte’a na ziemię i uciekł. Postarali się jednak wyjaśnić mu swój problem najlepiej, jak potrafili, nie wspominając ani słowem o Antistasi. Dopóki wszystko szło według planu, nie musiał o nich wiedzieć – i narażać się na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

– Nie będziesz miał z tego powodu żadnych kłopotów, Jules. Obiecuję – rzekł Harte tonem spokojnym jak wyraz jego twarzy. – Gotowy, brachu?

– Możesz już dać sobie spokój z tym brachem – odparła, choć gwoli prawdy złość wywołana tym zwrotem pomagała jej zapomnieć o nerwach. – Do zobaczenia na paradzie. – Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

Julien odpowiedział jedynie krótkim skinieniem głowy. Oczy miał ukryte w cieniu, minę nieprzeniknioną.

W podobny wieczór jak ten – i nie tak znowu dawno – jechała w niezręcznej ciszy z Harte’em do Khafre Hall. Wtedy zamierzała zdradzić wszystkich swoich nowych przyjaciół. Nie wiedziała, że Harte też miał swoje plany. Tamtego wieczoru również był dla niej chłodny, ale dziś miała poczucie, że dzieli ich przepaść większa niż kiedykolwiek – większa nawet niż tamtej nocy w Nowym Jorku, kiedy miał ją za najgorszą zdrajczynię.

Musiała przyznać przed sobą, że był taki już od pewnego czasu. Jeszcze zanim się pokłócili, wyczuwała u niego rezerwę, a kiedy się dotykali, kiedy sądziła, że może między nimi do czegoś dojść, zawsze robił minę, jakby tego żałował, jakby to wszystko było jednym wielkim błędem. Co nie zmieniało faktu, że po kłótni nad rzeką napięcie wzrosło.

Wiedziała, co sobie myśli. Że Antistasi obrali złą drogę. Że to nie jej walka. Że będzie żałowała swoich decyzji. Nie miała jednak czasu na podobne wątpliwości, nie przy tak wysokiej stawce. Wystarczyło przypomnieć sobie, jakie były skutki oszczędzenia Jacka. Posłuchała wtedy Harte'a, dała mu się przekonać i przyszłość zmieniła się na gorsze. Magini na tym ucierpieli. Nie, nie wolno jej okazać słabości. Nie tym razem.

Cholera. Wydmuchnęła gwałtownie powietrze, zbierając w sobie siły. Za nieco ponad godzinę zdobędą naszyjnik i świat będzie inny. Musi być inny. Ona to sprawi – albo umrze, próbując.

Pewnie kiwnęła głową w stronę Harte'a i podążyła za Julienem przez teatr, aż do czekającej na ulicy dorożki. Przy drzwiach stali strażnicy, więc wciągnęła magię jak najgłębiej.

Ku jej zaskoczeniu powóz nie był pusty. W jego ciemnym aksamitnym wnętrzu czekał na nich Zawołowany Prorok, a obok niego siedział Jack.

DIABEŁ W ŚRODKU

1904 rok – St. Louis

Po tym, jak Esta i Julien wyszli z garderoby, Harte musiał walczyć ze sobą, żeby nie pójść za nimi. Chwilę wcześniej Esta spojrzała na niego w lustrze, tak umalowana, że nawet on jej nie poznawał, i zobaczył wtedy kogoś więcej niż Estę: zobaczył kobietę ze swoich wizji, tę, której oczy robiły się czarne jak noc i która krzyczała wniebogłosy...

Przypadek, pomyślał. Sęk w tym, że nie wierzył w przypadki.

Potarł twarz dłonią, po czym, z gwałtownością, której sam się nie spodziewał, kopnął krzesło przy toalecie, a potem jednym zamaszystym ruchem rzucił z niej rzędy farb i kosmetyków. Porcelanowe słoiczki roztrzaskały się na kawałki, a różnokolorowe proszki upstrzyły podłogę.

Powinien był ją powstrzymać. Zrobić wszystko, żeby jej wyperswadować ten ryzykancki plan. Dała się urzec Ruth i Antistasi, fantazji o świecie urządzonym od nowa. On sam twardziej stąpał po ziemi. Trudno mu było wyobrazić sobie taki nowy, wolny świat, skoro głos w jego myślach obiecywał tylko śmierć i zniszczenie.

Magia nie była niczym więcej jak pułapką. Sztuczką.

A może jednak dobrze zrobił, że ją puścił. Może nie miał wyboru. Kim był, żeby osądzać Ruth i jej ugrupowanie? Tym bardziej że uwięziona w nim siła wciąż starała się podkopać jego wiarę w siebie, związać go strachem i niezdecydowaniem do tego stopnia, żeby móc w końcu przerwać stawiane przez niego zapory.

Ciężko oddychając, spojrzał na siebie w lustrze – na ciemne kręgi pod oczami, dwudniowy zarost na policzkach. Gdy się bliżej przyglądał,

wydawało mu się, że widzi uwięzioną w nim istotę, jak wyziera z głębi jego własnych oczu.

Nawet teraz, z palcami wpitymi w blat toaletki, czuł, że gdyby się puścił, mógłby odlecieć. Z każdym upływającym dniem Sesztat była coraz silniejsza. Coraz trudniej przychodziło mu tłumić jej nienawistne pomruki. Ten głos brzmiał coraz wyraźniej – śpiewała nim pieśń gniewu, smutku, zniszczenia i chaosu, a jej melodią była Esta.

Zamierzała rozbić świat na kawałki.

Nie. Nie pozwoli jej na to. Zrobi wszystko, żeby Esta nie wpadła w szpony Księgi – żeby nie stała się jej narzędziem. Żeby jego wizje się nie ziściły.

Wziął jeszcze jeden głęboki oddech i oderwał dłonie od stolika. Odszedł od lustra, zamknął oczy i oddychał głęboko, ze wszystkich sił kontrolując nieprzyjazną moc. Wreszcie odsunął jedną z desek na ścianie i przedostał się tunelem na tyły budynku.

North czekał w głębi uliczki przy wozie, na którym przezornie zamalowano nazwę browaru. Od czasu pożaru już nie patrzyli na siebie tak krzywo, lecz kowboj na powitanie tylko milcząco dotknął kapelusza. Harte wspiął się na kozioł.

– Tu jest twoje przebranie – odezwał się North, wskazując jutowy worek.

Ruszyli. Harte wyjął pelerynę oraz groteskową maskę z masy papierowej w kształcie twarzy węża.

Kiedy skończył się przebierać, North wręczył mu niewielką flanelową torbę. Harte zajrzał do środka i wyjął naszyjnik. Gdyby nie wiedział, że to podróbka, pewnie by się nie domyślił. Ludzie Ruth naprawdę znali się na swoim fachu. Metal połyskiwał jak platyna z prawdziwej Gwiazdy Dżina, a wprawiony pośrodku kamień miał niemal tę samą niesamowitą głębię co pierwowzór.

– Jest doskonały – przyznał.

– Oczywiście, że tak – odparł North. – Pamiętaj: kiedy będziesz je zamieniał, zapnij go, żeby uzbroid aktywator. Gdy go zdejmą, mechanizm

sam się uruchomi. Ten wasz Julien będzie miał jakieś dziesięć minut, potem kwas przeżre metal i serum się ulotni.

– To mnóstwo czasu. – Zgodnie z planem następną w kolejności osobą, która dotknie naszyjnika – po tym, jak Harte podmieni go na platformie – miał być Zawołowany Prorok, wręczający ozdobę dziewczynie, która wystąpi w niej na balu. Nieszczęsna debiutantka miała się udać na galę w towarzystwie Proroka i zostać przez niego przedstawiona gościom. Julienowi, który nie był zaproszony, nie groziło niebezpieczeństwo.

– Kiedy to się stanie, wszyscy będziemy już w drodze do punktu zbornego. Masz bransoletę Esty?

– Maggie ją ma – odparł North. – Dostaniecie ją po wszystkim, koło wieży ciśnień.

– A wtedy my raz na zawsze damy wam święty spokój.

North zjechał wozem na bok i zeskoczył z kozła. Kiedy przywiązywał konie do słupa, Harte otworzył drzwi z tyłu. W środku czekało kilkunastu śmiertelnie poważnych Antistasi przebranych tak samo jak Harte.

W milczeniu wysiadali jeden po drugim, aż wszyscy zebrali się wokół Northa.

– Uważajcie, żeby nie pomylić platform – poinstruował ich kowboj raz jeszcze.

Potrzebne im było zamieszanie. Chaos, w którym Harte będzie mógł się zakraść na platformę i podmienić naszyjniki.

– Prorok będzie jechał na końcu parady – rzekł Darrigan, powtarzając informację zdobytą przez Julię. – Tam trzeba zrobić największy bałagan.

– Bałagan to nasza specjalność – odezwał się jeden z ludzi węży, a reszta zgodnie zachichotała.

– Pamiętajcie – dodał North, przerywając ich śmiech – że kiedy zgaśnie światło, macie się rozproszyć. Pozbywacie się kostiumów, gdzie popadnie, i wracacie do obozu. Byle nie w kupie. Rozdzielcie się. Gdyby was złapano, róbcie, co uznacie za konieczne, ale nie zdradzajcie reszty. Prędzej czy później wyciągniemy was na wolność.

Odpowiedział mu szmer zgody. Harte włożył swoją maskę, ale na razie zostawił ją na czubku głowy.

North wyciągnął dłoń.

– Powodzenia.

Harte uściskał mu rękę. Przeszło mu przez myśl, żeby użyć daru i zajrzeć kowbojowi w duszę, w razie gdyby Ruth coś przed nimi ukrywała, lecz bał się, że North mógłby zacząć się czegoś domyślać. Jeśli chcieli zdobyć dla siebie i naszyjnik, i bransoletę Esty, potrzebowali elementu zaskoczenia.

Jeszcze przez chwilę mierzyli się nawzajem wzrokiem, żaden nie chciał ustąpić pierwszy. W końcu Harte dał Northowi wygrać.

Puścił rękę kowboja, pożegnał go skinieniem i opuścił maskę na twarz. Potem dołączył do gromady węży i poszedł szukać Zawołanego Proroka, naszyjnika i dziewczyny, na którą nie zasługiwał.

1902 rok – Nowy Jork

Jack Grew stał w kącie sali balowej stryja i przyglądał się własnemu dziełu. Dookoła jaśniały płomienie świec, pobrzękiwały kryształy. Szmer podnieconego oczekiwania otaczał go niczym zbroja. Był tam każdy, kto cokolwiek znaczył wśród nowojorskiej socjety, włącznie z wszystkimi członkami Zakonu i starannie wyselekcjonowanymi przedstawicielami prasy, co do których można było mieć nadzieję, że ukazą całe wydarzenie w najlepszym możliwym świetle. W jednym rogu Sam Watson ucinął sobie pogawędkę z młodszym Vanderbiltem. Na drugim końcu ciotka przechwalała się wystrojem sali. Wszyscy byli zadowoleni. Jack również.

Był już blisko. Bardzo blisko.

Watson wyłowił go z tłumu i szedł w jego stronę, ale Jack udał, że go nie widzi, i czmychnął za najbliższą zasłonę oddzielającą gości od zaplecza scen ustawionych jedna przy drugiej w głębi sali. Za kulisami atmosfera nie była już tak szampańska. Nerwowa energia aktorów dosłownie iskrzyła w powietrzu. Podniecony oczekiwaniem Jack sięgnął do kieszeni po fiolkę i rozgryzł jeszcze dwie kostki morfiny. Następnie schował fiolkę z powrotem do kamizelki, obok ciepłej Księgi, po czym, lawirując wśród stremowanych aktorów, znalazł Evelyn.

Miała już na sobie zwiewną suknię zamówioną specjalnie z myślą o obrazie. Wszystkie przedstawiane dzieła wybrano z określonych powodów, na ogół po to, aby ukazać siłę nauki i alchemii w obliczu niebezpiecznej dzikiej magii, która swego czasu omal nie doprowadziła do zagłady cywilizacji. *Nocna mara* była ostatnim punktem programu, swoistym zwieńczeniem wieczoru. Na obrazie jasnowłosa kobieta

spoczywała nieprzytomna na niskim łożu, z głową i ręką zwieszonymi ku podłodze. Malarz przedstawił ją w taki sposób, że gdyby nie plama różu na ustach, można by ją wziąć za martwą. Na piersiach kobiety siedziała szkaradna istota, inkub będący ucieleśnieniem sennego koszmaru.

Evelyn z mnóstwem bielidła wyglądała jeszcze bladziej niż zwykle. Jej skóra była tak biała, że prawie świeciła i zlewała się z suknią w kolorze kości słoniowej, która zresztą niewiele zakrywała. Przy tym tak ściśle przylegała do jej krągłości, że na dobrą sprawę mogłaby być przezroczysta – i w rzeczy samej taka się wydawała na pierwszy rzut oka. Na tym między innymi polegał urok tej zabawy. Żywe obrazy słynęły z pikanterii i balansowania na granicy obyczajności.

To wyuzdanie uchodziło aktorom na sucho dzięki tematyce, którą było klasyczne malarstwo. Gdyby Evelyn pokazała się w takiej sukni na ulicy, mogłaby trafić do aresztu, ale tutaj pasowała idealnie. Gdy kładła się na otomanie, suknia do złudzenia przypominała tę z obrazu, podobną zarazem do koszuli nocnej i do całunu, a przez to podkreślającą podobieństwo między otchłanią snu a czeluścią śmierci.

A gdyby plan Jacka się powiódł, podobieństwo to zostałoby unaocznione jeszcze dobitniej.

Na palcu Evelyn w mętym świetle błyskał pierścień. Już niedługo, powiedział sobie w duchu Jack, gdy jej oczy znalazły go w lustrze i odwróciła się, by go przywitać. Już bardzo niedługo.

– Jack, skarbie – zamruczała. – Jak wyglądam? – Zakręciła sobą i suknią.

Ciepłe pożądanie, jakie w nim budziła, zdążyło mu cokolwiek spowszednieć, a dzięki rytuałowi zaczerpniętemu z Księgi stanowiło już tylko drobną uciążliwość. Lecz Evelyn nie była jedyną gwiazdą tego wieczoru. Jack dla niepoznaki posłał jej miękkie spojrzenie i podszedł do niej takim krokiem, jakby miał ochotę ją pocałować, a nie ukręcić jej głowę.

– Oszalałmijąco, jak zwykle – odparł, odliczając sekundy do upragnionej chwili, w której zadowolenie na jej twarzy przerodzi się w strach. – Czy

peruka ode mnie dotarła? – Śpiąca piękność Füssliego miała pszeniczne włosy, a ognista grzywa Evelyn zepsułaby realistyczny efekt.

– Tak, właśnie miałam ją nakładać. – Spojrzała na niego zalotnie spod rzęs. – Widziałam też marę. Przeszedłeś samego siebie, Jack. Coś niezwykłego.

– Prawda?

Koło sceny, na której miała niebawem leć Evelyn, stała zdeformowana postać wyobrażająca senny koszmar.

Evelyn podeszła do niej i uwodzicielsko przesunęła dłonią po czubku jej głowy.

– Ten wyraz twarzy, taki żywy. Prawie sobie wyobrażam, jak mnie nawiedza we śnie, a ty? – spytała z chytrym uśmiechem, po który sięgała zawsze, gdy chciała go zmanipulować.

– O tak, ja też potrafię to sobie wyobrazić – odparł, przyglądając się kreaturze, którą stworzył własnoręcznie. Udało się dopiero za którymś podejściem; postać musiała być nie za ciężka, by mogła siedzieć na Evelyn, ale i nie za lekka.

– Publiczność oniemieje z wrażenia – mruzczała Evelyn.

– O tak, z całą pewnością – przyznał, tłumiąc w sobie niecierpliwość. – Przepraszam cię, ale muszę jeszcze rzucić okiem na inne przygotowania. Niedługo zaczynamy.

PRZED BURZĄ

1902 rok – Nowy Jork

Cela obciągnęła na sobie wykrochmalony uniform. Nie urodziła się po to, by podawać napoje i sprzątać stoły po ludziach, którym się zdawało, że są panami świata – tylko dlatego, że mieli bogatych tatusiów. Obiecała jednak Jianyu, że pomoże mu odzyskać pierścień. Miała za sobą trudny tydzień pracy w charakterze służącej w rezydencji Morgana. Obserwując dzień po dniu przygotowania do gali, uświadomiła sobie, że tym ludziom nie potrzeba jeszcze większej władzy. A już na pewno nie był im potrzebny żaden magiczny pierścień, który mógł oznaczać mnóstwo kłopotów nie tylko dla posiadaczy magii. Wierzyła Jianyu na słowo, że ten kamień, gdyby się znalazł w nieodpowiednich rękach, mógł rzucić ludzkość na kolana.

Jeśli o nią chodziło, Cela nie miała ochoty spędzić reszty życia na klęczkach.

Wyprostowała plecy i czekała w gotowości. Mieli jeszcze chwilę. Plan wydawał się całkiem prosty: poczekają na żywy obraz z udziałem Evelyn, a wtedy Jianyu zakradnie się na scenę i zdejmie jej pierścień. Gdyby spróbowała swoich czarów, musiałaby ich użyć w stosunku do wszystkich zgromadzonych albo zaryzykować, że się zdemaskuje na oczach ludzi, których celem w życiu, obok pomnażania pieniędzy, jest niszczenie takich jak ona.

Sęk w tym, że Cela, niezależnie od tego, co myślał Jianyu, nie wierzyła, że to takie proste.

Na szczęście nie była sama. Abel mimo wszystkich swoich obiekcji postanowił jej pomóc. Może po prostu chciał dopilnować, żeby nie

wpakowała się w jeszcze większe kłopoty, ale najważniejsze, że mogła na niego liczyć. Widziała go teraz, jak w głębi sali niesie tacę z szampanem. Ich spojrzenia się spotkały i pokręcił nieznacznie głową. Wciąż ani śladu Evelyn.

Cela skinęła na znak, że wszystko u niej w porządku, i zaczęła zbierać brudne szklanki z pobliskiego stolika. Niedługo się zacznie.

STARY WRÓG

1904 rok – St. Louis

Ujrzawszy Jacka w mrocznym wnętrzu powozu, Esta musiała się przemóc, żeby pokonać ostatni stopień. Julien usiadł obok niego, więc pozostało jej miejsce naprzeciwko. Zagryzając wargę, wzięła przykład z Juliana, rozparła się wygodnie, z szeroko rozsuniętymi kolanami, jak przystało na mężczyznę, którego udawała, modląc się, by Jack nie rozpoznał jej pomimo makijażu i półmroku.

– Ach, pan Eltinge i... – Jack zawiesił wyczekująco głos, spoglądając w stronę Esty.

– Martin – podsunął Julien, jak gdyby nigdy nic. – Martin Mull.

– Nie spodziewaliśmy się nikogo więcej – przemówił mężczyzna ukryty za koronkowym woalem.

Esta czuła, że Jack jest nią zaintrygowany, ale zachowała kamienną twarz. Oddychając głęboko, lecz powoli, bez mrugnięcia okiem odwzajemniła jego spojrzenie.

– Martin często mi towarzyszy – wyjaśnił od niechcienia Julien. – Żeby mi się czuło bezpiecznie. Uznałem, że kiedy jak kiedy, ale w taki wieczór jak dziś odrobina ostrożności jest wskazana. Zwłaszcza że będę miał na szyi nie byle co.

Nastąpiła długa, napięta cisza. W końcu Prorok nieznacznie pochylił głowę, a woal na jego twarzy lekko zafalował. Esta czuła, że wobec jego zgody Jack momentalnie przestał się nią interesować. Bez cienia skrępowania wyjął zza pazuchy fiolkę, wysypał z niej parę kostek i włożył je do ust. Po chwili zastanowienia dorzucił jeszcze dwie.

Ostatni raz widziała go zaledwie parę tygodni temu, ale dla Jacka minęło więcej czasu i te dodatkowe lata odcisnęły się na jego twarzy. Wyglądał starzej, skórę miał ziemistą i niezdrowo obrzmiałą. Może były to skutki alkoholu, lecz coś jej podpowiadało, że jednak nie. Bębnił palcami o udo, aż powietrze drgało od rozchodzącej się po ciasnym wnętrzu nerwowej energii.

Ma Księgę, pomyślała. Może nawet przy sobie. Dzielili ich odległość ramienia – gdyby tylko Esta zaryzykowała użycie daru, mogłaby spróbować mu ją wykraść.

Ale gdyby to zrobiła – gdyby przechwyciła teraz Księgę – Jack odkryłby jej brak. Jego reakcja mogłaby pokrzyżować ich misterne plany, w tym również plan zdobycia naszyjnika. Umysł Esty pracował na zdwojonych obrotach, lecz nie przychodził jej do głowy żaden sposób na wykradnięcie obu tych przedmiotów. W każdym razie żaden niewiążący się z ogromnym ryzykiem. Wkrótce zresztą powóz stanął i otwarto drzwi.

Na zewnątrz, w blasku żarówek rozwieszonych na sznurkach, roilo się od ludzi odzianych w najdziwaczniejsze kostiumy. Wokół jednej platformy gromadzili się pomalowani na jaskrawe kolory przebierańcy w strojach z piór i koźlej skóry. Rozmawiali z innymi, którzy mieli na sobie szare mundury konfederatów. Przy sąsiedniej platformie ludzie przebrani za sułtanów, o twarzach przyciemnionych farbą i długich sztucznych brodach, śmiali się i pili ze wspólnej butli. Na szczycie atrapy rzeczno-promu stała w melonikach grupka osób o twarzach poczernionych pastą.

Esta nie spodziewała się niczego mądrego, ale na widok tego cyrku zrobiło jej się niedobrze. To było tak, jakby Ku-Klux-Klan urządził bal przebierańców, pomyślała, starając się zachować zupełnie obojętny wyraz twarzy. Nie mogła dać po sobie poznać, jak bardzo jest zniesmaczona.

– Oni tak co roku? – spytała Juliana.

Przytaknął ruchem głowy.

– Czy to zawsze jest takie... – Zabrakło jej słów.

– To mój pierwszy raz – odparł, patrząc spod zmarszczonych brwi na trzech mężczyzn wykonujących lubieżne gesty w stronę czwartego,

przebranego za kobietę i śmiejącego się do rozpuku. – Ale chyba tak.

Znaleźli swoją platformę, na której mieli towarzyszyć samemu Prorokowi. Przypominała wyglądem łódź z Ulic Kairu, ale była od niej większa. Umieszczono ją na dużym wozie pomalowanym w tych samych odcieniach złota i błękitu indygowego co ekspozycja egipska. Z każdej strony czekało już pięciu wioślarzy. Ponieważ wyglądali na całkiem trzeźwych – czego nie dało się powiedzieć o większości uczestników parady – Esta sądziła, że są to członkowie Straży Jeffersonskiej, mający strzec Proroka i naszyjnika. Na środku łodzi wznosiło się niewielkie podium z dwoma złotymi tronami zakrytymi ozdobnym daszkiem z jedwabiu obszytego drogocennymi klejnotami.

Zbliżyła się do nich dwójka umundurowanych strażników. Jeden niósł niewielką walizkę.

– Wszystko idzie zgodnie z planem, Hendricks? – chciał wiedzieć Prorok.

Strażnik z walizką skinął twierdząco głową.

– Jest gotowy – odrzekł, wyciągając walizkę przed siebie.

Prorok sięgnął do szaty po klucz i otworzył nim zamek. We wnętrzu walizki błysnęły platyna i turkus.

Gwiazda Dżina.

Esta zacisnęła dłonie w pięści, powstrzymując się, żeby nie porwać jej natychmiast. To by było takie łatwe. Nic prostszego. Mogła mieć i Księżę, i naszyjnik. Wystarczyłoby zwolnić bieg sekund, sięgnąć po artefakty i już...

Ale wtedy cała odpowiedzialność spadłaby na Julię. W końcu to on ją tutaj przyprowadził. Gdyby zniknęła, zażądano by od niego wyjaśnień. Byłby skończony.

W najlepszym razie skończony, w najgorszym...

Co prawda ludzie Ruth czekali w pogotowiu, skłonni zaryzykować życie na oczach połowy miasta, ale co z tego? Sama Ruth wciąż miała Klucz

Isztar. Gdyby Esta naraziła jej podwładnych na niebezpieczeństwo, jeszcze trudniej byłoby odzyskać bransoletę z kamieniem.

Żadne wyjście nie było dobre. Musiała trzymać się planu, jakkolwiek marzyła o tym, żeby od razu sięgnąć po naszyjnik.

Tak czy inaczej, było za późno. Prorok już go zapinał na szyi Julienu.

– Tak jak się umawialiśmy, panie Eltinge – rzekł do niego. – Jeśli w czasie parady coś się z nim stanie...

– Może pan być spokojny – odparł Julien i zacisnął szczękę. Zerknął na Estę, a ona odwróciła wzrok. Jak na aktora grał dość kiepsko.

Prorok pokiwał głową, jego woal powiewał niczym firanka w oknie u starszej pani.

– A zatem chyba już czas – oznajmił, wskazując gestem podwyższenie.

Julien wspiął się na nie pierwszy, samodzielnie, a Prorok podążył jego śladem. Esta dołączyła do nich, stając blisko Julienu. W zamieszaniu straciła z oczu Jacka, lecz Gwiazda Dżina wciąż była bardzo, bardzo blisko. I Esta wciąż nie mogła jej mieć.

Ludzie kotłujący się naokoło w pijackich gromadkach zaczęli pomалу zajmować swoje miejsca. Tłum na ulicy się przeredzał, platformy ruszały jedna po drugiej. Wśród grzmotu bębnow rozpoczęła się wymarsz orkiestr, aż w końcu – Eście wydawało się, że trwa to całą wieczność – również łódź szarpnęła do przodu.

Na trasie parady tłoczyło się mrowie ludzi, każdy wyciągał szyję, starając się zobaczyć jak najwięcej. Platformy były podłączone do kabli tramwajowych, a zasilane nimi żarówki świeciły jak małe słońca, gorące i groźne, wśród papierowych ozdób.

Parada skręciła w Linden Avenue i sunęła powoli w kierunku terenów wystawowych. Esta poczuła nagle smagnięcie w policzek. Kiedy rozmasowywała obolałe miejsce, znów ją coś trafiło, tym razem w ramię.

– Auć! – poskarżyła się.

– Hołota jak zwykle daje znać o sobie. – Usłyszała głos Proroka. – Nie ma co zwracać na nich uwagi.

Lecz pociski sypały się coraz gęściej.

Dwaj mężczyźni w przebraniu egipskich strażników ruszyli w stronę tłumu na chodnikach, rozglądając się za sprawcami. Chwilę później wskazali kogoś palcem, a funkcjonariusze policji zabezpieczający trasę parady weszli w ciżbę, by znaleźć winnych.

– Proszę – mruknął Prorok. – Problem z głowy.

Parada posuwała się naprzód, w dali rysowała się już łukowata brama wystawy. Niedługo, pomyślała Esta, bacznie się rozglądając. Niedługo zjawi się Harte. Niedługo to wszystko się skończy.

A może dopiero się zacznie?

Od wejścia na teren wystawy dzieliła ich już tylko jedna przecznica, gdy do uszu Esty dobiegły odgłosy jakiegoś poruszenia. Dziki wrzask rozdarł powietrze i nagle z anonimowego tłumu wyłonili się ludzie w maskach. Mieli na sobie czarne peleryny, a ich twarze przypominały głowy węży.

Antistasi, pomyślała Esta. Na ich widok poczuła falę ciepła i gotowości. Wszystko odbywało się według ustalonego planu. Zamaskowani mężczyźni i kobiety najpierw oślepiłi policjantów proszkiem błyskawym, a następnie skierowali się w stronę platformy Zawołanego Proroka. Esta pod pozorem troski o Julię zbliżyła się do niego i patrzyła, jak ponad tuzin ludzi węży wspina się na platformę.

Powietrze było ciężkie od nienaturalnej magii, jednocześnie gorące i lodowate, kiedy Antistasi atakowali wioślarzy, podnosząc ich z ławek i ciskając na bok.

– Bronić królowej! – wykrzyknął Prorok, a pozostali strażnicy stanęli murem wokół nich.

Zapanował jeden wielki chaos. Esta udawała, że odpiera ataki węży. W pewnej chwili jeden z nich znalazł się bezpośrednio za nią i napał na Julię. Był to Harte. Rzuciła się w środek zamieszania, realizując dokładnie przećwiczony plan zapewnienia Harte'owi osłony, tak by mógł niepostrzeżenie podmienić naszyjnik. Na jego umówiony znak – spojrzał jej w oczy z determinacją i czymś jeszcze, czego nie potrafiła nazwać –

oderwała go od Juliana i zepchnęła z platformy na dół, ku funkcjonariuszom w ciemnych mundurach.

Nie miała czasu się martwić, czy wylądował bezpiecznie, bo ją samą ktoś nagle pociągnął i zanim zrozumiała, co się dzieje, zapadła się pod nią podłoga. Wylądowała z Julienem w małej celi. Zapadnia w górze się zamknęła, pogrążając ich w ciemności.

KOSZT LUDZKI

1904 rok – St. Louis

Harte wrywał się trzymającym go za ramiona dwóm policjantom, lecz wkrótce wepchnęli go do wnętrza długiego i ciemnego wozu z grupką Antistasi. Drzwi się zamknęły i pojazd natychmiast ruszył. Harte po ciemku wymacał naszyjnik w kieszeni wszytej po lewej stronie koszuli.

Wcześniej, na platformie, musiał się ze wszystkich sił powstrzymać, żeby nie pokonać Esty w pozorowanej walce. Głos w środku dopingował go i podjudzał – chciał, żeby ją złamał, zagarnął bez reszty. Ale teraz ten głos milczał.

Ta cisza wydawała mu się podejrzana. Może siła cofnęła się przed kamieniem tkwiącym w jego kieszeni, tak jak wcześniej przed Księżą. Niewykluczone jednak, że tylko czekała przyczajona, szykując się do kolejnego ataku.

Gdy Harte zdejmował maskę, ktoś zapalił zapałkę i wszyscy spojrzeli po sobie, a jeden z nich się roześmiał.

– To było niezłe – rzekł mężczyzna bez bocznego zęba, ocierając pot z czoła i zdejmując rękawiczki.

Harte nie do końca mógł się z tym zgodzić, przynajmniej nie w tej chwili. Odetchnie pełną piersią dopiero, gdy znajdą się na wolności.

Kiedy się zatrzymali, nasłuchiwał z wyostrzoną uwagą. W końcu otworzyły się drzwi i stanął w nich policjant. Jego usta wykrzywił grymas odrazy.

– Chyba złowiliśmy stado węży.

Potem twarz rozjaśniła mu się w szerokim uśmiechu i odsunął się, żeby mogli wyjść.

Harte wypuścił wstrzymywane powietrze. Siła w nim lekko się poruszyła. W przeciwieństwie do niego wcale nie była osłabiona.

Pozwolił pozostałym opuścić wóz. Nerwy wciąż miał rozprężone od adrenaliny i nie spieszyło mu się do wyjścia, lecz gdy w końcu wyszedł na zewnątrz, z błogością odetchnął świeżym powietrzem ciepłego wieczoru. Jego wzrok padł na stojącą obok Ruth.

– Podmienilesz naszyjnik? – zapytała.

Harte pokiwał głową. Nie żeby zmienił zdanie na temat całego przedsięwzięcia. Jeśli nie zdołają wrócić do roku 1902 i zapobiec temu wszystkiemu, jeżeli utkną tu, w przyszłości, kto wie, jakie reperkusje będzie miał jawny zamach na prezydenta.

Wyciągnął naszyjnik i pokazał go Ruth.

– Teraz wasza kolej na wywiązanie się z umowy. Bransoleta Esty.

– Będziesz musiał uzbroić się w cierpliwość – odparła Ruth, sięgając po naszyjnik.

Harte cofnął rękę.

– Nie ma mowy.

– Cały czas czekamy na Maggie – wyjaśniła Ruth. – Powinna się zjawić lada chwila.

– W takim razie wrócimy do tematu, kiedy się zjawi. – Harte schował naszyjnik za pazuchę. Prawda była taka, że kiedy przyjdzie Esta, Ruth pożegna się z obydwojoma artefaktami.

Dołączali do nich kolejni ludzie, wszyscy zdyszani i absolutnie zachwyceni wspólnym wyczynem. Minęło dziesięć minut, potem dwadzieścia. Z każdą upływającą sekundą Harte niecierpliwił się coraz bardziej.

Powinny już być.

W końcu jednak dobiegł ich turkot kół i dudnienie kopyt.

To nie Maggie...

Siła w Harcie wierzgnęła, gdy z mniejszego powozu, jeszcze zanim się całkiem zatrzymał obok wozu browarnego, wysiadła Esta.

Inaczej niż Harte się spodziewał, jej twarz nie promieniała zadowoleniem.

– Masz go? – spytała.

Skinął głową, lecz nawet wtedy się nie rozchmurzyła.

– Mają Julię – oznajmiła ponuro.

– Jak to? – Harte zbliżył się do niej. Pragnął za wszelką cenę otoczyć ją ramionami, wtulić w siebie, ale kiedy głos w jego wnętrzu podniecił się tym pomysłem, natychmiast się opamiętał.

Plan był genialny w swej prostocie. Ryzykowny, ale po zamianie naszyjników dziecinnie łatwy. Prorok miał odebrać od Julię falsyfikat i zawiesić go na szyi debutantki obranej tegoroczną Królową Miłości i Piękna. Wtedy Esta i Julien się ulotnią.

– Zaraz po ataku platformę zatrzymano w bocznej uliczce. Trzymali nas w celi pod pokładem i otworzyli dopiero pod Halą Festiwalową. Ale Julię od razu capnęli z naszyjnikiem. Jack już na niego czekał.

Harte zamarł.

– Jack Grew?

Esta skinęła twierdząco.

– Próbowałam iść z nimi, ale strażnicy mnie zatrzymali. Ze względów bezpieczeństwa, tak powiedzieli.

Harte'owi ani trochę się to nie podobało. Nie było powodu, żeby Jack towarzyszył Julienowi – chyba że wiedział.

– Julien jest cały?

– Nie wydaje mi się, żeby Straż coś podejrzewała – odparła Esta. – Bardziej zaprzętał ich naszyjnik niż Julien. Myślę, że jeśli zachowa spokój i będzie się trzymał planu, wyciągniemy go stamtąd, kiedy już przekaże naszyjnik.

Harte nie był zachwycony, ale gwoli prawdy mogło być gorzej. A tak, wracając po Julię, mieli jeszcze szansę odebrać Jackowi Księgę.

Wkrótce znów usłyszeli tętent kopyt.

– Maggie ma bransoletę – rzucił cicho Harte, a Esta kiwnęła głową.

– Powiedz, że tego nie zrobiliście! – zawołała Maggie do Ruth, jeszcze zanim zeskoczyła z siodła. Podbiegła do siostry i chwyciła ją za ramiona. – Powiedz, że się nie udało albo coś...

Ruth zmarszczyła brwi.

– Wszystko poszło zgodnie z planem.

Lecz Maggie kręciła głową, jakby nie chciała w to uwierzyć.

– Spokojnie – powiedziała Ruth łagodnym tonem, jakiego Harte nigdy przedtem z jej ust nie słyszał. – Wszyscy są bezpieczni, podmieniliśmy naszyjnik. Dobra nasza.

– Nie – odparła Maggie. – Nie. Musimy to zatrzymać.

– Nie ma już czego zatrzymywać.

– Serum nie działa.

Ruth zmarszczyła czoło.

– Jak to: nie działa? Oczywiście, że działa. Widzieliśmy na własne oczy...

– Oni umierają! – oznajmiła Maggie tonem bliskim hysterii. – Jeszcze rano myślałam, że to tylko Arnie ma problemy z powodu oparzeń, ale pod wieczór zachorowała Greta. Już nie żyje! Reszta też umiera, zabija ich własna magia. Nic nie mogę dla nich zrobić. Nawet Isobel nie była w stanie nikogo uzdrowić. To ich zabija!

Ruth zacisnęła szczękę, jej spojrzenie stwardniało.

– Przykra sprawa.

– To nie przykra sprawa, lecz katastrofa. Umierają z naszej winy. Jeśli ten naszyjnik wybuchnie, będziemy mieć na sumieniu wszystkich ludzi na balu. Oni wszyscy...

– No to zginą. – Ruth wyrwała się siostrze. – To koszt ludzki. Ilu naszych zginęło z rąk Straży przez ich okrutne prawo, przez ich nienawiść?

– Nie możemy... Ja nie mogę na to pozwolić – odparła Maggie przerażona. – To nie tak miało być. To nie jest...

– Teraz już nic nie zrobimy – stwierdziła Ruth. – Stało się.

– Możemy temu zapobiec! – upierała się Maggie. – Możemy zakłócić bal. Wypłoszyć ich stamtąd, zanim będzie za późno.

– Nie zamierzam dla Towarzystwa ryzykować życia swoich ludzi.

– To nie są tylko członkowie Towarzystwa, Ruth. Tam są też ich żony i córki! – Maggie prawie krzyczała, nie dostrzegając zbliżającej się Esty.

– Które żyją z owoców zła czynionego przez ich mężów i ojców.

Maggie cofnęła się o krok i prawie wpadła na Estę. W oczach miała trwogę, jakby nie знаła starszej siostry od tej strony.

– Ruth... – rzekła błagalnym głosem.

Mieli już naszyjnik, a porozumiewawcze spojrzenie Esty kazało Harte'owi przypuszczać, że właśnie podebrała Maggie bransoletę. Mogliby teraz uciec, zanim rozpęta się piekło.

Mogliby – ale nie mogli. On nie mógł.

– Nie możemy tam zostawić Julię – powiedział do Esty. W jej przerażonych oczach widział, że się z nim zgadza.

– Ani jego, ani nikogo – stwierdziła drżącym głosem.

– Jak chcecie się dostać na bal? – spytała Ruth. – Wszystkie wejścia są pilnowane przez Straż Jeffersonską. Nawet gdyby wam się to jakoś udało, w środku będzie ich dwa razy tyle, nie wspominając o obstawie prezydenta.

– Coś wymyślimy – odparł Harte.

Ale Ruth miała rację. Próba ratowania gości balowych nosiła wszelkie znamiona misji samobójczej. Przy tylu ważnych osobistościach szanse na przedarcie się przez ochronę były bliskie zeru, a gdyby nawet im się to udało, już by się stamtąd nie wydostali. Właśnie dlatego naszyjnik podmienili wcześniej, w trakcie parady.

– Ja mogę wam pomóc – odezwał się z cicha North.

– Nie pozwalam – oznajmiła kategorycznie Ruth. – To straceńcza misja. Zresztą nigdzie nie pójdziecie, dopóki nie dostanę naszyjnika – zwróciła się do Harte’a.

– Będziesz musiała mi go zabrać – odparł.

– North! – rozkazała Ruth. – Załatw to.

Ale North tylko wkroczył między nich.

– Z całym szacunkiem, ale wolałbym nie.

– Na co czekacie?! – krzyknęła Ruth na pozostałych.

Lecz mężczyźni i kobiety w przebraniach węży ani drgnęli. Większość stała ze wzrokiem utkwionym w ziemi, twarze mieli napięte, barki zgarbione pod ciężarem zbrodni, do której przyłożyli rękę.

– W takim razie nic mi po was – oznajmiła Ruth i wyciągnęła dłoń w stronę siostry. – Chodź, Maggie. Idziemy, zanim ktoś nas nakryje.

– Ja idę z nimi – odparła Maggie. Ignorując protesty siostry, podeszła do Northa i złapała go za rękę.

Oczy kowboja zabłyśły radością.

Na czerwonej twarzy Ruth złość mieszała się z niedowierzaniem.

– Maggie, chodź i nie dyskutuj.

Nawet Harte czuł w powietrzu jej zniecierpliwienie, ciężkie i rozedrgane jak magia.

Ale Maggie tylko spojrzała przez ramię i pokręciła głową.

– Dawno już przestałam być dzieckiem, Ruth. To mój błąd i muszę go naprawić.

WSZYSCY MAJĄ TREMEŃ

1902 rok – Nowy Jork

Ruby jeszcze raz przejrzała się w ogromnym lustrze, którym pokryta była ściana w sali balowej.

– Nie musisz tego robić – zauważył Theo, spoglądając bez entuzjazmu na jej strój. A właściwie na jego brak.

Miał rację. Brzoskwiniowa szata pod sukienką zakrywała ją wprawdzie od stóp aż po szyję, ale pozostawiała niewiele dla wyobraźni. Ruby miała się wcielić w Kirke z obrazu Johna Williama Waterhouse’a, na którym czarodziejka podaje Odyseuszowi kielich magicznego napoju. Prześwitująca sukienka Ruby miała kolor morza w pochmurny dzień. Zsunęta z jednego ramienia, pokazywała więcej, niż Ruby sama byłaby skłonna odsłonić.

Obejrzała się na narzeczonego.

– Oczywiście, że muszę – oznajmiła stanowczo, by utwierdzić się w podjętym postanowieniu. – Inaczej by mnie tu nie wpuszczono.

– Nie podoba mi się to – mruknął Theo. – Czym innym jest robienie rozgłosu wokół sprawy, a czym innym stawanie w samym oku wywołanego przez siebie cyklonu.

– Stojąc z boku, nie dowiem się prawdy – odparła, unosząc przód sukni w płońskiej nadziei, że uda jej się w ten sposób zakryć trochę więcej ciała, po czym opuściła go ze sfrustrowanym westchnieniem.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że ostatnim razem, kiedy uparłaś się, że musisz być w samym sercu wydarzeń, zostałem postrzelony – skwitował cierpko, ale bez prawdziwej złości.

Mimo to Ruby z miejsca ogarnęły wyrzuty sumienia.

– Chyba nigdy sobie tego nie wybaczę – przyznała głosem ściszym prawie do szeptu.

Oczy Theo złagodniały.

– Nie masz czego – zapewnił ją. – Jestem cały i zdrowy. Po prostu nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

Chciałoby się dodać: zwłaszcza że nie ma z nami Violi.

Ale Ruby nie zamierzała o niej myśleć, nie dziś wieczorem. I tak straciła mnóstwo czasu, powstrzymując się od pisania przez ostatnie dwa tygodnie. Bardzo jej zależało, żeby w końcu napisać tekst, który zostanie zauważony przez naczelnego jej gazety.

Może zbyt pochopnie podzieliła się z Jackiem – co prawda anonimowo – informacjami od Violi na temat Paula Kelly’ego. Chciała w ten sposób wbić kij w mrowisko Zakonu i zobaczyć, co się stanie. Tak naprawdę jednak zrobiła to pod wpływem gniewu i bólu. I może nie powinna była prosić Theo, żeby załatwił jej przez Jacka udział w żywym obrazie. Wtedy gala Zakonu wydawała jej się kołem ratunkowym, próbą powrotu do osoby, którą była, zanim dała się uwieść parze fioletowych oczu. Teraz miała poczucie, że wszystko wymyka jej się spod kontroli.

Strząsnęła z siebie tę myśl. To tylko nerwy dawały znać o sobie. Może i nie przemyślała wszystkiego od początku do końca, lecz przynajmniej dostała się tutaj, w sam środek największego wydarzenia organizowanego przez Zakon od czasu pożaru w Khafre Hall. Dziś R.A. Reynolds zdobędzie materiał, którego inni będą jej mogli tylko pozazdrościć.

Co nie zmieniało faktu, że czuła się idiotycznie w tym stroju. Nie żeby miała coś przeciwko odrobinie skandalu, ale martwiło ją, że występując w czymś takim – i to przed ludźmi z kręgów, w których obracała się jej matka – zaszkodzi dobremu imieniu Theo.

– Jeśli nie chcesz, żebym...

Ale nie zdążyła dokończyć, bo zza kotary wyszedł Jack Grew. Z uśmiechem samozadowolenia omiół ją wzrokiem, po czym zwrócił się

do Theo:

– Barclay, musisz już iść. Za chwilę zaczynamy.

Theo posłał jej długie, nieprzeniknione spojrzenie i Ruby była o krok od zmiany zdania, chciała się przebrać i pójść razem z nim. Zwlekała jednak o sekundę za długo i Theo zniknął jej z oczu.

– Wygląda pani doskonale, panno... – Jack zmarszczył brwi. – Przepraszam. Wiem, że Theo już nas sobie przedstawiał, ale wyleciało mi z głowy. – Jego uśmiech byłby czarujący, gdyby nie chłodne, wyrachowane spojrzenie. – To pewnie przez ten wypadek – dodał. – Urazy głowy czasem zaburzają pamięć, nieprawdaż?

– Reynolds – przypomniała mu dla świętego spokoju, marząc tylko, by się uwolnić od jego lubieżnego wzroku. – Ruby Reynolds.

– Reynolds? – powtórzył, chmurząc czoło.

Zdarzało jej się to chyba po raz tysięczny. Na wieść o tym, czyją była córką, każdy robił wielkie oczy. Ale Jack zareagował inaczej. Jego twarz wyrażała nie tyle współczucie, ile gniew. Ruby natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd.

To przecież ktoś z Zakonu kazał ją zamordować. Możliwe nawet, że tym kimś był sam Jack.

– No dobrze – rzekł, ukrywając emocje pod maską obojętności. – Ma pani wszystko?

Skinęła twierdząco głową, usiłując pokryć strach olśniewającym uśmiechem, którego nauczyła się przed swoim debiutem towarzyskim.

– Tak, dziękuję.

– Doskonale. To będzie jedyne w swoim rodzaju widowisko.

Obrzucił ją badawczym wzrokiem, po czym odszedł ku innym aktorom.

Ruby, która uważała się za kobietę inteligentną i którą intuicja nieraz wybawiła z różnych opałów, zdawała sobie sprawę, że popełniła błąd. Musiała odnaleźć Theo i wydostać się z rezydencji Morgana, zanim coś jeszcze pójdzie nie tak. Odstawiła kielich i różdżkę, z którymi miała występować, i sięgnęła po wiszącą na wieszaku pelerynę.

– Co panienka robi? – Krawcowa od kostiumów patrzyła na nią ze zgrozą. – Nie ma czasu. – Zdarła z niej pelerynę i wetknęła sobie pod pachę, zanim Ruby zdążyła choćby zaprotestować. – No już, prędko. – Poprowadziła Ruby w stronę krzesła przypominającego tron i wręczyła jej odstawione przed chwilą rekwizyty.

– Nie mogę – próbowała jej wytłumaczyć Ruby, ale kobieta tylko mlasnęła niecierpliwie.

– Wszyscy mają tremę. Będzie dobrze. Panienka zobaczy.

Zza kotary dobiegała już muzyka: kaskady dźwięków harfy i ciche brzmienie skrzypiec. Krawcowa oddaliła się z peleryną. Ruby mogła już tylko robić to, czego od niej oczekiwano, i mieć nadzieję, że jej złe przeczucia jednak się nie sprawdzą.

BASTA

1902 rok – Nowy Jork

Tylko krzepiący ciężar Libitiny pozwolił Violi zachować spokój, gdy pod rękę z Johnem Torrio wkroczyła do sali balowej w rezydencji J.P. Morgana, pełnej ludzi, którzy nienawidzili takich jak ona, którzy życzyli jej śmierci albo przynajmniej deportacji. Wiele trudu ją kosztowało, by ukrywać własną nienawiść, gdy podążała w tłum za Paulem, który co chwila pozdrawiał ludzi skinieniem głowy albo się komuś przedstawiał.

Znowu wbili ją w gorset i suknię ozdobioną jedwabnymi falbanami. To kretyńskie przebranie i tak nikogo nie zwiedzie. A co gorsza, Lis wydawał się tylko jeszcze bardziej rozochocony i bez przerwy zerkał na jej dekolt, a od czasu do czasu ocierał się nawet o jej biust – bynajmniej nie przypadkowo, sądząc po lubieżnym spojrzeniu. Gdyby nie to, że był jej potrzebny – i że nie chciała zwracać na siebie uwagi – już dawno zapoznałaby go ze swoim najbardziej zabójczym dodatkiem do ubioru, czyli z ostrzem, które nosiła przy udzie.

Paul i Torrio ciągnęli ją przez całą salę, a migoczące wokół klejnoty i doskonale skrojone suknie wytwornych dam przypominały Violi tylko, kim jest – a kim nie jest. Nigdy nie będzie jedną z tych misternie ufryzowanych debutantek, które rumieniły się jak na zawołanie. Zresztą nie chciała. Nawet jeśli była wśród nich jedna taka o ciętym języku i nosku marszczącym się przy uśmiechu.

Basta. Viola spróbowała odetchnąć głęboko, ale sztywne fiszbiny gorsetu przypomniały jej, że na tym świecie kobietom odmawia się nawet tego prawa. Skup się, nakazała sobie w duchu. Trzeba było ustalić, która z tych lalek ma pierścień.

Kwartet w rogu sali zaczynał się rozgrzewać, a goście powoli zajmowali swoje miejsca, kiedy Viola omal się nie potknęła na widok znajomej sylwetki. Był to Theo; rozmawiał ze starszym od siebie mężczyzną o podobnych oczach. Jeśli Torrio go przyuważy...

To nic nie robi, uspokoiła się w myślach. Nie tutaj, na oczach tych wszystkich ludzi, na których starają się zrobić dobre wrażenie.

Ale skoro był tutaj Theo, mogła być i Ruby.

A nawet jeśli? Viola zerwała z nimi, koniec kropka. Czyż nie?

Już miała się odwrócić, usiąść między Paulem a Torrio, gdy spostrzegła, że Theo uśmiecha się do starszego mężczyzny tym smutnym, krzywym uśmiechem, który zapamiętała z parku. Wtedy ostrzegł ją, że to się nie skończy dobrze, a ona go nie posłuchała.

Nie było w tym jego winy. Został w to bagno wciągnięty przez Ruby i o mały włos byłby przypłacił to życiem. Lecz Viola zaryzykowała wszystko, by go uratować. Miałaby go teraz podać jak na tacy Paulowi? To by oznaczało, że cały ból i złość, z którymi żyła, odkąd Ruby popatrzyła na nią z nienawiścią w niebieskich oczach, były na nic.

Poza tym Ruby go kochała.

I choćby dlatego należało go ocalić. Skoro taki już przypadek jej los – wiecznie pragnąć, nigdy mieć – niech tak będzie. Była silna, bystra i mogła sobie poradzić w pojedynkę. Istniały przecież większe nieszczęścia niż samotność. Takie jak długie noce, kiedy trzeba było żyć z dokonanymi wyborami.

Przeprosiła Paula z Torriem i ruszyła w głąb sali. Brat dziwnie na nią spojrzał, ale muzycy zaczęli już grać i niewiele mógł zrobić bez wszczynania awantury.

Widząc, że Theo zmierza w stronę jednego z korytarzy, ubiegła go i zaczęła się za rogiem, a potem wciągnęła go do wnęki w ścianie.

Wystraszył się, ale nie wyglądał na bardzo zdziwionego jej obecnością na balu.

– Viola?

– Cśś.

Wciągnęła go jeszcze głębiej, z dala od wścibskich spojrzeń.

– Nie sądziłem, że jestem w twoim typie – zażartował i znów uraczył ją tym swoim krzywym uśmiechem.

Już otwierała usta, żeby zaprzeczyć jego domysłom, bo taki wyrobiła sobie odruch przez lata życia w kamuflażu. Lecz Theo wcale nie patrzył na nią z pogardą, jaką ujrziała niegdyś w oczach Paula i matki, gdy się zorientowali, że durzy się w swojej nauczycielce angielskiego.

– Bo nie jesteś – przyznała, zdobywając się na szczerść, na jaką wcześniej pozwoliła sobie tylko raz wobec Esty. – Gdzie Ruby? – dodała nagłym tonem. – Powiedz, że jej tu nie ma.

– Oczywiście, że jest – odparł. – Myślisz, że opuściłaby takie wydarzenie?

O nie.

– Nie może tu zostać. Musi jak najszybciej wyjść.

Na jego twarzy pojawił się wyraz konsternacji.

– To niemożliwe. Gra dzisiaj Kirke. Zaraz się...

Muzyka raptem ucichła i donośny męski głos powitał wszystkich gości.

Za późno, pomyślała.

SPOTKANIE STARYCH ZNAJOMYCH

1902 rok – Nowy Jork

Z kryjówki w rogu sali balowej Jianyu patrzył, jak Viola podąża za płowowłosym chłopakiem w stronę jednego z korytarzy. Minęły prawie dwa tygodnie od pamiętnego dnia na moście, kiedy widział ją po raz ostatni. Potem zniknęła wśród zamieszania i nie miał nawet kiedy jej poszukać. Teraz pojawiła się na balu w towarzystwie Paula Kelly'ego i Jianyu nie wiedział, jak to rozumieć.

Był rozdarty. Nie miał pojęcia, kiedy znów nadarzy się okazja, by z nią porozmawiać – opowiedzieć jej o wszystkim, czego jeszcze nie wiedziała – lecz bał się, że przegapi jedyną szansę na to, by zbliżyć się do Evelyn, kiedy ta będzie w centrum uwagi, a więc de facto bezbronna. Po drugiej stronie sali, niedaleko wyjścia, Cela i jej brat patrzyli, jak Wysoki Princeps Zakonu przedstawia mistrza ceremonii.

Jacka Grew.

Jack wszedł na podium i uścisnął rękę Princepsowi, po czym zawładnął sceną. Harte Darrigan opowiadał Jianyu o tym bratanku J.P. Morgana i jego wybujałych ambicjach. Był to człowiek szalony i niebezpieczny. Należało uczynić wszystko, aby kamień nie trafił w jego rękę.

Ale nawet wiedząc to, co wiedział, o Jacku Grew, nawet pamiętając o swej misji, Jianyu nie mógł zapomnieć o jednym zasadniczym fakcie.

Viola tu jest.

WŁAŚCIWA GODZINA

1904 rok – St. Louis

North wiozł ich w kierunku wystawy. Esta rozebrała się z egipskiej sukni do męskich spodni i koszuli, które miała pod spodem. Cieszyła się, że nie uległa namowom Julienu i nie zrezygnowała z ubrania pod kostiumem. Udartymi strzępami białej sukni próbowała zetrzeć z twarzy jak najwięcej makijażu.

North zatrzymał powóz jedną przecznicę od wejścia na wystawę. Przywiązał konie, a Esta i Harte wysiedli.

Maggie, która jechała z przodu z Northem, miała zatroskane oczy.

– Wszystko w porządku? – spytał ją North.

– Myślę o Ruth. O tym, jak na mnie patrzyła, kiedy odeszłam.

North spojrzał na nią z czułością.

– Dobrze zrobiłaś, Mags.

– To moja siostra, Jericho – odparła głucho. – Moja rodzina, moja krew. Co więcej, opiekowała się mną jak własną córką.

– Wykorzystała cię – stwierdził North zniżonym głosem i delikatnie chwycił ją za brodę.

Harte spojrzał niecierpliwie na Estę, która jednak tylko wzruszyła ramionami. Jeśli Maggie nie zdecyduje się teraz, później będzie dla nich dodatkowym ciężarem.

– Wiem – mówiła Northowi. – Wiem, ale to nie zmienia faktu, że jest mi bliska.

North na chwilę ją objął.

– Więzy krwi to nie wszystko, Mags.

Maggie zmarszczyła czoło.

– Wiem.

Esta rozumiała jej ból, cierpienie, którym podszyte były te zapewnienia. Taka zdrada musiała ją dręczyć, tak jak Estę uparcie dręczyła zdrada profesora Lachlana. Zarazem jednak stała się dla niej bodźcem do zmiany na lepsze, do bycia mądrzejszą... silniejszą.

– Chodźmy – odezwał się Harte, mając już dość tego czekania. – Musimy się pospieszyć. Nie wiemy, ile mamy czasu ani kiedy Prorok przełoży naszyjniki.

W oddali zawyła syrena. Noc nagle rozbrzmiała mnóstwem dźwięków, słyhać było dzwonki i coraz więcej syren.

– Spóźniliśmy się – powiedziała Esta, nasłuchując z pozostałymi.

– Hala Festiwalowa jest na drugim końcu wystawy – rzekł North. – To prawie mila stąd. Ale może jeśli się pospieszymy, kogoś jeszcze wydostaniemy...

– Gdy kwas się przeżre i serum się ulotni, już tam nie wejdziemy – stwierdziła Maggie zduszonym szeptem.

Esta pomyślała o swojej bransoletce. Była w tej chwili kompletnie bezużyteczna. Nie mogła jej użyć, bo jeśliby cofnęła się w czasie, chcąc wszystkiemu zapobiec, Klucz Isztar napotkałby sam siebie. Gdyby chodziło wyłącznie o jej własne życie, zrobiłaby to, by zadośćuczynić za swoje winy, ale stawka była dużo większa. Tak bardzo zaślepił ją gniew, tak bardzo chciała być silna, że nie przyszło jej do głowy, że dała się odciągnąć od tego, co powinni robić.

Harte miał rację – co do Ruth i co do Antistasi. Trzeba się było trzymać własnego planu. Odzyskać bransoletę i samemu znaleźć naszyjnik, zamiast wikłać się w mściwy anarchistyczny spisek. Może gdyby nie próbowała być za wszelką cenę taka silna – taka bezwzględna – Antistasi mieliby większe problemy z dokonaniem zamachu. Może niewinni ludzie na balu nie cierpieliby teraz.

Poczucie winy za udział w tym ataku będzie jej towarzyszyło do końca życia, lecz nie zamierzała ryzykować zniszczenia bransolety, aby to zmienić. Nie w takiej chwili. Nie mogła – Nibsy nadal gdzieś tam był. Jeśli nie zdobędą kamieni, prędzej czy później on to zrobi. Potrzebowała Klucza Isztar nie tylko dla siebie, ale po to, by uniemożliwić mu zapanowanie nad mocą Księgi.

Lecz North już wyjmował swój kieszonkowy zegarek.

– Jeszcze nie jest za późno – oznajmił, podnosząc wieczko. – Na czas balu cała hala została pewnie obstawiona strażnikami, ale przed jego rozpoczęciem powinno być łatwiej dostać się do środka. Nie lubię się cofać. Naprawianie rzeczy, które już się wydarzyły, zwykle nie przynosi niczego dobrego. Ale w tej sytuacji chyba nie mamy innego wyjścia.

– O czym ty mówisz? – spytał Harte.

– O cofaniu się w czasie. Mama zawsze mi powtarzała, że mam talent do bycia we właściwym miejscu o właściwej porze. Ganiałem się z innymi dzieciakami po ulicach, ale jakimś cudem zawsze wiedziałem, kiedy wrócić na kolację. Od razu się zjawiałem, nie trzeba mnie było wołać do stołu. Umiałem zwietrzyć kłopoty i usunąć się z drogi. Dopiero później się dowiedziałem, że to coś więcej niż talent, że to magia. Ale nie potrafiłem jej kontrolować, dopóki nie dostałem tego. – North pokazał im zegarek.

Wyglądał jak każdy inny zegarek kieszonkowy: mosiężna oprawa i porysowane szkiełko. Wskazówki godzinowa i minutowa pierwotnie były pomalowane na czarno, ale farba się wytarła od częstego ich przestawiania. Sekundnik stał nieruchomo, a mechanizm nawet nie tykał, lecz Esta czuła bijącą od niego moc – jakby robił dziurę w niewidzialnej energii dookoła.

Harte zmarszczył brwi.

– Magia rytualna?

– Nie znam się na żadnych rytuałach, ale magia bez dwóch zdań – odparł North. – Wystarczy go trochę cofnąć. O godzinę?

– Wtedy strażnicy mogą być już na posterunkach – zauważyła Maggie i zagryzła wargę.

– Racja. To może dwie. Jak wejdziemy do środka, przeniosę nas do właściwego czasu. Musimy tylko dostać się tam przed zmrokiem, a potem znów przeskoczmy do przodu i poczekamy na Proroka. Będziemy przygotowani.

Esta złowiła spojrzenie Harte'a.

– Powinno się udać – powiedziała, wyczuwając i rozumiejąc jego wątpliwości.

Lecz Harte twarz miał napiętą, oczy niespokojne.

– Co z kamieniami, które mamy? – spytał cicho, tak by pozostali nie usłyszeli.

– Będę musiała je tu zostawić. W powozie.

– Myślisz, że to rozsądne?

Bynajmniej tak nie myślała. Czuła się, jakby miała zostawić tutaj część siebie. Ale skoro North mógł ich cofnąć w czasie bez bransolety...

– Jeśli chcemy uratować Julię, to chyba nie mamy wyboru. Musimy spróbować.

– Może przy murze? – zaproponował Harte. – Żeby nikt nie znalazł. Ruth pewnie będzie szukać wozu.

Miał rację. Gdy Maggie wróciła do wozu po kilka rzeczy, Harte i Esta podeszli do muru ogradzającego teren wystawy i zakopali tam oba przedmioty. Potem Harte za pomocą jednego z urządzeń Maggie zastawił pułapkę. Gdyby ktoś próbował się do nich dostać, czekała go niemiła niespodzianka.

– Chodźcie. – North przyzywał ich gestem za róg. – Złapcie się mnie.

Maggie pierwsza wyciągnęła rękę, a Esta wzięła z niej przykład. Harte się zawahał. Perspektywa kolejnej podróży w czasie wyraźnie go niepokoila.

– Jeśli się boisz... – North wziął go pod włos.

Harte chwycił go za ramię, a Jericho uśmiechnął się i zamknął wieczko zegarka.

ALCHEMIK

1902 rok – Nowy Jork

Jack cierpliwie wysłuchał oklasków pod swoim adresem. To była jego nagroda za wszystkie trudy i misterne plany. Światła sali balowej mrugały do niego, dzięki morfinie wszystko wydawało się jasne i przejrzyste. Wieczór otwierał przed nim wielkie możliwości.

Uniósł ręce i na ten znak publiczność ucichła, co także sprawiło mu przyjemność.

– Panie i panowie – zaczął – nie macie pojęcia, co to dla mnie znaczy być tutaj dziś wieczór, uhonorować fundamentalną pracę Zakonu i podkreślić nasze oddanie temu miastu, które tak bardzo kochamy. Wiem, że dla niektórych z nas ostatnie tygodnie były ciężką próbą. Gazety nie zawsze pisały przychylnie o naszej szacownej organizacji, o naszych staraniach, by miasto było bezpieczne. Ale dziś udowodnimy niedowiarkom, że się mylili. Dziś pokażemy, że potęga rozumu i nauki, światłe studia nad sztukami tajemnymi, zawsze będzie znaczyć dużo więcej niż dzika i tchórzliwa stara magia, która niegdyś zagrażała istnieniu naszej cywilizacji. Dziś, w imieniu Zakonu i Wewnętrznego Kręgu, mam zaszczyt przedstawić państwu nasze żywe obrazy.

Orkiestra zagrała pierwsze akordy utworu w molowej tonacji, groźne jak sam Jack we własnym odczuciu.

– Nie przedłużając, oto nasz pierwszy obraz, dzieło znakomitego Josepha Wrighta pod tytułem *Alchemik odkrywający fosfor*. – Wykonał teatralny gest i rozsunęła się pierwsza kotara, ukazując słabo oświetloną scenę.

W głębi dwaj mężczyźni siedzieli przy biurkach, jakby pochyleni nad obliczeniami. W alchemika na pierwszym planie wcielił się sam

J.P. Morgan. Stryj Jacka miał sztuczną brodę i patrzył zachwyconym wzrokiem na wielką szklaną butlę na żelaznym stojaku. Klęczał przed ołtarzem nauki ubrany w coś na kształt starożytnej szaty przewiązanej szarfą.

Szmer rozbawienia na widowni szybko przeszedł w uprzejmy aplauz.

– Urocza scena, bez dwóch zdań – rzekł Jack, czując, jak niecierpliwe podniecenie miesza się w nim z morfiną. – Ale stać nas na więcej, czyż nie?

W tłumie rozległ się kolejny szmer, ale Jack, nic sobie z niego nie robiąc, podszedł do aktorów, którzy trwali w swych pozach, podobni do żywych, oddychających posągów. Nie uprzedził ich, co zamierza, bo chciał, żeby oni także byli zdumieni.

– Ci, którzy żyją w ciemnych zakątkach naszego miasta, gnieźdząc się jak szczury w fundamentach zbudowanego przez nas społeczeństwa, używają dzikiej magii. Słabej i nieokiełznanej mocy. Tymczasem spójrzcie, co może zdziałać oświecona nauka w połączeniu z wiedzą tajemną. – Uniósł ręce, zanurzył się w morfinie, którą toczyły jego żyły, a słowa ćwiczone w zaciszu własnego pokoju teraz same przyszły mu na język, jakby urodził się po to, by je wypowiedzieć.

Orkiestra zamilkła, z tłumu dobiegł nerwowy chichot, lecz Jack prawie go nie słyszał. Przemawiał do czegoś większego i głębszego. Księga na jego piersi wyraźnie się rozgrzewała.

Nagle zamigotały żyrandole, mrugnęły lampy. A potem, niczym baśniowa istota, światło żyrandoli opadło ku ciemnej cieczy w butli, przed którą klęczał Morgan, i podpaliło ją.

Cała sala, z wyjątkiem rozświetlonego naczynia na scenie, pociemniała, a widzowie umilkli na moment, by po chwili wybuchnąć gromkim aplauzem. Jack czuł w żyłach miarowe tętnienie rozgrzanej krwi. A to był dopiero początek.

POWIEW MAGII

1902 rok – Nowy Jork

Światła znów się zapaliły, lecz Viola czuła, jak w powietrzu rozchodzi się ziąb nienaturalnej magii. Aż się lekko wzdrygnęła.

– Trzeba ją stamtąd wyciągnąć – powiedziała do Theo.

Nie musiał jej przypominać, że to niemożliwe. Sama widziała, że nie zdołają się przedostać przez tłum gości, a potem za kotarę, nie zwracając na siebie uwagi zgromadzonych, w tym Paula i Torria. Kiedy kurtyna się rozsunie, Torrio zobaczy Ruby i zrozumie, że Viola wywiodła go w pole. Już nigdy nie będą bezpieczne.

Poczuła niewyraźnie powiew ciepłej magii. W pierwszej chwili pomyślała, że to kolejna sztuczka Jacka, lecz gdy ciepło nie rozwiało się pod wpływem zimnej mocy zalewającej salę, nabrała innych podejrzeń. Instynktownie sięgnęła do otworu w fałdach sukni, wyjęła ukryty tam nóż i jednym płynnym ruchem podniosła go wysoko.

– Ukaż się.

– Viola? – W głosie Theo słychać było obawę, że postradała rozum, lecz Viola zignorowała go i ruszyła w stronę ciepłej energii, a gdy ta zgęstniała, wysunęła ostrze do przodu.

Momentalnie pojawił się przed nią Jianyu.

– Viola – powiedział zdenerwowanym tonem, który w tych okolicznościach był całkiem zrozumiały.

Nie opuściła noża. Nibsy dał jej do zrozumienia, że Jianyu mógł być jednym z tych, którzy zdradzili. I choć nie ufała tamtemu przebiegłemu

szczurowi, nie wierzyła też szpiegowi Dolpha, który tajemniczo zniknął na wiele dni, ba, tygodni.

– A więc wróciłeś. Gdzie się podziewałeś?

Jianyu spojrzał na ostrze, a Theo podszedł do Violi, lecz osadziła go stanowczym spojrzeniem, po czym zwróciła się z powrotem do Jianyu.

– Byłeś na moście.

– Byłem...

Przysunęła ostrze bliżej.

– Nie pomogłeś nam wtedy.

– Byłem z Darriga...

Przytknęła mu nóż pod samo gardło.

– Z tym zdrajcą?

– On wcale nie zdradził.

Viola tylko prychnęła z niedowierzaniem. Była przecież w Misterium. Doświadczyła jego zdrady na własnej skórze.

– Mam w to uwierzyć? Gdzie on teraz jest? Sama go zabiję.

Theo wydał zatroskany odgłos, lecz całkiem go zignorowała.

– Jest z Estą...

– Z Estą?

Pomogła jej uciec. Czyżby zaufanie tej dziewczynie było kolejnym błędem, jaki popełniła?

– Długo by opowiadać, nie mamy na to czasu – powiedział Jianyu. – Jeden z artefaktów jest na tej sali.

– Wiem. Pierścień. Nibsy mi powiedział, że będziesz chciał go ukraść.

Jianyu zmarszczył brwi.

– Nie możemy pozwolić, żeby wpadł w jego ręce.

– Ani w jego, ani w twoje. – Viola przytknęła mu ostrze Libitiny do podbródka. – Gdzie jest?

– Wiem, kto go ma. Ten ktoś jest za kulisami. Właśnie chciałem przechwycić pierścień, kiedy cię zobaczyłem i...

– Za kulisami? – Tam, gdzie Ruby, pomyślała Viola. – Zabierz mnie tam – rzuciła tonem, który nie miał w sobie nic z prośby.

– Jeśli tylko obiecasz, że kiedy to się skończy, dasz sobie wszystko spokojnie wytłumaczyć. Mam ci wiele do opowiedzenia.

– Zabierz mnie tam – powtórzyła Viola. Nie zamierzała nic obiecywać ani ulegać jego żądaniom. Zamierzała natomiast zdobyć kamień i wyciągnąć Ruby z opresji – za wszelką cenę.

BAL ZAWOALOWANEGO PROROKA

1904 rok – St. Louis

Esta miała przed oczami tylko biel, ale trzymała się ramienia Northa, dopóki nie odzyskała wzroku. Kolana jej drżały, a skórę oblał zimny pot.

Gdy jasność zniknęła, okazało się, że jest środek dnia. Dalekie wycie syren ustąpiło miejsca odgłosom wystawy – gwarowi tłumu i odległym dźwiękom orkiestry.

Harte pierwszy puścił Northa, wstrząsnął się i zrobił dwa kroki na chwiejnych nogach.

– To było dziwne – oznajmił.

– Co? – spytał North, chowając zegarek do kieszeni.

– Nie czujesz tego? – Harte znów zadrżał, a kiedy North pokręcił głową, zaczął mu wyjaśniać: – Magia zwykle jest ciepła, jak coś, czym człowiek miałby ochotę się otulić. A to? Jakby przeszył mnie sople lodu.

– Ja nigdy nie czułem żadnego ciepła – oznajmił North. – Zimna zresztą też nie. A ty, Maggie?

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

Esta złowiła spojrzenie Harte'a. North był Maginem – czuła ciepło jego daru wymieszane ze szczypiącym mrozem magii zegarka – lecz najwyraźniej nie tak dobrze zestrojonym ze swoją wrodzoną mocą jak ona i Harte. Może dlatego, że ta magia sama w sobie, bez zegarka, nie stanowiła zbyt wielkiej siły. A może prawdą było to, co niektórzy mówili o Krawędzi – że chroni magię. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić,

wszelka energia, którą czuła po tej stronie Krawędzi, była jakaś inna, z domieszką tego dziwnego chłodu, objawu rytualnej zgnilizny.

North uznał rozmowę za skończoną, skinął głową i ruszył przed siebie. Bez trudu weszli całą czwórką na teren wystawy i udali się w kierunku jeziora. Wczesnym popołudniem wystawa była nadal otwarta dla wszystkich zwiedzających, którzy tłumnie oblegali atrakcje. Po spokojnej wodzie sunęły leniwie łódki, nikt nie przypuszczał, że jeszcze przed nastaniem nocy wszystko diametralnie się zmieni. Jeśli nie zdołają zapobiec detonacji naszyjnika albo przynajmniej ewakuować gości z sali balowej, zginą ludzie, w tym prezydent. Esta aż się wstrząsnęła na myśl, jak by to mogło wpłynąć na kształt przyszłości.

Bal odbywał się w Hali Festiwalowej, białym gmachu ze złoconą kopułą u szczytu wielkiego jeziora. Dotarcie tam łódką trwałoby zbyt długo, pozostawała więc okrężna droga przez tłumy, wokół budynków z wystawami poświęconymi metalurgii oraz sztukom wyzwolonym.

Sama Hala Festiwalowa, od złoconej kopuły po zdobne esy-floresy z marmuru i gipsu, była jednym wielkim symbolem zbytku. W mieście, w którym wiele ulic nie miało nawet bruku, a robotnicy zbierali się w magazynach, by planować walkę o swoje prawa, to bezużyteczne dzieło sztuki nie miało racji bytu. Wokół rozciągały się wypielegnowane ogrody z mnóstwem kwiatów, woda z fontann kreśliła w powietrzu eleganckie wzory, a ozdobne altany chroniły przed popołudniowym słońcem. Frywolne rzeźby zachwycały pięknem. Było w tym wszystkim coś czarującego i kobiecego, a jednocześnie – imponującego.

Dwukondygnacyjna budowla stała na sztucznym wzniesieniu, niczym cytadela, z dwoma rzędami kolumn podobnymi do prętów klatki. Główne wejście zasłaniała ogromna fontanna z wyrytym w cokole napisem TRIUMF WOLNOŚCI, a z trzech stron znajdowały się mniejsze, ale równie ozdobne fontanny poświęcone Wolności, Sprawiedliwości i Prawdzie. Woda z każdej z nich spływała kaskadowo do głównego jeziora. Na szczycie połączonej kopuły stała bogini zwycięstwa, której nadano postać mężczyzny. Jakże by inaczej, pomyślała Esta. Cały gmach był

symbolem potęgi miasta, jak gdyby St. Louis wodą i marmurem próbowało ustanowić swoją pozycję w kraju. Był to również sygnał od jego fundatorów – od członków Towarzystwa rządzących miastem z mahoniowych gabinetów i marmurowych sal.

W środku jednak hala była w gruncie rzeczy wielką pustą przestrzenią. Choć na całej wystawie roilo się od strażników, o tej porze nie zajęli jeszcze swoich stanowisk, więc Esta i pozostali bez trudu weszli do rotundy, wtapiając się w gromadę turystów, którzy zadzierali głowy ku jasnym, nieskazitelnie czystym oknom, zasłuchani w dźwięki hymnu płynące z olbrzymich organów.

Esta i jej towarzysze mieli jednak ważniejsze rzeczy na głowie. Esta przyglądała się wnętrzom, szukając kryjówek i słabych punktów. Strażnicy i ochroniarze prezydenta na pewno zrobili to samo, ale zawsze dobrze wiedzieć, gdzie są wyjścia.

North przeprowadził ich przez rotundę do niewielkiego korytarza dla służby w tylnej części budynku. Drzwi do niego były prawie niewidoczne, tak dobrze wtapiały się w misterne zdobienia i woluty na ścianach. Gdy już znaleźli się w korytarzu, mogli się przemieszczać dalej niezauważeni.

– Bal odbędzie się w głównej rotundzie – oznajmił North, idąc przodem. Musiał znać plany tego budynku, bo nie wahał się ani przez moment.

– Parada przyjdzie aleją i minie Pałac Sztuk Pięknych – powiedziała Esta, przypominając sobie miejsce, w którym platforma Proroka zatrzymała się na chwilę, by Straż mogła wyciągnąć Julię ze środka.

– To jest po drugiej stronie tej ściany – stwierdził North. – Widziałaś, dokąd zabrali Julię?

Esta zaprzeczyła ruchem głowy.

– Jego wzięli, a mnie zostawili. Zanim się wydostałam na zewnątrz, już go nie było. Kazali nam wszystkim opuścić wystawę tylną bramą i przyjechałam prosto do was. Nie wiem, dokąd zabrali Julię.

North zastanawiał się przez chwilę ze wzrokiem utkwionym w dali.

– Wschodnie skrzydło jest w przeważającej części techniczne, ale w zachodnim są biura i sale spotkań. Pewnie zależy im na prywatności, więc to tam zawiozą Proroka.

Skinął głową i zagnał ich ręką do schowka na szczotki, w którym ledwie się zmieścili.

– Bal zaczyna się o dwudziestej drugiej, po przybyciu parady, więc musimy zająć pozycje trochę wcześniej. – Obrócił pokrętko w zegarku, przesuwając minutnik do przodu, a razem z nim wskazówkę godzinową. Potem popatrzył im kolejno w oczy. – Gotowi?

Chwycili go za ramię i znów świat zrobił się biały.

GLÓD

1904 rok – St. Louis

Harte nie miała nic przeciwko temu, żeby nigdy więcej nie poczuć już tego niepokoju, który go ogarniał, gdy North używał magicznego zegarka. Wydawało mu się, że cierpi, kiedy Esta przeniosła go dwa lata do przodu, lecz magia Northa była jeszcze gorsza. Kiedy wszystko robiło się białe, miał wrażenie, że świat całkiem znika, a jego przeszywa ostry sople. Nawet gdy już odzyskał wzrok, wciąż czuł zimny ból w piersi, jakby tamten odłamek lodu tkwił teraz w jego sercu i powoli topniał.

Seszat również nie była zadowolona. Jej skrzek w czeluściach umysłu Harte'a na chwilę wszystko zagłuszył, przypominając mu tamtą wizję z kobietą demonem w świątyni.

Uciszył jednak w sobie ten jazgot, zepchnął go w daleki zakamarek myśli, z którego dobiegał teraz już tylko ustawiczny pomruk. Otrząsając się z wrażenia przejmującego zimna w piersi, próbował skupić się na słowach Northa.

– Będziemy potrzebowali ubrań. Uniformów albo czegoś w tym rodzaju. Nie chcemy rzucać się w oczy.

– Musimy tylko zabrać Julię i narobić takiego zamieszania, żeby wszyscy opuścili gmach – włączył się Harte. – Im szybciej to zrobimy, tym lepiej.

– My możemy zrobić zamieszanie – zaproponowała Maggie, biorąc Northa za rękę.

– Na pewno? – spytała Esta.

Maggie poklepała się po kieszeniach sukienki.

– Mam przy sobie to i owo. Nic groźnego, trochę dymu i rac, ale powinno wystarczyć, zwłaszcza że po ataku na paradę wszyscy będą lekko podenerwowani. Wykurzenie ludzi z sali balowej, zanim się zapęni, powinno być łatwe. Wy dwoje znajdźcie swojego przyjaciela.

North uchylił drzwi. Przez szparę dobiegły ich odgłosy wieczoru: szmer rozmów, brzęk talerzy i sztućców, którymi nakrywano do stołu, a gdzieś dalej także muzyka orkiestry.

– Spotkamy się przy wozie – rzekł. – Powodzenia.

Wyszedł z Maggie i Harte został sam z Estą w ciasnym schowku. Okiełznanie mocy Seszat już wcześniej było trudne, a teraz zakrawało na cud. Zapach Esty przebijał się przez woń kurzu i gryzący aromat jakiegoś środka czyszczącego, czuł jej delikatny, czysty pot i czuł moc, którą nosiła w sobie.

Ta myśl zbiła go z tropu. To nie on czuł jej moc. Magia nie miała zapachu... Czyba?

W półmroku jej oczy napotkały jego wzrok. Siła w nim znów mocno szarpnęła.

– Musimy iść – powiedział głosem na skraju obłąkania.

Ona też to słyszała, bo zmarszczyła brwi nad oczami w kolorze whisky.

– Wszystko w porządku, Harte?

Chciał pokręcić głową. Chciał jej powiedzieć, żeby uciekała. Mógł jednak tylko wpatrywać się w nią tępo, zbyt zajęty poskramianiem uwięzionej siły, by cokolwiek z siebie wydusić.

North miał rację.

– Potrzebujemy przebrania – wykrztusił w końcu niczym tonący. – Czegoś, w czym nie będziemy zwracać uwagi.

Przyglądała mu się jeszcze chwilę z pytaniem w oczach. Nie zadała go jednak.

– Zostaw to mnie – odparła.

Tym razem z nią nie dyskutował. Nie chciał jej puszczać samej, ale potrzebował chwili rozłąki, żeby ujarzmić szalejącą w nim siłę. Dostał ją,

lecz była to dosłownie chwila. Ani się obejrzał, a Esta wróciła z naręczem ubrań. Były to dwa ciemne garnitury w komplecie z bieluteńkimi koszulami.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć – rzucił lekko, starając się rozładować napięcie. Gardło miał jednak ściśnięte, a w jego słowach dało się słyszeć niezamierzoną reprimendę.

Esta zrewanżowała mu się ostrym spojrzeniem.

– To było dużo prostsze, niż ci się wydaje. Mają tu cały wieszak ubrań dla kelnerów na dziś wieczór. – Wzruszyła ramionami i zaczęła rozpinąć grubo tkaną koszulę. Piersi miała opięte szerokimi pasami białej tkaniny, które kontrastowały z jej skórą w kolorze pustynnego piasku o zmierzchu.

Harte aż się wzdrygnął. Dobrze wiedział, skąd się wziął ten obraz. Seszat była głodna. Miała dość jego wahania, nie podobało jej się, że jeszcze nie sięgnął po to, czego pragnął.

Czego ona pragnęła.

Łatwiej było się odwrócić, nie patrzeć na jej długie, gibkie ramiona znikające w nowym ubraniu. Wciąż jednak ją czuł. Każda cząstka jego istoty była nastrojona na ciepłą magię nierozzerwalnie splecioną z jej istotą.

Niedługo, mruzczał głos. Już niedługo.

Skończyli się przebierać. Gdy ponownie się do niej odwrócił, patrzyła na niego z tak charakterystyczną dla siebie determinacją, że prawie zatkało mu dech. Chciał jej dotknąć. Chciał ją przyciągnąć, przywrzeć do niej ustami, lecz wiedział, że ciągły napór uwięzionej w nim siły za bardzo go osłabił. Gdyby jej teraz dotknął, nie zdołałby się już zatrzymać i oboje byliby zgubieni.

– Esta... – Wymówił jej imię jak prośbę, nie wiedząc, czy ją ostrzega, wzywa na pomoc, a może tylko zasłania się jej imieniem przed mocą Seszat jak talizmanem.

– Nie teraz – powiedziała z ponurym błyskiem zrozumienia w oczach. – Jak będzie po wszystkim.

Opuścili kryjówkę i podążyli korytarzem z powrotem ku rotundzie, w której zbierali się już goście. Orkiestra nadal snuła cichą melodię z galerii, na której znajdowały się również olbrzymie organy. Na drugim końcu sali grupka ludzi zebrała się wokół wąsatego mężczyzny w binoklach. Roosevelt, pomyślał Harte. Ci mężczyźni w ciemnych garniturach musieli być jego obstawą.

Gdziekolwiek spojrzeł, widział życie, jakie nigdy nie będzie mu dane. Jedwabie, klejnoty, perlisty śmiech. Szampan, wyniosłe miny, wolność ludzi, przed którymi cały świat stoi otworem.

Nawet nie potrafił ich za to nienawidzić, bo wcale nie był pewien, czy na ich miejscu zachowywałby się lepiej. Byli, jacy byli, bo życie i jego okoliczności tak ich ukształtowały.

– Parada chyba jeszcze nie przybyła – powiedział do Esty.

– Trzeba się zorientować, którędy wejdą – zauważyła.

– Raczej nie głównym wejściem. – Ruchem głowy wskazał drzwi, z których wylewał się miarowy strumień gości w eleganckich strojach.

– Może korytarzem dla służby? – myślała na głos Esta. – Tam też muszą być jakieś drzwi dla dostawców, przez które wniesiono to wszystko.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Wyprostował plecy, naśladowując posturę innych służących, i oboje ruszyli przez środek rotundy. Kątem oka spostrzegł jakiś ruch, podniósł wzrok i wysoko na balkonie zobaczył Maggie. Przynajmniej ta część planu wydawała się niezagrożona.

Okazało się, że mieli rację. We wschodnim skrzydle znajdowały się drzwi dla pracowników.

– Pewnie skorzystają z tego wejścia – stwierdził Harte.

Prorok musiał jeszcze przenieść naszyjnik z szyi Julienu, który nosił go w trakcie parady, na prawdziwą debutantkę, która dla dobra własnej reputacji nie mogła się tak pokazywać na ulicach. Przekazanie miało się jednak odbyć niepostrzeżenie. Podczas prezentacji w rotundzie Królowa Miłości i Piękna miała już mieć na sobie Gwiazdę Dżina.

Przy drzwiach natknęli się na wózek z kieliszkami do szampana. Wzięli po jednej ściereczce i udając, że polerują szkło, wypatrywali przyjazdu Proroka. Nie czekali długo. Po kilku minutach wszyscy służący naokoło zaczęli się ruszać energiczniej, a chwilę później do środka wszedł Zawołany Prorok. Za nim podążało dwóch członków Straży Jeffersonskiej, prowadząc między sobą Julię.

Harte udawał, że ogląda kieliszek, tak naprawdę jednak śledził ich wzrokiem. Zniknęli za nieoznakowanymi drzwiami w korytarzu, a po obu stronach wejścia stanęło dwóch innych strażników.

– Hej, ty! – zawołał ktoś za plecami Harte’a. – Co ty robisz? Te są już wytarte.

Harte obrócił głowę i ujrzał jednego z kelnerów z tacą pełną tartinek i twarzą wykrzywioną grymasem niezadowolenia.

– Zostały zacieki od wody – odezwała się Esta, unosząc jeden z kieliszków do światła.

Kelner najeżył się jeszcze bardziej.

– To nie wasze zmartwienie – burknął. – Potrzebujemy więcej osób na sali. – Podszedł i wręczył jej tacę. – Zanieś to. Roosevelt chciał z pasztetem.

Esta chcąc nie chcąc musiała wziąć od niego tartinki i udać się z nimi do rotundy.

– Skończ to i leć tam! – warknął mężczyzna w stronę Harte’a, po czym odszedł, by zbesztać kogoś innego.

Harte z pochyloną głową wycierał idealnie przezroczysty kieliszek, jednocześnie popatrując w kierunku drzwi, za którymi zniknęli Prorok z Julieniem. Po paru minutach się otworzyły i mężczyzna z woalem wyszedł pod rękę z dziewczyną.

O nie.

Debiutantka widocznie czekała w tamtym pokoju. Teraz miała już na sobie podrobiony naszyjnik i zmierzała w stronę rotundy.

Harte postanowił najpierw wydostać Julienu z pokoju, a potem ruszyć za nimi.

Odstawił kieliszek na wózek i zaczął iść zwawo w kierunku strażników. Zmienacka chwycił pierwszego i zadziałał swoją mocą. Drugi zaatakował, ale o sekundę za późno. Po chwili obaj z nieprzytomnym wzrokiem zmierzali już do wyjścia z budynku.

Harte ostrożnie otworzył drzwi. W środku pozostał jeden strażnik; stał pochylony nad Julienem.

– Już mówiłem, że nie mam nic wspólnego z tym atakiem. – W głosie Julienu szczęśliwie pobrzmiwała raczej irytacja niż strach. – Ci barbarzyńcy rzucili się też na mnie. Czy to wygląda jak coś, co zrobiłem sobie sam? – Wskazał siniec pod okiem.

Harte wślizgnął się do środka i wykorzystał element zaskoczenia. Dopadł do strażnika i momentalnie go powalił. Wsączając w niego swoją magię, nakazał mu jedną rzecz. Mężczyzna przestał stawiać opór i leżał ze wzrokiem wbitym w sufit.

– Idziemy – oznajmił Harte. – Prędko.

Lecz Julien tylko spoglądał to na Harte'a, to na obezwładnionego strażnika.

– Jesteś... Cholera, Darrigan. Jesteś jednym z nich. – Kręcił głową, jakby nie mógł w to uwierzyć.

– Później mnie znienawidzisz, jeśli to takie ważne – rzucił Harte. – A teraz pospiesz się, chyba że chcesz tu zostać i samemu poradzić sobie z Prorokiem.

Na twarzy Julienu migotał wyraz wahania. W końcu westchnął i podszedł do leżącego na plecach strażnika.

– Niepotrzebnie zmartwychwstałeś – mruknął do Harte'a, lecz nie było w tych słowach jadu ani zaciekłości.

– Są dni, kiedy sam tego żałuję, Jules.

A dzisiejszy dzień, upływający pod znakiem walki z Seszat, na pewno do nich należał.

Korytarz opustoszał, mieli więc wolną drogę na salę balową. Byli już u samych drzwi, kiedy Harte'a doleciał zza pleców śmiech. Odwróciwszy się, ujrzał Jacka Grew; stał oparty o ścianę z nienawistnym błyskiem w oczach.

– Harte Darrigan – rzekł, robiąc krok w ich stronę. – Wróciłeś do żywych... Znowu.

Harte stanął przed Julienem, żeby go zasłonić.

– Uciekaj! – ponaglił go. – Prędko.

– Ale...

Harte wypchnął go przez drzwi, korzystając z wycięcia w jego sukni, by poprzez odsłoniętą skórę wydać mu rozkaz ucieczki.

Potem zwrócił się ku Jackowi.

– Wiedziałem, że do mnie przyjdiesz – rzekł tamten szorstko.

Harte zmarszczył brwi.

– Nie przyszedłem do ciebie.

– Nie? – Jack zrobił kolejny krok do przodu.

– Nie. Ja... – Ale słowa uwięzły mu w gardle, bo w oczach Jacka coś drgnęło.

Wyzierało z nich coś mrocznego. Skóra na twarzy Jacka zadrżała, jakby go uderzono, i coś przemknęło pod nią niczym wąż.

Harte sięgnął po wózek, przewrócił go, roztrzaskując kieliszki o podłogę, i zaczął uciekać.

Głos w jego wnętrzu jazgotał, a nogi ślizgały mu się na odłamkach szkła. Był już prawie w rotundzie, gdy Jack znowu przemówił:

– Myślałaś, że uda ci się mnie unikać w nieskończoność, Sesztat?

Na dźwięk tego imienia głos poderwał się z taką siłą, że Harte nie potrafił dłużej nad nim zapanować. Był teraz już tylko cielesną powłoką zawiadywaną przez jakąś niewidzialną moc.

KOTARA SIĘ ROZSUWA

1902 rok – Nowy Jork

S pod ciepłego płaszcza magii, którym spowił ją Jianyu, Viola patrzyła, jak odsłania się druga kotara, ukazując scenę ze statkiem i przerażonymi żeglarzami próbującymi uciec trzem wodnym nimfom w powłóczystych szatach.

– Pospiesz się – powiedziała do Jianyu, który niósł ją na grzbiecie skrajem tłumu, bacznie się pilnując, by nikogo nie potrącić i nie zdradzić swojej obecności.

Jack Grew dalej miał jęzorem i choć wiele by dała, by nie musieć tego słuchać, modliła się, by nie przestawał. W programie wieczoru były cztery sceny, co oznaczało, że lada chwila ich oczom może się ukazać Ruby.

– Złe istoty zrodzone tylko po to, by rzucić ludzkość na kolana. Ich dzika moc stanowiła dawniej zagrożenie dla bezbronnego człowieka. To się jednak skończyło, gdy człowiek wszedł w posiadanie oświeconej wiedzy na temat magii.

Dotarli już przed kotary i korzystając z tego, że widzowie patrzyli jak zahipnotyzowani, wemknęli się za kulisy. Jianyu puścił promienie światła i Viola, zeskakując mu z pleców, poczuła, jak ciepła fala jego daru się cofa.

– Tak będzie łatwiej – oznajmił krótko.

– Jeśli znikniesz z pierścieniem, znajdę cię – zapowiedziała. – I nie po to, żeby z tobą porozmawiać.

Jej słowa raczej nie odniosły zamierzonego skutku, bo Jianyu tylko się uśmiechnął.

– Znikniemy stąd razem – obiecał. – Tak jak życzyłby sobie Dolph.

Znalezienie Ruby nie zajęło Violi dużo czasu: siedziała na lustrzanym tronie naprzeciwko zasuniętej aksamitnej zasłony, z długą, ciemną peruką na głowie, i wydawała się przerażona tym, co miało się zaraz wydarzyć. Ubrana była w tyle co nic: w szatę w kolorze ciała i prześwitującą sukienkę dopasowaną do ciemnego błękitu jej oczu.

Viola na chwilę zastygła w bezruchu. Nie mogła oderwać nóg od posadzki ani wydobyć głosu z krtani, mogła się tylko wpatrywać w Ruby, tak zrozpaczoną i absolutnie doskonałą, że dosłownie zapierało dech. Szybko jednak pożałowała tej chwili wahania, bo zaledwie się otrząsnęła, kotara zaczęła się rozsuwać.

1902 rok – Nowy Jork

Ruby uniosła puchar z różdżką i zadarła podbródek, gdy kotara zaczęła się rozsuwać, odsłaniając ją – półnągą – przed widzami zgromadzonymi w sali balowej Morgana.

Przerażona nagłą ciszą miała ochotę rzucić rekwizyty i uciec, lecz trwała dzielnie w posągowym bezruchu. Wzrokiem skierowanym przed siebie szukała Theo, ale nigdzie go nie widziała.

– Zakon z dumą przedstawia państwu arcydzieło Johna Williama Waterhouse’a *Kirke ofiarująca puchar Odysowi*. Oto matka czarownic, która nęciła mężczyzn magicznym napojem, aby przemieniać ich w świnie.

Ruby miała wrażenie, że słyszy w jego tonie gniew, jakby to ona, nie żadna legendarna postać, dopuściła się tej podłości. Ale choć przebiegł ją zimny dreszcz, wciąż trzymała ręce uniesione jak na obrazie i niecierpliwie odliczała sekundy do końca.

Jakież było jej zdziwienie, gdy trzymany przez nią puchar nagle zrobił się zimny, a jego misa, jeszcze przed chwilą pusta, wezbrała krwawoczerwonym płynem, który przelał się przez krawędź, plamiąc jej strój. Zerknęła na Jacka, oczekując jakiegoś znaku, że to część planu, lecz w jego spojrzeniu dojrzała tylko furję.

Nie rozumiała, co się dzieje, ale na szczęście kurtyna zaraz się zasunęła. Ruby omal nie zemdląca z ulgi. Zza pluszowej zasłony dobiegały oklaski, lecz nie dbała o nie. Odstawiła krwawy puchar i przyjrzała się czerwonej plamie na dłoni. Na ułamek sekundy cofnęła się do tamtej chwili, kiedy w bramie brudnej kamienicy usiłowała zatamować krwotok z piersi Theo. A potem ujrzała przed sobą Violę.

– Chodź – powiedziała Viola bez słowa wyjaśnienia. – Nie możemy tu zostać. Zwłaszcza ty.

Viola. Tutaj.

Było w tym coś tak niespodziewanego, tak niewiarygodnego, że Ruby nie umiała pojąć, o co tu chodzi, ani tym bardziej wykonać polecenia Violi.

– Wszystko w porządku? – spytała ją Viola, widząc, że Ruby tylko się w nią wpatruje.

Ruby potrząsnęła głową. Nie myśląc o tym, co robi, ruszyła w jej stronę. Viola jest tutaj, powtarzała w myślach. Ulga, jaką czuła, była wręcz obezwładniająca.

Choć dłoń wciąż miała lepka od tajemniczej cieczy, która wypłynęła z pucharu, nie zdołała się powstrzymać, żeby nie dotknąć policzka Violi i przekonać się, że to naprawdę ona. Stojąca przed nią postać miała na sobie jedwabną suknię, w której bez wstydu mogłaby się pokazać nawet w operze, ale nachmurzona mina Violi była nie do pomylenia.

Pod dotykiem Ruby Viola całkiem znieruchomiała.

– Co się stało? Zrobili ci krzywdę?

Lecz Ruby tylko pokręciła głową i pochylając się do przodu, przyłgnęła wargami do ust Violi.

Dopiero gdy zetknęły się ustami, dotarło do niej, co zrobiła. Wystraszona, że przekroczyła granicę, której nie wolno było przekroczyć, już chciała się cofnąć, lecz usta Violi zmiękły pod jej naporem. Ruby aż się zakręciło w głowie od ulgi wymieszanej z euforią, potężną, ciepłą i...

Viola oderwała się od niej.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytała, dotykając palcami ust. Policzek miała umazany na czerwono.

– Nie wiem – odparła Ruby. – Zobaczyłam cię i... zapragnęłam tego.

Viola chyba nie to chciała usłyszeć, bo nagle się cofnęła.

– Dla ciebie to wszystko zabawa, prawda?

Ruby aż ścisnęło w dołku. Viola źle ją rozumiała.

– Nie. – Zrobiła krok w stronę Violi, ale zawahała się pod jej spojrzeniem.

– A co z Theo? – spytała ponuro Viola.

– Nie będzie miał żalu – odparła zgodnie z prawdą. Biedak pewnie by odetchnął z ulgą.

Viola kręciła głową.

– Jego też traktujesz jak zabawkę – powiedziała cicho, ale szorstko. – Cały świat służy ci do zabawy, bo nie masz nic do stracenia. Nic.

Myliła się. Nie wiedziała, nie mogła wiedzieć, że Ruby już straciła wszystko i uznała, że nie warto żyć jak mysz, wечно uciekając. Wечно się bojąc.

– Wcale nie dlatego...

– Bawisz się życiem innych ludzi – przerwała jej Viola z błyskiem łez w oczach – bo nikt ci nie zabroni, a jak się znudzisz, wracasz do swojej eleganckiej sypialni, do swoich lokajów i pokojówek.

– Nic nie rozumiesz – starała się ją przekonać Ruby. Chciała ją przeprosić, wszystko wyjaśnić, ale gardło miała ściśnięte i brakowało jej słów.

– Rozumiem bardzo dobrze – odparła Viola, cofając się o kolejny krok. – Wystarczająco długo żyję na tym świecie, żeby wiedzieć, jak to się skończy. Znikaj stąd. Szybko.

Ból w jej głosie przeszył Ruby na wskroś. Ruszyła do przodu z wyciągniętą ręką.

– Viola, wszystko sobie wyjaśnimy. Będzie dobrze...

– To nie Torria przysłał, żeby cię zabił – oznajmiła Viola tonem ostrym jak nóż, który miała w ręku, gdy spotkały się po raz pierwszy. – To ja miałam to zrobić. Za dużo wtedy zaryzykowałam, ratując ci życie, a teraz ryzykuję wszystko. Nie wiem, co sobie myślisz, że było albo jest między nami, ale bądź tak miła i odejdz. Bo mój brat jest na tej sali i Torrio też. Jeśli się zorientują, kim jesteś, jeśli zobaczą Theo, wszystko zrozumieją. I obie za to zapłacimy.

Zostałaby dla Violi, zaryzykowałaby dla niej wszystko, ale co z Theo? Z niewinnym, wspaniałym Theo, który zawsze był jej opoką? Który nigdy nie odmówił jej pomocy? Nie mogła go narażać.

– Między nami jeszcze nie koniec – obiecała.

– Ależ to właśnie koniec – odparła Viola, lecz jej szklące się oczy mówiły co innego.

W napiętej ciszy, która rozpostarła się pomiędzy nimi jak przepaść, rozległ się nagle kobiecy krzyk zza kotary. Chwilę później sala pogrążyła się w chaosie.

CO ŻYŁO WEWNĄTRZ

1904 rok – St. Louis

Z ażyta wcześniej morfina sprawiła, że czuł się niesamowicie lekki, jakby w ogóle nie dotykał ziemi stopami. Jakby stał się już bogiem, którym pragnął być.

– Wiedziałem, że do mnie przyjdiesz – powiedział. Głos, który się z niego wydobywał, był głosem, który często słyszał w myślach. Inną wersją siebie, odkrytą w Grecji – gdy zrozumiał, czym jest moc i co można z nią zrobić. Tamten inny Jack cały czas wskazywał mu drogę i to właśnie on zgłębił sekrety Księgi, którą nosił blisko serca. Nie dziwiło go więc, że teraz obie te jaźnie łączą się w jedną, że staje się tym, kim zawsze pragnął być.

Magik już go nie interesował. Nie... Jackowi zależało na tym, co żyło wewnątrz magika. Na mocy, która mu się wymknęła przed wieloma laty. Która wymykała mu się zbyt wiele razy na przestrzeni wieków. Teraz w końcu ją dopadnie. I zagarnie ją całą dla siebie.

Darriganowi pociemniały oczy. Jack – i ten głos, który go zamieszkiwał – wiedział dlaczego: był jedynie powłoką. Teraz Jack zamierzał wreszcie dokonać swej zemsty. Zniszczy Darrigana raz na zawsze.

– Thot... – wydobyło się z ust magika, lecz głos nie należał do niego.

– Szeszat – wycedził szeleszcząco Jack. – Tym razem nie wygrasz. Księga cię nie ochroni. Twoja moc będzie moja.

– Ochroni? – Usta Darrigana wykrzywiły się szyderczo. – Ta Księga była moim więzieniem. Teraz, kiedy w końcu jestem wolna, mogę cię zniszczyć.

– Nie zniszczysz mnie, Seszat. Stałem się czystą mocą. Stałem się bogiem.

– Nawet bogowie potrzebują domu, Thocie. Zniszczę wszystko, abyś nie miał się gdzie podziać.

POWRÓT SESZAT

1904 rok – St. Louis

Esta właśnie częstowała tartinkami samego Teddy’ego Roosevelta, kiedy eksplodowała pierwsza bomba Maggie, rozrzucając wkoło fontanny iskier i plując dymem, który wił się w powietrzu jak żywy wąż. Ochrona błyskawicznie odgrodziła Roosevelta od reszty gości szczelnym kordonem. Jakaś kobieta krzyknęła i wszyscy rzucili się w panice do wyjścia.

Esta biegła w przeciwnym kierunku. Słyszała trzask tłuczonego szkła z korytarza, w którym zostawiła Harte’a, i już wiedziała, że coś poszło nie po ich myśli. Nie spodziewała się jednak tego, co zobaczyła. Był tam Jack Grew, a Harte z nim rozmawiał, lecz obaj mówili dziwnymi, jakby nie do końca ludzkimi głosami. W dodatku oczy Harte’a były zupełnie czarne, włącznie z białkami.

– Miałś wszystko – rzekł Jack tym dziwnym głosem z zaświatów. – Miałś na wyciągnięcie ręki klucz do wszelkiej władzy, do serca magii. Mogłaś zrobić z nim wszystko, ale wolałaś go zniszczyć.

– Próbowałam je ratować – zawył dziko Harte z twarzą zniekształconą grymasem. – Stworzyłam słowa i je zapisałam, bo sądziłam, że to wystarczy, aby zapobiec śmierci magii. Myliłam się. Księga była pomyłką.

– Księga była darem – odparł Jack, robiąc krok w stronę Harte’a.

– Nie miałeś prawa. Ukradłeś coś, co nie było twoje. Uważałam cię za przyjaciela, a ty mnie zdradziłeś. Odkryłam przed tobą swoje niepowodzenia, a ty nadużyłeś mojego zaufania, darując moc, ułomną i zdegenerowaną, ludziom, którzy na to nie zasługiwali, którzy nie potrafili jej docenić. A wszystko dla pospolitej sławy.

– Dlaczego magia miałyby należeć wyłącznie do takich jak ty? – spytał Jack. – Kiedyś wszyscy ludzie mogli dotknąć mocy, która jest obecna w całym stworzeniu. Kim jesteś, żeby im tego zabraniać?

– A kim ty jesteś, żeby obdarzać nią tylko własnych sługusów? – odparował Harte. – Myślisz, że nie wiem, komu zawdzięczasz wzrost swej potęgi? – Zaśmiał się wysokim, maniakałnym śmiechem niezrównoważonej kobiety. – Myślisz, że nie wiem, że wykradałeś zapisane przeze mnie sekrety i rozdawałeś je tym, którzy mogli za nie zapłacić, którzy mogli cię wzmocnić?

– Powierzałem je ludziom ich godnym – stwierdził Jack. – I spotykała mnie za to nagroda. A ty... O tobie zapomniano.

– Przez ciebie! – uniósł się Harte. – Bo próbowałeś mnie zniszczyć. Ale ci się nie udało. Nie spodziewałeś się, prawda? Gdybyś wiedział, że przykułam się do Księgi, zniszczyłbyś ją – i mnie. Ale w swojej krótkowzroczności nie zrobiłeś tego, a ja cierpliwie czekałam, aż ktoś mnie uwolni. Czekałam na ten dzień.

Harte rzucił się na Jacka i wepchnął go z powrotem do rotundy. Nad nimi wiły się kłęby ciemnego dymu z bomb Maggie. Zza tego dymu coś migotało niczym błyskawica. Esta czuła, jak hucząca fala zimnej mocy miesza się z ciepłem starej magii, jak te dwie siły ścierają się ze sobą w powietrzu, grożąc rozpętaniami jakiejś alchemicznej burzy.

Poniżej Harte i Jack szamotali się i turlali, drapiąc i wymierzając sobie ciosy. Promieniowała od nich potężna, trzaskająca energia, zarazem gorąca jak płomień, które strawiły browar, i lodowata jak Krawędź. Przez chwilę Esta była pewna, że Harte zwycięży. Potem jednak coś drgnęło w Jacku, poderwał się z rykiem i przygwoździł Harte'a do ziemi. Harte zwiotczał pod nim, jakby stracił przytomność.

Esta posłuchała impulsu, wyteżyła swój dar i zatrzymawszy czas, podbiegła do walczących. Strąciła Jacka podeszwą, po czym uklękła przy Harcie i położyła mu dłonie na policzkach.

– Zbudź się – prosiła, poklepując go po twarzy. – No dalej...

Otworzył nagle oczy. Zanim jednak zdążyła poczuć ulgę, dotarło do niej, że to nie Harte się jej przygląda. Z czarnych jak węgiel czeluści jego oczu wyzierało coś mrocznego i bardzo starego.

Ręka Harte'a wystrzeliła do góry, chwytając ją za nadgarstek, a potężna energia, która między nimi wezbrała, tak nią wstrząsnęła, że Esta straciła kontrolę nad czasem. Świat ruszył do przodu, a zwalony na podłogę Jack cicho jęknął.

Esta nie zwracała jednak na to uwagi. Odkąd Harte jej dotknął, odkąd uwięziona w nim moc połączyła się z jej mocą, była jak sparaliżowana. Teraz wszystko wokół zawirowało...

Widziała komnatę z kamienia, gliny i piasku pustyni. Była tam kobieta o bursztynowych oczach, takich jak jej własne, kobieta, która popełniła błąd. Pochylała się nad ołtarzem, na którym znajdowała się otwarta Księga. W ciężkim powietrzu czuło się jej ból i niemoc. Nagle kobieta podniosła wzrok i spojrzała Eście prosto w oczy.

– Przyszłaś. – Jej głos odbił się echem od ścian komnaty.

Mówiła w języku, którego Esta nie знаła, lecz który mimo to rozumiała. Słyszała jej słowa, choć usta kobiety w ogóle się nie poruszały.

– Ty, która możesz mnie uwolnić. Dopełnić mojego przeznaczenia. Wiedziałam, że przyjdiesz. Wiedziałam, że mi się oddasz.

Esta stała jak zamurowana, uwięziona w czasie i eterze. Nie mogła się ruszyć, gdy kobieta zaglądała jej w głąb duszy.

– Widzę cię wyraźnie. Widzę, czego pragniesz. Końca tej udręki.

Esta chciała zaprzeczyć, ale nie była w stanie nawet ruszyć głową. Nie, pomyślała, nie chcę tego.

– Próbowałam ją ocalić. Magię. Moc. Energię, która przepływa między wszystkimi rzeczami. Umierała. Gasła już za moich czasów, bo ludzie zapominali, oddzielali się od siebie nawzajem i od jedności wszechrzeczy. Starłam się ocalić jak najwięcej, tworząc to pismo. Miałam nadzieję, że istota magii przetrwa w słowach, które są wieczne. – Oczy kobiety rozbłyły wściekle. – Myliłam się. Stworzenie mocy rytualnej poprzez słowo pisane

tylko jeszcze bardziej osłabiło magię. Magia nie jest porządkiem, lecz możliwościami tkwiącymi w chaosie. Rytuał ograniczył właściwą jej dziką swobodę, rozbił magię na kawałki. A jednocześnie umożliwił jej okiełznanie, nawet tym, którzy urodzili się bez daru. Podzieliłam się swoimi odkryciami z Thotem, bo uważałam go za przyjaciela. Okazało się, że wcale nim nie był. Urodził się słaby i pragnął mocy, którą los przeznaczył mnie. Zobaczył, co uczyniłam, i zamiast pomóc mi naprawić moje błędy, jak obiecywał, zagarnął moc dla siebie. Zawarł diabelski pakt, przehandlował wszystko, czym moglibyśmy razem być, za własne ambicje. Kiedy się zorientowałam, stworzyłam kamienie. Rozbiłam magię, by chronić ostatnią jej czystą część. By stworzyć barierę przeciwko uzurpatorom. Lecz Thot nigdy nie był ibisem. On zawsze był wężem kradnącym cudze jaja.

Esta w jednej chwili zobaczyła wszystko, co się potem wydarzyło: uwięzienie Sesztat przez Thota i zniszczenie kamieni. Thot zabrał Księgę, ale był człowiekiem próżnym i bojaźliwym, więc nigdy nie przestał uciekać. Wciąż gromadził coraz większą moc. Coraz więcej dusz i sekretów.

– Zamieszkałam w tych kartach, na których tak bardzo mu zależało, lecz byłam odtąd więźniem pergaminu, na którym próbowałam zachować czystą istotę magii. Raz prawie mnie uwolniono. Próbował tego dokonać pewien człowiek... wielki mag. Był jednak tchórzem, nie zdołał opanować mojej mocy. Teraz... Teraz mam nowe ciało. Przyszłaś do mnie i razem go zniszczymy.

Jak? – chciała spytać Esta, lecz usta i tym razem odmówiły jej posłuszeństwa.

– Z twoją pomocą, moje drogie dziecko. Dzięki twojej mocy zniszczymy wszystko.

Nie... Esta wciąż tkwiła w bezruchu, lecz to jedno słowo raz po raz rozbrzmiewało w jej umyśle. Nie. Nie. Nie.

Sesztat tylko się zaśmiała gromkim śmiechem, który odbijał się od ścian komnaty.

– A ty myślałaś, dziecko, że kim jesteś? Tacy jak ty – jak my – od niepamiętnych czasów byli prześladowani. Na wszystkich kontynentach.

Próbowano zetrzeć nas z powierzchni ziemi, bo się nas obawiano. I słusznie. Potrafisz dotknąć czasu, czyli tego, co przemienia chaos w porządek, tak jak i ja dawniej potrafiłam. I tak jak ja dawniej mogłam, tak teraz ty możesz je porozrywać. Chodź. – Kobieta wyciągnęła do niej rękę. – Dołącz do mnie. Uwolnij mnie.

Esta spojrzała jej w oczy i uświadomiła sobie, że Harte nie miał racji. Szesat nie była potworem. Nie była też demonem. Była po prostu kobietą. Kobietą jak Esta, obdarzoną mocą. Kobietą, która niegdyś wierzyła w potencjał świata i została przez ten świat zdradzona... A teraz pragnęła zemsty za tamtą zdradę. Jej ból, jej krzywda przypominały iskrę, którą nosiła w sobie Esta. Och, jak dobrze ją rozumiała!

Dlaczego by nie puścić tego wszystkiego z dymem i nie zacząć od nowa?

Bo zginą niewinni ludzie. Było to dla niej oczywiste, podobnie jak to, że Szesat też była kiedyś niewinna. Esta wiedziała o tym, bo sama uległa gniewowi i mściwości Antistasi. Nie zamierzała powtórzyć tego błędu. Wzdrygała się na samą myśl, że miałyby się zgodzić, a jednocześnie uczyniła kolejny krok w przód.

– Thot musi zginąć – rzekła kobieta.

Szesat chciała unicestwić świat, byle tylko pozbyć się Thota. Gotowa była poświęcić wszystkich i wszystko, aby Thot, prawdziwa Diabla Ręka, zginął.

– Nie udawaj oburzonej – zganiała ją Szesat. – Nie zapominaj, że przejrzałam twoje serce na wylot. Widziałam chęć odwetu. Głód zemsty. Ta nienawiść, która tak jasno w tobie płonie, może zmienić oblicze świata, moje dziecko.

Tak, Esta jeszcze niedawno pragnęła zemsty. Chciała ukarać wiele osób. Ale to był błąd.

Za późno. Szesat już ciągnęła ją ku sobie, wabiła jej dar. Esta czuła, jak moc kapłanki ją oplata, lecz tym razem była czystsza niż przedtem na dworcu albo w hotelu. Tym razem z nią nie walczyła.

Wydało jej się, że świat lada moment się rozpadnie. Ciemność, dotarło do niej teraz, nie była czymś, co się pojawia lub znika. Ciemność była światem.

*Pustymi przestrzeniami, które rozlewały się na wszystko inne.
Unicestwieniem.*

A Esta nie mogła na to nic poradzić.

KOSZMAR NA JAWIE

1902 rok – Nowy Jork

Chwila, na którą Jack szykował się od tygodni, w końcu nadeszła. Pierwsze trzy żywe obrazy oczarowały widzów, zachwyciły ich pokazami mocy jego i Księgi – nie żeby zdawali sobie sprawę z tego, na co patrzą. Niewątpliwie brali dokonywane przez niego cuda za pospolite sztuczki. I mieli nawet trochę racji, zważywszy na to, co zostawił na sam koniec.

Gdy zasuwawała się trzecia kurtyna, Jack włożył do ust jeszcze dwie kostki morfiny, po czym stanął na ostatniej scenie. Powiódł wzrokiem po widowni, czekając, aż ucichną szmery. Byli tam członkowie Wewnętrznego Kręgu, Wysoki Princeps i reszta socjety. Także ludzie z władz miasta oraz człowiek zaproszony przez niego osobiście: Paul Kelly, który zresztą okazał się kolejnym rozczarowaniem. Ale już wkrótce dostanie za swoje.

Jack poczekał, aż wszystkie oczy skierują się na niego. Nareszcie widzieli go tak, jak na to zasługiwał. Potem odczekał jeszcze chwilę – tylko dlatego, że mógł sobie na to pozwolić.

– Panie i panowie, przed nami ostatni obraz. Zakon zaprezentował dziś wielką obfitość piękna i cudów. Przenieśliście się do laboratorium alchemika, byliście świadkami chwili, w której człowiek zaczął panować nad otaczającymi nas groźnymi siłami. Patrzyliście, jak dzieła sztuki ożywają, ukazując długą i dramatyczną historię dzikiej magii, historię tych, którzy nie chcieli okiełznać swoich niebezpiecznych mocy dla dobra sprawiedliwej i oświeconej wspólnoty. Lecz oto nasz wieczór pomалу dobiega końca. – Zawiesił głos, budując napięcie na sali, czując, że widzowie już nie mogą się doczekać, aż ostatnia kurtyna się rozsunie.

Trzymał ich teraz w garści. – Przedstawiam wam *Nocną marę* Johanna Füssliego... – Zrobił kolejny zamaszysty gest i kotara się rozwarła, odsłaniając ostatni obraz wieczoru.

Evelyn, odziana w blond perukę i zwiewną suknię, leżała na szezlongu w pozie kobiety ze słynnego dzieła szwajcarskiego malarza. Ręce opadały zgrabnie ku podłodze, powieki miała zamknięte, jakby spała. Tak jak na obrazie, na jej piersi siedziało straszidło, uosobienie nocnych koszmarów. Jack sam stworzył tę figurę, maskaronowego inkuba na podobieństwo tego z obrazu.

Po widowni przeszedł szmer zachwytu i strachu. Jack poznał, że to strach, bo w sali nagle zrobiło się jakoś duszniej. Był to najwspanialszy ze wszystkich żywych obrazów, najstraszniejszy i najpiękniejszy zarazem, a przecież miał się wkrótce okazać czymś znacznie więcej.

– Ci, którzy trwają przy starych zwyczajach, którzy chowają się w ciemnych zaułkach naszego miasta, są skazą na ideale naszej unii. Stanowią zagrożenie. Tak jak mrok, który wdziera się do naszych snów, ludzie z dziką magią czekają przyczajeni na chwilę naszej słabości. Są jak nocne mary, które przenikają do jawy.

Ledwie wypowiedział te słowa, inkub obrócił swój łeb i spojrzał na publiczność. Zbiorowy okrzyk zdumienia sprawił Jackowi niewypowiedzianą przyjemność. Inkub nie był, ma się rozumieć, zwyczajną rzeźbą. Był to rodzaj golema, efekt imponującego zaklęcia, które objawiło się Jackowi podczas jednej z długich morfinowych nocy, kiedy to zbudził się nagle, nie pamiętając, żeby o nim czytał. Fakt, że obdarzono go tym sekretem, uznał za boski znak, wskazówkę dotyczącą jego misji. Dzika moc Evelyn mogła wpływać na ludzi z krwi i kości, ale Jack szczerze wątpił, czy zdziała cokolwiek przeciwko szkaradnej istocie, którą ulepił z gliny.

– Koszmary należy jednak poskramiać, tak jak trzeba poskramiać tych, którzy trwają przy starych zwyczajach.

Evelyn się bała, czuł to na odległość, a jej strach, wespół z szumem morfiny we krwi, tylko dodawał mu animuszu.

– Widzieliśmy dzisiaj cuda alchemii, syreny i czarownice, a teraz przedstawiam państwu prawdziwą syrenę. Wiedźmę, która, gdyby mogła, zniszczyłaby Zakon.

Po tych słowach Evelyn jakby zdała sobie sprawę z grożącego jej niebezpieczeństwa. Próbowwała usiąść, lecz gdy tylko się poruszyła, inkub otoczył ją ramionami i przyparł do szeslonga. Zaczęła krzyczeć, a Jack poczuł ciepły powiew jej magii: usiłowała go kusić, odwieść od powziętego zamiaru, lecz na próżno. Nie miała nad nim żadnej władzy. Zbyt wiele się nauczył od czasu feralnej przygody w Grecji. Zbyt wiele się nauczył z Księgi.

– Evelyn DeMure udaje, że jest aktorką, jakich wiele. Może ktoś z państwa oglądał ją na deskach Teatru Wallacka? – Sądząc po niespokojnym szmerze na sali, niektórzy widzowie mieli okazję poznać ją bliżej. – Lecz tak jak wielu do niej podobnych nie jest tym, za kogo się podaje. Zamierzała nas wszystkich zgładzić. Była w Khafre Hall w noc pożaru. Sądziła, że usidli mnie swoimi czarami, ale jak widzicie, jej moc nie może się równać z sekretami światłej nauki.

Był już blisko, bardzo blisko – przemknęło mu przez myśl, gdy uniósł rękę, a gliniana figura uczyniła to samo. Zacisnął palce w pięść, a kreatura powtórzyła ten ruch na delikatnej szyi Evelyn.

Ludzie zaczęli wstawać z miejsc, niektórzy wzywali go, by przestał, lecz Jack zachowywał spokój. Pozwalając golemowi dalej wykonywać rozkaz, zwrócił się do tłumu gości.

– Ale czarująca panna DeMure to niejedyna żmija w naszym zacnym gronie. Jest tu dziś z nami ktoś, kto udawał sojusznika, podczas gdy w istocie spełniał wolę tych, przed którymi usiłujemy się chronić.

Wypatrzył na widowni Paula Kelly’ego, tę szumowinę z Bowery, która mieniła się jego przyjacielem. Kelly nie tylko darował życie wrogowi Jacka, lecz na dodatek sprzymierzył się z jednym z ludzi odpowiedzialnych za jego największe upokorzenie.

– Być może niektórzy z państwa zauważyli, że jest wśród nas pan Kelly. Pewnie zastanawialiście się, dlaczego osoba jego pokroju została tu w ogóle

zaproszona.

Jack widział, że Kelly przygląda mu się groźnie, ale nic sobie z tego nie robił.

Ta sala, ta chwila należały do niego.

– Straż! – zawołał. – Zechcą panowie zaprowadzić pana Kelly’ego i jego kolegów w bardziej odpowiednie miejsce, gdzie będzie można się nimi zająć.

Ktoś w tłumie krzyknął. Jack obrócił się i zobaczył, że część kelnerów upuściła tace, dobywali rewolwerów z ciemnych smokingowych marynarek i brali zakładników. Ludzie Kelly’ego. Nie, pomyślał wściekle Jack. Nie mogą... Wszystko zepsują.

Czując na piersi ciepło Księgi, patrzył, jak zwycięstwo wymyka mu się z rąk. Kelly uśmiechnął się chytrze i zniknął w rozhisteryzowanym tłumie.

BŁYSK NOŻA

1902 rok – Nowy Jork

Gangsterzy z Five Points wywołali panikę na sali. Jak widać, nie trzeba było magii, aby napędzić stracha członkom Zakonu. Wystarczyło kilka małych rewolwerów. Goście rozpaczliwie cisnęli się do wąskiego wyjścia, lecz Jianyu nie myślał o ucieczce. Zaprzętała go tylko jedna rzecz: pierścień.

Evelyn wciąż miała go na palcu, lecz pilnował jej potwór. Zimna energia otaczająca tę dziwną istotę mówiła sama za siebie. Nie była to magia naturalna, lecz Jianyu nie spodziewał się niczego innego po Jacku Grew i Zakonie.

Wciąż załamując wokół siebie promienie światła i nic sobie nie robiąc z rwetesu i zamieszania, zakradał się coraz bliżej bestii. Evelyn chyba przestała oddychać, ale potwór nadal zaciskał szpony na jej gardle. Szeroko otwarte oczy aktorki patrzyły niewidzącym wzrokiem w głąb sali.

Jianyu był już o parę kroków od niej, gdy spostrzegł nadchodzącą stanowczym krokiem Celę. Podczas gdy wszyscy inni starali się uciec, ona niczym karp koi brnęła pod prąd w kierunku sceny i Evelyn. Nie wiedziała, że Jianyu już tam jest, osłonięty swoją magią.

Zanim zdążył ją ostrzec, mignęła mu plama ciemnych włosów i śliwkowego jedwabiu. To Viola zmierzała w tę samą stronę. I, sądząc po jej wściekłym spojrzeniu, ona także zauważyła Celę.

Uświadomił sobie z przerażeniem, że powinien był jej wszystko wytłumaczyć, kiedy miał po temu okazję. Viola nie znała Celi, widziała jedynie obcą kobietę próbującą skraść przedmiot, na którym jej zależało.

Wszystko jakby zastygło w bursztynie i miał wrażenie, że przygląda się temu od zewnątrz. Błysk noża Violi spomiędzy fałd sukni, furia w jej oczach, gdy krzyczała na Celę, żeby odsunęła się od Evelyn, zostawiła pierścień.

Cela obejrzała się przez ramię, ale zignorowała ostrzeżenie.

Bo nie wiedziała, kim jest Viola. Nie zdawała sobie sprawy z konsekwencji takiej decyzji.

Inaczej niż Jianyu, który zobaczył to wszystko oczyma wyobraźni, zanim się wydarzyło. Viola rzuci nożem w Celę. I nie chybi.

Puścił światło i zrobił jedyne, co mu pozostało. Nie bacząc na to, jak to się dla niego skończy, puścił się do przodu, zasłaniając Celę własnym ciałem akurat w chwili, gdy nóż wystrzelił spomiędzy palców Violi.

Nie czuł bólu, gdy ostrze rozcięło mu tunikę, przebiło skórę i utkwilo w barku, rozrywając mięśnie i kość. Łądując u stóp Celi, czuł jedynie wielką ulgę.

Cela stała nad nim z miną, w której mógł się przejrzeć jak w lustrze. Położyła dłonie na jego twarzy i poruszała ustami, ale nie słyszał, co mówi. Gdy podniósł wzrok w stronę Violi, ujrzał w jej oczach niemą zgrozę. Były czerwone, jakby zaczęła go już opłakiwać.

Podniósł się z podłogi, chwycił za rękojeść i wyrwał ostrze.

Dopiero wtedy poczuł ból, ostre pieczenie wyjmowanej stali. Cela już próbowała zatamować mu krwotok własną suknią, lecz Jianyu wiedział, że musi przemówić do Violi... musi sprawić, żeby zrozumiała.

– Trzeba się stąd wydostać – powiedziała Cela, próbując postawić go na nogi.

Ale Jianyu nie mógł nie porozmawiać z Violą. Musiał jej powiedzieć jedną bardzo ważną rzecz.

– Chodź z nami – rzekł, oddając jej nóż, na którym była jego krew. Słyszał swój głos jakby z daleka, lecz powtórzył prośbę. – Jesteś nam potrzebna – dodał.

Viola jednak pokręciła głową.

Chwilę potem Abel wziął go na ręce i zaczął nieść do wyjścia.

Jianyu nie wiedział, gdzie jest pierścień ani kto go ma, rozumiał jednak, że w tej chwili nie to jest najważniejsze. Przede wszystkim trzeba było sprawić, żeby Viola zrozumiała.

– Chodź z nami – powtórzył, wiedząc, że jeśli się rozdziela, nic już nie uda się zdziałać.

POTWORNY CHAOS

1904 rok – St. Louis

Julien wybiegł z Hali Festiwalowej, nie oglądając się za siebie. Tłum, który wcześniej wypełniał rotundę, stał teraz na zewnątrz, kobiety obejmowały się nawzajem, a mężczyźni nadymali się jak tłuste koguty. Był wśród nich Prorok i reszta przedstawicieli Towarzystwa. Wszyscy patrzyli, jak w Hali Festiwalowej się błyska, a spod drzwi wydobywa się dziwny dym.

Julien stał nieco z boku, nie do końca rozumiejąc, jak się tu znalazł ani co ma teraz robić. Ponieważ nie był na scenie, czuł się nieswojo w sukni, peruka mu ciążyła. Z jednej strony chciał zostać, upewnić się, że Darrigan i Esta są cali, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że powinien skorzystać z okazji i się ulotnić, zanim tamci zaczną szukać winnego. Już cofał się ku ciemnościom spowijającym wystawę, gdy pośrodku tłumu rozległ się rozdzierający wrzask.

Był to krzyk debutantki, którą dopiero co poznał, dziewczyny obranej na Królową Miłości i Piękna. Z atrapy naszyjnika, która zdobiła teraz jej szyję, wydobywał się gęsty, czarny dym. Dziewczyna szamotała się, lecz nie była w stanie zerwać naszyjnika.

To przeze mnie, pomyślał ze zgrozą. Chciał tylko oczyścić swoje imię, sprawić, by Darrigan jak najszybciej wyjechał, a tymczasem przyłożył rękę do tego potwornego chaosu.

Biedna dziewczyna, ludzie odsuwali się od niej, przerażeni mrokiem bijącym z platynowej ozdoby. Julien sam nie wiedział, kiedy ruszył w jej stronę – w stronę niebezpieczeństwa.

Zanim przemyślał wszystkie możliwe konsekwencje, był już przy niej. Chwycił naszyjnik oburącz i gwałtownym szarpnięciem rozerwał go na dwoje. Dziewczyna uciekła, pewnie w objęcia matki, a Julien ze wszystkich sił cisnął ozdobę jak najdalej od tłumu.

Zanim to jednak zrobił, część mrocznego dymu trafiła do jego płuc.

JESZCZE NIGDY

1904 rok – St. Louis

Margaret Jane Feltz zrobiła w życiu wiele rzeczy, z których nie była teraz dumna. Zazwyczaj w dobrej wierze, ponieważ Ruth uważała, że tak jest słusznie, a Maggie łaknęła jej aprobaty i siostrzanego ciepła.

Miała wprawdzie rzadki talent do mieszania proszków i chemikaliów – dar magii kuchennej wyssany z mlekiem matki – ale nienawidziła tej roboty. Co nie zmieniało faktu, że dobrze było mieć przy sobie ostatnią bombę, zachowaną na czarną godzinę. Kiedy spostrzegła, że Ben dusi Estę, powietrze w rotundzie rozgrzało się i naelektryzowało. Nigdy przedtem nie czuła niczego podobnego. Natychmiast wyjęła z naramiennej torby niewielką puszkę, odbezpieczyła ją i potoczyła w ich kierunku, między wściekłego blondyna w smokingu a dwójkę przyjaciół – jak jej się do tej pory zdawało.

Puszka wybuchła z oślepiającym błyskiem, aż Ben runął nieprzytomny na podłogę.

Podbiegła do Esty, wciąż leżącej na marmurowej posadzce, a chwilę później dołączył do nich North. Podnieśli razem tamtych dwoje, North pstryknął zegarkiem i zniknęli.

Wieść o ataku na balu rozchodziła się lotem błyskawicy, na ulicach panowało wielkie zamieszanie. Na co zdały się wszystkie plany Antistasi? Sytuacja Maginów ulegnie tylko pogorszeniu. Ruth się myliła, i to fundamentalnie. Maggie od początku miała wątpliwości, a teraz była już pewna.

Brnąc przez miasto w kierunku dworca, starała się nie myśleć o tym, że porzuca siostrę i Antistasi, którzy stali się dla niej rodziną. Wiedziała

jednak, że zrobiła tutaj, co mogła, i że gdzieś jej umiejętności przydadzą się bardziej.

Dała z siebie wszystko, by uczynić trochę dobra. Ale to nie wystarczyło, jak zwykle. Obiecała sobie, że następnym razem będzie inaczej.

SZTYLET

1904 rok – St. Louis

Jack obudził się w środku nocy, słabo pamiętając, co dokładnie zaszło na balu. Darrigan i Esta zdołali uciec. Zabrali naszyjnik, ale nie byli w stanie odebrać mu Księgi. Za to zdemaskowali się i teraz cały kraj dowie się o ich niecznych zamiarach. Popęlnili błędy, które w przyszłości mogły mu tylko pomóc.

Po powrocie do pokoju siedział jeszcze długo nad Księgą, szukając rozwiązania jakiegoś problemu, ale nie pamiętał już przeczytanych słów ani tego, że strony zaczęły świecić, że przenikał je palcami, wiedząc, że się przed nim otworzą, że znajdzie w ich głębi przedmiot, który ukrył tam parę miesięcy wcześniej.

Sięgnął po buteleczkę z morfiną, lecz jego ręka natrafiła na coś jeszcze. Na stoliku przy łóżku znajdował się prastary artefakt – ten, który schował w Księdze. Podniósł go teraz i obracał w świetle lampki, podziwiając jego wygląd i napawając się ciężarem umieszczonego w nim kamienia, oznaką jego mocy.

Jack zdobył ten artefakt dawno temu – wkrótce po tym, jak przechwyił Księgę. Po konklawe zaczął się martwić, że ktoś może go znaleźć. Za pomocą zaklęcia z Księgi ukrył przedmiot w niej samej, dzięki czemu mógł zawsze mieć obydwie artefakty przy sobie.

Okazało się jednak, że Księga wcale się nie kwapi, żeby oddać powierzony jej przedmiot. Jack od ponad roku stawał na głowie, by zmusić Księgę, aby się przed nim otworzyła. Bezskutecznie.

Aż w końcu szczęście się do niego uśmiechnęło. Jak gdyby Księga zrozumiała, że znalazł się na rozdrożu, jakby wiedziała, że w najbliższych

dniach i tygodniach będzie potrzebował całej mocy, jaką zdoła osiąść. Ofiarowała mu swoją zawartość niczym błogosławieństwo przed nadchodzącą wyprawą – wyprawą, która nie będzie łatwa, lecz która, nie miał co do tego żadnych wątpliwości, jest mu pisana.

JAK LUNATYCZKA

1904 rok – St. Louis

Esta nie wiedziała, jak się wydostali z wystawy. Pamiętała ból, podmuch lodowatej energii, a potem stopniowe wynurzanie się z mgły, która spowiła jej umysł. Szesat. Thot. Złowroga moc jej własnego daru. Potem North przeniósł ich w czasie do momentu, kiedy na terenie wystawy zrobiło się już pusto.

Poruszała się jak lunatyczka, ledwie widząc na oczy i słysząc na uszy, kiedy Maggie i North prowadzili ich przez wystawę w kierunku czekającego wozu. O mały włos byłaby zapomniała o zakopanych kamieniach – bransolecie i naszyjniku – ale Maggie pamiętała. Potem w pośpiechu dotarli na dworzec i zanim jeszcze całkiem oprzytomniała, jechali już wagonem sypialnym, Esta na jednej wąskiej dolnej kuszetce z Harte'em.

Choć tyle się wydarzyło, choć jej świat się rozpadł, następnego dnia słońce wstało jakby nigdy nic. Gdy się zbudziła, jego ciepłe promienie ogrzewały jej twarz. Przez chwilę nie pamiętała, gdzie jest – ani nawet kim jest. W tamtej chwili na granicy snu i jawy nie pamiętała, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru. Nie myślała o popełnionych błędach ani o śmiertelnych ofiarach tych błędów. Nie pamiętała strasznych prawd, które przed nią odkryto, ani rozdzierającej rzeczywistości tego, co ją dopiero czekało. Wydawało jej się natomiast, że słyszy kobiecy śpiew i że prawie pamięta słowa tej pieśni. To pewnie wspomnienie sprzed wielu lat, kiedy była jeszcze całkiem niewinnym dzieckiem, a świat wydawał się stać przed nią otworem.

Ale to miękkie uczucie bezpieczeństwa na granicy snu i jawy trwało tylko chwilę. Ból w kościach, ćmienie w głowie szybko przypomniały jej, przez co przeszła. Czuła się brudna i wyżęta, jak stary dywan, którego dłużej nie warto już prac. I krucha, jakby jeden nieostrożny ruch mógł sprawić, że pękną jej kości.

Powoli zaczęło do niej dochodzić ciche chrapanie pozostałych pasażerów ciasnego przedziału. North spał w niewygodnej pozie na krześle, Maggie – na kuszetce ponad nią. Przypomniała sobie, jak się kładła obok Harte'a. Uwięziona w nim moc była wtedy cicho; Esta przysunęła się do niego, by ogrzać go swoim ciepłem, i czekała, aż się zbudzi, walcząc z własnym zmęczeniem.

Ale teraz łóżko było puste i zimne.

Podniosła się i rozejrzała po przedziale, jednak Harte'a nigdzie nie było. Po tym, co się stało w rotundzie, North nie ufał Harte'owi i przywiązał go do słupka łóżka, lecz sznur wisiał pusty.

Co gorsza, zniknęła jej bransoleta z Kluczem Isztar. Zamiast niej Esta znalazła tylko prostą bransoletkę z paciorków – tę samą, którą Harte kupił pierwszego dnia na wystawie. Już miała ją sobie zerwać z nadgarstka, lecz gdy dotknęła paciorków, stanęły jej przed oczami bezładne obrazy i poczuła tak silny impuls, że nie miała wątpliwości, że to wiadomość od Harte'a, pozostawiona w głębi jej nieprzytomnego umysłu. Użył wobec niej daru. Aby nie pisać na kartce, którą mógłby znaleźć i przeczytać ktoś niepowołany, zostawił jej nadzieję i prośbę, wiadomość, do której tylko ona miała dostęp.

A więc niezupełnie ją porzucił. Choć jednak nie ufał sobie na tyle, aby zabrać ją ze sobą.

Przeklinając Harte'a za to, jak się z nią obszedł, i siebie za to, że usnęła, Esta wyszła na korytarz, a następnie na platformę, z której rozciągał się, jak okiem sięgnąć, widok na trawiastą prerię.

Harte zniknął, ale nie była sama. Czekala ich długa, nieznaną drogą ku dalekiemu wybrzeżu innego oceanu. Zrobi to, o co Harte ją prosił, a potem go znajdzie. I jeszcze pożałuje, że ją zostawił.

Wciąż było wiele do zrobienia. Musieli unicestwić półboga. Odnaleźć kamienie, ułożyć przyszłość.

A po wewnętrznej stronie jej nadgarstka widniała blizna, pojedyncze łacińskie słowo, które poznała w dzieciństwie. Rozkaz wzywający ją do powrotu, do Nowego Jorku i do przeszłości.

Redi.

DISCEDO

1904 rok – St. Louis

Harte mknął pociągiem pośród krajobrazów, które dawniej widywał tylko w snach, i patrzył na horyzont, gdzie czarna zasłona nocy ustępowała przed łagodnym fioletowym światłem, a gwiazdy jedna po drugiej znikwały wśród budzącego się brzasku. Marzył o tym przez całe życie, o tych bezkresnych równinach, o cieniach dalekich gór, o takiej wolności. Lecz teraz, gdy stała się ona jego udziałem, znów czuł się więźniem, może nawet jeszcze bardziej niż wcześniej, z tą różnicą, że tym razem nosił swoje więzienie w sobie.

Obudził się w środku nocy, gdy pociąg zatrzymał się z łoskotem na jakiejś bezimiennej stacji. Esta leżała obok z podkurczonymi nogami, obejmując go jedną ręką; pomimo głębokiego snu miała napięty wyraz twarzy. Słyszał ciche, miarowe oddechy pozostałych i przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje ani co się wydarzyło. Głos, który w sobie nosił, nie odzywał się, lecz Harte czuł obecność Seszat, była tam i lizała rany.

I czekała.

Najłatwiej pewnie byłoby zamknąć powieki, dać się z powrotem wciągnąć wirowi snu. Przyjemniej byłoby zostać tutaj, blisko Esty, czuć jej ciepło, jej zapach. Przywrzeć do niej. Lecz już na samą myśl o tym uwięziona w nim siła zaczęła się przeciągać.

Jeszcze przez krótką chwilę muskał nosem kark Esty. Jeszcze przez chwilę zastanawiał się, jak by to było, gdyby mógł z nią tutaj zostać, gdyby byli dwojgiem zwyczajnych podróżnych, którzy mają przed sobą całe życie i mogą zrobić z nim wszystko. Ale choć Harte był zdolnym oszustem i łgarzem, nie potrafił oszukiwać samego siebie.

Jeśli zostanie, Sesztat zrobi wszystko, by osiąść Estę.

Jeśli zostanie, Esta się poświęci, aby go ratować.

I dlatego nie mógł zostać. Zamierzał jednak uczynić, co w jego mocy, żeby ją ocalić. Żeby ocalić ich wszystkich.

1904 rok – Nowy Jork

James Lorcan podniósł telegram i przeczytał go ponownie, żeby upewnić się, czy dobrze zrozumiał. Wokół niego eter skupiał się i przesuwał, przeszłość nabierała kształtu zgodnego z jego wolą.

Jego agenci na zachodzie mieli już w garści dwa artefakty, a co najlepsze, mieli też dziewczynę. Było jedynie kwestią czasu, kiedy kolejne elementy układanki wskoczą na swoje miejsce.

Zapalił jedną ręką zapałkę i przytknął ją do rogu telegramu, a potem patrzył, jak papier płonie i zmienia się w kupkę popiołu. Następnie wrócił do bieżących spraw – do bycia przywódcą Antistasi.

OD AUTORKI

S tarałam się w tej książce jak najwierniej przedstawić wystawę światową z 1904 roku, zorganizowaną w stulecie zakupu Luizjany. Poza zmyślonymi rejsami po sztucznym Nilu wszystko, od posągu na szczycie Hali Festiwalowej po układ i części składowe wystawy, zaczerpnęłam z autentycznych map i przewodników oraz fotografii, do których udało mi się dotrzeć. Rejs po Nilu jest wytworem mojej wyobraźni, ale zainspirowanym lekturami na temat wystawy, a zwłaszcza problematycznym sposobem prezentacji kwestii rasowych i kulturowych. Ponieważ postacie odwiedzające wystawę w 1904 roku nie mogły być świadome późniejszych jej reperkusji, chciałabym dać czytelnikom lepsze wyobrażenie o zawiłościach i paradoksach tej imprezy oraz jej dalekosiężnych skutkach, które odczuwamy do dziś.

Wystawa wywarła ogromny wpływ na St. Louis, Środkowy Zachód i cały kraj. Między 30 kwietnia a 1 grudnia 1904 roku odwiedziło ją blisko dwadzieścia milionów ludzi. Na pięciuset hektarach znalazło się sto dwadzieścia kilometrów dróg i chodników oraz tysiąc pięćset budowli. Wystawcy reprezentowali czterdzieści trzy stany i ponad pięćdziesiąt krajów. Zwiedzający mogli podziwiać telegrafię bezprzewodową, oglądać noworodki podtrzymywane przy życiu przez inkubatory, obejrzeć pierwszy publiczny lot sterowcem albo przejechać się jednym ze stu czterdziestu modeli osobowych samochodów. Wystawę odwiedził Theodore Roosevelt, Helen Keller wygłosiła na niej odczyt, Scott Joplin napisał okolicznościową piosenkę, a John Philip Sousa wystąpił z orkiestrą.

Z racji samych tylko rozmiarów imprezę okrzyknięto największym i najwspanialszym pokazem osiągnięć ludzkości. Ale jak pokazałam w powieści, na wystawie prezentowano nie tylko najbardziej zachwycające odkrycia i wynalazki epoki, lecz także ludzi. Tym samym wpisała się ona

w szerszą historię rasy, kultury i ewolucji społecznej w Ameryce. Nie był to przypadek. Komitet odpowiadający za planowanie imprezy pilnował, aby ekspozycje antropologiczne były utrzymane w duchu imperializmu i przekonania o wyjątkowości Zachodu.

Warto w tym miejscu odnotować, że w roku 1904 większość Amerykanów nie miała możliwości podróżowania po świecie. Wystawa rozwiązywała ten problem, pozwalając na obejrzenie świata w miniaturze. Była to jednak określona wizja świata przefiltrowana przez wrażliwość Zachodu. Organizatorzy starali się wprawdzie oddzielić poważne i edukacyjne pawilony poszczególnych krajów od bardziej egzotycznych i rozrywkowych atrakcji Promenady, lecz przeciętnemu zwiedzającemu to rozróżnienie często umykało. W rezultacie wystawa ukazywała świat, w którym egzotyzm i różnorodność etniczna stawały się źródłem rozrywki. Ludy i kultury uczyniono przedmiotem konsumpcji.

Jak pokazałam w powieści, sposób przedstawienia różnych narodowości na Promenadzie jawił się jako wyjątkowo problematyczny, ale reszta wystawy wcale nie była dużo lepsza. Wyłonione przez planistów ekspozycje edukacyjne miały naukowo dowodzić naturalnej progresji społeczeństw ludzkich. Zwiedzający mogli sobie uzmysłwić wyższość własnej kultury w obliczu „prymitywizmu” kultur obcych. W 1904 roku antropologia jako dyscyplina naukowa dopiero się rozwijała, lecz wystawa w St. Louis, podobnie jak inne wystawy światowe, ukazywała przydatność tej dziedziny w hierarchizowaniu ludzi. Mówiąc ściślej, wystawa uzasadniała dominację Zachodu i praktyczność imperializmu poprzez odwołanie się do argumentów naukowych.

I tak na przykład część wystawy poświęcona Igorotom miała ścisły związek z niedawnym zwycięstwem Stanów Zjednoczonych – i przyłączeniem nowych terytoriów – w konflikcie zbrojnym z Hiszpanami. Organizatorzy sprowadzili ludzi z Archipelagu Filipińskiego i stworzyli coś na kształt ludzkiego zoo. Elegancko ubrani turyści, przyglądając się wioskowemu ubiorom i zwyczajom, dochodzili do wniosku, że Igoroci są od nich mniej nowocześni, a zatem gorsi.

Innym przykładem użycia antropologii w służbie zachodniego imperializmu było sprowadzenie na wystawę rdzennych Amerykanów. Jest znamienne, że imprezę wpisano w obchody stulecia zakupu Luizjany, czyli wydarzenia, które umożliwiło ekspansję na zachód, kładąc podwaliny pod koncepcję „jawnego przeznaczenia” i otwierając drogę do rzezi pierwotnych mieszkańców kontynentu. Harte i Esta oglądają mieszkańców jaskiń, ale w charakterze atrakcji przedstawiano też innych tubylców: Apaczów, Kokopan, Indian Pueblo i Tlingitów. Zwiedzający mogli nabyć fotografię z autografem samego Geronima, który w 1904 roku wciąż przebywał w amerykańskiej niewoli, a także obejrzeć modelową szkołę dla indiańskich dzieci, które specjalnie dla turystów musiały karnie siedzieć w ławkach.

Wystawa pozwoliła niektórym, jak choćby Geronimowi, stać się przedsiębiorcami, ale jednocześnie był to rodzaj wyzysku: warunki mieszkaniowe były niehigieniczne, a wynagrodzenie marne. Co więcej, rdzenne ludy Ameryki przedstawiano w duchu nostalgii, utrwalając stereotyp niegdyś bohaterskich i szlachetnych plemion, teraz pokonanych i wymierających. Stereotypy te istnieją po dziś dzień ze szkodą dla rdzennej ludności.

Na koniec warto zauważyć, że choć wystawa przedstawiała różne narodowości, odwiedzali ją głównie biali Amerykanie. Po tym, jak odwołano Dzień Murzyna, który miał być świętem emancypacji, przewodniczący miejscowego komitetu cofnął zaproszenie dla Bookera T. Washingtona, oznajmiając, że „nie chcemy Murzynów na wystawie światowej”. Nie zaproszono Williama E.B. Du Bois, którego książka *Dusze czarnego ludu* rok wcześniej odbiła się szerokim echem. Afroamerykański Ósmy Pułk z Illinois rozbił obóz na terenie wystawy, ale biali żołnierze nie pozwalali jego członkom korzystać ze swojej kantyny. Krótko mówiąc, wystawa nie była miejscem przyjaznym dla ludności kolorowej.

Być może problematyczny, nierzadko obraźliwy stosunek twórców wystawy do kwestii rasowych i kulturowych nie powinien dziwić. Impreza była w końcu wytworem swoich czasów, ale również szeroko rozumianych

sił społecznych. Jedenastu spośród dwunastu członków komitetu organizacyjnego, w tym jego przewodniczący David Francis, należało do Towarzystwa Zawołanego Proroka. Jak pokazuję w powieści, powstanie tej organizacji było odpowiedzią na wielki strajk na kolei z 1877 roku, w którym brało udział bardzo wielu Afroamerykanów oraz imigrantów. Powstanie Towarzystwa Zawołanego Proroka i coroczna parada miały służyć odzyskaniu przez białych ojców miasta rasowej i klasowej dominacji w St. Louis. Znaczna część wystawy – tej prawdziwej i tej opisaney w mojej książce – odzwierciedla ten cel.

Choć trudno zaprzeczyć, że wystawa światowa z 1904 roku szerzyła postęp technologiczny i wiedzę o innych narodach, nie sposób rozpatrywać jej w oderwaniu od szerszego kontekstu supremacji białych i zachodniego imperializmu, które pomagała utrwalać. Na przełomie wieków podobnych imprez było dużo. Charakterystyczny dla nich wyzysk kulturowy i traktowanie egzotyki jako rozrywki popularyzowały wśród białych Amerykanów wizję świata, której fundamentem było poczucie wyższości Zachodu. Takie rozumowanie miało dalekosiężne następstwa, które do dziś wpływają na to, jak Amerykanie myślą o rasie i kulturze.

PODZIĘKOWANIA

Książka tych rozmiarów nie powstaje bez pomocy mnóstwa osób. Przede wszystkim dziękuję mojej wspaniałej redaktorce z wydawnictwa Simon Pulse, Sarze McCabe, która cierpliwie znosiła przesunięcia terminów i czytała kolejne niedokończone wersje tekstu. Nie byłoby tej książki, gdyby nie jej wiara i wyrozumiałość. Swoimi mądrymi uwagami uczyniła tę opowieść nieporównanie lepszą. Dziękuję, że dopingowałaś mnie do pracy i zawsze potrafiłaś rozwiązać mój problem. Nie wiem, co bym zrobiła bez twojego mózgu.

Mam to szczęście, że wspiera mnie znakomity zespół wydawniczy: Mara Anastas, Chriscynethia Floyd, Liesa Abrams, Katherine Devendorf, Chelsea Morgan, Sara Berko, Julie Doebler i Bernadette Flinn. Wielkie dzięki dla Tricii Lin, która czytała pierwsze wersje, a także dla Peniny Lopez, Valerie Shea, Elizabeth Mims i Kayley Hoffman, czujnych adiusterek i korekterek cyzelujących mój tekst. Wyrazy szczerzej wdzięczności niech zechcą przyjąć Audrey Gibbons, Lauren Hoffman, Caitlin Sweeny, Alissa Nigro, Anna Jarzab, Christian Vega, Michelle Leo i jej zespół, Nicole Russo, Vanessa DeJesus i Christina Pecorale, a także reszta pracowników działu sprzedaży i marketingu S&S, którzy ciężko pracują na sukces tej serii. Russellowi Gordonowi i Mike'owi Rosamilii dziękuję za piękny wygląd książki. Szczególne podziękowania należą się Craigowi Howellowi, który sobie tylko znanym sposobem stworzył jeszcze wspanialszą okładkę niż za pierwszym razem.

Kathleen Rushall, moja fantastyczna agentka, wspierała mnie bez przerwy, dzięki czemu jakoś przeżyłam czas pisania tej książki. Dziękuję jej za wszystkie maile i dopingujące rozmowy. Jestem szczęściarą, że mogę współpracować z nią i z innymi znakomitymi agentami z Andrea Brown.

Bardzo dziękuję wszystkim wspaniałym czytelnikom, recenzentom, blogerom, księgarzom i bibliotekarzom, dzięki którym *Ostatni mag* trafił na listę bestsellerów „New York Timesa”. Ich entuzjazm i liczne pytania o ciąg dalszy dodawały mi sił w pracy. Specjalne podziękowania należą się Stu Diabłom, takim jak Joy Konarske, Cody Smith-Candelaria, Agustina Zanelli, Patrick Peek, Kim McCarty, Jennifer Donsky, Kim Mackay, Rachel Barckhaus, Ashley Martinez i Alyssa Caayao, którzy dzielili się swoją miłością do tego cyklu. To również dzięki nim *Ostatni mag* osiągnął sukces!

Najlepszymi przyjaciółmi pisarza są inni pisarze. Dziękuję wszystkim moim ulubieńcom, zwłaszcza niesamowitym kobietom, które wysłuchiwały moich narzekań, czytały brudnopis i pomagały znaleźć wyjście ze ślepych zaułków. Oto one: Olivia Hinebaugh, Danielle Stinson, Kristen Lippert-Martin, Helene Dunbar, Flavia Brunetti, Christina June, Sarah Raasch, Jaye Robin Brown, Shanna Beasley, Shannon Doleski, Peternelle van Arsdale, Julie Dao, Angele McQuade, Risikat Okedeyi, Janet Taylor. Jeszcze raz dziękuję!

I wreszcie – moja rodzina. Uporanie się z tą książką nie było łatwe. Na trzy miesiące praktycznie zniknęłam z życia moich bliskich. Wiem, że nie było im łatwo, a mimo to podarowali mi więcej czasu, przestrzeni i wsparcia, niż na to zasłużyłam. X. i H., jesteście radością mojego życia. J., jesteś dla mnie wszystkim. Dziękuję.

Strzeż się złej mocy! Ocal przyszłość!

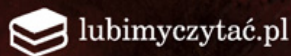
Esta straciła rodziców. Ukradziono jej życie. A wszystko, co wiedziała o magii, okazało się kłamstwem. Sądziła, że Księga Tajemnic skrywa klucz do wyzwolenia Maginów spod terroru Zakonu. Tymczasem okazała się źródłem śmiertelnego zagrożenia. Teraz potężną moc Księgi nosi w sobie Harte, towarzysz Esty. Aby okiełznać złowrogą siłę, muszą odnaleźć cztery bezcenne artefakty – prastare kamienie, rozsiane po całym kontynencie. To prawdziwe wyzwanie, bo świat poza Nowym Jorkiem jest zupełnie inny, niż się tego spodziewali...



Tom pierwszy

OSTATNI MAG

Patronat medialny



BESTIARIUSZ



efantastyka.pl



za**bookowani.pl**



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-5935-9

EAN 9788327159359

U.WD.FAN036.1.01.01

